

ELIZABETH MOON

PRZECIWIW WSZYSTKIEMU



PRZECIW WSZYSTKIM

ELIZABETH MOON

ISA
GTW

PRZECIWI WSZYSTKIM

Tytuł oryginału: AGAINST THE ODDS

Wszystkie postacie występujące w tej książce są fikcyjne. Jakikolwiek podobieństwo do osób prawdziwych, żyjących lub nie, jest całkowicie przypadkowe.

Ilustracja na okładce: Marcin Nowakowski

Wydanie I

Wydawca: ISA Sp. z o.o.

Tłumaczenie: Marek Pawelec

Korekta: Sylwia Sandowska-Dobija

ISBN: 3-7418-082-X

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Podziękowania](#)

[Notka dla czytelników](#)

[ROZDZIAŁ PIERWSZY](#)

[ROZDZIAŁ DRUGI](#)

[ROZDZIAŁ CZWARTY](#)

[ROZDZIAŁ PIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ SZÓSTY](#)

[ROZDZIAŁ SIÓDMY](#)

[ROZDZIAŁ ÓSMY](#)

[ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ DZIESIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ JEDENASTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUNASTY](#)

[ROZDZIAŁ TRZYNASTY](#)

[ROZDZIAŁ CZTERNASTY](#)

[ROZDZIAŁ PIĘTNASTY](#)

[ROZDZIAŁ SZESNASTY](#)

[ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY](#)

[ROZDZIAŁ OSIEMNASTY](#)

[ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY](#)

Dedykacja

Dla Kathleen i Davida

Non omnis moriar

Podziękowania

Jak zwykle muszę podziękować za pomoc wielu ludziom. Część z nich woli, aby ich nazwisk nie wymieniać. Wiecie, o kogo chodzi, i wiecie, że was doceniam. Davidowi Watsonowi i Kathleen Jones dziękuję za godziny burzy mózgów i zbiór przydatnych źródeł, ale przede wszystkim za tak mocne pragnienie poznania tej historii, że przywrócili mi umiejętność opowiedzenia jej. Grupie szermierczej (Allen, Andrew, Beth, Connor, Sean, Susan, Tony, Brian itd.) dziękuję za różne porady, między innymi z zakresu kontroli uszkodzeń na lotniskowcach i charakterystyki grubych lin pod napięciem, oraz za wieczór komentarzy edytorskich, a przede wszystkim za to, że pozwolili mi rozładować napięcie przez dźganie ich mieczem. Clivowi Smithowi i Christine Joannidi dziękuję za wiedzę z zakresu fizyki i historię angielsko-greckiej rodziny handlarzy oraz najlepszy w całym centralnym Teksasie pudding Yorkshire. Tym, którzy zaglądają na moją stronę na SFFnet, jestem wdzięczna za pomysły i wsparcie (w tym przypadku szczególnie Cecylii, Howardowi, Julii, Rachel, Tomowi i Susan). Carrie Richerson dziękuję za umiejętność wyszukiwania zbyt cikliwych fragmentów opisów, mojemu mężowi Richardowi - za najgorszy kalambur w książce, naszemu synowi Michaelowi - za cierpliwość do matki pisarki, Michaelowi Fosselowi, doktorowi nauk medycznych - za inspirujące dyskusje o odmładzaniu, a Rucie Duhon za cotygodniowe dawki normalności, nawet w czasie dzikich napadów pisania.

Wszystkie pomyłki i błędy są moje, a nie ich.

Notka dla czytelników

Czytelnicy znający *Zmianę Dowództwa* zauważą, że ostatnia część tamtej książki pokrywa się czasowo z pierwszą częścią tej. Pierwszy rozdział zaczyna się po wybuchu buntu, a przed drugim morderstwem.

Nowym czytelnikom zaś może się przydać wprowadzenie.

Familie Regnant to polityczny sojusz wielkich rodzin; aktualnie zajmują one setki układów gwiazdnych. Przed stuleciami ich rodzinne milicje połączyły się, tworząc Zawodową Służbę Kosmiczną, która miała pilnować kosmicznych szlaków i bronić Familii przed atakami z zewnątrz.

W poprzedniej książce, *Zmiana Dowództwa*, długotrwałe tarcia i niepokoje w ZSK doprowadziły do wybuchu buntu w części Floty.

Buntownicy zaatakowali planetę szkoleniową Floty, Copper Mountain, i uwolnili część skazańców ze ściśle pilnowanego więzienia na samotnej wyspie, a resztę zmasakrowali. Zamierzali również przejąć placówkę badawczą pracującą nad nowym uzbrojeniem, ale lojaliści zdążyli temu zapobiec, przynajmniej chwilowo. Niestety, buntownikom udało się zniszczyć ich transportery i lojaliści zostali uwięzieni na wyspie.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Copper Mountain, Placówka Badawcza Uzbrojenia Floty

Nagi szczyt Drugiego Czubka smagał zimny wiatr. Chorąży Margiu Pardalt czuła, jak łzawią jej od tego oczy. Był już jasny dzień i wiatr dawno przegnał smród płonących samolotów. Gdzie są buntownicy? Na pewno wylądują tu, by zdobyć broń, która właśnie tutaj powstawała. Czy wiadomość, którą próbowała wysłać przy użyciu antycznej techniki, do kogoś dotarła, czy też buntownikom uda się zrealizować cały plan? I kiedy przylecą... aby ją zabić?

– To głupie – odezwał się profesor Gustaw Aidersson. W żółtej skórzanej kurtce założonej na Osobisty Kombinezon Ochronny i dziwacznej zielonej czapce na głowie wyglądał bardziej jak włóczęga niż genialny naukowiec. – Kiedy byłem dzieckiem, wyobrażałem sobie, że jestem rozbitkiem na wyspie i muszę jakoś dotrzeć do domu. Miałem tysiące pomysłów, każdy bardziej szalony od poprzedniego. Zbudowanie łodzi z ogrodowej huśtawki babki, samolotu z kolektora słonecznego czy komunikatora z miksera, kłębka sznurka, dwóch filiżanek i szydełka.

Margiu zastanawiała się, czy powinna coś powiedzieć. Nie czuła już uszu z zimna.

– No i proszę, oto tkwimy teraz na tej pięknej wyspie. Powiniennem zorganizować jakiś sprzęt do zejścia po urwisku i zbudować łódź żaglową. Wie pani, zbudowałem kiedyś żaglówkę, ale z drewna z tartaku. I nawet żeglowałem na niej i nie zatoneła. Oczywiście nie pomieściłaby nas wszystkich.

– Sir, czy nie sądzi pan, że powinniśmy wrócić do środka? – spytała Margiu.

– Chyba tak. – Ale nie ruszył się. – Tylko że na tej cholernej wyspie nie ma z czego zrobić łodzi czy samolotu. – Rzucił spojrzenie na poczerńiałe plamy w miejscach, gdzie stały ich transportery, a potem spojrzał na Margiu i kąciki jego ust wykrzywiły się w szelmowskim uśmiechu. – Kiedy źli chłopcy dysponują jedynym środkiem transportu, można zrobić tylko jedno.

– Sir?

– Skłonić ich, żeby go nam oddali – odpowiedział i ruszył do środka budynku tak szybko, że Margiu została w tyle. Dogoniła go dopiero przy drzwiach.

– Skłonić?

– To szalony pomysł, ale, na Boga, jeśli się uda, będzie świetna zabawa – powiedział. – Rozejrzał się po pokoju pełnym naukowców i wojskowych. – Słuchajcie, mam pomysł!

– Ty zawsze masz jakieś pomysły, Gussie – odpowiedział jeden z uczonych. Margiu wciąż nie potrafiła zapamiętać ich nazwisk. Wszyscy wyglądali na zmęczonych i rozdrażnionych. – Pewnie chcesz, żebyśmy zrobili samolot ze sprężyn do materaców czy czegoś podobnego.

– Nie. Myślałem o tym, ale mamy za mało materaców. Chcę, żeby buntownicy oddali nam prom.

– Co?!

Profesor zaczął im entuzjastycznie wyjaśniać swój plan. Wszyscy pozostali siedzieli i patrzyli na niego tępo.

Pierwszy zareagował major Garson.

– Tak, jedyny sposób, aby zdobyć środek transportu, to skłonić ich, żeby nam go oddali. Ale nie będzie to łatwe. Mają na górze znacznie więcej wojska niż my. Zresztą mogą nas spalić zamontowaną na promie broń.

– A więc musimy ich przekonać, że nie jesteśmy aż tak niebezpieczni – stwierdził profesor.

Ściągnął czapkę i wcisnął ją do kieszeni. Jego rzadka siwa grzywka pozlepiała się w tłuste pasma.

– No właśnie, czy oni wiedzą, ilu nas tu przyleciało? – zapytała Margiu. – Nie wiedzą, czy transportery były pełne, prawda? Vinet nie zdążył im wysłać żadnej wiadomości.

– Racja. I poza strzelaniną wczoraj w nocy przeważnie byliśmy ukryci. Ale byłiby głupi, gdyby przylecieli tu bez zachowania środków ostrożności – rzekł major Garson. – Nigdy nie należy liczyć na głupotę przeciwnika.

– Przypuścimy – kontynuował profesor – że używając radia Margiu, wyślemy im niby przypadkowe informacje. Spróbujemy się z nimi skontaktować, udając buntowników walczących z naukowcami...

– Nie, czekaj! – przerwał mu chudy człowieczek z gęstymi czarnymi włosami. Margiu przypomniała sobie, że ma na imię Ty. – Słuchajcie, oni wiedzą, że to lojaliści mają radio. Moglibyśmy wysłać transmisję z błaganiem o pomoc, mając nadzieję, że dotrze na kontynent. A potem przerwać. I jakąś godzinę później znowu wysłać wiadomość, udając buntowników, a potem...

– Skąd buntownicy mieliby wiedzieć, jak używać tego sprzętu? – zapytał Garson. – Ludzie szkoleni we Flocie nie znają takiego sprzętu, chyba że zetknęli się z nim gdzie indziej, tak jak chorąży Pardalt. Zresztą te urządzenia są zbyt delikatne, by nie zostały zniszczone w strzelaninie.

– Moglibyśmy powiedzieć przez radio, że jesteśmy lojalistami – zaproponowała Margiu. Pozostali spojrzeli na nią ze zdziwieniem. – I prosimy o pomoc z kontynentu, tak jak on zasugerował – wskazała na Ty. – Ale pomoc oczywiście nie nadchodzi. Jesteśmy coraz bardziej zdesperowani... Mówimy o wyłapywaniu nas przez buntowników, o ludziach zabitych w eksplozjach samolotów, a' potem o braku jedzenia. Buntownicy mają wszystkie zapasy...

– Tak! To dobry pomysł – pochwalił ją profesor. – I przenosimy nadajnik z miejsca na miejsce, więc jeśli będą śledzić sygnał, dojdą do wniosku, że próbujemy pozostać w ukryciu, a potem zabierzemy go pod ziemię.

– Będziemy musieli udawać wroga – rzekł major. – Wystarczy do tego drużyna. Mamy miejscowe mundury... Mamy lokalne komunikatory... tylko ludzie muszą się odpowiednio zachowywać.

– No dobrze, ale co zrobimy, jeśli zdobędziemy prom? Zawsze mogą nas zestrzelić, zanim dokądkolwiek dolecimy.

– Nie tak łatwo, jeśli przylecą na dół promem szturmowym, sir – powiedział jeden z neurowspomaganych marines. – Są opancerzone i bardzo łatwe do manewrowania.

– I tu pojawia się pytanie: kto będzie go pilotował?

– Ja mam licencję na promy – odezwał się jeden z pilotów. – Ken nie, ale Bernie też może.

– Jeśli ma pan kwalifikacje do pilotowania promów szturmowych, co pan robi za sterami wodnopłatów?

– Flota ma znacznie więcej pilotów promów niż wodnopłatów. – Pilot rozłożył ręce. – Tylko kilku z nas grzebie się w staromodnym sprzęcie.

– Bob, a co z Zedem?

– Na promie szturmowym? Żaden problem, Gussie. Zmieści się i będziemy mogli go użyć. Jak już mówiłem, mógłby ukryć nawet wyspę, a co dopiero prom.

Profesor zerknął na Garsona.

– W takim razie, majorze, proszę nas podzielić na lojalistów i buntowników, dać mi trzech ludzi

z przeszkoleniem technicznym... i przygotować nam scenariusz gry.

– Będziemy musieli coś zrobić z tymi ciałami – zauważył Garson, wskazując na leżące w kącie trupy.

* * *

Margiu nigdy wcześniej nie miała do czynienia z naukowcami, dlatego na podstawie przygodowych kostek wyobrażała sobie, że są to ludzie obdarzeni ogromną inteligencją, którzy z wielką starannością zajmują się jakimiś tajemniczymi zagadnieniami. Do tego powinni być samotni, żeby nic ich nie rozpraszało, poważni, trzeźwi i roztargnieni.

A tymczasem oni zachowywali się jak przedszkolaki, tracili cenny czas na odgrywanie jakiejś niezrozumiałej gry, śpiewanie piosenek, opowiadanie kalamburów i rzucanie obelg, co kilka chwil przerywane wybuchami śmiechu.

– No dobrze, więc pozwolimy im sprowadzić na dół statek i zabierzemy się stąd?

– Będziemy mieli na pokładzie Zeda. Nie zobaczą nas.

– Zobaczą w miejscu, gdzie byliśmy, przesuwającą się dziurę – powiedział Swearingen. – W atmosferze znacznie trudniej jest cokolwiek ukryć.

– Nie z Zedem – odpowiedział Helmut. – Rozwiązaliśmy już ten problem. Rzecz w tym, że wszystko, czego im potrzeba, to tylko trafić w linię na przedłużeniu naszego kursu, a ponieważ my będziemy musieli lecieć w stronę kontynentu...

– Czemu? – zapytał profesor. Znalazł szafkę ze słodyczami i właśnie wgryzał się w czekoladę. – Możemy lecieć zygzakami. – Ale nie w nieskończoność. Gdzieś będziemy musieli wylądować.

– Może tak, a może nie. Przypuśćmy, że pomyślą, iż nastąpił wybuch czy coś takiego. Moglibyśmy wyrzucić z tyłu fajerwerki...

– Och, daj spokój, Gussie! Fałszywy wybuch w celu ukrycia trasy ucieczki pojazdu to najstarsza w dziejach sztuczka. – Swearingen wyglądał na zdeglustowanego.

– Ale to działa – stwierdził profesor. – Musimy tylko odwrócić ich uwagę na tak długo, by zmienić kurs. Dwa punkty – miejsce startu i miejsce wybuchu – tworzą prostą. Jeśli nie będzie nas na przedłużeniu tej linii, nie będą mieli pojęcia, gdzie jesteśmy.

– To śmieszne! To pomysł prosto z filmów. Muszę się zgodzić z Helmutem...

– Jest jakiś powód, dla którego pisze się powieści właśnie w ten sposób – odpowiedział profesor.

– Tak, pisze się je dla głupich ludzi lub ignorantów, żeby trzymać ich z dala od naszej pracy. Czy możesz podać choć jeden przykład z życia – nie z twojej pseudohistorii – że ktoś spowodował fałszywą eksplozję i uciekł pojazdem, o którym przeciwnik myślał, że został zniszczony?

Profesor zamrugał gwałtownie kilka razy.

– W historii wojskowości jest mnóstwo podstępów...

– Nie chodzi o podstęp, Gussie, ale o ten wiekowy pomysł z udawanym wybuchem silnika statku czy czegokolwiek innego.

– Kiedy komandor Heris Serrano była jeszcze porucznikiem – odezwała się zniecierpliwiona Margiu – wysłała platformę z uzbrojeniem w zasięg obrony przeciwnika, a jej wybuch na tak długo oślepił czujniki, że umożliwił przelot jej statku. A Brun Thornbuckle w czasie trwania akcji ratunkowej wysłała prom jako fałszywy cel, a sama wylądowała na stacji orbitalnej.

– Widzicie? – powiedział profesor. – Wiekowy pomysł wciąż działa. – Zadziała jeszcze lepiej, jeśli będą zajęci zastanawianiem się nad czymś innym – powiedziała Margiu.

– Nad czym? – zapytał ktoś.

– To może być cokolwiek, ponieważ macie rację, że jeśli zobaczą, jak prom startuje, a potem znika, a następnie coś wybuchu, będą bardzo podejrzliwi.

– Czyli nie możemy zniknąć wcześniej niż tuż przed wybuchem. – Mamy Zeda, ale sterowanie nie jest aż tak precyzyjne. Jeszcze nie.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza. Potem odezwał się jeden z pilotów. – Słuchajcie, prom będzie miał działający komunikator, prawda? Ci faceci będą chcieli mieć kontakt z załogą promu.

– No tak...

– A więc będziemy kontynuować nasze przedstawienie na promie. Powiedzmy... że będziemy rozmawiać o zdobytej broni, że próbujemy zobaczyć, jak ona działa.

– Nie uwierzą, że ich ludzie zrobiliby coś tak głupiego.

– Naprawdę?

– Ale... – Wszyscy odwrócili się w stronę Margiu. Czują, jak w jej umyśle pomysły szumią jak pęcherzyki w gotującej się wodzie. – Przypuśćmy, że buntownicy... to znaczy ci nasi... powiedzą, że uwięzili też naukowców... przesłuchiwali ich... i dowiedzieli się, że jedno z urządzeń służy do ukrywania statków. I chcą je wypróbować, żeby przekonać się, czy naprawdę działa.

– To wyjaśniłoby nasze zniknięcie. Bardzo dobrze, Margiu!

– Uważam, że wciąż będą podejrzliwi. – Profesor westchnął i potarł łysinę. – Ale pewnie masz rację. A więc nasi „buntownicy” przesłuchują naukowców... – Podniósł głos do falsetu. – Proszę, nie bijcie mnie Powiem wam wszystko...

– Dobry Boże, Gussie, a cóż to za archaiczny akcent?

– Nie wiem, słyszałem to na jakiejś taśmie lata temu. Nie przerywaj mi. A więc naukowcy zachowują się jak przerażone ofiary; może będzie to słycać przez komunikator. I włączą Zeda, który zadziała...

– Wciąż jest to przezroczyste jak szkło – zauważył Bob.

– Więc je zarysujemy. TAK! – Profesor podskoczył i zatańczył w koło. – Tak, tak, tak! Genialne. Trzeszczenie jak na starych nagraniach, w antycznym radiu... przerwy...

– Co? Do diabła, Gussie, to poważna...

– Ja mówię poważnie. Po prostu chwilowo oszołomił mnie mój własny geniusz. I twój oraz Margiu. – Uspokoił się, wziął głęboki oddech i zaczął im wyjaśniać. – Zrobimy tak: normalny start, groźby buntowników, przerażenie naukowców. I wtedy, kiedy włączamy włączymy – Zeda, on nie będzie działał w ciągły sposób. Jakby... jakby przerywał. Usłyszą kłótnię... kolejne groźby... żałosne prośby, przekleństwa pod adresem jakiegoś durnia, który... no nie wiem, kopnął kabel zasilający czy coś takiego. Prom jest, potem znika, potem znowu jest... ale ciągle na tym samym kursie. Wreszcie w tle ktoś krzyczy: „Ostrożnie, uważaj, nie przeładuj go, nie został zaprojektowany do...” i wtedy następuje wybuch i zmiana kursu.

Tym razem cisza trwała długo; wszyscy przetrawiali to, co powiedział profesor. Ten przetarł chustką twarz i głowę, po czym wcisnął wilgotną chustkę do kieszeni.

– To wyjaśniłoby wszystko – odezwał się w końcu Swearingen. – Dałoby im więcej do myślenia, stwarzałoby więcej komplikacji.

– Będą też mieli więcej informacji – zauważył Bob. – Ale wszystkie są fałszywe. To może się udać.

– A więc potrzeba nam teraz czegoś, co zrobi duże bum, tak żeby wyglądało to na skanerach na orbicie jak wybuch promu... i żebyśmy mogli odlecieć wystarczająco daleko, żeby eksplozja nie zrobiła nam krzywdy.

– Tak, potrzebujemy czegoś takiego.

Grupa rozdzieliła się na niniejsze grupki. Margiu, przyzwyczajona do bezpośrednich rozkazów i jasnych instrukcji, czuła się porzucona, idąc za profesorem jednym korytarzem za drugim. Czy idąc zająć się pracą? I co pomyśli sobie major Garson, widząc ją, jak kręci się beczynn timer i przygląda komuś, kto nie bardzo orientuje się w tym, co robi.

Ale wkrótce przekonała się, że się myli. Po szybkim obejściu naziemnych pomieszczeń kompleksu profesor odnalazł majora Garsona i zaczęli uzgadniać, gdzie co należy umieścić. Jak się okazało, Garson zdążył już przydzielić żołnierzom role; neurowspomagani marines mieli być buntownikami.

– Jeśli dowiedzą się, że NEMowie są buntownikami – wyjaśnił – uwierzą, że lojaliści mają poważne problemy. Ponadto trudno zauważyć rysy twarzy, gdy mają na sobie kombinezony z maskami.

Margiu spojrzała na siedzących w pomieszczeniu marines; połowa z nich przyczepiała do kombinezonów dziwne plakietki. Jeden z nich uśmiechnął się do niej.

– Buntownicy to starzy kumple Lepescu – wyjaśnił. – Odcinają swoim ofiarom uszy. Więc... pomyśleliśmy, że użyjemy plakietek w kształcie uszu jako znaku rozpoznawczego. – Wsunął z powrotem do kieszeni tubkę kleju.

– Proszę ze mną, chorąży – powiedział profesor i Margiu poszła za nim, oglądając się raz po raz na marines. Miała nadzieję, że oni w rzeczywistości jednak są lojalistami.

Dwanaście godzin później cała sytuacja zdawała się jeszcze bardziej nierealna. Co jakiś czas Margiu wraz z profesorem spotykała się z Garsonem i żołnierzami i przebiegali szybko z jednego budynku do drugiego; zgodnie z planem Garsona byli lojalistami uciekającymi przed „buntownikami”, którzy strzelali do nich – zdaniem Margiu zbyt blisko – i rozbijali wszystkie okna na wysokości ziemi. Głęboko w podziemiach, za zamkniętymi drzwiami, naukowcy i pozostali żołnierze ustawiali skrzynki, cylindry, kable i różne inne rzeczy wyglądające jak wyjęte ze śmietnika.

W drodze przez teren warsztatów profesor zatrzymał się i pokręcił głową nad plandekami użytymi do osłonięcia ładunków.

– Szkoda, że zniszczyli te wodnopłaty – powiedział. – Można by z tego zrobić wspaniałe żagle, a z kadłubów samolotów moglibyśmy zrobić statek.

– Nie, nie moglibyśmy – powiedział z naciskiem Swearingen. – Już widzę, Gussie, jak podnosimy żagle na czymś zmontowanym do kupy za pomocą kleju i włosów z twojej brody, która zresztą nie jest nawet wystarczająco długa, by upieść z niej liny.

– Liny... – powtórzył profesor z mętniejacymi oczami, a to, jak już Margiu wiedziała, oznaczało, że mężczyzna namyśla się. – Żeby to zadziało, będziemy potrzebowali naprawdę dobrego kabla.

– W transporterach były liny – powiedział jeden z pilotów. – Ale teraz...

– Części zapasowe – zauważył inny. – Musieli tu gdzieś trzymać części zapasowe. – Rozejrzał się po pomieszczeniu, w którym właśnie byli, ale zobaczył tylko zupełnie nagie ściany.

– Do czego ma być ta lina, Gussie? – zapytał jeden z naukowców.

– Do holowania materiału wybuchowego – wyjaśnił profesor. – Nie możemy go po prostu wyrzucić... bo eksplodowałby tuż poniżej naszej ostatniej pozycji. Musimy go holować...

– Z tyłu, za promem szturmowym – dokończył pierwszy z pilotów. – Zaczynam żałować, że mam uprawnienia do prowadzenia promu.

– To się da zrobić – stwierdził drugi. – Kiedyś Ćwiczyłem zrzucanie sprzętu za pomocą liny statycznej. Czujesz lekkie szarpnięcie... i już jest po wszystkim

– Dobrze, ty możesz wtedy sterować – rzekł pierwszy pilot.

– Martwi mnie – odezwał się kolejny z naukowców – analiza spektralna wybuchu. Jeśli mają tam kogoś dobrego, a musimy założyć, że tak jest, będą spodziewać się w wyniku eksplozji fragmentów promu. Zaproponowaliście, żebyśmy użyli części testowanej tutaj broni, i z pewnością da nam to dostatecznie duże bum, ale nie uzyskamy charakterystycznej dla promu sygnatury. Kiedy zdadzą sobie z tego sprawę, będą wiedzieli, że wciąż tu jesteśmy.

– Co byłoby do tego potrzebne? – zapytał Garson. – Nie możemy po prostu wyrzucić tratw ratunkowych czy czegoś takiego?

– Nie, chodzi o sam wybuch. Mogą się spodziewać różnic, bo wiedzą, że na promie jest jakiś nowy sprzęt, ale w przypadku eksplozji samego promu byłaby znacząca sygnatura chemiczna. Na przykład uzbrojenie promu powinno eksplodować razem z nim.

– Czemu więc po prostu nie dodamy do ciągniętego ładunku platform z uzbrojeniem? – zapytała Margiu. Wszyscy znieruchomieli i popatrzyli na nią.

– Oczywiście! – Jak zwykle pierwszy zareagował profesor. – Czy nie mówiłem, że rudowłose są naturalnymi geniuszami? – rzekł rozpromieniony.

– Ale wtedy zostaniemy bez broni – odezwał się Garson.

– Przecież i tak nie zamierzaliśmy walczyć – odpowiedział profesor. – Używamy promu tylko jako środka transportu. Wiadomo, że nie możemy nim pokonać okrętu bojowego.

Garson zastanawiał się przez dłuższą chwilę. W końcu kiwnął głową.

– No dobrze. To ma sens, ja po prostu... Nie podoba mi się pomysł pozbycia się broni. Ale jak powiedzieliście, bardziej nam się przyda do tego, żeby pokazać, że nas tam nie ma. Dodam to do listy priorytetów, gdy tylko dostaniemy się na pokład. Ale pamiętajcie, żeby zabrać dodatkowe palety i liny.

* * *

Prom szturmowy ostrożnie obleciał wyspę dookoła. Jego pokładowe skanery mogły ją obserwować z odległości, z jakiej był niedostępny dla lekkiej broni. Zebrani na lądowisku neurowspomagani marines trzymali pod bronią małą grupkę naukowców i pilnowali stosu palet z ładunkiem. Prom wykonał kolejne podejście, tym razem zrzucając pakiet komunikacyjny. Dowódca NEMów podniósł goi włączył. Margiu słyszała, co mówił, ale nie docierała do niej odpowiedź załogi promu.

– Nie... Bazowaliśmy na kontynencie, w Wielkich Drzewach... i czekaliśmy, ale wzięli nas na tę misję. Tak... Nie. Nie, zginął w czasie pierwszej strzelaniny. Mamy jego ciało, jeśli chcecie. Mam jego uszy...

Prom po raz kolejny zawrócił i osiadł na lądowisku. Margiu nie zdawała sobie sprawy, że promy są takie głośne; nie słyszała niczego poza jego rykiem. Otworzył się potężny właz i ze środka

wyszło pięciu ludzi z bronią gotową do strzału. Zaraz za nimi pojawiła się kolejna piątka osłaniająca perymetr.

Marines pomachali do nich; nowo przybyli odpowiedzieli tym samym i zaczęli się zbliżać. Kiedy stwierdzili, że wszystko jest w porządku, przenieśli uwagę z „buntowników” na naukowców i ich sprzęt. Margiu zaczęła przelatywać po kanałach komunikatom kombinezonu próżniowego, aż wreszcie znalazła aktywny.

– Macie ich wszystkich?

– Poza martwymi – odpowiedział jeden z marines. – Słuchajcie, musimy wciągnąć to wszystko na pokład... a w środku jest jeszcze jeden pakiet. Ilu macie ludzi?

– Osiemnastu. Spieszyliśmy się...

– W takim razie chodźcie. – Połowa NEMów odwróciła się, jakby kierowali się z powrotem do środka budynku, a pozostali dalej pilnowali schwytanych naukowców.

– Barhide, zejdźcie tu – nakazał jeden z nowo przybyłych. Na rampie promu pojawiło się jeszcze ośmiu ludzi.

Ci byli znacznie mniej ostrożni i mieli broń przewieszoną przez plecy.

– Będziemy musieli załadować resztę ładunku – powiedział jeden z nich i ktoś na pokładzie promu – Margiu miała nadzieję, że pilot – nakazał im się pośpieszyć.

Ponieważ jej zadaniem była ochrona profesora, nie brała udziału w krótkim, brutalnym starciu, do jakiego doszło zaraz potem, kiedy marines i pozostali lojaliści zaatakowali buntowników, zabijając ich, a rzekomo zbuntowani marines pogonili naukowców w stronę promu, rozmawiając głośno przez aktywne mikrofony. Cała akcja trwała niecałe dwie minuty i nie było jej widać z góry. Margiu wyczołgała się ze swojego kombinezonu próżniowego i wsunęła w szary kombinezon zabitego wroga, po czym jeden z marines odciągnął go za nogi na bok. Potem założyła na głowę hełm, aby ukryć charakterystyczne rude włosy, i ruszyła spokojnie przez pas startowy.

Ładunek posuwał się wolno w górę rampy, a zajmujący się nim naukowcy zaczęli głośno narzekać, jak bardzo jest niebezpieczny, że może ich wszystkich wysadzić w powietrze i że powinni być ostrożni. Marines poszturchiwali ich bronią, naukowcy się kulili, a Margiu trudno było uwierzyć, że to wszystko jest tylko na pokaz.

Po dotarciu na prom Margiu i pozostali zajęli się, pod kierunkiem naukowców, zamocowywaniem ładunku. Kątem oka dziewczyna dostrzegła, jak któryś z pilotów wygląda z kabiny.

– Długo jeszcze?! – zawołał.

– Powiedzieli, że to może nas wysłać w kosmos, jeśli zacznie się trząść w trakcie lotu – odpowiedział sierżant marines. – Poza tym jest ciężkie...

Pilot wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Dobra, dobra, tylko się pośpieszcie. Skoro już o nas wiedzą, admirał chce jak najszybciej odlecieć.

Margiu odwróciła głowę, żeby wyraz jej twarzy nie zdradził zbyt wiele. A więc jej plan się udał. Już niedługo Flota dowie się, co się dzieje na Copper Mountain. I jeśli nawet dzisiaj będzie musiała zginąć, jednak coś osiągnęła.

Kiedy wciągnęli i zamocowali cały sprzęt, jeden z marines przekazał sygnał pilotom promu. Margiu nie słyszała, co powiedział, ale nagłe szarpnięcie świadczyło, że ruszyli. Ich piloci, ubrani w mundury buntowników, stali blisko przodu, gotowi przejąć stery, gdy tylko osiągną dostateczną

wysokość i będą gotowi do użycia sprzętu maskującego.

* * *

Lecieli w powietrzu może dziesięć minut – w dole pomarszczone niebieskie morze zmieniło się w nieostry niebieski dywan – kiedy major Garson precisnął się obok palet z ładunkiem na przód promu. Zamienił kilka słów z sierżantem marines, a potem z czekającymi pilotami. Margiu poczuła ucisk w żołądku. Zerknęła na profesora, który się uśmiechał. Zaczęła się zastanawiać, czy kiedykolwiek się bał, czy też może nieustanny napływ szalonych pomysłów chronił go przed strachem.

W kabinie pilotów mógł się zmieścić tylko jeden marine, ale dzięki opancerzeniu był bezpieczny, gdyby piloci mieli ze sobą broń.

NEM wszedł do kabiny pilotów, a zaraz za nim ruszył pierwszy z pilotów lojalistów. Margiu objęła uchwyt; ostrzeżono ich, żeby na wszelki wypadek wszyscy mocno się trzymali. Wołała się nie zastanawiać, na wypadek czego.

Przód promu opadł gwałtownie i żołądek podskoczył Margiu do gardła. Co się tam dzieje? Po chwili prom wyrównał lot, po czym znów zaczęli spadać. Mocno zacisnęła szczęki i przełknęła ślinę, aby nie zwymiotować. Ktoś inny nie miał tyle szczęścia. Wyobraźnia podsuwała jej kolejne scenariusze: piloci buntowników próbują rozbić prom, piloci lojalistów usiłują im w tym przeszkodzić, załoga skanerów reaguje na chaotyczne ruchy promu żądaniem nadesłania informacji... Prom znowu łagodnie wyrównał lot.

Drzwi kabiny otworzyły się i ze środka wyrzał jeden z ich pilotów.

– Chciał popełnić samobójstwo – powiedział niepewnym głosem. – Ale sytuacja jest już pod kontrolą.

– Na swoje miejsca – rozkazał profesor. Margiu precisnęła się na tył promu, skąd miała doskonały widok na całą akcję.

To, co oglądała, przypominało jej kostkę przygodową, i choć znała scenariusz i miała świadomość, że rozmowa była udawana, to nie wystarczyło, by się nie martwić.

Może buntownicy nie dadzą się nabrać na to przedstawienie? Może szybko zrozumieją, że rozmowy między rzekomo zbuntowanymi marines i krzyki naukowców są zbyt nienaturalne, by mogły być prawdziwe? Że nieregularne znikanie promu i pojawianie się na skanerach musiało być zaplanowane? A już z pewnością to rozumieją, gdy prom ostatecznie zniknie i dojdzie do wybuchu. Zerknęła na profesora, który tylko kiwał głową i krzywił się do „aktorów”.

A jeśli buntownicy mają tu podgląd optyczny? Profesor zdecydowanie zbyt dobrze się bawił jak na naukowca schwytanego przez buntowników i zmuszonego do zdrady. Może załoga stacji przygląda się im, płacząc ze śmiechu, i czeka na odpowiedni moment, aby ich zniszczyć?

Ale przedstawienie trwało dalej bez zakłóceń; wszystko wskazywało na to, że publiczność porzuciła początkową nieufność. Dwóch naukowców odsłoniło urządzenie i podpięto do niego jakiś panel sterujący. Na znak profesora zaczęli włączać i wyłączać urządzenie. Prom powinien zniknąć, powrócić, potem znów zniknąć, i tak kilka razy. Margiu próbowała się odprężyć. Jej zadaniem było zasygnalizowanie, kiedy należy wypuścić linę z platformą obciążoną materiałami wybuchowymi i bronią.

– Zed jest włączony. Wypuście to! – Klepnęła w ramię bosmana przy wyciągarce, a ten otworzył właz i zwolnił dźwignię. Dziób promu podskoczył w górę i ładunek wysunął się, ciągnąc za sobą zwój liny.

– Zed włączony? – zapytał Garson.

– Włączony – potwierdził Swearingen. – Jesteśmy – powinniśmy być – całkowicie niewidzialni, a generowany komputerowo skan wypełni dziurę po nas.

Za nimi błysnęło światło... Pierwszy wybuch. Potem, mniej więcej w chwili, gdy resztki powinny dotrzeć do oceanu, nastąpił drugi wybuch. Fala uderzeniowa aż podrzuciła prom do góry.

– To zapaskudzi im skanery przynajmniej na trzydzieści sekund – stwierdził jeden z naukowców.

* * *

Prom leciał dalej nad oceanem, gdzie zdaniem naukowców generowane komputerowo wypełnienie mogło najlepiej zadziałać. Mieli na pokładzie dość paliwa, by okrążyć planetę, ale – jak zauważył Garson – wszystkie lotniska miały załogę i wciąż mogły dysponować nie uszkodzonym sprzętem komunikacyjnym. Niezależnie od tego, czy będą to buntownicy, czy lojaliści, ktoś z pewnością zauważy przybycie promu szturmowego, a jeśli sami spróbują nawiązać łączność, zostaną wykryci z orbity.

– Musimy założyć, że używają satelitów obserwacyjnych. Jeśli wyłączymy Zeda, natychmiast staniemy się widoczni. I narażeni na atak. Tym promem możemy wylądować praktycznie wszędzie, w końcu do tego służy prom szturmowy.

Niemal po drugiej stronie planety od głównej bazy Copper Mountain z błękitu morza wyłaniał się archipelag skalistych wysp. Dużych i małych, nierównych, porośniętych trawą i drzewami. Wykorzystywano je do sporadycznego ćwiczenia lądowania promów. Piloci przelecieli nisko nad kilkoma z nich, aż zauważyli coś, co przypominało strumień. Wyspa była znacznie większa od Wysp Czuby, z płytą trawiastą kotlinką na skraju niskiego urwiska. Piloci osadzili pionowo prom i wreszcie mogli odpocząć.

Szeroka polana poznaczona była plamami cienia rzucanymi przez sterczące z trawy skały. W górze przesuwawa się chmura, gładka od nawietrznej i poszarpana z drugiej strony. Za nią, daleko nad oceanem, widać było przesuwające się wolno po niebie cumulusy.

– To duża wyspa, ale jednak tylko wyspa – stwierdził profesor. – No, ale przynajmniej jesteśmy tu bezpieczni na wypadek sztormu.

Teraz, gdy już nie musieli prowadzić nieznanego im promu, piloci zaczęli sprawdzać, czy osłona Zeda nie została przebita od środka.

Po jakiejś godzinie jeden z nich wyszedł z wnętrza promu.

– Odlatują, wszyscy odlatują! – krzyknął do pozostałych. Żołnierze podeszli bliżej.

– Jest pan pewien? – zapytał Garson.

– Jeśli ten sprzęt maskujący nie fałszuje obrazu rzeczywistości, właśnie cała flotylla leci w stronę punktu skokowego.

– Czas na wykonanie skoku?

– Mają jeszcze kilka godzin do osiągnięcia bezpiecznej dla mikroskoku odległości. – Pilot wyszczerzył zęby. – Ale za kilka minut wyjdą poza zasięg skanerów, zasłoni ich planeta.

– Prawdę mówiąc, zacząłem się zastanawiać, czemu odlatując, nie zbombardowali planety – odezwał się profesor.

– Bo mają tu na dole więcej sojuszników? – spytał Garson.

– Być może – odpowiedział profesor. – Czy są tu jakieś zasoby, które ich interesują, mimo że ich zdaniem wszystko, co było związane z naszym laboratorium, przepadło? A może będą chcieli,

żeby planeta była później ich bazą?

– Gdy tylko znikną, możemy polecieć do głównej bazy, prawda? – zapytał Swearingen.

– Gdybyśmy zbudowali drewniany statek, byłoby go trudniej wykryć konwencjonalnymi metodami i moglibyśmy pożeglować...

– Gussie, nie zamierzam dogadzać twojemu zamiłowaniu do historii i budować z tych drzew żaglowca – zaprotestował Swearingen. – One nawet nie są proste.

– I właśnie dlatego moglibyśmy ich użyć. Spójrz na nie, już są ukształtowane jak stępki, wręgi i cała reszta. Jestem pewien, że Margiu uważa to za dobry pomysł. – Profesor posłał Margiu szeroki uśmiech, któremu trudno było się oprzeć, ale dziewczynę przeraziła myśl o żeglowaniu przez ocean ręcznie robionym statkiem.

– Spójrz na nią – powiedział ktoś. – Przestraszyłeś ją, Gussie.

– Mamy sprawny prom – stwierdził Garson. – Musielibyśmy być szaleni, żeby go nie wykorzystać.

– No dobrze. – Profesor poddał się z wyraźnie nadaśaną miną. – Ale pozbawiamy się całego uroku.

– Odlecimy, gdy znajdą się poza zasięgiem skanerów bliskiego zasięgu, i skierujemy się do głównej bazy – oznajmił Garson. – Mogą nas tam potrzebować.

– Pewnie nie zgodzi się pan zatrzymać na jakiejś tropikalnej wyspie na odrobinę odpoczynku?

– Ma pan tutaj tropik, profesorze. Niech pan się tym cieszy, póki może – odpowiedział major.

– Nie umie się pan bawić – rzekł profesor, ale nie wyglądał na rozczarowanego. Odszedł, by się przyjrzeć zagajnikowi powykręcanych drzew.

– Lepiej jak najszybciej stąd odlećmy – powiedział Garson – bo jeszcze uzna, że powinniśmy z tych drzew zrobić kusze i włócznie.

– To za proste – odpowiedział Swearingen. – Będzie wolał trebusze, balisty i kilka szybowców.

ROZDZIAŁ DRUGI

Favoured-of-God, statek kurierski Terakian i Synowie

Goonar Terakian patrzył na otrzymaną przed chwilą wiadomość i trudno mu było oddychać. Bunt, upadające rynki... a on chciał tylko spokojnie zapracować sobie na stanowisko kapitana na jednym ze statków Terakianów.

– Jesteśmy wolnymi kupcami – powiedział do samego siebie. – Nie jesteśmy po niczyjej stronie.

– Niezupełnie. – Basil Terakian–Junos oparł się o przeciwległą ścianę. – Nie podoba mi się handlowanie z milicją Nowego Teksasu. Hazel mówi...

– To kolejna sprawa – przerwał mu Goonar. – Hazel. Weszliśmy w jej rodzinę, która nie chce mieć z nami nic wspólnego.

– A czego my chcemy?

– Cóż, na pewno nie chcemy wojny – stwierdził Goonar. – Chcemy zarabiać na życie, tak samo jak wszyscy inni

– Nie tak samo. Na dobre życie, a wojny czasem pozwalają kupcom zarobić.

– Cóż, jeśli ich od razu nie zabiją. Chcemy ochrony naszej własności. Stabilizacji ekonomicznej, żebyśmy mogli polegać na naszych kredytach i gotówce.

– „Czasy wojny dają największe zyski” – zacytował Basil.

– Tak, podobnie jak i straty.

– Pytanie brzmi, która strona oferuje lepsze warunki.

– Pytanie brzmi, co rozumiemy przez lepsze warunki.

– To nie nasza decyzja, Goonar. Nasi ojcowie...

– Nie będą musieli ponosić skutków swoich decyzji. A my tak. Dlatego nie zamierzam stać z boku i przyglądać się, jak nas rujnują.

– Kaim jest jednym z nas.

– Kaim jest szalony. Obaj o tym wiemy. Tak, buntownicy są teraz silni, ale nie chciałbym prowadzić z nimi interesów, w każdym razie nie na dłuższą metę.

– A co z... – Basil wskazał kciukiem na odległą ścianę.

– Czarną Szramą? Chciałbyś się zadawać z Czarną Szramą?

– Może, ale bardzo ostrożnie.

– Ja nie. Nie mam wystarczająco długiego kija.

– Jeśli Familie się rozpadną...

– Nie stanie się tak, jeśli się postaramy.

– My?

– Wszyscy prawdziwi ludzie. Kupcy, producenci, zwykli ludzie. Goonar czuł, że to niedorzeczne określać Terakiana i Synów Ltd. jako zwykłych ludzi, ale nie chciał, aby rozbawienie odbiło się na jego twarzy. Lepiej jeśli Basil nie będzie o tym zbyt długo myślał.

– W tej chwili – powiedział, stukając w ekran z manifestem – musimy zająć się ładunkiem i klientami. Sytuacja się nie poprawi, jeśli zaczniemy przepowiadać upadek.

– Powiedziałeś to jak człowiek, który chce zostać kapitanem – stwierdził Basil tylko częściowo żartem.

– A ty nie? – Goonar przekrzywił głowę. Ich ostatnia transakcja przyniosła solidny zysk. Obaj z Basilem dostali premie, a on pierwszy raz umieścił swoją w kapitańskiej puli.

– Chcę, ale kapitan zawsze musi myśleć perspektywicznie, a wiesz, kuzynie, że czasem znacznie bardziej skupiam się na obecnej chwili.

To prawda, ale Basil pierwszy raz się do tego przyznał.

– Wolałbym raczej zostać twoim zastępcą partnerem; ty mnie uspokajasz, a ja nie pozwalam ci być nudnym.

– Nie jestem nudny – odpowiedział Goonar, próbując ukryć zadowolenie z przyznania się Basila, że nie chce z nim konkurować o stanowisko kapitana.

– Byłbyś nudny – stwierdził Basil – gdybym ci od czasu do czasu nie dokopał. Powiedziałem to Ojcom dwa dni temu.

To znaczy, że Goonar jest trzeci w kolejce i że wysłanie premii pieniężnej do kapitańskiej puli było jeszcze lepszym pomysłem niż sądził. Kapitanowie musieli mieć udziały w statkach, i od lat na to oszczędzał, starannie inwestując swoje pieniądze.

– Stworzymy dobry zespół – powiedział, przyjmując propozycję Basila.

– Już nim jesteśmy.

Gdy wreszcie zajęli się manifestem, do drzwi zapukał jeden z urzędników.

– Goonarze, masz wiadomość od Ojców.

– Dzięki. – Wziął zapieczętowaną przesyłkę – dwa poziomy poniżej najwyższego stopnia tajności – i otworzył ją odciskiem kciuka. Spojrzał na pierwszą linijkę i poczuł, że się czerwieni. – Basil!

– Co jest, dostałeś statek?

– Wiedziałeś!

– Nie, ale wuj sugerował mi, że coś się szykuje i że powinienem się zdecydować, czy chcę się trzymać ciebie, czy próbować walczyć o coś samodzielnie.

– To *Fortune*. – Stary *Fortune*, jeden z prawdziwych skarbów floty Terakiana i Synów, prawie idealne połączenie ładowności z manewrowością, wyposażony w pojemny dok promowy i dwa automatyczne promy towarowe. Goonar czytał dalej. – Miro... ma jakieś problemy neurologiczne, a w obecnym kryzysie politycznym nie chcą przenosić kapitanów z innych statków. Chcą, żeby ludzie trzymali się znanych im załóg i tras.

– Miro... – rzekł Basil. – Czy on się odmładzał?

– Nie mam pojęcia. Daj spokój, dobrze? Ludziom zdarzały się drgawki i dziury w pamięci na długo przed odmładzaniem. Ale... co to za skarb! Co to za statek! – Czytał dalej. – Przejmujemy regularne trasy *Fortune*, ale mam prawo wydłużać je lub skracać według własnego uznania. Muszę przekazać zgodę lub odmowę najszybszą bezpieczną drogą. Jakby ktokolwiek mógł odmówić czegoś takiego... – Znieruchomiał i spojrzał na Basila. – Dokończ za mnie to sprawdzanie manifestu, Bas, a ja pójdę wysłać odpowiedź.

* * *

Terakian Fortune to było coś więcej niż Goonar mógł sobie wymarzyć. Załoga statku przyjęła

go życzliwie, ładunek też był niezły – nie mógł stracić pieniędzy, chyba że zacząłby je wyrzucać przez służbę – a pierwsze dwa przystanki poszły tak gładko, że Basil zdołał go namówić na zatrzymanie się na kilka dni w Fallettcie. Spotykał się tam z agentem Terakianów, jadał obiady z lokalnymi bankierami i przeprowadzał inspekcję towaru przed załadunkiem. Znalazł też odpowiedni prezent, by podziękować Ojcom, i naszyjnik dla żony Basila. Pewnego wieczoru, po dniu spędzonym na targu, Basil zaproponował pójście do teatru.

– Nie zamierzam siedzieć na jednym z tych akrobatycznych hałaśliwych festiwali – odpowiedział.

– Zobaczysz, że ci się spodoba.

– Doprawdy?

– *Narzeczone z gór*. To naprawdę dobra trupa.

– Występują na szczydach?

– Daj spokój, Goonarze. To lepsze niż siedzenie cały wieczór w hotelu.

* * *

Kurtyna podniosła się, odsłaniając wioskę i wieśniaków kręcących się po scenie i udających, że wiedzą, co robić z trzymanymi w rękach narzędziami rolniczymi. W tle widać było namalowane fioletowe góry, nie przypominające żadnej ze znanych planet.

Goonar szturchnął kuzyna w bok.

– Nawet ja wiem więcej o kosie niż ten gość po lewej.

– Ciii. – Basil rzucił mu krótkie spojrzenie. – Poczekaj.

Rozbrzmiała uwertura. Przy akompaniamencie fletów na scenie pojawiły się wieśniaczki z ramionami owiniętymi jaskrawymi szalami, i mężczyźni nabrali tchu i zaczęli śpiewać.

Urocze jak zaranna gwiazda,

Słodkie są nasze narzeczone.

Goonar musiał przyznać, że śpiewać potrafią. W każdym razie głośno. Złapał się na tym, że zaczął nucić, ale przestał, zanim Basil zdążył trącić go w ramię.

Teraz chór kobiet odpowiedział przy wtórze muzyki.

Silni jak drzewa rzucające wyzwanie niebu,

Dzielni są nasi narzeczeni.

Potem kobiety rozeszły się na boki i odsłoniły najpiękniejszą kobietę, jaką Goonar widział w życiu.

A jednak, kochani, nie pobierzemy się,

Póki nie dowiedziecie swej czystej miłości...

Obfite rudobrązowe włosy – oczywiście to mogła być peruka, ale wyglądały bardzo naturalnie – bujne kształty, choć mógł to być kostium.. Jej słodki głos wypełnił całą salę. Zdawała się patrzeć

prosto na Goonara. Jego oddech przyspieszył. Wiedział, że jest zbyt stary na takie rzeczy... ale jego ciało nie zwracało uwagi na umysł.

Przez cały pierwszy akt, w którym mężczyźni wyruszyli na niebezpieczną misję, a kobiety z sąsiedniej wioski przysły z wizytą, Goonar walczył sam ze sobą.

W drugim akcie, gdy kobiety z dwóch wiosek zamieniły się miejscami, by sprawdzić swoich zalotników, Goonar sądził, że się opamiętał. Betharnya Vi Negaro – w krótkiej przerwie między aktami zerknął do programu – znana aktorka i piosenkarka, oczywiście nie patrzyła na niego. Prawdopodobnie każdy mężczyzna na widowni miał wrażenie, że flirtuje właśnie z nim. W trakcie sekwencji tanecznej próbował wypatrzeć jakieś potknięcia. Tamta blondynka była bardziej zwinna... a ta brunetka szerzej się uśmiechała.

W długiej przerwie między drugim i trzecim aktem siedział w milczeniu. Czuł na sobie spojrzenie Basila, ale nie chciał spojrzeć mu w oczy.

– Co o niej myślisz?

– O kim?

Basil chwycił go za łokieć.

– O niej, durniu. Bethyi. Czyż nie jest wspaniała?

– To aktorka – odpowiedział Goonar, wrywając rękę. – Musi taka być. Chce ci się pić?

Basil westchnął teatralnie, a Goonar ruszył w stronę stoiska z napojami. Kiedy obaj mieli już w rękach drinki, Basil odciągnął go na bok.

– Ona leci z nami – powiedział. – Właściwie cała trupa. – Trupa aktorska?

– Wolą występować tutaj, a nie tam. – Basil kiwnął głową w tę stronę, gdzie, jak przypuszczał Goonar, znajdowała się Benignity.

– A więc... powiedziałaś, że jestem Terakianem. – A to znaczy, że ona widzi w nim tylko pieniądze i wpływy, że jej spojrzenia skierowane były na jego pozycję, a nie na niego.

– Nie, ale ona zna moją twarz. A ty... myślałaś, że patrzy na ciebie? Ton Basila zabolął go, i pewnie tak miało być.

– Nie – odpowiedział Goonar i szepnął sam do siebie: „Wiedziałem”.

W trzecim akcie, podczas rozmów między wiernymi i niewiernymi kochankami, Goonar uspokoił swoje serce i zaczął się zastanawiać, jak można najlepiej umieścić trupę teatralną i jej sprzęt na pokładzie statku. Raz nawet sięgnął do podręcznego komputera, ale powstrzymał się przed otwarciem go. Jednak zakończenie, gdy tajemniczy nieznajomy zdobywa serce wioskowej piękności, jej były zalotnik atakuje obcego i zostaje przez niego zabity, a dziewczyna musi wybierać, czy odejść, czy zostać... przykuło jego uwagę. Co wybierze? Aktorka znów zdawała się patrzeć wprost na niego – na Basila, przypomniał sobie – i znów nie potrafił nie zareagować. Była kimś, dla kogo można walczyć i w razie konieczności zabić.

Idąc po przedstawieniu ulicą, Goonar cały czas wspominał to spojrzenie. Zawsze można udawać, że było skierowane na niego.

– Chodź – pogonił go Basil. – Musimy się pospieszyć.

– Czemu? Mamy jeszcze dwa dni do odlotu.

– Już nie. Przeniosłem nas na listę odlotów.

Goonar zatrzymał się gwałtownie, nie zważając na tłum.

– Co?! Ty nas przeniosłeś?! Kto jest kapitanem tego statku?

– Goonar, proszę! Nie tutaj. Wszystko ci wyjaśnię, ale nie było czasu. Poważnie. – Basil choć raz wyglądał na zmartwionego.

Goonar ruszył, wydłużając krok, by nadażyć za Basilem. – A więc ile mamy czasu?

– Wyruszamy, jak tylko się załadują. Powiedzieli, że chcieliby jak najszybciej stąd odlecieć.

Goonar omal znowu się nie zatrzymał; miał ochotę potrząsnąć Basilem.

– Innymi słowy, będziemy przewozić uciekinierów. – Terakian i Synowie nigdy nie przewozili zbiegów. Była to przyjęta dawno temu zasada.

– Nie... oficjalnie.

– Nieoficjalnie przewozić czy nieoficjalnie zbiegów?

– Goonarze... Proszę, tylko zejdźmy z ulicy.

Goonar rozejrzał się wokół, zerknął na tablicę kolejki do kosmodromu i przyspieszył kroku.

Kolejka dowiozła ich do głównego terminalu, gdzie przeszli pierwszy poziom zabezpieczeń i weszli na pokład wewnętrznej kolejki portu kosmicznego, która zawiozła ich do prywatnych doków. Gdy tylko znaleźli się na terenie Terakianów, Goonar odwrócił się do Basila.

– Będziemy ich przewozić promem rodzinnym?

– Nie, wezmą większy prom, jeden z podwójnych... ale pomyślałem, że musimy się przygotować.

– Basilu...

– Wiem, wiem. – Basil rozłożył ręce i próbował przybrać skruszony wyraz twarzy, ale niezbyt to mu się udało. – Terakian i Synowie nie przewożą zbiegów, nie angażują się w politykę...

– Więc wyjaśnij mi to. – Goonar wystukał kod do wjazdu promu i w interkomie rozległ się głos pilota.

– Tak, sir?

– Odlatujemy wcześniej, Jas. Goonar i Basil... – Podał wymagane kody rodzinne.

– Otwieram. – Pilot otworzył wąż i Goonar wszedł do środka. Basil ruszył za nim, ale milczał aż do chwili, gdy obaj usiedli i przypięli się pasami. – Pięć promów do odprawy – powiedział pilot. – Nadlatuje tu prom dyplomatyczny Benignity i to trochę opóźnia odloty.

Goonar wbił wzrok w Basila, a ten się zaczerwienił.

– Prom dyplomatyczny Benignity. Czy to ma jakiś związek z faktem, że uciekamy z trupą śpiewaków i tancerzy z... Skąd oni są?

– Z różnych miejsc – odpowiedział Basil. – Wiesz, to taka zbieranina z różnych miejsc.

– No i? – ponaglił go Goonar.

– Cóż... Właściwie nie są zbiegami. Po prostu nie chcą tutaj być. Nie będzie żadnego problemu, jeśli nie będzie ich w teatrze.

– A jeśli będą?

– Nie wiem. Nie są obywatelami Benignity i nikt z nich nie popełnił żadnego przestępstwa. To po prostu... ludzie, których Benignity wolałaby zatrzymać na miejscu.

– Więźniowie?

– Coś w tym rodzaju. Może. Nie wiem. Wiem tylko, że chcą odlecieć, zanim przybędzie tutaj

misja dyplomatyczna Benignity. – Wiedzieli, że przylecą? – zapytał Goonar.

– Najwyraźniej – przyznał Basil. Wciąż wyglądał na zakłopotanego, a Goonar wiedział z doświadczenia, że to znaczy, iż nie powiedział jeszcze wszystkiego. Czuł się już zmęczony wyciąganiem od niego informacji.

– Basilu, proszę. Jestem kapitanem, muszę wiedzieć. Czy będą nas ścigać okręty wojenne Benignity? A może okręty Familii? Będziemy przewozić skradzione dobra? Tajemnice państwowe?

Basil wyjrzał przez okno wytaczającego się właśnie z hangaru promu i zacisnął usta.

– Nie sądzę, żeby ktoś miał nas ścigać... zanim skoczymy. – Goonar nie sądził, żeby „zanim skoczymy” znaczyło, że w ogóle nie będą ich ścigać, ale czekał na dalszy ciąg. – Z tego, co wiem, nie mają żadnych skradzionych towarów. Wprost ją o to zapytałem, a ona stwierdziła, że nie mają niczego takiego – wyjaśnił Basil. – Tajemnice państwowe... O to nie pytałem, ponieważ gdyby tak było, i tak by mi nie powiedziała prawdy.

– No dobrze... Myślisz, że wydostaną się z teatru, zanim Benignity tu dotrze?

– Myślę, że tak. – Basil pochylił się do przodu. – Jeśli wszystko poszło dobrze, są niedaleko za nami. Powiedziała, że będą się pakować w trakcie przedstawienia.

– Rozumiem, że masz na myśli Bethamyę – stwierdził Goonar. – Kim ona jest? Właścicielem tej trupy? Myślałem, że jest po prostu primadonną.

– Tak, jest kierownikiem. I primadonną. Coś się stało z ich poprzednim kierownikiem.

– Kiedy? – zapytał Goonar. – I gdzie?

– Wydaje mi się... że w Vorhoft...

– Które przypadkiem należy do Benignity. Basil, gdybyś nie był moim kuzynem i partnerem, z chęcią bym cię udusił.

– Wiem.

– Mamy opóźnienie – rozległ się w interkombie głos pilota. – Ten cholerny prom Benignity poprosił kontrolę o wstrzymanie wszelkiego ruchu.

Basil wydał z siebie odgłos, z którego interpretacją Goonar nie miał problemu, ponieważ przez jego mózg przeleciała ta sama myśl. Włączył ekran komunikacyjny przy fotelu i poprzez stanowisko pilota podłączył się do lokalnej sieci. Siedem statków na stacji. Siedem to szczęśliwa liczba... czasami. Ale kiedy dokowali cztery dni temu, było ich znacznie więcej. Trzy statki przylatujące. Trochę się odprężył. Wylatujących – jedenaście. Zmarszczył czoło i sprawdził czasy odlotów.

– Zauważyłeś? – powiedział do Basila, wskazując na ekran.

– Co? Nie. Poczekaj, powinno ich być więcej na górze.

– Racja. Porównaj czasy odlotów... z pierwszymi danymi skanu o misji dyplomatycznej Benignity.

– O cholera. Kurczaki pierzchają przed jastrzębiem.

– A ty usadziłeś nas na ziemi, z dala od statku. Śliczny tłusty kurczak pod pikującym jastrzębiem. – Goonar wiedział, kto będzie winny, jeśli Terakian i Synowie stracą statek. W końcu to on jest kapitanem i powinien kontrolować sytuację. Jednak zanim wuj zrobi z niego mielonkę – jeśli do tego czasu w ogóle przeżyje – mógłby rozerwać Basila na strzępy.

– Przepraszam – powiedział nieobecny tonem Basil. – Wiesz, że zarządca stacji tam na górze jest agentem Consellinów?

- Nie, i jeśli myślisz, że ta informacja powstrzyma mnie
- Te statki, które odleciały, oznaczone są jako należące do Consellinów.

Goonar poczuł wstyd, że nie zauważył tego od razu.

- Masz rację. Czy to oznacza, że Consellinowie prowadzą jakąś rozgrywkę z Benignity?

- Nie wiem, ale Betharnya może wiedzieć, jeśli zdołamy ją stąd bezpiecznie wywieźć.

– Teraz nie mamy zbyt wielkiej szansy. – Ale w tej samej chwili odezwał się pilot. – Starty odblokowane. Przesunęli nas do przodu w kolejce, ponieważ poprzedni prom ma jakieś problemy. Gotowi do startu?

– Tak – odpowiedział Goonar. Prom podskoczył i skręcił na dojazd do głównego pasa startowego. Z dała po prawej stronie widać było główny terminal, otoczony przez mrugające światełka innych promów i samolotów dalekiego zasięgu. Gdy znów skręcili, rzekł do pilota: – Jas, mamy coś na ogonie.

– Wiem – padła odpowiedź. Potem Goonar połączył się z kontrolą lotów. Startujący prom orbitalny Terakian i Synowie, dwóch pasażerów, ID 328Y. Startujący prom automatyczny Terakian i Synowie, ładunek po kontroli, manifest 235AX7.

- Sprawdzam, 328Y. Możesz startować.

Interkom w kabinie wyłączył się. Goonar spojrział na Basila, który odwrócił się i wyglądał przez okno.

- Basilu, co ci wiadomo o promie, który leci zaraz za nami?

– Mam nadzieję – odpowiedział Basil, przyglądając się swoim paznokciom – że to prom towarowy.

– Wiesz, że niezgłoszenie obecności pasażerów jest według prawa lokalnego i Familii przestępstwem. – Ich prom sunął po prawym brzegu pasa startowego. Goonar pochylił się, by wyjrzeć przez okno po lewej stronie. Drugi pojazd sunął tuż za nimi w najbezpieczniejszej dla sprzężonego autopilota odległości, niemal niewidoczny z głównego terminalu.

- Wiem.

- Basilu, czy na tamtym promie są pasażerowie?

- Nie wiem. Może.

Nie było sensu klócić się przed dotarciem do stacji. Jeśli w ogóle tam dotrą... Goonar odchylił się do tyłu, pchnięty w fotel przez przyspieszenie. Oba statki rozpoczęły stromą wspinaczkę, gdy tylko oderwały się od ziemi, a potem Jas odsunął prom towarowy – nieoświetlony i prawie niewidoczny – na bezpieczną odległość.

Opuścili atmosferę bez żadnych problemów. Goonar podpiął się do konsoli komunikacyjnej pilota, aby podczas zbliżania się do stacji móc usłyszeć bezczelne wyjaśnienia, jakie Jas zaserwuje kontroli lotów.

– Szef przeniósł nas na listę szybkiego startu, więc pomyślałem, że podciągnę prom towarowy na autopilocie. W innym przypadku musiałbym wysłać na dół Reubena, żeby go tu przyprowadził.

- Któregoś dnia ktoś z was rozbije jeden z tych autopromów i zabije nas wszystkich.

– Nie dzisiaj – odpowiedział Jas. – Zamierzam zadokować go bezpośrednio do *Fortune*. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa dla stacji.

- Co z jego dokumentami?

Jas wysłał ten sam numer manifestu i kody odprawy.

– W porządku. Tylko zachowaj ostrożność.

– Niczego nie poczujecie.

* * *

Gdy tylko znaleźli się na pokładzie *Fortune*, Goonar skierował się wprost na mostek. Tak jak się spodziewał, ochrona stacji chciała dokonać inspekcji autopilotowanego promu i jego ładunku. Była to standardowa procedura i prawdopodobnie nie miała nic wspólnego z misją dyplomatyczną *Benignity* ani ich liniowcem zadokowanym po drugiej stronie stacji. Goonar zgłosił protest – ładunek przeszedł już przez cło na dole, kosztowało go to dużo czasu i pieniędzy, może stracić okno startowe – aby nie wzbudzać podejrzeń nietypowym zachowaniem. Kiedy uznał, że nadeszła odpowiednia chwila, poddał się z wdziękiem.

* * *

Ekipa ochrony stacji przysłała najpierw na mostek, gdzie wręczył im wydruk manifestu i przydzielił młodszego oficera, aby odprowadził ich do promu, bezpiecznie tkwiącego w swoim doku.

– Tylko żadnego obijania się – powiedział do dziewczyny. – Musimy zdążyć na okno startowe.

Następną godzinę spędził na papierkowej robocie związanej z odlotem. Jeden z ładowaczy nie zapłacił za naprawę i musiał autoryzować transfer funduszy na pokrycie rachunku. Innego – jak zwykle Georga – wciąż nie było na pokładzie, a to znaczyło, że pograżył się gdzieś w dyskusjach filozoficznych. Georg dobrze sobie radził z alkoholem i kobietami, ale nie z dreszczem podniecenia wywołanym znalezieniem innej osoby gotowej rozmawiać o Bogu i duszy. Goonar wiedział z doświadczenia, że ochrona stacji nie będzie miała pojęcia, gdzie można prowadzić takie dyskusje, i że będzie musiał sam do tego dojść. Zawsze można obstawiać uniwersytety, ale na tej stacji była tylko szkoła techniczna i dwuletnie studium artystyczne. Oczywiście Georga znaleziono w kawiarni tuż obok studium. Goonar połączył się z patrolem ochrony stacji i poprosił ich o przysłanie go na pokład.

– Kapitan Terakian? – spytał szef grupy dokonującej inspekcji po jego powrocie na mostek.

– Tak.

– Eee... nie znaleźliśmy żadnych uchybień, sir, ale zarządca stacji mówi, że statek *Benignity* poprosił o szczegółowe przeszukanie w związku z kradzieżą jakichś obiektów. – Mężczyzna wyglądał na zakłopotanego. – Wiem, sir, że Terakian i Synowie to poważni kupcy, i jestem pewien, że nie macie na pokładzie własności *Benignity*, ale...

– A czemu zarządca stacji Familii płaszczy się przed *Benignity*? – zapytał Goonar. Na pewno udusi Basila przy pierwszej nadarzającej się okazji. – Czy ten facet z *Benignity*, kimkolwiek jest, zgłosił pod moim adresem jakieś formalne zarzuty?

Mężczyzna zaczerwienił się jeszcze bardziej.

– On... Nie wolno mi nic powiedzieć, sir.

Goonar zagryzł wargę. – W takim razie złożę oficjalny protest do zarządcy stacji i Kwatery Głównej ZSK oraz we właściwym sądzie. – Odwrócił się do komputera i wywołał obszerne pliki prawne. Kilкома ruchami infopręta wprowadził dane i wysłał pierwszy plik do zarządcy stacji.

Po minucie czy dwóch ekran komunikacyjny rozświetlił się i ukazała się twarz zarządcy.

– Co pan robi, Terakian?

– Usiłuję bronić swoich praw – odpowiedział. – Chce pan, żebym poddał się nieuzasadnionemu

przeszukaniu na wniosek obcego rządu, który nie ma nawet cienia dowodu na to, że mój statek lub załoga ma cokolwiek wspólnego z przedmiotami, które rzekomo ukradziono. Nie dał mi pan żadnego powodu do współpracy, jeśli nie liczyć uzbrojonych ludzi na moim mostku.

– Nie nadymaj się tak – powiedział mężczyzna. Jego oczy powędrowały w bok, jakby patrzył na kogoś stojącego obok kamery.

– Jeszcze mnie pan nie widział nadętego. Jesteśmy szanowaną firmą i handlujemy tu od ponad czterdziestu lat. Wszyscy jesteśmy obywatelami Familii, a to jest port Familii. Jeśli oddał go pan Benignity, Flota z pewnością chciałaby o tym wiedzieć. Podobnie jak obywatele, którym wciąż wydaje się, że mają jakieś prawa.

– Próbuję załatwić sprawę po przyjacielsku... – zaczął zarządca. – Oskarżając nas o złodziejstwo? To nie jest dobry sposób postępowania z Terakianem i Synami. Zauważyłem, że wszystkie statki należące do klanu Consellinów odleciały. Czy je też pan dokładnie przeszukał, czy ma pan swoich faworytów?

– Odlecieli, zanim otrzymaliśmy prośbę o przeszukanie. I wcale nie twierdzimy, że pan coś zrobił. Za bardzo się pan awanturuje...

– W obronie mojego statku i dobrego imienia rodziny będę się awanturował jak diabli, bo mam do tego prawo.

– Oni tylko chcą, żebyśmy sprawdzili każdy statek, który zabiera ładunek z planety. Zaproponowali nam pomoc.

Goonar poczuł dzwonki alarmowe wzdłuż całego kręgosłupa.

– Benignity powiedziała, że nam pomoże? Jak?

– Zaoferowali nam własny personel ochrony, który dokładnie wie, czego mają szukać.

– Chce pan, żebym wpuścił na pokład obce wojsko, aby przeszukali statek?! – zapytał lodowatym tonem Goonar. – Jest pan zdrajcą!

– To nie wojsko, to... bardziej policja.

Goonar prychnął.

– Są z obcego państwa, niezależnie od tego, jak ich pan nazwie. Nie, żaden obcy nie postawi nogi na statku Terakianów, żeby później na nas napaść. Absolutnie się nie zgadzam.

– Nalegam.

– Może pan nalegać dotąd, aż zgasną gwiazdy. Nie. Jeśli chce pan, żeby ochrona stacji – a ja osobiście sprawdzę ich obywatelstwo Familii – rozgrzebywała mi statek, szukając Bóg wie czego, to co innego. Ale nikt z Benignity nie wejdzie na mój pokład. Koniec, kropka.

– To niemądra decyzja, kapitanie. – Osoba, na którą wcześniej zerkał zarządca, weszła teraz w pole widzenia kamery. Był to jakiś oficer w nieznanym Goonarowi mundurze, który nie przypominał zwykłego munduru floty kosmicznej Benignity. – Oszczędzi pan sobie – i nam – oraz innym... kłopotów, jeśli zgodzi się pan na to przeszukanie. W innym przypadku...

– Grozi pan cywilnym obywatelom Familii? – Goonar nie musiał już podsycać swojego gniewu. – Co, ukryliście na granicy systemu flotę inwazyjną?

– Nie potrzebujemy stosować tak prymitywnych metod – odpowiedział mężczyzna. – Jeśli nie wpuści nas pan na pokład, nie opuści pan żywy tej stacji.

– Hej, jedną chwilkę! – Zarządca stacji zerwał się z miejsca, ale szybko usiadł z powrotem. Goonar nie widział broni, ale to, co zobaczył, wystarczyło. Zerknął przez ramię na dowódcę grupy

ochrony, który był tak samo zaskoczony jak on, powiedział „przepraszam” i dał sygnał.

Załoga Terakianów przeszła tylko zwykłe przeszkolenie w zakresie tłumienia zamieszek, ale nie mieli żadnych problemów z rozbrojeniem zaskoczonej ekipy ochrony. Jak powiedział Goonar, znali Terakianów i ta rodzina nigdy nie sprawiała kłopotów.

– Nie możecie tego zrobić – rzekł z oburzeniem dowódca grupy, gdy skrępowano go taśmą.

– Przykro mi – odpowiedział Goonar – ale nie zamierzam wpuścić na pokład tego statku. żadnej ekipy Benignity. Nie tak dawno temu dokonali inwazji na Xaviera. Nie zamierzam pozwolić im na przejście tego statku i użycie go do infiltracji przestrzeni Familii. Wszyscy znają statki Terakianów...

Dowódca szerzej otworzył oczy.

– Myśli pan, że oni właśnie to szykują?

– A po co by wysyłali tak zwaną misję dyplomatyczną na nic nie znaczącą planetę? Czemu wstrzymywaliby wychodzące statki i przeszukiwali każdy z nich? Szukają odpowiedniego. Jesteśmy niezależną firmą handlową i mamy wielką kubaturę, a nasz ładunek mogą po prostu wyrzucić przed skokiem, żeby zrobić sobie więcej miejsca.

– Ale...

– Nie zbliżaliśmy się nawet do przestrzeni Benignity, więc skąd mielibyśmy mieć coś należącego do nich? Nie, oni chcą tego statku albo podobnego. Mogą mnie zestrzelić, nie dbam o to. – Tak naprawdę bardzo się tym przejmował, ale ubarwienie faktów w służbie prawdy, jak mówiono w jego rodzinie, nie było kłamstwem. – Nie pozwolę im wykorzystać mojego statku.

– Ja... rozumiem.

Po rozbrojeniu i skrępowaniu całej grupy ochrony podszedł do nich Basil. – Nieczęsto przylatują tu do was statki Benignity, prawda? – zapytał. – A taki z misją dyplomatyczną, który mógłby rozkazywać zarządcy stacji?

– Powiedzieli nam, że w ciągu ostatnich czterech tygodni przylecieli do nas jacyś szpiedzy. Grupa aktorów, którzy występowali w Benignity, uciekła ze skradzionymi przedmiotami, i wszelkie ślady prowadzą tutaj.

– Grupa aktorów? – Basil zmarszczył brwi, jakby poważnie się nad tym zastanawiał. – Co trupa teatralna mogłaby ukraść na tyle wartościowego, by spowodować pościg?

– Tego nie powiedzieli. Osobiście nie sędzę, żeby aktorzy mieli dostęp do czegoś tak cennego.

– Chyba że... – powiedział Basil, przeciągając słowa. – jakiś zbieg – powiedzmy, że polityczny – próbowałby ukryć się między aktorami, a oni przesznułoby go za granicę...

– To niedorzeczne! – zaprotestował Goonar. – Czemu aktorzy mieliby przyjąć zbiega politycznego... czy kogokolwiek obcego? To tak, jakby statek Terakianów zbierał hołotę z doków. Mamy dosyć rozumu, oni pewnie też. Zresztą nie wierzę, żeby chodziło o coś innego niż to, że Benignity pragnie zdobyć statek, którym mogłaby poruszać się w przestrzeni Familii.

– Tak, to miałoby sens – stwierdził Basil. – Spójrz na to z punktu widzenia Benignity...

– Właśnie to robię – oświadczył Goonar – i widzę jedynie chęć wykorzystania mojego statku. Ale ja mówię „nie”.

– Słuchajcie – odezwał się dowódca grupy ochrony. – Pozwólcie mi porozmawiać z zarządcą. Jestem pewien, że nie macie żadnej kontrabandy... a on może nie zdawał sobie sprawy z tego, co planuje Benignity.

– Musiałby być idiotą – stwierdzili równocześnie Goonar i Basil – żeby myśleć, że mówią

prawdę.

– Pozwólcie mi z nim porozmawiać. Przecież nie chcecie nas porwać. Narobicie sobie kłopotów.

– Nie chcę ryzykować utraty statku – oświadczył Goonar, ale kiwnął głową do jednego z ludzi, aby rozciął taśmę krępującą ochroniarza. Mężczyzna stanął przed ekranem.

– Niech pan słucha, sir. Kapitan Terakian jest przekonany, że Benignity chce porwać jego statek. Uważa, że to właśnie dlatego upierają się przy przeszukiwaniu statków przed odlotem, że szukają odpowiedniego pojazdu do infiltrowania przestrzeni Familii.

– To śmieszne – stwierdził dowódca Benignity. – Tylko ktoś winny mógłby wymyślić taki stek kłamstw.

Goonar wszedł w pole widzenia kamery.

– Nie jest kłamstwem, że wasi ludzie zaatakowali Xaviera. A jeśli o mnie chodzi, to najgorsze, czego się dopuściłem, było walnięcie po pijaku chorążego Floty, gdy byłem jeszcze młodym szczawiem.

Oficer Benignity wbił w niego wściekłe spojrzenie, a Goonar odpowiedział mu tym samym. Już niejedną raz wytrzymał wzrok prawdziwych ekspertów w tej dziedzinie – między innymi ojca i Basila – i nigdy nie dał się zastraszyć. Prawdę mówiąc, udało mu się przekonać nawet samego siebie do tej historii, co spowodowało, że wręcz emanował patriotycznym gniewem. W końcu oficer Benignity westchnął i przeniósł wzrok na dowódcę ochrony. – Czy dokonaliście inspekcji wszystkich pomieszczeń?

– Nie, tylko doku promu i przyległych ładowni.

– Co było w tym automatycznym promie?

– To samo, co w manifeście: zapieczętowane kontenery, oznaczone kodami agenta spedycyjnego.

– Otwieraliście je?

– Nie wszystkie. – Oficer ochrony, który w czasie trwania tej rozmowy robił się coraz bardziej ponury, w końcu wybuchnął. – Słuchaj no, nie jest pan moim dowódcą, a ja znam Terakianów i wiem, że są w porządku. Poza tym nie widzę powodu, żebym miał za was odwalać brudną robotę.

Zapadła długa cisza. Goonar próbował skierować swoją złość na Basila za to, że wpakował ich w takie tarapaty, na Benignity, i najwyraźniej to mu się udało, bo dowódca Benignity po jego ostatnim gniewnym spojrzeniu nieco spuścił z tonu.

– No dobrze, kapitanie Terakian, może pan odlecieć. Przypuszczam, że weźmie pan ze sobą tych beznadziejnych przedstawicieli ochrony stacji.

– Nie, jeśli nie zechcą – odpowiedział Goonar. – Ale ponieważ wygląda na to, że w tej chwili to pan dowodzi stacją, pewnie wolą wybrać odlot. – Zerknął na oficera ochrony, którego twarz zbladła na myśl o skutkach opuszczenia stacji.

– Nie chcemy skrzywdzić cywilów – oświadczył dowódca Benignity.

– Tak samo jak na Xavierce – odpowiedział Goonar.

– Możemy zostać? – zapytał oficer ochrony.

– Nie zamierzam pozwolić obywatelom Familii wpaść w łapy Benignity, jeśli sami nie mają na to ochoty. – Goonar mówił nieco teatralnie i miał nadzieję, że dowódca Benignity uzna, że taki jest z natury. A może rzeczywiście był. Rodzina zawsze twierdziła, że prawdziwy charakter człowieka

ujawnia się w takich sytuacjach. – Niech pan zapyta swoich ludzi.

ROZDZIAŁ TRZECI

Statki kupieckie opuszczające stację zawsze używały holowników, ale Goonar nie ufał dowódcy *Benignity*, dlatego uaktywnił statek natychmiast po tym, jak mężczyzna pojawił się na ekranie. Jedynym realnym zagrożeniem były dla nich systemy obronne stacji, ale wiedział, że może je zrównoważyć własnym silnikiem układowym. Tak, stacja mogła zniszczyć jego statek... ale przy włączonych układach napędowych byłoby to samobójstwo zarówno dla stacji, jak i wszystkich zadokowanych do niej statków. Teraz kazał swojemu pilotowi oddalić się od stacji tak wolno, jak tylko pozwalały na to silniki sterujące *Fortune*.

Potem najszybciej jak można – zdawało się, że czas płynie wolniej niż wskazuje zegar – zwiększył moc i ustawił ich na kursie w stronę punktu skokowego. Kiedy był już pewien, że stacja nie będzie wysyłać za nimi pocisków, odwrócił się ze złością do Basila.

– Chodź, Bas, musimy porozmawiać.

W ekranowanej kabinie kapitańskiej Goonar rzucił się na Basila.

– Powiniennem urwać ci jaja – powiedział. – Ze wszystkich głupich spisków, w jakie nas wpakowałeś...

Tym razem Basil nawet nie próbował przybrać niewinnego wyrazu twarzy.

– To było ważne.

– I nawet nie zadałeś sobie trudu, żeby mi o tym powiedzieć. – Nie było czasu, kuzynie. Naprawdę bym ci powiedział...

– Ale nie zrobiłeś tego. – Goonar ledwie się powstrzymał, aby nie zacisnąć dłoni na szyi Basila.

– Bas, jesteśmy partnerami od lat. Znasz mnie, a ja myślałem, że znam ciebie. Nie starałeś się o stanowisko kapitana, chciałeś pracować ze mną...

– Oczywiście, że tak!

– Wiesz, że kapitan musi ufać swojemu zastępcy. Powinieneś być mnie ostrzec.

Basil wymamrotał coś, odwracając wzrok.

Goonar poczuł, jak sztywnieje mu kark.

– Co powiedziałaś?

– Uznałem, że będziesz lepiej odgrywał niewinnego, jeśli naprawdę będziesz niewinny. – Basil zaczerwienił się. – I udało się.

Jego słowa rozśmieszyły Goonara, choć wciąż był na niego zły.

– Odegrałbym to lepiej, gdybym wiedział, kuzynie.

– Przepraszam – powiedział Basil, tym razem poważnie. – Powiniennem być ci powiedzieć. Następnym razem tak zrobię.

– A więc będzie następny raz?

– Nie żebym coś takiego planował, ale gdyby...

– No dobrze. Cóż to za wielką tajemnicę wywozimy? Powiedzieli ci, czemu *Benignity* tak bardzo chce ich dorwać? Czy po prostu zakochałeś się w pięknej kobiecie?

– Powiedzieli, że chodzi o jednego z pracowników scenicznych. Nie jest kryminalistą, tylko zbiegiem.

– „Jestem niewinny wszelkiego przestępstwa, lecz zazdrosna plotka obrzuca mnie

oszczerstwem" – zaśpiewał Goonar. – Akt drugi, scena czwarta. Czy o to chodzi?

– Nie wiem – odpowiedział Basil, rozkładając ręce. – Zapytałem, ale upierali się, że nie jest złodziejem ani mordercą, tylko poprosił o azyl.

– Azyl... To religijne słowo. Czy rozmawiałeś z tym człowiekiem osobiście?

– Tak, chciałem go ocenić. To spokojny człowiek... Starszy, ma miły głos.

– Artysta? – zapytał Goonar.

– Nie... nie sędzę. Sprawiał wrażenie... może uczonego. Jego spokój nie wynika ze strachu czy nieśmiałości, raczej z nawyku.

– Uciekający profesor? Ktoś obeznany z techniką?

– Nie wydaje mi się – odpowiedział Basil. – Wiem, że niektórzy z nich w prawdziwym świecie mogą zachowywać się jak głupki, ale to nie jest ten typ człowieka. Nie wydaje się oderwany od rzeczywistości, a gdy się z nim rozmawia, nie próbuje sprowadzić rozmowy na swoje ulubione teorie.

– To dziwne – stwierdził Goonar. – To on użył słowa „azyl” czy kobieta?

– On. – Teraz Basil zaczął wyrzucać z siebie wszystko, co wiedział, wyraźnie zły, że jest tego tak niewiele. – Zapytałem, czy popełnił przestępstwo, a on na chwilę umilkł i powiedział że nie, nie popełnił przestępstwa, tylko rozgniewał kogoś u władzy.

– A ty zapytałeś, w jaki sposób.

– Tak, ale odpowiedział, że pragnie azylu, a nie rozpuszczania plotek.

– Świetnie. Mamy teraz statek dyplomatyczny Benignity wydający rozkazy stacji Familii... a on uważa, że nie będzie plotek.

– Nie rozmawiałem z nim po wejściu na pokład – rzekł Basil. – Chcesz, żebym to zrobił?

– Nie, chcę go sam zobaczyć – odpowiedział Goonar. – Ale nie teraz. Na razie mamy inne rzeczy do zrobienia. Nie chcę, żeby ekipa ochroniarzy dowiedziała się, że trupa jest tutaj. To aktorzy, więc mogą udawać, że są naszą załogą.

Basil wyszczerzył zęby.

– To świetny pomysł.

– To znaczy, że sam wcześniej na to wpadłeś. Dobrze. Chcę, żeby trupa nie miała dostępu do żadnych kluczowych informacji, i dopilnuj, żeby nasza załoga o tym wiedziała. A kiedy już to zrobisz, znajdź tym ochroniarzom coś do roboty. Ale nie jakąś brudną robotę, w końcu nie prosili o tę przejażdżkę i nie chcemy, żeby byli na nas źli.

– Dobrze. – Basil zanotował wszystko na podręcznym tablecie.

– Porozmawiam z... Jak on się nazywa?

– Simon. To wszystko, co powiedział.

– Dobrze. Porozmawiam z tym Simonem za trzy lub cztery dni. Nie chcę, żeby zbyt rzucił się w oczy. – Goonar westchnął i zabębnił palcami po blacie. – Coś jest nie tak ze stacją Falletta. Nie mam zbyt dobrej opinii o ochroniarzach, którzy nie zauważyli bandy aktorów i aktorek, na dodatek z całym scenicznym ekwipunkiem.

– No cóż... Oni niezbyt przypominają w tej chwili aktorów, a sprzęt sceniczny... Pamiętaj, że mieliśmy prawie dwie godziny. Nie byłbym oficerem załadunku, gdybym nie potrafił poradzić sobie z tak dużymi przedmiotami.

- Czyli... rozmontowałeś dekoracje.
- Nie, to by się nie udało, po prostu ich użyłem.
- Jako co?
- Pamiętasz salę rekreacyjną załogi?
- Oczywiście.

– Jest tam takie podwyższenie – z powodu łączących się pod podłogą rur – które wygląda jak mała scena.

– Tak, wiem. Czekał, chcesz mi powiedzieć, że zamieniłeś je w scenę?

– Tak. Mieli dekoracje do kilku przedstawień, więc część ustawiliśmy, a resztę złożyliśmy na widoku, w magazynie załogi. A kostiumy i cały sprzęt oświetlający...

– Myślałem, że teatry mają własne oświetlenie.

– Tak, mają, ale wiele podróżujących grup wozi ze sobą własne, dodatkowe oświetlenie. To drogi sprzęt, więc...

– No więc co zrobiłeś z oświetleniem? – Basil najwyraźniej nie mógł się doczekać, żeby mu powiedzieć, a Goonar uważał, że na wszelki wypadek powinien wiedzieć.

– Pokażę ci.

Już wkrótce Goonar przekonał się, że jego kuzyn marnuje talent w interesie rodzinnym Terakianów, choć w tym zakresie też był uzdolniony. Dzięki panelom oświetleniowym trupy dok promu miał lepsze oświetlenie niż nawet wtedy, gdy stary *Fortune* opuszczał stocznię... a widać je było dopiero po wspięciu się pod rusztowanie sufitowe.

– Pochwalili nas za bezpieczne oświetlenie – stwierdził z dumą Basil, wyraźnie mając na myśli ekipę ochrony stacji. – Powiedzieli, że wiele statków próbuje ukryć różne rzeczy w słabo oświetlonych pomieszczeniach.

Kostiumy, nieporęczne i ozdobne, zostały rozwieszane na programowalnych manekinach należących do znanej firmy projektantów mody.

– Ochroniarze nie wiedzą, że manekiny normalnie wysyła się gołe – wyjaśnił Basil. – Zauważyli, że kostiumy są używane, ale wyjaśniłem im, że zaliczyły już kilka tras... i że tylko duże firmy spedycyjne dostają nowe rzeczy, a my przewozimy zeszłoroczne śmieci do pomniejszych systemów.

– Rozumiem – stwierdził Goonar. Nie był zaskoczony, gdy Basil wręczył mu uaktualnioną listę załogi, na której była zdumiewająco duża liczba krewnych Terakianów, o których nigdy wcześniej nie słyszał.

* * *

Pięć dni później *Terakian Fortune* wciąż przyspieszał w stronę zmapowanego punktu skokowego, a Goonar nadal się martwił. Żyli. Nikt do nich nie strzelał. Nikt za nimi nie leciał, a w każdym razie nikogo nie wykryli. Grupa ochrony przyzwyczała się do pokładowej rutyny, pracując na zmianach razem z załogą. Mocno rozbudowaną załogą.

Jedno trzeba było aktorom przyznać – potrafili grać i szybko się uczyli. Ochroniarze niewiele wiedzieli o organizacji załóg wolnych statków kupieckich, więc bez problemu zaakceptowali fakt, że *Fortune* przewozi na pokładzie nieprawdopodobnie wielu krewnych Terakianów. Żony, siostry, kuzynów... Wszyscy rzekomo mieli certyfikaty doświadczonej załogi pokładowej, oprócz starej szwaczki kostiumów, która świetnie się bawiła, grając rolę babki ciotecznej zajmującej się

swataniem. Zdążyła już wypytać wszystkich członków ekipy ochroniarskiej o ich status i perspektywy.

Goonar unikał rozmowy z kierowniczką trupy – miał wymówkę w postaci większego niż zwykle obciążenia pracą – ale w końcu nie mógł już dłużej tego odwlekać, gdy powiedziała, że chce się z nim zobaczyć.

Z bliska Betharnya wyglądała równie dobrze, jak na scenie. Goonar, świadomy swojej pozycji statecznego kapitana statku kupieckiego, próbował nie gapić się na nią, ale nie mógł nie zauważyć jej delikatnych kształtów i nie poczuć subtelnego zapachu.

– Chciałam panu podziękować, kapitanie Terakian – powiedziała. – Postąpił pan bardzo odważnie.

– Basil powiedział mi o wszystkim dopiero po przedstawieniu – wyjaśnił – a wtedy było już za późno... Muszę powiedzieć, że choć podziwiam panią jako aktorkę, nie jestem zadowolony z tego, że mnie oszukano. Mogła pani zrujnować nie tylko moją reputację, ale i całej rodziny. My nie angażujemy się w politykę.

– Rozumiem – powiedziała. – Ja też byłabym zła, gdyby to był mój statek. Ale kiedy skontaktowałam się z Basilem – pańskim kuzynem – nie wiedziałam o tym wszystkim

– No dobrze. Pani jest z Benignity?

– Nie, ale przedstawienia, które prezentujemy, zazwyczaj cieszą się tam dużą popularnością. Wie pan, takie tradycyjne, jak *Narzeczone*.

– Podobało mi się – przyznał Goonar. – Widziałem je już na Caskadarze.

– Nigdy nie graliśmy na Caskadarze, ale słyszałam o nim w każdym razie... przypuszczam, że chce pan wiedzieć, co się stało?

– Teraz to już nie ma znaczenia, sera. Łamiemy prawo, niezależnie od tego, czy w słusznej sprawie, czy nie. Mam nadzieję, że pomoże mi pani wyjaśnić to władzom w następnym porcie.

– Oczywiście, kapitanie. Bardzo mi przykro, że sprawiłam panu tyle kłopotu. Czy chciałby pan teraz zobaczyć nasze paszporty?

– Kiedy dotrzemy do następnego systemu. Hmmm... Muszę powiedzieć, że pani ludzie świetnie udają załogę.

– Dziękuję – odpowiedziała. – W takim razie lepiej wrócę do pracy.

Wolałby, żeby została i dalej z nim rozmawiała, ale nie potrafił wymyślić, co mógłby powiedzieć. Gdyby tylko nie była aktorką... Kiedy już odeszła, zaczął wyobrażać sobie, jakby to było poznać kogoś takiego jak ona na spotkaniu u Terakianów, a nie w teatrze.

* * *

– Będziemy musieli powiedzieć Flocie – stwierdził Goonar, gdy wyszli z lotu nadświatelnego w systemie Corrigan. W czasie kilku dni skoku nic się nie wydarzyło, było dokładnie tak, jak lubił. – To jedyny sposób na oczyszczenie rodziny z zarzutów, które nam przedstawia.

Basil przewrócił oczami.

– Mogę sobie wyobrazić, co się stanie. Zatrzymają nas na całe miesiące i rozbiorą statek do ostatniej śrubki.

– Nie mamy śrub, dobrze o tym wiesz.

– Wiesz, o co mi chodzi. Aż do łączy monomolekularnych, jeśli koniecznie chcesz się trzymać

technicznej nomenklatury. A przecież nie mamy niczego do ukrycia...

– Niczego oprócz potajemnie przewożonego obcokrajowca, porwanego zespołu ochroniarzy i bardzo niezadowolonej grupy poszukiwawczej Benignity – powiedział Goonar. – Poza tym jesteśmy czystszy jak nigdy.

Basil spuścił wzrok.

– Nie jesteśmy?

– Cóż, mamy jakieś niewielkie prywatne zapasy poutykane tu czy tam...

– Dość. Zgłosimy się przy pierwszej okazji i wyjaśnimy, jak się w to wszystko wpakowaliśmy.

Goonar wysłał wiadomość o sytuacji na Falletcie i patrol Floty, składający się w tej chwili z trzech statków, połączył się z nimi wiązką kierunkową.

– Jaki był ten statek Benignity?

– Powiedzieli, że to misja dyplomatyczna. Samego statku właściwie nie widziałem, bo dokowaliśmy po drugiej stronie stacji. Ale moje skanery nie wykazały obecności aktywnej broni.

– Czy macie jakieś dane o kapitanie?

– Mam obraz wideo – odpowiedział Goonar. – Nagrywaliśmy połączenie i na wszelki wypadek zrobiłem zabezpieczoną kopię.

– Grozili wam? Benignity czy stacja?

– W centrum dowodzenia stacji był jakiś oficer Benignity, i to on nam groził. Powiedział, że jeśli nie damy się przeszukać, nigdy nie odlecimy żywi z układu. Uznałem, że chce porwać zarejestrowany w Familiach niezależny statek i wykorzystać go do misji szpiegowskich.

– Ale w końcu was wypuścili?

– Tak. Niechętnie, ale puścili. Mam na pokładzie grupę ochrony stacji.

– Czemu?

– Cóż, zanim zdałem sobie sprawę z tego, co się dzieje, zażądali rutynowego przeszukania jednego z automatycznych promów, i oczywiście się zgodziłem.

– Oczywiście. Cóż, będziemy chcieli dostać kopię tej transmisji; lepiej będzie, jeśli doręczycie nam osobiste, a nie via nadajnik.

– Jasne – stwierdził Goonar. – Kto wie, co tu się może czaić?

– W tej chwili nic – zapewnił kapitan – ale tak na wszelki wypadek. Na stacji Corrigan Goonar przekazał kostkę danych oficerowi w mundurze, który czekał na nich w doku. Grupa ochroniarzy z Falletty odeszła razem z nim; mieli zostać przesłuchani. Basila na szczęście nie było na liście osób, z którymi Flota chciała rozmawiać.

Oficer przesłuchujący Goonara poprosił o opisanie wszystkiego, co zaszło, i rozsiadł się wygodnie w fotelu.

– Wszystko zaczęło się od tego, że szef załadunku, mój kuzyn Basil, oznajmił mi, że przeniósł statek do kolejki odlotów. Zapytałem go o powód, ale nie odpowiedział. Wracaliśmy wtedy na statek po nocy spędzonej w mieście i miałem nadzieję, że się wyśpię następnego ranka.

– Noc w mieście?

– Teatr. W czasie naszych podróży Basil usiłuje mi zapewnić rozrywkę; uważa, że jestem zbyt ponury. Widzi pan, kilka lat temu zginęła moja żona i dzieci, i on wciąż próbuje mnie umawiać z pięknymi kobietami.

– Aha. – Oficer przybrał współczujący wyraz twarzy. Goonar czuł, że ufa mu mniej więcej tak samo, jak oficer śledczy ufa jemu.

– Troszczy się o mnie. W końcu razem dorastaliśmy i już od dziesięciu lat jesteśmy partnerami. Jego córka jest moją chrześnicą, on był ojcem chrzestnym moich dzieci. Ale nie rozumie, że ja nie chcę nowej żony i rodziny. Miałem rodzinę i straciłem ją. Czemu miałbym ryzykować, że znów stracę swoich najbliższych?

– Samemu trudno się żyje – powiedział cicho śledczy.

– Niekoniecznie. – Goonar usiadł wygodniej i podrapał się po głowie. – Jestem dobry w tym, co robię. Zarabiam na wygodne życie. Mam pozycję w rodzinie. Nie potrzebuję żony. – Ale jego ciało mogło potrzebować Bethy... Nie chciał teraz o tym myśleć.

– A więc pański kuzyn próbował pana rozerwać, a panu to się nie podobało – wrócił do tematu śledczy.

– Cóż, właściwie dobrze się bawiłem. Lubię teatr, zwłaszcza przedstawienia muzyczne. Było całkiem przyjemnie, ale zachciało mi się spać i postanowiłem spędzić kolejną noc na dole, w hotelu. Basil nalegał, żeby wrócić na statek. Kiedy byliśmy już na promie, powiedział mi, że wziął dodatkowy ładunek – trupę teatralną.

Powieka śledczego drgnęła, ale jego twarz zachowała wystudiowany wyraz obojętności.

– Czy to właśnie powiedział pan władzom na Fallettcie?

– Nie, oczywiście, że nie. – Goonar wydał policzki. – Wyglądało to tak: Basil przeniósł nas do kolejki odlotów z certyfikowanym ładunkiem. Gdybym zaczął robić problemy, moglibyśmy tam utknąć na całe miesiące, a mam na pokładzie terminowy ładunek, między innymi dla tutejszej stacji, i musiałbym płacić potężne kary za opóźnioną dostawę. Gdybyśmy nie byli w kolejce, nie byłoby tak źle, ale już w niej tkwiliśmy. Mógłbym spokojnie zadusić Basila, ale to by w niczym nie pomogło.

– Czyli świadomie zaakceptował pan nielegalny ładunek, łącznie z pasażerami.

– Można tak powiedzieć. Tymczasem Benignity skłoniło lokalny rząd do wstrzymania startu promów ze stacji. Mówili coś o skradzionych przedmiotach lub uciekinierach... ale nie określili dokładnie, o kogo lub o co chodzi. Zauważyłem, że sporo statków opuściło stację, zanim w układzie pojawiła się misja dyplomatyczna Benignity... a nie powinni o niej wiedzieć, chyba że powiedział im zarządca stacji. On jest Consellinem... i statki, które odleciały, należały do jego klanu. Nie wiedziałem, co się dzieje, ale nie wyglądało to na zwykłe poszukiwanie skradzionych przedmiotów. Nie jestem taki zielony i wiem, że kiedy coś zostaje nielegalnie przewiezione przez granicę, ich policja zazwyczaj kontaktuje się z naszą.

– A więc co się naprawdę działo?

– Nie wiem. Powiedziałem kierownicze trupy aktorskiej, że nie chcę o niczym wiedzieć i że zgłoszę to, jak tylko dolecimy do jakiegoś bezpiecznego miejsca.

– A ile wie ta ekipa ochroniarzy z Falletty?

– Nic nie wiedzą o naszym ładunku – odpowiedział Goonar. – Uznałem, że im mniej ludzi o tym wie, tym lepiej.

– Rozumiem – stwierdził śledczy. – A dokąd zamierza pan dostarczyć zbiegów... jeśli rzeczywiście są zbiegami?

– Dokąd pan zechce. W każdym razie nie zamierzam ich u siebie trzymać.

– Ależ musi pan to zrobić – odpowiedział oficer. – W każdym razie to właśnie proponuję. Nie

chcemy, żeby Benignity kręciła się nam tu pod nogami. I tak mamy dość problemów. Gdzie planował pan następny postój?

– Trinidad, potem Zenebra i Castle Rock...

– Świetnie. Zabierze ich pan do Castle Rock i dostarczy do Dowództwa Floty.

– Nie mogę tego zrobić! – Goonar nie musiał udawać niezadowolenia. – My nie... Terakianowie nie... nie załatwiają spraw dla Floty. Jesteśmy neutralni.

– W tej chwili nikt nie jest neutralny. – Mężczyzna pochylił się w jego stronę. – Niech pan posłucha, kapitanie. Gdyby naprawdę był pan neutralny, zostawiłby pan tam tych ludzi. Gdyby nie dbał pan o to, kto wygra następną wojnę, spełniłby pan żądania Benignity. Nie jest pan neutralny, jest pan uczciwy, a to wielka różnica Mam do pana zaufanie. Podobnie jak pan uważam, że Benignity nie może dostać tego, czego tak mocno pragnie, i ufam, że dostarczy pan zbiegów do Dowództwa Floty, ponieważ nie sądzę, żeby ktokolwiek zrobił to lepiej.

– Ale... jeśli przekonają się, że ci ludzie znów im umknęli, będą wiedzieli, że są na naszym statku. Będziemy celem ich ataku.

– Możemy spróbować coś na to poradzić. Niech myślą, że wysadził pan zbiegów u nas. Może pan na przykład pozbyć się ekipy ochroniarzy z Falletty. Jak długo nie będą wiedzieć o pozostałych...

– Są przekonani, że tamci są normalną załogą Terakianów.

– W takim razie o co chodzi?

– Benignity wie, jak liczna jest załoga naszych statków.

– Wątpię. Ja w każdym razie nie wiem. Ani ZSK, ani większości systemów politycznych to nie interesuje, oni zajmują się raczej tylko dokumentami tych, którzy przylatują na stację czy lecą na planety.

* * *

W trakcie przelotu z Corrigan na Trynidad Goonar znalazł wreszcie czas, aby porozmawiać z Simonem. Mężczyzna wyglądał dokładnie tak, jak opisał go Basil: średni wiek, krótkie, siwiejące włosy i łysinka na czubku głowy, nie wyróżniająca się niczym twarz, przeciętna sylwetka... i bardzo inteligentne brązowe oczy.

– Jestem Goonar Terakian – przedstawił się. – Kapitan tego statku. Czy może mi pan powiedzieć, dlaczego nie powinienem pana wyrzucić w przestrzeń za kłopoty, które pan na mnie sprowadził? – Nie zamierzał tego zrobić, ale uznał, że może w ten sposób wydobędzie jakieś informacje z człowieka, który wyglądał na zdecydowanie zbyt opanowanego.

– Byłby to grzech – odpowiedział wolno Simon. – Nie wiem, w co pan wierzy, ale czy nie uważa pan, że wyrzucanie ludzi w przestrzeń jest złem? – Zdawał się kompletnie nie przejmować taką możliwością, zupełnie jakby nie wierzył, że Goonar mógłby kogokolwiek wyrzucić, albo nie dbało to, co się z nim stanie.

– Oczywiście, że jest złem, ale wkradanie się na pokład statków i narażanie je na kłopoty z władzami też jest złem.

– Nie jestem pewien, czy to jest złe, a w każdym razie nie tak złe, jak wyrzucenie kogoś w przestrzeń.

Goonar poczuł, jak palą go uszy, a to był zły znak. Odetchnął wolno, próbując zachować spokój i nie myśleć o tym, co miałby ochotę powiedzieć Basilowi.

– Simonie, Terakian i Synowie zawsze unikali przewożenia zbiegów...

– W takim razie czemu nie pozwoliłeś mnie zabrać na Fallettcie?

– Kiedy już znalazłeś się na pokładzie, stałem się za ciebie odpowiedzialny. Nie zamierzam wpuścić obcych na swój statek, ale nie mogę także pozwolić, żebyś zniszczył nam reputację, na którą pracowaliśmy od pokoleń. Muszę wiedzieć, czemu jesteś zbiegiem, i muszę cię uprzedzić, że zamierzam cię przekazać władzom po dotarciu do Castle Rock.

– Jestem heretykiem – oświadczył Simon. – Przynajmniej oni tak mnie nazywają. Ja wolę określać siebie mianem oświeconego teologa.

– To sprawa... religijna? – Simon skinął głową, a Goonar zmarszczył brwi. – Nie wiedziałem, że Benignity tak bardzo dba o religię.

Oczy Simona rozszerzyły się ze zdziwienia.

– Ty nie... nie wiesz, że tylko u nas przetrwała prawdziwa wiara? Goonar zamrugał.

– Która prawdziwa wiara? Znam tuzin sekt – dwa tuziny – i każda z nich uważa, że wyznaje prawdziwą wiarę.

– I to właśnie jest złe w Familiach Regnant – powiedział żarliwie Simon. – Zbyt wiele sekt, zbyt wiele systemów wiary, nie opartych na prawdzie.

– A w Benignity jest tylko jedna? – zapytał Goonar,

– Tak, oczywiście. Przynajmniej oficjalnie. Przypuszczam, że tu i ówdzie zdarzają się grupki zwolenników innych wyznań...

– A więc... jeśli uważają cię za heretyka, to oznacza, że oderwałeś się od prawdziwej wiary?

– Oni tak uważają – potwierdził Simon. – Ale nie ja.

Kolejny szalenciec religijny. Goonar przypomniał sobie młodego pijaka w barze na stacji Zenebra, i choć tamten był znacznie bardziej paskudny niż Simon, i tak zaliczył ich do tej samej grupy. Przynajmniej na razie.

– A dlaczego oni tak bardzo chcą cię złapać? – zapytał. Musi wiedzieć, czy *Fortune* będzie w niebezpieczeństwie po dostarczeniu Simona do Castle Rock.

– Ponieważ byłem spowiednikiem Przewodniczącego. Jego ostatnim spowiednikiem.

Goonar szukał w pamięci znaczenia tego słowa, ale w końcu się poddał.

– Kto to jest spowiednik?

– Kapłan, któremu wyznaje się swoje grzechy. W tajemnicy, co oznacza, że kapłan nigdy nie może nikomu powiedzieć, czego dowiedział się na spowiedzi. Nie byłem spowiednikiem Przewodniczącego, ale akurat znalazłem się w pałacu, gdy jego spowiednik zachorował. W takiej sytuacji kapłan jest kapłanem, więc... – Rozłożył dłonie.

– A więc jesteś heretykiem...

– Wtedy jeszcze mnie nie ogłoszono heretykiem. Widzisz, udałem się do miasta, aby porozmawiać z moimi przełożonymi, wyjaśnić im, dlaczego oni – lub ich poprzednicy – źle zinterpretowali odpowiednie pisma... ale jeszcze tego nie zrobiłem.

– Rozumiem – stwierdził Goonar, chociaż niczego nie rozumiał, ale pragnął, by Simon skończył już swoją opowieść.

– Cóż, wtedy wysłuchałem ostatniej spowiedzi Przewodniczącego, a potem on został stracony.

– Stracony?! – Goonar nie zamierzał mu przerywać, ale nie mógł się powstrzymać.

– Tak. Niemogę ci powiedzieć, dlaczego, ponieważ zdradził mi to w czasie spowiedzi. W

każdym razie został zabity, a kilka dni później, po wysłuchaniu mojego oświadczenia, kościół uznał, że jestem heretykiem. Byłem nim przynajmniej od dwóch lat, odkąd zacząłem pracować nad swoimi tezami. To oznacza, że ostatnia spowiedź Przewodniczącego została wysłuchana przez heretyka, a to nie jest czymś normalnym. Widzisz, przestraszyli się, że zdradzę tajemnicę spowiedzi, ponieważ jestem heretykiem.

– Aha. Uważają, że Przewodniczący zdradził ci jakieś tajemnice, których nie ujawniłbyś, gdybyś nie był heretykiem?

– Tak. Boją się, że wiem o rzeczach, o których nie wie – nie powinien wiedzieć – nikt inny, ponieważ były Przewodniczący dokonał ostatecznej spowiedzi, a to oczywiście omacza między innymi informacje o wewnętrznych działaniach rządu.

– A czy on rzeczywiście dokonał ostatecznej spowiedzi? – zapytał Goonar. – I skąd byś wiedział, gdyby tego nie zrobił?

– Bóg by wiedział – odpowiedział Simon. – Bóg by wiedział, a doświadczony kapłan zazwyczaj też to wie. Poświadczyłem, że Przewodniczący dokonał takiej spowiedzi.

– Czyli... oni ci nie ufają, że zachowasz tajemnicę spowiedzi, a ty natychmiast uciekasz na terytorium wroga?

– Nie od razu. Próbowałem im wyjaśnić, że traktuję moje śluby bardzo poważnie i że nigdy nie zdradzę tajemnicy spowiedzi. Ale było jasne, że mi nie wierzą, a szczególnie nie ufał mi nowy Przewodniczący. Ja... jestem gotów umrzeć za swoją wiarę, kapitanie Terakian, ale nie za nieporozumienie. Więc uciekłem. Zawsze wiele podróżowałem, nauczając i prowadząc badania, więc wiedziałem, jak to dyskretnie zrobić. Planowałem ucieczkę na teren Republiki Guerni, która wyjątkowo liberalnie traktuje religię, a ponadto dysponuje fantastycznym zbiorem źródeł, w których mógłbym znaleźć więcej materiałów na poparcie mojej tezy. Ale wtedy trafili na mój ślad.

– Jak znalazłeś się w trupie teatralnej? – zapytał Goonar.

– Bóg mnie prowadził – odpowiedział Simon. Goonar chciał jeszcze zapytać go o szczegóły, ale uznał, że to może poczekać do innej okazji.

Recepcja w sektorze Zawodowej Służby Kosmicznej stacji Trynidad pełna była spieszących się, zatroskanych przedstawicieli Floty, próbujących znaleźć połączenia z przydzielonymi im statkami, i równie spieszących się i zatroskanych przedstawicieli Floty, którzy próbowali nad nimi zapanować.

Esmay Suiza–Serrano weszła do budki identyfikacyjnej i czekała na sygnał potwierdzający, że jest tym, kim powinna być. Zamiast tego usłyszała, jak drzwi zamykają się za nią, i zobaczyła, że małe błyskające światełko, które powinno przybrać barwę zieloną, rozbłysło czerwienią. Mechaniczny głos powiedział: „Proszę nie opuszczać budki i pozostać na miejscu do czasu otwarcia zamka przez personel bezpieczeństwa. Proszę nie opuszczać budki i pozostać na miejscu...”.

Szum za jej plecami umilkł. Odwróciła się do wyjścia i wtedy zobaczyła wymierzoną w nią broń oraz bardzo groźnie wyglądającego strażnika w pancerzu.

– Ręce na głowę, przejść tutaj.

Widząc skierowaną w jej stronę broń, Esmay wołała się nie spierać. Wiedziała, że nie popełniła żadnego przestępstwa, ale to nie był czas na mówienie tego, więc posłusznie podniosła w górę ręce i wyszła z budki.

Na zewnątrz czekało jeszcze dwóch strażników z bronią w gotowości. Jeden z nich zabrał jej walizkę, a pozostali dwaj poprowadzili ją znacznie cichszym niż sala recepcyjna korytarzem.

– Tutaj. – „Tutaj” było małym pomieszczeniem, w którym została starannie przeszukana przez strażniczkę, w obecności uzbrojonego personelu bezpieczeństwa i umieszczonych w rogach skanerów.

– Może pani usiąść – powiedziała w końcu oficer. Esmay usiadła, coraz bardziej zaniepokojona.

– Czy coś jest nie w porządku ze skanem identyfikacyjnym? – zapytała.

– Nic takiego – odpowiedziała oficer. – Proszę czekać. – Wyszła, zostawiając strażników. Ten z jej torbą zniknął.

Czas mijał. Esmay myślała o wszystkich tych rzeczach, które mogłaby powiedzieć – zaszła jakąś pomyłka, o co chodzi, czemu mnie tu trzymacie – i milczała.

Potem głęboko westchnęła i zaczęła się zastanawiać, czy jej dawni wrogowie, przyjaciele Casei Ferradi, nie wrobili jej w jakieś przestępstwo.

W końcu do pokoju wpadł wściekły komandor i rzucił na stół teczkę z dokumentami.

– Mam rozkaz wydalic panią z dniem dzisiejszym z Zawodowej Służby Kosmicznej!

– Co?! Co tu się dzieje?

– Myślę, że pani bardzo dobrze wie, poruczniku Suiza. – Jej nazwisko zabrzmiało w jego ustach jak przekleństwo. – I byłoby najlepiej, gdyby pani przyjęła zwolnienie bez dalszych protestów.

Wbrew sobie podniosła głos.

– Pan wybaczy, komandorze, ale zgodnie z prawem mam prawo się dowiedzieć, o co zostałam oskarżona, i mieć możliwość obrony.

– W czasie wojny, jak pani dobrze wie, zamiast sądu wojennego można zastosować uproszczone orzecznictwo. Ale jeśli woli pani siedzieć w areszcie Floty przez najbliższy rok, aż zdołamy zebrać sąd, poinformuję admirała o pani życzeniu.

– Chcę poznać zarzuty – powiedziała Esmay. – Nie zrobiłam niczego złego.

– Tak? A jak pani nazwie uwiedzenie wnuka admirała Serrano, wbrew przepisom zabraniającym związków oficerów Floty z Oblubienicami Ziemi Suizów? Zresztą poinformowała pani Flotę o swoim statusie Oblubienicy dopiero ponad rok po tym, jak się pani nią stała... co też stanowi złamanie przepisów.

– Ale to było spowodowane tym bałaganem z Nowym Teksasem... – I ukryła pani polityczne znaczenie swojej rodziny już na etapie zgłaszania się do Akademii.

– Nieprawda!

– A potem zmusiła pani chłopca, aby ożenił się z panią. – On nie jest chłopcem... a ja go nie zmusiłam...

– Według mnie pani udział w ratowaniu córki lorda Thornbuckle'a był oczywistym spiskiem, mającym na celu osiągnięcie politycznego wpływu w tamtej rodzinie.

– Co?! Powinnam była pozwolić jej umrzeć?

– Powinna była pani zostać na tej swojej zacofanej planecie i sadzić ziemniaki razem z waszymi prymitywnymi wieśniakami. We Flocie nie ma miejsca dla takich ludzi jak pani. – Nachylił się ku niej, patrząc jej prosto w Oczy. – Dostaje pani dokumenty zwolnienia, czyli znacznie więcej niż to, na co pani zasługuje. Nie obchodzi mnie, czy dotrze pani do domu, czy nie. Nie obchodzi mnie, czy przeżyje pani następną godzinę. Ale jeśli na tej stacji sprawi pani choćby najmniejsze kłopoty,

osobiście wepchnę panią do służby i otworzę ją na próżnię. A wypowiadam się w tej sprawie również w imieniu mojego przełożonego, admirała Serrano. Czy to jasne?

Jasne było to, że wszelkie kłótnie są bezsensowne. Esmay wzięła swoją kostkę kredytową – przynajmniej ją oddali – mając nadzieję, że nie widać, jak bardzo jest roztrzęsiona. Spojrzenia żołnierzy były mniej zjadliwe; albo nie wierzyli w te kłamstwa, albo nic nie słyszeli.

Gdy tylko przeszła na cywilną stronę stacji, wcisnęła się w ekranowaną budkę łączności, by dać sobie czas do namysłu. Admirał Serrano. To musiała być Vida Serrano, ale... ale kapitan Atherton na *Rosa Gloria* powiedział, że zaakceptowała ich małżeństwo. Zmieniła zdanie? Dlaczego? Sprawdziła stan swojego konta i wywołała aktualne ceny biletów do domu. Może się tam dostać tylko okreśną drogą, a to zajmie jej całe miesiące i nie będzie miała szansy na oczyszczenie się z zarzutów. Spojrzała na tabele cen biletów do Castle Rock. Przez najbliższe trzy tygodnie nie odlatywał tam żaden statek pasażerski, a ona wołała nie zostawać na stacji przez trzy tygodnie, biorąc pod uwagę fakt, że lokalne władze będą szukały pretekstu, żeby ją aresztować.

Przejrzała listę statków w porcie; jedyna nazwa, która brzmiała trochę znajomo, to Terakian. Ta dziewczyna, Hazel, schwytana razem z Brun, miała podobne nazwisko. Terakian? Takeris? Nawet jeśli się myli, przynajmniej może zapytać.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Mężczyzna, który odebrał telefon, miał wygląd pirata z kostek przygodowych.

– *Terakian Fortune*, Basil Terakian–Junos.

– Próbuję odnaleźć młodą kobietę o imieniu Hazel, która została uratowana razem z Brun Meager z rąk Milicji Nowego Teksasu. Wydawało mi się, że nazywała się Terakian.

Wyraz jego twarzy nieco się zmienił.

– Hazel... Skąd pani zna Hazel?

– Jestem... byłam w grupie uderzeniowej.

– I jest pani...

– Po... – Pomięła stopień, którego już nie miała. – Esmay Suiza.

– Pani jest porucznik Suiza? – Teraz wyglądał na zadowolonego. – Przepraszam, że pani nie poznałem, poruczniku. W czym możemy pani pomóc?

Najlepiej od razu przejść do rzeczy.

– Nie jestem już oficerem Floty.

– Myślałem... No cóż, w takim razie, sera, co możemy dla pani zrobić? – Próbuję znaleźć jakiś środek transportu ze stacji w kierunku Castle Rock. Wiem, że za trzy tygodnie polecą tam liniowiec pasażerski, ale jeśli to możliwe, wołałabym odlecieć wcześniej.

– Wyczuwam tu jakąś dłuższą historię. Jest pani w ekranowanej budce, prawda?

– Tak.

– Segment B?

– Tak.

– Może przyszlaby pani do doków, sera? Wygląda na to, że musimy porozmawiać. – A on nie ufa ekranowanym komunikatorom, to jasne. – Segment D, poziom 2, numer 38. Mamy tam lokalne biuro, w którym spotkam się z panią.

– Przyjdę od razu – powiedziała Esmay i wywołała na ekranie komunikatora schemat stacji.

Z Segmentu B można było dostać się do D kolejką transgrawitacyjną. Esmay zerknęła na tabelę rozkładu jazdy i szybko wyszła z budki. Zdążyła wsiąść do wagoniku oznaczonego D tuż przed dzwoniem. Ktoś, kto szybko wszedł tuż za nią, próbował przepchnąć ją za barierkę, ale powstrzymał go strażnik. Esmay usiadła i opuściła zabezpieczenia fotela. Wagonik D był tylko w połowie zapełniony, za to przez okna widać było, że C jest pełen.

Kolejka zatrzymała się w B jeszcze dwa razy, po czym po sygnale ostrzegawczym alarmów grawitacyjnych prześliznęła się przez barierę tunelu międzysegmentowego. Żołądek Esmay przekonywał ją, że spada, ale na zewnątrz cały czas widziała potężne komory sekcji ciężkiego załadunku. Kolejka zatrzymała się i do środka weszło kilku pracowników w uniformach. Przy następnej barierze grawitacyjnej ciężar powrócił. Przy rozjeździe kilka wagoników skręciło do innych sekcji. Wagonik D przejechał przez kolejną sekcję z obniżonym ciężarem i Esmay w końcu wysiadła na przystanku w D.

Znajdowała się na poziomie 2. Po prawej stronie miała rząd sklepów i punktów usługowych dla załóg kupieckich, od barów i punktów pocztowych poczynając, a na łózkach na godziny kończąc. Po lewej stronie mieściły się instalacje dokowe dla statków i tymczasowe biura, każde wystrojone w stylu odpowiadającym właścicielowi statku. Konsorcjum Boros zajmowało stanowiska 32, 33 i 34;

długiego biura o osobnych wejściach dla klientów, obsługi i załogi strzeżli umundurowani, lecz nie uzbrojeni strażnicy. Pod numerem 35 było – teraz puste – składane „biuro” z prefabrykatów. Niewielka tabliczka oznajmiała, że zarezerwowano je dla *Mercedes R.* z właścicielem/kapitanem Calebem Montoyą. Numer 36 zajmował kolejny niezależny właściciel, ale z pojemniejszym portfelem; Firma Przewozowa Ganeshi miała wyświetlacz z tablicą informującą przechodniów, że biuro jest otwarte.

Numer 37 należał do umiarkowanie prosperującego właściciela. Klan Pomarańczy umieścił pomarańczowe pasy na futrynie i w oknach biura, wywiesił też flagę i tablicę statusu informującą, jaka powierzchnia statku wciąż jest dostępna dla klientów. Esmay zauważyła, że nie było miejsc dla pasażerów.

Biuro numer 38 wyglądało tak, że Esmay nie wiedziała, czy śmiać się, czy westchnąć z podziwu. Drogę do budynku wyłożono wielobarwnym dywanem we wzory kwiatowe, z rusztowań zwieszały się draperie, a przed drzwiami rosła w potężnym koszu ogromna palma. Na tablicy napisano „Terakian i Synowie Ltd., Transport Towarowy i Ekspresowy”, a ogromna dłoń wskazywała wejście do biura. W przeciwieństwie do pozostałych, biuro nie miało kształtu pudełka, lecz zbudowano je z krzywizn i stożków pomalowanych we wzory, przy których dywan wydawał się wręcz bezbarwny.

Esmay przeszła przez wysoki łuki znalazła się na zdumiewająco cichym małym placu. Czy to tylko tkaniny, czy Terakianowie zainstalowali tłumienie akustyczne? Wzruszyła ramionami i skierowała się do biura. Drzwi rozsunęły się, zanim ich dotknęła. Wewnątrz zobaczyła pomieszczenie wyglądające jak luksusowy salon: kolejny roślinny wzór na dywanie, tylko odrobinę bardziej stonowany, duże skórzane fotele, a pod jedną ze ścian lada, za którą stał bystrooki młodzieniec.

– Sera Suiza? – zapytał. Esmay kiwnęła głową. – Powiem Basilowi... – rzekł młodzieniec i wymamrotał coś do mikrofonu.

Natychmiast otworzyły się drugie drzwi i weszło dwóch mężczyzn. Jednego widziała na ekranie komunikatora; wyglądał równie zabawnie, jak wcześniej. Drugi był starszy, znacznie mniej rzucający się w oczy; najwyraźniej to on miał tu władzę.

– Jestem Goonar Terakian – przedstawił się ten starszy, wyciągając dłoń. – Kapitan *Terakian Fortune* i młodszy partner w Terakian i Synowie Ltd. Basil to mój kuzyn i pierwszy oficer na statku, pilnuje też załadunku. Pani jest Esmay Suiza, do niedawna z Floty, prawda?

– Tak, aż do dzisiejszego ranka. – Ścisnęło ją w gardle. Nie zamierzała teraz rozpamiętywać straty, więc tylko z trudem przełknęła ślinę.

– Sera, Basil powiedział mi, że chce pani jak najszybciej odlecieć z tej stacji.

– Nie powiedziałabym, że to pilne – uściśliła Esmay. – Po prostu nie chcę czekać na następny statek pasażerski lecący na Castle Rock.

– Sera, muszę pani powiedzieć wprost, że pomimo naszej wdzięczności za udział w uratowaniu Hazel Takeris, nie możemy pani pomóc, jeśli jest pani uciekinierem z Floty.

– Nie jestem. – Esmay poczuła falę gorąca wypływającą na jej twarz.

– Ja... zostałam zwolniona dziś rano i wciąż nie do końca rozumiem przyczyn. Chcą się mnie pozbyć z tej stacji – nawet zagrozili wyrzuceniem w przestrzeń – więc muszę się dostać tam, gdzie mogłabym ustalić, co się dzieje, i z tym walczyć.

– Wiemy, że jest pani śledzona.

– Naprawdę? – Esmay przypomniała sobie mężczyznę w kolejce.

– Może admirał po prostu chce się upewnić, że się stąd wyniosę.

– A może chce się dowiedzieć, z kim się pani spotka, i uzna nas za podejrzanych – odezwał się młodzieniec przy kontuarze. Goonar rzucił mu ostre spojrzenie.

– Ktoś cię pytał, Flacy?

– Nie, ja tylko...

– Idź i zrób nam kawę. – Młodzieniec wycofał się przez drzwi za ladą. Basil wyciągnął cylinder wyglądający jak te używane we Flocie do zagłuszania skanerów do podsłuchu, włączył go i położył na stole.

– Proszę usiąść, sera – zaproponował Goonar i Esmay opadła na poduszki. Mała lampka na cylindrze świeciła, co znaczyło, że powinni być zabezpieczeni przed podsłuchem. Goonar zajął miejsce po prawej stronie, a Basil na wprost niej.

– Dzieciaki – odezwał się Basil, wskazując na kontuar. – Nigdy nie wiedzą, kiedy trzymać język za zębami.

– A ty wiesz? – zapytał Goonar, ale z uśmiechem, który pozbawił jego słowa jadu. Potem zwrócił się do Esmay. – Sera, czy ma pani pojęcie, czemu Flota panią wyrzuciła, skoro właśnie trwa bunt i potrzebują każdego lojalnego oficera?

– Cóż, mniej więcej. – Esmay poczuła, że jej rumieniec się pogłębia. – Admirał Serrano – to jest Vida Serrano – jest zła na moją rodzinę, a... a ja właśnie wysłałam za męża za jej wnuka.

– Co takiego?! – zapytał Basil. Goonar wydał z siebie dziwny dźwięk, który Esmay uznała za stłumiony śmiech.

– Poślubiłam jej wnuka. On... my próbowaliśmy już od bardzo dawna przekonać do tego nasze rodziny i w końcu udało nam się znaleźć chwilę na spotkanie z jego rodzicami. Byli tam wszyscy Serrano i jego babka – admirał Vida – wyciągnęła jakąś opowieść o mojej rodzinie... – Esmay głęboko wciągnęła powietrze; nagle znalazła się na skraju łez. – To wcale tak nie było, ale ona w to wierzy. Powiedziała, że nigdy nie będziemy mogli się pobrać, a potem dowiedzieliśmy się o buncie i musieliśmy wracać na służbę, więc... więc...

– Więc gdzieś po drodze wymknęliście się i pobraliście – dokończył Basil.

– Nie wymknęliśmy się – zaprotestowała Esmay. – Ale my nie... nie powiedzieliśmy o tym nikomu wcześniej.

– Czyli ani jego, ani pani rodzinie – dopowiedział Goonar. Twarz miał poważną, ale drzenie kącika ust zdradzało, że uznaje to za zabawne.

Ale Basil wcale tak nie uważał.

– Wyrzucili panią za ślub z dzieciakiem Serrano? Chociaż jest pani bohaterką?

– Jestem też na Altiplano Oblubienicą Ziemi.

– Ma pani dwóch mężów? – Basil spojrzał ze zdziwieniem na Goonara. – Przypuszczam, że to by wszystko wyjaśniało. Chłopak w każdym porcie?

– Nie, to nie to – odpowiedziała gniewnie Esmay. – Oblubienica Ziemi to... tytuł religijny. To kobieta, która jest odpowiedzialna za ziemię... za pilnowanie, by o nią dbano.

– Aha. I to jest dla nich problemem? Czy zamierzała pani tam wrócić i zabrać męża ze sobą?

– Nie, chciałam zrezygnować z tytułu Oblubienicy – przekazać go mojej kuzynce Luci – i zostać

we Flocie. Ale wtedy tyle zaczęło się dziać

– Zawsze tak jest – zawyrokował Goonar. Wydawał się Esmay cichszy i nie tak przystojny jak Basil; pomyślała, że ma smutne oczy.

– A więc... po otrzymaniu wiadomości o buncie podróżowaliśmy razem na przydzielone nam stanowiska i... po prostu się pobraliśmy. Czekaliśmy tak długo i tyle się działo...

– I to zapewne bez wypełnienia odpowiednich formularzy – zasugerował Goonar. – I bez zgody rodziny?

Twarz Esmay przybrała barwę purpury.

– Oczywiście bez.

– To mogło ich zirytować. – Basil odchylił się w fotelu, unosząc teatralnie jedną brew.

– Przestań, Bas – rzekł Goonar. – Nieudolnie naśladujesz naszych pasażerów.

– Muszę jakoś dotrzeć do domu – powiedziała Esmay. – Pomyślałam, że jeśli mogłabym porozmawiać z Hazel – o ile jest na tym statku – może by mi pomogła.

– Czemu nie skontaktuje się pani z tą dziewczyną Thornbuckle'ów? Jest wystarczająco bogata, by kupić pani własny statek.

– Nie chcę sprowadzać na nią kłopotów. Nie zasługuje na to.

– A pani zasługuje? – Goonar uniósł obie brwi. – Jak dotąd słyszeliśmy o pani same dobre rzeczy, zarówno z wiadomości, jak i od Hazel. Bohaterka Xaviera. Osoba, która uratowała *Kosa*. A potem córkę Mówcy.

– Ale nie zrobiłam tego sama. A skąd pan wie o *Kosie*? – Niewiele jest rzeczy, o których niezależni kupcy nie wiedzą – rzucił Basil.

– Przestań, Bas. Zachowujesz się jak trzeciorzędny aktor w szpiegowskim dreszczowcu. Poruczniku... sera, sądzę, że nasza rodzina jest pani coś winna za udział w uratowaniu Hazel, ale nie jesteśmy liniowcem pasażerskim, przewozimy mieszany ładunek.

– Ale powiedział pan, że macie pasażerów... – Esmay umilkła, widząc nagłą zmianę wyrazu jego twarzy.

– Cóż, już za późno – odezwał się Basil, tym razem z całkowicie obojętną miną. – A podobno ty jesteś ten ostrożny.

– Co?

– Czasami przewozimy pasażerów, ale zwykle nie. Niedawno mieliśmy paru...

– W takim razie mogłabym... oczywiście za opłatą. Nie znam stawek...

– Jak już powiedziałem, mamy wobec pani dług, ale naprawdę nie mamy odpowiednich kabin pasażerskich.

– Nie jestem przyzwyczajona do luksusu.

– Przypuszczam, że nie. – Goonar zagryzł wargę. – Cóż... Jeśli może pani dzielić z kimś małą kabinę i spać na zmiany, możemy panią zabrać. Dokąd chce pani lecieć?

– Castle Rock. – Esmay była przekonana, prawie pewna, że Brun jest właśnie tam. Może spotkać się z nią prywatnie, nie mieszając w to Floty, i może Brun będzie mogła dowiedzieć się, co ma zrobić, żeby wrócić do Floty, nawet wbrew woli potężnej admirał Serrano.

– Nie Altiplano?

– Jeszcze nie teraz – odpowiedziała, ale pomyślała „nigdy”. Goonar kiwnął głową.

– No dobrze. Prawdopodobnie nie zna pani cywilnych przepisów, ale musimy panią wykazać w manifeście jako pasażerkę. Ma pani cywilne dokumenty?

– Coś w tym rodzaju. Mam dokumenty o zwolnieniu.

– Proszę mi pokazać. – Goonar wyciągnął dłoń, a Esmay podała mu płaski, przypominający kartę dokument potwierdzający jej zwolnienie z Floty. Goonar sięgnął pod niski stoliki wyciągnął skaner identyfikacyjny, po czym przesunął nim nad kartą. – Tak, jest wszystko, czego potrzeba: nazwisko, wzory siatkówki i odcisków palców, planeta pochodzenia i historia zatrudnienia. Opuściła pani dom w młodym wieku, prawda?

– Tak – przyznała Esmay. – Wcześniej wyrzuciło mnie w przestrzeń.

– Nasze dzieciaki też wcześniej zaczynają. Właściwie nawet wcześniej niż pani, ale oczywiście ich rodziny żyją w przestrzeni. – Oddał jej dokument. – Proszę. Będzie pani chciała podróżować pod własnym nazwiskiem, prawda?

– Tak, paniąskim Nie było jeszcze czasu na jego zmianę.

– Dobrze. Wprowadziłem panią do naszego dziennika. Co do bagażu...

– Nie mam wiele. Powiedzieli, że wyślą mi resztę moich rzeczy. Są gdzieś w drodze między statkiem, który opuściłam przed wyjściem na przepustkę, i tym, do którego mnie przydzielono.

– Ma pani wszystko, co potrzeba? Możemy wysłać kogoś, jeśli czegoś pani brakuje.

– Poradzę sobie – stwierdziła Esmay. Miała tylko kilka cywilnych ubrań, ale nie chciała tutaj robić zakupów... ani wysłać kogoś, by to zrobił dla niej.

– To dobrze. W takim razie może pani od razu wejść na pokład, skoro nie chce pani być widziana na stacji. Nie jesteśmy jeszcze gotowi do złożenia naszych namiotów. Nasza kolejka nadejdzie dopiero za dwa dni i wolałbym – urwał i spojrzał na Basila – nie odlatywać pośpiesznie z portu, o ile to nie jest absolutnie konieczne.

– Było – wymamrotał Basil. Esmay wyczuła jakieś napięcie między mężczyznami.

– Czy to panią zadowala, sera?

– Jestem bardzo wdzięczna – powiedziała Esmay. – Teraz odnośnie zapłaty...

Goonar machnął ręką.

– Niech pani o tym zapomni. Powiedziałem zarządcy stacji, że nie jesteśmy statkiem pasażerskim, ale nie zamierzam zostawić w potrzebie bohaterki Xaviera... ani też brać za to pieniędzy. To dla mnie sprawa honoru.

Esmay nie do końca to rozumiała, ale dowódca *Terakian Fortune* i jego zastępca zdawali się być z jakiegoś powodu zadowoleni. Basil, jako nadzorujący załadunek, zabrał ją do pomieszczenia wypełnionego sprzętem elektronicznym, a potem przez rurę na pokład statku.

Jak się okazało, cywilny statek kupiecki miał własny ceremoniał, który w niczym nie przypominał surowych zasad Zawodowej Służby Kosmicznej. Szczupły młodzieniec w zielonej tunice zaprowadził ją do pokoiku, który miała zajmować w czasie zmiany przeznaczonej na sen, i wskazał mały schowek, do którego mogła wcisnąć swoje przybory toaletowe. Ubrania musiała upchnąć po drugiej stronie korytarza, w szafce już pełnej walizek. Chłopak wydawał się zdecydowanie za młody na pracę na pokładzie statku, i Esmay przez chwilę pomyślała nawet o porwaniu dzieci, ale przypomniała sobie, że Hazel również była bardzo młoda. Najwyraźniej cywilni kupcy zabierają ze sobą w podróż swoje dzieci.

– Jesteś synem kapitana? – zapytała.

Rzucił jej zdumione spojrzenie.

– Ja, sera? Kapitana Goonara? Nie, sera. Goonar nie ma dzieci, wszystkie zginęły. Jestem Kosta Terakian–Cibo, syn ciotki ser Basila ze strony jego matki. To moja pierwsza podróż jako członka załogi, sera. To znaczy nadal się uczę, ale dostaję pełną pensję. – Uśmiechnął się dumnie. Esmay pogratulowała mu, a on podziękował skinieniem. – Jedyne problemy w tym, że Ojcowie uważają, iż młodzież nie powinna wydawać wszystkich swoich pieniędzy. Będę musiał poczekać do końca podróży, by kupić nowy odtwarzacz kostek, który sobie upatrzyłem.

– I bardzo dobrze. – Basil wyłonił się z bocznego korytarza i spojrzał ostro na chłopca. – Musielibyśmy go skonfiskować, żeby wszyscy na statku nie ogluchli. Idź już, Kosta, i zostaw damę w spokoju. Zrobiłeś analizę rotacyjną?

– Tak, ser Basil. – Chłopak wyciągnął z kieszeni podręczny wyświetlacz i włączył go. – Tu jest bagaż sery, a tu moment obrotowy i...

– Dobrze. A dałeś jej książki pokładowe?

– Nie, nie byłem pewien...

– Oczywiście, że musi się z nimi zapoznać. – Basil spojrzał na Esmay. – Może przejdziemy się do kwestora. Niestety, nie we wszystkich pomieszczeniach zamontowaliśmy czytniki kostek, więc będzie pani musiała czytać wydruk.

– To żaden problem – stwierdziła Esmay i ruszyła za nim korytarzem, a potem następnym, automatycznie je mapując. Kwestura mieściła się w średniej wielkości pomieszczeniu pełnym biur, segregatorów i maszyn biurowych.

Basil podszedł do rzędu półek i wyciągnął dwa zniszczone podręczniki, z których jeden opisywał budowę statku, a drugi procedury awaryjne.

Jak się zorientowała, *Terakian Fortune* odpowiadał tonażem mniej więcej małemu krążownikowi, ale był zupełnie inaczej zaprojektowany. W przeciwieństwie do wielkich sferycznych kontenerowców, ładownie *Fortune* były dostępne dla załogi. Wszystko ładowano i wyładowywano przez dok promowy, który był dostatecznie duży, by przyjąć standardowe kontenery orbitalno–powierzchniowe i same promy. Powierzchnia, którą na krążowniku zajmowało uzbrojenie i amunicja, tutaj wykorzystywana była na ładownie... podobnie jak przestrzeń załogowa w przypadku okrętów wymagających większej obsługi. Esmay trudno było uwierzyć, że tylko dwadzieścia osób może prowadzić taki statek, a jednak w miarę, jak czytała podręcznik, dochodziła do wniosku, że wszystkie zasadnicze stanowiska zostały obsadzone z dostateczną redundancją.

Mimo to świadomość, że *Fortune* nie dysponuje żadnym poważnym uzbrojeniem i ma tarcze tylko niewiele lepsze niż prywatny jacht, sprawiała, że czuła się bezbronna. Broń była najwyraźniej przeznaczona do odstraszenia słabo uzbrojonych piratów... a ktoś przeciągnął linie duplikatorów, które na gorszych skanerach mogłyby zostać rozpoznane jako dodatkowe uzbrojenie.

Rozległo się pukanie do drzwi. Był to ten sam chłopiec, który ją tu przyprowadził. Kosta?

– Sera została tymczasowo przydzielona do drugiej zmiany, co oznacza dzisiaj trzecią kolejkę w mesie – poinformował chłopiec. – Wuj... kapitan Terakian jada w porcie. Druga kolejka właśnie kończy lunch i mam panią zaprowadzić do mesy.

– Dziękuję... Kosta?

– Tak, sera. – Jego uśmiech poszerzył się. – Terakian–Cibo, ale tego nie musi pani pamiętać. Proszę nazywać mnie Kosta, wszyscy tak do mnie mówią.

Słowa „zmiana” i „kolejka” nic jej nie mówiły; czy druga kolejka to jest to samo, co druga wachta? Ale zamiast spytać, poszła za chłopcem do mesy. Na cywilnym statku kupieckim mesa w niczym nie przypominała mesy na okręcie; wyglądała jak mała restauracja w centrum handlowym. Pomieszczenie było duże, mieściło osiem czteroosobowych stołów. Trzydzieści dwie osoby na kolejkę? W takim razie czemu jest więcej niż tylko jedna kolejka na zmianę?

– Właściwie tu nie ma przydzielonych miejsc – wyjaśnił Kosta. – Może pani usiąść z nami. – Wskazał na stół, przy którym siadali właśnie dwaj młodzi ludzie. – Jeśli pani chce – dodał tonem, który nie był zbyt zachęcający.

Esmay i tak nie miała wielkiej ochoty na siedzenie z grupką młodzieży.

– Dziękuję, ale wygląda na to, że jest tu mnóstwo wolnych miejsc – rzekła. – Jeśli nie masz nic przeciwko temu...

– Nie, sera. Przyda mi się trochę czasu na powtórkę przed dzisiejszym testem. Trafi pani sama z powrotem?

– Mam nadzieję. Jeśli nie, to po prostu spytam kogoś o drogę.

– Każdy pani pomoże, sera – zapewnił ją Kosta. – Proszę tylko zapamiętać C-23, to pani numer.

Esmay skierowała się do bufetu na drugim końcu pomieszczenia. Jedzenie ładnie pachniało wieloma przyprawami. Wzięła porcję czegoś przypominającego gulasz i kilka rolad. Postawiła tacę na jednym z pustych stołów i usiadła. Pojemniki ustawione na stole zawierały przyprawy, o których nigdy nie słyszała, oczywiście oprócz soli i pieprzu. Niektóre etykiety były napisane w nieznanym jej językach.

– To goolgi jest bardzo dobre z sosem khungi – powiedział ktoś. Przy stole stała ponętna kobieta z czerwono-brązowymi włosami. – Można?

– Oczywiście – rzekła. – Jestem Esmay Suiza.

– Betharnya Vi Negaro. Pani musi być pasażerką.

– Tak, jestem pasażerką. A pani? Nie należy pani do Terakianów?

– Nie wszyscy są Terakianami – odpowiedziała kobieta. Ona także wzięła porcję gulaszu. Otworzyła buteleczkę z obrazem pędzącego byka na etykiecie i wycisnęła do miski sporą ilość gęstego brązowego sosu.

– Nie lubi pani sosu khungi?

– Nigdy go nie próbowałam. Nigdy nie jadłam tego rodzaju rzeczy. – Esmay spróbowała łyżkę goolgi i jej usta wypełnił ognisty smak pepperoni.

– Robią tu niezłe goolgi, ale zbyt mdłe – stwierdziła kobieta. – Khungi dodaje mu nieco życia.

Ogień w ustach Esmay wyraźnie nabral temperatury. Sięgnęła po szklanekę z wodą.

– Myślę, że jest wystarczająco pikantne – powiedziała.

– Khungi nie dodaje ostrości – wyjaśniła Betharnya – tylko nieco głębi. Powinna pani spróbować choć odrobinę.

Właściwie może to sprawdzić. Wycisnęła kroplę brązowego sosu i wymieszała go z goolgi. Mieszanka w pierwszej chwili niemal spaliła jej podniebienie, ale potem to uczucie gwałtownie minęło.

– Czy mogłaby mi pani wyjaśnić, o co chodzi z tymi kolejkami? – zapytała Esmay.

– Oczywiście. – Betharnya przełknęła porcję goolgi i wytarła usta.

– Rzecz w tym, że w tej chwili mamy trochę za dużo załogi, więc aktualna zmiana je jako pierwsza... żeby szybko wrócić do pracy. Potem je zmiana, która zakończyła pracę. Oni siedzą przy tablicach, podczas gdy pierwsza zmiana zjada posiłek. Załoga zmiany mającej przerwę na sen też może jeść, jeśli chce, ale dopiero w trzeciej kolejności. To jest szczególnie ważne w porcie, gdy większość załogi i tak nie jest na służbie.

– To ma sens – przyznała Esmay. – Nigdy wcześniej nie byłam na statku kupieckim.

– U nas to się sprawdza – stwierdziła Betharnya. – Nie wiem, jak radzą sobie z tym inni kupcy.

– Jak długo jesteście zazwyczaj poza rodzinną planetą? Czy większość czasu spędzacie w przestrzeni?

– Różnie... Ja nie widziałam swojej planety od trzech czy czterech standardowych lat, ale niektórzy udają się do domu co roku. Zazwyczaj nie mamy w kosmosie małych dzieci; statki nie dysponują dostateczną przestrzenią. – Kobieta uśmiechnęła się. – Mamy za to młodszych praktykantów, którzy bywają dość hałaśliwi. – Przechyliła głowę, przyglądając się Esmay. – Teraz twoja kolej. Opowiedz mi o sobie.

– Byłam oficerem Zawodowej Służby Kosmicznej. Opuściłam rodzinną planetę, udając się do szkoły wstępnej, potem była Akademia i Flota. Od tego czasu tylko dwukrotnie byłam w domu.

– A teraz po opuszczeniu Floty lecisz do domu?

– Ja... nie wiem. – Nie chciała o tym rozmawiać ze wszystkimi na statku. – W tej chwili kieruję się na Castle Rock.

– Podobnie jak my. Dość okrężną drogą, ale dostaniemy się tam. – Betharnya rozejrzała się, a wyraz jej twarzy uległ zmianie. – Jeśli mi wybaczysz, sera, powinnam wracać...

Esmay podążyła wzrokiem za jej spojrzeniem. W wejściu do mesy zobaczyła ładną blondynkę i jeszcze przystojniejszego mężczyznę. To zdumiewające, że na statku jest tylu pięknych ludzi... którzy wyglądają jak aktorzy.

Serialis

Lady Cecelia de Marktos obudziła się wcześnie, i choć nie był to sezon łowiecki, skierowała się do stajni. Najlepszym lekarstwem dla niespokojnego umysłu – przynajmniej w jej przypadku – było spędzenie kilku godzin ze zwierzętami, które nie potrafią kłamać. Z każdym krokiem, który oddalał ją od domu, w którym Miranda – może przypadkiem – zabiła Pedara Orregiemosa, czuła się coraz lepiej.

Neil, który kierował stajniami od przynajmniej trzydziestu lat, uśmiechnął się na jej widok.

– Słyszałem, że pani przyleciała, lady Cecelio – powiedział. – Jak się ma milady?

– To straszna tragedia – powiedziała Cecelia. Tak jak się spodziewała, jego twarz nawet nie drgnęła.

– Będzie chciała stąd odlecieć? – zapytał. – Wróci, aby walczyć o swoje dziedzictwo?

– Nie, nie sądzę. Harlis... ma inne problemy na głowie. – Nie była pewna, ile może powiedzieć, a ile powinna przemilczeć.

– To dobrze. Proszę jej tylko powiedzieć, że naprawiłem to wędzidło, nad którym pracowała.

– Wędzidło?

– Tak, kilka dni temu pracowała w starej kuźni nad złamanym wędzidłem.

Po plecach Cecelii przebiegł zimny dreszcz. Nie wyobrażała sobie, że Miranda potrafi sama naprawiać wędzidła.

– Jeszcze nigdy nie widziałam starej kuźni – powiedziała niedbale. – Gdzie ona jest?

– Tam, na tyłach. – W gestach Neila wyczuła nagle napięcie. – W tej chwili to tylko pomieszczenie robocze. Przypuszczam, że poszła tam, żeby mieć chwilę spokoju od tego faceta.

To nie spokoju szukała tam Miranda, pomyślała Cecelia.

Stara kuźnia wyglądała jak każdy dobrze utrzymany warsztat metalurgiczny. Równe rzędy narzędzi, kilka małych kosiaków, półka butelek z etykietkami. Podeszła, by im się lepiej przyjrzeć. Odczynniki chemiczne, których w większości nie знаła. Na blacie zobaczyła parę ostróg wstawionych w imadło i puszkę z różnej wielkości sprzączkami, a obok tego proste kleszcze, garść hufnali i pudełko rogowych okładzin do uchwytów, a także misę z różnymi strzępkami i wiórami. Cecelia zamieszała w niej palcem, nie do końca pewna, co spodziewa się znaleźć. Palec natrafił na coś ostrego. Był to mały, zakrzywiony kawałek dziurkowanego metalu; wyglądał na sporo starszy niż reszta.

Cecelia zaczęła się zastanawiać, co to może być. Na pewno nie jest to fragment końskiej uprzęży, wygląda raczej jak kawałek skorupki bardzo dużego jaja, ale z dziurkami... Wsadziła to do kieszeni i wróciła na plac, gdzie Neil stał i przyglądał się dwóm koniom rozgrzewającym się na długiej linie. Jak zwykle widok pięknie poruszającego się konia zahipnotyzował ją.

– Tu jesteś! – Miranda, w nienaganych bryczesach i bladoniebieskiej koszuli, nabrała w chłodzie poranka rumieńców i wyglądała teraz jak elegancka i opanowana pani na włościach. – Powinnam była wiedzieć, że tu przyjdiesz przed śniadaniem.

– Przyzwyczajenie... Ale oczywiście to nie sezon i nikt nie spodziewał się, że tak wcześnie będę chciała jeździć.

– To co, chcesz się tu pokręcić przy koniach czy masz ochotę na śniadanie?

– Byłam... Neil powiedział, że kilka dni temu byłaś w starej kuźni.

– Doprawdy? – Oczy Mirandy skierowane były na kasztanka. – Nigdy wcześniej jej nie widziałam – powiedziała Cecelia. Dostrzegła nagle napięcie mięśni na karku Mirandy. – To miły warsztacik.

– Tak, to prawda. Używamy go teraz do naprawiania uprzęży.

– Tak właśnie powiedział Neil. Ja sama nigdy tego nie robiłam... no, oprócz skóry. Powiedział, że pracowałaś nad wędzidłem i że on je dokończył. Znalazłam tam coś takiego... – Wyciągnęła z kieszeni kawałek metalu.

– O rety, ciekawe, co to jest. Wygląda na dość stare.

– Nie przypomina uprzęży, raczej jakąś osłonę. – Cecelia wsadziła przedmiot z powrotem do kieszeni. – Jak się dziś czujesz?

– Jestem wstrząśnięta. Nie potrafię... Zbyt wiele się stało i zbyt szybko. Nie mogę uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Śniadanie z obowiązkowymi pogaduszkami było straszne. Cecelia dłużyła w jajkach na szynce, a Miranda w swojej porcji płatków. W końcu służąca zabrała talerze.

– Znów muszę się spotkać z oficerem milicji – powiedziała Miranda. – Nie mam pojęcia, co robić, a Kevil jest niesprawny...

– Mirando, musisz sobie z tym poradzić.

– Jak? – Jej niebieskie oczy były pełne łez. – Jak mam sobie poradzić ze śmiercią Bunny'ego, Harlisem, który próbuje nas oszukać, i Pedarem...

Powiedz prawdę, pomyślała Cecelia, i ruszyła za Mirandą długim korytarzem, którego ściany obwieszane były obrazami. Przechodząc obok gablotki, w której przechowywano starą broń, zatrzymała się gwałtownie. Oczywiście gablotka była częściowo opróżniona; w miejscach, gdzie wisiała broń i maski użyte przez Mirandę i Pedara, pozostały niewielkie odbarwienia.

Spojrzała na solidny metalowy hełm... z takimi samymi otworami, jak w kawałku metalu, który trzymała w kieszeni. Zacisnęła na nim dłoń.

– O co chodzi? – zapytała Miranda, zawracając.

– Mirando, jestem pewna, że to... – wyciągnęła kawałek metalu – pochodzi z maski. Że coś z nią zrobiłaś. Gdybym się na tym znała i zbadała chemikalia w kuźni...

Miranda milczała.

– Nie możesz oczekiwać, że tak to zostawię...

– Nie. – Głos Mirandy był stłumiony, jakby płakała. – Wiem, że będziesz chciała poznać nawet najbardziej niewygodną prawdę.

– To znaczy, że ty...

Miranda uderzyła pięścią w stół.

– Oczywiście, że to zrobiłam. Niech cię diabli, Cecelio. Ten człowiek kazał zabić mojego męża, a jego kretyńskie spiski jako ministra spraw zagranicznych zagrażały nam wszystkim włącznie z moimi dziećmi. I zmuszał mnie, żebym go poślubiła. Był podłym, nikczemnym, ośliźłym draniem...

– A teraz ty jesteś morderczynią.

– Zabójczynią – poprawiła ją Miranda. – Morderstwo to definicja prawna.

– Nieważne, jak to nazwiesz. Obie wiemy, że nie możesz z tym żyć... w naszym społeczeństwie.

– Och, świetnie. Pedar może kazać zabić mojego męża i dostać ministerstwo, aleja...

– Przestań. – Cecelia nawet nie próbowała ukryć pogardy w głosie. – Miałaś już dowody na Harlisa. Mogłaś poczekać i dopaść Pedara zgodnie z prawem.

– Obawiałam się, że ujdzie mu to na sucho.

– Nie możesz się zachowywać tak, jakby nic się nie stało. Nie możesz. To będzie miało wpływ na życie twoich dzieci, wnuków, ich pozycję w Familiach... Brun jest na Castle Rock. Gdybyś tylko mogła ją zobaczyć, Mirando. To jakby... – Ugryzła się w język, zanim powiedziała „jakby Brunany wrócił”. – Dojrzała, naprawdę dorosła. Ma wielki talent...

– Oczywiście, że ma – stwierdziła Miranda, odwracając wzrok. – To moja córka... i Bunny'ego. Gdyby tylko trochę wcześniej dorosła, wyszła za męż...

– Ona nie musi wychodzić za męż. Bardzo dobrze radzi sobie sama. I nie potrzebuje też żyjącej obok niej matki morderczyni, która stanowi świetny cel ataku wrogów.

– Buttons...

– Buttons ma swoje własne życie. I choć ma wiele twoich i Bunny'ego zalet, brak mu błyskotliwości Brun. Poza tym nie powstrzyma ludzi, którzy będą chcieli użyć ciebie przeciwko Brun. – Uparty wyraz twarzy Mirandy tak zirytował Cecelię, że wybuchła. – Boże, Mirando, już wiem, skąd się u niej wzięła ta lekkomyślność i upór w działaniu po swoim, niezależnie od

wszystkiego.

– Ja nigdy...

– Z pewnością to nie był pierwszy raz. – Pod wpływem gniewu pamięć podsunęła jej sytuacje, które do tej pory tkwiły w otchłani zapomnienia. – Nie zawsze byłaś zimna i wyrachowana... jak choćby na tym przyjęciu urodzinowym, kiedy wepchnęłaś Lonie do fontanny.

– Och, przestań. – Miranda, zaczerwieniona z gniewu, po raz pierwszy od czasu śmierci Bunny'ego była tak ożywiona. – Byłam jak każde dziecko, szybka i porywczą. Ale już wyrosłam z tego.

– Biorąc pod uwagę fakt, że wsadziłaś Pedarowi w oko ostrze, nie powiedziałabym, że wyrosłaś. – Cecelia nabrała powietrza. – Słuchaj, jeśli tu zostaniesz – chociaż to mało prawdopodobne, żeby tu po ciebie przylecieli – co się stanie z innymi ludźmi na Sirialis? Co z twoimi dziećmi? Chciałaś tego wszystkiego dla nich, pamiętasz?

– W takim razie powiedz mi, co mam robić.

– Opuść Familie. Poleć do... och, nie wiem, może do Republiki Guerni. Spróbuj się wyleczyć z tego, co sprawiło, że mogłaś z czystym sumieniem zabić człowieka. Zostań tam przez dłuższy czas...

– I daj się po drodze zaaresztować. Bądź rozsądna, Cecelio. – Ja cię zabiorę – rzekła, pewna, że będzie tego żałować, ale poczucie obowiązku nakazywało jej to zrobić.

– Ty! Ty mnie nienawidzisz, uważasz, że jestem morderczynią. Zresztą nie ma miejsca na tym małym jachcie, którym teraz podróżujesz.

– Wcale cię nie nienawidzę. I nie boję się ciebie. A codo statku, to przekonałam się, że nie lubię być zupełnie sama przez tak długi czas. Statek jest mały, ale wystarczy na dwie osoby.

– A... co zamierzasz powiedzieć naszemu kapitanowi milicji?

– Odpowiem dokładnie na pytania, które mi zada. A to już jego sprawa, co z tym zrobi.

Pytania dotyczyły w dużym stopniu tych samych spraw, co dzień wcześniej. Kiedy przybyła, co zobaczyła, co powiedziała i zrobiła Miranda. Cecelia rozpoznała w kapitanie milicji człowieka, który woli nie myśleć o tym, co naprawdę mogło się wydarzyć, jeśli tylko pojawia się wystarczająco dobre wyjaśnienie.

– Czy pani znała nieboszczyka?

– Trochę – odparła i wydeła wargi. – Mój koń pokonał jego konia na wyścigach Wherrin, zaraz po tym, jak Bunny... lord Thornbuckle został zabity.

– Był tam?

– Pedar? Oczywiście. Uważał, że może wygrać.

– Jechał osobiście?

– Nie, miał dżokeja. Pedar nigdy nie był... szczególnie zainteresowany ponoszeniem ryzyka.

– A jednak lady Thornbuckle powiedziała, że poprosiło stary sprzęt do szermierki. – Kapitan milicji spojrział na nią ostro, jakby ją na czymś przyłapał.

Cecelia wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, jakim był szermierzem. Ja nie fechtuję, tylko jeżdżę konno. – Przesłuchujący ją uśmiechnął się i kiwnął głową. Wszyscy tutaj o tym wiedzieli.

– Ser Orregiemos był dobrym szermierzem, milady. Według lady Thornbuckle, w młodości wygrał wiele turniejów., Nie była pewna, kiedy ostatni raz brał udział w zawodach, ale przy

wielokrotnym odmładzaniu mogło to być całkiem niedawno. – Urwał. – Kiedy rozmawiałem z lady Thornbuckle, powiedziała mi, że przyleciała tutaj, gdyż pragnęła samotności. Byliśmy więc wszyscy zaskoczeni przybyciem ser Orregiemosa.

– Cóż, podobnie jak ja, kiedy dowiedziałam się, że tutaj jest. To odrażająca pluskwa.

– Pani go nie... nie lubiła. – To nie było pytanie.

– Nie. Nikt z nas – to znaczy koniarzy – nie uważał go za szczerego człowieka.

– Ale nie zna pani żadnego powodu, dla którego... to znaczy... nie było jakichś tarć między nimi lady Thornbuckle?

– O niczym takim mi nie wiadomo. Powiedziałabym, że lubił ją trochę bardziej niż ona jego, ale to Bunny... lord Thornbuckle naprawdę go nie znosił. To się zaczęło jeszcze w czasach polowań, jakieś dwadzieścia lat temu. Uparł się, że powinien mieć szybkiego konia, a potem wjechał na psy...

– Och. – Kapitan stracił zainteresowanie. Spór w trakcie polowania przed dwudziestu laty nie mógł mieć związku z morderstwem.

– To trudna sprawa – powiedział, stukając stylusem po rejestratorze. – To jest prywatna planeta. Wprawdzie to ja stanowią tutaj prawo, ale zawsze było ono naginane do woli lorda Thornbuckle'a.

– Miranda chciałaby, żeby postąpił pan właściwie – zapewniła go Cecelia.

– Prywatne posiadłości nie podlegają nawet inspektorom Familii, ale... widzi pani, problem w tym... że to minister. Osoba publiczna. Ja... – odchrząknął. – Czy mogę panią zapytać o plany?

– Razem z lady Thornbuckle planujemy podróż do Republiki Guerni. Ona martwi się, że z jakichś powodów medycznych nie mogła zatrzymać pchnięcia, kiedy złamało się ostrze. Boi się, że może być w jakimś stopniu odpowiedzialna za śmierć Orregiemosa. A ponieważ ostatnio pojawiły się plotki o nieudanych odmłodzeniach... zamierza poddać się badaniom w ich klinikach

– Aha. – Postukał się stylusem w brodę. – Oczywiście. Nie pomyślałem o tym, ale plotki dotarły nawet tutaj. To faktycznie dobry pomysł, milady.

– Ale tylko pod warunkiem, że pan to zaakceptuje – powiedziała Cecelia.

– Myślę, że tak. Mamy wszystkie zapisy skanu. Jeśli można, milady, sugerowałbym szybki odlot. – Zanim wieści dotrą do reszty Familii, zanim krewni i przyjaciele Pedara zażądają przeprowadzenia niezależnego śledztwa.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Dowództwo Sektora Pięć

Heris Serrano i jej cioteczna babka Vida – znów admirał w aktywnej służbie – natknęły się na siebie w korytarzu tymczasowych kwater dla podróżujących oficerów; obie były w drodze na przydzielone im stanowiska. Heris, która wciąż była zła na admirał za jej wystąpienie w trakcie zebrania rodzinnego, nie traciła czasu na krążenie wokół tematu.

– Chcę z tobą porozmawiać o Barinie i Esmay – zaczęła.

– A ja nie chcę z tobą o tym rozmawiać. Już się pobrali i narobili niezłego bałaganu.

– Mylisz się – stwierdziła Heris. – Nie wiem, czy to odmładzanie, czy co, ale zachowujesz się jak idiotka.

– Komandorze...

– Mówię poważnie, pani admirał. Podziwiałam cię, zanim jeszcze poszłam do Akademii, ale teraz już nie mam dla ciebie szacunku. Najpierw nie dopuściłaś, by udzielono mi wsparcia, gdy Lepescu mi groził, a teraz rujnujesz karierę świetnego młodego oficera, odznaczającego się wyjątkowymi zdolnościami i odwagą. Nie mogę nie zadać sobie pytania, czy Lepescu był jedynym zdrajcą.

– Jak śmiesz!

– Owszem, śmiem. Myślisz, że Serrano wystraszy się krzyku? Czy naprawdę uważam cię za zdrażczynię? Nie, raczej nie, ale sądząc po twoim zachowaniu, tej możliwości nie można wykluczyć. Rozumiem, że admirałowie muszą robić rzeczy nie objęte przepisami, których młodszy oficerowie mogą nie rozumieć, ale wiem też, że i admirałowie popełniają błędy. Lepescu to tylko jeden przykład, obie mogłybyśmy wymienić wiele innych. Wiem, że admirałowie nie są tylko złotymi figurkami na szczycie hierarchii Floty, oni są ludźmi i także mogą popełniać błędy.

– I sądzisz, że ja popełniłam błąd.

– Sądzę, że tak, podobnie jak ja. – Heris głęboko odetchnęła. – To, co zrobiłam na Patchcock, było taktycznie słuszne i w najmniejszym stopniu tego nie żałuję. Ale później powinnam była zostać i zażądać sądu wojennego, niezależnie od tego, czy popierał mnie jakikolwiek Serrano. Nie miałam racji, rezygnując ze służby i zostawiając swoją załogę na łasce Lepescu. Myliłam się, polegając na wsparciu rodziny, pozwalając, by to ona wskazywała mi, co dalej robić. Później myliłam się, oceniając ludzi na podstawie kartotek Floty; powinno być dla mnie oczywiste, że to nie Sirkin była problemem, tylko Ilkind. Ale zaufanie do Floty, tak samo jak zaufanie do rodziny, zaciemniło mi mózg. Przez moje błędy zginęli ludzie – ludzie mi bliscy i tacy, o których nawet nie wiem – ale nie zamierzam ponownie popełnić tego błędu.

– A co, twoim zdaniem, powoduje, że ja popełniam błędy? – Głos Vidy był spokojny, ale Heris nie dała się zwieść.

– Nie wiem, tylko ty znasz powody swoich decyzji. Ale kiedy podejmujesz niewłaściwe, wszyscy to widzą.

– A ty wciąż masz do mnie żal, że nie przyszłam ci z pomocą? Heris machnęła ręką.

– Nie rozmawiamy o moim żalu czy złości, rozmawiamy o twoich działaniach. Niedopuszczenie do tego, by moi rodzice skontaktowali się ze mną przed lub po mojej rezygnacji, miało bardzo przykre konsekwencje. Ponadto dwukrotnie zwróciłaś się przeciwko Esmay Suizie: raz wierząc w

plotki, że brała udział w porwaniu Brun, a drugi raz z powodu jakiejś starej książki – skamieniałej plotki – o jej przodkach. Przyjrzyj się faktom, admirał.

Vida przeniosła spojrzenie na ścianę, a Heris była nieco zaskoczona, że farba na niej nie zaczęła skwierczeć.

– Zdaję sobie sprawę, że na początku moje niezadowolenie z porucznik Suizy było nieuzasadnione. Gdyby ta rozmowa dotyczyła jakiejś obcej osoby, musiałabym uznać, że chodzi o stetryczalego starego admirała, który powinien zwolnić miejsce na szczycie dla błyskotliwych młodych oficerów. – Znów spojrzała na Heris. – Ale niezależnie od tego, co myślisz, nie jestem zniedołężniała. Zadałam sobie trud poddawania się regularnym badaniom, i moje odruchy, zdolności poznawcze i umiejętność oceny sytuacji są takie, jakie powinny być.

– Ale nikt nie wie, jak na zdolność oceny sytuacji, w szczególności na analizę strat i zysków, może wpływać świadomość nieśmiertelności.

– Nieśmiertelność! Odmładzanie to tylko... – Vida zamyśliła się na chwilę. – Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób.

– Planowanie długoterminowe – powiedziała Heris – do pewnego momentu jest bardzo cenne. Sądzę, że w moim przypadku operowałam skalą czasową wybiegającą poza moje zdolności rozumienia... i nie przejmowałam się skutkami ubocznymi.

– Rozumiem. – Vida splotła palce. – Przypuszczam, że mogło tak być. Od tamtej pory tyle się wydarzyło, że jest mi trudno dokładnie sobie przypomnieć, jakimi kierowałam się motywami. Ale masz rację, nie przejmowałam się tym, co się działo z twoimi ludźmi.

– U wielu Odmłodzeńców – zarówno wojskowych, jak i cywilnych – widzę jakby oderwanie się od rzeczywistości. Traktują tych, którzy nie są odmłodzeni, jak efemerydy bez znaczenia, chyba że wtrącają się w czyjeś plany, a wtedy można ich spisać na straty.

Vida zmarszczyła brwi.

– Nie wydaje mi się, żebym tak na nich patrzyła, ale... rozumiem, że to może tak wyglądać.

– Liczą się skutki, a nie intencje – rzuciła odruchowo Heris. Zmarszczki na twarzy Vidy pogłębiły się.

– Wiesz, że wnioskowanie o intencjach na podstawie skutków jest niebezpieczne.

– Ale jeśli tego nie robimy, to także jest niebezpieczne. Ale to bezcelowa szermierka słowna, a ja chciałabym się tylko dowiedzieć, czy poddasz ponownej analizie swoje stanowisko wobec Suizy i uznasz, że jest dla nas cennym nabytkiem.

– Ignorując długofalowe spojrzenie?

– Nie, ale zrewiduj priorytety. Mamy w tej chwili do czynienia z buntem i mamy zewnętrznych wrogów. Potrzeba nam każdego dobrego żołnierza, a ona właśnie jest świetnym oficerem.

– Była – powiedziała Vida i rozsiadła się wygodniej w fotelu. – Heris, jej już nie ma na liście. Uważa, że została zwolniona z Floty moim rozkazem, i zniknęła. Ostatnio widziano ją wsiadającą na statek niezależnych kupców, *Terakian Fortune*. I choć statek zgłosił plan lotu, może wcale się go nie trzymać.

– Zwolniłaś ją ze służby? – zapytała Heris przez zaciśnięte zęby.

– Nie, to ona tak myśli. Przedstawiono jej rozkaz podpisany przez admirała Serrano. Ona uważa, że chodzi o mnie

– A ty twierdzisz, że nie? – zapytała Heris.

– Nie. Dzięki temu kretynstwu zafundowanemu nam przez Hobarta Conselline'a mamy teraz spore zamieszanie wśród admirałów Serrano. Mamy takich, którzy poszli w odstawkę, ale teraz wracają do aktywnej służby, i takich, którzy w tym czasie zostali promowani. My, Serrano, nie dostaliśmy tyle gwiazdek, co inne rodziny – Consellinowie nigdy nie lubili Serrano – ale jest nas przynajmniej pięcioro, a może nawet ośmioro lub więcej. Ktoś kazał zwolnić Suizę, a przy tym całym chaosie panującym w Dowództwie, który jest wynikiem buntu, nikt mi o tym nie powiedział. Sądzę, że jeden z Serrano, słysząc o mojej kłótni z Suizą, uznał, że zrobi mi przysługę, zwalniając ją.

– Albo ktoś podrobił twój podpis i uwierzono, że to ty, ponieważ wasz spór był powszechnie znany – stwierdziła Heris. – Cholera, a ja byłam na ciebie naprawdę wściekła.

– Wiem. – Vida westchnęła. – Gdyby nam nie przerwano... gdyby był czas o tym porozmawiać, Suiza prawdopodobnie mogłaby mnie przekonać do wzięcia pod uwagę tego, o czym mówiła. Wiem, że ona nie jest karierowiczką, i zdaję sobie sprawę, że moja wściekłość była wtedy nieuzasadniona. Gdyby zdrada faktycznie była dziedziczona, pewnie nikomu nie mogłabym zaufać, nawet sobie. Właśnie dlatego skontaktowałam się z jej rodziną po tym, jak pobrali się z Barinem.

– Co zrobiłaś?

– Wysłałam im wiadomość o ślubie. Nie wiedziałam, co słyszeli o kłótni, więc wspomniałam o tymi powiedziałam, że moim zdaniem można to wyjaśnić.

– I co?

– I... oni widzą to zupełnie inaczej.

– Co? To, że są winni tych wszystkich okropnych zarzutów, czy że można to wyjaśnić?

Vida wyjęła ze stojaka na biurku kostkę i wsunęła ją do czytnika.

– Zobacz. Przysłała to jej rodzina.

Heris spojrzała na obraz młodej kobiety w kolorowym stroju.

– To Oblubienica Ziemi – wyjaśniła Vida. – Przyjrzyj się uważnie. – Dotknęła kontrolki i powiększyła twarz.

– Esmay Suiza? – zapytała Heris.

– Tak. Teraz wreszcie wiem, kim jest Oblubienica. – Vida znów dotknęła kontrolki i pojawiły się dwa pola; na jednym z nich był stary dokument – gdzieniegdzie na nierównej powierzchni atrament był już wyblakły – a na drugim ostry i wyraźny druk na białym tle. – To po prawej to Statut Oblubienicy, jeden z najstarszych dokumentów na Altiplano. Rodzina Suizów dostarczyła nam tłumaczenia. Wiedziałaś o tym, że przepisy Floty zabraniają zawierania ślubu z Oblubienicą Ziemi Altiplano, prawda?

– Nie – odpowiedziała Heris, przeglądając gęsto zapisane strony. Słownictwo, nawet w tłumaczeniu, zdawało się stare. „... i dla honoru oraz zdrowia ziemi nie wolno jej opuścić tego, co do niej należy”.

– Zanim to przeczytałam, myślałam, że to z powodu buntu na Altiplano – i może tak było – ale okazuje się, że obowiązki Oblubienicy Ziemi są nie do pogodzenia z obowiązkami oficera Floty.

– To... prymitywne – stwierdziła Heris. Vida wydeła wargi.

– Nie sądzę, żeby to było właściwe słowo. To jest znacznie bardziej złożone niż myślałam, oparte na bardzo wyszukanej, zupełnie mi obcej teologii. I to rzeczywiście jest teologia, ponieważ oni naprawdę wierzą w istnienie jednego lub więcej bóstw. Ponadto są Aegistami, choć nie używają tego terminu.

– Są przeciwni odmłodzeniu?

– Tak. W każdej formie i z jakiegokolwiek powodu. Niektórzy z tak zwanych Starowierców sprzeciwiają się nawet używaniu zbiorników regeneracyjnych do leczenia złamanych kości, a inni uważają, że nikt nie powinien otrzymywać pomocy medycznej po przekroczeniu ichniego sześćdziesiątego roku życia. Stosują również kontrolę przyrostu naturalnego i uważają jej przeciwników za niemoralnych.

– Czyli... nie uważasz już Suizów za zbrodniarzy?

– Nie sądzę, żeby Esmay Suiza czy jej ojciec byli bezpośrednio odpowiedzialni za masakrę naszych patronów. Uważam jednak, że poślubienie przez nią Barina stwarza bardzo poważne problemy, wcale nie związane z historią. Jako Oblubienica Ziemi przysięgła wypełniać obowiązki religijne, które wymagają, by przedkładała dobro ziemi – w szczególności ziemi Suizów – ponad wszystko.

– Ale ona...

– To rodzi konflikt, niezależnie od tego, jak na to patrzeć, Heris. Jej przysięga wobec Zawodowej Służby Kosmicznej, którą wygłosiła, wstępując na służbę, wymaga, by nad wszystko inne przedkładała służbę. Dla jej rodziny i dla mnie jest jasne, że to stoi w sprzeczności z jej przysięgą Oblubienicy. Jej rodzina już jest ostro krytykowana za wypuszczenie Oblubienicy z planety.

– W takim razie czemu przyjęła ten tytuł?

– Tytuł jest przekazywany przez bezpośrednie wskazanie następczyni. Z jakiegoś powodu jej prababka wybrała ją, i nie zmieniła zdania nawet wtedy, gdy dziewczyna wstąpiła do Floty. Kiedy jej prababka umarła, a ona była wtedy w niełasce we Flocie, przyjęła tytuł i przeszła przez wszystkie rytuały.

– Czy wyznaczyła swoją następczynię?

– Jej ojciec sądzi, że wybrała swoją młodszą kuzynkę. Ale żeby przenieść obowiązki z jednej Oblubienicy na drugą, obie muszą wziąć udział w Ceremonii. A tymczasem Esmay zniknęła... Terakian i Synowie to szanowana firma, więc jestem pewna, że gdzieś się pojawi, ale nie mam pojęcia, gdzie.

Heris zastanawiała się przez chwilę.

– Czekaj... Rozumiem, czemu bycie Oblubienicą stoi w sprzeczności z zajmowaniem stanowiska oficera Floty, ale nie wiem, co ma wspólnego z poślubieniem Barina.

– Przepisy – przypomniła jej Vida. – Pamiętasz?

Heris stłumiła cisnące się jej na usta „Do diabła z głupimi przepisami” i kiwnęła głową.

– Ale chyba można je zmienić?

– Kiedy już stłumimy bunt i upewnimy się, że nie zaleje nas zaraz Benignity, Krwawa Horda ani stado piratów, pewnie tak. Ale na razie... jest spora szansa, że Flota unieważni ślub, a Barin dostanie krechę w aktach. Suiza też by ją dostała, gdyby przebywała teraz w systemie.

– A gdyby nie była już Oblubienicą?

– Wtedy mogłaby wziąć ślub z Barinem. Co do ponownego wstąpienia do Floty... nie jestem pewna. – Vida podniosła rękę, zanim jeszcze Heris zaczęła mówić. – Nie, nie miej do mnie pretensji. W tej chwili nie chcę rzucać im kłód pod nogi, ale musisz wiedzieć, że mogą to robić inni

– Potrzebujemy jej, i to zaraz. Nie możesz się dowiedzieć, kto ją wykopał?

– Teraz, w drodze? Jeśli zechcesz uprzejmie poczekać, aż dotrę do swojego biura, to wtedy

mogę się dowiedzieć. Ale nie wcześniej.

– To nie fair – rzekła Heris. – Barin będzie się martwił i może zrobić jakieś głupstwo...

– Nie robi – stwierdziła jego babka. – I nie spodziewam się też, żeby Suiza zrobiła coś głupiego. Ani ty. Chyba nie wyślą cię z powrotem na twój okręt?

– Nie, na *Indefatigable*. Jest w remoncie, a załoga prawdopodobnie będzie się składać z tego, co uda im się zebrać z doków.

– W takim razie dobrze, że to ty będziesz kapitanem.

Heris zostawiła ciotkę samą i poszła sprawdzić, czy może przesłać jakąś wiadomość do Esmay lub Barina; chciała im przekazać, że to nie jest wina Vidy. Ale zwykły komandor będący przejazdem nie miał siły przebicia w komunikacji.

OSK Rosa Major

Barin Serrano wywołał bazę danych personelu Floty i zaczął szukać Esmay. Robił to na każdej stacji od czasu ich rozdzielenia. Zastanawiał się, czy ona robiła to samo. Wciąż nie wiedział, czemu dostała nowe rozkazy i została wysłana aż do Sektora Trzy. Na szczęście nazwisko Suiza jest na tyle rzadkie, że łatwo będzie ją znaleźć.

Nie odnaleziono żadnej osoby o nazwisku Suiza.

Czy chcesz zmienić pisownię i powtórzyć zapytanie?

To bez sensu. Zaledwie dwa tygodnie wcześniej była w systemie. Sprawdził inne dostępne opcje, ale wszystkie poszukiwania dały taki sam rezultat. Wreszcie zajrzał do rejestru „Wydaleni lub emerytowani”.

**Suiza, Esmay, ostatnia ranga 0–3,
ostatni przydział, zwolniona na rozkaz admirała
Serrano na stacji Trynidad...**

Barin spojrział na datę. Dziewięć dni temu. Po drugiej stronie przestrzeni Familii.

Wściekłość uniemożliwiła mu odczytanie reszty informacji. Admirał Serrano, jego własna babka, zemściła się na Esmay i wyrzuciła ją ze służby, którą tak kochała, i to w chwili, gdy Flota potrzebuje każdego dobrego oficera. Jego babka! Oszukała ich, wbiła im nóż w plecy i on... on...

Uspokoił się. Był tylko pepekiem, a babka starszym admirałem. Mógł się złościć i jej nienawidzić, ile tylko chciał, ale był oficerem Floty, trwała wojna i próba sił nikomu by nie pomogła.

Gdzie jest Esmay? Nie miał pojęcia. Co teraz robi? Czy leci na Rockhouse Major, żeby zaprotestować w Dowództwie Floty? Czy na Altiplano, żeby tam osiąść jako Oblubienica Ziemi? Nie, na pewno nie, chyba że chce znaleźć dowody, iż oskarżenie Suizów o zdradę jest fałszywe.

On tymczasem ma własne obowiązki, i nawet jeśli jego babka zapomniała o swoich, by zaspokoić pragnienie osobistej zemsty w sytuacji prawdziwego zagrożenia, on tego nie zrobi. Jako

pepek na pokładzie statku kierującego się w rejon walki ma mnóstwo obowiązków, które nie pozwalają mu na bezczynność.

* * *

W mesie młodszych oficerów chorąży i inni pepekowie odwrócili głowy w jego stronę, gdy tylko wszedł. Nie mogli słyszeć o Esmay, ten wyraz twarzy musi znaczyć coś innego.

– Barin, słyszałeś coś? – zapytał Cossy Forlin, który był z nim na jednym roku w Akademii.

– O buncie? – zapytał Barin, zajmując swoje miejsce.

– Nie.

– Myślałem, że skoro masz tych wszystkich krewnych...

– Zastanawiam się... – Luca Tavemos zerknął na drzwi i ściszył głos. – Zastanawiam się nad tym, jakie to przerażające, że nie wiadomo, komu można ufać.

– Jak na *Despite* – rzucił Cossy. – Skąd można wiedzieć... – Urwał gwałtownie, gdy do środka weszło trzech poruczników i jeden z nich, Marcion, usiadł u szczytu stołu. .

Najpierw zerknął na juniorów z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, a potem wskazał widelcem w stronę Cossy'ego.

– Przynajmniej wiemy, że pan nie należy do żadnej konspiracji, pepeku Forlin. Spiskowcy mają dość rozumu, żeby nie rozmawiać przy otwartych drzwiach. Dobrze, że pana specjalnością nie jest wywiad.

Cossy poczerwieniał i zajął się jedzeniem.

– No jak tam, Barin, czy rodzina przekazała ci jakieś informacje? – Nie, sir – odpowiedział Barin. – Wie pan, że łączność nie jest w tej chwili dostępna.

– A ma pan jakieś wątpliwości co do lojalności oficerów na tym statku?

– Nie, sir, ale gdybym miał, zgłosiłbym to odpowiednim władzom.

Marcion roześmiał się.

– Jestem pewien, że tak. Wy, Serrano, jesteście twardzi. Jak pan ocenia taktykę buntowników?

– Na podstawie dostępnych mi skąpych informacji podejrzewam, że chcą dokonać skradzionymi statkami zmasowanego uderzenia na Copper Mountain. Byłbym zdziwiony, gdyby jeszcze jacyś buntownicy byli na innych okrętach.

– Zakłada pan, że jest ich stosunkowo niewielu.

– Tak, mniej od lojalnego kontyngentu, sir.

– Ciekawe... Znam wielu ludzi, których mocno zdenerwowały zmiany wprowadzone przez Conselline'a, poczynając od mianowania nowego ministra obrony.

– Tak, sir, ale nie buntowników – stwierdził Barin i zacytował swoją babkę: „Politycy przychodzą i odchodzą, ale Flota pozostaje”.

– Ja też tak uważam, ale chciałem poznać opinię legendarnych Serrano.

Barin zignorował ten przytyk.

– Jak pan myśli, czego naprawdę będą chcieli buntownicy? – zapytał. – Sądzi pan, że to Consellinowie doprowadzili do buntu?

– Nie wiem – odpowiedział Marcion. – W końcu nie jestem jednym z nich, a zgadywanie motywów przeciwnika to ryzykowne zajęcie. Byłbym skłonny przypuszczać, że wykorzystali nieobecność starszych oficerów, którzy zostali odsunięci od aktywnej służby z powodu problemów z

odmładzaniem. Pańska babka też została usunięta, prawda?

– Tak jest, sir.

– Przypuszczam, że to zamieszanie w Dowództwie, wynikające z wyrzucenia przynajmniej połowy admirałów, pozwoliło buntownikom na działania, które w innym wypadku wymagałyby znacznie dłuższych przygotowań. Personel szalał, próbując obsadzić zwolnione nagle stanowiska nowymi ludźmi, a komisje promocyjne pracowały na okrągło.

– Skąd pan o tym wie? – zapytał Cossy.

– Byłem w ramach rotacji personelu w Dowództwie. Najpierw u admirała Stearns, a kiedy zdjęli ją ze służby, u admirała Rollinby. Byłbym tam nadal, gdyby nie to, że z powodu buntu znów prz przenosili ludzi. Spotkał pan kiedyś admirała Stearns, Barin? Mówiła, że zna pańską babkę.

– Nie, sir. Admirał... ma wielu znajomych w Dowództwie.

– Tak przypuszczam. Najwyraźniej też na własną rękę zajmowała się problemem odmłodeń. Razem z admirałem Stearns były w jakiejś grupie badawczej.

– A słyszał pan, co się z nią stało, poruczniku? – zapytał jakiś siedzący dalej przy stole chorąży.

– Consellinowie zablokowali środki na badania, ponieważ istnieje bardzo duże prawdopodobieństwo, że to właśnie ich leki spowodowały cały problem. A bez funduszy na badania i leczenie wielu ludzi znalazło się w beznadziejnej sytuacji... – Marcion przerwał. – Bywają takie chwile, kiedy jest mi trudno pozostać tak apolitycznym, jak tego wymagają przepisy.

To praktycznie zakończyło rozmowę. Barin dojadł swój posiłek, nie odzywając się już więcej, a inni rozmawiali cicho o wynikach gier sportowych i zbliżających się egzaminach.

* * *

Po posiłku Barin postanowił spokojnie przemyśleć całą sytuację. Czemu ktoś właśnie teraz wyrzucił Esmay ze służby? Pierwsze reakcje ich rodzin na ślub wyrażały niezadowolenie, ale w umiarkowany sposób. Czyżby pojawiły się jakieś nowe dowody zdrady Suizów? Nie wierzył w to. Serrano łatwo się denerwowali, ale w sytuacji ustania wszelkich wrogich działań niemal równie szybko się uspokajali. Jego babka, jak przystało na admirała, jest arogancka, ale zawsze sprawiedliwa.

Tak mu się przynajmniej wydawało. Musiał jednak przyznać, że nie zna jej tak dobrze, jak mógłby. I przecież widział, że rozkaz o wyrzuceniu Esmay ze służby wydał admirał Serrano.

Ale jego babka nie jest jedyną admirał Serrano wśród oficerów flagowych. Czy tam napisano, który admirał Serrano? Tak naprawdę nie zwrócił na to uwagi...

A teraz już nie mógł sprawdzić. Rozległy się syreny alarmowe sygnalizujące, jak miał nadzieję, kolejne ćwiczenia. Popędził korytarzem, zsunął się po drabince i dotarł do wyznaczonego stanowiska bojowego jeszcze dobrze przed czasem. Starszy oficer wręczył mu komputer i zaczął sprawdzać obecność: Ackman... Averre... Betenkin... Zanim nadszedł starszy porucznik, sekcja Barina była już przygotowana do inspekcji; wszyscy stali obok otwartych szafek, z kombinezonami próżniowymi w rękach. Porucznik odebrał raport Barina i sprawdził kombinezony tak, jakby nie oglądał ich dzień wcześniej.

Barin był w połowie drogi z powrotem do kabiny, gdy rozległ się kolejny alarm.

* * *

Bitwa we wnętrzu krążownika może być albo nudna, albo śmiertelna. Mówiono mu o tym już w Akademii. Miał nadzieję, że tym razem będzie nudno. Barin dowodził grupą oceny uszkodzeń z

powodu braków w kadrze podoficerskiej, co oczywiście miało związek z buntem i nieudanymi odmłodzeniami. Ponieważ już od kołyski uczono go, że młodszy oficerowie zawsze wiedzą mniej niż podoficerowie, którymi dowodzą, dbał o dobre stosunki z przydzielonym do jego sekcji matem, człowiekiem o dużym doświadczeniu w zakresie oceny uszkodzeń i ich kontroli.

Przez trzy godziny jego zespół nie miał do czynienia z żadnymi uszkodzeniami. Sprawdzali i zgłaszali temperaturę w przedziałach, prędkość przepływów w różnych rurach i mnóstwo innych parametrów, które były ważne, ale nie dawały żadnej wskazówki co do tego, co się dzieje na zewnątrz statku. Sztuczna grawitacja nie podlegała fluktuacjom, światła nie mrugały, w ogóle nic się nie działo.

Kiedy nadszedł rozkaz odwołania alarmu, Barin złożył oficerowi kontroli uszkodzeń końcowy raport i wrócił do swoich zwykłych obowiązków. Próbował trochę czytać o ocenie uszkodzeń i ich kontroli, ale nie słyszał nic na ten temat w trakcie kursu na specjalizacji dowódczej, dlatego ciężko mu to szło.

– To nie takie trudne, sir – powiedział mu jeden ze starszych bosmanów. – Zasadniczo wszystko się sprowadza do tego, że mamy rury i kable oraz oczywiście powietrze i ciężenie.

– Ale piszą tutaj, że pomieszczenie może być wypełnione parą, dymem lub...

– Najprawdopodobniej chodzi o parę wodną, jeśli doszło do utraty ciśnienia – odpowiedział bosman.

– A skąd mamy wiedzieć, która rura jest do czego, jeśli jej nie widzimy?

– No cóż, zasadniczo powinien pan znać swoją sekcję na wylot. Oczywiście jeśli potrzebują pana gdzie indziej...

– Bosmanie, czy był pan kiedyś na statku, który doznał ciężkich uszkodzeń?

– Byłem. Raz na skutek działań przeciwnika – jeszcze w czasie tej pierwszej afery z Patchcock – i raz przez kretyna, który wrócił z przepustki i się popisywał. Wybił dziurę w linii hydraulicznej w komorze promowej. Wywaliliby go dyscyplinarnie, gdyby nie to, że wyciek poleciał prosto na niego.

– Wyciek?

– Linia była pod wysokim ciśnieniem, synu, a on przyniósł ze sobą igłowiec, którego dostał od kuzyna z okazji jakiegoś święta... co oczywiście było wbrew przepisom. I nie sprawdził amunicji, którą dostał razem z nim. Jak się później okazało, była to najcięższa amunicja, jaką można było kupić. No i ten dureń pokazał igłowiec swojemu kumplowi, zaczęli się wygłupiać i oczywiście... bum! Z rury wystrzelił strumień i poleciał wprost na niego, a prom gwałtownie opadł na pokład, przez co pękły dwie opony. Kawałek jednej z nich walnął jakiegoś człowieka w głowę, a inny fragment uderzył gościa z palnikiem. Nie można go winić za upuszczenie palnika, skoro opona złamała mu ramię, ale palnik coś podpalił, nie pamiętam już co. A więc mieliśmy pożar i wyciek płynu hydraulicznego, a ponieważ płyn wyparował, wylatując pod tak dużym ciśnieniem, jak myślisz, co się stało?

– Wybuchło – powiedział Barin.

– Właśnie. To było na starym *Harknessie*, który przeżył dwie bitwy z grupami bojowymi *Benignity*, a przez jednego idiotę rozleciał się na kawałki. Ale wybuch w doku promowym to był dopiero początek. Na tamtych krążownikach – właśnie od czasu *Harknessa* robią je teraz inaczej – w jednym miejscu były różne warsztaty, magazyny części oraz – dla usprawnienia pracy – główny węzeł elektryczny. Nie mieliśmy więc tylko jednego wybuchu i pożaru... Kapitan kazał nam odciąć magazyny amunicji – w każdej chwili ogień mógł tam dotrzeć – a w końcu musieliśmy wyrzucić

wszystko w przestrzeń. Walczyliśmy z ogniem dwadzieścia osiem godzin, ledwie starczyło nam układów podtrzymywania życia dla pozostałej załogi. Ponad trzysta ofiar, całkowicie zniszczony statek... Musieli nas ewakuować w kombinezonach próżniowych i przenieść na inną jednostkę.

– Nie wiedziałem, że płyn hydrauliczny się pali – powiedział Barin.

– Od lat próbuję wynaleźć coś, co będzie lepiej działało i się nie paliło, ale jak dotąd... jeśli go odparujesz i podpalisz, wybuchnie. I nie zapominaj, że przetnie cię jak skalpel laserowy. – Starszy bosman na chwilę wciągnął policzki. – Ten drugi raz – powiedział – nie było tak źle. Przebicie kadłuba przez ciężki pocisk, ale na szczęście nie eksplodował. Trochę trudno było go wydostać i jeden biedak w przedziale zginął, ale nie było aż tak źle. Jedynym prawdziwym problemem był jakiś młodzik, który chciał mieć pamiątkę, więc zaczął grzebać przy panelu odpalającym, żeby go zabrać i schować w szafce. Starszy bosman Meharry omal nie urwał mu za to głowy. Dureń mógł nas wszystkich wysadzić w powietrze.

Barin był ciekaw, czy tamten Meharry był spokrewniony z członkiem załogi jego ciotki, Methlin Meharry.

– Proszę, to najlepsza kostka, jaką mamy – powiedział bosman, wręczając ją Barinowi. – Najwięcej się pan nauczy w sytuacjach, które pan przeżyje, ale ta kostka da panu trochę więcej wiedzy niż inne.

– Dzięki. – Barin postanowił spędzać nad nią każdą wolną chwilę. Musi dowiedzieć się wszystkiego o pokładzie załogowym, od kadłuba aż do hydrauliki.

* * *

Dopiero następnego dnia po południu kapitan poinformował załogę o przebiegu starcia.

– Gdy wyszliśmy ze skoku, natknęliśmy się na kilku buntowników. Admirał spodziewał się tego, więc wszystko było w pełnej gotowości. Zaminowali właśnie punkt skokowy, ale przebiliśmy się przez pierwszy kordon bez uszkodzeń i wszystkie jednostki przeciwnika zostały zniszczone. Zaliczono nam pół zestrzelenia.

Barin zastanawiał się, skąd wiedzieli, że tamte statki należały do buntowników... ale zdawał sobie sprawę, że gdyby zatrzymali się, by zadać parę pytań, bitwa mogłaby mieć znacznie bardziej groźny przebieg.

Grupa bojowa miała zostać w układzie tak długo, aż wyłapie pozostałe miny, a następnie mieli zaminować punkt skokowy własnymi ładunkami, zaprogramowanymi na rozpoznawanie zmienionych kodów Floty.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Castle Rock, Appledale

Brun Meager przepłynęła całą długość basenu i opryskała wodą wylegającą się przy nim kobietę.

– Kate, no chodź, rozleniwiasz się.

– Woda jest zimna – odpowiedziała Kate Briarly. – Dostanę skurczu. – Ranger Konfederacji Samotnej Gwiazdy przebrała się w strój kąpielowy, ale narzuciła na niego szlafrok. Obok niej leżał tablet i komunikator oraz broń, matowoczarny igłowiec.

– Powinnaś się przyzwyczajać – stwierdziła Brun. – Cała twoja planeta nie może być ciepła. – Kate uśmiechnęła się szeroko, ale potrząsnęła głową. Brun zawróciła i znów przepłynęła całą długość basenu. Woda wcale nie była zimna, miała idealną temperaturę, tylko trzeba było się w niej ruszać. Wracając, zobaczyła, że Kate rozmawia przez komunikator, ale nie zatrzymywała się i ruszyła do kolejnego okrążenia. Chciała rozładować napięcie. Niedługo – za dzień lub dwa – będzie musiała coś zrobić w sprawie matki, a nie miała pojęcia co. Płynęła, znajdując ukojenie w poczuciu, że jej ciało jest silne i zwinne, w przepływie chłodnej wody wzdłuż ramion, bioder i nóg.

Wracając, tym razem żabką, zobaczyła wychodzącego z domu Kevila Mahoneya. Chodził już bez żadnej pomocy, ale nadal nierówno. Czy pomoże mu odmłodzenie? Nie mógł sobie na nie pozwolić, przynajmniej do czasu rozwiązania jego problemów finansowych, ale ona mogła mu je opłacić. Wracając do kraula, zanotowała sobie w pamięci, by porozmawiać na ten temat z doradcami medycznymi rodziny. Przepłynęła błyskawicznie ostatnie piętnaście metrów i wyszła z wody.

– Śniadanie na powietrzu? – zapytała i w tym momencie zobaczyła wyraz ich twarzy. – Co tym razem?

– Hobart nie żyje.

– Co?!

– Hobart Conselline nie żyje. Wyobraź sobie, że zginął z ręki odwiedzającego go mistrza szermierki.

Brun podniosła ręczniki zaczęła wycierać głowę. Odłożyła go, wzięła następny i owinęła go wokół ramion.

– Kiedy to się stało?

– Wczoraj po południu.

– I dowiadujemy się dopiero teraz?

– Jego klan chciał odszukać wszystkich zasiadających w Fotelach Barracloughów, zanim o tym poinformują.

– Jego klan! – Brun na chwilę mocno zacisnęła szczęki. – Rozumiem. – Podeszła do stołu przygotowanego już do śniadania i dotknęła swojego tabletu. – Obsługa, zmiana planów. Zjemy w środku, w bibliotece. Jak tylko zjem i się przebiorę, udam się do miasta.

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł? – zapytał Kevil.

– Jestem pewna, że to konieczne. – Brun popatrzyła na Kevila. Nic nie powiedział – nie zrobiłby tego bez osłony przeciwpodśluchowej – ale wyraz jego twarzy rozwiał wszelkie ewentualne wątpliwości.

Wciąż dziwnie się czuła w tej aurze tajemniczości, która otaczała ją od czasu pierwszego zebrania Wielkiej Rady po śmierci jej ojca. Dziwnie się czuła, chodząc po Appledale, jakby do niej należało, choć faktycznie tak było. Dziwnie się czuła, nie mając wyrzutów sumienia z powodu pozostawienia mokrych śladów na dywanach Issai, gdy pędziła po schodach. – Będę potrzebowała kodowanego połączenia z Buttonsem – powiedziała do strażnika stojącego przy wejściu. Strażnik był pomysł Kate, która uznała to za konieczne.

Na górze, w pokoju, który zawsze zajmowała, wytarła się do sucha i przez chwilę stała, przyglądając się swojej garderobie. Cięża i poród tak zmieniły jej figurę, że wiele starych rzeczy nie pasowało na nią. W czarnych żałobnych kolorach wyglądała fatalnie, a chciała sprawiać wrażenie zdrowej i zadbanej. W końcu zdecydowała się na dopasowany stalowoszary kostium, a szyję owinęła błękitną chustą.

Kiedy zeszła na dół, Kevil i Kate byli już w bibliotece i ładowali sobie na talerze potrawy ze stolika. Kate przebrała się w jeden z mniej ekstrawaganckich strojów z Samotnej Gwiazdy, tym razem bladoniebieski. Buty na wysokich obcasach czekały obok fotela, a stopy w pończochach postawiła na puszystym dywanie.

– Jest czysto – powiedziała, ogarniając ręką pokój.

– A więc... mistrz szermierki zwariował i zabił Hobarta. Co jeszcze?

– Jego klan utrzymuje, że to spisek zorganizowany przez Barracloughów, a dokładniej przez ciebie.

– W odwecie za zamordowanie mojego ojca?

– Tylko że oni nie przyznają się do zamordowania go. – Kevil nabił na widelec kielbasę i westchnął. – Nie powinienem tego jeść.

– Och, zaryzykuj – powiedziała Kate, biorąc do ust porcję bekonu. Nigdy nie była w ciąży i może dlatego mogła jeść, co tylko chciała, nie tyjąc ani grama.

– Zawsze ryzykowałem – powiedział z uśmiechem Kevil – i właśnie dlatego wpakowałem się w ten cały bajzel. – Podniósł kielbasę i wsadził ją do ust.

– Ja nie wynajmowałam żadnych mistrzów szermierki do obcięcia Hobartowi głowy – powiedziała Brun i zauważyła, że oboje znieruchomieli. – Co się stało?

– Tak właśnie było. Dekapitacja.

Dziewczyna popatrzyła to na jedno, to na drugie.

– Mówicie poważnie? Głowa? W takim razie obcięto mu głowę i teraz myślicie...

– Nie – zaprzeczył Kevil – wcale tak nie myślę. To nie w twoim stylu wynająć kogoś innego. Ale jest pewna komplikacja.

– Mianowicie?

– Twoja matka.

– Och, bądź rozsądny, Kevil. Ona jest na Sirialis. Nie mogła tu wrócić i obciąć Hobartowi głowy.

– Nie, ale jest wdową po Bunnym, a dowody współpracy twojego wuja z Consellinami, które odkryliśmy, mogą zostać uznane za motyw zbrodni. Sam fakt jej pobytu na Sirialis może być podejrzany.

Brun potrząsnęła głową.

– To nie matka. Oczywiście głęboko to przeżywa, i gdybyśmy złapali zabójcę taty, mogłaby go spoliczkować, ale nie wyobrażam sobie, żeby dopuściła się zabójstwa.

– Prawdę mówiąc, ja też nie, ale... twoja matka jest znacznie bardziej skomplikowaną osobą niż sądzisz, Brun. Kiedy była młoda, przyjaźniła się z moją żoną, i słyszałem wtedy o młodej Mirandzie znacznie więcej niż inni.

Brun była ciekawa, co się stało z żoną Kevila, ale nie spytała; to nie był odpowiedni czas na pytania.

– Mimo wszystko gdyby kazała kogoś zamordować, sądzę, że ofiarą stałby się raczej wuj Harlis.

– Nie żartuj, Brun – powiedział Kevil. – W tej chwili dla dobra klanu musimy mieć nadzieję, że wuj zachowa dobre zdrowie.

– Jeśli o mnie chodzi, może – stwierdziła Brun, rozsmarowując marmoladę na toście. – Skoro już oderwaliś jego lepkie paluchy od posiadłości taty... a przynajmniej utrudniłś mu przejęcie jej... – Rzuciła Kevilowi pytające spojrzenie.

– Z pewnością utrudniłś, ale obawiam się, że zamordowanie Hobarta, o ile motywy nie zostaną wyjaśnione, zaszkodzi twojej sprawie. Kiedy będziesz rozmawiać z Buttonsem, powiedz mu, że powinien zwracać szczególną uwagę na wszelkie dziwne posunięcia w pomniejszych zależnych firmach, dobrze?

– Oczywiście. – Brun rozejrzała się wokół. – Gdzie jest George? Mogłabym go podwieźć do miasta.

Kevil kiwnął głową w stronę tacy pokrytej okruszkami.

– Wyjechał godzinę temu.

– Pani bezpieczne połączenie z lordem Falixem, milady – rzeki od drzwi technik ochrony. Brun podniosła się i poszła do rodzinnego centrum łączności, gdzie wprowadziła osobiste kody i dotknęła ekranu infoprętem potwierdzającym jej tożsamość i kody. Pojawiła się twarz Buttonsa; był jeszcze bardziej podobny do ojca niż ostatnim razem, kiedy go widziała.

– Cieszę się, że zadzwoniłaś – powiedział. – Mam złe wieści...

– Wiem – przerwała mu Brun. – Usłyszeliśmy przed godziną... ale nie sądziłam, że ty będziesz już wiedział.

– Czemu nie? – zdziwił się Buttons. – Przecież jestem znacznie bliżej.

– Ale nie do Castle Rock. Czy ty mówisz o czymś innym niż śmierć Hobarta Conselline'a?

– Conselline nie żyje? – Buttons wyglądał na zaskoczonego. – Kiedy?

– Wczoraj po południu, ale ujawnili to dopiero dzisiaj rano. Nie wiedziałeś? W takim razie o czym ty mówiłeś?

– Pedar Orregimos, minister spraw zagranicznych Conselline'a... On też zginął. – Buttons zaczerwienił się, potem znów zbladł. – Matka... eee... zabiła go. Oczywiście w wypadku...

– Matka zabiła ministra korony? – Brun nie do końca rozumiała to, co słyszy. – Matka... osobiście?

– Tak. – Buttons zagryzł wargę. – Najwyraźniej ten facet wprosił się na Sirialis. Służący mówią, że zalecał się do matki. Ona poleciała do jednego z domków myśliwskich, a kiedy wróciła do domu, właśnie wylądował. W każdym razie... chciał z nią ćwiczyć szermierkę. Najwyraźniej robili to już kiedyś dawno temu, zanim wyszła za tatę. Uparł się, żeby użyć tej starej broni z gabloty

w holu.

W pamięci Brun pojawił się obraz ojca stojącego przed tą gablotą, opierającego się o ścianę i rozmawiającego z Kevilem Mahoneyem. Ile wtedy miała lat? Jakies jednaście. Ojciec mówił:

– Problem polega na tym, że ludzie po prostu nie rozumieją, kim jest Miranda Key. Widzą jej porcelanową figurkę, elegancję, urodę, wdzięczne zachowanie... ale nie zdają sobie sprawy, że każda z tych kling może się stać w jej rękach śmiertelnie niebezpieczną bronią. – Ojciec przechylił głowę w stronę gabloty. – Tak naprawdę ja jestem tylko narzędziem jej ambicji... tak jak szermierz służy stali do zadania ciosu. Posługuje się mną tak zręcznie, że nikt tego nie zauważa.

Kevil potrząsnął głową, ale uśmiechnął się i powiedział:

– Mam nadzieję, że wyłączyłeś skanery, Bunny.

– Cóż... Ja też nie jestem durniem – odpowiedział ojciec, a potem odwrócił się do Brun. – No, Bubbles, już czas pójść do łóżka.

Wchodząc na schody, usłyszała jeszcze ostatnie słowa Kevila.

– To twoje przeczucia czy Mirandy? – Odpowiedź ojca brzmiała: – Nas obojga, Key. Choć wydaje się tylko głupią smarkulą, ma wielki rozum.

– Matka go zabiła? – zapytała Buttonsa. – Osobiście?

– To najwyraźniej był wypadek. Stara klinga złamała się, ale Pedar miał też antyczną maskę... i metal był kruchy.

– Nie sprawdzili tego wcześniej? Nie, oczywiście że nie. – Brun próbowała zebrać rozproszone myśli. – Kiedy to się stało, Buttons?

– Cztery albo pięć dni temu lokalnego czasu Sirialis. A przy okazji, była tam lady Cecelia. Przyleciała z wizytą, choć nie mam pojęcia, po co, skoro do sezonu łowieckiego jeszcze jest daleko. Matka poleciała z nią do Republiki Guerni.

Lady Cecelia zdaje się nie myśleć o niczym innym oprócz koni, ale ma taki sam piorunujący wpływ na wszystko wokół, jak ja, pomyślała Brun. Lady Cecelia w najgorszych chwilach potrafi patrzeć nawet przez ściany. Dobrze, że ona też jest Barracloughem.

– To źle wygląda – powiedziała do brata. – Już sama śmierć Hobarta źle wygląda, a teraz jeszcze to...

– To był wypadek. Stara broń, słaby metal...

– Ale i tak to fatalnie wygląda.

– Nie myślisz chyba... – Buttons umilkł; jego twarz była bardzo napięta.

– Nie sądzę, żeby nasza matka zdołała doprowadzić do równoczesnej śmierci Mówcy i jego ministra, ale jeśli tak było, z pewnością nie próbowałyby szermierki z jednym z nich przy użyciu niesprawnego sprzętu.

Jej słowa sprawiły, że Buttons lekko się rozluźnił.

– Co zrobimy? – zapytał niemal żalonym tonem. – Nie mogę teraz wrócić do Castle Rock; jesteśmy w samym środku bardzo trudnych negocjacji.

– Zostań tam – rzekła Brun. – Ja będę radzić sobie z tym, co tutaj będzie się działo. Czy matka prosiła o pomoc?

– Nie.

– W takim razie zakładamy, że załatwiła wszystko na Sirialis.

– Ale, Brun... Poradzisz sobie z tym sama?

– Przekonamy się – stwierdziła bardziej radośnie niż zamierzała. – Będą chcieli zwołać zebranie Rady, żeby coś przepchnąć. Jeszcze nie wiem co, ale muszę iść.

– Cóż... Przypuszczam, że stąd nic nie mogę zrobić. Skontaktuję się tylko z komitetem i zobaczę, czy pozwolą ci głosować w moim imieniu, ale jeśli są przekonani, że to my zrobiliśmy, nie zgodzą się na to.

– To by mi pomogło, Buttons. Dzięki. Lepiej już pójdę. Brun wyszła z centrum komunikacyjnego, resetując przedtem konsolę, i wróciła do biblioteki.

– Więcej kłopotów? – zapytał Kevil na widok jej twarzy. – Rozmawiałam z Buttonsem – powiedziała. – Pamiętasz Pedara Orregiemosa? Hobart zrobił go ministrem.

– To gnida. Twój ojciec bardzo go nie lubił.

– Cóż, moja matka właśnie go zabiła. – Nie mogła się oprzeć ciekawości, jak zareagują na te słowa. Rangerka Samotnej Gwiazdy zadławiła się ciastkiem, a Kevil zamrugał wolno, zaciskając usta. – W wypadku – dodała.

– Mam nadzieję – powiedział Kevil i rzucił szybkie spojrzenie na drugą kobietę. – Czy Buttons podał ci jakieś szczegóły?

– Tylko tyle, że ćwiczili, używając starej broni do szermierki, i coś się złamało – wyjaśniła Brun. Miała ochotę więcej im powiedzieć, ale nie wolno jej było tego robić. Żeby się powstrzymać, wzięła tosta, posmarowała go masłem i polala odrobiną miodu z kwiatów jabłoni. Już z ustami pełnymi jedzenia dodała: – Była tam lady Cecelia.

– Po co? – zapytała Kate, uprzedzając Kevila, który nie zdążył otworzyć ust, by zadać to samo pytanie.

– Nie wiem. – Brun ugryzła kolejny kawałek tosta. – Nie sądzę też, żeby Buttons wiedział. Mówił, że był zaskoczony, bo do sezonu łowieckiego jeszcze daleko.

– Może chciała się przyjrzeć waszym koniom – zasugerowała Kate. – To ta, która ma bzika na punkcie koni, prawda?

– Tak. Przypuszczam, że to mogłoby wszystko wyjaśniać. – Brun była świadoma ostrzegawczego spojrzenia rzuconego jej przez Kevila, więc ugryzła kolejny kawałek tosta.

– A przy okazji, jadę z tobą do miasta.

– Nie musisz... – zaczęła Brun, ale Kate nakazała jej gestem milczenie.

– Jadę, bo możesz być w niebezpieczeństwie. Jeśli ci Consellinowie naprawdę uważają, że zaaranżowałaś śmierć Hobarta...

– Mam ochroniarzy – przypomniała jej Brun.

– Tak, ale to tylko ochrona. – Kate uśmiechnęła się tym swoim promiennym uśmiechem, który sprawiał, że wydawała się zupełnie bezbronna. – Pamiętaj, że jestem Rangerem.

– I pewnie przypniesz swoją odznakę? – zapytał Kevil.

– Na tę okazję tak.

– Myślę, że ja też się wybiorę – stwierdził Kevil. – Nie było mnie tam od... – Od kiedy sprowadzili go do Appledale, wyciągając niemal z nędzy i z rąk mocno podejrzanego pielęgniarza.

– Do domu? – zapytała Brun. Wytarła usta i zadzwoniła na obsługę, wysyłając jedną osobę po swoją teczkę, a drugą po samochód.

– Nie, pójdę do banku. Mój widok może poprawić im pamięć. Mogę też sprawdzić, kiedy wyciągną z pojemnika moje nowe ramię. Powiedzieli, że w przyszłym tygodniu, ale przy odrobinie szczęścia...

– No dobrze. W takim razie ruszajmy.

W drodze do miasta omówili wszystkie możliwe scenariusze. Brun wprowadziła do osobistego komputera nowe szczegóły na temat wszystkich członków rodziny zasiadających w Fotelach. Była pewna, że tego samego lub następnego dnia dojdzie do nadzwyczajnego posiedzenia Wielkiej Rady.

Castle Rock, Wielka Rada

Brun nie przypominała sobie, by kiedykolwiek wcześniej widziała ambasadora Benignity. Wiedziała tylko, że jeden z wielkich kamiennych gmachów na ulicy ambasad należy do Benignity Współczującej Dłoni. Teraz, w sali Wielkiej Rady, przyglądała się, podobnie jak wszyscy, mężczyźnie średniego wzrostu, o ciemnych włosach i zielonych oczach, ubranemu w całkiem zwyczajny ciemny garnitur. Nie była pewna, czego się spodziewała, ale Sr. Vadis Unser–Marz, którego nazwisko pojawiło się na monitorze, wyglądał zdecydowanie zbyt zwyczajnie, by reprezentować znaną z wyjątkowej nikczemności Benignity Współczującej Dłoni.

Jak dotąd wiadomość o śmierci Pedara Orregiemosa nie dotarła jeszcze do mediów, a reporterzy zebrani na zewnątrz pytali ją tylko o komentarz na temat zamordowania Hobarta Conselline'a. Wyraziła swoje zaskoczenie i przekazała kondolencje dla jego rodziny.

– Wiem, co to znaczy stracić ojca – powiedziała na koniec, i reporterzy poszli szukać następnej ofiary.

Brun wiedziała, że zebraniu będzie przewodniczył Jon–Irene Pearsall, głowa jednej z pomniejszych rodzin, całkowicie neutralny. Zastanawiała się, jak długo wytrzyma; nie wyglądał na zbyt silnego. Postukał w pulpit, przywołując wszystkich do porządku.

– W tym smutnym dniu mamy tylko jeden punkt obrad: ambasador Unser–Marz ma dla nas pilną wiadomość od swojego rządu, której teraz wysłuchamy.

Wojna. Brun czuła panujące w sali napięcie. Ambasador z wdziękiem podszedł do mównicy.

– Szanowni zebrani, moim obowiązkiem jest odczytać wam pilną wiadomość od mojego rządu, przeprosić wasi zapewnić o naszym najszczerzym żalu.

Czemu ktoś miałby przeproszać za ogłoszenie wojny?, pomyślała Brun.

– Tekst pojawi się na państwa indywidualnych wyświetlaczach, ale również odczytam go na głos. – Brun zerknęła na monitor; chciała być pewna, że zrozumie każde jego słowo. – Benignity Współczującej Dłoni musi ze szczerym żalem wziąć na siebie odpowiedzialność za atak Mistrza Miecza, Hostite Fieddi, na przywódcę Familii Regnant. Odbyło się to na polecenie byłego Przewodniczącego Rady Benignity, bez wiedzy i zgody Rady. Były Przewodniczący został uznany winnym zabójstwa politycznego i ukarany.

Brun uświadomiła sobie, że przez cały czas wstrzymuje oddech, więc wypuściła powietrze i rozejrzała się wokół; wszędzie widziała zdumione spojrzenia. Znów popatrzyła na ekran. Pojawił się portret starszego mężczyzny, prawie łysego, a pod nim przesuwający się napis: Pietro Rossa–Votari, Przewodniczący, skazany na śmierć, a potem ponownie tekst i ambasador zaczął dalej czytać.

– Choć Benignity Współczującej Dłoni nie wyraziła zgody na zamordowanie Hobarta

Conselline' a, uważamy, że Wielka Rada Familii Regnant powinna poznać powody decyzji Przewodniczącego, niezależnie od tego, że jest godna ubolewania.

Szum narastał, a zasiadający w Fotelach ze zdumieniem patrzyli po sobie. Brun także była zaskoczona. Hobart był spragnioną władzy gnidą, ale czemu Benignity chciała jego śmierci?

– Ważne jest podkreślenie faktu, że nie brał w tym udziału nikt z Familii Regnant. Żaden klan, rodzina czy pojedyncza osoba. Przewodniczący Rossa–Votari działał sam. Zostawił następujące nagranie do przekazania wam.

– To oszustwo! – wykrzyknął ktoś po prawej stronie. Brun spojrziała na wyświetlacz; to Kasdar Morrelline, starszy brat Ottali.

– Nie, to nie oszustwo – oświadczył ambasador. – Bardzo proszę, byście zechcieli tego wysłuchać... a tekst dodatkowo pojawi się na państwa monitorach.

Głos Przewodniczącego był trochę wyższy i starszy.

– Z głębokim żalem nakazuję zabić głowę państwa. Nie jest to decyzja, jaką może łatwo podjąć ktoś na moim stanowisku, ponieważ oznacza ona automatycznie i moją śmierć. A jednak muszę się zatroszczyć o moją rodzinę, gdyż Bożą wolą jest, aby ojciec czasem poświęcał się dla dzieci. Jestem przekonany, że bezpieczeństwo mojego ludu – a może nawet wszystkich ludzi – wymaga śmierci Hobarta Conselline' a.

– Stało się dla mnie jasne, że ser Conselline i jego rząd pozwalali na nieograniczone stosowanie odmładzania i przedłużania życia. Skutki tego, w połączeniu z polityką niekontrolowania urodzin, są jasne: Familie Regnant nieuchronnie będą próbowały zwiększać swoje terytorium kosztem sąsiadów. To doprowadzi do konfliktu, być może nawet do wojny. A my tego nie chcemy.

– Bardzo proszę następców ser Conselline' a, by rozważyli korzyści płynące z przyjęcia naturalnych i prawnych granic ekspansji. Republika Guerni utrzymuje stałą wielkość populacji i chlubi się tym, że w swej długiej historii zawsze pozostawała w aktualnych granicach. Familie zaś od ponad dwustu lat prowadzą powolną, lecz stałą ekspansję, a przez ostatnie pięćdziesiąt lat na znacznie większą skalę.

– Podobnie jak wy – wymamrotał ktoś niedaleko Brun, wypowiadając na głos jej myśli. To przecież oni najechali system Xaviera.

– Mam nadzieję, że mój następca i rząd Familii Regnant będą mogli osiągnąć trwałe porozumienie dotyczące naszych granic i że ekspansja

Familii zostanie w jakiś sposób ograniczona. – Ambasador przerwał, a po chwili dodał: – Szanowni zebrani, to koniec wiadomości od byłego Przewodniczącego. Jestem do waszej dyspozycji, gdybyście chcieli zadać jakieś pytania.

Brun wcisnęła guzik oznaczający chęć zabrania głosu.

– Ambasadorze, jednej rzeczy nie rozumiem. Czy wasz rząd spodziewa się, że zaprzestaniemy stosowania odmłodeń, czy liczy na jakieś gwarancje z naszej strony, że nie będziemy podejmować ekspansji na wasze terytorium?

– Sera, bardzo martwimy się waszym odmładzaniem. Nasz Przewodniczący uważał, że gwałtowny wzrost populacji i ograniczone szanse rozwoju dla młodszych obywateli waszego społeczeństwa muszą doprowadzić do niepokojów politycznych, które mogą się rozładować albo w wojnie domowej, albo w ekspansji na tereny sąsiednich państw. Nie chcemy zostać zaatakowani przez was i, jeśli to możliwe, wolelibyśmy uniknąć wojny.

– Czyli uważacie, że wielokrotne odmłodzenia przyczyniają się do wzrostu populacji, a to zmienia nas w państwo ekspansjonistyczne? – zapytał jeden z Dunlearisów, siedzący po drugiej stronie sali.

– A przynajmniej w nieprzewidywalnego, bardzo niestabilnego sąsiada – odpowiedział ambasador. – Nalegamy na wprowadzenie jakichś limitów wielokrotnego odmładzania.

– Nie! – krzyknął Oskar Morrelline, ale przewodniczący odebrał mu głos, stukając młotkiem w pulpit.

– Albo jakichś innych skutecznych sposobów kontrolowania przyrostu populacji – dodał ambasador. – Pragniemy stabilnej granicy...

– To wy napadliście na nas, na Xaviera, kilka lat temu – zauważył ktoś.

Ambasador zacisnął usta i potrząsnął głową.

– Ser, nie jest moim zadaniem dyskutowanie na temat motywów, jakimi kierował się były Przewodniczący, podejmując decyzję o wkroczeniu w waszą przestrzeń. Podjął ją na własną odpowiedzialność i nie jest już w stanie za nią odpowiadać. Moim zadaniem jest poinformować was, że wasz Mówca, Hobart Conselline, został zamordowany na polecenia byłego Przewodniczącego, który zapłacił za wydanie tego rozkazu własnym życiem, a powodem jego decyzji była troska – dzielona przez obecny rząd – o to, że nieograniczone stosowanie odmładzania może spowodować destabilizację w waszej polityce wewnętrznej i naszych stosunkach dwustronnych.

– Ale to nie wasza sprawa, co robimy w naszym państwie – rzucił ktoś.

– Sera, jesteśmy sąsiadami i pożar w waszym domu może przenieść się także na nasz dom.

– Ale nie możecie oczekiwać od nas, że przestaniemy stosować procedury medyczne, które tak wielu...

– Sera, nie oczekuję niczego, oprócz wysłuchania mnie Nie jest moim zadaniem mówienie wam, co macie robić, tylko przekazanie tego, co mój rząd sądzi o waszym postępowaniu i co może zrobić w odpowiedzi na nie.

– Czy to groźba? – zapytała Brun.

Ambasador rozłożył ręce.

– Mam nadzieję, że daleko nam do wymiany gróźb.

– A jednak zabiliście Hobarta Conselline'a.

– Były Przewodniczący kazał go zabić, a to niezupełnie to samo. Aktualny rząd ubolewa nad tą decyzją i z całego serca żałuje, że były Przewodniczący nie znalazł sposobu wyrażenia swojej troski w mniej szokujący... sposób.

– Na przykład przez wywołanie buntu. Tym razem był to Viktor Barraclough.

– Nie, ser, nie wszczynaliśmy żadnego buntu. Ubolewamy nad nim i uważamy, że to poważne zagrożenie dla naszych pokojowych stosunków. Jeśli chcą państwo poznać moje zdanie...

– Och, jak najbardziej, proszę się nim z nami podzielić. – Sarkazm Viktora wywołał falę nerwowych śmiechów. Nawet ambasador się uśmiechnął.

– Przyczyną może być problem odmładzania. Brak szans rozwoju dla młodych ludzi zawsze najszybciej ujawnia się w rozwarstwionej i najbardziej zdyscyplinowanej części społeczeństwa. Czyż nie mieliście problemów z odmładzaniem wojskowych?

Brun miała wrażenie, że ambasador bardzo wiele spraw przemilczał. Pamiętała, że to agent

Benignity na Patchcock był zamieszany w produkcję gorszych jakościowo leków do odmładzania, choć nie wiedziała, czy dowiedziono jego udziału w tym. To oczywiste, że jeśli Benignity martwiła się możliwością ekspansji Familii, najlepiej byłoby sparaliżować wojsko, rozbić silną i doświadczoną armię, aby nie mogła prowadzić inwazji ani się bronić.

– Czy ma pan dla nas jeszcze jakieś informacje, ser Unser–Marz? – zapytała.

– Nie, nie mam więcej informacji.

– W takim razie wnioskuję, by podziękować ambasadorowi za jego komunikat i poprosić, by był gotów do odpowiedzi na dalsze pytania. – Czy próbuje pani uciąć dyskusję? – zapytał ambasador.

– Nie, ale nie widzę sensu, aby omawiać to w pańskiej obecności, ambasadorze. Z całym należnym szacunkiem.

– Zgadzam się – powiedział Victor Barraclough. – Popieram wniosek.

– Jeśli można... – odezwał się ambasador.

– Tak? – Mówca wyglądał na zmieszanego.

– Chciałbym zapewnić Radę, że ja i mój personel będziemy gotowi w każdej chwili odpowiadać na pytania. Zgadzam się, że moja obecność w trakcie dalszych obrad nie jest konieczna, więc czy mogę się oddalić?

– Oczywiście, ambasadorze.

Kiedy ambasador wyszedł, Brun uświadomiła sobie, że nikt nie zadał kluczowego pytania: czy wiedziało wszystkim wcześniej? Ale wokół już wybuchły kłótnie, podobnie jak po śmierci jej ojca. W tej chwili większość zdawała się akceptować oświadczenie ambasadora, że to Benignity była odpowiedzialna za śmierć Hobarta, ale jeszcze nie dotarła do nich wiadomość o śmierci Pedara. Była przekonana, że to zmieni sytuację. Zabójstwo dwóch osób niemal w tym samym czasie, w tym jednej bez wątplenia z ręki jej matki...

To będzie cud, jeśli to wszystko nie skończy się wojną domową.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

OSK *Indefatigable*

Heris Serrano weszła na pokład swojego nowego okrętu, krążownika *OSK Indefatigable*, i ruszyła prosto na mostek, nie zwracając sobie głowy zwyczajowymi rytuałami powitalnymi. Wsunęła swój pręt dowódcy do szczeliny kapitańskiej i wprowadziła kody. W odpowiedzi komputer błysnął zielenią i rozjarzył zestaw paneli funkcyjnych. A więc komputer wciąż reaguje na kody dowodzenia Floty. Teraz pora się przekonać, jak to wygląda u ludzi.

Podczas gdy wczytywała się w informacje, ludzie na mostku zachowywali się tak, jak zazwyczaj załoga w trakcie zmiany dowództwa. Młodzi stali sztywno, zerkając na nią, a starsi pilnowali okrętu.

Po sprawdzeniu kartoteki załogi okazało się, że nikogo z nich nie zna. Bez własnej załogi czuła się bezbronna... ale nagle uświadomiła sobie, że teraz to jest właśnie jej załoga. I niezależnie od tego, gdzie teraz są Petris, Oblo, Meharry i reszta, będzie wykonywać swoje obowiązki, tak samo jak oni swoje.

Kiedy już zarejestrowała swoją obecność na statku, wywołała na konsolę raporty o statusie. Wszystkie systemy statku działały poprawnie, ale mieli bardzo ograniczone zapasy, co wcale nie było dziwne w czasie buntu. *Indefatigable* przechodził poważny remont, a jego zwykła załoga została zwolniona na długie urlopy.

– Kapitanie, czeka na panią cały pakiet wiadomości z Dowództwa. Mam je przekazać do pani biura czy tutaj? – To major... Suspiro, jak odczytała z jego plakietki.

– Tutaj proszę – odpowiedziała Heris. Zdecydowała, że zostanie na mostku, gdzie w trudnym okresie przejściowym będzie widoczna dla większej liczby ludzi.

– Tak jest, sir. Wiadomości przeznaczone wyłącznie dla pani będą wymagać kluczy deszyfracyjnych H, jeden przez siedem.

Heris znów wsunęła do slotu swój infopręt dowódcy i wprowadziła kody autoryzacyjne, odblokowując klucze przechowywane w pręcie. Z konsoli wysunął się ekran z osłonami, które chroniły go przed spojrzeniami załogi przebywającej na mostku. Na tego rodzaju jednostkach, nie wyposażonych w budki zapewniające pełną prywatność, był to duża niewygodą. Heris wyłowiła z szufladki pod dolną krawędzią ekranu filtry optyczne, dzięki którym tylko ona mogła odczytać wiadomości, i wywołała pierwszą z nich.

Wiadomość dotyczyła proponowanej tymczasowej struktury dowodzenia i miała ograniczony czas ważności, który już minął, więc Heris skasowała ją. Druga wiadomość potwierdzała nową strukturę dowodzenia, a trzecia informowała ją, że będzie dowodzić nie tylko *Indefatigablem*, ale również małą grupą uderzeniową: dwoma krążownikami, czterema patrolowcami, trzema eskortowcami i zwykłą grupą jednostek pomocniczych. Czwarta przekazywała jej dane o personelu, łącznie z najświeższymi informacjami służb bezpieczeństwa; zachowała je w zabezpieczonym pliku, aby później przestudiować. Teraz miała czas na spotkanie z nowymi oficerami.

Załoga *Indefatigable* pochodziła z łapanki. Ponieważ był jednostką flagową okrętów przebywających w porcie, jego dowódca mógł w razie potrzeby wymienić część załogi na ludzi z innych statków, ale to wszystko. A ona musiała mieć przynajmniej parę osób, które wiedzą, jak się poruszać po statku, w przeciwnym razie będą musieli spędzić tydzień w porcie.

Heris wezwała starszych oficerów na spotkanie do swojego biura. Komandor Seabolt, który

wyglądał tak, jakby przed chwilą zszedł z plakatu rekrutacyjnego, usiadł ostrożnie na krześle po jej lewej stronie; Heris natychmiast zakwalifikowała go jako regulaminowca. Komandor porucznik Winsloe, starszy oficer uzbrojenia, była ulepiona z tej samej gliny, ale miała iskierkę w oczach. Major Suspiro z komunikacji miał nieco zmięty wygląd, który kojarzył się Heris z naprawdę dobrymi technikami komunikacyjnymi. Major Vondon ze skanu wyglądał podobnie, lecz był wyższy. W inżynierii miała majora Foxsona, cichego, siwego mężczyznę. Jej główny inżynier środowiskowy, komandor Donnelly, była energiczną, masywną kobietą, która zjawiała się dziesięć minut po wszystkich i została powitana pełnym dezaprobaty spojrzeniem Seabolta.

– Przepraszam, kapitanie – powiedziała Donnelly. – Przysłali właśnie na dół kolejną grupę kretów i próbowałam ich jakoś posortować.

– Proszę usiąść – powiedziała Heris i zwróciła się do Seabolta.

– Komandorze Seabolt, proszę mi opowiedzieć o pańskim poprzednim przydziale.

Mężczyzna jeszcze bardziej zeszywniał, o ile to w ogóle możliwe.

– Byłem adiutantem admirała Markhama. Przez ostatnie cztery lata admirał pełnił funkcję zastępcy dowódcy Sektora Cztery.

– A pański ostatni przydział okrętowy?

– Osiem lat temu, kapitanie, byłem na *Picardy Rose* pod dowództwem kapitana Grahama. – Te nazwiska nic Heris nie mówiły, choć była przekonana, że *Picardy Rose* był patrolowcem.

– Specjalizacja dowódcza? Techniczna?

– Dowódcza. Byłem czwartym oficerem. – W końcu uświadamiając sobie, jakie informacje mogą jej być potrzebne, dodał: – *Picardy Rose* był patrolowcem w służbie granicznej.

– Brał pan udział w jakichś starciach?

– Nie, sir, ale kapitan Graham bardzo pilnował porządku i zawsze komplementowano nas na corocznych inspekcjach za trzymanie się standardów.

Wolałaby raczej niedbałego weterana wojennego, ale podziękowała mu skinieniem głowy i przeniosła spojrzenie na Eugenie Winsloe. – A pani, komandorze?

– Byłam w drodze ze Szkoły Artylerii, gdzie zaliczałam przydział w charakterze instruktora, na mój nowy statek. Miał to być *Summer-wine*. Mój ostatni przydział okrętowy to *Rose of Glory*, a wcześniej *Alerte*. Nie braliśmy udziału w walce, choć *Rose* wygrała mistrzostwa sektora w strzelaniu. Nie służyłam na krążowniku, odkąd zostałam pepekiem, ale zapewniam panią kapitan, że dobrze znam uzbrojenie krążowników.

– Bardzo dobrze. – Wcale nie było dobrze, ale Winsloe przynajmniej wydawała się bardziej chętna i bystrzejsza od Seabolta. – Jest pani usatysfakcjonowana kompetencją swoich podwładnych, komandorze?

Potrząsnęła głową.

– Kapitanie, nie mogłabym obsadzić doświadczonym personelem nawet jednej wachty. Wygląda to tak, jakby złapali każdego, kto się nawinał, żeby tylko mieć ludzi. Jednak najbardziej doświadczony podoficer powiedział mi, że jeśli będziemy mieć kilka tygodni, powinniśmy sobie całkiem nieźle radzić.

Jakby czas mógł się zatrzymać, aż będą gotowi.

– Niech ich pani mocniej przydusi – powiedziała Heris. – Możemy nie mieć kilku tygodni. I jeśli znajdzie pani na pokładzie kogoś z doświadczeniem w uzbrojeniu, kogo przydzielono gdzie

indziej, proszę mi o tym powiedzieć. Może będziemy musieli pozmienić przydziały.

– Brakuje nam też części zamiennych – powiedziała Winsloe. – Byłoby jeszcze gorzej, gdybym nie zauważyła, wchodząc na pokład, jak wywożą ostatni ładunek. Wykonawca twierdził, że należy do niego, ale pozwoliłam sobie go zarekwirować.

– Dobra robota, komandorze – pochwaliła Heris.

Jej spojrzenie powędrowało do komandora porucznika deFriesa, starszego nawigatora.

– Służyłem na krążownikach, ostatnio na *Royal Reefie*. Ale ostatni raz widziałem walkę na *Clarionie*, w trakcie akcji na Patchcock. – Prowadził pan ostatnio ćwiczenia z bronią w mikroskokach?

– Nie, sir, a na Patchcock byłem zaledwie trzecim oficerem nawigacyjnym. Ale zabrałem ze sobą na pokład pełen zestaw symulacji szkoleniowych, a czterech moich ludzi ma większe niż ja doświadczenie bojowe.

To już coś, a poza tym wykazał inicjatywę we właściwym kierunku.

– Dobrze. Będziemy prowadzili ćwiczenia z pozostałymi jednostkami. Czy kontaktował się pan już z ich oficerami nawigacyjnymi?

– Nie, sir. Nie powiedziano nam, że będziemy lecieli w grupie. Znowu ta cholerna tajemnica.

– Zabieramy ze sobą małą grupę. Nazwy jednostek są już na tablicy dowodzenia, więc będzie pan mógł zaznajomić się z ich oficerami nawigacyjnymi.

– Tak jest, sir.

– Majorze Foxson, posłuchajmy, co pan ma do powiedzenia.

– Kapitanie, cała moja służba odbywała się na krążownikach tej klasy. Ostatnio byłem na *Imperatorze* i zostałem przeniesiony tutaj, ponieważ nadzorowałem instalowanie nowych silników na *Impie* i uznano, że powinienem też dopilnować nowych silników *Indy*.

Heris nigdy nie lubiła zwyczaju skracania nazw okrętów, ale to nie powód, by uprzedzać się do starszego oficera napędu.

– A więc co pan o nim myśli?

– To zdecydowany postęp w stosunku do starych, kapitanie, ale w związku z buntem pospieszyli się z pracami wykończeniowymi. Silniki układowe są w porządku, ale napęd nadświatlny nie jest do końca zrównoważony. Dowiezie nas tam, gdzie trzeba, ale zostawi charakterystyczną sygnaturę. Przypuszczam, że z czasem ulegnie degradacji. Po jakimś tuzinie skoków możemy się spodziewać migotania.

– W takim razie czemu pan to zaakceptował?

– Sir, wszedłem na pokład dwa dni po tym, jak opuściły go ekipy remontowe, bo inaczej bym się na coś takiego nie zgodził. Ale nie mogę powiedzieć, że to niebezpieczne. Takie same modyfikacje przeprowadzono na *Impie*, i statek był pewny jak skała, nigdy nie zawiódł. To było dwa lata temu. Naprawili to, ale teraz, ze względu na bunt i wszystko inne, przypuszczam, że nie zgodzą się na dalsze opóźnienia.

Zapewne miał rację. Zresztą leciał razem z nimi. Jeśli silnik nawali i ugrzęzną w jakimś odległym zakątku kosmosu, on też tam będzie.

Została już tylko Elise Donnelly, która służyła na krążowniku sześć lat wcześniej, ale od tamtej pory pracowała nad projektowaniem układów środowiskowych dla remontowców dalekiego zasięgu. Radośnie przyznała się, że zapomniała, gdzie znajdują się niektóre rury, ale szybko dodała, że zaraz

sobie to wszystko przypomni.

Heris miała ochotę walić z rozpaczy głową w biurko, ale zwyciężył rozum. Życie załóg tej małej flotyli będzie zależało od jej umiejętności pokonania frustracji i wykonania tego, co wydaje się niemożliwe. Poradziłaby sobie z tym, mając swoją starą załogę albo jakąkolwiek inną zgraną załogę, przyzwyczajoną do wspólnej pracy. Potrząsnęła głową. Nie ma sensu zastanawiać się nad tym, co by było, gdyby... Ma to, co ma, i musi sobie z tym poradzić.

Inne okręty w grupie wydawały się lepiej zorganizowane. A to znaczy, że przynajmniej najgorsze problemy będzie miała blisko siebie i będzie mogła zająć się nimi osobiście.

* * *

Budzik zadzwonił godzinę przed środkiem trzeciej wachty, budząc Heris z przyjemnego snu, w którym biegali razem z Petrisem po słonecznej plaży, wskakiwali w ciepłe fale... Całe otoczenie wyglądało jak z przewodnika turystycznego: wszystko w odcieniach błękitu, turkusów i bieli. Jęknęła i na chwilę głębiej wcisnęła twarz w poduszkę. Ale już się obudziła .. i przypomniała sobie, czemu nastawiła budzik. Parametry środowiskowe na początku trzeciej wachty zawsze odbiegały od zadanych, choć w księgach raportów przez całą trzecią wachtę miały idealne wartości.

Heris spryskała twarz zimną wodą z karafki stojącej obok koi i założyła czysty mundur. Jeśli ma spaść niczym gniew bogów na objającą się załogę trzeciej wachty, idealny mundur wzmocni wrażenie. Mógłby się też sprawdzić odprasowany wygląd Seabolta, ale on był przekonany, że niewłaściwe parametry na początku wachty oznaczają, że coś jest źle z maszyną.

Heris przypięła znaczki i komunikator – mostek musi wiedzieć, gdzie znajduje się kapitan – i założyła ochraniacze na buty. Nosiła je większość personelu trzeciej wachty w celu zredukowania hałasu, a teraz z pewnością ułatwią jej podkradnięcie się do winowajców. Skierowała się na rufę; tak jak się spodziewała, nie spotkała nikogo po drodze. Zeszła w dół po drabince, minęła jeden pokład... drugi... i już na zewnątrz przeszła prawą burtą do sekcji środowiskowej, gdzie już z dala słychać było rytmiczne dudnienie pomp.

Stała przez chwilę, słuchając z jednym palcem przytkniętym do ściany, tak jak ją nauczył starszy bosman, gdy była jeszcze pepekiem. Otworzyć usta... przekręcić głowę z boku na bok... i z tego miejsca można wychwycić wszelkie nieregularności w pracy pomp. Jednak teraz wszystko wyglądało normalnie.

Skręciła w lewo i zobaczyła, że włącz dla personelu, oddzielający główny korytarz prawoburtowy od lewoburtowego, jest otwarty. Spojrzała na kontrolki statusu: wszystkie cztery świeciły na zielono. Niedobrze. Ktoś zostawił dla wygody otwarty zamek, stwarzając bardzo poważne zagrożenie. Przyjrzała się mechanizmowi śluz. Powinny się zamykać automatycznie, ale ktoś wsadził w mechanizm stylus, żeby oba włązy były otwarte. Co więcej, zaklejono taśmą czujnik, który powinien wykryć ich niewłaściwy stan.

Seabolt uznałby to za sabotaż, ale Heris wiedziała, że prawdopodobnie to zwykłe lenistwo. Bez wątpliwości przednie drzwi też zastanie otwarte. Zamiast przejść pełną trasę, by dokonać wymaganych odczytów, ktoś przebiegał tędy, by odznaczyć log po drugiej stronie.

Heris poszła z powrotem do prawoburtowego korytarza, wyjęła rolkę taśmy klejącej i przykleiła pasek na pięciu dolnych szczeblach drabinki, w miejscach, gdzie można było zebrać odciski palców. Potem weszła z powrotem do śluz, wyciągnęła stylus z mechanizmu zamka, zamknęła włązy zablokowała go. Następnie bardzo starannie przykleiła do koła pasek taśmy do wychwytywania odcisków palców. Zaklejony czujnik pozostawiła bez zmian, weszła do środka,

zamknęła służę i ją także okleiła taśmą.

Wychodząc po lewoburtowej stronie służy, nie mogła zamknąć za sobą włazu, ale umieściła pasek taśmy pod każdym z uchwytyw, przymykając właz tak, by ktoś używający go musiał z nich skorzystać.

Teraz musiała odgadnąć, w którym korytarzu może przebywać obijająca się ekipa środowiskowa; powinna ich znaleźć przed końcem wachty... gdyż inaczej zgłoszą swój zwykły raport. Otworzyła właz techniczny na końcu lewoburtowego przedziału i zastała tam – tak jak należało – tylko wielki zbiornik osadowy. Ostrożnie zamknęła właz i najciszej jak mogła ruszyła z powrotem, nasłuchując, ale dochodziło ją tylko równomierne dudnienie pomp, szum przepychanych płynów i syk instalacji gazowych.

Po zewnętrznej stronie kadłuba, po jej prawej stronie, mieściły się przezroczyte rury i pojemniki świecące na zielono, niebiesko lub bursztynowo, w zależności od rodzaju wypełniających je kultur bakteryjnych, kolejne rury, przewody, pompy i komory wymienników. Jeszcze dalej – niewidoczne z tego miejsca – osadniki i mieszadła.

Wnętrze statku od podłogi aż po sufit wypełniały dodatkowe układy atmosferyczne – zbiorniki i przewody – oraz sekcje przetwarzania żywności w postaci sześciennych zbiorników hydroponicznych.

Heris wciągnęła powietrze. Sekcja środowiskowa była niewątpliwie najbardziej pełną zapachów częścią statku. Zdrowy system pachniał jak wiosenny dzień na polu na dobrze terraformowanej planecie. Najlepsi znani jej technicy środowiskowi potrafili zdiagnozować problem po jednym pociągnięciu nosem, natychmiast rozpoznając, który osadnik czy kolonia bakteryjna nie funkcjonuje poprawnie.

Tutaj – skrzywiła się mimowolnie – oprócz drożdżowych, ziemnych i gryzących zapachów był też jakiś drażniący zapach, jakby kucharz przypalił nie tylko stek, ale i swoją brodę. Kierując się węchem, ruszyła w stronę źródła, przypominając sobie nagle psy łowcze Bunny'ego Thornbuckle'a; czy to właśnie czuły, ścigając lisa?

Po chwili poczuła delikatny metaliczny zapach i usłyszała jakiś nietypowy dźwięk – syczenie, po którym następowało jakby ciche warknięcie. Spawanie? Lutowanie? Coś, czego nigdy się nie robiło w sekcji środowiskowej, ponieważ... Wyteżyła pamięć, aby przypomnieć sobie czytany kiedyś tekst instrukcji.

Potem dotarły do niej głosy.

– Ależ, sir, instrukcja mówi...

– Kapralu, widzi pan te belki?

– Tak jest, sir. – Heris wyobraziła sobie, jak bardzo nieszczęśliwy musi być kapral, który zna instrukcję. – Ależ, sir, jeśli pary metalu wejdą w kontakt z...

– Zróbcie to! – rozległ się gniewny starszy głos.

Heris ruszyła szybko do przodu i zobaczyła grupę ludzi zebranych wokół rury łączącej dwa zbiorniki.

– STAC! – krzyknęła. – Nie ruszać się – dodała cichym głosem.

– Kto tam? – zapytał starszy głos. – Nie wolno tutaj wchodzić!

– Mnie wolno – odpowiedziała Heris. Poczuła satysfakcję, widząc, jak oczy tamtego rozszerzają się, a twarz blednie. Młodszy bosman... Dorson, odczytała na jego plakietce.

– Komand... eee... kapitanie. Przepraszam. Myślałem, że zakradł się tu któryś z marynarzy.

– Proszę wyłączyć ten palnik, kapralu Acer – rozkazała Heris równie blademu młodemu człowiekowi. Posłuchał jej, rzucając szybkie spojrzenie na bosmana.

– A teraz zechce mi pan wyjaśnić, dlaczego chciał pan użyć palnika – zwróciła się do Dorsona.

– No cóż... – Rzucił jadowite spojrzenie na kaprala. – Ten człowiek znalazł w czasie poprzedniej wachty przeciek z rury, więc kazałem mu zalepić otwór, ale ponieważ znów przeciekało, kazałem przynieść palnik i przyłożyć solidną łątę.

– Rozumiem. Kapralu, proszę wyjaśnić swoje obiekcje.

– Kapitanie, to nowe złącze, zainstalowane w czasie remontu. Z nowymi instalacjami zawsze jest trochę problemów, często przeciekają, i bosman Kostans uczył mnie, że należy w takim wypadku kleić rury dotąd, aż powstanie warstwa osadu. To chroni je także przez falami uderzeniowymi z pomp, czego nie zapewnia twarda łąta. Ale co najważniejsze, pary metalu w rurach są bardzo niebezpieczne. Prowadzą do korozji, a wtedy mogą być znacznie gorsze problemy.

– Bosmanie Dorson, jakie ma pan doświadczenie w pracy w sekcji środowiskowej na statku?

– Na statku, kapitanie? Właściwie żadnego. Moją główną specjalnością jest administracja, wydział archiwizacji. Przypuszczam, że przenieśli mnie tutaj, ponieważ pilnowałem aktualizacji danych dotyczących systemów środowiskowych.

To by pasowało.

– I nie mając doświadczenia, uznał pan za stosowne odrzucić protesty człowieka, który zna się na swojej pracy?

Dorson zaczerwienił się.

– Nie widziałem w tym niczego złego...

– Młodszy bosmanie Dorson, czy może pan wyjaśnić, czemu zablokowano w pozycji otwartej rufowe włązy dla personelu, a czujniki zasłonięto?

Opuścił szczękę.

– Ja... ja... A co w tym złego? Jak długo przednia i rufowa śluza są równocześnie otwarte, ciśnienie się wyrównuje.

– Ale działanie śluz sprowadza się do tego, żeby ciśnienie nie wyrównywało się – powiedziała Heris. – Żeby problemy po jednej stronie nie pojawiły się po drugiej.

– Ale... te włązy zamyka się tylko w czasie walki.

Heris odetchnęła głęboko i odwróciła się do Acera.

– Kapralu, schowajcie ten palnik na miejsce i pójdźcie zabezpieczyć przednią śluzę. Rufową już zabezpieczyłam. Jeśli pan spotka kogoś po drodze, proszę nic nie mówić. Proszę też przynieść tutaj przednią księgę rejestru.

– Tak jest, sir – odpowiedział zadowolony i niemal odbiegł. Heris odwróciła się do nieszczęsnego bosmana.

– Młodszy bosmanie Dorson, nie ma pan zielonego pojęcia o prawdziwych systemach środowiskowych. Będzie pan musiał się nauczyć. Ale ponieważ omal nie doprowadził pan do poważnej awarii, która mogła mieć fatalne skutki, zostaje pan zwolniony z pełnienia swoich obowiązków tutaj. Rozpocznie pan studia nad układami środowiskowymi od wstępnego kursu, a pierwsze dwa rozdziały zakończy pan jeszcze przed końcem tej wachty. Mam nadzieję, że zaliczy pan

testy na co najmniej dziewięćdziesiąt procent, jeśli chce pan zachować swoje belki.

– Tak jest, sir. – Wyglądał na bardziej zaskoczonego niż zawstydzonego, ale przynajmniej nie protestował.

– Kiedy skończy pan wstępny kurs, zgłosi się pan do środowiskowego jako technik praktykant – tylko dlatego, że brakuje nam techników – i będzie pan wykonywał rozkazy tych, którzy mają większe doświadczenie. Zrozumiano?

– Tak jest, sir.

– Dobrze. – Odwróciła się, widząc wracającego kaprala Acera. – Kapralu, jakie są najświeższe odczyty?

Teraz wyglądał na zakłopotanego.

– Najświeższe? Przypuszczam, że...

– Nie chcę żadnych przypuszczeń, kapralu. Zobaczmy ten rejestr. – Zerknęła na ostatnią stronę. – Czy to pański podpis, kapralu?

– Tak, kapitanie.

– Widzę, że zapisał pan wszystkie parametry w wartościach nominalnych. Zakładam, że to oznacza, iż sprawdził pan każdy zawór i każdy odczyt.

– Eee... nie, sir. Nie wszystkie.

– Innymi słowy, sfalszował pan rejestr? – Kapral rzucił szybkie spojrzenie na bosmana, a potem przełknął i odpowiedział. – Tak jest, sir. Podpisałem ten rejestr i wpisałem odczyty, których nie dokonałem.

Heris złożyła księgę i postukała nią o swoją nogę. Obaj mężczyźni wyglądali tak, jakby woleli mieć przed sobą otwartą szluzę w przestrzeń niż ją, i właśnie o to jej chodziło.

– Mamy tu dwa problemy – powiedziała w końcu. – Niekompetencję, która próbuje przedkładać rangę nad doświadczenie, i kompetencję, która wybiera kłamstwa. Prawdę mówiąc, nie ma na to u mnie miejsca, ale teraz jest wojna i nie mogę się was pozbyć. Możemy to rozwiązać na sądzie kapitańskim albo tu i teraz. Jak chcecie.

– Teraz, jeśli kapitan tak uważa – powiedział kapral. Bosman tylko kiwnął głową.

– Kapralu, nie wiem, czemu sfalszował pan ten rejestr. Może pan sądzi, że miał ku temu powody... – Urwała, by przekonać się, czy będzie próbował się tłumaczyć, ale nic nie powiedział. Tym lepiej. – Ale dla mnie nic – absolutnie nic – nie usprawiedliwia oszukiwania kapitana, a pan właśnie to zrobił. Jestem bardzo niezadowolona, i nawet pańska kompetencja nic tu nie może pomóc. Degraduję pana do stopnia szeryfa. Na pierwszej wachcie zgłosi się pan do pierwszego oficera i poprosi o dokonanie zmiany w kartotece.

– Tak jest, sir – powiedział w końcu.

– Młodszy bosmanie Dorson, nie będę tolerowała wykorzystywania rangi do ukrywania ignorancji i braku kompetencji. To nie pańska wina, że został pan przydzielony do pracy, o której nie ma pan pojęcia. Pańska wina polega na tym, że nie słuchał pan kogoś, kto wiedział. To nieuczciwość tylko odrobinę mniejsza niż kaprala... szeryfa, kiedy udaje pan, że wie, co robi. Degraduję pana do stopnia sierżanta. Pan również zgłosi się celem dokonania zmian w kartotece.

– Tak jest, sir.

– Przekonacie się, że promuję równie szybko, jak degraduję, jeśli ktoś na to zasłuży – mówiła dalej Heris – dlatego nie wyrzucajcie swoich belek. Dorson, proszę zająć się swoimi lekcjami.

Szeryfie, pan pójdzie ze mną.

Przeszli w ciszy przez przednią służę i pomaszerowali z powrotem na rufę, gdzie Heris szukała pozostałej załogi wachty. Znalazła ich grających w karty: trzech szeryfów, jeden starszy szeryf i jeden kapral. W jednej chwili wszystkich zdegradowała i przydzieliła im dodatkową służbę... która dla ludzi bez doświadczenia w środowiskowym oznaczała spędzanie wachty przy czytniku kostek. Kiedy skończyła, odwróciła się do szeryfa Acera. – Od tej chwili dowodzi pan tą wachtą.

Dopilnuje pan, żeby pierwsza wachta dostała nominalne wartości parametrów... i będzie pan prowadził dokładny rejestr. Zrozumiano?

– Tak jest, sir! – W jego oczach znów pojawiło się światło.

– Jeśli znajdę jeszcze jakieś wykwalifikowane osoby, przyślę je tutaj, tymczasem to do pana należy zaprowadzenie tu porządku. Wierzę, że potrafi pan to zrobić.

Wróciła do swojej kabiny, zanim przypomniała sobie, że nie zdjęła taśmy do zbierania odcisków palców, która miała powiedzieć, czy ktoś jej się nie wymknął. Spojrzała na zegar. Zostały jej tylko dwie godziny snu, a potem będzie musiała być rześka i energiczna. Niewyspani dowódcy podejmują złe decyzje, pomyślała i wsunęła się pod koc. W końcu jutro czekają nocna wizytacja sekcji napędu, i wtedy będzie mogła zdjąć taśmę.

OSK Bonar Tighe

Solomon Drizh, kiedyś młodszy admirał Zawodowej Służby Kosmicznej, a teraz komandor dowodzący flotą buntowników, odznaczał na mapie nowo przybyłe statki. Mieli pecha na Copper Mountain; gdyby mogli tam być trzy tygodnie, tak jak zaplanowali, wszystkie statki buntowników zdążyłyby się zebrać, a wtedy mając dostateczną liczbę ludzi, mogliby przejąć kontrolę nad całą planetą jej zasobami. Ale tak wygląda wojna i nie ma co narzekać. Przynajmniej tutaj nikt nie powinien ich znaleźć, tutaj może zebrać swoich buntowników, przeszkolić ich i stworzyć siłę, której rząd nie będzie mógł zignorować.

„Jesteśmy myśliwymi i polujemy na najbardziej niebezpieczną zwierzynę – ludzi podobnych do nas”. To słowa Lepescu. „Wojna jest najlepszym testem człowieka, a polowanie na ludzi niewiele jej ustępuje”. To też.

Drizh uśmiechnął się do siebie. Flota jest miękka, ponieważ rząd jest miękki. Szuka pokoju za każdą cenę, ciągle idzie na kompromisy... Wiązał spore nadzieje z Thornbucklem, gdy ten rzucił Flotę na ratunek swojej córce – każdy powód do wojny jest lepszy niż jej brak – ale potem Thornbuckle zginął, zastrzelony przez lepszego myśliwego. „Łowy ujawniają twoją prawdziwą naturę, niezależnie od tego, czy jesteś myśliwym, czy zwierzyną”. A potem pojawił się nowy Mówca, Hobart Conselline, którego obchodziły tylko własne zyski i długie życie.

– Myśli jak krowa – powiedział głośno.

– Sir? – zapytał kapitan jego okrętu flagowego.

– Conselline – wyjaśnił Drizh. – Myśli tylko o własnym żołądku. Ale nauczy się, wszyscy się nauczą. – W końcu im się pokłonią. Będą musieli, gdy zginie wystarczająco wielu cywilów. Wtedy będzie dowodził nie tylko buntownikami, ale całą Flotą, a ona będzie kierować rządem.

– Wciąż mają trochę dobrych dowódców – zauważył Montague. – I więcej statków.

– To prawda, ale w walce jeden na jednego to my jesteśmy lepsi. Zresztą jest tylko paru

dowódców, którymi musimy się martwić.

– Serrano?

– Tak, Serrano. – Przez chwilę Drizh pozwolił sobie na żal, że Heris Serrano nie stoi po jego stronie. Byłaby cennym sojusznikiem. Ale to ona zniszczyła jego mentora, pokazała światu, że Lepescu to bezwzględny morderca, zdradziła tych, którzy szli w jego ślady. Jest wrogiem i on ją zniszczy, radując się jej upadkiem.

Znów spojrzał na mapę i przeklął tchórzy, którzy wbrew obietnicom jeszcze się nie pojawili. Potrzebuje więcej statków, i to już, zanim lojaliści będą mieli czas zorganizować skuteczną obronę.

Na razie, czekając na innych, mógł szkolić jądro swojej floty.

– Prześlijcie wiązką na inne statki – powiedział. – Zamknąć formację na czas ćwiczeń. – Kilka dni ćwiczenia precyzji bardzo poprawi reakcje załóg. Potem będą ćwiczenia ze strzelania, strzelania w mikroskokach...

A potem wojna i zwycięstwo.

ROZDZIAŁ ÓSMY

OSK Rosa Major

Barin był w połowie obiadu, gdy znów zaczęły ryczeć alarmy. Grupa uderzeniowa wciąż wyłapywała pozostałe miny, co było trudnym zadaniem nawet przy zastosowaniu wyspecjalizowanych trałowców. Cała sala na chwilę zamarła w miejscu – czekali na informację, że to kolejne ćwiczenia – a potem wszyscy zerwali się z miejsc. Porucznik Marcion podniósł talerz i wypił resztę zupy, chwycił dwie bułki i wybiegł. Barin spojrzał z żalem na resztę swojego gulaszu, złapał bułki oraz kawałek ciasta na deser i popędził w jego ślady.

Właśnie dobiegał do swojego stanowiska, gdy poczuł lekkie zachwianie... Sztuczne ciśnienie na chwilę się wyłączyło. To nie był dobry znak. Zobaczył, że mat O'Neila jest już na stanowisku. Barin wziął listę i zaczął sprawdzać obecność, zadowolony, że głos mu nie drży. Wszyscy dotarli na miejsce; Wahn nadbiegł w chwili, gdy odczytywał jego nazwisko. Barin zgłosił przez interkom pełną obsadę i otrzymał lakoniczne potwierdzenie. Miał ochotę zapytać, co się dzieje, ale wiedział, że nie powinien.

Rozległ się głośny gwizd – sygnał ostrzegający o zamykaniu się włazów między przedziałami.

– Musimy mieć uszkodzoną tarczę – odezwał się jeden z szeryfów, uśmiechając się nerwowo.

– Nie dyskutować – uciszył go O'Neil.

Słysząc było szuranie nóg po pokładzie, cichy szum wiatraków wentylacji... a potem nagły stukot blokad międzysekcyjnych, przesuwających się w głębokich kanałach. Grzmiące echo zapadających blokad odcięło ich od hałasów z pozostałych części statku.

– Sprawdzić szczelność – rozkazał Barin. Mat O'Neil przydzielił to zadanie dwóm członkom grupy, a pozostałym kazał dokonać odczytów ciśnienia, temperatury, sztucznego ciśnienia i innych parametrów. – Parami założyć kombinezony – polecił Barin, kiedy zgłoszono już szczelność blokad. Zdawało mu się, że trwa to wieczność, choć wiedział, że tak naprawdę czas płynie całkiem normalnie i ubierają się w wymaganym tempie.

W końcu nadeszła jego kolej. Wszedł w swój kombinezon próżniowy i przypomniał sobie pytanie, które zadał po raz pierwszy już bardzo dawno temu. Czemu okręty nie są wyposażone w szalupy ratunkowe na wypadek katastrofy? Wszyscy wiedzą, że w razie zetknięcia się z szalejącymi szczątkami i odłamkami kombinezony próżniowe nie stanowią prawdziwej ochrony. Marines mają utwardzane kombinezony bojowe, ale reszta załogi... Zajął się zapinaniem zamków i zaczepów, przypominając sobie odpowiedź instruktora. Na dużym statku nie ma dla wszystkich miejsca w kapsułach ratunkowych, gdyż masywne kombinezony bojowe są za duże, a poza tym nie należy myśleć o wydostaniu się ze statku, lecz o jego uratowaniu.

Barin odwrócił się do partnera, żeby ten sprawdził jego plecy, potem założył zbiorniki z powietrzem i podłączył węże, a następnie sprawdził plecy partnera. Na razie nie potrzebowali powietrza ze zbiorników, mieli jeszcze powietrze w przedziale. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, wyjdą tego spoceni i śmierzący, ale z pełnymi zbiornikami. Jeśli nie, będą mieli niewielką dodatkową szansę. Kazał wszystkim sprawdzić zawory zbiorników z powietrzem. Tylko szeryf Ghormley miał poniżej 100%; jak było do przewidzenia, zapomniał, że ma wyłączyć przepływ powietrza do chwili, gdy będzie go potrzebował. Barin pozwolił matowi zrugać Ghormleya, a potem kazał mu uzupełnić zawartość zbiornika.

Jego drużyna była odpowiedzialna za ocenę i kontrolę uszkodzeń w sterburtowej rufowej części pokładu załogowego, na który składały się dwie sypialnie szeregowych, cztery ciasne czteroosobowe przedziały podoficerskie, umieszczone wokół ważnego wyposażenia okrętu, prysznic, ubikacje, sala rekreacyjna załogi z wytartymi fotelami i czytnikami kostek i – zajmująca prawie połowę kubatury – połowa sali gimnastycznej, której druga część znajdowała się poza grodzią sekcji. Barin wysłał drużynę, by dokonała odczytów we wszystkich przedziałach, a sam został przy konsoli dowodzenia, z której mógł zgłaszać wyniki i przyjmować rozkazy.

Poczuł poruszenie w żołądku – znów generatory ciężenia? – i spojrzął na najbliższy zawór. Faktycznie, dwuprocentowy skok ujemny. Światła przygasły, potem pojaśniały. Jego drużyna zgłosiła pierwszy zestaw wskaźników i Barin przekazał je wyżej. Całym pokładem poruszył potężny wstrząs, a potem kolejny...

– Trafili nas, sir? – zapytał Betenkin głosem o dwie oktawy wyższym niż zwykle.

– To my wysyłamy pociski – odpowiedział Barin prawie równocześnie z matem O'Neilem. Ich spojrzenia spotkały się i podoficer uklonił mu się nieznacznie; miał wrażenie, że O'Neil ocenia go tak samo, jak on pozostałych. Potem pokład pod ich stopami podskoczył w wyniku potężnego uderzenia. Barin przełknął ślinę:

– To było trafienie – rzekł, a O'Neil wyszczerzył zęby. – Najpierw sprawdzić szczelność – powiedział. Ciśnienie musiało być właściwe, gdyż poczułby, gdyby było inaczej. Zerknął na konsolę. Na schemacie statku pojawił się dwa pokłady niżej czerwony krąg i w tym samym momencie w głośnikach rozległ się komunikat. – Przebicie kadłuba, przebicie kadłuba... Wszystkie zespoły rufowe, zgłosić się...

Barin wystukał swój klucz kodowy i odczytał aktualne wyniki. W jego słuchawkach rozległ się głos oficera kontroli uszkodzeń.

– Serrano, zabierz swój zespół do środowiskowego; idźcie od bakburty. Uważajcie na ciśnienie po drodze, na wypadek, gdyby gródź nie wytrzymała.

Usiłował sobie przypomnieć, co mu mówiono na temat przebić kadłuba. Wszystko wtedy ucieka w próżnię: powietrze i to, co mogło zostać poruszone przez wybuchową dekompresję. Zazwyczaj uszkodzony obszar jest wolny od trujących gazów i gęstego dymu zagrażającego ludziom wtedy, gdy kadłub jest wciąż nie naruszony, ale za to uszkodzeniu ulegają jakieś systemy. W sąsiednich przedziałach, gdzie mogło dojść do spadku ciśnienia, prawdopodobnie będzie ciemno, zimno i paskudnie.

W rufowym korytarzu bakburtowym Barin i jego drużyna spotkali się z oficerem odpowiedzialnym za sekcję. Major zerknął na jego plakietkę i włączył komunikator.

– Serrano, idźcie do SE-14. Ciśnienie spada, ale dość wolno, więc przebicie musi być niewielkie. Masz się zgłaszać na kanale jedenastym. Przechodźcie po dwóch naraz i bądźcie ostrożni. Różnica ciśnień wystarczy, by człowieka wyrzucić. Wejdziecie czwórka, zrozumiano

Barin poprowadził grupę w stronę śluzy. Kiedy się otworzyła, zobaczył korytarz oświetlony tylko lampami awaryjnymi, oddzielony długą ścianką od „hydrauliki” środowiskowej. Wzdłuż niej widać było kilka preformowanych grodzi ciśnieniowych, każda z wyraźnym oznaczeniem. Zlokalizował numer 4, i gdy reszta jego zespołu przeszła na drugą stronę, otworzył szafkę numer 4 i podał podkomendnym elementy jednoosobowej śluzy. Ćwiczyli to wystarczająco często: przystawić ramę do istniejącej ramy i przykleić, otworzyć resztę i sprawdzić, czy druga strona jest zamknięta. Pierwsza osoba nie musiała przechodzić całego cyklu, ponieważ różnica ciśnień wciągała śluzę do

pomieszczenia o obniżonym ciśnieniu i rozciągała ją aż do czasu zablokowania ramy.

Barin sprawdził, czy wszystko jest gotowe, i jeszcze raz zerknął na odczyty kombinezonu, a potem złapał uchwyt bezpieczeństwa i przebił preformatowany otwór w ścianie.

Śluza awaryjna wciągnięta do środka przez różnicę ciśnień uderzyła go w plecy z siłą pędzącej ciężarówki, tak że ledwie zdołał utrzymać uchwyt. Wokół było ciemno i szalał zimny wicher. Nic nie widział, ale czuł gwałtowne prądy powietrza i szybko spadającą temperaturę. Stopy ślizgały mu się po czymś niesamowicie śliskim Czyżby to był lód?

Powietrze wyło, uciekając przez szczelinę; słychać było nawet w środku kombinezonu. Barin włączył reflektor na hełmie i zobaczył wirującą mgłę, strumienie pary sunące z lewa na prawo. Środowisko było najwilgotniejszym miejscem na statku, nie licząc zbiorników z wodą i prysznic.

– Zamknięte, sir – usłyszał w komunikatorze hełmu.

– Przechodźcie, ale uważajcie. Tu jest ślisko, ciemno i wieje.

– Przypiąć linki zabezpieczające – rozkazał O'Neil.

Czemu on o tym nie pomyślał? Jego kombinezon miał przygotowane wszystkie zaczepy. Barin wyciągnął główną linkę ze schowka i przyczepił ją do poręczy. Teraz mógł się trochę rozejrzeć. Spróbował ostrożnie odejść od śluzy, ale pośliznął się na mokrym pokładzie i wpadł na coś obłego i twardego. W świetle reflektora widział tylko tłusty metaliczny poblask jakiegoś zbiornika. Błyszczał bardziej niż powinien, więc przesunął rękawicą powierzchnię, a potem wytarł ją łata czujnika chemicznego. Na wyświetlaczu kombinezonu pojawił się nie znany mu wzór. W każdym razie to nie tylko woda. Jest mnóstwo C, H i O, a także trochę Cl. Węglowodan, podpowiedział mu mózg, i natychmiast pomyślało płynie hydraulicznym.

Śliskie, łatwopalne i – jeśli pochodzi z wycieku pod ciśnieniem – śmiertelnie niebezpieczne w bezpośrednim kontakcie.

Przełączył komunikator kombinezonu na kanał 11 i zgłosił obecność płynu hydraulicznego, a następnie wrócił na kanał drużyny.

– Sir?

– Jestem tutaj. – Obrócił głowę, wysyłając światło reflektora we wszystkie strony. – Pośliznąłem się. Mamy tu nie tylko wodę, ale i płyn hydrauliczny. Pokażcie swoje lampy.

Pojawiły się trzy niewyraźne światełka.

– Sir, musimy przeprowadzić jeszcze pięć osób. Trzy są przypięte do tego samego uchwytu. Znalazł pan inne zaczepy?

– Nie – odpowiedział Barin – jeszcze nie. – Pierwsza linka miała tylko trzy metry długości, więc wszyscy nie mogli przypiąć się do tego samego uchwytu. Mogli się przypinać jeden do drugiego, ale i tak potrzebowali innych zaczepów. Wymacał drogę wokół zbiornika i znalazł jakiś uchwyt. Szarpnął, ale uchwyt nawet nie drgnął. Pochylił się, oświetlając go reflektorem z hełmu; okazało się, że to zablokowane pokrętko. Może być. – Znalazłem zaczep. Kto już wszedł?

– Wahn, Tellen i Prestin.

– Wahn, przyczep linkę do śluzy, doczep się do mojej linki i chodź tutaj.

Poczuł vibracje swojej linki zabezpieczającej, gdy ktoś szedł wzdłuż niej... a po chwili znalazł się tuż obok niego.

– To tylko jakieś dwa metry, sir, ale nic tu nie widać.

– To prawda. Przypnijmy tę linkę... – Barin przymocował ciągniętą przez Walina linkę do

pokręta. – Teraz się przepnij. – Wahn wykonał polecenie, przytrzymując się jedną ręką liny Barina, a drugą przepinając zaczep z jego linki na tę na uchwycie. – Tellen, znajdź moją linę i szarpnij. – Kiedy poczuł szarpnięcie, powiedział: – Teraz odczep moją linę i przyjdź z nią tutaj.

Bezpieczne przepuszczenie wszystkich przez służę, upewnienie się, że wszyscy są przypięci, i dojście przez śliski mrok do miejsca wycieku zajęło niesamowicie wiele czasu. Ponieważ problem przynajmniej częściowo był znany, czterech ostatnich dźwigało wielką i nieporęczną rolkę pokrycia kadłuba, który, przyłożony do otworu i uszczelniony pianką, miał stworzyć hermetyczną łatę o sporej wytrzymałości.

Barin idący na przodzie ślizgał się od jednej przeszkody do drugiej, objając sobie żebra i nogi. Uznał, że tak jest sprawiedliwie, ponieważ miał mniej doświadczenia niż większość z nich. Wiedział, że porusza się w dobrą stronę, ponieważ przesuwające się obok niego smugi i pasma pary wskazywały kierunek. Co jakiś czas zgłaszał raporty, gdy przypominało nich wyświetlacz hełmu.

Nagle w świetle lampy zobaczył wyraźny błysk... To warstwa lodu pokrywająca rury i coś, co powinno być rzędem płuczek. Za nimi dostrzegł nieregularny biały kształt otaczający poszarpaną czarną linę.

Znów poślizgnął się na śliskim pokładzie, a przybierający na sile prąd uciekającego powietrza i pary pchnął go w stronę szczeliny. Omal nie krzyknął. Poczuł szarpnięcie, gdy zatrzymała go linka zabezpieczająca.

– Proszę się nie martwić, sir, trzymamy pana.

Chciał powiedzieć coś żartem, ale nie potrafił. Ta czarna szczelina... Z pewnością nie zmieściłby się w niej cały... ale ramię? Dłoń?

– Tam jest mnóstwo lodu – zdołał w końcu powiedzieć – a my powinniśmy przyłożyć łatę do suchej i czystej powierzchni.

– Możemy to odparować – rzucił ktoś.

– Nie! Opary mogą eksplodować – zaprotestował Barin. – Pamiętajcie, że tutaj jest płyn hydrauliczny.

– Cóż, w takim razie... – Na ułamek sekundy przez szczelinę wdarło się światło ostrzejsze niż w najjaśniejszy dzień, nadając głębię i strukturę kłębowi pary.

– Co to było?! – krzyknął ktoś przestraszonym głosem. – Barin opanował oddech, próbując myśleć.

– Wojna jeszcze się nie skończyła – powiedział mat. – Bitwa trwa dalej i już czas, żebyśmy przestali podziwiać widoki.

To on powinien był to powiedzieć, zamiast przyglądać się blaskowi... Pojawił się kolejny błysk.

– Biją w tarcze – powiedział mat. – Mam nadzieję, że wytrzymają. – Jego głos brzmiał tak, jakby to nie miało żadnego znaczenia. Może faktycznie nie miało.

Barin zgłosił, że znaleźli otwór, ale jego brzegi są pokryte lodem.

– Ackman i Wahn, odrąbcie lód.

– A nie zbierze się od nowa? – Barin ucieszył się, że ktoś inny zadał to pytanie. Podoficer prychnął.

– Widzicie, że jest już mniej mgły? Większość pary wodnej uciekła, a ciśnienie i temperatura mocno spadły. Już niedługo będzie tu normalnie wszystko widać.

Barin rozejrzał się. Mgła rzeczywiście opadła poniżej pasa i światło jego reflektora docierało aż do przenośnej śluzu. W mroku coś błyszczało, jakby cienki drut... Nie, to wciąż tryskający cienkim strumieniem płyn hydrauliczny. Przez dziurę wpadł kolejny strumień światła, ale Barin go zignorował.

Bardzo ostrożnie, małymi krokami ograniczonymi przez długość ich linek, Ackman i Wahn podeszli do przebicia kadłuba i zaczęli oddłubywać lód.

– Ostrożnie – ostrzegł ich mat. – Nie chcemy go jeszcze bardziej uszkodzić. Przykładajcie łomy prawie równoległe do kadłuba. Podczas gdy dwaj mężczyźni rozrąbawali lód, Barin wraz z innymi rozwinął materiał pokrycia i pociął na pasy. Gdy tylko oczyszczono otwór z lodu, pomazał go klejem i zaczął przykładać pasy materiału.

Na przyklejonym materiale nie pojawił się nowy lód. Barin nałożył więc kolejną warstwę kleju, a następnie przyłożył jeden koniec do kadłuba pod przebicciem i zaczął rozwijać w górę, zaklejając jedną stronę, podczas gdy Averre zajmował się drugą. Ssanie było już mniejsze, choć i tak mocno dociskało materiał do otworu. Potem ktoś uruchomił pistolet piankowy i spryskał materiał szybko schnącą pianką.

Jedno przebicie zabezpieczone. Gdzie są pozostałe? Barin sprawdził ciśnienie w pomieszczeniu; przy tak niskim ciśnieniu będą musieli chwilę poczekać. Zgłosił się do oficera kontroli uszkodzeń.

– Musicie sprawdzić układy środowiskowe – powiedziano mu.

– Nie mam w ekipie żadnych kretów – odpowiedział Barin.

– Nic nie szkodzi. Musicie tylko zgłosić, co tam znajdziecie. Mam dla was listę kontrolną. Przesyłam do komputera pańskiego kombinezonu.

- Tak jest, sir. – To, co zobaczył na liście wyświetlonej w hełmie kombinezonu, wyglądało dość prosto. Sprawdzić zbiorniki pod kątem przecieków, sprawdzić rury, poszukać określonych zanieczyszczeń... Barin rozpoznał część chemikaliów, ale nie wszystkie.

– Zgłaszajcie się na kanale szóstym – to oficer środowiskowy tej wachty – ale nie zawracajcie mu głowy, jeśli nie musicie. Próbuje podpiąć pozostałości systemu sterburtowego nad wami do systemów awaryjnych.

Nie miało to wielkiego znaczenia dla Barina, który zawsze uważał środowiskową za najnudniejszą ze wszystkich specjalizacji. Oczywiście, że to ważne – wszyscy lubią oddychać – ale nie ma w tym nic ze splendoru broni czy napędu. Zaliczył wymagane kursy wyłącznie dzięki wkuwaniu, i zaraz po egzaminie z radością wyrzucił z pamięci większość informacji.

* * *

Lista kontrolna była długa i szczegółowa. Każdy zbiornik, komora, pompa, łącze, rura... a w całym pomieszczeniu było pełno rurek. Barin spojrzął na zegar i poziom powietrza w zbiornikach, i wyliczył, że będą musieli przynajmniej raz wyjść, aby uzupełnić zbiorniki. Postanowił, że wyśle połowę drużyny, gdy zostanie im powietrza już tylko na godzinę, a potem drugą połowę. Ustawił alarm w kombinezonie, by przypomniał mu o konsultacji z matem, i zabrał swoją połowę drużyny do przedniej części pomieszczenia.

Tutaj na pokładzie było znacznie mniej lodu. Barin poświecił reflektorkiem wokół. Ciekawe, czy bezpiecznie byłoby uruchomić oświetlenie? Znacznie przyspieszyłoby to ich pracę. Włączył komunikator i usłyszał ognistą kłótnię na temat tego, czy można użyć jakiegoś trudnego do wymówienia urządzenia do zrobienia czegoś równie trudnego do wymówienia w celu uzyskania

czegoś, o czym nigdy nie słyszał. Kiedy dwukrotnie kliknął, głosy umilkły i odezwał się ktoś zirytowany.

– Tak?

– Serrano, z kontroli zniszczeń w SE-14. Czy włączenie tu świateł byłoby bezpieczne?

– Jak wygląda wasza sytuacja gazowa?

Wezwał Wahna – on miał skaner chemiczny – i kazał mu odczytać wskaźniki.

– To biom dość bezpiecznie. Żadnego metanu? Siarkowodoru? Widzicie jakieś duże przecieki?

– Brak metanu i siarkowodoru – odpowiedział Wahn. – Ale nie jestem pewien, czy mój chemskaner ma wszystkie składniki na liście.

– Odkąd odcięli tamtą linię hydrauliczną, nie widać żadnych wycieków – zgłosił Barin. – Ale na razie w ogóle niewiele widać.

– No dobrze. Włączcie oświetlenie, ale uważajcie na ciśnienie. Nie wpuścimy powietrza, dopóki pomieszczenie nie będzie w pełni zabezpieczone, więc wszelki wzrost ciśnienia będzie oznaczał wyciek gazu.

– Tak jest, sir. – Barin rozłączył się i przekazał O'Neilowi, że wolno im włączyć oświetlenie i że powinni zebrać łatwopalny płyn z podłogi.

Kilka minut później dwóch ludzi z drużyny przyniosło węże świetlne i worek pochłaniacza do starcia pokładu.

Przy zapalonych światłach uszkodzenia stały się znacznie bardziej widoczne. Odłamki kadłuba, przypominające kawałki obsydianu, były rozrzucone w rufowej części pomieszczenia, większość zbiorników i kadzi została uszkodzona, a jeden miał szerokie przebicie, z którego wylewała się już zamarzająca masa czegoś nitkowatego. Niciowate algi? Robaki? Barin przeszedł przez całe pomieszczenie, notując, które zbiorniki i w jakim stopniu są uszkodzone. Kiedy znowu dotarł do przedniej ścianki, sprawdził ciśnienie. Siedemdziesiąt osiem. Wzrosło, ale bardzo nieznacznie.

– Wahn, jakie tu mamy gazy?

– O jeden punkt przybyło tlenu. Ale przy tak niskim ciśnieniu...

Barin pomyślał, że tlen jest najmniejszym problemem. Wyszukał zielone przewody z O₂ i zaczął je sprawdzać. Tlenem można oddychać, i nawet jeśli wycieka, nikogo nie zatruje, a przy bardzo niskim ciśnieniu i temperaturze raczej nie pomoże też w spalaniu.

– Coś jeszcze?

– Nie, sir. Nic, co mógłbym zidentyfikować. Ale większości rzeczy z listy, którą mi pan przekazał, nie ma na wykazie czujnika.

– Nie ma? – Poczul zimny dreszcz wzdłuż kręgosłupa. – Co tam w takim razie masz?

– Cóż, głównie to, co najpotrzebniejsze: tlen, dwutlenek węgla, tlenek węgla, siarkowodór, dwutlenek siarki, azot.

– Pokaż. – Na ekranie rzeczywiście widać było tlen, dwutlenek węgla i azot, wszystko w bardzo małych ilościach. – A co ze skanem szerokozakresowym, próbowałeś tego?

– Tak, sir, ale nie wiem, co oznaczają te wszystkie piki. Żaden z nich nie jest zaznaczony na czerwono.

Czyli czujnik prawdopodobnie wyłapywał ślady tego, co znajdowało się w przebitych zbiornikach, może też jakieś gazy z kleju użytego do przyklejenia łąty. Sporo było jakiegoś związku o

masie molowej 16, ale Barin nie miał pojęcia, co to mogłoby być. Próbował przypomnieć sobie układ okresowy, ale bezskutecznie. Tlen? Nie, tlen miał masę cząsteczkową 32.

Rozejrzał się dookoła i zobaczył płataninę zielonych rur – oznaczenie tlenu – wokół szeregu długich zbiorników. To tutaj należy poszukiwać wycieku tlenu. Nawet jeśli można nim oddychać, i tak nie powinien wyciekać. Zaczął od najbliższego zbiornika, sprawdzając każde złącze spryskiwaczem. Już przy drugim pojawiły się małe banieczki. A więc z oznaczonych na zielono przewodów najprawdopodobniej wydostaje się tlen. Wywołał listę kontrolną i okazało się, że potrzebuje specjalnej łaty. Do której kieszeni ją schował? Jest. Zdarł osłonę, zadowolony, że ktoś pomyślał o tym, iż będą używane przez ludzi w rękawicach.

Rozejrzał się ponownie, by sprawdzić, gdzie znajdują się jego ludzie. O'Neil ze swoją grupą byli przy najbardziej zniszczonym końcu, a reszta rozeszła się po pomieszczeniu w poszukiwaniu przecieków.

Wciąż niepokoił go ten nieznan pik na odczycie. Znow wywołał oficera środowiskowego.

– Sir, mamy pik, którego nie identyfikuje nasz skaner chemiczny. Coś o masie molowej szesnaście. – Przesłał odczyt do oficera.

– Co to znaczy, że skaner nie... Szesnaście?! Poruczniku, czy nie kazałem wam uważać na metan? Jak wygląda odczyt?

Barin zamarł. Metan. Wybucha w kontakcie z tlenem. – Sir, nie mamy w naszym urządzeniu identyfikacji metanu.

– O Boże, wy nie macie skanera do środowiskowego. Poruczniku, niech pan natychmiast wyprowadzi stąd ludzi. Siedzicie na bombie – rozległ się w jego hełmie głos oficera środowiskowego. – Chwileczkę... Niech im pan każe poruszać się powoli. Jeśli zaczną biec, wymieszają gazy i wtedy na pewno wybuchną. Wyłączcie też światła. Czy możecie wypuścić gaz w próżnię?

Barin przełączył kanały i wywołał swój zespół. – Niebezpieczeństwo... – Wszystkie głowy odwróciły się w jego stronę. – Mamy tu wybuchową mieszaninę gazów. Nie wolno biec... Nie możemy wymieszać. Kto jest najbliżej śluzy, niech wyłączy światła. – Śluza. Przenośna śluza... Czy wytrzyma ciśnienie, jeśli dojdzie do wybuchu? Przełączył się z powrotem do oficera. – Sir, weszliśmy do SE-14 przez przenośną śluzę. Jeśli dojdzie do wybuchu, może nie wytrzymać.

– Już ich ostrzegłem, poruczniku. Niech pan wyprowadzi swoich ludzi. Jeśli możecie, wypuście wszystko w próżnię.

Jeśli zdejmą łatę... przynajmniej wybuch nie nastąpi w zamkniętym pomieszczeniu.

– Moglibyśmy spróbować zdjąć łatę. – Miał nadzieję, że oficer uzna to za niemożliwe lub niewarte ryzyka.

– Zróbcie to – usłyszał. – Jeżeli dojdzie do wybuchu, możemy stracić cały okręt.

I byłaby to jego wina, ponieważ nie upewnił się, czy mają odpowiednio zaprogramowany skaner chemiczny. Zadrzał, wyobrażając sobie komentarz kapitana czy swojej babki.

Przełączył się z powrotem na kanał drużyny.

– Macie O'Neil. – Zobaczył, jak na drugim końcu pomieszczenia O'Neil odwraca się w jego stronę. – Musimy natychmiast otworzyć to pomieszczenie na próżnię. Oficer nadzorujący nakazał zdjąć łatę z kadłuba. Wy czterej przy śluzie – nie potrafił sobie przypomnieć ich nazwisk – natychmiast wychodzić. Czy ktoś znalazł wyciek metanu?

Na drugim kanale rozległ się głos oficera.

– Jeśli wycieka ze zbiornika, to będzie w którymś z tych stojących mniej więcej w jednej trzeciej długości burty od strony rufy. Jeśli z rury, może być gdziekolwiek.

Barin rozejrzył się i w odległości około szesnastu metrów zobaczył szeryfa Ghormleya.

– Co tam masz, Ghormley?

– Przebicie w komorze fermentacyjnej, sir. – Jest tu... coś w rodzaju pęknięcia w tej rurze idącej do czegoś w rodzaju kolektora. Mógłbym je zalepić.

– Za późno – odpowiedział oficer. – Prawdopodobnie stoisz w pobliżu zbiorniku metanu. Jeśli go poruszysz...

– Ghormley, stój w miejscu. Nie ruszaj się – rozkazał Barin. – Stoję przy komorze fotosyntezy – rzekł znowu do dowódcy. – Jest tu pęknięcie w przewodzie tlenowym. – W tej chwili ktoś wyłączył światła.

– Poruczniku? – dobiegł go głos O'Neila.

– Ja stoję w tlenie – powiedział Barin. – Jeśli go nie rozprowadzę, może nie dojdzie do wybuchu. Zajmijcie się tą łatą. Wszyscy oprócz Ghormleya i mnie, wychodzić stąd, ale nie biegać. – Lampy na hełmach wskazywały, że przechodzą przez śluzę. Na korytarzu jest bezpieczniej i na pewno ktoś wyprowadzi ich przez grodzie na drugą stronę statku. Zaczął liczyć znikające światła. Jeden bezpieczny. Dwóch. Potem przerwa i... trzech, czterech...

– Sir, boję się... – odezwał się Ghormley. Dzieciak, najmłodszy w grupie, a on, Barin, być może skazał go na śmierć.

– Cóż – odpowiedział Barin. – Ja też nie jestem zbyt szczęśliwy, ale jeśli nie będziemy tańczyć, możemy wyjść z tego w jednym kawałku.

– Naprawdę tak pan myśli? – głos Ghormleya był wysoki i napięty. Oczywiście, że tak nie myślał, ale nie mógł tego dzieciakowi powiedzieć.

– Jeśli zdejmą tatę, wszystkie gazy wylecą w próżnię. W tej chwili jest zimno, a potem będzie jeszcze zimniej, a do zajścia reakcji potrzeba ciepła. – Jednak w przypadku metanu i tlenu naprawdę niewiele. – A jeśli nawet wybuchnie, eksplozja nie będzie ograniczona...

– Nie podoba mi się to – powiedział Ghormley. – Nie mogę tu tak stać.

– Oczywiście, że możesz – zapewnił go Barin. – To najmądrzejsze, co możesz zrobić. – Kolejne światelko zniknęło w śluzie, a potem jeszcze jedno. Zostały jeszcze cztery osoby pracujące w rufowym końcu pomieszczenia nad usunięciem łaty, którą z takim wysiłkiem założyli. – Jeśli nie zmieszamy gazów, nie wybuchną.

– Ależ, sir, wszyscy tu chodziliśmy. Muszą już być wymieszane. To rzeczywiście najlepsza chwila, by Ghormley próbował wykazać się zdolnością myślenia.

– Jeszcze nie wybuchło – odpowiedział Barin. – Obiecuję nie poruszać tlenu, jeśli ty nie będziesz poruszał metanu.

– Boi się pan, sir?

Oczywiście, że się bał, ale czy Ghormley musi o tym wiedzieć? Uratował go głos O'Neila.

– Mamy już otwór, poruczniku. – Reflektor na hełmie O'Neila podskoczył. – Jeszcze tylko go poszerzymy. – Przez podeszwy butów Barin czuł mocne uderzenia w kadłub. – Jest już mocno popękane. Powinniśmy móc... otworzyć to szerzej...

Barin chciał zapytać, czy są poprzypinani linkami bezpieczeństwa, ale uświadomił sobie, że w tej chwili nie ma to żadnego znaczenia. Jeśli dojdzie do wybuchu, nic im nie pomoże. Może nawet dojść do rozerwania kombinezonów na części.

– Czy z pańskiego miejsca widzi pan odczyt ciśnieniomierza?

– Nie.

– Ciśnienie spada – poinformował go dowódca. – Cały czas was monitorujemy. Wciąż jest niebezpiecznie. – Świetnie. Będą się przyglądać, jak oni wylatują w powietrze.

– Potrzeba jeszcze większej dziury? – zapytał Barin.

– Nie zaszkodzi – odpowiedział oficer.

– Zrobi się, sir – rzucił dość spokojnie O'Neil i Barin poczuł kolejne wstrząsy. Wolał nie myśleć o ich wpływie na mieszanie się gazów. Utkwił wzrok w odległym końcu pomieszczenia, gdzie duży kawał kadłuba nagle złożył się jak papier... i już widać było ciemność z plamkami światła, które mogły być gwiazdami lub reflektorami załogi pracującej na zewnątrz.

– Zrobione – zgłosił O'Neil.

– Zabierajcie się stamtąd – powiedział Barin. – Będzie lecieć w waszą stronę.

– A co z panem?

– Och, myślę, że Ghormley i ja postoiemy sobie tutaj jeszcze trochę, póki to wszystko się nie oczyści. No, idźcie już.

Światła zaczęły wolno przesuwać się w stronę wejścia do śluzy. Prawdopodobnie O'Neil kazał im trzymać się linek zabezpieczających. Co prawda ssanie otworu nie mogło być zbyt duże, ale podłoga wciąż była śliska. Dwóch ludzi doszło do śluzy, otworzyło ją i przeszło. Pozostali byli już blisko.

– Nie! Nie zostawiajcie mnie tutaj! – Głos Ghormleya załamał się. Barin obejrzał się i zobaczył, jak tamten ucieka ze swojego miejsca.

– Nie! Stój! – Krzycząc, zdawał sobie sprawę, że Ghormley nie zatrzyma się, że on znów się pomylił, tym razem w ocenie ludzi.

Miał jeszcze czas na chwilę żalu i myśl o Esmay, a potem pojawił się jasny błysk...

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Terakian Fortune

Esmay wpatrywała się w stronę, którą już tyle razy wcześniej widziała. Nie miała nic do roboty; statek miał nadmiar załogi, więc nikt nie potrzebował jej pomocy. Godziny i dni niemożliwie się wlokły. Ostatnie informacje, jakie *Fortune* odebrał przed wejściem w skok, nie dotyczyły samego buntu, zawierały tylko spekulacje na temat jego wpływu na ceny.

Barin gdzieś tam jest i może walczy, a tymczasem ona siedzi tutaj, uwięziona na statku, który mógłby równie dobrze emitować z nadajnika słowo CEL, i toczy wymaginowane dyskusje z jego babką, w których – ponieważ to ona obsadza obie role – zawsze wygrywa. W prawdziwym życiu... to admirałowie zawsze mają rację.

* * *

W połowie zmiany przeznaczonej na sen Esmay znów się obudziła, po raz kolejny zaplątana w koc. Wyglądała go ze stłumionym przekleństwem i mocno zacisnęła powieki, aż w ciemności pojawiły się smugi światła. Odetchnęła głęboko i... poczuła dotyk Barina na twarzy, karku i na całym ciele, a potem jego zapach, smak... Zawołał ją – w jego głosie usłyszała tęsknotę i strach – po czym zniknął w potężnym błysku światła. Esmay usiadła tak gwałtownie, że aż uderzyła czołem w pryczę powyżej.

Czy on żyje? Czy myśli o niej? Czy go jeszcze zobaczy? Włączyła światło, stłumiła mruganiem łzy, zacisnęła szczęki i chwyciła szlafrok. Weźmie prysznic

Otworzyła drzwi i natknęła się na stojącą w korytarzu Betharnyę. – Słyszałam jakieś uderzenie – powiedziała swoim dziwnym akcentem. – Zastanawiałam się, czy nic ci nie jest.

– Wszystko w porządku – odpowiedziała Esmay. – Idę pod prysznic

– Nikt cię nie uderzył?

– Nie.

– Masz guza na czole, na linii włosów – zauważyła Betharnya z profesjonalnym brakiem zainteresowania.

– Nikt mnie nie uderzył – odpowiedziała z gniewem Esmay. – Możesz sprawdzić, jeśli chcesz. – Otworzyła szeroko drzwi, a kobieta uważnie zajrzała do środka.

– Aha.

– Zadowolona, że nie ukrywam kochanka?

– Tak. Ale wyglądasz żałośnie. – Betharnya zamknęła cicho drzwi do kabiny.

– To nie twoja sprawa – rzekła Esmay i skierowała się w stronę pryszniców, ale kobieta ruszyła za nią.

– To może być moja sprawa, jeśli przez ciebie znajdziemy się w niebezpieczeństwie. Masz nocne koszmary?

– Szpiegowałaś mnie pod moimi drzwiami?

– Nie, przechodziłam obok i usłyszałam przekleństwa, a potem głośny huk, jakby kogoś uderzono. Potem znowu rozległo się przekleństwo, włączyłaś światło i wyszłaś z kabiny.

– Nie mogłaś tego wszystkiego słyszeć.

– Mam bardzo dobry słuch.

– To oszustwo.

– Nie jesteś tak uprzejma, jak w czasie posiłków, sera.

– Jest środek mojej wachty na spanie, nie wyspałam się, miałam zły sen, uderzyłam się w głowę... Tak, masz rację, jestem zła. I nieszczęśliwa.

– W takim razie prysznic to dobry pomysł – rzekła Betharnya. – Niech nie będzie zbyt gorący – rzuciła przez ramię, gdy doszły do drzwi łazienki.

– Chcesz tak po prostu sobie pójść? – zapytała Esmay. Kobieta machnęła ręką w geście, który mógł oznaczać wiele różnych rzeczy, i odeszła.

Esmay weszła do pomieszczenia z prysznicami, i gdy zobaczyła swoją twarz w lustrze nad umywalkami – gwałtownie siniejący guz był aż nadto widoczny – wybuchła płaczem, uderzając pięściami w zimną, gładką krawędź umywalki. Barin, Barin, Barin! Na szczęście nikt nie wszedł i, miała nadzieję, nikt tego nie usłyszał. W kabinie prysznicowej zmyła z siebie pot i łzy żalu. Wróciła potem do kajuty i spała spokojnie do chwili, gdy zadzwonił budzik.

– Kto panią walnął? – zapytał przy śniadaniu Basil.

– Nie... Obudziłam się gwałtownie w środku nocy i uderzyłam się o szafkę.

– Przykładała pani lód?

– Nie, nawet o tym nie pomyślałam.

– Zawsze powinno się przykładać lód – stwierdził poważnie. – Kiedy moja córka przewróci się i potłucze, żona zawsze przykłada jej lód. – O, masz żonę? – Znienacka pojawiła się Betharnya.

– Wiesz, że mam. – Jego kark z wolna się zaczerwienił.

– A ty, sera... Jak tam twoja głowa?

– Znacznie lepiej – odpowiedziała Esmay. – Jeśli ktoś potrzebuje pomocy, mogłabym stać na wachcie. – Oferowała swoją pomoc każdego dnia.

– Nie, nie – zaprotestował Goonar, podchodząc z tacą pełną czegoś o cudownym zapachu. – Nie będzie pani stała na żadnych wachtach, jest pani naszym gościem.

– Cóż, chciałabym się do czegoś przydać.

– Hmm To, do czego może pani nam się przydać, prawdopodobnie wcale nie będzie się pani podobało. Na przykład potrzebne nam są jakieś informacje o buncie.

– Nie dysponuję żadnymi informacjami. – Esmay poczuła, jak po plecach przebiega jej dreszcz.

– Cóż, nie spodziewałem się, że nam pani powie, nawet gdyby miała pani jakieś informacje. Lojalność to dobra rzecz, nawet wobec kogoś, kto panią wygnał. Familie czasami zmieniają zdanie.

– Nie sądzę, żeby Flota to zrobiła.

– Nigdy nic nie wiadomo. A pani talent i zmysł taktyczny może się przydać nie tylko w operacjach bojowych.

– Ale... – Esmay wiedziała, że nie powinna mówić „ja to kocham”.

– Z drugiej strony – mówił dalej Goonar – jeśli może nam pani powiedzieć, o ile to nie jest tajne, czego możemy jako kupcy spodziewać się w czasie buntu albo co mogą zrobić buntownicy...

– Kiedy wybuchł bunt, byłam w drodze na nowe stanowisko. Wiem tylko to, co mówiono w wiadomościach, nic więcej. Ale gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że to poważna próba przejęcia władzy, wojskowy zamach stanu. Są we Flocie ludzie, którzy uważają, że rząd cywilny jest słaby i niedostatecznie wspiera armię.

– To mi przypomina naszego kuzyna Kaima. – Basil pochylił się do przodu i rzucił jej spojrzenie, które wyraźnie miało ją zapewnić o niezwykłym zaufaniu. – Kaim jest starszym podoficerem we Flocie. Zawsze był trochę dziwny, ale podczas ostatniej wizyty w domu zachowywał się bardzo podejrzanie. Nie wiemy, czy rzuciło mu się na głowę – tak jak jego ojcu – czy to coś innego.

– Sądzi pan, że bierze udział w buncie?

– Nie wiem... Mam nadzieję, że nie. Zawsze interesowały go spiski i takie rzeczy. Przeważnie nie zwracamy na niego uwagi, zwłaszcza że rzadko się widujemy, chyba że dopatrujemy się w jego słowach jakiegoś związku z handlem. Ostatnim razem mówił o problemach z odmładzaniem; jego zdaniem Flota używa podoficerów jako królików doświadczalnych.

Esmay potrząsnęła głową.

– Z tego, co słyszałam, wszyscy dostawali wadliwe leki z fabryk na Patchcock, i dlatego Hobart Conselline zablokował badania. – Uświadomiła sobie, że jeśli bunt miał cokolwiek wspólnego z odmładzaniem, zapewne nie był popierany przez Consellinów.

– To by miało sens. Ta cała sprawa z odmładzaniem... Na przykład w naszej firmie starsi ustępują miejsca młodszym w miarę, jak ci dorastają. Co by się stało, gdyby starzy nie... gdyby pozostali wiecznie młodzi? Nie miałyby to wielkiego znaczenia, gdyby dotyczyło tylko kilku bogaczy, ale gdyby mój wuj i ojciec wciąż byli kapitanami statków, co ja miałbym robić?

– Nie wiem – przyznała Esmay.

– Czy uważa pani, że buntownicy zaatakują statki cywilne, handlarzy i inne obiekty cywilne?

– Mogą. Żeby wyrzucić presję na rząd, muszą albo pokonać lojalne wojsko, albo pokazać, że ono nie potrafi was obronić. Obawiam się, że wkrótce możecie mieć kłopoty.

Goonar potrząsnął głową i przez dłuższą chwilę milczał.

– Powinienem ci powiedzieć, sera, że przewozimy na Castle Rock uciekiniera – powiedział w końcu. – Kapłana z Benignity.

– Kapłana?

– Tak. Mówi, że uważają go za heretyka znajdującego jakieś tajemnice Flota wie o nim i chce go przejąć na Castle Rock.

– Czego Flota mogłaby chcieć od kapłana?

– Nie wiem – przyznał Goonar – ale chętnie się go pozbędę. – Zerknął na zegar. – Lepiej już pójść.

OSK Rosa Major

Nie spodziewał się, że się obudzi. Pożegnał się już ze światem i wyraził żal.

Światła go przerażały. Słyszał, jak ktoś w kółko powtarza „wyłączcie je!”, ale nie rozpoznawał własnego głosu. Potem pomiędzy nim a światłem pojawił się ciemny kształt. Przez chwilę widział, jak odlatuje, otoczony światłem, a potem kształt przybrał postać człowieka siedzącego przy łóżku.

– Spokojnie, Serrano – rozległ się głos.

Serrano. Zamrugał i zaczął coraz wyraźniej widzieć. A więc jest Serrano, choć nie wie, który. Serrano oznacza służbę, wysokie wymagania i... Ktoś zginął, i to była jego wina.

– Ilu? – zapytał, zmagając się z językiem, który przypominał wyschniętą skarpetę.

– Wiesz, jak się nazywasz?

– Serrano – powtórzył to, co usłyszał.

– Imię?

Znów zamrugał. Był pewien, że nie jest żadną z kobiet w rodzinie, ale którym z mężczyzn?

– Sabado – powiedział.

– Wciąż nie doszedł do siebie – oznajmił głos. – Śpij dalej, synu.

Synu? Czy to jego ojciec? Był niemal pewien, że nie. Znowu otoczyła go ciemność.

Następnym razem obudził się w pełni świadom tego, kim jest – podporucznik Barin Serrano – i co się stało: zginęli ludzie, bo on spieprzył sprawę. Był z niego taki sam pożytek, jak na *Koskiusko*, kiedy dał się złapać. Jego głowa sprawiała wrażenie, jakby ktoś walił w nią młotem, ale wiedział, że to mu się całkowicie należy.

– Wiesz, kim jesteś? – zapytał ktoś. Spojrzał na człowieka w zielonym fartuchu i rozpoznał w nim pracownika lazaretu.

– Tak. Barin Serrano, podporucznik.

– Wiesz, gdzie jesteś?

– Lazaret. *Rosa Major*.

– Zgadza się. Wiesz, jaki dziś dzień?

– Nie... Straciłem przytomność?

– Można to tak ująć. Można by też powiedzieć, że niewiele brakowało, żebyś zginął. Pamiętasz coś?

– Nie. – Faktycznie nie pamiętał, choć przed oczyma pojawiło mu się kilka obrazów: ciemny kształt lecący przez płomień, wielki czarny otwór z gwiazdami po drugiej stronie... – Ktoś zginął – powiedział.

– Tak, ale zdecydowanie mniej niż gdyby ciebie tam nie było.

– Ilu?

– Dwóch. Ten kretyn, który spanikował, i ktoś, kto wyleciał przez dziurę w kadłubie. Trzech z was było rannych: oparzenia, złamane kości. Z tobą było najgorzej... ale z tego, co słyszałem, byłeś w samym środku. Mimo to żyjesz. Teraz odpowiedz mi na dalsze pytania, synu, żebym mógł się zająć swoją pracą.

– Jasne – odpowiedział Barin.

– Kto jest Mówcą Wielkiej Rady?

– Hmm... Hobart Conselline.

– Głównodowodzącym?

– Savanche.

– Kto jest kapitanem tego statku?

– Ja... nie pamiętam.

– Nic nie szkodzi. Dwa plus dwa?

– Cztery – odpowiedział, lekko zirytowany.

– Dobrze. Co cię boli?

– Głowa. – Próbował zastanowić się, czy coś jeszcze go boli, ale przede wszystkim czuł ból głowy.

– Cóż, nie możemy cię wsadzić do zbiornika regeneracyjnego, dopóki nie miną skutki wstrząsu. Trochę pogrzebali w tobie chirurdzy, dlatego jesteś unieruchomiony.

Wcześniej tego nie zauważył, ale teraz zdał sobie sprawę, że nie może się ruszać.

* * *

Następnego dnia odwiedzili go przełożeni, i to całą grupą. Przygotował się na potępienie, a tymczasem powiedzieli mu, że przyniósł armii chlubę.

Nie potrafił tego zrozumieć. Czemu go chwala, skoro od początku to była jego wina? Gdyby bardziej się przykładał w trakcie rotacji w sekcji środowiskowej, pamiętałby, że używa się tam wyspecjalizowanego skanera chemicznego, i nie zignorowałby narzekań Walina, że jego urządzenie nie ma tych wszystkich wyszukanych nazw. Gdyby zwracał większą uwagę na chemię, wiedziałby, że metan ma masę molową szesnaście i że nawet przy niskim ciśnieniu i w niskiej temperaturze tlen z metanem tworzą mieszanę wybuchową. Gdyby lepiej znał Ghormleya i bardziej starał się go uspokoić, i gdyby miał lepsze zdolności przywódcze, dzieciak nie spanikowałby i nie próbował uciekać. Gdyby wiedział to, co powinien był wiedzieć, nigdy nie doszłoby do wybuchu.

Ghormley wciąż by żył. Nadal by żył Betenkin O'Neil, Averre i Tellen nie zostaliby ranni. Nie byłoby dziury w kadłubie, a statek nie straciłby niemal połowy zdolności podtrzymywania życia.

Ból głowy osłabł, ale ból w sercu nie. Kiedy kilka dni później O'Neil przyszedł mu podziękować, tylko pogorszył sprawę.

– Przepraszam – powiedział Barin. – Powinienem był... O'Neil potrząsnął głową.

– Zrobił pan to, co mógł, sir. Prawdę mówiąc, kiedy powiedział pan „metan”, skamieniałem. Nie potrafiłem myśleć, miałem ochotę uciekać, tak jak Ghormley. Ale pan miał plan...

– Niezbyt skomplikowany.

– Oficer środowiskowy powiedział, że to cholerny cud, że ktokolwiek przeżył i statek się nie rozpadł, i że nie chciałby być tam na pańskim miejscu.

Jeśli będzie protestował, uznają, że czeka na kolejne komplementy.

– Prawdę mówiąc, niczego nie pamiętam – powiedział.

– Może to i lepiej – stwierdził O'Neil. – Averre i Tellen byli w służbie. Betenkin i ja byliśmy następni, i kiedy Betenkin już odpiął linę, żeby wejść do służby, doszło do wybuchu. Fala uderzeniowa wypchnęła służę na korytarz – Averre i Tellen oberwali, bo rzuciło nimi o ścianę – a potem zassała ją z powrotem do środka, razem z Betenkinem. Gdybym nie trzymał się uchwyty, mnie też by wciągnęło. Nie widziałem, co się z panem stało, ale ugrzęzła panu noga w jakichś rurach i pewnie dlatego nie został pan wyrzucony na zewnątrz wraz z podmuchem. Ghormley zginął, pan przeżył, ale ledwie.

– Nie mogłem go powstrzymać – powiedział Barin, tłumiąc łzy z nadzieją, że O'Neil ich nie zauważył. – Byłem za daleko.

– Cóż, gdyby się pan ruszył, zrobiłby pan to samo, co on, a stojąc tam w miejscu, dał pan wszystkim szansę. Nikt pana nie obwinia.

A powinni, ale tego też nie mógł powiedzieć.

– Jak wygląda statek? – zapytał.

– Jakoś kuśtykamy. Wątpię, żeby byli w stanie zrobić coś więcej niż dać go na złom. Straciliśmy

jedną trzecią węzłów nadświetlnych. Wysyłają tu RDZ, żeby sprawdzić, czy zdołają coś uratować.

Wysyłają RDZ? Nie wysyłaliby remontowca dalekiego zasięgu, gdyby *Rosa Major* nie potrafił wrócić samodzielnie. Barin odpędził wspomnienie lecącego na ratunek *Koskiusko* i siebie samego poniżonego, w roli więźnia.

– Dorwaliśmy dwa okręty buntowników, ale trzem udało się uciec z układu. Dobra wiadomość jest taka, że Flota odzyskała Copper Mountain. Plotki mówią, że wysyłają tam rannych wymagających intensywnej opieki.

Copper Mountain... Jego ostatnie wspomnienie z planety dotyczyło niedorzecznego sporu z Esmay. Nagle zatęsknił za nią, wręcz boleśnie. Ciekawe, co ona by powiedziała? Co by o nim pomyślała trzykrotna bohaterka, która w kryzysowych sytuacjach zawsze robiła właściwe rzeczy? Czy nie byłoby jej wstyd? A teraz nawet nie jest już we Flocie... Czy jeszcze kiedyś ją zobaczy?

Pounce II

Cecelia de Marktos, udająca się do Republiki Guerni wraz z Mirandą Meager–Thornbuckle, zignorowała ostrzeżenia o buncie z beztróskim przekonaniem, że nikt nie będzie jej w tym przeszkadzał. Zgłosiła plan lotu w najbliższym dowództwie Floty, by nie wzięli jej za pirata lub obcego szpiega, ale nie przyjęła ich rady, by wykupić miejsce na komercyjnym liniowcu.

– Buntownicy nie będą sobie zawracać głowy dwiema starymi kobietami płynącymi na takiej łupince jak *Pounce* – powiedziała przejętemu młodzieńcowi o zmarszczonych brwiach.

– Ale mogą...

– Myślę, że podróżowanie na dużym liniowcu komercyjnym z setkami potencjalnych zakładników jest znacznie bardziej ryzykowne. – Nie zdradziła im tożsamości drugiego pasażera; Miranda mogłaby się stać świetnym zakładnikiem, a ona nie zamierzała na to pozwolić.

– Nie mogę pani powstrzymać – powiedział młodzieniec trzeci czy czwarty raz. – Mogę tylko usilnie pani doradzać...

– Żebym tego nie robiła. Tak, rozumiem. Mimo wszystko to są moje stare kości, a zresztą i tak nie spodziewałam się żyć aż tak długo.

Miranda poczekała z komentarzem, aż znalazły się już dość daleko od stacji.

– I ty uważasz, że Brun ma po mnie taką lekkomyślność?

– Ona nie jest moją córką – stwierdziła Cecelia. Dysponowała wszystkimi automatycznymi urządzeniami, w jakie wyposażano takie jednostki, i miała nadzieję, że wyliczony przez nią kurs pozwoli im bezpiecznie ominąć wszystkie strefy zagrożenia i po serii połączonych skoków wyłonić się tuż przy granicy Guernesii.

– Ludzie próbowali ostrzegać Brun, a mimo to skończyła jako więzień.

– To było zupełnie co innego – powiedziała Cecelia, choć wcale tak nie uważała, ale wiedziała również, że gdyby poleciały na statku komercyjnym, nie byłoby szansy ukrycia tożsamości Mirandy. Zwłaszcza przy panującym aktualnie kryzysie politycznym tego rodzaju jednostki wymagały identyfikacji pasażerów, i ktoś na pewno przekazałby reporterom informację, że Miranda już nie przebywa na *Sirialis*.

Cecelia już od kilku dni żałowała swojego genialnego pomysłu. Chociaż Miranda zachowywała się zupełnie normalnie, nie nadawała się na towarzyszkę podróży w tak ciasnych pomieszczeniach.

Najbardziej odpowiednim dla niej miejscem byłby apartament z pokojem dla służącej, a nie małe kabiny *Pounce'a*. Kobiety nie mogły się wyminąć w ciasnym korytarzyku, nie ocierając się biodrami. Co gorsza, Cecelia wciąż nie mogła zapomnieć widoku Mirandy zabijającej Pedara, jej błyskawicznego ataku, po którym mężczyzna padł...

Ledwie powstrzymała się, żeby nie zabrać z maleńkiego kambuza stateczku wszystkich ostrych przedmiotów, ale wciąż była pełna obaw. Z własnej woli zamknęła się sam na sam z morderczynią. Jak mogła być tak głupia? Ale przecież Miranda jej nie zabije. Nie zrobiła niczego złego ani jej, ani jej dzieciom... i oczywiście jest jedyną osobą, której się przyznała.

– Nie przypuszczam, żebyś zechciała mi powiedzieć, gdzie są dzieci Brun – odezwała się Miranda.

– Myślałam, że wolisz nie wiedzieć. – Cecelia była zdumiona nagłą zmianą tematu rozmowy.

– Chciałabym wiedzieć, czy jesteś pewna, że są bezpieczne.

– Tak, jestem całkowicie pewna. Są w rodzinie, która je kocha. Mają nazwisko, z którym mogą dorastać. Ostatnim razem, gdy je widziałam, były zdrowe i szczęśliwe.

– To dobrze. Kiedy już odleciałaś, pomyślałam, że może powinniśmy były zapytać wśród przyjaciół Brun. Na przykład ktoś taki jak Raffa mógłby im znaleźć dom.

Cecelia mocno zacisnęła zęby; miała nadzieję, że jej twarz niczego nie zdradziła.

– Raffa ma teraz własne życie – powiedziała. – Wątpię, żeby...

– Masz rację. Zapominam... Jestem przyzwyczajona, że zawsze była w pobliżu i pomagała Brun. Ale ona wyszła za Ronniego i polecili gdzieś zakładać kolonię, prawda?

– Berenice wciąż ma o to do Ronniego pretensje – powiedziała Cecelia. – Nie miała nic przeciwko temu, żeby ożenił się z Raffaele, ale nie zgadza się z ich decyzją o emigracji. – Jeśli uda jej się skierować rozmowę na uczucia matki Ronniego, znajdzie się na bezpiecznym gruncie.

– Wiem, że jest twoim siostrzeńcem, Cecelio, ale zawsze wydawał mi się trochę bardziej lekkomyślny od naszych chłopców.

– Według jego matki wcale nie jest już lekkomyślny. – Omal nie roześmiała się na wspomnienie spotkania z nim. – Berenice powiedziała mi, że w ostatniej wiadomości, jaką od nich dostała, oboje byli brudni i opaleni i śmiali się jak idioci.

– Ma już jakieś wnuki?

– Nie... i z tego powodu też nie jest zadowolona. Najwyraźniej posprzeczały się o to z matką Raffaele, bo jej brat i Penelopa Price–Lynhurst właśnie mają dzidziusia. Berenice twierdzi, że to niesprawiedliwe. Na szczęście mnie tam nie było, ale słyszałam, że poszły w ruch filiżanki.

Miranda roześmiała się.

– Berenice jest tak niepodobna do ciebie...

– Słyszałam to przez całe życie. Wciąż próbuję, ale nigdy nie będziemy potrafiły się dogadać. – Cecelia oparła się wygodniej. Może nie będzie tak źle. Jeśli uda się przez całą podróż rozmawiać o cudzych dzieciach, będzie nudno, ale za to bezpiecznie. Miała nadzieję, że Miranda nie zechce rozmawiać o polityce.

Dzień za dniem, skok za skokiem, przemierzały przestrzeń Familii. Miranda udowodniła, że potrafi przygotować w małym kambuzie jadalne posiłki. Sporo czasu spędzała we własnej kabinie. Obawy Cecelii minęły; już się nie bała, gdy Miranda podchodziła do niej, kiedy siedziała na fotelu pilota. Czasami zastanawiała się, co się dzieje na zewnątrz – czy bunt nadal trwa, gdzie jest Heris

Serrano – ale zaraz mówiła sobie, że to cudze problemy i że ona ma dość własnych, pilnując kursu *Pounce'a*.

* * *

Wyjście ze skoku nastąpiło sześć godzin przed terminem; Cecelia i Miranda zasiadały właśnie do stołu. Równocześnie z rykiem alarmu statek zatrząsł się jak koń oganiający się od much, a potem ostro szarpnął. Gorąca zupa wylądowała na kolanach Cecelii. Poderwała się i zatoczyła na szafkę, gdy statek znowu szarpnął. W chwili, gdy przykładała lód na oparzoną nogę, rozległ się automatyczny komunikator ostrzegawczy.

– Awaria... awaria... awaria... Alarm, przeciążenie strumienia... Blokada pilota... blokada pilota...

Przyciskając pakiet z lodem do nogi, Cecelia ostrożnie ruszyła w kierunku fotela pilota, drugą ręką cały czas przytrzymując się ścian. Gdzie popełniła błąd? Wielokrotnie sprawdzała mapy. Powinna być w bezpiecznej odległości od wszelkich dużych mas. Wszystkie wybrane przez nią punkty skokowe były oznaczone na zielono jako bezpieczne i stabilne.

Połowa kontrolki na panelu sterowania świeciła na czerwono. Wysiadł silnik skokowy, silnik układowy, tarcze... Cecelia ograniczyła zasilanie do poziomu awaryjnego i wtedy światła przygasły. Potem przeleciała przez listę kontrolną, ignorując czerwone światełka. Pierwsza pozycja, integralność kadłuba: wciąż zielone. Potem atmosfera: zielone. To zresztą oczywiste – żyje i jest przytomna, więc musi tu być powietrze. Układy podtrzymywania życia: żółte. Zawahała się, ale po chwili wstukała to na dodatkową listę i sprawdzała dalej. Kiedy doszła do czerwonych światełek – silniki, tarcze, skanery dalekiego zasięgu, minimalne uzbrojenie – ponownie wróciła do żółtych.

– Jak wygląda sytuacja? – zapytała cicho Miranda.

– Mamy nienaruszony kadłub i powietrze. Są jakieś uszkodzenia w układach środowiskowych, ale do naprawienia. Muszę zresetować tace i wsadzić z powrotem filtry, gdyż inaczej nigdzie nie polecimy. – Teraz leciały ze znacznie większą prędkością niżby chciała. Ale tym zajmie się później.

– Co się stało?

– Jeszcze nie wiem. – Cecelia zajęła się żółtą listą, czyli tym, co można naprawić szybko i bez problemu. Jedna pozycja za drugą odzyskiwały kolor zielony. Nie ubywało im powietrza, wewnętrzne zasilanie wystarczało na wszystkie bieżące potrzeby, systemy środowiskowe działały właściwie. Ale czerwone światełka... Naprawa przekraczała jej możliwości. Zresztą nawet gdyby wiedziała, jak naprawić silniki, nie miała do nich dostępu.

Wróciła do kabiny pilota.

– Teraz muszę zobaczyć, gdzie jesteśmy i jak szybko się poruszamy; w tej chwili lecimy wyłącznie z rozpędu.

– I dowiesz się, co się stało?

– Tak, powinnam to stwierdzić. Nigdy nie próbowałaś pilotażu, prawda?

– Nie... Mam licencje na skoczki i ślizgacze, ale nie na statki kosmiczne.

– Cóż, w takim razie może spojrzysz na to, podczas gdy ja będę się zajmować pozycją i kursem. – Cecelia wyciągnęła spod fotela podręcznik. – Nie chcę zużywać więcej energii niż to konieczne.

– Rozumiem. W takim razie będziesz chciała, żebym wyłączyła kambuz?

– Tak, jeśli przejście na zasilanie awaryjne już go nie wyłączyło. – Teraz Cecelia otworzyła pokrywę Systemu Awaryjnej Lokalizacji Położenia i przeczytała instrukcje wypisane na wewnętrznej

stronie pokrywy. System miał własne, niezależne zasilanie i mógł odczytać położenie statku w dowolnym punkcie przestrzeni Familii. Miała nadzieję, że wciąż się w niej znajdują.

Cecelia wprowadziła dane o ich wcześniejszym kursie i ostatnim przekroczonym punkcie skokowymi czekała, aż na ekranie pojawi się jakaś informacja.

Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w świecące na czerwono litery CZEKAJ NA OBLICZENIA, potem dotarł do niej ból w nodze. Oparzenie. Upuściła gdzieś lód, poprawiając poluzowane filtry.

– Mirando!

– Tak?

– Zobacz, czy nie znajdziesz gdzieś pakietu lodu; nie chciałabym, żeby się stopił w jakimś nieodpowiednim miejscu.

– Dobrze.

Czerwone litery nie znikwały. Cecelia nie miała pojęcia, ile mogą trwać obliczenia, nie wiedziała nawet, czy urządzenie w ogóle działa. Sycząc z bólu, ściągnęła mokre spodnie z bolącego miejsca na nodze. Nie chciała opuszczać mostka. Rozglądając się, przypomniała sobie, że nie odczytała automatycznego rejestru.

Jednym okiem patrząc na CZEKAJ NA OBLICZENIA, spróbowała do niego zajrzeć. Z początku niczego nie rozumiała, ale potem przypomniała sobie, że rejestr trzeba skonwertować w formę tekstu. Z płataniny symboli wyłonił się zapis podróży. Przeszły przez punkt skokowy Rvd 45.7, a potem (po 28 godzinach i 52 minutach) punkt skokowy Tvd 31.8. Dwie standardowe godziny później – właściwie 2 godziny i 13 minut – przeleciały w odległości mniejszej niż promień e od masy mogącej spowodować wytrącenie ze skoku.

Wszystko, co Cecelia tak naprawdę wiedziała o promieniu e i masach, sprowadzało się do tego, że im większa masa, tym większy powinien być promień e . Zazwyczaj dotyczyło to wchodzenia i wychodzenia z nie zmapowanych punktów skokowych, a przecież ona korzystała ze zmapowanych punktów i standardowej zielonej trasy, z którą jeszcze nikt nie miał problemów.

Masa, koło której znalazły się zbyt blisko, to nie był nawet mały księżyc, nie mówiąc już o planecie. Cecelia wystukała zapytanie o interpretację. Ekran opustoszał i wyświetlił komunikat o poszukiwaniu danych. Zerknęła na drugi monitor, wciąż nakazujący jej czekanie. Potem ekran z rejestrem zmienił się, przedstawiając szeroki zakres możliwości. Wszystkie dotyczyły statków.

Statków?

Jeden (1): Bardzo duży kontenerowiec, obciążony ładunkiem o dużej masie.

Dwa (2): Bardzo duże kontenerowce, obciążone przeciętnym ładunkiem.

Trzy (3)... Lista ciągnęła się dalej. Cecelia nie sądziła, żeby dwa, trzy lub nawet cztery kontenerowce mogły podróżować razem w konwoju, ale po chwili znieruchomiała, wpatrując się w pozycję 8: Flotylla lub skrzydło jednostek wojskowych o łącznej masie jak powyżej, lecących w zwartym szyku...

Innymi słowy, rozbiła lub prawie rozbiła grupę okrętów wojskowych, których łączna masa wystarczyła, by wytrącić ją ze skoku i uszkodzić jej napęd nadświatłny.

– Cudownie – mruknęła.

– Co? – zapytała Miranda, która tymczasem pojawiła się obok niej.

– Jeśli komputer ma rację, najprawdopodobniej nasze nagłe wyjście z lotu nadświatłnego jest

spowodowane tym, że wpadliśmy na grupę okrętów wojennych.

Miranda aż zagwizdała.

– Ciekawe, co im zrobiłyśmy.

– Prawdopodobnie nic. A może rozwaliłyśmy ich na kawałki. Ale jeśli nie...

– Mogą nas ścigać. Ciekawe, czy to lojaliści, czy buntownicy.

– Ja też jestem ciekawa – stwierdziła Cecelia. – Znalazłaś ten lód?

– Tak, wrzuciłaś go do zlewu. Jak twoja noga?

– Boli, ale nie za bardzo. – SALP zapiszczał, więc obejrzała się. Wyświetlone liczby na razie nie miały żadnego sensu, ale przynajmniej miała jakieś dane. Spisała je i wywołała mapę.

Wciąż znajdowały się w przestrzeni Familii, ale to była jedyna dobra wiadomość. Wyszły ze skoku w rejonie, gdzie było mało nadających się do zamieszkania planet. Najbliższe zmapowane układy znajdowały się w odległości odpowiednio dwóch i trzech skoków. Copper Mountain... Znała to miejsce z wiadomości o porwaniu Brun. Mieściła się tam baza Floty. Tam też – zelektryzowało ją to tak, jak kostka lodu położona na nagą skórę – rozpoczął się bunt. Cecelia wyrzuciła z siebie strumień przekleństw.

– Złe wieści?

– Złe. Najbliższy zamieszkaną układ to Copper Mountain. Chcesz się założyć, że statki, na które wpadliśmy, to buntownicy?

Pasywne skanery jasno unaocznily im, że znaj dują się bardzo daleko – w odległości około 18 jednostek astronomicznych – od najbliższej gwiazdy. Po dwóch minutach Cecelia zobaczyła na monitorze sześć kropek, które na podstawie ich ruchu względny skaner oznaczył jako prawdopodobnie statki. Po kolejnej minucie ich barwa zmieniła się, potwierdzając, że są to sztuczne twory, które się poruszają, a czujnik zgłosił ich łączną masę jako bardzo zbliżoną do tej, którą rejestrator wskazał jako przyczynę awarii.

– Wygląda na to, że to na nich wpadliśmy – powiedziała Miranda, pochylając się nad ramieniem Cecelii.

– Tak. – Paskudne przecucie mówiło jej, że to buntownicy.

– Spróbujesz się z nimi skontaktować?

– Nie. Niech myślą, że jesteśmy martwe. – Co zresztą niedługo może okazać się prawdą, jeśli nie uda jej się uruchomić jednego z silników.

– Ale możemy ich podsłuchać, prawda?

– Nie wiem nawet, czy komunikacja działa – stwierdziła Cecelia. Kontrolka sama przeszła z barwy czerwonej na żółtą i nie ufała jej. – Ale możemy spróbować.

Włączyła odbiorniki i w głośnikach rozległy się szумы i trzaski. Sprawdziła ustawienia. Nagle wyłapała słaby głos, szybko wzmocniony przez oprogramowanie do rozpoznawania mowy.

– To mógł być statek?

– Mało prawdopodobne. Masz coś na skanie?

Cecelia nie potrafiła zinterpretować danych pasywnego skanu; zaczęła żałować, że nie zwracała większej uwagi, gdy Oblo i Koutsoudas uczyli Brun technik skanu. Jak daleko znajdują się te statki i do kogo należą?

– Mam go. – Cecelia drgnęła. – Jest mały, dlatego nie rozwalił siebie i nas na kawałki. Silniki są

martwe – leci po balistycznej – ale jest szansa, że załoga żyje.

– To nie nasz problem – odpowiedział drugi głos. – Raczej nie zgłoszą naszej obecności, a bez działającego napędu...

A więc to buntownicy. Cecelia spojrzała na Mirandę, a ta zbladła.

– Nie wiemy, czy silnik im wysiadł. Mogli go po prostu wyłączyć. Nie możemy ryzykować.

– Czy w tym systemie jest boja nawigacyjna? – zapytała Miranda. – Ansibl Floty? Cokolwiek? Cecelia sprawdziła.

– Jest nie zamieszany. Punkt skokowy jest zmapowany, ale uznano go za gorszy... bo po orbicie mimośrodowej lata jakiś wielki kawał metalu, który sprawia problemy. Poczekaj... Jest ansibl... Mieli tu stację badawczą. Problem w tym, że nie wiem, czy jest dostępny dla sygnałów cywilnych. Zobaczmy...

– Zauważą, jeśli go wywołamy?

– Prawdopodobnie. – Cecelia wybrała podaną częstotliwość. – Ale nie mamy możliwości nadawania wiązkami kierunkowymi. Zresztą i tak wiemy, że tu jesteśmy, i przylecą za nami. Jeśli zdołamy przesłać sygnał do tego ansibla, będziemy mogły przekazać Flocie, gdzie jest część buntowników. – A przynajmniej gdzie byli, gdyż na pewno nie zostaną długo w tym układzie. – A może, jeśli uświadomią sobie, że nadałyśmy sygnał, uznają, że lepiej uciekać, i dadzą nam spokój?

– Nie sądzę, żeby to zrobili – powiedziała Miranda, wpatrując się w skaner, na którym oznakowane ikony zmieniły kolor i przekształciły się w wydłużone stożki sygnalizujące zmianę kursu i przyspieszenia.

– Pewnie nie. – Cecelia wprowadziła kombinację wywołania ansibla i zaciśnęła kciuki. Sygnał potrzebował na dotarcie do ansibla sześciu minut, drugich sześciu na powrót... a musi poczekać na potwierdzenie, zanim będzie mogła wysłać jakąś wiadomość. Aż za dobrze wiedziała, co może się stać w ciągu dwunastu minut.

Dwie ikony statków zniknęły ze skanera i znacznie bliżej pojawiły się dwie nowe, oznaczone jako prawdopodobnie statki. Oczywiście, mikroskoki. Wróciła do częstotliwości, na której wcześniej podsłuchiwały.

– Mam transponder – usłyszała. Niech to szlag trafi. Zapomniała, że przejście na zasilanie awaryjne nie odcina automatycznego nadajnika identyfikacyjnego statku; wręcz przeciwnie, zwiększa jego moc, żeby łatwiej można było zlokalizować statek będący w tarapatach. Na wojskowych skanerach muszą teraz świecić jak reflektor.

– *Pounce*, właściciel Cecelia de Marktos. Czy to nie ta damulka, która ma bzika na punkcie koni? Ta, która wynajęła Heris Serrano jako kapitana?

– Taaak.

Cecelii nie podobał się ten przeciągły dźwięk.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Dowództwo Sektora Siedem

Kontradmiral Arash Livadhi wpatrywał się ponuro w ścianę swojego biura. Wraz z gwiazdką spadło na niego znacznie więcej pracy niż się spodziewał, mimo że admirał Serrano próbował ułatwić mu przejście dowodzenia. Nie tylko odeszli wszyscy doświadczeni admirałowie, brakowało też ogromnej liczby starszych podoficerów, wszystkich tych, którzy przeszli odmłodzenie. Nigdy nie uświadamiał sobie, jak wielu jest takich ludzi. On sam nie zdecydował jeszcze, co zrobi, gdy za kilka lat przyjdzie jego kolej.

A teraz cały ten bunt i powracający personel... Plotki rozchodzące się zakazanymi prywatnymi kanałami łączności nadświatłowej ansibłów Floty ostrzegły go, że byli admirałowie wracają prosto na swoje stanowiska, a świeżo promowani muszą znaleźć sobie jakieś miejsca. Zastanawiał się, co powinien zrobić. Wrócić do dowodzenia statkiem? Tak byłoby najłatwiej; wiedział, że jest dobrym kapitanem. Ale jego okręt – wciąż myślał o ostatnim statku jak o swoim – i jego załoga byli daleko stąd, przy granicy z *Benignity*, i mieli nowego kapitana.

Ale stacjonuje tutaj statek *Heris Serrano*, a jej przydzielono inny, prawie po drugiej stronie przestrzeni *Familii*. Znał wielu członków jej załogi i oni znali jego. Może powinien go przejąć, zanim wróci admirał, której spodziewał się w każdej chwili, i będzie chciała wiedzieć, czemu nie przydzielił nikogo na ten statek i nie wysłał go na patrol wraz z innymi?

To miało sens także z innych powodów. W życiu Arasha były rzeczy, o których wolał zapomnieć. Statek *Heris Serrano* i jej załoga mogłyby udzielić mu schronienia na wypadek, gdyby ktoś je odkrył, czego wolał tak do końca sobie nie uświadamiać.

Tak więc najlepiej będzie przygotować okręt i plan, który przekona admirał o jego dobrych intencjach. Wezwał swojego sekretarza.

– Proszę poinformować oficera dowodzącego na pokładzie *Vigilance*...

– To komandor porucznik Mackay – podsunął sekretarz. – Że chciałbym się z nim spotkać.

* * *

– Z pewnością zastanawiał się pan, czemu *Vigilance* nie został wysłany na patrol – zaczął.

– Tak. Z początku myśleliśmy, że czekamy na powrót komandor Serrano.

– Oczywiście. Ale ją przydzielono na *Indefatigable*. Szczerze mówiąc, ja też myślałem, że admirał wróci, więc nie spieszyłem się z obsadzeniem *Vigilance*. Tutaj, przy samej granicy, to najlepsze miejsce dla dowódców o dużym doświadczeniu bojowym. Teraz, skoro wiem, że inny admirał ma przejąć Kwaterę Główną, zamierzam poprosić o *Vigilance* dla siebie. Mam pewność, że każda jednostka dowodzona przez *Heris Serrano* jest w pełnej gotowości bojowej, a ponadto od lat przyjaźnię się z nią.

– Rozumiem, sir. – Reakcja nie była aż tak serdeczna, jakby sobie życzył. – Załoga ucieszy się, że znów wylatujemy z doku w przestrzeń. Czy admirał sądzi, że nowy admirał wyrazi zgodę?

– Mam nadzieję – powiedział Arash. – Kilka miesięcy za biurkiem nie sprawiło przecież, że mam gorsze kwalifikacje do dowodzenia statkiem.

– Oczywiście, sir.

– W każdym razie ktokolwiek dostanie ten statek, prawdopodobnie zrobi z niego okręt flagowy. Powinniśmy umieścić na pokładzie dodatkowy sprzęt komunikacyjny i upewnić się, że będzie na nim

miejsce dla personelu admirała.

Komandor porucznik uśmiechnął się.

– Sir, przewidzieliśmy, że możemy stać się okrętem flagowym, i większość sprzętu jest już na miejscu. Jeśli admirał miałby czas, mógłby wejść na pokład i obejrzeć zmiany.

– Na pewno znajdę czas – odpowiedział Arash.

Przeniesienie okrętu na służbę flagową oznaczało wciśnięcie dodatkowego personelu ze sprzętem i zapasami. Arash zauważył, że załoga *Vigilance* ulokowała centrum admirałskie w pewnej odległości od mostka, ale zapewniła bezpośrednie połączenie, przerabiając mesę młodszych oficerów. Było to jedno z dwóch rozwiązań najczęściej stosowanych na dużych krążownikach. W drugim wypadku umieszczano centrum admirałskie w korytarzu blisko mostka, ale ponieważ w tym rejonie sporo się działo, większość admirałów wybierała lokalizację rufową. Duplikaty odczytów i komunikatów z mostka sprawiały, że było to równie wygodne. Arash oczywiście zatwierdził przyjęte rozwiązania.

* * *

Vida Serrano wcale nie była zaskoczona, gdy okazało się, że wraca, by objąć swoje wcześniejsze stanowisko. Arash starał się jak mógł ukryć rozgoryczenie na widok wybuchu entuzjazmu personelu. Dobrze dla niego pracowali, ale nigdy nie okazali mu tak ciepłej akceptacji, jak jej. Przez chwilę zastanawiał się nawet, czy chęć przejęcia jednostki kapitan Serrano jest dobrym pomysłem. Jednak admirał Serrano podjęła temat, zanim mógł się wycofać. Jej zdaniem młodszy admirałowie z doświadczeniem bojowym powinni znajdować się w przestrzeni na okrętach.

– Sama chętnie dowodziłabym okrętem, gdyby mi tego nie zabraniały rozkazy – powiedziała. – Niech pan weźmie *Vigilance*. Nie wątpię, że pierwszy oficer Heris będzie dobrym kapitanem.

– Ja też tak myślę, admirale – powiedział Arash. – Ale prawdę mówiąc, myślałem o komandorze Burlesonie. Był ze mną dość długi czas i przywykliśmy do wspólnej pracy. Ma doświadczenie bojowe i był moim pierwszym oficerem na *Firedrake*, a potem na *Emperor Roy*.

– Cóż... Ktoś, do kogo jest pan przyzwyczajony, może zdecydowanie ułatwić panu życie. Miałam nadzieję zatrzymać Burlesona tutaj, na miejscu, ale to pan będzie na linii ognia.

– Dziękuję, sir. – Arash odetchnął z ulgą. Był pewien, że pierwszy oficer Heris jest więcej niż odpowiedni na to stanowisko, ale jego chłód mógłby nieco utrudnić im wspólną pracę. Ponadto czy nie żywiłby urazy za odebranie mu dowodzenia?

– W takim razie myślę, że dam Mackay'owi statek, a pan weźmie swojego pierwszego oficera, dobrze?

– Oczywiście, admirale. – Burleson i Keller. Będzie miał dwóch ludzi, którzy do niego przywykli. A Mackay nie będzie miał pretensji, jeśli sam dostanie okręt. – Dziękuję, sir.

– Proszę bardzo. Żałuję tylko, że nie mogę wykorzystać więcej osób z załogi Heris.

* * *

Uda się, powiedział sam do siebie. Powtórzył to jeszcze raz, gdy pakował swoje rzeczy i zanosił je na pokład *Vigilance*. Załoga Heris – teraz jego – nieraz dała dowody doskonałego wyszkolenia. Teraz z entuzjazmem oddawali mu honory należne admirałowi obejmującemu okręt flagowy.

– Witamy na pokładzie, admirale – przywitał go komandor porucznik Mackay. – Nie możemy się już doczekać, kiedy ruszymy do akcji.

– Gratuluję objęcia dowództwa – odpowiedział Arash. – Słyszałem, że pański nowy statek jest już w drodze i przybędzie tu za kilka dni.

– Tak jest, sir. – Mackay wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Nie podoba mi się opuszczanie starego *Vigilance*, ale... własny statek...

– Zasłużył pan na niego – powiedział Arash. Nagle przyszedł mu do głowy dobry pomysł. – Wszyscy musimy jakoś sobie poradzić z niepełnymi załogami. Gdyby chciał pan zabrać ze sobą parę osób...

Mackay wyglądał tak, jakby kamień spadł mu z serca.

– Jest pan pewien, sir? Admirals Serrano powiedziała, że wciąż nie znaleźli mi pierwszego oficera, a tutaj na pokładzie jest doskonały czwarty oficer. Jest trochę młody, ale...

– Proszę bardzo – powiedział Arash. – Na pierwszym statku powinien pan mieć kogoś, z kim będzie się pan czuł pewnie. Ja wezmę kogoś na jego miejsce. Biorąc pod uwagę doświadczenie reszty załogi, nie będzie z tym problemu.

– Dziękuję, sir. Kiedy kapitan Burleson wejdzie na pokład? – Myślę, że jutro rano. Miał kontrolę dentystyczną... Próbował się wywinąć, ale chirurdzy mu nie pozwolili.

Mackay wydawał się pełen entuzjazmu, a Arash – który przez ostatnie kilka dni często spotykał się z oficerami okrętowymi – czuł teraz promieniujące od nich ciepło. Trochę się odprężył. Nie tylko Serrano mają pojęcie o dowodzeniu; admirał Serrano już pochwaliła go za dobrą pracę w trudnych warunkach.

Ci, którzy najbardziej go martwili, obciążeni zarzutami i uwięzieni po tym, jak Heris odeszła z Floty, wydawali się równie serdeczni, jak reszta. Pamiętał o tym, żeby ich odszukać i przywitać się z nimi, ale w ich oczach na szczęście zobaczył tylko szacunek. Kilku z nich było już oficerami; wiedział, że Heris o to zadbała. Statek robił dobre wrażenie, załoga była zadowolona. Po przejęciu dowodzenia Burleson zgłosił to samo.

Czekał właśnie na przybycie lekkiego krążownika i jakiegoś patrolowca, które tworzyłyby jego grupę bojową, kiedy nadeszła wiadomość, że statki buntowników zaczęły atakować statki komercyjne będące w trakcie długiego lotu układowego z punktu skokowego do stacji orbitalnej.

– Odcięto ich od bazy zaopatrzeniowej – stwierdziła admirał Serrano – gdyż atakują jednostki przewożące zaopatrzenie dla Floty, łącznie z uzbrojeniem. – Spojrzała na oficerów zgromadzonych w jej gabinecie. – Będziemy musieli zacząć organizować konwoje. Nie będziemy czekali z tym na Kwaterę Główną. Potrzebujemy tych zapasów i nie chcemy, żeby buntownicy je przejęli. Admirale Livadhi, w przyszłym tygodniu ma polecieć kolejny transport. Pan pokieruje konwojem. Nie będziemy tego rozgłaszać; niech sami się o tym przekonają.

Zorganizowanie konwoju trwało kilka dni. Cywilnym kapitanom statków nie podobały się wprowadzone ograniczenia; argumentowali, że Flota powinna mieć w układzie tyle patroli, żeby ich chronić. Arash zdierał sobie głos, wyjaśniając, czemu to jest niemożliwe, aż w końcu musiał poprosić admirał Serrano o interwencję. Ta oznajmiła, że ponieważ mają podpisane kontrakty z Flotą na dostawę ładunków, podlegają jej kontroli aż do chwili ich dostarczenia.

– Mogliby to równie dobrze być buntownicy – mruknął jeden z kapitanów.

– Niech pan przemyśli to, co pan powiedział – odparła Vida Serrano. – Oni odcinają uszy.

– Co?!

– Odcinają uszy, a ciała zostawiają. Proszę spojrzeć. – I rozdała im zdjęcia z masakry, jaką

buntownicy urządzili na *Saffron Dynasty i Settis III*. Kapitanowie obejrzeni zdjęcia, zbledli i natychmiast ustąpili.

* * *

Konwój sunął w stronę punktu skokowego w nierównej formacji; cztery eskortowce i dwa statki patrolowe były na flance, a *Vigilance* na samym przodzie. Arash czytał, że w czasach flot morskich statki pływały zygzakami, by uniknąć ataku piratów, ale było to całkowicie niepraktyczne w przestrzeni, zwłaszcza w przypadku jednostek, które nie miały możliwości wykonywania mikroskoków. Nalegał na przeprowadzenie ćwiczeń w formacji, ale *Eliza Garnerin* wyszła w odległości zaledwie 1300 metrów od *Habooba*, co tak wystraszyło obu kapitanów, że Arash musiał użyć całej swojej umiejętności perswazji, żeby się nie wycofali.

W czasie pierwszego kursu do bardziej odległych placówek nie napotkali żadnych buntowników. Za każdym razem, gdy zapasy przeładowywano ze statków na jednostki przebywające na patrolu, grupa Arasha była w pełnej gotowości. Livadhi czuł coraz większe zaufanie do *Vigilance* i innych podlegających mu okrętów, a jego samego – wiedział, że tak powinno być – chwalono za jego zdolności dowódcze.

Mimo wszystko martwił się. Przywódcą buntowników był podobno niejaki Solomon Drizh, i Arash miał powody, aby się tym niepokoić. Jako młodzi ludzie obaj służyli u admirała Lepescu i obaj ulegli jego wątpliwemu urokowi. Arash przeżył polowanie na ludzi związanych z Lepescu, ponieważ admirał jasno dał do zrozumienia młodemu Livadhiemu, że nim pogardza. Wciąż brzmiały mu w uszach jego słowa: „Miałem lepsze mniemanie o człowieku z pańskiej rodziny W twoich genach jest siła, synu, co się z tobą dzieje?”

Te słowa sprawiły, że w jego kartotece znalazła się – zresztą jedyna – czarna krecha. Ale potem, po śmierci Lepescu, okazało się to znacznie lepsze niż uznanie go za protegowanego admirała. Teraz jednak Drizh i inni buntownicy spowodowali, że Flota może zacząć szukać potencjalnych buntowników wśród starych znajomych Lepescu.

Zachowanie załogi wskazywało, że te troski nie znajdowały odbicia na jego twarzy. I nie powinny, pomyślał cierpko, ponieważ całe lata poświęcił na doskonalenie opanowania. To takie niesprawiedliwe.

Nigdy nie zamierzał robić niczego poza służbą, której składał przysięgę, nie planował przeskakiwać z deszczu pod rynnę, tym bardziej że kontakt z Lepescu i jego wyznawcami powinien być dać mu wystarczającą nauzkę.

A jednak nie dał. Lepki strumyk potu spływał mu po kręgosłupie nawet teraz, gdy o tym myślał. Ostrzeżony przez Lepescu, że w Lojalnym Bractwie Myśliwych są członkowie jego rodziny, Arash Livadhi nie odważył się do nich wstąpić. W piekle, jakim Lepescu uczynił jego życie, zwrócił się do jedyne go przyjaciela, na którego mógł liczyć. Outsidera, z kolonialnej planety, nie zrażonego trudnościami piętrzącymi się na drodze do kariery we Flocie. Jules przyjaźnił się ze wszystkimi, godził spory i – ku zadowoleniu Arasha – nigdy nie był akceptowany przez Lepescu z powodu całkowitego braku zainteresowania krwawymi sportami. Przysadzisty, życzliwy Jules, zawsze miał czas, by go wysłuchać, a jego rady często brzmiały dokładnie tak, jak pragnął.

Teraz, wypełniając raporty, które musiał wysłać przed powrotem, Arash zastanawiał się, kiedy Jules pierwszy raz poprosił go o zrobienie czegoś, czego nie powinien był robić. Ale skąd miał wiedzieć? Młodzi oficerowie – przyjaciele – zawsze sobie pomagali. A Jules był jego dobrym przyjacielem, który pozostał przy nim nawet wtedy, kiedy cały statek zwrócił się przeciwko niemu,

gdy popadł w niełaskę u Lepescu.

Gdyby wiedział... Ale choć bardzo starannie szukał w pamięci, nie potrafił znaleźć żadnej wskazówki co do prawdziwej natury Julesa. Zrozumiał wszystko dopiero wiele lat później, gdy było już za późno, gdy ujawnienie prawdy omaczałoby koniec jego kariery, jeśli nie utratę życia.

OSK Bonar Tighe, okręt flagowy buntowników

Dowódca buntowników miał na sobie coś, co wyglądało jak zwykły mundur Zawodowej Służby Kosmicznej, choć Cecelia nie była pewna jego insygniów. Na plakietce miał napisane „kontradmiral Drizh”. – A więc to pani zabiła admirała Lepescu – powiedział.

Cecelia już zapomniała o swoim udziale w śmierci admirała Lepescu. Omal nie powiedziała „Och, jego”, jakby zabijała kilka tuzinów ludzi rocznie.

– Właściwie nie zabiłam go osobiście – powiedziała. Sądząc po wyrazie twarzy mężczyzny, nie poprawiła swojej sytuacji.

– Bezużyteczna starucha – powiedział dowódca buntowników. – Gdyby nie ludzie tacy jak wy, zajmowalibyśmy teraz należne nam miejsce.

Cecelia pomyślała, że to miejsce znajduje się sześć stóp pod dobrze udeptaną ziemią, i fakt, że ich tam nie umieszczono, był błędem.

– Ale nauczycie się – powiedział. – Przekonacie się, do czego jesteśmy zdolni.

Do straty czasu na pompatyczne przemowy, znów pomyślała Cecelia. Cechą charakterystyczną drugorzędnych umysłów – nie, raczej trzeciorzędnych – jest skłonność do perorowania.

– Zabierzcie je do paki – rozkazał dowódca, machając ręką na neurowspomaganych marines.

Areszt wyglądał mniej więcej tak, jak wyobrażała sobie wojskowe więzienie: ciasny, goły, brzydki i niewygodny. Oraz bezpieczny. Nie spodziewała się jednak na statku buntowników tak dużej liczby więźniów. Czemu po prostu nie pozabijali lojalistów? Czy może ich własny personel sprawia im wiele problemów?

Strażnicy wepchnęli ją i Mirandę do celi z sześcioma pryzkami, którą zajmowało już osiem kobiet, patrzących na nie z posępną podejrzliwością. Jedna siedziała zwinięta na koi, obejmując rękoma kolana. Rzuciła im tylko krótkie spojrzenie i z powrotem schowała posiniaczoną twarz.

– Nie to miałam na myśli – powiedziała Cecelia do Mirandy – proponując podróż dla poprawy zdrowia. Przepraszam.

Miranda rozejrzała się po celi, a potem popatrzyła na Cecelię, jakby nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

– Nie sędzę...

– Wiem, że to nie moja wina, ale i tak chcę cię przeprosić. Leciałyśmy sobie spokojnie, z dala od wszelkich buntów, aż tu nagle... BUM.

– Kim jesteście? – zapytała jedna z kobiet krótko przyciętych siwiejących włosach. – Gdzie my jesteśmy?

Cecelia uśmiechnęła się do niej.

– Jestem Cecelia de Marktos, a to moja przyjaciółka, Miranda Meager. Leciałyśmy do Republiki Guerni, ale po dwóch godzinach od wejścia w teoretycznie bezpieczny skok zostałyśmy

wyrzucone w normalną przestrzeń.

Kobieta nachyliła się i zniżyła głos.

– Ale gdzie... Czy wiecie, gdzie my... gdzie jest statek?

Czy można tej kobiecie zaufać? Nie, przynajmniej na razie.

– Nie wiem – odpowiedziała. – Wyzaczyłam kurs za pomocą standardowego pakietu nawigacyjnego, i to, co wytrąciło nas ze skoku, spaliło nam silniki i sprzęt nawigacyjny. Kiedy wasz kapitan zabrał nas na pokład, myślałam, że chce nas uratować.

Jej rozmówczyni skrzywiła się.

– Nic z tego...

– Nie, i uważam, że to niesprawiedliwe. Jesteśmy zwykłymi obywatelkami...

– Czekaj... – odezwała się jakaś inna kobieta. – Miranda... Meager? Masz jakiś związek z Brun Meager?

Niech to szlag. Miranda nie chciała używać nazwiska Thornbuckle, ale oczywiście Brun sprawiła, że to drugie stało się równie znane.

– Jestem jej matką – odpowiedziała cicho.

– A pani to Cecelia de Marktos. Czy nie jest pani tą przyjaciółką Heris Serrano, która zastrzeliła Lepescu?

– Nie zastrzeliłam go – zaprotestowała Cecelia. – Zrobiła to Heris. Ale niewiele brakowało. – Zabiłaby go, gdyby nie zemdląca; wciąż ją to irytowało. Fakt, że miała wtedy stare ciało, nie usprawiedliwia jej.

– Myślałam, że pani jest stara – powiedziała kobieta.

– Jestem, ale odmłodziłam się kilka lat temu. Ktoś mnie wtedy otrul i tylko w ten sposób mogłam wyzdrowieć.

– Widziałam coś na ten temat – wtrąciła inna z kobiet. – To było po tym, jak była pani z komandor Serrano na Xavierze?

– Tak. – Sądząc z wyrazu ich twarzy, wszystkie wiedziały o Heris Serrano; oczywiście nie było w tym nic dziwnego. – Zgaduję, że jesteście lojalistkami?

– Tak – odpowiedziała pierwsza z kobiet.

– Czemu was po prostu nie zabili? – zapytała Cecelia, której wciąż nie dawało to spokoju.

– Cecelia! – Miranda wyglądała na całkowicie zaszokowaną.

– To rozsądne pytanie – powiedziała kobieta. – Musicie się zastanawiać, czy nie jesteśmy tu po to, żeby wyciągnąć z was informacje. – Uśmiechnęła się do Cecelii i wyciągnęła rękę. – A przy okazji, milady, jestem bosman Jones.

– Mów mi Cecelia – odpowiedziała dama. – Albo „do diabła, Cece!” w sytuacjach awaryjnych.

– Dobrze. Sama nie wiem, czemu nas nie zabili... ale niektórzy służą jako obiekt rozrywki dla ich ludzi. – Kiwnęła głową w stronę kobiety kulającej się na koi. – Poza tym oczywiście zdają się czerpać wiele przyjemności z naśmiewania się z nas, jakie jesteśmy głupie, że nie przyłączyliśmy się do nich.

– Rozumiem. Musi tu być naprawdę przyjemnie.

Bosman Jones uśmiechnęła się. – Można by tak powiedzieć.

– Czy jest tutaj... no... – zapytała Miranda.

– Klozet, milady? – Cecelia zwróciła uwagę, że Miranda w dalszym ciągu jest tytułowana.

– Tutaj... ale, przykro mi, nie splukuje się. – Miranda popatrzyła z przerażeniem na śmierdzące wiadro. – Myślę, że to im się najbardziej podoba.

Miranda wreszcie zdołała się uśmiechnąć.

– Cóż, fascynacja wypróżnianiem charakteryzuje pewien określony rodzaj umysłów. – Zamiast ruszyć się w stronę wiadra, wyciągnęła rękę do bosman Jones. – Zapomnijmy o tytułach. Dla przyjaciół jestem Miranda, a wy wyglądacie zdecydowanie bardziej przyjaźnie niż ktokolwiek inny na tym statku... poza Cece.

– Dobrze, Mirando. – Bosman Jones rozejrzała się wokół. – Poznajcie pozostałe. – Zaczęła wskazywać kolejno na kobiety i przedstawiać je. – To sierżant Tiriaki. Gwen jest naszą specjalistką od inżynierii. – Gwen Tiraki miała drobną, poważną twarz i pełne odcisków dłonie, które wskazywały, że przywykła do czegoś więcej niż tylko do naciskania klawiszy. – Może naprawić praktycznie wszystko. Tam jest sierżant Dirac. Nazywamy ją Dusty, bo matka nadała jej imię, którego nikt nie potrafi wymówić. Jest specjalistką od skanu.

– Pracowała pani z Koutsoudasem, prawda, lady... eee... Cecelio?

– To niezwykle człowiek – powiedziała Cecelia. Rozpoznała w kobiecie entuzjastkę mającą nadzieję na oświecenie, ale to nie był odpowiedni czas, nawet gdyby dysponowała wiedzą, której pragnęła Dirac.

– A to młodszy mat Donaldson. Gerry również jest specjalistką od skanu. Starszy mat Filar Sifa odpowiadała za sekcję naprawczą komunikacji i skanu. Młodszy mat Jen Kouras jest technikiem napędu, podobnie jak młodszy mat Hartung. – Zerknęła na skuloną postać. – A to szeryf Anseli Marknam. Jest tu po to, żebyśmy cicho siedziały. – Jej głos stwardniał. – Jeśli robimy coś, co im się nie podoba, torturują ją.

– W jakim jest stanie? – zapytała cicho Cecelia.

– Fizycznie... pomógłby jeden dzień w zbiorniku regeneracyjnym, ale i bez tego chyba nic jej nie grozi. Jednak psychicznie jest na granicy wytrzymałości, jeśli już jej nie przekroczyła. Jest miłym dzieciakiem, ale jednym z tych, którzy uzależniły się od przepisów.

Cecelia zerknęła na mocno pobladałą Mirandę. Uświadomiła sobie, że przyjaciółka widzi w tej skulonej postaci Brun, która także cierpiała w samotności, z dala od bliskich, i nikt się o nią nie troszczył.

– Miranda może z nią usiąść – powiedziała. Bosman Jones kiwnęła głową.

Cecelii nie umknął fakt, że Jones nie podała swojego imienia, ale pomyślała, że to kwestia związana z dowodzeniem... Coś, co zaczęła rozumieć, podróżując razem z Heris.

Miranda usiadła obok Anseli i wyciągnęła w jej stronę rękę. Dziewczyna przytuliła się do niej, nie podnosząc wzroku, po czym zaczęła się trząść. Miranda z troską pochyliła się nad nią.

– Matki – powiedziała bosman Jones. – Nie wiem, jak one to robią... ale cieszę się, że tu jest. Żadna z nas nie ma dzieci.

– Ja też nie – stwierdziła Cecelia. – Nigdy ich nie chciałam. Mam dość dzieci krewnych.

Bosman zachichotała.

– Jedna z moich sióstr ma sześcioro dzieci, a druga czwórkę. Twierdzą, że uciekłam do Floty, żebym nie musiała pomagać ich przewijać.

– Ja byłam najstarsza z szóstki – odezwała się sierżant Tiraki. – Zanim wstąpiłam do Floty,

miałam już dosyć opieki nad dziećmi.

– Jest pani pewna, że nie wie, gdzie jesteśmy? – zapytała bosman Jones.

Cecelia rozejrzała się po celi, a Jones kiwnęła głową.

– Wiem tylko to, co mi wskazał awaryjny system lokalizacyjny. Powinniśmy być o dwa punkty skokowe od Copper Mountain, który jest najbliższym zamieszkanym układem.

– To melina komandora.

– Przepraszam?

– To jeszcze z czasów Akademii, sera. Oficerowie wybierają sobie miejsca – z dala od zwykłych szlaków – gdzie mogą się spotkać z przyjaciółmi. Nazywają to swoimi melinami.

– Wygląda to jak przepis na spisek – zauważyła Cecelia. Jones pokiwała głową.

– Oczywiście może tak być, ale z mojego doświadczenia wynika, że młodzi oficerowie po prostu lubią mieć swoją prywatność, jakiś sekret. Większość z nich prawdopodobnie nigdy nie wykorzystuje swoich melin, gdy już zajmą się robieniem kariery. Czy pani lokalizator powiedział, czy w tym układzie jest ansibl?

– Tak. – Czy powinna powiedzieć Jones, że próbowała już wysłać wiadomość, ale jest pewna, że jej się nie udało? Nie. Co by im z tego przyszło?

* * *

– Myślę, że tym razem głównianą służbą powinny się zająć nasze wielkie damy – powiedział strażnik. – Zobaczmy... Ruda czy blondynka?

– Och, myślę, że obie – stwierdził drugi. – Obie muszą się nauczyć paru podstawowych umiejętności. – Cecelia popatrzyła na Mirandę, ale nie potrafiła za wiele wyczytać z wyrazu jej twarzy.

– Weźcie wiadro – rozkazał pierwszy strażnik już bez rozbawienia w głosie. – Obie, będziecie je razem nieść.

Wiadro śmierdziało i było pełne nieczystości. Na okrągłej rączce nie było dość miejsca na dwie dłonie, a cienki metalowy uchwyt wrzynał się w palce. Wiadro było cięższe niż można by się spodziewać.

Uniosły je razem, ale Cecelia była wyższa i wiadro trochę się przechyliło; parę kropli wylało się na podłogę.

– Nieładnie, nieładnie – powiedział strażnik. – Po powrocie będziecie musiały to posprzątać. – I obaj strażnicy uśmiechnęli się do siebie paskudnie.

Niesienie prawie pełnego wiadra przez osoby różnego wzrostu i idące w innym rytmie było niezwykle trudne. Jeszcze trudniej było, gdy musiały prześliznąć się przez uchylone do połowy drzwi. Przez całą drogę zostawiały za sobą cuchnący ślad.

Cecelia czuła zjeżone na karku włoski. Nie znosiła, gdy ktoś szedł za nią w ten sposób. Skupiła uwagę na chlupoczącym w wiadrze płynie, próbując dostosować się do kroków Mirandy i niczego nie rozlać.

Nagle wyłonił się przed nimi kolejny strażnik.

– Wystarczy! – powiedział. Strażnik idący z tyłu wpadł na Cecelię, popychając ją do przodu, i spora ilość nieczystości wylała się na pokład.

– Ty niezdarna zdziro – zaklął. Wyglądał jednak na bardziej zadowolonego niż złego. – Teraz

będziesz miała więcej do posprzątania, Ruda.

– To nie moja wina! – zaprotestowała Cecelia. – Popchnąłeś mnie!

– Zła odpowiedź, Ruda – rzekł strażnik. – Blondyna, puść wiadro. – Miranda puściła, ale tak wolno, żeby Cecelia mogła przejąć cały ciężar, nie rozlewając zawartości. – Blondyna, odwróć się do ściany.

Potem strażnicy otoczyli Cecelię i zaczęli ją mocno popychać, ale udało jej się utrzymać równowagę, nie rozlewając więcej nieczystości.

– Będziesz musiała to posprzątać, Ruda, i to sama. A będzie mnóstwo do sprzątania... – Tym słowom towarzyszyło bardzo mocne pchnięcie na dwóch pozostałych strażników, którzy odepchnęli ją z powrotem.

* * *

Posprzątanie podłogi jedną małą szmatką zabrało jej dwie godziny. W tym czasie Miranda wynosiła nieczystości z innych cel, opróżniała wiadra i szorowała je do czysta. Strażnicy dręczyli ją słowami, ale nie zmuszali do rozlewania zawartości wiader na podłogę.

Kiedy już myślały, że skończyły, strażnicy dali Mirandzie taką samą małą szmatkę jak Cecelii i kazali im posprzątać latryny. Były tam dwa pisuary, dwa klozety, cztery umywalki i prysznic. Na posprzątanie potrzebowały kolejnej godziny, gdyż strażnicy upierali się, że przeoczyły plamy, a to na lustrze, a to gdzieś na ścianie, a to na jakiejś rurze.

Pod koniec pierwszego dnia Cecelię bolało dosłownie całe ciało, od końca palców aż po czubek głowy. Kolana miała spuchnięte, a dłonie czerwone i obtarte. Miranda też wyglądała na zmęczoną, dłonie miała obolałe od wrzynających się w skórę uchwytów wiader, ale przynajmniej nie musiała cały dzień chodzić na kolanach.

Jednak żyły, a to znacznie lepsze od śmierci.

Na kolację dostały jakąś pozbawioną smaku breję, którą musiały wypić z plastikowej miseczki. Potem wyciągnięto kogoś z innej celi, żeby umył naczynia.

Gdy przygasły światła, bosman Jones wyjaśniła, że pozwalają im spać tylko w czasie tej wachty... więc cztery z nich będą musiały spać na podłodze, gdyż jest za mało koi, żeby dla wszystkich wystarczyło.

– Zmieniamy przydziały koi i podłogi – powiedziała. – Każda śpi przez sześć nocy na pryczy, a potem cztery noce spędza na podłodze. Napisałam nasze numery na karteczkach i wylosowałam kolejność. Miranda dostała numer cztery, a ty, Cecelio, dziewięć. Zaczynamy od zera, a to znaczy, że Miranda ma pryczę na sześć dni, a ty śpisz na podłodze.

– Ale ona ciężiej pracowała – zaprotestowała Miranda.

– Nic nie szkodzi – odpowiedziała Cece. – Jestem tak zmęczona, że mogę spać gdziekolwiek.

– Dobrze, kładziemy się.

Okazało się, że podłoga jest bardzo twarda, a do tego z paskudnym zimnym nawiewem, tak więc niezależnie od tego, w jakiej pozycji Cecelia się ułożyła, wszystko ją bolało. Budziła się co jakiś czas, więc nie wypoczęła zbyt dobrze.

Obudził ją hałas; to strażnik walił w metalowe wiadro.

– Pobudka, wstawać! Zbierać się z prycz, leniwe dranie!

* * *

Po kilku dniach strażnicy nieoczekiwanie wręczyli im mopy i gąbki.

– Użyjcie tego. Macie do wyczyszczenia nie tylko ten jeden klozet, a przy waszym tempie pracy szmatami zajęłoby wam to miesiące. – Kiedy już posprzątały latrynę strażników, zabrano je poza teren kacetu i poprowadzono długim korytarzem. Cecelia zerkała do środka mijanych pomieszczeń; widać tam było rzędy prycz. Czy to pomieszczenia załogi? Najwyraźniej. Potem strażnicy otworzyli kopniakiem drzwi do olbrzymiego pomieszczenia wyłożonego kafelkami, z pisuarami na jednej ścianie, kabinami z klozetami pod drugą, i rzędami pryszniców i umywalek. – Zaczniście od tej strony i niczego nie omijajcie! – rozkazał jeden z nich.

– Będziecie też potrzebować tego – stwierdził inny i otworzył szafkę, w której schowane były szczotki klozetowe i pojemniki ze środkami chemicznymi do czyszczenia.

Cecelia ruszyła w drugi koniec pomieszczenia i wsadziła szczotkę do klozetu, a Miranda bez słowa zajęła się pisuarami. Na szczęście strażnicy nie dręczyli ich już więcej tego dnia. Cecelia szorowała, polerowała, myła i wycierała, jakby urodziła się sprzątaczką, a strażnicy przez cały czas tkwili w drzwiach, wyraźnie znudzeni.

Następne kilka dni spędziły na sprzątaniu czterech ubikacji strażników i trzech innych na pokładzie załogowym. Cecelia była w stanie ze szczegółami opisać bosman Jones, jakie środki chemiczne trzymano w szafce, z której wydawano im mopy, szczotki, odkurzacze i gąbki, i ilu ludzi kręci się zazwyczaj po korytarzach i odwiedza klozety (nieustannie poprawiana przez bosman, przywykła w końcu do stosowania terminologii wojskowej).

Każdego dnia strażnicy byli coraz bardziej znudzeni. Czasem dla zabawy brudzili już posprzątane przez kobiety podłogi i kazali im je ponownie sprzątać, ale wkrótce uznali, że to nie jest zbyt zabawne i zaczęli się pojedynczo urywać. Nigdy nie zostawiali kobiet samych, ale nie byli już tak czujni, jak na początku. Cecelia miała dużo czasu na myślenie, i w trakcie jednej z wacht na sen powiedziała bosman Jones, że wymyśliła odpowiedź na męczące ją od chwili schwytania pytanie.

– Już wiem, po co trzymają was żywych – rzekła.

Bosman Jones wzruszyła ramionami.

– Wymiana więźniów, okup...

– Nie, chcą mieć zwierzynę łowną.

Twarz bosman Jones pozostała bez wyrazu, tylko oczy lekko się powiększyły.

– Zwierzynę?!

– Kiedy byłam na Sirialis, admirał Lepescu – zastrzeliła go Heris Serrano – właśnie to robił. Polował na ludzi. Traktował to jako sport.

Oczy bosman zwęziły się i spojrzała gdzieś ponad ramieniem Cecelii.

– Chcą polowania, tak? – Potem znów popatrzyła na jej twarz i wykrzywiła ustami paskudnym uśmiechem. – Dobrze, damy im polowanie. Zaczniemy teraz, tutaj.

Cecelia była przygotowana na szok i gniew, ale nie na zadowolenie.

– Ale... – zaczęła, lecz Jones potrząsnęła głową.

– I to nie może być ich polowanie, tylko nasze.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

OSK *Indefatigable*

Po doprowadzeniu statku do porządku Heris Serrano wyjaśniła załodze cel ich misji.

– Szukamy buntowników, więc musimy przyglądać się punktom skokowymi nasłuchiwać niezwykłych transmisji ansiblowych. Mamy zaatakować i zniszczyć ich oraz zmienić kody wywoławcze ansibli i systemów obrony. Jeśli znajdziemy pola minowe, musimy je oczyścić.

– A jeśli nas przeskoczą? – zapytał Seabolt.

– To jest możliwe, ale jeśli przelecimy przez punkty skokowe, powinniśmy zauważyć ich ślad, zanim do tego dojdzie. To jest powód pośpiechu, z jakim zebrano załogi i wysłano je w przestrzeń: dostać się w ten rejon i wyprzedzić ich ruchy, aby obronić najbardziej narażoną na ataki cywilną ludność.

– Myśli pani, kapitanie, że zaatakują cywilów?

– Spodziewam się, że tak, jeśli chcą uciec i założyć gdzieś niezależną bazę. Jak na razie nikt nie zgłosił bezpośredniego kontaktu z nimi. Mamy tylko ten raport z *Vigora*, który miał dość rozumu, żeby uciec i wysłać sygnał alarmowy, kiedy zorientował się, że ma kłopoty. Ale spodziewam się, że gdy wyjdziemy ze skoku, będzie więcej wiadomo. Gdyby byli agentami obcych sił...

– Czarna Szrama – wymamrotał ktoś.

– Benignity lub jakiegokolwiek innej – poprawiła go Heris – przypuszczam, że ktoś mógłby nawet zakochać się w ich stylu życia czy fanatyzmie religijnym Nuteksu. – Wśród młodszych oficerów rozległy się chichoty. – Chciałabym zauważyć, że jest zbyt wcześnie na wnioski odnośnie tego, jacy mogą być buntownicy; wiemy jedynie, że są niebezpieczni. Zdobyli stację orbitalną nad Copper Mountain i uwolnili więźniów z placówki o podwyższonym poziomie bezpieczeństwa. Naszym zadaniem jest utrzymanie ich w tym miejscu do czasu, aż ktoś ustali, kim są i jak sobie z nimi poradzić.

– Kapitanie, czy ta koncentracja okrętów nie narazi na atak naszych granic?

– Przekazano mi, że jednostki odciągane są tylko z zaprzyjaźnionych granic. Nikt nie spodziewa się, żeby Konfederacja Samotnej Gwiazdy, Republika Guerni czy Szmaragdowe Światy chciały nas zaatakować. Może jedynie dojść do wzrostu przemytu, ale jakoś to przeżyjemy.

Po opuszczeniu sali przez członków załogi pozostał jedynie Seabolt.

– Martwię się o nasze bezpieczeństwo – powiedział.

– Pod jakim względem, komandorze? – Heris przyzwyczała się już do tego, że nie zawsze rozumie jego troski.

– Cóż, jak pani wie... – Stłumiła westchnienie. Seabolt zawsze zaczynał od powiedzenia tego, co już wiedziała – co wiedział każdy mający mózg – a dopiero potem przechodził do rzeczy, i jak dotąd nie mogła go tego oduczyć. – Jak pani wie, mamy bunt.

– Tak, zdążyłam się już zorientować – odpowiedziała. – W czym problem?

– W tej załodze jest wielu ludzi bez żadnego doświadczenia okrętowego. – To kolejna rzecz, o której już wiedziała, a on sam był najlepszym tego przykładem. – Nie wiemy, czy mają odpowiednie kwalifikacje – powiedział Seabolt i przeszedł do rzeczy, być może ostrzeżony jej spojrzeniem. – Nie wiemy, czy nie biorą udziału w spisku. Ponieważ w tej chwili wszystko toczy się gładko, chciałabym,

żebyśmy zaczęli przeglądać ich kartoteki. Czy wie pani, że mamy na pokładzie pięć osób należących do Kościoła Zjednoczonych Braci, którzy odbywali spotkania w komorze dokowej?

– Nie – odpowiedziała Heris.

– To prawda. A zaledwie sześć miesięcy temu wystosowano ostrzeżenie, że w grupach religijnych mogą się ukrywać ekstremiści...

– Moje „nie” oznacza, że nie może pan rozpocząć polowania na czarownice. Wiedziałam o kapralach Sennisie i Solisie oraz szeryfach Mercatorze, Januwitzu i Bedarze. Oni nie są ekstremistami, a Zjednoczeni Bracia nigdy nie stwarzali żadnych problemów.

– Ależ, kapitanie...

– Komandorze, wszystko toczy się gładko – choć nie tak, jak powinno – ponieważ bardzo ciężko pracuję nad tym, by wyszukać i hołubić osoby wykazujące się kompetencją. Między nimi znajduje się na przykład starszy mat Tanira, który też jest członkiem Zjednoczonych Braci; zresztą jest ich na pokładzie przynajmniej pięćdziesięciu, a nie pięciu. To dzięki Tapirowi nie doszło do wypadku na poziomie trzecim, gdy jakiś durny gryzipiórek z pańskiego byłego biura nie rozumiał, czemu zawór powinien być ustawiony dokładnie na trzy przecinek dwa. Nie pozwolę, żeby pan go gnębił, tak samo jak pozostałych, tylko na podstawie jakiegoś zwariowanego raportu stworzonego daleko od prawdziwych statków czy prawdziwej walki.

– Ależ, kapitanie...

– Zrozumiano, komandorze?

– Tak, ale... z całym szacunkiem, muszę się nie zgodzić.

– Może się pan nie zgadzać, ile pan chce, ale nie będzie pan – powtarzam, nie będzie pan chodził i węszył. Nie chcę, żeby ludzie mieli wrażenie, że się im nie ufa. Możemy mieć na pokładzie potencjalnego buntownika, ale najlepszym sposobem sprowokowania go do zrobienia czegokolwiek jest wywołanie powszechnego braku zaufania i podejrzliwości wśród załogi. Możemy mieć na pokładzie szpiega Benignity, seryjnego mordercę albo kogoś, kto uwielbia być biczowany martwymi wężami przez kogoś pomalowanego na zielono, ale we wszystkich tych przypadkach, o ile nie wydarzy się coś ważnego, naszą strategią będzie tworzenie jak najlepszego zespołu. A to zaczyna się od budowania kompetencji – co jest powodem podwójnych zmian w szkoleniu – i zaufania do dowódców.

– Jest pani... właśnie taka, jak mówili – wyrwało mu się.

– Czyli?

– Serrano – powiedział. – Wy nigdy nikogo nie słuchacie i zawsze uważacie, że sami wiecie najlepiej.

Heris poczuła satysfakcję kota, który trzyma w pazurach mysz.

– Komandorze, na pokładzie okrętu kapitan zawsze wie najlepiej. Z definicji. Niech pan sprawdzi w przepisach; znajdzie pan to w opisie mojego stanowiska. Jeśli będzie pan działał wbrew moim wyraźnym rozkazom – pozwoliła, by jej głos nabrał siły – będzie to potraktowane jako bunt, komandorze. Kroczy pan po bardzo grząskim gruncie, komandorze.

Zbladł, a na jego czole zabłyśły kropelki potu.

– Nie chciałem... oczywiście... Ja tylko...

– Może pan odejść – powiedziała Heris.

– Ja... eee... tak, sir. – I Seabolt wyszedł.

Gdyby tylko miała kogoś na jego miejsce... ale nie miała. Ludzie o jego typie osobowości denerwowali ją nawet wtedy, gdy mieli rację. Będzie musiała jakoś sobie z nim poradzić.

Terakian Fortune, w drodze z Trynidadu na Zenebrę

Gdy tylko miał czas, Goonar Terakian prowadził pogaduszki z kapłanem Simonem, aby nie rozmyślać o tym, że nie może poprosić Betharnyi o rękę. Najpierw wysłuchał historii Simona (wydawała się Goonarowi niemożliwie nudna: życie w celibacie wśród ksiązek i uczonych?), potem opowiedział mu swoje życie. Simon uznał życie kupieckiego kapitana za równie nieciekawe, stwierdzając, że biedny Goonar nigdy nie miał wystarczająco wiele czasu na rozmyślania. Goonar powstrzymał się od komentarza, że to właśnie zbyt dogłębne rozmyślania sprowadziły na Simona wyrok śmierci, i skierował rozmowę z powrotem na temat religii i polityki. Simon był przekonany, że prowadzona przez Familię Regnant polityka tolerancji religijnej musi zmierzać wprost do anarchii i zaniku moralności.

Goonar poczuł, że nabiera rumieńców, jak zwykle w czasie rozmów z Simonem.

– To bardzo niesprawiedliwe stwierdzenie. Uważasz mnie za niemoralnego?

– Nie, kapitanie, przynajmniej z tego, co widziałem... – Jak Goonar zdążył zauważyć, Simon nigdy się nie denerwował. – Ale nie rozumiem, jak miałoby to wyglądać w praktyce.

– To kwestia szacunku dla cudzych wierzeń.

– Jak możesz szanować coś, co jest złe?

Goonar zmarszczył brwi.

– Nie wiem, że jest złe, mogę tylko uważać, że jest złe. Prawdę mówiąc, sądzę, że wiele religii, o których słyszałem, nie ma sensu, ale to nie oznacza, że nie mogę zachowywać się w stosunku do ich wyznawców w cywilizowany sposób. Jeśli chcesz wierzyć... na przykład, że twoją planetę stworzył dwugłowy żółw, czemu miałbym się o to spierać? Uważam, że to głupie, ale z drugiej strony większość ludzi wierzy w jakieś głupoty. Mój kuzyn mógłby ci powiedzieć, że głupie jest to, iż nie chcę się ponownie ożenić.

– Ale zachowanie ludzi zależy od tego, w co wierzą. Nie możesz więc ufać komuś, kto myśli, że można robić złe rzeczy.

– Myślę, że się mylisz – odpowiedział Goonar. – Znam ludzi, którzy wykorzystują swoją wiarę, niezależnie od tego, jaka ona jest, żeby stać się lepszymi – miłszymi, spokojniejszymi, bardziej szczerymi, wierniejszymi i bardziej odpowiedzialnymi. Inni wykorzystują swoją wiarę do usprawiedliwiania kłamstw, oszustw, kradzieży i morderstw... a wystarczy im, że sobie powiedzą, iż ten drugi człowiek nie jest ich wyznania, i to wszystko usprawiedliwia. Tak więc widzisz: ta sama wiara, a różni ludzie. A dobrych ludzi, wierzących w bardzo różne rzeczy, można znaleźć wszędzie; podobnie jest ze złymi. Ja osobiście uważam, że religia pomaga dobrym ludziom i psuje złych.

Simon przez dłuższą chwilę siedział w milczeniu, aż w końcu potrząsnął głową.

– Nie mogę się z tobą zgodzić. Będę potrzebował trochę czasu, żeby to przemyśleć. Na początek mogę stwierdzić, że niektóre wyznania mogłyby zepsuć każdego człowieka.

– To prawda. Weźmy taką Krwawą Horde. Słyszałeś o nich? To ich przekonanie, że liczy się tylko siła, musi prowadzić do kłopotów. Ludzie, którzy emigrują do Świata Aethara, są tego rodzaju osobami – mięśniakami, którzy chcą być tylko z podobnymi do siebie. Przypuszczam, że tak samo jest

z ich dziećmi, które nie znają niczego innego. Ale wszystkie religie, jakie znam, uważają uprzejmość, szczerłość i tym podobne za dobro.

– Tak, rozumiem, ale muszę przyznać, że nawet wyznawcy prawdziwej wiary robili w jej imieniu okropne rzeczy. Zbliżasz się niebezpiecznie do znanej starej heretyckiej opowieści.

– Nigdy o niej nie słyszałem – powiedział Goonar. Ktoś zapukał do drzwi. – Wejść – rzucił. W drzwiach pojawiła się Esmay Suiza. – Sera, proszę, wejdź i przyłącz się do naszego sporu. Rozmawiamy o religii.

– Niewiele wiem o religii – powiedziała Esmay.

– Nic nie szkodzi. Poznała już pani Simona, prawda? Jest kapłanem z Benignity. A to sera Suiza z Altiplano. Simon właśnie mówił o pewnej heretyckiej przypowieści o szczególnym wyborze, sera. Słyszała pani kiedyś o czymś takim?

– Niektórzy ze Starowierców... wierzą, że jedni ludzie rodzą się dobrzy, a inni źli. Czy to ma pan na myśli?

– Tak, właśnie to.

Goonar wzruszył ramionami.

– Niektóre jabłka są smaczniejsze niż inne... Co w tym heretyckiego?

– No dobrze, a czy Bóg uczynił jedno jabłko kwaśnym, a inne słodkim? – zapytał Simon z błyskiem w oczach, który Goonar zbyt późno rozpoznał jako entuzjazm.

– Nie jestem Bogiem, Simonie, więc nie wiem – odpowiedział, unikając czegoś, co zapowiadało się na bardzo długi wywód teologiczny. – Jestem tylko kapitanem statku, który dotąd miał czystą kartotekę w Familiach Regnant i na przyległych terenach. Dzięki tobie już tak nie jest. Jeśli to, co mówisz, jest prawdą...

– Jest – zapewnił go Simon.

– W takim razie jesteś dokładnie takim zbiegiem politycznym, przed jakim ostrzegali mnie moi starsi, ale przynajmniej nie jesteś kryminalistą. Rozumiesz chyba, że będę musiał złożyć na twój temat raport – bez wątplenia długi i szczegółowy – zarówno moim starszym, jak i urzędnikom, którzy zgłoszą się po ciebie na Castle Rock.

– Oczywiście. Mam nadzieję, że to niezbyt wielki kłopot.

– To jest kłopot, ale trzeba to zrobić. Nie przypuszczam, żebyś znał w naszym rządzie kogoś, kto by nam to ułatwił?

– Przykro mi, ale nie – odpowiedział Simon.

– W takim razie może razem z serą Suizą zajmiecie się teologią, a ja zabiorę się do raportów. – Goonar wstał i mrugnął do Esmay, która wyglądała na zaskoczoną. – Oczywiście jeśli masz ochotę, sera, ale Simon może być zainteresowany wierzeniami ludzi z twojej planety.

– Proszę – odezwał się Simon. – Jeśli twoi Starowiercy mają jakiś związek z Sintianami... – Wyszli razem z kabiny; Esmay słuchała, a Simon z ożywieniem mówił.

Chwilę później do drzwi zapukał Basil.

– Dowiedziałeś się czegoś więcej?

– Tak. Wciąż mam ochotę skrócić ci kark, ale bez wątplenia on nie jest pospolitym kryminalistą. To szalenie religijny.

– Doprawdy? Wydaje się dość spokojny.

- Nie pozwól mu rozmawiać o koncepcji dobra i zła albo o czymś, co nazywa się szczególnym wyborem.
- To wygląda na politykę.
- Nie... Właśnie chciał mnie wciągnąć w dyskusję, czy Bóg z założenia tworzy jabłka o różnym smaku, czy same takie się stają. Basil uniósł brew.
- O rety.
- Tak. Dla Benignity jest heretykiem, a dla mnie wariatem, i Bóg wie, co pomyśleliby o nim Patriarchowie, ale nie zamierzam trzymać go tutaj tak długo, żeby się o tym przekonać. Na Castle Rock zrzucimy go na głowę rządowi, a sami po cichy się wyniesiemy.
- No dobrze. A przy okazji... – Basil przeszedł na swój zwykły, swobodny ton, ale Goonar prychnął na niego i od razu spowaźniał. – Nasza bohaterka z Xaviera martwi Bethę.
- Czemu? Co się dzieje?
- Bethya mówi, że ona ma nocne koszmary, ale nie chce o nich rozmawiać.
- O rety, Basil, ta kobieta jest żołnierzem. To oczywiste, że nie chce rozmawiać z... aktorką. A zresztą skąd Bethya wie o jej koszmarach?
- Kobiety mają swoje sposoby. Rzecz w tym, że zacząłem się zastanawiać, czy nie powinniśmy kogoś o tym poinformować. – Na przykład kogo?
- Może jej rodzinę... Jeśli potrzebuje pomocy, powinni wiedzieć. Bethya powiedziała, że nie miała czasu skontaktować się z nimi na Trinidadzie.
- Cóż... Myślę, że kiedy dotrzemy na Zenebrę, możemy jej zaproponować połączenie telefoniczne. Ale nie zamierzam robić tego za jej plecami. Nie mamy prawa.

* * *

Na stacji *Zenebra Terakian Fortune* spotkał się z *Terakian Favor*, który latał wzdłuż granicy Familii. Mieli pełne czternaście godzin na wymianę ładunku pod czujnym okiem oficera celnego stacji. Goonar odebrał ładunek dla Castle Rock i przekazał swój dla Mallory, Inkman i Takomin Roads. Choć raz cieszył się z pomocy dodatkowej załogi. Aktorzy zdjęli swoje kostiumy z manekinów i przestawili je z powrotem na neutralny program. Następnie obie jednostki wylądowały towar dla stacji Zenebra – co zajęło zaledwie godzinę – i Goonar, jako młodszy stażem kapitan, zaprosił Eliasa Terakiana, kapitana *Favora*, na obiad.

- Cóż, Goonarze, wygląda na to, że dobrze sobie radzisz. – Elias, kapitan już od dwudziestu lat, miał ogromne doświadczenie. Po upływie kolejnej dekady będzie mógł się wycofać jako jeden z Ojców. – Sądząc po tym, jak szybko przenieśliście ten ładunek, masz dobrą załogę.
- Mam wiadomość dla Ojców – powiedział Goonar – która musi zostać wysłana jakąś bezpieczną drogą.
- Cóż, wysłuchajmy jej.
- Goonar opowiedział mu całą długą i skomplikowaną historię, a Elias słuchał i nie komentował. Kiedy skończył, starszy kapitan potrząsnął głową.
- Lepiej by było, Goonarze, gdyby twój pierwszy rejs był bardziej nudny.
- Wiem.
- Ale... myślę, że poradziłeś sobie najlepiej, jak mogłeś. Co sądzisz o tej trupie teatralnej? Czy będą chcieli ponownie nas wykorzystać? O tym Goonar nie pomyślał.

– Nie wiem – przyznał. – Bethya, ich kierowniczka i gwiazda, mówiła, że chcą gdzieś osiąść i zrezygnować z jeżdżenia w trasy.

– To ta rudowłosa, prawda?

– Tak... – Wiedział, co go czeka.

– Piękna kobieta. Nie taka stara. Naprawdę powinieneś znaleźć sobie nową żonę, Goonarze, kogoś, kto uprzyjemni ci życie między podróżami.

– Nie szukam żony.

– Teraz tak mówisz, ale kiedy przejdziesz na emeryturę...

– Eliasie, proszę. Dosyć.

– Dobrze, dobrze, już nic nie powiem. Przekażę Ojcom twoją wiadomość i nic nie wspomnę o twojej... o tej rudej. Wiesz, że cię lubi?

– Nie wiem – powiedział Goonar i poczuł, że się czerwieni. – Jest uprzejma dla wszystkich.

– Nie jestem ślepy... – mruknął Elias, zabierając się do deseru. – Chcesz się spotkać z heretykiem?

– Nie. Co ja wiem o teologii? Za to gdybyś wywoził eksperta od genetyki oliwek...

Goonar roześmiał się.

– Powiem o tym Basilowi, dobrze? Jeśli już musi brać zbiegów, niech się upewni, że dysponują odpowiednimi informacjami. Elias rzucił mu enigmatyczne spojrzenie.

– Prawdę mówiąc, Goonarze, właśnie tak powinieneś robić. Nie mieszamy się do polityki, ale jeśli już musisz zabrać zbiega, upewnij się, czy coś na tym zarobisz.

– Hmm Nie sądzę, żebyśmy mogli wiele zarobić na teologu... ale może w tej trupie teatralnej jest ukryty jakiś skarb. Mam teraz świetne oświetlenie w doku promowym.

Pamiętając o tym, jak łatwo załoga upij a się i zdradza wszelkie tajemnice, Goonar nie pozwolił swoim nielegalnym pasażerom zejść na Zenebrze z pokładu. Zaproponował za to Esmay wysłanie wiadomości do domu na Altiplano, ale z początku odmówiła.

– Chyba powinni wiedzieć – powiedział Basil.

– Będą się martwić.

– Oczywiście, że się zmartwią. Tak właśnie powinno być. Powiedziała pani, że wiedzą o ślubie.

– Przynajmniej tak nam powiedział kapitan okrętu, na którym lecieliśmy.

– A potem pani znika. Mogą myśleć, że pani nie żyje. A przecież mogą pani pomóc.

– Nie wydaje mi się – powiedziała z uporem Esmay.

– Nie podoba mi się to – oświadczył w końcu Goonar. – Czuję się prawie jak złodziej, który panią wykradł.

Esmay roześmiała się głośno; mężczyzna zauważył, że rzadko jej się to zdana.

– Jeśli pan nalega, kapitanie, zadzwonię do domu i dam im znać, że nic mi nie jest. – Nie do końca była to prawda; sam widział, że jest o kilka kilogramów chudsza niż w chwili wejścia na pokład, mimo że mieli dobrą kuchnię, ale nie zamierzał o tym dyskutować. Niech się nią zajmie rodzina.

Chciał zapłacić za połączenie, ale Esmay uparła się, że sama za siebie zapłaci. Szacunkowy czas dostarczenia wiadomości regularnymi przekazami ansiblowymi z Zenebry na Altiplano był

zdumiewająco długi.

– Nie mamy żadnego połączenia w rzeczywistym czasie – wyjaśniła Esmay. – Wiadomości są przekazywane pakietami, a po drodze są trzy albo cztery przekaźniki.

– A więc będziemy już na Castle Rock, kiedy pani rodzina otrzyma wiadomość.

– O ile nie dotrze w minimalnym czasie. Ale nie rozumiem, czemu miałyby to sprawiać jakąś różnicę. Raczej nie przylecą mi na ratunek. Mają własne sprawy.

Goonar nic już nie powiedział, ale kiedy Esmay wróciła na statek, wysłał własną wiadomość na Altiplano. Gdyby była jego córką, chciałby usłyszeć, co się stało, przez priorytetowe połączenie. Może Flota poinformowała ich już o jej zwolnieniu i rodzina nie ma pojęcia, gdzie jej szukać?

* * *

W trakcie przelotu z Zenebry do Rockhouse Major, głównej stacji komercyjnej orbitującej wokół Castle Rock, Goonar starał się znaleźć jakiś sposób zarobienia na swoim ładunku. Rozmawiał ze wszystkimi – Simonem, Bethyą, innymi członkami trupy, Esmay Suizą – wyłapując każdy strzępek informacji, który później mógłby się przydać. Rozmowy z Simonem zawsze kończyły się na ciernistej ścieżce teologii, którą wcale nie miał ochoty wędrować, za to aktorzy prezentowali unikalny punkt widzenia na wszystkie odwiedzane przez nich miejsca i statki, którymi podróżowali. Opowiadali mu o problemach ze znalezieniem na jakiejś planecie dźwiękowców, o harmonogramie festiwalu teatralnych i muzycznych na innej planecie... Goonar wszystko sobie notował.

Esmay była pewna, że nie wróci już do Floty, przynajmniej przez dłuższy czas, ale Goonar, widząc w niej dojście do Brun Meager i Floty, zaznajamiał ją z doktryną handlową Terakiana i Synów... na wypadek, gdyby miała okazję coś powiedzieć na ich temat. Wszystko to niemal pozwalało mu zapomnieć o fantazjach na temat siebie i Bethyi.

Esmay studiowała mizerne wiadomości zdobyte na stacji Zenebra. Martwił ją fakt, że było ich tak niewiele. Gdyby w ciągu ostatnich kilku tygodni stłumiono bunt, z pewnością znalazłoby się to w wiadomościach. Zamiast tego były dyskusje na temat wzrostu cen, niepokojów kupców i uspokajających zapewnień ze strony Floty. Bardzo chciała się dowiedzieć czegoś o Barinie, ale cywile nie mieli dostępu do baz danych personelu Floty. Czy w ogóle powiedzieliby jej, gdyby coś się stało? W końcu jest jego żoną... jeśli admirał Serrano nie doprowadziła do anulowania małżeństwa.

Baza Copper Mountain

Prom podskoczył i zatrząsł się, napotykając zimny front, a potem przeleciał przez niego, kierując się w stronę lądowiska. Barin próbował myśleć o czymś innym, ale za każdym razem, gdy zamykał oczy, widział mroczne pomieszczenie i światła lamp na mokrym metalu. Potem słyszał krzyk przerażonego Ghormleya i pojawiał się jaskrawy błysk. Każdy podskok promu przypominał mu o nagłych zmianach sztucznego ciężenia. I to przeraźliwie jasne światło...

Koła promu uderzyły o ziemię. Barin jęknął i spojrzał na pozostałych. Nikt nie patrzył na niego, wszyscy zdawali się pogrążeni w zamyśleniu. Miał nadzieję, że myślą o czymś przyjemniejszym niż on.

Sala recepcyjna Copper Mountain wyglądała dokładnie tak samo, jak za pierwszym razem, a nawet gorzej, bo teraz nie był studentem, który przyleciał tu na kurs. Teraz był ofiarą, załadowaną do ambulansu z trzema innymi, jakby byli kawałkami mięsa. Kimś, kto wciąż jeszcze może nie przeżyć,

któ nie powinien zajmować miejsca w ciasnym szpitaliku na pokładzie walczącego okrętu... Po drodze do szpitala widział przez okienko w tylnych drzwiach jedynie szare niebo, doskonale odpowiadające jego nastrojowi. Ale przynajmniej nie był to statek, na którym zmienia się ciężenie, wszystko się trzęsie, a powietrze ucieka w próżnię.

Pierwsze oględziny lekarskie nie poprawiły mu nastroju. Lekarze mamrotali coś i obmacywali części jego ciała, których nie mógł zobaczyć, a kilka razy usłyszał, że „to najlepsze, co mogli zrobić”.

– Przykro mi – powiedział w końcu jeden z nich – ale będziemy musieli połączyć chirurgię z techniką regeneracyjną. Jeszcze przez dłuższy czas nie wróci pan na służbę. – Mówił niemal radośnie. – Potem będzie pan potrzebował trochę rehabilitacji z powodu długiego unieruchomienia, ale powinien pan w pełni dojść do siebie.

Operacje i pobyt w zbiornikach regeneracyjnych zajęły ponad tydzień. Kiedy chirurdzy przyszli, aby pochwalić się efektami swojej pracy, Barin po raz pierwszy uświadomił sobie, jak bliski był śmierci. Obie nogi, obie ręce, miednica, dwa zmiążdżone kręgi, przebicie czaszki... i oparzenia.

– Ma pan szczęście, że żyje – powiedział jeden z nich. – Chirurdzy na pańskim statku świetnie się spisali, ale był pan unieruchomiony przez kilka miesięcy i stracił pan sporo masy mięśniowej. Tak więc naszym następnym zadaniem będzie uruchomienie pana, żeby mógł pan z powrotem nabrać mięśni.

Kilka tygodni później, gdy Barin był już w stanie przejść całą długość sali gimnastycznej bez przewracania się i utraty tchu, przydzielono go do lekkiej służby. Ucieszył się. Z dnia na dzień był coraz silniejszy i jego umysł potrzebował jakiegoś zajęcia.

* * *

Po otrzymaniu przydziału do grupy wspomagającej ekipę śledczą, która badała Wyspy Czubate, Barin udał się na poszukiwanie kaprała Gelana Meharry'ego.

Gelan Meharry niezbyt przypominał swoją starszą siostrę. Barin spotkał Methlin tylko raz, na statku Heris; wyglądała równie niebezpiecznie jak otaczająca ją legenda. Zastanawiał się, czemu nie usunęła z twarzy blizny, ale czuł, że nie powinien o to pytać. Gelan miał takie same zielone oczy, ale jego włosy były ciemniejsze i sprawiał wrażenie przygnębionego.

– Poruczniku – przywitał go Meharry i jego oczy rozbłysły. – Przepraszam, sir, ale... czy jest pan spokrewniony z komandor Heris Serrano?

– Owszem – potwierdził Barin. – Jest moją ciotką. A pan jest bratem Methlin Meharry. Na twarzy Meharry'ego odbiło się uczucie, które Barin doskonale rozumiał.

– Jej małym braciszkiem, jak zawsze powtarza...

– Znam to uczucie – stwierdził Barin. – Ale z tego, co słyszałem, wcale nie jest pan taki mały. Niemal stłumił pan bunt, zanim jeszcze się zaczął.

Teraz twarz kaprała jakby zastygła w cierpieniu.

– Dziękuję, sir, ale to niezupełnie tak wyglądało. Gdybym szybciej coś zrobił...

– A gdybym ja szybciej się domyślił, że doszło do przebicia przewodów gazowych, nie straciłbym dwóch ludzi z zespołu kontroli zniszczeń – powiedział Barin.

Meharry popatrzył na niego ze zdziwieniem.

– Przebicie kadłuba – wyjaśnił. – Pęknięcia w przedziałach w środowiskowym. Próbowaliśmy uratować komory hodowlane. Tak się martwiłem instalacją hydrauliczną, że nawet nie pomyślałem... – Potrząsnął głową, jakby nie mógł dalej mówić.

– To nie była pańska wina, sir – stwierdził Meharry. Nie można myśleć o wszystkim.

– Tak samo było w pańskim przypadku – powiedział Barin. – Założę się, że starał się pan jak najlepiej, prawda?

– Tak, sir. Ale nie potrafiłem znaleźć wyjścia...

– Czasami po prostu go nie ma. – Tak naprawdę w to nie wierzył, ale powtarzanie sobie tych słów pomagało mu przetrwać kolejne dni. – W każdym razie, kapralu, przyszedłem tu, ponieważ obaj zostaliśmy przydzieleni do grupy, która poleci do więzienia i placówki badawczej uzbrojenia, czy też tego, co z niej zostało. Najwyraźniej wierchuszka uznała, że jest już dość bezpiecznie, by mogli tam wysłać ekipę śledczą.

Meharry zacisnął mocniej szczęki.

– Ja... wcale nie chcę tam lecieć, poruczniku.

– Tak, domyślam się, że nie.

– Ale zrobimy to, co musimy – stwierdził Meharry. – Kiedy wylatujemy?

– Jutro. Mam nadzieję, że mi pan pomoże. Muszę wybrać trochę ludzi, a dopiero co wyszedłem ze szpitala i nie mam pojęcia, kto i w czym jest dobry. Grupa śledcza jest już skompletowana, to specjaliści. Jest też grupa cywilnych naukowców i techników. A ja mam za zadanie znaleźć specjalistów od szyflowania, komunikacji... ogólnie rzecz biorąc, od wsparcia. Pan siedzi tu od miesiący, może mi pan pomóc?

– Oczywiście, sir. – Meharry wziął gruby plik przyniesionych przez Barina teczek osobowych. – Ilu? I czy zapewniamy też wyżywienie?

– W ekipie śledczej jest pięć osób i około tuzina cywilów; powiedziano mi, że mogę wziąć tylu ludzi do pomocy, ilu tylko zechcę. Major powiedział, że im więcej ich stąd zabiorę, tym lepiej. Mam też zająć się wyżywieniem, a wszystko, co tu jadłem, to szpitalna dieta. – Barin powiedział to płaczliwym głosem i ucieszył się, widząc, że Meharry się uśmiecha.

– Zobaczmy... Ma pan na liście dobrego kucharza. I drugiego. Urzędnicy... Koniston zawsze jest życzliwy i nie wydaje przy pracy dziwnych odgłosów. – Widząc zdziwione spojrzenie Barina, Meharry wyjaśnił: – Andersson jest dobrym urzędnikiem, ale doprowadza mnie do szału, gdyż zawsze z jakiegoś powodu syczy albo cmoka. Koniston, Bunley, Mohash i... Zobaczmy, czy Simi... Nie. Cóż, w takim razie Purto. Czterech kancelistów powinno wystarczyć. Komunikacja... Powinniśmy poprosić chorążego Pardalt, sir.

– To ona zbudowała to coś, żeby przekazać wiadomość o buncie?

– Tak jest, sir. O ile dobrze pamiętam, była młodszym instruktorem historii, ale po tym przeniesli ją do komunikacji. Prawdopodobnie zna wszystkich techników.

– Znajdę ją – powiedział Barin. – Przypuszczam, że będziemy potrzebowali kilku techników.

– Sir, radziłbym czterech. Jeśli będziemy mieli ludzi na obu Wyspach Czubatych, przyda się nam w każdej grupie główny i zapasowy technik.

– Tak, oczywiście. Czy mógłby pan wybrać pozostałych potrzebnych nam ludzi i przygotować mi listę, gdy wrócę ze spotkania z chorążym Pardalt?

– Tak jest, sir. – Meharry umilkł na chwilę. – Sir, czy mam być w pańskiej grupie, czy ze śledczymi?

– Powiedzieli, że przydzielają pana do mnie, bo będzie pan mógł mi pomóc, gdybym miał jakieś pytania.

– Tak jest, sir.

Barin bez trudu znalazł budynek komunikacyjny, ale odnalezienie chorążego Pardalt zajęło trochę więcej czasu. Nie było jej w tymczasowym biurze ani nigdzie w głównej sterowni. W końcu jakiś szeryf powiedział, że prawdopodobnie siedzi w analizie danych. Te pomieszczenia mieściły się w piwnicy.

Kiedy wszedł, młoda kobieta pochylająca się nad stosem wydruków nawet nie podniosła wzroku, dzięki czemu mógł przyjrzeć się jej przez chwilę. Lśniące rude włosy, opadające na twarz, gdy pochylała się nad papierami i stukwała w podręczny komputer, brwi ściągnięte w głębokim skupieniu...

– Przepraszam. Szukam chorążego Pardalt – rzekł Barin. Podniosła wzrok i przez chwilę mrugała, po czym zaczerwieniła się i zerwała z miejsca.

– Sir... przepraszam. To ja.

– Jestem pepe Serrano – przedstawił się. – Przepraszam, że przeszkadzam, ale potrzebuję pani rady.

– Mojej rady? – Wyglądała niemal na przestraszoną.

– Tak. Mam zebrać grupę wsparcia na podróż na Wyspy Czubate i potrzebuję jakichś przyzwoitych techników komunikacyjnych. Kapral Meharry zasugerował, że pani może wiedzieć, kto z tej listy najlepiej nadawałby się do tego rodzaju misji. – Wyciągnął wydruk.

– No cóż, nie znam ich wszystkich – rzekła, ale zaczęła przeglądać listę nazwisk.

– Ilu? – zapytała.

– Czterech albo pięciu.

Podawała cztery nazwiska, podkreślając je stylusem.

– Dziękuję – powiedział Barin. – Czy mogę zapytać, co pani robi?

– Próbuję odkryć, kto wyłączył satelitę meteorologicznego, żeby nikt nie widział, jak promy szturmowe z *Bonar Tighe* przylatują na Wyspy Czubate – wyjaśniła. – Problem w tym, że MetSat IV zachowywał się nieprawidłowo już od kilku lat. Mogła to więc być przypadkowa awaria...

– Choć w bardzo dogodnej chwili. Wcześniejsze awarie mogły być przygotowaniem do tej ostatniej.

– Tak, ale nie potrafię tego dowieść lub wykluczyć.

To wyglądało na cholernie nudne zadanie.

– Nie przypuszczam, żeby miała pani ochotę polecieć z nami na matą wycieczkę?

Sprawiła wrażenie przestraszonej.

– Właściwie nie, sir, ale oczywiście jeśli mnie pan potrzebuje...

– Nie, wszystko w porządku. Cieszę się, że nie muszę wykonywać takiej pracy jak pani.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

OSK *Indefatigable*

Heris Serrano miała kilka dni spokoju, gdy Seabolt rozmyślał nad jakąś kolejną bzdurą, którą mógłby ją zamęczać. Jak na razie mieli szczęście. Nie zaatakowali ich buntownicy i nie wykryli śladów żadnego statku. Właśnie przygotowywała nowy harmonogram ćwiczeń, gdy dostała wiadomość z mostka.

– Kapitanie, zastanawiałem się... co robić w sytuacji, gdy ansibl emituje ostrzeżenie o nadesłaniu wiadomości, a potem nie nadaje żadnego komunikatu. – Pepek Hargrove, młodszy oficer komunikacyjny na tej wachcie, był człowiekiem, który nawet najprostszą rzecz zmieniał w Coś Poważnego.

– Co pan ma na myśli? – zapytała.

– Wie pani... – Heris skrzywiła się; wszyscy młodszy oficerowie przejęli od Seabolta zwyczaj rozpoczynania każdego wyjaśnienia od tych słów – że ansibl wysłał przed wiadomością identyfikator i sygnał wolnego kanału?

– Tak, a wysłana potem wiadomość będzie opóźniona o tyle czasu, ile potrzeba ansiblowi na przekazanie komunikatu gotowości do tego, kto wysłał komunikat, i na przesłanie właściwej transmisji.

– Tak więc spodziewaliśmy się, że między sygnałem inicjującym i samą wiadomością nastąpi opóźnienie do czterech godzin. Ale czekam już na komunikat prawie całą wachtę i nic nie przyszło. Komandor Denehy kazał zgłaszać wszystkie niezwykle transmisje, ale nie wiem, czy ta do takich należy.

– Ile dokładnie minęło czasu? – zapytała Heris.

– Sześć godzin i osiemnaście minut. Przypuszczam, że to mogło zostać nadane ze statku znajdującego się dalej niż trzy godziny świetlne od ansibla, ale większość ludzi nie próbuje go wywoływać, zanim nie znajdą się znacznie bliżej.

– Jaki identyfikator? I czemu sądzi pan, że to statek?

– Cóż, w tym systemie – Hargrove wyświetlił opis – nie ma zamieszkałych planet i żadnego stałego osiedla, choć na ekscentrycznej planetoidzie była kiedyś stacja badawcza. Przypuszczam, że to mogła być także ona.

– Możliwe. – Heris w zamyśleniu przyglądała się opisowi układu. – Jeden zmapowany punkt skokowy, ale klasy żółtej... z powodu tej planetoidy. Jak wyglądają jego parametry skokowe?

– Przykro mi, kapitanie, nie wiem. Znam tylko status komunikacyjny.

– Komandorze de Fries. – Starszy oficer nawigacyjny spojrział w kamerę. – Chcę dostać analizę skokową tych współrzędnych. – Heris przesłała je na jego ekran.

– Natychmiast, kapitanie.

Teraz powróciła do pepeka Hargrove'a.

– Czy ten ansibl dysponuje wstecznym skanem?

– Nie, kapitanie. W katalogu jest informacja, że to model jednokanałowy, do użytku stacji badawczej. Nie jest nawet szczególnie zabezpieczony, jego kod dostępu znajduje się we wszystkich aktualnych katalogach. Każdy mógł go uaktywnić... choć możliwe, że to po prostu jakaś awaria.

– Kapitanie – odezwał się de Fries.

– Tak?

– Analiza skokowa: ponieważ ten punkt nie jest uznany za stabilny, jedyna zmapowana lokacja jednoskokowa to CX-42-henry...

– To jeden z punktów skokowych do Copper Mountain – zauważyła Heris.

– Zgadza się, kapitanie. Copper Mountain to najbliższe wyjście z dwupunktowego skoku, z szacunkowym czasem lotu nadświetlnego siedmiu dni, a to w związku ze skrótem prowadzącym z CX-42-henry. Jest też notka o udanym skoku w pobliżu RG-773-alfa, ale to nie wystarczyło do zakwalifikowania do zmapowanych tras. W tym przypadku szacunkowy czas lotu wynosi dziewiętnaście dni. Niektórzy naukowcy uznali to za prostszą drogę do macierzystego układu w Sektorze Pięć.

– Pewnie tak – zgodziła się Heris. – Czy ma pan jakieś dane o tym układzie, które mogłyby nam powiedzieć, jak daleko planetoida jest od ansibla? Jak duże może być opóźnienie między sygnałem wywoławczym i właściwą wiadomością?

– Zajmę się tym, kapitanie.

Heris poczuła dreszczyk podniecenia. Co oprócz sygnału mogło ansibla uaktywnić? I dlaczego ktoś miałby wysłać sygnał, a potem nie przesłać wiadomości?

Bo ktoś go powstrzymał? Zmienił zdanie? Ktoś go powstrzymał.

– Może lojalna jednostka Floty – albo statek cywilny – znalazła się w tarapatkach z powodu buntowników i próbowała wysłać sygnał, ale została zniszczona, zanim to się jej udało – powiedziała cicho.

– Tak, ale mógł też jakiś kamień trafić w ansibla – zauważył de Fries.

– Musimy polecieć i to sprawdzić. – Była tego pewna jak dwa plus dwa.

– Jesteśmy na patrolu. Admirał powiedział, że mamy przechwytywać przelatujących buntowników, pilnować punktów skokowych... – Oczywiście takie samo podejście zaprezentuje Seabolt.

– Właśnie pilnuję punktu skokowego, w pobliżu którego doszło do podejrzanej aktywności.

– Nie wydaje mi się, żeby szwankujący ansibl można było nazwać podejrzaną aktywnością.

– Komandorze, czy ma pan pojęcie, jak odporne są te nadajniki? Jak rzadko zdarzają się ich awarie? A kiedy już do tego dochodzi, wysyłają strumienie śmieci, a nie włączają się bez powodu.

– Ale...

– To ja tu jestem kapitanem.. oraz komodorem. Oczywiście zamierzam poinformować dowództwo; tylko dureń pakuje się w coś takiego bez poinformowania innych. Zastanawiam się tylko, czy lecieć wszystkimi dostępnymi siłami, czy wysłać jedynie zwiadowcę.

– Zwiadowca byłby bezpieczniejszy – zasugerował Seabolt.

– Być może dla nas, ale przypuścimy, że w tamtym układzie siedzą buntownicy i ktoś próbował nam o tym powiedzieć. Zwiadowca mógłby ich tylko ostrzec, że wiemy o ich obecności. Tak samo gdybym wzięła tylko jeden okręt, co nie wystarczyłoby do pokonania ich, to byłoby gorsze niż gdybyśmy wcale tam nie poleciali.

– Wzięłaby pani wszystkie... całą... – Heris uznała, że Seabolt zachowuje się jak sierżant z zaopatrzenia.

– Nie dali mi tyłu statków, żebym siedziała tu jak jeden wielki cel. Potrzebuję wiązki kierunkowej do ansibla i bezpiecznego kodu do transmisji do dowództwa.

OSK *Bonar Tighe*, okręt flagowy buntowników

Cecelia przełknęła ślinę, by rozluźnić zaciśnięte gardło. Wiedziała, że to jest dobry plan, jedyny... ale czuła większe napięcie niż przed startem w ważnych zawodach. To gorsze od najeżdżania upartym koniem na olbrzymią przeszkodę.

Choć właściwie tak samo może zostać ramia, może zginać, ale woli raczej to niż żyć i nie podejmować żadnej próby.

Przemawiając stanowczo do buntującego się żołądka, wróciła do mycia latryny strażników. Miranda była tuż za nią ze szczotkami i butlami środka czyszczącego w sprayu. Nie patrząc, wymacała stopą wiadro. Przy następnym machnięciu mopem zatoczyła się i wywróciła wiadro.

– Niecee! – krzyknęła, odwracając się, żeby je złapać. – Nie chciałam... Przepraszam... – Korzystając z zamieszania, Miranda szybko chwyciła koniec mopa, a w tym czasie Cecelia schyliła się po wiadro i podniosła butelkę upuszczonego przez nią sprayu.

– Ty idiotko! – powiedział ze śmiechem strażnik. – Wiedziałem, że jesteś niezdarna, ale...

Końcówka mopa trafiła go w splot słoneczny; Miranda posłużyła się mopem równie pewnie, jak floretem. Strażnik osunął się z jękiem na podłogę. Gdy próbował odzyskać oddech, Cecelia prysnęła mu w twarz detergentem zawierającym amoniak... a potem rączką szczotki do mycia klozetów zmiażdżyła jego tchawicę. Słyszała, jak w tym czasie Miranda unieszkodliwia strażnika w budce. Następnie chwyciła wartownika za ramię i pociągnęła w stronę cel – potrzebowali odcisku jego palca do otwarcia zamków – Miranda zaś wsunęła do czytnika kartę drugiego strażnika i przytrzymując jego palec, otworzyła drzwi do aresztu.

– Szybko wam poszło – powiedziała z podziwem bosman Jones, gdy Cecelia wyłoniła się z za rogu, ciągnąc za sobą martwego strażnika.

– Kto nie ryzykuje, ten nie zyskuje – odpowiedziała. Przyciągnęła ciało do krat. – Pomóżcie mi go podnieść. Chyba musiał się najeść ołowiu. – Gdy wyciągnięte przez kraty ręce podniosły martwego buntownika, wsadziła jego palec do czytnika.

Bolce odskoczyły z głośnych stukotem i Cecelia otworzyła drzwi celi.

– Donaldson, ty i Kouras otwórzcie pozostałe cele. Tiraki i Dirac, pomóżcie Mirandzie. Zobaczcie, czy możecie ustawić blokady. Jeśli nie, będziemy musiały im obciąć palce. Przyślijcie Mirandę z powrotem, żeby pomogła Markham.

Cecelia z trudem przełknęła ślinę; sama myśl o odcinaniu palców przyprawiała ją o mdłości.

– Cecelio, zapoznaj ludzi z innych cel z przechowywanymi w tej sekcji chemikaliami.

Tymczasem z innych cel zaczęli się już ostrożnie wyłaniać więźniowie: zarośnięci mężczyźni i kobiety, którym zaczynały już odrastać włosy.

– Oto nasze zadanie – powiedziała bosman Jones. – Po pierwsze, musimy wysłać Flocie wiadomość o położeniu tego statku. Po drugie, musimy go unieruchomić przez wyjście w próżnię i zniszczenie kopuł skanerów, masztów komunikacyjnych i gniazd napędu nadświetlnego. Po trzecie, spróbujemy uciec. Potrzebujemy grupy ludzi do wyjścia w przestrzeń, grupy komunikacyjnej i trzeciej, która będzie odciągając uwagę buntowników, robiąc jak najwięcej hałasu. Ja mam

doświadczenie w pracach próżniowych, podobnie jak starszy mat Sifa. Kto jeszcze? – W odpowiedzi podniosło się kilka rąk.

– Dobrze, wezmę was wszystkich. Mamy już Tiraki, Dirac i Donaldson w grupie łączności. Są tu jeszcze jacyś starsi technicy? – Nikt się nie zgłosił. – Chcę, żeby poszło z nimi jeszcze dwóch, trzech mechaników. Dobrze, ty i ty. – Rozejrzała się wokół. – Reszta niech się podzieli na dwie grupy; jedna pójdzie z młodszym matem Kouras, druga z matem Hertung. Wprowadzą was w nasz plan już po drodze. Nie chcemy tu siedzieć i ziewać, aż zorientują się, że coś jest nie tak.

– A co z cywilami? – zapytał jeden z mężczyzn, patrząc na Cecelię i Mirandę.

– Gdyby nie one, nie wyszlibyśmy z za krat – powiedziała Jones. – One już wybrały, w których grupach chcą być. – Uśmiechnęła się do Cecelii. – Cecelia chce zobaczyć gwiazdy na zewnątrz, a Miranda będzie miała oko na Anseli w grupie odwracającej uwagę buntowników. – Urwała na chwilę, ale nikt już o nic nie pytał. – No dobra, ludzie, do roboty.

* * *

Areszt mieścił się na samym końcu koszarów i miał tylko jedno wyjście na resztę pokładu załogowego. Po drodze uciekinierzy opróżnili schowki z trzech butelek środka czyszczącego, dwóch mopów, dwóch szczotek i gąbek. Ktoś wsadził sobie do kieszeni buteleczkę ze środkiem do czyszczenia ubikacji. Mieli broń strażników, zabrany z budki strażniczej pojemnik z gazem do kontroli zamieszek, cztery maski gazowe i filtry. Dysponowali też małym zestawem naprawczym i sprzętem do kontroli uszkodzeń: młotami, łomami z jednym końcem zaostrzonym a drugim płaskim, tubami kleju i pistoletami wyglądającymi jak te używane przez robotników do uszczelniania okien. Mieli także sznury i kliny; Cecelia uznała, że wyglądają jak połączenie alpinistów z ekipą naprawczą.

O tej porze dnia cztery najbliższe sypialnie zawsze były puste. Cecelia i Miranda poszły na zwiady, niosąc jak zwykle mopy, wiadra i przybory do sprzątania, a dwóch ludzi udawało, że ich pilnuje. Dotarły do pierwszej ubikacji, i gdy się okazało, że korytarz jest pusty, wezwały gestem pozostałych.

Mężczyźni poświęcili kilka minut na ogolenie się, aby bardziej przypominać buntowników, jednak kobiety nic nie mogły zrobić ze swoimi włosami. Ale bosman Jones powiedziała, że z większej odległości można je wziąć za mężczyzn, przynajmniej niektóre z nich.

Mundury znaleźli w szafkach w sypialniach, wraz z innymi przydatnymi przedmiotami: osobistymi nożami, porcjami żywnościowymi, maskami gazowymi i kombinezonami próżniowymi. Miranda wyglądała w mundurze tak samo doskonale, jak w kosztownych jedwabiach. Cecelia, która sprawiała wrażenie nieco zmiętej, wpatrywała się ponuro w swoje odbicie w lustrze.

– Jak ty to robisz?

– Co?

– Że tak wyglądasz. Zaczarowujesz jakoś materiał, żeby się nie gniótł?

– Nie... nie wiem, po prostu tak jest.

Kiedy grupy się rozdzieliły, Cecelia szybko się pogubiła, pokonując kolejne zakręty, wspinając się i schodząc w dół nie oznakowanymi korytarzami. Z trudem dźwigała na ramieniu przydzieloną jej linę, a kilka tub kleju wciśniętych do kieszeni munduru nieustannie jej przeszkadzało. Skąd wiadomo, że idą we właściwą stronę? A jednak bosman Jones ani razu się nie zawahała, poruszając się szybko i w ciszy.

Dotarli do małego pomieszczenia, którego zewnętrzna ściana miała wyraźną krzywiznę. Kadłub? Cecelia zadrżała. Zgłosiła się do tego zadania na ochotnika, ale dopiero teraz uzmysłowiła sobie, co

właśnie ma zrobić. Tymczasem bosman Jones zaczęła przyklejać samoprzylepne łaty do sufitu i ścianek. Cecelia nie widziała w tym żadnego sensu, ale wołała nie pytać. Po umieszczeniu kolejnych dwóch łat Jones uśmiechnęła się do niej.

– Blokuję czujniki. Da nam to trochę więcej czasu. – Tymczasem jeden z mężczyzn otworzył już szafki ze strojami próżniowymi. Były to modele robocze, przeznaczone do długiej pracy w przestrzeni, których rozmiary oznaczono kolorami na lewym ramieniu. Jones szybko posortowała je według wielkości i kazała im się ubierać, zaczynając od najwyższych.

Cecelia była trzecia w kolejności. Wsadziła nogi w dolną część kombinezonu, a potem ktoś za jej plecami podniósł go, żeby mogła wsunąć ręce. Następnie bosman Jones sprawdziła dolne uszczelnienia, pomogła jej zabezpieczyć hełm i załadowała podwójne zbiorniki, wystarczające na cztery godziny pracy. Potem jeszcze przyczepiła do kombinezonu liny i klej i kazała jej poczekać, aż pozostali się ubiorą. Następnie przyszła kolej na uciążliwe przechodzenie pojedynczo przez służę.

* * *

Cecelia nie miała pojęcia, jak duży jest krążownik, dlatego jego widok z zewnątrz mocno ją zaskoczył. Jego matowoczarna powierzchnia wyglądała jak wycięta z kawałka kosmosu i sprawiała wrażenie, że jest wklęsłym, a nie wypukłym obiektem. Najgorsza była nagła utrata ciężenia; na zewnątrz sztuczne ciężenie nie działało. Na szczęście miała linkę zabezpieczającą przyczepioną do pierścienia tuż obok wjazdu. Tak jak jej powiedziano, szła za liną od jednego zaczepu do drugiego, aż nagle zobaczyła coś... coś błyszczącego.

Instrukcje bosman Jones były wyraźne: jeśli coś wystaje, ma to złamać, jeśli trafi na jakiś otwór, ma go zakleić. Tymczasem to była przejrzysta, spłaszczona kopułka, która wyglądała jak kolonia stokrotek pod szkłem. Właściwie to ani nie wystawało, ani nie nadawało się do zaklejenia. Coś stuknęło jąw ramię, aż podskoczyła. Jakaś postać bardzo powoli nachyliła się i zaczęła przyklejać do kadłuba obok kopułki samoprzylepne łaty, następnie stanęła na nich i zamachnęła się dużym młotkiem.

Cecelia nigdy dotąd nie interesowała się skutkami grawitacji, a już z pewnością nigdy nie zastanawiała się, co by się stało, gdyby ktoś wykonał w stanie nieważkości jakiś gwałtowny ruch. W chwili gdy postać obok niej roztrzaskała kopułkę, jej stopy oderwały się od łat samoprzylepnych i wystrzeliła w górę, zataczając szeroki łuk, a młotek poleciał w stronę Cecelii. Automatycznie wyciągnęła po niego rękę, aż wykręciło jej ramię. Potem postać odbiła się od kadłuba i okręciła w przeciwną stronę. Wreszcie jedna stopa przykleiła się do powierzchni kadłuba i dzikie harce ustały. Postać poklepała Cecelię po ramieniu, co uznała za podziękowanie, a potem bardzo ostrożnie przykleiła i zaczęła rozrywać pękniętą kopułkę, aby uzyskać dostęp do sensorów. Następnie przeszła do drugiej kopułki, pozostawiając Cecelii wyrwanie wszystkich sensorów. Przypominało to dziecięcą zabawę w zrywanie płatków słonecznika, by znaleźć odpowiedź na jakieś naiwne pytanie.

– Znajdą nas... nie znajdują... Zabiją nas... nie zabiją... – Ostatni wyrwany sensor wskazywał, że nie. Potem wyciągnęła tubę kleju i rozprowadziła go na końcach łodyżek, z których wyrastały sensory. Według bosman Jones powinno to bardzo utrudnić naprawę.

Cecelia była ciekawa, co by powiedziano w stoczni remontowej o zniszczeniach, których właśnie dokonywała, gdyby statek został kiedyś odnaleziony. Ona, płatnik podatków, marnuje właśnie mnóstwo państwowych pieniędzy. W końcu jednak uznała, że w tej chwili nie warto się tym przejmować, a jeśli przeżyją, z radością zapłaci za naprawienie tych wszystkich uszkodzeń.

Rozejrzała się wokół i zauważyła w niewielkiej odległości wystający z kadłuba metalowy pręt.

Ruszyła w tę stronę, ale zatrzymała ją zbyt krótka linka. Pamiętając o osobie, którą wcześniej uratowała, zamiast się odpiąć, dopięła drugą linkę i ostrożnie dotarła do pręta. Teraz wydawał się krótszy, a w chwili, gdy mu się przyglądała, zsunął się jeszcze niżej, do wysokości jej kolan. Walnęła w niego tubą kleju... ale to nic nie pomogło. Wycisnęła więc sporą ilość kleju na kadłub wokół podstawy pręta, a kiedy znieruchomiał, dołożyła jeszcze sporą kulkę na czubku.

Kiedy nastąpił atak na dok promów, Cecelia nie brała w nim udziału; bosman Jones kazała jej leżeć płasko za krzywizną kadłuba i obserwować obniżający się w miarę upływu czasu poziom powietrza.

Tymczasem zewnętrzna grupa otoczyła wrota doku promowego, mając nadzieję, że buntownicy wyjdą, by ratować resztę węzłów nadświetlnych przed zniszczeniem, a wtedy będą mogli ich rozbroić i ukraść jakiś prom. Jones obiecała Cecelii, że ją zabierze zaraz po zakończeniu całej akcji, ale Cecelii wydawało się to dość ryzykowne; czuła, że prawdopodobnie za kilka godzin jej długie życie dobiegnie końca.

Tak bardzo chciałyby wiedzieć, czy Ronnie i Raffa dobrze sobie radzą, co planuje Brun, czy Miranda zapewni bezpieczeństwo tej dziewczynie, Anseli... ale obawiała się, że umrze i nie dowie się tego wszystkiego. Ale przynajmniej inni mają szansę, i to dzięki niej. Pozwoliła sobie na chwilę rozważań nad ironią losu, że oto ktoś powszechnie cieszący się opinią egoisty pozwalał sobą pomiatać przez tyle tygodni tylko po to, żeby móc wyciągnąć innych z więzienia.

Leżała, próbując się odprężyć i oszczędzać tlen, tak jak zalecała bosman Jones, i niemal już usnęła w spokojnej, ciemnej ciszy, kiedy zaalarmowały ją delikatne wibracje kadłuba. Już po wszystkim? Czy wyciągnęli już prom i ktoś po nią idzie?

Otworzyła oczy i zobaczyła na tle gwiazd sunące w jej stronę ciemne postacie. Dziwne. Zbliżały się z niewłaściwej strony. Leżała bez ruchu, odtwarzając w myślach drogę do tego miejsca. Tak, tam jest najkrótsza droga do wrót komory promowej, a tędy idzie się po obwodzie statku... ale stamtąd nikt nie powinien nadchodzić. Wszystkie inne włazy osobowe zostały przecież zaklejone, prawda?

Sylwetki powiększyły się i zmieniły kształt, i gdy w końcu znalazły się blisko niej, okazało się, że to uzbrojeni – w prawdziwą broń – buntownicy, którzy chcą zająć od tyłu jej przyjaciół.

Bez chwili namysłu napełniła pistolet klejem i starannie wycelowała w jedną postać, potem w następną. Stopy idącego przodem przykleiły się do kadłuba statku, tak że mężczyzna stracił równowagę. Drugiego złapała za ramię, gdy przechodził obok niej.

* * *

Tymczasem Miranda przyglądała się Anseli z satysfakcją przytłumioną świadomością, że za kilka godzin i tak prawdopodobnie obie zginą. Udało jej się pomóc dziewczynie, wyciągnąć ją ze stanu apatii, przerażenia i poddania się, który był gorszy nawet od śmierci... Była szczęśliwa, że mogła dla niej zrobić to, czego nie zrobiła dla Brun, i w pełni świadoma, że jest to rodzaj rekompensaty, co jednak nie czyniło jej wysiłków mniej realnymi czy mniej cennymi.

Dziewczyna w niczym jednak nie przypominała Brun. Teraz, gdy Miranda była zbyt daleko, by córkę przeprosić, rozumiała, że drobne uciążliwości codziennego życia z młodym geniuszem przesłoniły jej obraz prawdziwej Brun, i dopiero Anseli, tak bardzo od niej różna, pozwoliła jej przejrzeć na oczy.

Brun miała niewyczerpany zapas energii, witalności... a Anseli potrzebowała energii innych. Umysł Brun pędził, szalał i błyszczał tysiącem genialnych pomysłów – w większości niepraktycznych, głupich lub niebezpiecznych – ale ten gejzer potrafił inspirować i bawić innych

ludzi.

Anseli właściwie nie była głupia, ale tak kurczowo trzymała się przepisów, że Miranda wręcz musiała ją przekonywać, iż w ich ucieczce nie ma niczego złego. Dziewczyna nie brała udziału w przygotowaniach aż do chwili, gdy jeden z podoficerów przypomniał jej, że przepisy nakazują podjęcie próby ucieczki z rąk nieprzyjaciela, i wyjaśnił jej, krok po kroku, dlaczego buntownicy są ich wrogami.

Miranda żałowała tych wszystkich chwil, kiedy chciała, by Brun była bardziej przyziemna i praktyczna, i obiecywała sobie, że kiedy wróci do domu – jeśli wróci – weźmie swoją dziką i niepokorną córkę w ramiona i przyzna, że od samego początku się myliła. Jak kiedykolwiek mogła być tak głupia, by myśleć, że Brun można narzucić takie same ograniczenia, które odpowiadały Anseli? Czemu nie uświadomiła sobie, w czym kryje się geniusz Brun... i że to geniusz, a nie aberracja?

I czemu przez te wszystkie dziesięciolecia ignorowała własny geniusz... udając spokojną, miłą Mirandę, piękną żonę i towarzyszkę, nie przyznając się nawet przed samą sobą, że odziedziczyła po własnej rodzinie dziką naturę, skłoną do nagłych eksplozji energii?

Teraz Brun będzie mogła spokojnie kierować własnym życiem. Przynajmniej tyle się udało. Zerknęła na spiętą i zatroskaną twarz Anseli i westchnęła. I ją też uratuje, jeśli tylko będzie mogła. Biedactwo. Nawet gdyby była wolna i rozpieszczana, nigdy nie stałaby się nawet w części tym, kim jest Brun... Pozwoliła sobie na chwilę matczynej durny i wspomnienie twarzy wszystkich dzieci. Być może to ostatnia okazja, by komuś matkować, a Anseli zasługuje na jej serdeczność i wsparcie.

Grupa mająca za zadanie odwrócenie uwagi buntowników kierowała się w stronę silników. Miranda nie miała pojęcia, co mogą zrobić, jeśli uda im się tam dotrzeć. Nie wiedziała nawet, jak wyglądają silniki napędu nadświetlnego czy układowe. Szła po prostu razem z innymi, mając za sobą tylną straż. Okazało się, że załoga – nawet Anseli – wie, jak unieszkodliwić świetlne i dźwiękowe alarmy; wszędzie zostawiali za sobą potłuczone szkło, rozbite szafki, zniszczone schowki i porozbijane światła. Dwukrotnie ich zaatakowano, ale zakleili za sobą drzwi i ścigający ich musieli zrezygnować z pogoni.

Teraz znajdowali się w jakimś korytarzu technicznym. W miejscu, gdzie korytarz łączył się z innym, jeden z członków grupy otworzył właz w suficie i ściągnął z góry drabinkę.

– Dokąd idziemy? – zapytała Miranda.

– Rufowe ogniwo komunikacyjne – wyjaśniła mat Kouras. – To kolejna rzecz, której mogliby użyć do uruchomienia komunikacji, gdybyśmy zostawili je w nie naruszonym stanie. Szeryfie, proszę mi podać narzędzia. – Anseli podała zestaw. Kouras poprowadziła ich po drabinie do ciasnego, mrocznego pomieszczenia, a kiedy już upchnęli się w środku, włączyła reflektor na głowie. – Mirando, zaklej wyjście. – Miranda i Anseli wciągnęły drabinkę, zamknęły włazi zalepiły jego brzegi pistoletem klejowym.

Potem na rozkaz Kouras zaczęły wyrywać ze ścian przewody i kable.

– Część z tego pewnie służy też do nawigacji – stwierdziła Kouras – ale nie szkodzi, wyrwijcie wszystko. – Kilka minut później poprowadziła ich między jakimiś długimi cylindrycznymi przedmiotami do kolejnej składanej drabiny. Ale kiedy próbowała otworzyć właz, nawet się nie poruszył.

– Zamknięty? – zapytał jeden z mężczyzn.

– Nie. – Kouras skierowała latarkę na szczelinę między włazem i pokładem, gdzie wciąż

błyszczały krople żółtego kleju. – Stosują nasze sztuczki.

– Mamy rozpuszczalnik – przypomniał jej ktoś.

– Jasne. I w ten sposób możemy wejść prosto w pułapkę. Dajcie mi pomysłu.

Miranda usiadła, opierając się o jeden z długich przedmiotów. Mimo odmłodzenia bolały ją plecy od czołgania się i garbienia; chętnie by się też przespalała. Nagle Kouras poderwała się.

– Otworzyli dok promów! Chodźmy! – Miranda zaczęła się zastanawiać, czy buntownicy wiedzą, że uciekinierzy będą próbowali dostać się do promów, a jeśli tak, to w którym miejscu mogą próbować odciąć im drogę. Wciąż nie знаła wystarczająco dobrze rozkładu statku, by móc to przewidzieć, ale miała nadzieję, że Kouras i pozostali wzięli to pod uwagę. W każdym razie ich trasa wydawała się mocno skomplikowana. Wejście przez właz, wyjście z innego, w górę między pokładami, potem znowu w dół... Kompletnie się pogubiła, i wcale nie byłaby zaskoczona, gdyby za chwilę znalazła się z powrotem w swojej celi.

Jednak w końcu zobaczyła na ścianie napis ŚLUZY DOKU PROMOWEGO. ZACHOWAĆ OSTROŻNOŚĆ, a nad nim rząd czerwonych światełek statusu. Po obu stronach znajdowały się śluzy osobowe, jedna oznaczona zielonym światłem, druga czerwonym.

Potem zobaczyła ciała, leżące jak sterta starych ubrań przygotowanych do prania... tylko że było tu też pełno krwi, jasnej jak krew Pedara. A potem w drugim końcu pomieszczenia ujrzała mężczyzn i kobiety w mundurach i z bronią. Czyżby to była Hartung?

– Pospieszcie się, musimy założyć kombinezony! – Rzeczywiście to była Hartung. Serce Mirandy uspokoiło się.

– Perymetr?

– Na razie trzymamy. Pospieszcie się!

Kombinezony przechowywano w szafkach wewnątrz doku promowego. Troje ludzi Hartung ubrało się w kombinezony, które pozostały na zewnątrz, i przeszło przez śluzę, żeby przynieść pozostałe. Czerwone światło na jednej ze śluz zmieniło się na zielone, właz otworzył się i wytoczyły się z niego cztery kombinezony – w jednej śluzie osobowej mogły się zmieścić tylko cztery masywne kombinezony – które naciągnęli na siebie w pośpiechu ludzie stojący najbliżej śluzy. Zaraz potem zniknęli w środku, a druga śluza wyrzuciła kolejne cztery stroje.

– Weź je – powiedziała Kouras. – Ja jestem starsza.

– Powodzenia – rzekła Hartung, wciskając się w kombinezon. – Vallance, zakładaj kombinezon – rozkazała i wysłała czworo ludzi do śluzy, a kolejną czwórkę ustawiła przed włazem, aby czekali na następne kombinezony.

– Idzie grupa komunikacyjna! – krzyknął ktoś z lewego korytarza.

– Zróbcie dla nich przejście.

Ale nadeszło tylko dwoje, dźwigając trzeciego, który okazał się już martwy. Tymczasem pierwsza czwórka Kouras już się ubrała i przeszła przez właz, a zaraz potem znów otworzyła się pierwsza śluza. Mat wsadziła ekipę komunikacyjną w kombinezony, a potem, gdy odwróciła się, by wskazać następnych, usłyszeli z korytarza wrzaski.

– Zbyt wielu! Perymetr poszedł!

Zachowując spokój, kiwnęła na dwóch ludzi, którzy już wcześniej zgłosili chęć bycia przednią strażą.

– Dajcie nam tyle czasu, ile możecie, i dzięki.

Tak więc została tylko ona, Anseli i Miranda.

– Wy idźcie – powiedziała. – Ja zostaję.

– Nie – zaprotestowała Miranda. – Ja zostaję.

Kouras skrzywiła się.

– Nie mam czasu kłócić się z durnym cywilem. Pakuj się do tego kombinezonu.

– Wyciągnęłam was... Zasłużyłam na to. Wiesz, że potrafię zabijać... – Wyrwała Kouras broń i pchnęła ją w stronę kombinezonów. – Zaopiekuj się tym dzieckiem.

– Miranda... – Tym razem była to Anseli. Miranda rzuciła jej spojrzenie, które, jak miała nadzieję, przypominało spojrzenie podoficera.

– Róbcie, co wam mówię, szeryfie.

Miała broń, miała cel... Miała szansę stać się kimś, kim nigdy dotąd nie była. Leżąc na pokładzie i czekając na przeciwnika, czuła się szczęśliwa. Była bardzo blisko swoich dzieci i miłości swojego życia...

* * *

Szczyście Ceceli skończyło się, zanim unieszkodliwiła cały patrol. Jej kombinezon został przebity pociskiem, i choć automatyczny system zaraz uszczelnił przebicie, strzał kolejnego buntownika spowodował owinięcie jej ciała taśmą unieruchamiającą. Potem, sądząc po przyprawiających ją o mdłości ruchach, podczas ataku na lojalistów w komorze promowej wykorzystano ją w charakterze osłony.

Trwało to w nieskończoność; z trudem powstrzymywała się od zwymiotowania do skafandra. Wreszcie wszystko ustało.

* * *

Kiedy się obudziła, ktoś krzyczał do niej z wielkiej odległości.

– SŁYSZYSZ MNIE?!

– Słyszę – odpowiedziała.

– Obudziła się – powiedział ktoś ciszej. – Ściągnijcie z jej kombinezonu resztę tego świństwa.

– Jakiego świństwa? – zapytała Cecelia, a potem zaczęła sobie wszystko przypominać. Wyjście z lotu nadświetlnego, schwytanie, statek buntowników, próbę ucieczki... – Mam nadzieję, że jesteście z mojej ekipy – powiedziała i ktoś zachichotał.

– Cóż, chyba tak. – Była to bosman Jones. – Jesteśmy na promie szturmowym poza statkiem... ale mamy mały problem.

– Tak? Z Mirandą wszystko w porządku?

Cisza trwała odrobinę za długo, a potem znów usłyszała głos Jones.

– Nie. Zabrakło jednego kombinezonu...

– I wypchnęła Anseli, prawda? – W miarę, jak ktoś usuwał z jej hełmu nieprzezroczystą taśmę, na wizjerze zaczęła się pojawiać plama światła.

– Tak. I kazała iść Kouras, a ona posłuchała.

– Dobra decyzja – stwierdziła Cecelia. – Możecie mnie z tego wyciągnąć?

– Jak tylko zdejmemy taśmę.

Wreszcie Cecelia uwolniła się z kombinezonu; czuła się tak spocona i brudna, jakby właśnie

ukończyła poważny wyścig. Wnętrze promu szturmowego wyglądało mrocznie i nieciekawie. Długie, puste pomieszczenie ze stelażami na broń, kombinezony i jakiś nie znany jej sprzęt.

Kilku uciekinierów było rannych; leżeli na kombinezonach, a inni zajmowali się ich ranami. Bosman Jones zaprowadziła Cecelię na przód promu.

– Nasz problem, sera, polega na tym, że nikt z nas nie ma kwalifikacji do pilotowania czegoś takiego. Ani żadnego innego statku. Mamy sierżanta, który przed wstąpieniem do Floty miał licencję na promy orbitalne, ale nie zaliczył testów Floty i nigdy nie latał czymś takim. Wyciągnął nas za drzwi, ale nie zna systemów nawigacyjnych i nie ma pojęcia, co dalej robić. Pani ma kwalifikacje, prawda?

– Na taki statek jak mój. Co do tego... – Cecelia rozejrzała się i stłumiła cisnące się jej na usta słowa, że powinni byli ją zapytać, co potrafi pilotować, zanim wybrali statek. – Przypuszczam, że wzięliście ten najbliższy wlot – powiedziała w końcu.

– Tak. Tam była automatyczna wyrzutnia, a ten prom na niej siedział. Miałam nadzieję...

– Że w jakiś sposób zdobyłam doświadczenie w pilotowaniu promów szturmowych Floty. Cóż, chyba mogę spróbować.

– Na pewno nie była pani nigdy w armii? – Na końcu zdania zawisło nie wypowiedziane „sir”. Cecelia wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Nie. Ale nic nam nie przyjdzie z tego, że usiądę na pokładzie i zacznę jęczeć, prawda?

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

OSK *Indefatigable*

Pomimo dręczącego Heris niepokoju, prowadziła swoją flotyllę przez pośrednie punkty skokowe z zachowaniem wszystkich środków ostrożności, przez cały czas sprawdzając aktywność ansibla. Ale nie odebrała niczego więcej z CX-42-h, a jedyny komunikat z dowództwa brzmiał „Zachować ostrożność”. Heris najchętniej wleciałaby do CX-42-h wejściem pozaosiowym, ale niepewny ruch planetoidy sprawiał, że było to zbyt ryzykowne. Tak więc nakazała wejście podręcznikowe, mając nadzieję, że buntownicy – jeśli tam są – nie mieli czasu zaminować korytarza.

W takich sytuacjach jak ta, gdy rozmyty obraz wejścia pozbawiał ich widoczności w chwili, gdy byli najbardziej narażeni na atak, bardzo brakowało jej Koutsoudasa. Ale skan wreszcie się oczyścił – trwało to tylko kilka minut – i na ekranie nawigacyjnym pojawił się obraz zgodny z mapami, z wyjątkiem tego, że planetoida znajdowała się trochę w bok od miejsca, gdzie powinna być.

– Statki? – zapytała.

– Jeden... rozmiarów krążownika. Jeszcze nie mamy identyfikacji.

– Buntownicy mogli wyłączyć nadajniki identyfikacyjne. – W ostatnim przekazie ansiblowym dostarczono jej położenie wszystkich krążowników Floty, a więc to nie był jeden z nich. – Jaki ma kurs?

– Zerowe przyspieszenie względem układu, kapitanie. – Głos brzmiał niepewnie. – Silniki wydają się wyłączone. Może liczą na to, że ich nie wykryjemy.

– Uzbrojenie?

– Nic aktywnego, kapitanie.

– Czy to jedyny pojazd w układzie?

– Jedyny tych rozmiarów. Program poszukiwawczy jest wciąż aktywny.

Indefatigable kontynuował więc lot w towarzystwie jednostek pomocniczych.

– Kapitanie, mam wstępną identyfikację.

– Słucham.

– Jest oparta tylko na danych o masie...

– Słucham!

– Cóż, jest tej samej klasy, co *Bonar Tighe*. Musimy podlecieć znacznie bliżej, zanim uzyskam pewność.

– Nasz nadajnik wciąż transmituje, prawda?

– Tak jest, sir.

– A więc jeśli nie wszyscy są tam martwi, wiedzą o naszej obecności i kim jesteśmy.

– Jeśli ich skanery działają...

– Dlaczego miałyby nie działać? Chce pan ryzykować życie, zakładając, że z jakiegoś powodu mają wyłączony pasywny skan? Ja nie. Kiedy znajdziemy się w odległości wiązki kierunkowej, bosmanie?

– Za czterdzieści minut, kapitanie. Oczywiście wciąż jeszcze będzie opóźnienie transmisji.

– Nic nie szkodzi. – Heris rozważała sytuację. Jeśli zniszczy statek bez wcześniejszego

wywołania go – na co miała wielką ochotę – będzie musiała zbierać szczątki na dowód, że to był okręt buntowników, bo inaczej znajdzie się w jeszcze gorszych tarapatach. Przynajmniej oficjalnie. Jeśli wywoła ich wiązką kierunkową...

– Kapitanie! Przekaz ansiblowy!

Tutaj? Coś się dzieje w Kwaterze Głównej?

– Co tam?

– To z tutejszego ansibla. To... O Boże!

– Wiadomość, proszę.

– Przepraszam, kapitanie. Ma być transmitowana do wszystkich jednostek Floty i powtarzana co dwie godziny. „Niebezpieczeństwo Niebieski, Niebezpieczeństwo Niebieski. Flota buntowników w tym położeniu 23/4 – to dzisiaj, kapitanie – składająca się między innymi z *Bonar Tighe*, *Wingate'a*, *Metai*, *Saracena* i *Endeavora*. Spróbować uszkodzić okręt flagowy buntowników, wykonać kod zero. Powtarzam, wykonać kod zero.”

Heris wypuściła długo wstrzymywane powietrze.

– Uzbrojenie – powiedziała.

– Namierzyć ten okręt.

– Wciąż jesteśmy za daleko – powiedział oficer uzbrojenia.

– Wiem, ale mamy pilną sytuację. Zrobimy mikroskop bliżej. Znaleźliście w systemie jeszcze jakieś statki?

– Mogą jakieś być, ale nie tak duże jak te wymienione. Jest tu jeszcze coś... naprawdę małego, wielkości mniej więcej promu szturmowego.

Buntownicy uciekający z uszkodzonego krążownika czy lojaliści, którzy zdołali uciec buntownikom? W każdym razie lepiej go nie niszczyć.

– Uzbrojenie, chcemy zniszczyć krążownik, ale nie ten prom. Skąd będzie najlepiej? Nawigacja, kierujcie się w tamtą stronę i przygotujcie się do mikroskoku.

Podczas gdy przeprowadzano obliczenia, Heris połączyła się z kapitanami innych statków i wysłała ich na przeszukiwanie układu.

– Mamy, kapitanie. – Oficerowie uzbrojenia i nawigacji przedstawili jej kurs.

– Wykonać – rozkazała Heris. – Chcę namierzenia natychmiast po wyjściu ze skoku, a zaraz potem ognia.

Ułamek sekundy później ekrany rozmyły się, a potem znów oczyściły, gdy wykonali mikroskop. Na ekranie widać było nagi owoid krążownika, nie wykazujący żadnej aktywności w uzbrojeniu, silnikach i aktywnym skanie. Z tej odległości byli już w stanie go zidentyfikować; to *Bonar Tighe*, ostatnio widziany na Copper Mountain.

Prom Szturmowy Dwa

Prom szturmowy był znacznie większy od tego, którym startowała z powierzchni Xaviera, ale kiedy znalazła się w kokpicie, okazało się, że wygląda bardzo podobnie. Sierżant usiadł po prawej stronie i popatrzył na nią z nadzieją, gdy przeszła obok konsoli pełnej nie znanych mu gałek i zajęła miejsce pilota.

– Potrafisz tym sterować, sera?

– Jeszcze nie wiem. Nigdy nie latałam na czymś tak wielkim. – W pierwszej chwili ekrany, przyciski, kontrolki i przełączniki wyglądały jak rozmyta mozaika. Kiedy jednak przyjrzała się każdemu z nich po kolei, rozpoznała wskaźnik szybkości wznoszenia, a zaraz obok, dokładnie tam, gdzie powinien być, sztuczny horyzont. – Mamy aktywny napęd?

– Tak, sera, tylko pięć procent. Nie odważyłem się lecieć szybciej.

Procent mocy, procent pozostałego paliwa, czas lotu przy aktualnym zużyciu... Wszystko to w odpowiednich miejscach, co znaczy, że tutaj powinny się znajdować wskaźniki pokładowego źródła zasilania, a tam sterowanie i kontrolki sztucznego ciężenia. Obok było coś, co wyglądało na ekran skanera, ale było wyłączone. – Próbował pan skanu?

– Nie, sera, nie znam się na skanie.

A więc lecieli na oślep.

– Mamy ekspertów od skanu – zwróciła się do bosman Jones. – Proszę tu kogoś przysłać, żeby zajął się skanem, kiedy ja będę się zajmować resztą. – Znalazła sterowanie położeniem, a potem główny system nawigacyjny. Był wyłączony. Uaktywniła go i pojawił się ekran pokazujący mniej więcej te same informacje, co na jej statku. Tutaj jest masa gwiazdy układowej... i etykieta z jej numerem katalogowym. Potem kolejna masa, i następna, każda z odpowiednim opisem.

– Hej, potrzebujesz pomocy przy skanie? – odezwała się z za jej pleców Dusty Dirac.

– Musimy wiedzieć, kto jeszcze jest w tym układzie – powiedziała Cecelia. – A ja mam dość roboty ze sterowaniem.

– Jasne. Potrzebujesz w tej chwili Pete'a czy mogę zająć jego miejsce?

Cecelia zerknęła na drugiego pilota.

– Można?

– Oczywiście. To mnie przerasta. – Szybko wyplątał się ze swojego fotela.

– Niech pan przy okazji zobaczy, czy nie ma tu gdzieś jakiejś instrukcji – poprosiła Cecelia. Heris w końcu zdołała ją przekonać, że instrukcje i podręczniki są bardzo przydatne; miała nadzieję, że reszta wojskowych podziela zwyczaj Heris wciskania podręczników blisko miejsc, gdzie mogą być potrzebne.

Dusty wsunęła się na miejsce drugiego pilota i zaczęła uruchamiać systemy.

– O cholera – powiedziała po chwili.

– Co się stało? – Do kokpitu zajrzała bosman Jones.

– Coś dużego wskoczyło właśnie do systemu.

– Ciekawe, po której są stronie.

– Dopiero co wysłaliśmy wiadomość. To zapewne ich ludzie wracają na miejsce spotkania.

Cecelia tymczasem próbowała zlokalizować wszystkie układy, które знаła ze swojego statku. Niestety, ten pojazd nie miał czegoś, na co bardzo liczyła – brak mu było napędu nadświatelnego – za to wielu innych kontrolki nigdy wcześniej nie widziała. Jako że był przeznaczony w zasadzie do lotów orbitalno–planetarnych, zapasy paliwa też były znacznie mniejsze niż myślała. Nie mają szans opuścić tego układu czymś takim.

– Jak daleko jesteśmy od statku, z którego wylecieliśmy? – zapytała.

– Jakies dziesięć kilometrów. Dlaczego pytasz?

– A jak daleko powinniśmy być, żeby nic nam nie groziło w razie wybuchu?

– Wybuchu? Czemu miałby wybuchnąć?

– Jeśli nadlecieli ich sojusznicy, a oni im nie odpowiedzą – a nie mogą, bo pozbawiliśmy ich takiej możliwości – na wszelki wypadek prawdopodobnie ich ostrzelają, prawda?

Jones popatrzyła na nią i pokręciła głową.

– Cecelio, nie przestajesz mnie zadziwiać. Pomyślmy... Ostrzeliwany krążownik, nie odpowiadający ogniem, z wyłączonymi tarczami... Promień eksplozji miałby... Musimy się znaleźć znacznie dalej.

– Ich skanery wciąż będą rozmyte przez turbulencje związane z wyjściem ze skoku – powiedziała Dusty. – Jeśli teraz się ruszymy, mogą nas nie zauważyć.

– Powiedźcie wszystkim, żeby się trzymali – rzekła Cecelia – na wypadek, gdyby ze sztucznym ciężeniem stało się coś, czego nie będę umiała naprawić. Zamierzam wlecieć w układ – Zmieniła ustawienie statku, a potem przesunęła dźwignię, która powinna sterować przyspieszeniem. Delta zaczęła gwałtownie rosnać.

– Lecimy, i to szybko – oznajmiła Dusty.

* * *

– To *Indefatigable* – rzekła Dusty.

– Czy to lojaliści, czy buntownicy?

– Właśnie zniszczyli *Bonar Tighe*. Powiedziałabym, że to lojaliści.

– To mogła być pomyłka – zauważyła Jones. – Albo mogą myśleć tak jak ty, Cecelio.

– Ktokolwiek to jest, mają skanery, na których nas zauważą, prawda? – Cóż, może...
Wybuchający statek powoduje mnóstwo szumów. Jeśli ich wywołamy...

– Ale jeżeli to niewłaściwy statek, będziemy mieli jeszcze gorsze kłopoty.

– Możemy przynajmniej posłuchać – stwierdziła Cecelia. Dusty włączyła odbiorniki automatyczne tunery.

– Prom, przedstaw się albo otworzymy do was ogień.

– Nie strzelajcie! – odpowiedziała szybko Dusty. – Kim jesteście?

– OSK *Indefatigable*, pod dowództwem Serrano. Wyłączcie uzbrojenie.

– Uzbrojenie? Jakie uzbrojenie? – zapytała Cecelia. – Czy my mamy jakąś broń?

– Promy szturmowe mają, ale nico niej nie wiem. Może to te przełączniki...

– Nie dotykaj tego! – krzyknęła bosman Jones. – Powiedz im o naszym problemie.

– Nie mamy na pokładzie prawdziwego pilota – powiedziała Dusty. – Nie wiemy, do czego służą poszczególne przełączniki

– A kogo tam macie?

– No cóż, cywila z licencją orbitalną na małe jednostki. Użyliśmy automatycznej wyrzutni do wydostania się ze statku.

– Zostańcie tam, gdzie jesteście... i niczego nie ruszajcie. Zrównamy kurs.

Cecelia odsunęła się od sterów i głęboko odetchnęła. A więc uciekli buntownikom, uniknęli losu zniszczonego statku, na którym więziono ich przez tyle dni, i wciąż żyją. Miranda... Nie chciała, by inni wiedzieli, jakim wyzwoleniem była dla Mirandy śmierć.

Dopasowanie kursu *Indefatigable*, a następnie dostanie się na pokład jednego z pilotów promowych, który wprowadził prom do komory dokowej krążownika, zajęło wiele godzin. Wreszcie mogli przejść pojedynczo przez śluzy do wnętrza okrętu.

Pierwszą osobą, którą zobaczyła brudna i wymięta Cecelia po przejściu przez właz, była przysadzista, śniada kobieta, którą знаła chyba lepiej niż kogokolwiek innego... Heris Serrano.

– Mogłam się domyślić – powiedziała Heris i kąciki jej ust drgnęły. – Co?

– Ty... oczywiście.

Bosman Jones patrzyła to na jedną, to na drugą, pełna podejrzliwości. Heris szybko przeniosła na nią spojrzenie.

– Bosman Jones? Komandor Serrano. Witam na pokładzie. Rozumiem, że jest pani najstarsza stopniem?

– Najstarsza z ocalałych, sir. Starszy bosman Bigalow miał starszy stopień, ale zginął w czasie ucieczki.

– Zaprowadzimy waszych rannych do szpitala i damy wam wszystkim coś do jedzenia, a potem będę chciała wysłuchać całej historii.

* * *

Biuro kapitana, w którym Heris przyjęła Cecelię, ani trochę nie wyglądało tak, jak sobie wyobrażała. Jasne sztuczne drewno, zdjęcia przedstawiające pustynię i sad owocowy...

– Tak naprawdę to nie jest mój okręt, odziedziczyłam go w trakcie buntu. To biuro urządził poprzedni kapitan.

– A kto ma twój statek? – zapytała Cecelia.

– Nie wiem. Nie miałam czasu się dowiedzieć. Wiesz, trwa wojna.

– Wiem. – Cecelia masowała obolałe ramię. – Brałam w niej udział.

– Co ty właściwie robiłaś na statku buntowników i jak dostałaś się na prom szturmowy? Gdy ostatnio o tobie słyszałam, byłaś na drugim końcu przestrzeni Familii i właśnie wygrałaś jakieś zawody.

– To długa historia. – Cecelia z westchnieniem opadła na miękką sofę. – Zaczęło się od znalezienia domu dla dzieci Brun.

– Rodzina ich nie zatrzymała?

– Nie. Zabrałam je, bo Miranda i Brun były jak sparaliżowane po śmierci Bunny'ego... i nie potrafiły myśleć. Nawet nie dały chłopcom imion. W każdym razie zabrałam je do Ronniego i Raffy, którzy polecili na kolonię... – Zaczęła opowiadać całą historię, a Heris słuchała, nie przerywając jej. – A więc spróbowałam połączyć się z ansiblem, ale dorwali nas, zanim otrzyaliśmy potwierdzenie, że przyjął nasz sygnał.

Heris pokiwała głową.

– Przyjął go i od tej pory Flota zaczęła zwracać uwagę na wszelką aktywność ansibla nie związaną z normalną wymianą wiadomości.

– Trochę czasu ci to zajęło – stwierdziła z przekąsem Cecelia. Heris wzruszyła ramionami.

– A więc złapali was. Co potem?

Cecelia wolałaby nie wdawać się w szczegóły – nie były to przyjemne wspomnienia – ale Heris uparcie wyciągała z niej każdy strzęp informacji.

– Nie rozumiem, czemu mnie o to wszystko wypytyujesz – powiedziała w końcu. – Masz innych.

– Tak, i z nimi też będę rozmawiać, ale ty byłaś przy tym od początku, znasz całą sprawę Lepescu. Miałaś swój udział w sprawie księcia i klonów, byłaś na Xavierze. I patrzyłaś na to z punktu widzenia cywila. Starego cywila.

– Ale stary cywil jest głodny, spragniony, zmęczony i bardzo chętnie skorzystałby z prysznic.

– Wiem. Przepraszam, ale to bardzo ważne, żebym najpierw wysłuchała twojej relacji, zanim porozmawiam z innymi. Pamiętasz, że na Xavierze był porucznik – jak on się nazywał? – przekonany, że jesteś kimś z wywiadu?

– Cóż, postawiłaś mnie w dziwnej sytuacji...

– Nie wiń mnie, to ty uparłaś się polecieć na stację. Ale rzecz W tym, że... chciałabym, żebyś zrobiła to jeszcze raz. Dano mi pierwszego oficera, który jest koszmarnym pedantem i nie ma żadnego doświadczenia bojowego; to urodzony biurokrata, który doprowadza mnie do szału. Mogłabyś się nim zająć...

– Czemu nie pozwolisz, by zajął się nim Petris? – zapytała Cecelia. – Jest już oficerem, prawda?

Heris skrzywiła się.

– Petrisa tu nie ma. To nie jest mój statek... to znaczy nie ten, na którym byłam z moją załogą. W zamieszaniu po wybuchu buntu przydzielali oficerów do najbliższych jednostek, a na tym okręcie właśnie kończył się remont. Załoga to zbieranina z tuzina innych jednostek i regionalnego dowództwa. To właśnie stamtąd dostałam Seabolta.

– Ale ja nie jestem pracownikiem wywiadu. W ogóle nie jestem żołnierzem.

– To ty tak mówisz – powiedziała z uśmiechem Heris. – Jestem gotowa się założyć, że nawet kobiety, które siedziały z tobą w celi, są przekonane, iż życie bogatej damy zajmującej się końmi to tylko parawan. Widzisz, wszyscy wiedzą, że lubiące wygody bogate damy są głupie. Co pomyśleli o sztuczce Mirandy z mopem?

– Byli pod wrażeniem – przyznała Cecelia. – Ale to tylko szermierka.

– Ale za to ze śmiertelnym skutkiem. Dla nas, ograniczonych wojskowych, to dowód kompetencji. Założę się, że w trakcie rozmów z nimi przynajmniej dwójka zapyta, czy Miranda nie była w którymś momencie życia tajnym agentem wojskowym.

– No dobrze. Co miałabym robić?

– Po prostu bądź sobą, ale podsuwaj mu pewne sugestie i co jakiś czas przychodź skonsultować się ze mną.

– Przyłapią mnie Nie wiem tylu rzeczy...

– Oczywiście działałaś w konspiracji. Znasz moją ciotkę Vidę i wiesz o kwadracie przeciwprostokątnej...

– Co?

– To satyra na wykształcenie oficera wojskowego. Graj na wyczucie, Cecelio. Wtedy bardzo dobrze sobie poradziłaś; jestem pewna, że i teraz się uda.

– To jakieś wariactwo...

– Proszę. Jeśli to spowoduje, że Seabolt przestanie tak kurczowo trzymać się przepisów, bardzo mi pomożesz.

– No dobrze, spróbuję. Zrobię wszystko dla prysznic, obiadu i długiego, spokojnego snu.

Zaraz potem Cecelia miała okazję zobaczyć Seabolta. Czekał przed biurkiem kapitana. Gdy tylko otworzyły się drzwi, rzucił jej szybkie spojrzenie i zwrócił się do Heris. – Kapitanie, nalegam, by natychmiast wysłała pani sygnał 42.

– Komandorze Seabolt – powiedziała Heris – musi pan poznać admirał de Marktos. Zazwyczaj przedstawia się jako lady Cecelia de Marktos.

Seabolt zamrugał.

– Admirał? Nie pamiętam takiego nazwiska na liście admirałów.

Cecelia spojrzała na niego tak, jakby był impertynenckim stajennym.

– Oczywiście, że nie, komandorze. Moje nazwisko nie mogło pojawić się na liście, do której pan ma dostęp.

Seabolt zbladł.

– Admirale... Przepraszam, sir. Nie pomyślałem...

– Najwyraźniej. – Cecelia odwróciła się do Heris. – Kapitanie, jeśli mi pani wybaczy, chciałabym się odświeżyć.

– Oczywiście, sir. – Heris dotknęła klawisza na biurku i jeden z marines stojących przed jej drzwiami zsalutował. – Proszę zaprowadzić oficera do kabiny i upewnić się, czy przygotowano czyste mundury.

– Tak jest, sir. Jakie insygnia, sir?

Heris spojrzała w stronę Cecelii, a ta szybko zaczęła rozważać wady i zalety zażądania insygniów odpowiadających jej nowej randze.

– Na razie – powiedziała – darujmy sobie insygnia.

Z trudem stłumiła chichot na widok oburzenia i ciekawości na twarzy Seabolta.

– Tak jest, sir – odpowiedział strażnik.

* * *

Bosman Jones w czystym, wyprasowanym mundurze, wypoczęta i pełna sił, stanęła na baczność przed biurkiem Heris, a ta gestem zaprosiła ją do zajęcia miejsca na krześle.

– Bosmanie, jestem zdumiona, że udało się pani stworzyć tak skuteczną grupę i wydostać z aresztu. Zgłoszę panią do odznaczenia.

– Dziękuję, sir, ale po prostu miałam samych dobrych ludzi, łącznie z tymi, którym się nie udało. Nie zamierzaliśmy pozwolić, by buntownicy nas stłamsili.

– Wszyscy byliście z tego samego statku czy z różnych jednostek?

– *Z Saracena i Endavora*, zadokowanych razem na stacji orbitalnej Copper Mountain. Dwie osoby były z samej stacji, ale nie udało im się przeżyć.

– Jestem zdziwiona, że was po prostu nie zabili – przyznała Heris.

– Ja też byłam zdziwiona. Cecelia powiedziała, że prawdopodobnie chcą z nas zrobić zwierzynę łowną, aby urządzić polowania, tak jak to robił admirał Lepescu. – Lekko zmarszczyła brwi. – Powiedziała, żeby mówić do niej po imieniu, ale... sądzę, że teraz powinnam ją nazywać lady Cecelią.

– Tak będzie lepiej – przyznała Heris. – Może pani usłyszeć o niej różne dziwne rzeczy, bosmanie. Brałyśmy razem udział w paru gorących akcjach.

– Tak jest, sir. Powiedziała, że to pani zastrzeliła Lepescu.

– Tak, ale ona dorwała jednego z jego poruczników.

Twarz bosman wyrażała zrozumienie.

– Ona nie jest tylko bogatą damulką, prawda, kapitanie?

– Proszę to wyjaśnić

– Obie z Mirandą, która podobno była wdową po lordzie Thornbuckle'u, wyglądały jak bogate arystokratki. Ubrania, które miały na sobie, kiedy je przyprowadzono, musiały kosztować roczny żołd. I sposób, w jaki mówiły, ten akcent... Było w nich coś... Zauważyłam to już pierwszego dnia i później, kiedy wracały z czyszczenia latryn i opowiadały, co widziały. Zwykle damy z towarzystwa tak się nie zachowują.

– One właściwie nie są zwykle – rzuciła Heris. – Proszę mówić dalej.

– Cóż, nie wiem, czy potrafię to jasno ująć. Widzi pani, większości z nas, zwłaszcza na początku służby, trudno jest kogoś zranić, a co dopiero zabić. Prawdę mówiąc, nie spodziewałam się, że będą potrafiły zabić... a tymczasem obie zrobiły to bez żadnych problemów. Widziałyśmy z celi, jak Miranda wykonała wypad z mopem w rękę. Przypuszczam, że ćwiczyła szermierkę.

– Tak, w młodości wygrała sporo zawodów.

– Musiała wiele ćwiczyć. Jeden z mężczyzn powiedział, że to był najelegantszy cios, jaki kiedykolwiek widział. Nagle strażnicy byli martwi, tak po prostu, a Cecelia – to znaczy lady Cecelia – przyciągnęła ciało jednego z nich, żebyśmy mogły otworzyć jego palcem drzwi Żadnej hysterii, łez... No i cały czas wyglądała jak ktoś, kto przywykł do dowodzenia.

– Bosmanie, musi pani zdawać sobie sprawę, że nie wolno mi o tym rozmawiać. Ale zapewniam panią, że zyskała pani bardzo dobrego przyjaciela, który nigdy nie zapomina o swoich towarzyszach.

Jones wyraźnie się odprężyła.

– W porządku, kapitanie. Zrobiła dla nas więcej niż my dla niej, i cieszę się, że mogłam wziąć udział w czymś, co dzieje się dla dobra służby.

– Tak jest. – Heris poczekała chwilę na kolejne pytania, a potem dodała: – Musimy wciągnąć wszystkich pani ludzi z powrotem na służbę. Nasz okręt ma szkieletową załogę, a na dodatek niektórzy nie mają doświadczenia pokładowego, nie wspominając już o służbie na krążowniku czy o walce. Większość podoficerów ściągnięto z regionalnej Kwatery Głównej. Chciałabym usłyszeć pani opinię, jakie stanowiska powinni zająć pani ludzie. Gdyby mogła mi to pani przygotować do popołudnia...

– Tak jest, kapitanie, zaraz się tym zajmę.

– Szczególnie potrzeba nam specjalistów napędu. Nie jestem zadowolona z dostrojenia naszego silnika nadświetlnego, ale nasz technik jest prosto po szkole.

– Starszy mat Forrester i młodszy mat Kouras, kapitanie. Obie mają certyfikaty napędu nadświetlnego. I jest jeszcze sierżant... Forrester będzie wiedziała.

– Miło to słyszeć. Proszę mi to jak najszybciej spisać.

* * *

Cecelia szorowała ciało tak długo, aż nawet jej wrażliwy nos nie wyczuwał najmniejszych śladów nieczystości, a potem wzięła wiszący na drzwiach szafki mundur. Automat wydający bieliznę oszczędził jej konieczności korzystania z używanej bielizny, a mundur całkiem dobrze na nią

pasował. Spojrzała w lustro. Ciemnoniebieski mundur podkreślał bladość jej twarzy i ognistość włosów. Wyglądała... uderzająco – to słowo chyba najlepiej pasowało.

Wyszła na korytarz, gdzie czekała na nią eskorta.

– Pani jest... – Nie mogła się przyznać, że nie ma pojęcia o wojskowych insygniach.

– Kapral Baluchi, sir. – Młoda kobieta energicznie zsalutowała. – Mam służyć jako pani eskorta.

– Czy powiedziano pani, że nie będziemy rozmawiać o... mojej pozycji?

– O tak, sir. – W oczach Baluchi zaświeciły iskierki. – Mam nic nie mówić i nikomu nie powtarzać tego, co pani powie.

– Bardzo dobrze – powiedziała Cecelia, usiłując przypomnieć sobie, czy powinna jeszcze coś powiedzieć.

– Gdyby... – Baluchi nie wiedziała, w jaki sposób powinna się zwracać do osoby, której rangi nie należy wymieniać, ale Cecelia przysła jej z pomocą.

– Na razie – powiedziała – proszę zwracać się do mnie tak, jakbym była cywilem, lady Cecelią de Marktos. Fakt, że noszę mundur bez żadnych insygniów, powinien zapobiec wielu problemom.

– Tak jest, sir! – Baluchi prawie kipiała entuzjazmem. – Chciałaby pani najpierw zjeść posiłek czy odpocząć?

– Zjeść. Mam nadzieję, że pozostali już jedli – dodała, przypominając sobie o odpowiedzialności dowódcy za swoich ludzi.

– Tak jest, sir, zjedli. Mam panią zabrać... do mesy młodszych oficerów, ponieważ mesza starszych jest w tej chwili zajęta, ale jeśli...

– Tak będzie dobrze, kapralu – powiedziała Cecelia. Czowała się tak, jakby szła przez pole minowe.

– Południowy posiłek dla młodszych oficerów jest o jedenastej, a jest dopiero dziesiąta, więc nikt nie powinien pani przeszkadzać. Jestem pewna, że zaczekają, aż pani skończy.

– Kapralu, jeśli będę jeść dłużej niż godzinę, to eksploduję. – W czasie posiłku Cecelia przypomniała sobie długie, przyjemne obiady z przeszłości, łącznie z tymi w towarzystwie Heris, na wczesnym etapie ich znajomości. Przełknęła szybko ustawione przed nią jedzenie i już była gotowa na obiecany odpoczynek.

– Tędy, sir. – Kapral zaprowadziła ją pod same drzwi. – W tej chwili zmieniamy przydziały, ale będzie tu pani przynajmniej przez dwadzieścia cztery godziny; ktoś z nas będzie przed drzwiami, gdyby pani czegoś potrzebowała. Klozet jest tuż obok, a prysznic dwie pary drzwi dalej.

– Dziękuję, kapralu Baluchi.

W kabinie były dwie koje i szafki. Na jednej koi leżała piżama w jej rozmiarze. Cecelia ściągnęła mundur i założyła piżamę, po czym uświadomiła sobie, że powinna trzymać się swojej roli i powiesić porządnie mundur. Obok szafki znalazła małe plakietki informujące, gdzie należy powiesić poszczególne części uniformu.

Łóżko było bardzo wąskie, ale po tym, co przeżyła w celi, nie miała problemów z zaśnięciem. Kiedy się obudziła, wiedziała, że spała za długo; czuła się ociężała i zgnusiała.

Nie miała pojęcia, czy wojskowi pędzą korytarzem do klozetu w piżamie, czy najpierw się ubierają. Pomyślała, że będzie musiała poszukać pomocy. Heris jest stanowczo zbyt zajęta, żeby jej pomóc, ale już wie, do kogo mogłaby się udać.

Bosman Jones uśmiechnęła się ostrożnie.

– Lady Cecelio...

Cecelia westchnęła.

– Pewnie teraz, gdy nie jesteśmy już w więzieniu, musimy zachowywać się oficjalnie, a ja miałam nadzieję, że w końcu zechcesz mi zdradzić swoje imię.

– Gwenllian Gwalch-aeaf Jones. Moi rodzice pasjonowali się genealogią i wciąż kazali mi pamiętać o moim walijskim pochodzeniu, czego nie robię, ponieważ nawet nie wiem, o jakiej planecie mówili. Umarli, gdy miałam osiem lat.

– Walia znajdowała się na Starej Ziemi – powiedziała Cecelia. – Piszą o tym w jednej z książek, które przeczytałam. Na Caratei jest Nowa Walia, ale nic o niej nie wiem, oprócz tego, że wiele nazwisk ma podwójne *d* i *l*.

– Wszystko, co pamiętam, to wzgórze, zamki i muzyka. W każdym razie po wstąpieniu do Floty zmieniłam nazwisko, ponieważ oficer rekrutacyjny miał z nim taki sam problem, jak wychowawcy w domu dziecka. Rodzice powinni myśleć o takich rzeczach, nadając dzieciom imiona. Wybrałam sobie nazwisko z książki o bohaterskiej dziewczynie, która nigdy nie sprawiała innym kłopotów. Katrina, nazywali ją Kat.

– Moi rodzice obdarzyli mnie nie tylko imieniem Cecelia, ale całym szeregiem dodatkowych wyszukanych imion. Myślę, że masz rację, rodzice powinni wybierać coś miłego i normalnego.

– W każdym razie kapitan powiedziała, że lepiej zwracać się do pani „lady Cecelio”, a nie po imieniu, więc...

– W porządku, tylko jest jeden mały problem.

– A mianowicie?

– Znamy się z Heris Serrano od lat. Przeżyłyśmy razem trochę niemiłych chwil. – Było to trudniejsze niż myślała. – Zdarzały się takie sytuacje, że musiałam udawać, iż jestem oficerem... wywiadu.

– A nie jest pani?

– To... trudno wyjaśnić.

– Nie musi pani, kapitan coś mi wspominała.

– Jedno muszę wyjaśnić. Heris ma problemy z pewną osobą i chce, żebym udawała admirała.

– Oczywiście...

– To nie był mój pomysł – dodała szybko Cecelia. – Rzecz w tym, że nie wiem, jak być admirałem. Wprawdzie znam Vidę.. admirał Serrano...

– Jesteś po imieniu z admirałami, ale sama nim nie jesteś i nie wiesz, jak kogoś takiego udawać? – W oczach Kat Jones pojawiły się wesołe iskierki.

– Właśnie. Potrzebuję instruktora. Muszę się nauczyć... hmmmm wszystkiego, co jest związane z okrętami.

– Oczywiście, sir, z przyjemnością pomogę.

Cecelia złapała Sebolta pod drzwiami biura Heris. Czy on tam nocował?

– A, komandor Sebolt. Jest pan dokładnie tym oficerem, którego mi potrzeba.

– Sir! – Seabolt stanął na baczność. – Admirale... eee... de Marktos, zastanawiałem się...

– Komandorze, chciałabym zobaczyć wasze JS-135.

– Eee... JS-135? Dla całego statku? – zaskrzeczał.

Cecelia rzuciła mu swoje najlepsze admirałskie spojrzenie. Bosman Jones wyjaśniła jej, że JS-135 to zapis historii każdego obiektu na okręcie: data wpisania w inwentarz, przebieg serwisu i tak dalej. Krążownik miał w komputerze dziesiątki tysięcy JS-135 i oczywiście część z nich była niekompletna.

– Jest pan pierwszym oficerem na tej jednostce, nieprawdaż?

– Tak, admirale, oczywiście, ale...

– W takim razie chcę zobaczyć JS-135. Z pewnością nie umknęło pana uwadze, że mamy teraz doskonały czas na drobne kradzieże i sprzeniewierzenie materiałów.

– Eee... oczywiście, admirale. Hmmm W tej chwili?

– Komandorze, czy ktoś wsypał panu środka usypiającego do śniadania? Oczywiście, że teraz.

Sprawdzanie JS-135 polegało na tym, że Cecelia ciągała Seabolta z jednego końca okrętu na drugi, wskazywała na jakieś przedmioty i żądała pokazania pliku dla każdego z nich. Kilka razy komandor próbował jej się wyrwać, ale Cecelia wyobraziła sobie, że krążownik to źle utrzymana stajnia, i świetnie się bawiła. Dzięki bosman Jones dysponowała dostatecznym słownictwem z zakresu administracji, by przekonać Seabolta, iż faktycznie jest prawdziwym admirałem, choć kapryśnym i bardzo trudnym we współpracy.

Kiedy zgłodniała, uparła się, by towarzyszył jej w czasie posiłku.

– Widzę – powiedziała – że czeka mnie tu dużo pracy, komandorze, i będę potrzebowała pańskiej asysty.

– Ale, admirale, ja mam inne...

– Jestem pewna, że komodor Serrano chwilowo poradzi sobie bez pana – ucięła Cecelia, wykorzystując prawo admirała do przerywania podwładnemu. – A to pan jest odpowiedzialny, jak doskonale zdaje pan sobie sprawę, za całe wyposażenie i amunicję.

– Tak, admirale. – Seabolt sprawiał wrażenie udręczonego, co pewnie było prawdą, ale mimo to i tak był idealnie odprasowany. Cecelia przyglądała mu się, jedząc, i zastanawiała się, czy nie mogłaby go zmusić do przeczołgania się przez jakiś brudny tunel... jeśli znalazłaby coś takiego na statku Heris. Nie umknęły też jej uwadze spojrzenia rzucone przez załogę, wyrażające rozbawienie na widok Seabolta męczzonego przez kogoś innego.

Po posiłku znów go zatrudniła. Pomimo zdrowego wyglądu nie był tak sprawny jak ona, więc zaczął dyszeć na długo przedtem, zanim Cecelia zaczęła odczuwać zmęczenie. Zatrzymała się więc między pokładami i rzuciła mu groźne spojrzenie.

– Komandorze, to bardzo ważne, by oficerowie dbali o swoją sprawność fizyczną. Nie powinno panu brakować tchu po przejściu paru drabin.

– Przepraszam, sir...

– Spróbuję trochę zwolnić. – Cecelia ruszyła statecznie, robiąc sobie w duchu wyrzuty za czerpanie tak wielkiej przyjemności z dręczenia go. Czy jest aż tak zła, jak strażnicy na statku buntowników? Miała nadzieję, że nie. W ramach poprawy zapytała go z troską o jego dietę i ostatnie badania lekarskie. – Jestem pewna, że to niełatwe – powiedziała – przy wszystkich pańskich obowiązkach, ale nie na wiele zda się pan w walce, jeśli będzie pan chory lub niesprawny. Musi pan

nauczyć się dbać o siebie.

– To moje uszkodzone kolano, sir – wyjaśnił Seabolt. – Złamałem je kilka lat temu.

– Och, kolana – rzekła Cecelia, której kilkakrotnie zdarzyło się je uszkodzić. – Najlepsze, co można zrobić, to ćwiczyć, i to intensywnie. – Powtórzyła mu wszystkie wskazówki jej terapeutów. – Ale gdyby pan kiedyś wyrwał sobie ramię...

Seabolt zzieleniał, więc dała spokój.

– Nieważne. Będzie pan się tym martwił, kiedy się to panu przytrafi. No dobrze, jutro skończymy z JS-135 i zaczniemy zestawiać je z tabelą organizacyjną statku.

– Tak, admirale. O której?

– Powinnam być gotowa na siódmą zero zero. Czeka nas dużo pracy. Tej nocy spała bardzo dobrze i obudziła się pełna pomysłów, co jeszcze Seabolt mógłby dla niej zrobić.

* * *

Heris miała mnóstwo zajęć – wreszcie mogła zorganizować przeszukanie szczątków *Bonar Tighe* – dlatego z ulgą odnotowała nieobecność Seabolta. Przygotowała pakiet do ansibla i wysłała patrolowca, aby zaminował punkt skokowy; następnymi buntownicy, którzy się tu pojawią, będą mieli nieprzyjemną niespodziankę. Major O'Connor, trzeci oficer, tak płynnie przejął obowiązki pierwszego, że Heris nawet tego nie zauważyła.

Dziesięć dni później Seabolt znów zjawił się w jej biurze. Heris zauważyła, że jest blady i zmęczony.

– O co chodzi, komandorze? – zapytała.

– Chciałbym prosić o przeniesienie, sir.

– Przeniesienie? W środku wojny?

– Wiem, sir, to nad wyraz niewłaściwe, ale... boję się, że oszaleję. – Seabolt, jeśli to jakiś żart...

– Nie, sir, przysięgam, że nie. Po prostu... nie jestem w stanie... Ona ciągle chce czegoś nowego, każda sekunda...

– Ona?

– Admirał... admirał de Marktos.

– Dręczy pana?

– Niezupełnie, ale tkwi przy mnie przez cały czas, w każdej sekundzie, i zadaje mi pytanie za pytaniem. A wie pani, kapitanie, że kiedy dostaliśmy ten statek, nie mieliśmy czasu dokładnie go sprawdzić. Boli mnie żołądek, oczy...

– Niech pan idzie do lazaretu i weźmie coś na żołądek, komandorze. W tej wojnie pan ma swoje stesy, a ja swoje.

– Ale, sir...

– Wie pan co, komandorze, jeśli chce pan zejść z tego okrętu na następnej stacji, spróbuję jakoś pana przenieść. Ale wszystko, co mogę zrobić w tej chwili, to poprosić admirała, żeby panu trochę odpuściła. Ale jeśli to zrobię, ona zabierze się za mnie. A ja mam na głowie dowodzenie flotyllą i zniszczenie buntowników. Obawiam się, że będzie pan musiał jeszcze trochę pocierpieć.

– Tak jest, sir. – Heris zauważyła, że Seabolt nie jest już tak odprasowany, jak kiedyś.

– Może pan też zapytać admirała, czy znajdzie czas, by się ze mną spotkać – dodała Heris, gdy

wychodził.

* * *

– Jesteś złą kobietą – powiedziała, podając Cecelii filiżankę z herbatą.

– Tak, zapewne jestem, ale trzymam go z dala od ciebie, prawda? – Tylko nie doprowadź go do ataku serca. Trzeba byłoby wypełniać kolejny zestaw formularzy.

– Dam mu czas na poćwiczenie w sali gimnastycznej – zapewniła Cecelia. – Ale jak się to wszystko skończy, chcę dostać prawdziwe gwiazdki.

– Jeśli przeżyjemy, przyjdę na imprezę promocyjną – zapewniła ją Heris.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Copper Mountain, Trzeci Czubek

Barin przyglądał się ponurej skale wystającej z groźnie falującego zielonego morza; na jej widok niemal pragnął wrócić w kosmos. Pojazd łagodnie osiadł na lądowisku.

Wiatr był lodowaty. Barin naciągnął kaptur swojego OKO i uszczelnił go wokół twarzy. Budynki więzienia wyglądały równie ponuro, jak sama skała. Czy naprawdę żyli tutaj ludzie?

– Już wcześniej wiedziałem, jak to wygląda – odezwał się kapral Meharry – ale teraz chcę wrócić w przestrzeń.

– Jak pan tu w ogóle trafił? – zapytał Barin.

– Byłem głupi i o to poprosiłem. Wie pan, przetrzymywali tutaj moją siostrę; wsadził ją tu Lepescu. Chciałem wiedzieć, jak to jest i przez co przeszła. – Zadrżał, a Barin podejrzewał, że nie tylko z powodu zimnego wiatru. – Lepiej zabierzmy się do roboty, sir, jeśli pan wybaczy.

Ponieważ Meharry tu służył i dobrze znał teren, poszedł z ekipą śledczą, aby znaleźć im odpowiednie kwatery, a tymczasem Barin zajął się rozładowywaniem zapasów z transportowca, gdyż naukowcy mieli odlecieć tym samym pojazdem do drugiej bazy. Zauważył, że Margiu leciała razem z nimi, a brodaty grubas rozmawiał z nią przez całą podróż. Kiedy transportowiec odleciał, rozejrzał się po dziedzińcu. To wyglądało jak koszmar: zimne i ciemne ściany z kamienia, zamknięta brama do więziennego bloku.

Słyszało masakrze więźniów, którzy nie wzięli udziału w buncie, i teraz zastanawiał się, czy któreś z plam na skałach nie są śladami ich krwi.

Meharry wrócił i żołnierze zaczęli wnosić zapasy do środka. Barin poszedł za nimi. Budynek personelu był mniej ponury, zamiast ciemnego kamienia były zwykłe ściany pomalowane farbą.

– Nie chcą nas wpuścić do kwater oficerskich, sir – zgłosił Meharry – ale możemy używać kuchni; wystarczy dla małej grupy.

Zorganizowanie placówki i upewnienie się, że wszystko działa sprawnie, zajęło Barinowi kilka dni. Tymczasem grupa śledcza zajmowała się swoimi sprawami; Barin widział, jak zbierają próbki z różnych części dziedzińca, i przypuszczał, że to samo robili w celach i innych budynkach. Meharry zniknął codziennie na parę godzin, a potem wracał blady i spięty. Barin nie chciał mu zadawać pytań, więc wynajdował mu różne problemy do rozwiązania, żeby miał się czym zająć. Raz sam się wybrał do bloku więziennego i wrócił wstrząśnięty. Wyobrażał sobie, że takie rzeczy dzieją się w Benignity, ale nie tutaj, w Familiach. Nie w jego Flocie. Nie potrafił sobie wyobrazić, by ktokolwiek z jego rodziny umieszczał tutaj ludzi, niezależnie od tego, co zrobili.

Pewnego dnia kapral Meharry poprosił, aby uczestniczył w wizji lokalnej, w trakcie której miał objaśniać szczegóły swojej ucieczki.

– Zrzucili mnie tutaj – wskazał Meharry. – To posterunek strażniczy z dobrym widokiem na wewnętrzny plac spacerowy i na morze.

– Nie wiem, jak udało się panu przeżyć upadek do tak lodowatej wody – powiedział Barin.

– Wodą się nie martwiłem – odpowiedział Meharry. – W każdym razie nie za bardzo. Bardziej bałem się uderzenia o skały. Ale widzi pan, wiedziałem, że coś się szykuje, i powtarzałem sobie, że jeśli mnie popchną, muszę skoczyć najdalej jak się da. No i miałem na sobie OKO.

Ekipa śledcza chciała, żeby Meharry odtworzył wszystko, oprócz ostatniego skoku. Barin był niemal chory, siedząc w górnym posterunku strażniczym. Czuł się tak, jakby cała wyspa skurczyła się, a on został na chwiejącym się czubku szpilki. Meharry wskazał miejsce, z którego został zrzucony, minimalnie osłonięte przed morskim wiatrem przez rząd niskich kamieni. Potem ruszył ścieżką, jakby ją znał całe życie, a Barin wstał i poszedł za nim, choć nieco wolniej. Czuł się bezbronny i wytracony z równowagi, jakby wielka zielona przestrzeń po prawej stronie ściągała go z bezpiecznej ścieżki.

Z ulgą – miał nadzieję, że tego po nim nie widać – wsunął się do dolnego posterunku strażniczego. Jeden ze śledczych przyszedł razem z nim, reszta została na górze z rejestratorami.

– I to właśnie tutaj zobaczył pan kogoś w dole?

– Tak, tutaj. – Meharry mówił tak, jakby brakowało mu tchu, ale mógł to być wpływ lodowatego wiatru. Barin miał nadzieję, że jego nikt nie będzie o nic pytał.

– I upadek nastąpił... – Technik wychylił się, zeszywniał i gwałtownie się cofnął. – Mój Boże, tam na dole sterczą skały. Mógł pan zginąć...

– I o to chodziło – rzekł Meharry.

– Tak, ale... Chyba lepiej to nagram. – Mężczyzna podniósł do oczu kamerę.

– Lepiej trzymajmy się razem – zaproponował Meharry – na wypadek silniejszego podmuchu wiatru. – Barin wcale nie miał ochoty opuszczać posterunku i trzymać się kogoś, kto mógłby go pociągnąć za sobą.

– Dobry pomysł, kapralu – usłyszał własne słowa. Wstał i chwycił Meharry'ego za rękę, ten zaś złapał mężczyznę, który wychylił się poza krawędź skały i zaczął filmować. Wiatr szarpał nimi i potrząsał. Barin zauważył, że Meharry czuje się równie niepewnie, jak on sam, ale mimo to wykonywali dalej swoją pracę.

Wreszcie wrócili do górnego posterunku, a potem poszli przez dziedziniec do głównego budynku, gdzie zjechali windą do magazynów. Meharry pokazał ekipie śledczej, gdzie schował swoje zapasy, a potem poprowadził ich do korytarza wulkanicznego. Było tam przygnębiająco i niebezpiecznie, ale Barin czuł się znacznie lepiej we wnętrzu góry niż wtedy, gdy niepewnie balansował na jej wierzchołku.

Minęli zakręt, potem kolejny, i weszli do komory, w której Meharry schował swoją tratwę. Otwierała się na południe; od strony wejścia wpadało słabe zimowe światło, podkreślając każdą nierówność wulkanicznego podłoża... tu gładkiego i szklatego, gdzie indziej poszarpanego i nierównego. Było tu pięknie: czarna skała i zielone morze... a do tego pełno dźwięków – narastający grzmot morza, syk fal, krzyk morskich ptaków – odbijających się od skał i wielokrotnie powtarzanych... Barin tak naprawdę nie słyszał, o co śledczy pytali Meharry'ego.

Podszedł bliżej wyjścia. Ponieważ był osłonięty przed północnym wiatrem i grzało go słońce, nie było mu zimno. Nagle zobaczył coś na ziemi i pochylił się. Było to coś długiego i zielonego, a na tym małe wielonogie stworzonko ze szkarłatną muszlą. Hałas nie był tutaj już tak silny i potrafił odróżnić pierwotne dźwięki od dźwięków odbitych od skał. Zatrzymał się, przyglądając się porankowi i opadającej lekko w dół skale.

– Gdyby to był dzień, załatwiłaby mnie – powiedział Meharry. Barin wzdrygnął się; nie słyszał podchodzącego kaprala. – Stanowiłem łatwy cel, wdrapując się tutaj.

– Jak pan to zrobił? – zapytał Barin. – Tu jest bardzo ślisko.

– Haki na nadgarstkach i kostkach kombinezonu – wyjaśnił Meharry. – Wystarczy nacisnąć

kciukami te wypukłości. Mają specjalne czubki, dzięki którym trzymają się praktycznie wszystkiego. Ta skała jest krucha, ale jakoś na nią powoli wszedłem.

– I po ciemku – zauważył Barin. – Miał pan chociaż wzmacniające gogle?

– Nie, strażnicy na nocnej zmianie dostawali gogle, ale nie były wbudowane w kombinezony. A ja nie byłem na nocnej służbie, kiedy mnie wypchnęli.

Barin popatrzył na niego ze zdziwieniem; Meharry mówił zupełnie bezbarwnym tonem.

– Czy woda kiedykolwiek dociera tak wysoko? – zapytał Barin.

– Tak, sir. Sztormy powodują, że przez cały czas wlatują tu rozbryzgi wody. Pewnie widział pan tam te wodorosty.

– Nie wiedziałem, co to jest.

– To jakaś roślina. Jest ich tu na skałach całkiem sporo.

– Przypomina mi to statek – mruknął Barin.

– Sir?

– Kiedy przebili nam kadłub... stałem w ciemności i wyglądałem na zewnątrz. Tam były gwiazdy, tutaj jest morze, ale... Zresztą nieważne. Jak pan myśli, ile to jeszcze potrwa?

– Wygląda na to, że skończyli – odpowiedział Meharry. Barin ruszył korytarzem, ale widząc, że chłopak nie idzie za nim, zawrócił. Twarz mężczyzny wyrażała cierpienie i determinację.

– Kapralu, chodźmy na górę.

– Tylko... kilka chwil, sir.

Instynkt kazał Barinowi zostać. Znalazł wygodny kawałek podłóża i usiadł.

– W takim razie niech pan tu podejdzie, nie chcę patrzeć pod słońce. Światło odbijające się od fal przypominało mu atak przeciwnika na tarczy, a jasne niebo błysk wybuchu.

Meharry podszedł i usiadł obok niego, po czym zaczął mówić.

– Problem w tym, sir... że nie potrafię sobie zaufać.

– Zaufać sobie?

– Powiedzieli panu, że zabiłem komandor Bacarion, prawda?

– Tak.

– Cóż... Pewnie nie powiedzieli, w jaki sposób.

– Nie, nie powiedzieli. – Barin zaczął się zastanawiać, co teraz usłyszy.

– Sir, ja... – Meharry przełknął i odwrócił wzrok. – Przyjdźcie tutaj... obudziło wszystkie wspomnienia. To tak... jakby wciąż się to działo. Ciągłe i ciągle.

Barin doskonale znał to uczucie. Meharry potrzebował psychniańki, i to prawdopodobnie już od wielu miesięcy, a tymczasem siedzieli tutaj, dokładnie w miejscu, gdzie to się stało, i musieli jeszcze kilka dni czekać na transport, aby się stąd wydostać.

– Opowiedz mi – poprosił.

– Ja... nie wiem... czy potrafię – wydusił z siebie Meharry. – W każdym razie pan...

– Będę słuchał – powiedział Barin. – Wysłucham cię.

– Zabiłem ją, ale wcale tego nie chciałem. Przynajmniej na początku. Ona próbowała mnie zabić, miała broń... – Barin nie umiał sobie wyobrazić tych desperackich zmagania w ciemności. – A potem, kiedy włączyłem lampę, gdyż przestała się ruszać, zobaczyłem... mnóstwo krwi... i jej twarz...

– Jej twarz?

– Ja... wciąż miałem wyciągnięte haki, sir, i kiedy zaczęliśmy walczyć, uderzyłem ją i... haki... po prostu zdarły jej skórę z twarzy. – Meharry cały się trząsał, mocno zaciskając oczy.

Barin wyciągnął rękę i objął go. Chciał coś powiedzieć, ale wiedział, że teraz powinien milczeć.

– Ja... nigdy nie sądziłem, że... jestem kimś takim, sir. Kimś, kto potrafi zaatakować w taki sposób. Oficera. Kobietę. Ale zrobiłem to i nie mogę udawać, że to się nie stało. A skoro zrobiłem to raz... Potem pomyślałem o mojej siostrze, która była tu więziona. Co Methi zrobiła, co musiała zrobić, żeby przeżyć? Ona jest moją siostrą... i ja...

– Kiedyś ją spotkałem – powiedział Barin. – Na okręcie mojej ciotki. To świetna osoba. – Nie miał wątpliwości, że była też groźną zabójczynią, ale Meharry nie musiało tym wiedzieć.

– Myślałem o tym, żeby poprosić o zwolnienie ze służby ze względu na zły stan psychiczny, sir. Uświadomiłem sobie, że jestem dokładnie taki sam jak Bacarion. Ale wtedy wszystkich potrzebowali i myślałem... miałem nadzieję... że mogę nad tym zapanować. Tylko że teraz, kiedy tu wróciłem, wszystko jest znów tak, jak się obawiałem. Jeśli nie mogę... Co będzie, jeśli znów to zrobię?

Barin odrzucił cisnące mu się na usta zapewnienia: „Oczywiście, że tego nie zrobisz” i „Nie martw się, wszystko będzie dobrze”. Czy on sam uwierzyłby w te słowa? Czy nigdy nie powtórzyłby popełnionych błędów? Żałował, że nie ma tu kogoś innego, kogoś z większym doświadczeniem. Heris wiedziałaby, jak przemówić do tego człowieka, tak samo jak jego babka. Albo Esmay. Co ona by powiedziała?

– Myślę... że rozumie pan, sir, czemu będę musiał odejść. – Meharry otworzył oczy i zaczął wpatrywać się w morze. – Wszystko będzie w porządku, poruczniku. Niech pan już idzie i pozwól mi tu chwilę posiedzieć i wszystko przemyśleć.

– Nie – powiedział stanowczo Barin. Stracił już Ghormleya i nie zamierzał stracić Meharry'ego. – Nie, nie wrócę na górę i nie pozwolę ci rzucić się do morza.

Meharry odwrócił się do niego z szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami.

– Jeśli kiedykolwiek znów staniesz przed zbuntowanym komandorem, który będzie próbował cię zabić, Gelanie... – Zauważył, jakie wrażenie wywarło zwrócenie się do niego po imieniu. – Jeśli kiedykolwiek będziesz musiał walczyć, mam nadzieję, że zrobisz dokładnie to samo. Gdyby Bacarion cię zabiła i wykonała swoje plany, byłibyśmy w znacznie gorszej sytuacji. Rozszarpałaś jej twarz – świadomie użył tego brutalnego słowa – bo musiałaś się bronić. Gdybyś miał broń, strzeliłbyś jej w głowę, szybko i czysto. Ale nie miałeś.

– Ale...

– I jeśli kiedykolwiek będziesz musiał jeszcze raz to zrobić – choć mam nadzieję, że do tego nie dojdzie – ufam, że będziesz czuł ten sam ból, jaki dręczy cię od tamtej pory, ponieważ nie jesteś taki jak ona... jak żaden z nich. Nie czerpiesz przyjemności z okrucieństwa. To była okropna sytuacja i nikt na twoim miejscu nie byłby dumny z tego, co zrobiłaś, żeby przeżyć... ale liczyło się przetrwanie. Liczy się także i teraz. Nie pozwolę ci tego zniszczyć.

Meharry wciąż drżał, ale Barin wyczuł już w nim wyraźną zmianę.

– Ja... mam koszmary.

– Wcale mnie to nie dziwi. Rozmawiałeś o tym z psychniańkami? – Nie... nie sądzę, żeby to był problem dla nich. To raczej kwestia moralności.

– Kiedy zostałem złapany – powiedział Barin – a to nie było nawet w części tak paskudne, jak to, co ciebie spotkało, miałem potem koszmary, wciąż widziałem tych ludzi...

– Był pan schwytyany, sir?

– Tak, byłem na remontowcu dalekiego zasięgu, *Koskiusko*.

– Tym, który próbowała porwać Krwawa Horda?

– Tak. Wprowadzili na pokład swoich ludzi, którzy udawali personel Floty z uszkodzonej jednostki. Zanim nasi ludzie uswiadomili sobie, co się stało, zdążyli już zaszyć się na statku. Złapali mnie, kiedy poszedłem do magazynu po części, których potrzebował mój szef. – Umilkł, przypominając sobie z niechęcią następne godziny i dni.

– Co oni... To znaczy jeśli chce pan o tym mówić, sir.

– Myślę, że najgorsze – powiedział Barin – było poczucie cholernej bezradności. Rzucali mną i ciągalili mnie jak kłodę. Na moich oczach zabili trzech ludzi, w tym kobietę, którą najpierw zgwałcili. A ja nic nie mogłem zrobić. Ja, oficer Floty, pieprzony Serrano. Zawsze myślałem, że jeśli coś się stanie, potrafię odpowiednio zareagować i rozwiązać problem. A tymczasem oni znokautowali mnie, zanim uswiadomiłem sobie, że coś jest nie tak, i...

– Ależ pan nic nie mógł poradzić.

– To prawda, ale to nie zmniejszyło mojego poczucia winy, że powinienem był coś zrobić. Rzecz w tym, że później udzielono mi fachowej pomocy. Z początku nie chciałem iść; byłem pewien, że to pomoże i tylko dostanę krechę w aktach. Myślałem, że koszmary to kara za niekompetencję młodego durnia.

– Naprawdę pomogło?

– Pomogło. Trochę to trwało i musiałem zaliczyć mnóstwo różnych rzeczy, które moim zdaniem nie miały z tym żadnego związku, ale faktycznie pomogło.

– Może powinienem...

– Tak myślę. A przynajmniej spróbuj, zanim ostatecznie zrezygnujesz. Jeśli to nie pomoże, zawsze możesz wybrać śmierć.

– To prawda, sir. – Meharry wyprostował się. – Przepraszam, nie powinienem był...

– Co, zawracać mi głowę? – Barin pozwolił sobie na lżejszy ton. – Oczywiście, że powinieneś mi zawracać głowę. To wchodzi w zakres moich obowiązków. Jeśli chcesz kiedyś zostać starszym bosmanem, musisz zrozumieć, że twoim obowiązkiem jest zamęczać młodszych oficerów.

Meharry niepewnie się uśmiechnął.

– Ja... w tej chwili nie bardzo potrafię sobie wyobrazić, że zostanę starszym bosmanem, sir.

– Cóż, ja też nie wyobrażam sobie, że zostanę admirałem, ale biorąc pod uwagę, w jakim kierunku podążają nasze rodziny, lepiej od razu zabierzmy się za to.

– Myśli pan... że oni wszyscy mają takie rzeczy na sumieniu?

– Złe wspomnienia, sytuacje, gdy uważają, że zawalili? Przypuszczam... choć nigdy właściwie o tym nie myślałem... że ciotka ma, ale nie mówi o tym ze mną.

– Tak samo, jak Methi ze mną. – Meharry odetchnął głęboko, potem jeszcze raz. – Dziękuję, sir. Ja po prostu... byłem bardzo zdesperowany.

– Wiem. I to może wrócić, jeśli nie podda się pan leczeniu. Jesteś czymś znacznie więcej niż tylko jednym wybuchem w mroku, Gelanie Meharry.

– A pan znacznie więcej niż tylko jednym błędem w kontroli uszkodzeń – rzekł Meharry; trafność jego słów spowodowała, że Barinowi aż zaparło dech. – Założę się, że zrobił pan wszystko, co mógł, i próbował pan ratować życie ludzi.

– Mimo wszystko to na mnie spoczywa odpowiedzialność za ich śmierć.

Meharry przechylił głowę.

– Proszę mi o tym powiedzieć. Wysłuchał mnie pan, teraz ja pana wysłucham.

Barin był pewien, że jego ciotka nigdy nie znalazła się w takiej sytuacji, której nie było w żadnym podręczniku dowodzenia. Ale zażądał zaufania, więc teraz sam musi je okazać.

– No dobrze. Mieliśmy przebicie kadłuba w rufowej części pomieszczenia, w którym pracowałem.

– Czy zazwyczaj nie zajmuje się tym bosman?

– To problem odmłodeń – wyjaśnił Barin. – Mamy za mało bosmanów, a za dużo pepeków. Właściwie nasze stanowisko mieściło się na pokładzie załogowym, ale potrzebowali nas wszystkich na rufie, więc znalazłem się tam razem z moją drużyną. Dziuraw kadłubie była duża i odłamki spowodowały wiele uszkodzeń, a ponadto mieliśmy wyciek w próżnię. Kiedy tam weszliśmy, było ciemno, zimno, mokro i ślisko, a na dodatek z początku nic nie było widać dalej niż na metr.

– Jak paskudna sztormowa noc tutaj – zauważył Meharry.

– Najbardziej martwiłem się przebicciem hydraulicznym – powiedział Barin. – Poza tym bałem się, czy kadłub wytrzyma. Był mocno nadwerężony i właśnie tamtędy wylatywało powietrze. – Następnie szybko zrelacjonował, jak założyli łatę, a potem kazano im sprawdzić przecieki w zbiornikach i rurach.

– Miał pan w drużynie jakichś kretów? – zapytał Meharry.

– Nie. Powiedzieli, że nam wysyłają, a tymczasem mieliśmy spojrzeć na manometry i je odczytać. Mieliśmy człowieka ze skanerem chemicznym... – Umilkł i przełknął ślinę. – Ustawiliśmy awaryjne oświetlenie. Pokład był oczywiście mokry, a częściowo również pokryty lodem. Ciśnienie było bardzo niskie, tak samo jak temperatura.

– Walka trwała dalej?

– Tak, ale byliśmy zbyt zajęci, by zwracać na to uwagę. Powinienem był wiedzieć, że mamy nieodpowiedni skaner; ten nasz nie rozpoznawał związków organicznych. – Opowiedział resztę, wskazując gestami, gdzie znajdowały się poszczególne osoby i co próbowały robić. – Widzi pan, nie mogłem się ruszyć, żeby nie rozproszyc wokół tlenu, który cały czas się wydobywał. Ghormley był najmłodszy, najświeższy. Nie wiedziałem... Wydawało mi się, że przekonałem go, żeby stał bez ruchu w miejscu, ale kiedy pomyślał, że odchodzę...

– To on spowodował wybuch?

– Bał się. Pomyślał, że zostawiam go samego, choć nie zrobiłbym tego...

– Oczywiście, że nie. Gdyby pan był innym człowiekiem, ruszyłby pan do służby jako pierwszy i wysadził ich wszystkich w powietrze. – Wydał wargi. – Dzieciak powinien był pana posłuchać.

– Powiedziałem mu nie to, co potrzeba.

– Wątpię. Zatrzymał go pan na dłuższy czas, prawda? I dopiero potem spanikował. Stał w ciemności i zimnie, w czymś, co mogło go rozerwać na strzępy... Mogę go zrozumieć, choć nie miał racji.

– Nie potrafiłem go powstrzymać. I gdybym wiedział o skanerze chemicznym to, co powinienem

wiedzieć, w ogóle by do tego nie doszło. Wiedziałbym od razu, że mamy wyciek metanu. Dwóch ludzi zginęło i kilku zostało rannych, ponieważ uważałem, że praca w środowiskowym jest nudna.

– Przypuszczam, że pan faktycznie co nieco wie o poczuciu winy. A jak pan przeżył, stojąc w tym tlenie?

– Miałem szczęście. Tak naprawdę nie wiem – straciłem przytomność – ale powiedzieli, że wybuch wcisnął mnie między jakieś zbiorniki. Wyszedłem z tego całkiem nieźle. – Zaskoczyła go gorycz we własnym głosie.

Brwi Meharry'ego powędrowały w górę.

– Nieźle? Leczenie tutaj i ileś godzin w zbiorniku regeneracyjnym? – Zagwizdał. – Z całym szacunkiem, sir, ale myślę, że jeśli ja potrzebuję psychniańki, to może pan też.

– Może tak – zgodził się Barin. Teraz, gdy wreszcie to z siebie wrzucił, dostrzegł podobieństwo do swoich wcześniejszych doświadczeń, kiedy czuł się tak samo paskudnie, bo nie mógł wszystkich uratować. – Cóż, w takim razie żaden z nas nie będzie skakał do oceanu. Umowa stoi?

– Stoi, sir. – Uścisnęli sobie dłonie. Barin miał wrażenie, że tym samym przypieczętował także inną umowę, taką, której jeszcze nie do końca rozumiał.

Rockhouse Major

Kapitan Terakian zaproponował Esmay pozostanie na pokładzie, ale czuła, że już wystarczająco nadużyła jego gościnności.

– Będziemy w kontakcie? – zapytał. – Czuję się odpowiedzialny...

– Nic mi nie będzie – odpowiedziała Esmay. – Niezależnie od tego, czy pozwolą mi wrócić na służbę, czy nie, poradzę sobie. Oczywiście, dam panu znać.

Rockhouse Major oferowało hotele we wszystkich stylach i w pełnym zakresie cen. Esmay wybrała skromny hotelik, w którym mogła w razie potrzeby zostać przez całe tygodnie. Schowała swoje niewielkie zasoby odzieży, skrzywiła się na myśl o konieczności zrobienia zakupów i poszła szukać węzła komunikacyjnego. Tam znalazła w bazie danych Rockhouse nazwisko Brun Meager i długą listę wiadomości na jej temat, ale żadnego adresu. Odnalazła więc katalog adresowy i spróbowała jeszcze raz. Zastrzeżony. Cóż, to ma sens. Wprowadziła hasło „agent kontaktowy Brun Meager” i otrzymała nazwisko, którego nigdy wcześniej nie słyszała: Katherine Arme Briarly. Na zapytanie o nią dostała tylko numer komunikatora. Esmay skopiowała go do podręcznego komputera, przeniosła się do zabezpieczonej budki telefonicznej i wprowadziła numer. Na ekranie pojawiła się wiadomość: „Przepraszam, ale w tej chwili mamy tu środek nocy. Jeśli to bardzo pilne, naciśnij 0, w innym przypadku naciśnij 1 i zostaw wiadomość.”

Esmay wybrała opcję 1 i poczekała na sygnał potwierdzenia.

– Tu Esmay Suiza, do niedawna z Zawodowej Służby Kosmicznej – powiedziała. – Chciałabym się skontaktować z Brun Meager. W tej chwili przebywam na Rockhouse Major, w Stellar Inn, pokój 1503.

Nie była nawet pewna, w jakiej strefie czasowej przebywa Brun... zakładając, że w ogóle jest na planecie. Wróciła do hotelu, zastanawiając się, czy nie powinna była jednak zostać na pokładzie *Fortune*, ale anonimowość hotelowego pokoju – mdłe kolory i gładkie powierzchnie, tak różne od wystroju statku Terakianów – pomagała jej przemyśleć to, co chciała powiedzieć Brun i co jej

zdaniem Brun mogła zrobić.

Wyciągnęła się na beżowo–kremowej pościeli i zgasła światło. Równie dobrze może spróbować się przespać...

* * *

Sygnal komunikatora obudził ją ze snu o Altiplano – choć raz nie śniła o Barinie – w którym siedziała na jabłoni i zaplatała wielobarwne wstążki, podczas gdy zebrane na dole dzieci śpiewały piosenki. Sięgnęła po komunikator i spojrzała na zegarek. Sześć godzin od powrotu do pokoju. Miała zdecydowanie dosyć snu.

– Esmay Suiza? – odezwał się kobiecy głos. Nie przypominał głosu Brun, choć gdy Esmay ostatni raz ją słyszała, wciąż mówiła niepewnie i ochryple.

– Tak – odpowiedziała.

– Tu Kate Briarly. Czy w pani pokoju jest bezpieczny komunikator? – Nie, ale jest w holu.

– Podam pani mój numer...

* * *

W budce telefonicznej z szyfrowaniem Esmay wprowadziła podany jej numer. Ekran rozjarzył się niemal natychmiast, pokazując Brun – wciąż taką samą – z jakąś blondynką, która wyglądała na kilka lat starszą.

– Esmay, co to za informacje o opuszczeniu Floty? Odeszłaś czy cię wyrzucili?

– Wyrzucili mnie – przyznała Esmay, podniesiona na duchu rzeczowym tonem Brun. – Nie mogłaś słyszeć, że pobraliśmy się z Barinem...

– No wreszcie! To dlatego?

– Tak, choć to dość skomplikowane. Chciałam z tobą porozmawiać, jeśli to możliwe.

– Ach, nie znasz jeszcze Kate. – Brun wskazała na drugą kobietę. – Kate Briarly jest z Konfederacji Samotnej Gwiazdy i pomaga mi, między innymi ochrania mnie. Po tych wszystkich zabójstwach staramy się być ostrożne.

– To dobrze – powiedziała Esmay.

– Musisz przylecieć na dół, żebyśmy mogły porozmawiać. Dwa razy dziennie do Rockhouse Minor leci cywilny prom. Wielu ludzi chce tam po prostu pozwiedzać, a poza tym stamtąd wyruszają wycieczki na planetę. Kiedy tam dotrzesz, idź do sekcji B, podaj swoje nazwisko strażnikowi przy wejściu do prywatnej części i powiedz, że jesteś oczekiwana. Zaprowadzą cię do hali odlotów dla prywatnych promów. Nikt ci nie będzie przeszkadzał. – Odwróciła się do Kate. – Czy nie powinnyśmy tam polecieć?

– Wolałabym to zostawić twojemu personelowi – rzekła Kate. – Dobrze. Steward poinformuje cię, gdy przyleci prom. Zobaczmy... Najbliższy prom do Rockhouse Minor masz za trzy godziny.

– Jeśli nie będzie pełen – zauważyła Esmay. – Czy nie trzeba rezerwować na nim wcześniej miejsca?

– Przeważnie i tak jest w połowie pusty. Powiedz portierowi, oni mają trochę wpływów w firmach przewozowych. W każdym razie jeśli złapiesz ten prom, po około dwóch godzinach od twojego przylotu dotrze tam ktoś, żeby cię odebrać.

* * *

Rockhouse Minor było cichsze od Major i mniej zapracowane. Esmay szła wyłożonym

dywanem korytarzem, oglądając wystawy ekskluzywnych sklepów, które przypominały dzieła sztuki: małe, pełne klejnotów i urzekające. Jeden but ozdobiony sznurami pereł. Szal z diamentowym naszyjnikiem. Antyczny chronometr, kryształowy dzban...

Sekcja B okazała się jeszcze bardziej luksusowa: puszysty dywan i wyściełane fotele stojące przed akwariami z rzadkimi okazami morskimi. Lassaferańska ślimakoryba z wydłużoną purpurową płetwą wyglądała równie dziwacznie, jak się nazywała.

Dalej w korytarzu wisiała przegroda w formie olbrzymiego gobelinu, a przed nią stała budka strażnicza. Strażnik sprawiał wrażenie samotnego i nie uzbrojonego, ale Esmay wątpiła, by faktycznie tak było.

– W czym mogę pomóc, sera? – zapytał, gdy podeszła.

– Jestem Esmay Suiza i ktoś na mnie czeka.

– Proszę wybaczyć, sera, ale czy mogę zobaczyć pani dokumenty? Esmay podała mu portfel.

– Gdyby zechciała pani przyłożyć tu dłonie... – Zrobiła tak, jak kazał. – Dziękuję, sera, i przepraszam za utrudnienia. Proszę przejść.

Za rozcięciem w gobelinie mieściła się duża i dobrze urządzona strażnica, gdzie z pół tuzina ludzi w mundurach obsługiwało skanery, włącznie z pełnozakresowym podglądem korytarza, którym właśnie przysła.

Dalej, w poczekalni, stały wyściełane fotele oraz kilka stołów i krzeseł. Było tu tylko kilka osób rozmawiających przy stole i starszy mężczyzna siedzący w fotelu. Kiedy Esmay zapadła się w fotel, niemal natychmiast podszedł do niej ubrany na zielono steward.

– Czy sera ma ochotę na jakieś przekąski?

– Nie, dziękuję – odpowiedziała. Cokolwiek tu serwują, bez wątpienia musi kosztować cztery razy tyle, co gdziekolwiek indziej.

– Sera Meager chciała być pewna, że będzie pani dobrze się czuła – powiedział steward. – To prywatna sala Barracloughów i cały poczęstunek jest bezpłatny. Nastąpiło niewielkie opóźnienie i prom przyleci dopiero za kilka godzin.

Esmay jadła przed odlotem na Rockhouse Major, ale od tej pory upłynęło już kilka godzin.

– Nie przypuszczam, żebyście mieli zupę...

– Ależ mamy, sera – odpowiedział steward, ożywiając się. Zanim przyleciał prom, Esmay uznała, że jeśli nie będzie mogła wrócić do Floty, chciałaby pracować dla kogoś, kto żyje w taki sposób. Z łatwością mogłaby przyzwycząć się do takich luksusów.

* * *

Prom leciał nad niskimi wzgórzami, zielonymi polami i sadami, znacznie bardziej zielonymi niż na Altiplano i nie otoczonymi górami. Gdy wylądował, zobaczyła mały kamienny budynek i kilka samochodów naziemnych, a potem, kiedy już kołował, dostrzegła dwie machające do niej blondynki. Czekając na otwarcie drzwi promu, Esmay przygotowywała się na zderzenie z silną osobowością Brun. Bez wątpienia przyjaciółka będzie miała własne plany związane z jej wizytą, a tymczasem Esmay przybyła tu dlatego, że potrzebowała pomocy Brun. Nie przyleciałam tu po to, aby rozmawiać o modzie, powtarzała sobie, jestem tu po to, żeby wrócić do Floty.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Przestrzeń dokowa *Terakian Fortune* na Rockhouse Major była za mała, by ustawić cały pawilon, więc Basil rozstawił tylko tablicę i połowę instalacji biurowej. Dodatkowa „załoga” była obecnie przesłuchiwana przez Flotę, więc po wyładowaniu całego towaru przeznaczonego dla Rockhouse próbował oszacować, jaką powierzchnią załadunku dysponują. Ciekawe, czy ktoś z trupy powróci? Miał nadzieję, że tak. Goonar zrobił się ostatnio strasznie marudny, ciągle narzekał na stracony czas i zmarnowaną przestrzeń.

– Hej tam! – Basil podniósł wzroki zobaczył w drzwiach biura wysokiego, szczupłego mężczyznę o kanciastych ramionach. Był kimś ważnym, ale nie biznesmenem jak sugerował jego elegancki garnitur. To pewnie wojskowy. Odszedł z Floty? Sądząc po jego władczym tonie, to wcale nie był były wojskowy.

– Tak?

– Ile macie miejsc dla pasażerów?

Basilowi podniosły się włosy na karku; czuł, jak ocierają się o tył kołnierzyka koszuli.

– Zazwyczaj pięć – odpowiedział – ale musiałbym skontaktować się z kapitanem, bo mamy już wstępną rezerwację. – Chciał, żeby Bethya wróciła na statek, choćby nawet miał ją przyciągnąć za nogę i wepchnąć do kabiny kapitana.

– Wezmę je – oświadczył mężczyzna. – Płacę gotówką. Czyż nie tak właśnie lubicie, wolni kupcy?

– Proszę usiąść, a ja połączę się z kapitanem – powiedział Basil.

– Zaczekam tutaj – odpowiedział. Basil zauważył, że mężczyzna stoi na wpół ukryty przed spojrzemiami z zewnątrz, tak, by móc w każdej chwili rzucić się do środka lub na zewnątrz. Basil niejednokrotnie sam stawał w taki sposób, gdy spodziewał się jakichś kłopotów. Wycofał się na zaplecze, wcisnął klawisz połączenia z Goonarem i natychmiast wrócił. Mężczyzna nie ruszył się z miejsca, tylko rzucił mu ironiczne spojrzenie.

– Kapitan jest w drodze – poinformował go Basil.

Goonar wyglądał na zmęczonego i przygnębionego, ale przywitał nieznanego uprzejmie, jak miał w zwyczaju.

– Miejsca pasażerskie? Mamy pięć kabin, ale są bardzo skromne. To nie jest liniowiec pasażerski.

Mężczyzna rzucił Basilowi kwaśne spojrzenie.

– Pański... człowiek... powiedział, że macie wstępną rezerwację tych kabin. Chciałbym zapłacić za nie gotówką, od ręki.

– Dostaliśmy depozyt – powiedział Goonar i Basil nieco się odprężył. Kuzyn najwyraźniej postanowił go poprzeć. – Nie wycofujemy się z depozytów.

– Powiedział pan, że macie pięć kabin – odezwał się tamten.

– Tak, może być pięć, jeśli osoba, która zapłaciła, nie pojawi się, ale w innym przypadku będą wolne cztery miejsca. Dokąd się pan kieruje?

– To nie pańska sprawa. Chcę polecieć z wami aż na Millicent.

– Aha. Zakładam, że dokumenty pana i pozostałych pasażerów są w porządku?

– Oczywiście, za kogo mnie pan bierze? – powiedział mężczyzna, a Basil nagle nabrał

przekonania, że kłamie

– Po prostu nie przewozimy zbiegów – oświadczył obojętnie Goonar – ani nie angażujemy się w jakąkolwiek politykę. Zgłaszamy pasażerów na manifeście dostarczanym zarządcy stacji przed odlotem, tak samo, jak liniowce pasażerskie. Taka jest polityka Terakiana i Synów, i moim obowiązkiem jako kapitana statku jest poinformować o tym każdego, kto chce z nami lecieć.

Mężczyzna uśmiechnął się szyderczo.

– Założę się, że nie zawracacie sobie tym głowy, jeśli to ładna dziewczyna.

– Wręcz przeciwnie, ser. Jesteśmy bardzo drobiazgowi, niezależnie od wieku czy płci pasażera, by uniknąć wszelkich komplikacji. – Basil, znając dobrze Goonara, wyczuł badawczy ton ukryty za niemal znudzonym głosem. A więc Goonar też coś zauważył.

– Cóż, to nie mój problem – powiedział mężczyzna i przeciągnął się, jakby był zrelaksowany, ale Basil wiedział, że ten gest jest tak samo wystudiowany, jak obojętny ton Goonara. Gdy ręka mężczyzny powędrowała w górę, Basil zauważył wypukłość świadcząca o tym, że pod marynarką ukryty jest przedmiot, którego nie powinien nosić zwykły biznesmen.

– Dobrze – rzekł Goonar. – Przelot stąd do Millicent zajmuje szesnaście dni.

– Szesnaście dni! – Chyba w spacerowym tempie?

– Nie jesteśmy statkiem kurierskim, ser. Nasza podstawowa funkcja to przewóz towaru.

– Kapitanie, sam spędziłem trochę czasu na statkach. Ja... hmm straciłem swój statek, gdy firma przegrała sprawę sądową. Dlatego właśnie jestem na Rockhouse. Sprzedali go, żeby spłacić grzywny.

Jeśli to kłamstwo, pomyślał Basil, to bardzo głupie, gdyż wyroki sądowe były publicznie dostępne i każdy mógł to sprawdzić. I on to robi.

– Znam tę trasę, kapitanie – ciągnął mężczyzna – i wiem, że można ją skrócić o kilka dni. Zwiększy to pańskie zyski.

– Jeśli mówi pan o żółtej trasie – rzekł Goonar – to tam jest zmienne zakole.

– Och, tylko tak mówią. Nawet pan tego nie zauważy. Flota oznaczyła trasę na żółto, bo chcą zachować wszystkie szybkie szlaki tylko dla siebie. – Potem, jakby uznał, że kłamstwo wymaga dodatkowych wyjaśnień, dodał: – Kuzyn mojej żony jest we Flocie i to on mi o tym powiedział.

– Cóż, nie zabiorę starego *Fortune* żółtą trasą tylko po to, żeby zaoszczędzić kilka dni. Firma zażądałaby moich uszu.

Basil zauważył, jak ręka mężczyzny odruchowo podnosi się, ale niemal natychmiast opadła.

– Nawet gdybym zaoferował panu premię? Muszę dotrzeć na Millicent prędzej niż za szesnaście dni.

– Jakie znaczenie może mieć kilka dni? – zapytał Goonar. – Millicent to i tak dziura.

Rysy twarzy mężczyzny stwardniały.

– Dla mnie to ma znaczenie – oświadczył – ale to już nie pańska sprawa. Zapłacę ekstra za przelot szybszą trasą, i zapewniam pana, że zakole nie stanowi żadnego problemu. Sam wielokrotnie tamtędy latałem.

Kark Goonara lekko się zaczerwienił.

– Nie zabiorę mojego statku na taką trasę, opierając się tylko na słowie nieznajomego.

– Nawet za półtorej stawki? Człowieku, w ten sposób zarobisz nawet na przelocie bez ładunku.

– Nikt mi nie zapłaci za statek, jeśli coś pójdzie nie tak. Pan może ryzykować własne życie, aleja nie będę narażał mojego statku i krewnych. Nie.

– Pański statek. – Mężczyzna wydał wargi, a Basil zauważył, że kostki jego dłoni zaciśniętej w pięść pobieleły. Na wszelki wypadek przesunął środek ciężkości, przygotowując się do skoku. – Pański statek to tylko zwykła stara krypa.

Wokół ust Goonara pojawiły się białe plamki.

– W takim razie jestem pewien, że nie będzie pan chciał z nami lecieć – powiedział. – Proszę nie blokować przejścia.

– Ty... ty durniu! – Mężczyzna odwrócił się na pięcie i wyszedł. Basil wyjrzał przez drzwi i obserwował go, jak idzie wzdłuż innych straganów.

– Myślę, że przed wyrzuceniem powinniśmy byli zapytać go o nazwisko – powiedział Goonar. Powoli wracał mu normalny kolor twarzy. – Naprawdę sądził, że uda mu się wysłać nas w pułapkę?

– Jaką pułapkę?

– Widziałeś równie dobrze jak ja, że to wojskowy. Może buntownik, a może zwiast z Floty i zajął się piractwem.

– Zastanawiam się, czego chciał na Millicent.

– Ja raczej się zastanawiam, czego chciał od tej żółtej trasy. – Goonar zmarszczył czoło. – Jeśli dobrze pamiętam, jest tam dodatkowy punkt skokowy, z około dwugodzinnym przelotem. Trzeba wyjść z małą prędkością i zmienić wektor. Innymi słowy, to idealne miejsce na atak. Ale do tego potrzeba drugiego statku.

– Skoro o tym wiemy, może moglibyśmy złapać tamten statek i dostać nagrodę.

Goonar pokręcił głową. – To mi się nie podoba. Ten facet znajdzie kogoś, kto zabierze go tamtą trasą razem z jego kolegami. Jeszcze coś zauważyłeś?

Basil opowiedział mu wszystko, każdy dostrzeżony szczegół, poczynając od sposobu, w jaki mężczyzna stał w drzwiach, nie chcąc wejść, a kończąc na tym, jak drgnął, słysząc o Ojcach obrywających Goonarowi uszy.

– Uszy? Zastanawiam się...

– Co?

– Basil, pamiętasz, co powiedziała Esmay? Że buntownicy to wyznawcy Lepescu i obcinają uszy pokonanym wrogom?

– Czyli... to faktycznie jest buntownik.

– Możliwe. Myślę, że piraci też mogą obcinać uszy. Ale żałuję, że nie zdobyliśmy jego nazwiska.

– W każdym razie mamy coś, co pozwoli go zidentyfikować – powiedział Basil i roześmiał się na widok zdziwionej miny Goonara.

– Jak? Przecież nie wszedł tu do środka ani nie usiadł.

– Nie, ale opierał się dłońmi o framugę, i nie widziałem, żeby miał rękawiczki. A ponieważ stał cały czas w jednym miejscu, byłem w stanie przekonfigurować skanery biura, żeby go sfilmowały. Jeśli myślisz o ostrzeżeniu zarządcy stacji, możemy wezwać...

– Nie zarządcy stacji, tylko Floty. Zrób coś, Bas, żeby zachować te odciski na framudze. Ten gość może tu jeszcze wrócić i je zetrzeć, jeśli tylko o tym pomyśli.

– Racja. – Basil podszedł do drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Rzeczywiście, mężczyzna znów szedł w ich stronę, jednak na jego widok zatrzymał się. Basil stanął w drzwiach, opierając się dłonią o framugę, ale odrobinę wyżej niż tamten, i zaczął się w niego wpatrywać. Całkiem dobrze się bawił, choć zabawa byłaby jeszcze lepsza, gdyby mógł mu zdeformować twarz; pewnie nikt by nie protestował, że pobił buntownika. W końcu mężczyzna wzruszył ramionami, odwrócił się i wszedł do jednego ze sklepów mieszczących się przy głównym korytarzu.

– Zadzwoń teraz – powiedział przez ramię Basil. – Miałeś rację, już tu wracał.

– Mam nadzieję, że nie oparłeś się w tym samym miejscu – rzucił Goonar.

– Mam za sobą wystarczająco wiele walk, żeby wiedzieć takie rzeczy.

– Ciekawe, czy to go zmyliło. Włączam pełne zabezpieczenia – dodał Goonar, po czym zapadła cisza. Sądząc, że kuzyn rozmawia z Flotą, choć przez ekran ochronny nie przedostawał się żaden dźwięk, Basil zajął się wnoszeniem i wynoszeniem z poczekalni różnych kartonów. Wiedząc, że wciąż może być obserwowany, co i rusz chwycił się framugi drzwi, unikając miejsca, w którym mężczyzna – jak miał nadzieję – zostawił swoje odciski.

Zaczynało mu już brakować kartonów do przestawiania, gdy ktoś zawołał z zewnątrz.

– *Terakian Fortune!*

– Tak? – Basil odwrócił się. Dwóch ludzi w mundurach Floty. Świetnie. Teraz tajemniczy nieznajomy będzie wiedział, że na niego donieśli.

– To wy przewoziliście byłą oficer Floty, Esmay Suizę? – zapytał głośno wyższy z nich.

– Suizę? Czemu pytacie? – odparł opryskliwie.

– Próbujemy ją odnaleźć – powiedział mężczyzna. – Jestem komandor Tavard. Wie pan, że trwa bunt?

– Tak.

– No cóż, Flota zbiera byłych oficerów i ponownie proponuje im służbę. W każdym razie... powiedziano nam, że Esmay Suiza była waszym pasażerem. Czy to prawda?

– Suiza z Altiplano? – zapytał jakiś kręcący się w pobliżu mężczyzna. – Bohaterka z Xaviera?

Komandor Tavard przewrócił oczami.

– Ta sama – odpowiedział, a potem zwrócił się do Basila: – Czy możemy wejść i porozmawiać z kapitanem? Albo z Suizą, jeśli tam jest?

– Jej tutaj nie ma, ale jest kapitan. Może on wie, co się z nią stało. Proszę za mną. – Basil włączył zewnętrzny ekran ochronny, nie tak dobry, jak ten wewnątrz biura, ale wystarczający na przypadkowych podsłuchiowaczy.

– Czy jest tu coś, czego nie powinniśmy dotykać? – zapytał cicho komandor Tavard.

Basil uśmiechnął się. A więc wcale nie chodzi o Esmay; to reakcja na telefon Goonara.

– Tędy, proszę – powiedział, otwierając zamaszystym gestem drzwi biura i zapraszając ich do środka, niby przypadkiem wskazując miejsce, gdzie były odciski palców.

– Kapitanie – rzekł. – To komandor Tavard, przyszedł zapytać nas o Esmay Suizę. Mówi, że chcą ją ściągnąć z powrotem do Floty.

– Miło mi pana poznać, komandorze – przywitał się Goonar. Basil natychmiast zauważył, że ekran ochronny w biurze jest wyłączony, i podniósł znacząco brew, ale Goonar tylko potrząsnął głową. – Sera Suiza to bardzo miła młoda kobieta. Nie rozumiem, czemu została zwolniona.

– To nieporozumienie – wyjaśnił komandor Tvard. Kiwnął głową drugiemu mężczyźnie, którego nie przedstawił, a tamten otworzył swoją walizeczkę i wyciągnął sprzęt podobny do tego, jakiego ochrona stacji używała do zbierania dowodów. – Nigdy nie powinno było do tego dojść. Z początku nie mogliśmy jej znaleźć. Wiem, że zgłosił ją pan na swoim manifeście przewozowym, ale szczerze mówiąc, nikt nie pomyślał o sprawdzeniu manifestów transportowców. Lokalne dowództwo było pewne, że wynajęła jacht pod przybranym nazwiskiem.

Basil przyglądał się, jak mężczyzna przykładła do framugi drzwi pas jakiegoś przezroczystego materiału, i z podziwem słuchał historyjki wymyślonej przez komandora dla ukrycia prawdziwego celu wizyty. Kiedy mężczyzna oderwał taśmę, spryskał ją utrwalaczem i starannie zwinął, chowając do torby, Basil podał mu wskazaną przez Goonara kostkę danych – bez wątplenia kopię oryginalnych danych skanu.

– Rozumiem, czemu chcecie ją ściągnąć z powrotem – powiedział Goonar – ale nie ma jej tutaj.

– Czy zamierza wrócić? Zostawiła może jakiś bagaż?

– Nie, powiedziała, że wybiera się na dół, do dowództwa Floty na Castle Rock. Myślę, że sama chciała do was wrócić.

– Jeśli tak, to jeszcze nas o tym nie poinformowano. Ale wykonam kilka telefonów i sprawdzę. A przy okazji, proszę uważać na buntowników, którzy mogą próbować kontaktować się z cywilnymi statkami. Mieliśmy parę raportów o atakach, które mogły być wynikiem piractwa albo działaniami buntowników. Za dzień lub dwa, gdy będziemy mieć bardziej szczegółowe informacje, Flota opublikuje okólnik, ale zalecam, aby trzymać się wyłącznie zielonych tras, nawet jeśli normalnie używa pan żółtych, by zaoszczędzić sobie czasu. Gdyby zgłosił się do pana ktoś, komu zależałoby na szybkim i potajemnym przelocie, mam nadzieję, że pan nas o tym poinformuje.

– Oczywiście – odpowiedział z uśmiechem Goonar. – Ale... nie przypuszczam, żeby dawano za to jakąś nagrodę?

– Nie. – Komandor, również szczerząc zęby, powiedział to poważnie i z dezaprobatą. – Myślę, że powinien pan kierować się troską o własne bezpieczeństwo. Jeśli buntownicy zaczną obrabowywać statki dzięki informacjom uzyskanym od cywilnych kapitanów, pożałuje pan swojej pazerności.

– Nie nazwałbym tego chciwością, raczej próbą zadbania o przyzwoity dochód. Wy nie musicie się o to martwić, bo wasze wydatki są pokrywane z naszych podatków.

– Nie zamierzam się z panem spierać – powiedział komandor. – Mam tylko nadzieję, że podejmie pan właściwą decyzję... albo kiedyś jej pan pożałuje.

Oficerowie wyszli, odprowadzani przez Basila i Goonara. Na odchodnym komandor odwrócił się.

– Jeśli zobaczy pan Suizę, proszę nas o tym poinformować. I proszę pamiętać o tym, co powiedziałem.

– Będę pamiętał – zapewnił go Goonar. – Zajmijcie się swoją kochaną Flotą, a nam pozwólcie się zająć handlem. – Potem odwrócił się do Basila. – Cóż to za napuszone cymbały. Jakbym sam nie wiedział, jak wyniuchać kłopoty. – Skierował się z powrotem do biura, a Basil poszedł jego śladem, zastanawiając się, czy ktoś oglądał ich przedstawienie i jak je odebrał.

Castle Rock, prywatne lądowisko promowe Appledale

– Przepraszam za tę całą tajemniczość – powiedziała Brun – ale to drugie zabójstwo zrodziło wszelkie możliwe teorie spiskowe, mimo że Benignity do wszystkiego się przyznała.

– Naprawdę?

– Tak, oficjalnie, w Wielkiej Radzie. Zabójca udawał instruktora fechtunku.

– Instruktora frachtunku? – Esmay usiłowała zrozumieć, czemu przewodniczący Wielkiej Rady chciał się nauczyć załadunku statków.

– To walka na miecze – wyjaśniła Kate i uśmiechnęła się do Esmay. – Kiedy pierwszy raz to usłyszałam, też zgłupiałam.

– W każdym razie wielu ludzi w to nie uwierzyło – mówiła dalej Brun. – Myśleli, że może zrobiła to nasza rodzina w odwecie za zamordowanie przez Hobarta mojego ojca.

– On to zrobił? – Esmay miała wrażenie, że nie było jej tutaj znacznie dłużej niż miesiąc. – Niczego takiego nie słyszałam.

– Właściwie on tego nie zrobił bezpośrednio, tylko człowiek z jego koterii, który chciał w ten sposób zyskać jego przychyłność.

– Czekaj... – Esmay podniosła rękę. – Twój ojciec został zastrzelony czy też przebito go mieczem?

– Tak, zastrzelony. Wszyscy myśleli, że to Milicja Nowego Teksasu, tylko że wcale tak nie było. Pedar – człowiek, który kazał zabić mojego ojca – zdradził się przed lady Cecelią. Znasz lady Cecelię?

– Nie, ale słyszałam o niej. Kim jest Pedar?

– Idiotą. Dalekim krewnym Hobarta Conselline'a i wrzodem na tyłku. Hobart mianował go ministrem spraw zagranicznych.

– Co zrobiłaś, kiedy dowiedziałaś, że to jego sprawka?

Brun wymieniła spojrzenia z Kate.

– To kolejna trudna rzecz – powiedziała. – Zabiła go moja matka... w wypadku...w czasie ćwiczeń z szermierki.

Esmay wciągnęła głęboko powietrze i bardzo powoli je wypuściła.

– Twoja matka zabiła mordercę swojego męża przez przypadek?!

– Tak właśnie stwierdzono w raporcie. Jej floret złamał się i pozostał ostry czubek, a potem zawiodła maska Pedara. Oczywiście niektórzy ludzie w to nie wierzą. Z punktu widzenia naszej rodziny nie mogło się to zdarzyć w najmniej odpowiednim momencie.

Pęknięcie floretu mogło być przypadkiem... ale już pęknięcie maski to mocno podejrzana sprawa, pomyślała Esmay, choć nic nie powiedziała.

– To był stary floret – kontynuowała Brun. – Antyk. Nie wiem, czemu w ogóle nim walczyli. Prawdopodobnie Pedar chciał; uważał, że wszystko, co stare, jest stylowe.

– No i... – ponagliła ją Esmay.

– Pedar zginął kilka dni przed zamordowaniem Hobarta. Lady Cecelia przybyła tam tuż po tym wypadku.

Kolejny podejrzany zbieg okoliczności. Esmay przypomniała sobie lady Thornbuckle, którą widziała przez krótką chwilę w dniu powrotu Brun na Rockhouse Major. Szczupła, elegancka

kobieta, zdecydowanie zbyt opanowana, by być matką kogoś takiego jak Brun.

– A więc ludzie obwiniają twoją rodzinę, ponieważ zarówno Pedar, jak i Mówca zostali zabici mieczami?

– To coś więcej – wyjaśniła Brun. – Wiesz, my jesteśmy z klanu Barracloughów, a Hobart był Consellinem. Kiedyś było pięć klanów, ale teraz zostały już tylko dwa. Wszystkie Famile – te zasiadające w Radzie – zebrały się w tych dwóch klanach, które rywalizują ze sobą ekonomicznie i politycznie. Consellinowie stracili sporo prestiżu i zysków, kiedy na Patchcock ujawniono aferę z lekami do odmładzania.

– Lekami do odmładzania?

– Tak. To było zaraz po bitwie o Xaviera. Pewnie byłaś zajęta procesem, więc – skracając całą historię – powiem ci tylko, że fabryki farmaceutyczne na Patchcock produkowały środki do odmładzania, stosując tańszy proces, który w efekcie dawał produkt gorszej jakości. Było tam jeszcze mnóstwo innych spraw – agent Benignity, wykorzystywanie robotników – ale ważne jest to, że bracia Morrellinowie stracili kontrolę nad rodzinną firmą na rzecz siostry Venezii, a dochody bardzo znacząco spadły. Farmakologia odmładzania była ich głównym źródłem dochodów i powodem tak dużych wpływów w klanie Consellinów.

– Poczekaj... Złe leki do odmładzania? Nie wiesz, czy te leki były też kupowane przez Flotę?

– Owszem, były, i to właśnie Flota zauważyła, że są jakieś problemy z odmładzaniem ich starszych podoficerów.

– Tak – potwierdziła Esmay. – Rzeczywiście zauważyliśmy.

– Hobart chciał odzyskać udziały w rynku. Kiedy został Mówcą, przerwał badania, a potem znów zaczął wypychać leki na rynek. Benignity twierdzi, że właśnie dlatego go zabili.

– A tymczasem – wtrąciła się Kate – wuj Brun próbował przechwycić spadek po jej ojcu, twierdząc, że postradał zmysły, skoro wysłał Flotę, żeby odbiła Brun z rąk Milicji Nuteksu.

– Myślałyśmy, że wreszcie udało nam się opanować sytuację – powiedziała Brun. – Przed tymi zabójstwami znalazłyśmy dowody na to, że wuj zastraszał innych członków rodziny i zmuszał ich do oddania mu swoich udziałów lub wyznaczenia go na pełnomocnika. Sąd uznał testament ojca za ważny i Harlis stał się obiektem śledztwa. Ale teraz...

– Mamy straszny bałagan – dokończyła Kate.

– Rozumiem – rzekła Esmay. – I do tego jeszcze bunt.

– Tak. Consellinowie pewnie wypowiedzieliby wojnę Barracloughom, gdyby mieli wojsko, ale jak na razie lojaliści we Flocie jeszcze się trzymają. Buntownicy... Docierają do nas plotki, że niektórzy z nich oferują swoje usługi różnym rodzinom, między innymi Consellinom.

– Najemnicy.

– Tak jest. – Kate sprawiała wrażenie dziwnie rozradowanej. Esmay przypomniała sobie, że to nie jest jej kraj. – A oto i dom.

Appledale przypominało Esmay dom na estanzy Suizów: duży, otoczony ogrodami, sadami i mniejszymi budynkami. Brun zaprowadziła ją do pokoju wychodzącego na osłonięty murem ogród i basen.

– A teraz, Esmay, wysłuchajmy twojej opowieści – powiedziała, opadając na pokryty perkalem fotel.

Esmay opowiedziała swoją historię najkrócej, jak się dało: kłótnia z admirałem Serrano, awaryjne

wezwanie po wybuchu buntu, pospieszny ślub z Barinem w drodze na przydzielone statki, nagłe zwolnienie z Floty.

– To zupełnie do niej nie pasuje – powiedziała Brun, marszcząc brwi. – To prawda, ma temperament Serrano, ale zawsze była sprawiedliwa. Musi mieć świadomość, że to, co się stało setki lat temu, nie jest twoją winą.

– Powiedziała, że to kwestia honoru – rzuciła Esmay, wzruszając ramionami.

– Honor jest zdecydowanie zbyt często przeceniany. Zwłaszcza gdy ludzie popełniają przez niego głupoty.

– Na Altiplano bardzo wysoko cenimy honor – powiedziała Esmay. – Tak samo we Flocie.

Brun machnęła ręką.

– Jest honor i honor. Mówię o takim głupim honorze, kiedy zachowujemy się jak dzieci. Nie żebym sama kiedyś tego nie robiła, ale... wtedy w ogóle nie za wiele myślałam.

– Odkładając na bok kwestię honoru – odezwała się Kate – czemu myślisz, że admirał Serrano zmieniła zdanie i wyrzuciła cię z Floty?

– Ponieważ powiedziano mi, że rozkaz podpisała admirał Serrano – wyjaśniła Esmay.

Brun wzruszyła ramionami.

– Jest wielu admirałów Serrano. Może to wcale nie była babka Barina. Lubię ją, choć trochę mnie przeraża.

– Trochę! – Esmay pomyślała o jej zimnych oczach, przepełnionych wrogością. – Ale to musiała być Vida Serrano. Kto by to zrobił, gdyby ona nie chciała?

– Przez głupotę i zamieszanie – powiedziała Kate – w dużych organizacjach ciągle zdarzają się takie rzeczy. Ktoś pomyślał, że uszczęśliwi babkę Barina, wyrzucając cię z Floty, a nie wiedział, że ona zmieniła zdanie. Kto jeszcze był na tym spotkaniu rodzinnym?

– Nawet nie zdążyłam wszystkich poznać.

– Potrzeba ci dobrego prawnika – oświadczyła Brun. – Mogę użyć moich wpływów, ale oczywiście najlepszy byłby Kevil Mahoney. Wciąż czeka na przyrośnięcie nowego ramienia, ale jeśli nie będzie mógł sam ci pomóc, wciąż ma kontakty. Może powinniśmy na razie przenieść się do miasta. Nie sądzę, żeby było o wiele trudniej zapewnić nam bezpieczeństwo w mieście niż tutaj, w Appledale. Zadzwońię do George'a.

Pawilon rehabilitacyjny Breitis, oddział kończyn

Kevil Mahoney uśmiechnął się na widok Brun i Esmay wchodzących do jego pokoju w centrum rehabilitacyjnym.

– Zastanawiałem się, czy to twój radosny głosik słyszałem na korytarzu – rzekł do Brun. – A to bez wątplenia jest sławna porucznik Suiza.

– Już nie porucznik, sir – powiedziała Esmay.

– Brun, zatrąłaś jej umysł tymi bzdurami przeciwko dyscyplinie?!

– Wujku Kevilu! Ona została niesprawiedliwie zwolniona z Floty. Musimy coś z tym zrobić.

Uniósł brew.

– To znaczy chcesz, żebym ja coś z tym zrobił.

– Na początek wysłuchaj jej. Opowiadaj, Esmay.

– W takim razie słucham.

Esmay ponownie opowiedziała całą historię, zaczynając od ataku admirała Serrano. Kevil słuchał z zamkniętymi oczami – zastanawiała się, czy nie przysypia – ale kiedy skończyła, otworzył oczy i zaczął jej zadawać pytania. Z początku te same, co Brun i Kate, a potem coraz więcej i więcej pytań, które nigdy nie przyszłyby jej do głowy. Polityka handlowa Altiplano? Nie miała o niej pojęcia. Związki Altiplano ze Światami Półksiężycy? Żadnych, o ile wiedziała. A ze Szmaragdowymi? Esmay miała wrażenie, że wyciąga z niej wszystko, co wie, czego się domyśla, a nawet co sobie wyobraża o rodzinnej planecie.

– Ciekawe – rzekł wreszcie i znów zamknął oczy. Esmay skorzystała z okazji i napiła się wody. – Naprawdę bardzo ciekawe – powtórzył i ponownie otworzył oczy. – Tuż przed śmiercią Bunny'ego rozmawiałem z nim o tych sprawach. Obaj byliśmy świadomi, że struktura Familii Regnant nie nadąża za wzrostem populacji.

– W jaki sposób? – zapytała Brun.

– Cóż, Familie powstały jako komercyjne konsorcjum nastawione na zysk, konsorcjum, które połączyło swe zasoby w celu zwalczania piractwa. Ale jeśli ci się zdaje, Brun, że mamy rząd, to tylko dlatego, że twoja bardzo droga szkoła nauczyła cię więcej o urodzie niż o naukach społecznych.

– Ale czyż rządy nie są tworzone zawsze z myślą o dobrobycie obywateli? – zapytała Esmay.

– Dobry Boże, nie! Skąd pani przyszło to do głowy? Oczywiście, Altiplano to jeden z wielkich eksperymentów socjalnych historii. Przepraszam, nie chciałem być sarkastyczny. – Kevil ze stęknieniem poprawił się na łóżku. – Niech to szlag, chcę poruszyć ramieniem i wiem, że nie mogę jeszcze przez dwadzieścia trzy godziny i szesnaście minut.

– Tak krótko?

– Tak długo. To dla mnie cała wieczność... ale to ciekawy sposób odwrócenia uwagi. Nieczęsto się zdarza, że przychodzą do mnie dwie piękne młode kobiety i wysłuchują wykładu na temat historii prawa.

– Nie wygłupiaj się, wujku Kevilu – powiedziała Brun.

– Nie wygłupiam się. Mówię całkiem poważnie i mam nadzieję, że ty też, młody nicponiu. Czas już dorosnąć, Charlottto Brunhildo. Ty, ja i całe Familie. Jesteśmy jak dzieci bawiące się w dużym, osłoniętym ogrodzie. Teraz nagle znaleźliśmy się na zewnątrz i nasze życzenia przestają się same spełniać.

– Wydaje mi się, że widziałam już kawałek prawdziwego świata. – Brun zmarszczyła brwi.

– Tak, a porucznik Suiza widziała jeszcze więcej. Ale jest wiele rzeczy, o których żadna z was nie wie. Pamiętacie, jak zniknęła Ottala Morrelline i zaczęły się kłopoty na Patchcock? Wtedy właśnie twój ojciec i ja zaczęliśmy sobie uświadamiać, jak bardzo podzielone są opinie na temat samego tylko odmładzania. Familie nie przypominają żadnej innej znanej nam organizacji międzygwiazdowej, nie są... spójne. Po prostu powstały w drodze wchłaniania wszystkiego, co leżało w strefie ich wpływów.

Brun zamyśliła się.

– Kate też coś takiego mówi i wciąż wspomina o konstytucji.

– Cóż, Konfederacja Samotnej Gwiazdy ma rząd konstytucyjny. Zanim wkroczyliśmy w Światy Półksiężycy, były tam rządy religijne. Większość rządów zaczyna albo od wspólnej kultury, albo

wspólnej polityki. Ale my nie. To liberalistyczne podejście bardzo długo się sprawdzało, ponieważ klany tworzące Familie były bogate, a podbijane światy przynosiły coraz większe zyski. Ale to nie mogło trwać w nieskończoność. Zwłaszcza gdy ludzie sprawujący władzę zaczęli się zachowywać jak dyletanci.

– Przepraszam. – Do pokoju weszła energiczna kobieta w kolorowym kombinezonie. – Czas już odwrócić zbiornik, ser Mahoney. – Esmay i Brun odsunęły się i kobieta podeszła do łóżka. – Bardzo proszę wyjść – powiedziała. – Obrócenie i zmiana pozycji zajmie pół godziny.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Castle Rock, pawilon rehabilitacyjny Breitis, oddział kończyn

Esmay zastanawiała się nad tym, co powiedział Kevil Mahoney, a wcześniej także inni ludzie, i kiedy pielęgniarka powiedziała im, że mogą wrócić do pokoju Kevila, zaraz nawiązała do przerwanej rozmowy.

– Myślę, że macie źle ustawione priorytety – oświadczyła. Brun i Kate spojrzali na nią ze zdziwieniem.

– Co masz na myśli? Co może być ważniejszego niż umocnienie pozycji rządu?

– Stłumienie buntu. Jeśli nie będziecie mieli lojalnego wojska, staniecie się łatwym celem ataku. Buntownicy mogą próbować dokonać wojskowego zamachu stanu. Benignity twierdzi, że w tej chwili nas nie zaatakują... ale czemu mamy im wierzyć? Przyznają się do zamordowania przywódcy naszego państwa i mówią, że robili to już wcześniej. Zaledwie kilka lat temu próbowali przejąć Xaviera. Założę się, że wciąż go chcą zdobyć. A Krwawa Horda...

– To tylko zwykli barbarzyńcy – przerwała jej Brun. – Nie stanowią prawdziwego zagrożenia.

– Powiedz to ludziom, którzy zginęli na *Koskiusko*. Albo tym, którzy bylina zaatakowanych przez nich planetach i stacjach. Nie są może tak poważnym zagrożeniem dla całych Familii, jak Benignity, ale nie powiedziałabym też, że są bez znaczenia. Z pewnością mogą mieć wpływ na nasz handel. A jeśli zdobędą nasze okręty liniowe i uzbrojenie...

– Myślisz jak admirał – zauważył Kevil – a takich uwag bardzo nam potrzeba.

– Zeszłej nocy zastanawiałam się nad tym, że przez całe dzieje, jeszcze w czasach Starej Ziemi, organizmy polityczne zaczynały od spraw bezpieczeństwa, a dopiero potem martwiły się o swoją organizację. Czytałam, że tak było nawet w czasach królów.

– Ludzie garną się do rządu, który daje im poczucie bezpieczeństwa? – zapytała Brun.

Esmay uśmiechnęła się.

– Czy wolałabyś rozwijać swoje umiejętności w wybranym przez siebie sporcie czy na wojnie?

– Masz rację. A więc oficer Floty...

– Były oficer.

– Wkrótce znów nim będziesz. Oficer każe nam się zająć najpierw naszym bezpieczeństwem, a to oznacza stłumienie buntu.

– A potem?

– A potem zobaczymy, czym trzeba będzie się zająć. Nie da się utrzymać wszystkiego siłą, nawet za pomocą całkowicie sprawnej Floty.

– Jeśli masz rację, Esmay – a muszę przyznać, że to możliwe – musimy cię wprowadzić z powrotem do Floty, i to najszybciej, jak można.

– Nie mam pojęcia, jak wyrzucony oficer może wrócić na służbę – przyznała Esmay.

– Zrobiła to Heris Serrano – zauważyła Brun.

– Nie wątpię, że można to zrobić z pomocą rodziny Serrano – stwierdziła kwaśno Esmay. – Aleja nie mogą na nich liczyć.

– Masz mnie po swojej stronie, a to coś znaczy. Mogę zaczepić admirał Serrano w twojej

sprawie.

* * *

Kolejny sojusznik pojawił się niemal natychmiast po ich powrocie do miejskiego domu Thornbuckle'ów. Służący zaanonsował generała Casimira Suizę. Brun spojrziała na Esmay, a ta, zaskoczona, przez chwilę nie potrafiła się odezwać. Potem podeszła do drzwi.

Ojciec Esmay wyglądał bez munduru równie imponująco. – Esmaya, mam nadzieję, że pozwolisz mi wejść.

– Ja... oczywiście. – Otworzyła szerzej drzwi. Czowała na sobie pełne ciekawości spojrzenie Brun, więc zaraz ich sobie przedstawiła.

– Na pewno będziecie chcieli być sami – powiedziała Brun, wstając. – Absolutnie nie – oświadczył generał Suiza. – Proszę zostać... przynajmniej dopóki nie wyjaśnię, czemu tu jestem.

– Tak – potwierdziła Esmay – zostań. – Serce waliło jej jak oszalałe i zupełnie zaschło jej w ustach.

– Esmay... Wiem, że w przeszłości cię zawiodłem, ale nie mogłem siedzieć w domu nie próbując ci pomóc, wiedząc, że masz kłopoty.

– Usiądź – zaprosiła go Esmay, wskazując ręką kanapę. Ojciec usiadł i zacisnął dłonie. – Jak udało ci się tak szybko tutaj dotrzeć?

– Ktoś przysłał wiadomość, gdy zostałam zwolniona z Floty, na planetę pochodzenia – najwyraźniej to standardowa procedura – więc trochę potrwało, zanim ta wiadomość dotarła na Altiplano. Potem dowiedziałem się, że dostałaś się na statek kupiecki.

– *Terakian Fortune*.

– Tak. Miałem pewne trudności ze skontaktowaniem się z admirał Serrano, ponieważ Flota nie jest zbyt chętna do współpracy w zakresie udostępnienia ansibla komuś, kogo określają mianem obcego wojskowego. Przede wszystkim musisz wiedzieć, że admirał Vida Serrano nie miała nic wspólnego z twoim zwolnieniem.

– Nie?

– Nie. Była zła, podobnie jak ja, że dwoje młodych ludzi postanowiło się pobrać bez zgody rodziny. Była też zła z powodu tego, co jej zdaniem nasza rodzina zrobiła patronom Serrano. Ale zgodziliśmy się, że historia może poczekać, aż poradzimy sobie z aktualnym kryzysem.

Myśl o ojcu i admirał Serrano, rozmawiających o jej karierze, przyprowadziła Esmay o dreszcz.

– Potem kapitan tego statku kupieckiego wysłał mi priorytetową wiadomość z Zenebry, więc wiedziałem, dokąd się wybierasz. Tak więc jestem. I nie mów mi, że nie potrzebujesz pomocy – powiedział ojciec i zerknął na Brun. – Wszyscy czasem jej potrzebują. Dowiodłaś już swoich umiejętności i niezależności.

– Dziękuję – odpowiedziała Esmay, czując się nieco osaczona. – Chciałbym cię zapytać o to, o co nie może cię zapytać admirał Serrano. Czy chcesz wrócić do Floty i dowodzić statkami, czy wolałabyś raczej wrócić na Altiplano? A może chcesz osiąść w Familiach jako cywil?

– Przestrzeń – odpowiedziała bez wahania. – Ale...

– Musiałem najpierw się dowiedzieć, czego chcesz – przerwał jej ojciec. – Co do twojego statusu Oblubienicy Ziemi... Przepisy Floty i opinia naszej Gildii Ziemiaków są takie same. Udało mi się wywalczyć zgodę Gildii na to, że jeśli zrezygnujesz *in absentia*, będzie można bez zwłoki zaprzysiąc Luci. Będziemy tylko potrzebowali trochę twoich włosów. Jeśli możesz obciąć jedno krótkie

pasmo...

– Oczywiście. I chyba będę musiała coś podpisać?

Mam ze sobą oświadczenie o zrzeczeniu się tytułu Oblubienicy Ziemi. – Przyglądał się jej przez chwilę. – Esmaya, chcę, żebyś wiedziała, że zawsze będziesz mile widziana w domu. Luci też tak mówi. Wciąż zajmuje się twoim stadem, a zwierzęta, które dostałaś za Order Gwiazdy, zawsze będą twoje. Twoje dzieci – jeśli ty i Barin będziecie je mieli, na co mam nadzieję – też będą mile widziane i uznane za prawowitych spadkobierców estanzy.

Jej oczy nagle wypełniły się łzami.

– Tato... Ja kocham tę ziemię... i Altiplano...

– Wiem o tym. I Altiplano jest bardzo dumne ze swojej bohaterki. – Głęboko wciągnął powietrze i westchnął. – Bogu dzięki, że mnie nie odepchnęłaś. Tak się bałam...

Z perspektywy kilku lat jej gniew bardziej przypominał lokalny sztorm niż kataklizm na skalę planety. Ojciec pomylił się, ale teraz próbował jej to jakoś zrekompensować. Jeszcze jakiś słaby głos szepnął jej, że ojciec miałby bardzo poważne trudności z utrzymaniem miejsca Suizów w Gildii Ziemi, gdyby nie chciała współpracować, ale szybko go stłumiła. On naprawdę ją kocha i nie kieruje się tylko swoją wygodą.

– Cieszę się, że tu jesteś – powiedziała, odkrywając ze zdziwieniem, że to prawda. Teraz ma potężnego sojusznika, który nie jest uwięziony w szpitalnym łóżku. – Zamierzasz odesłać włosy i certyfikat na Altiplano czy zawieźć je osobiście?

– Chcę je zawieźć. Zarówno Luci, jak i Gildia uważają, że włosy Oblubienicy nie mogą zostać wysłane jak jakiś zwykły przedmiot. Będę musiał zadzwonić do nich przez ansibl i powiedzieć, że wyraziłaś zgodę, a potem mogę zostać tak długo, aż upewnię się, że bez problemów wróciłaś do Floty.

– Aleja mam tylko jeden mundur... Inne były w drodze, gdy mnie zwolniono, i nie wiem, co się z nimi stało.

– Na pewno są tu jacyś wojskowi krawcy, którzy mogą cię zaopatrzyć w mundury.

– Tak, ale... – Nie była przyzwyczajona do wydawania dużych sum pieniędzy na swoje umundurowanie.

– Nie martw się – powiedział ojciec. – Potraktuj to jako mój spóźniony prezent dla ciebie. A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym jak najszybciej zadzwonić. Przygotowania do ślubu Luci wstrzymano.

– Oczywiście. Terminal jest blisko, w centrum bankowym.

* * *

Podczas gdy ojciec poszedł zadzwonić do domu, Esmay wzięła prysznic i umyła włosy. Nie obciąła ich, pamiętając, że trzeba tego dokonać w obecności oficjalnego świadka.

– Chcesz, żebyśmy poszły, czy mamy zostać? – zapytała Brun.

– Zostańcie, proszę. Nie wiem, czy nie będzie potrzeba dodatkowych świadków. Oczywiście jeśli chcecie.

– Nie opuściłabym tego za żadne skarby świata – oświadczyła Bnm. – Ta cała sprawa z Oblubienicą bardzo mnie fascynuje. Pamiętam, jak matka mi mówiła, że słyszała od prababki o pewnych zwyczajach – nie pamiętam już, gdzie to było – polegających na tym, że człowiek żeni się z ziemią.

Po pewnym czasie ojciec Esmay wrócił w towarzystwie honorowego konsula Altiplano; nie miał on wprowadzić Fotela w Radzie, ale za to miał prawo zgłaszać wnioski w imieniu Altiplano. Esmay nigdy wcześniej go nie widziała.

Mężczyzna uklonił się.

– Oblubienica Suiza. To dla mnie zaszczyt.

– Konsul Faiza.

– Dano mi do zrozumienia, że zamierza pani zrezygnować ze swojej pozycji na rzecz młodszej krewnej. Czy to prawda?

– Tak – potwierdziła Esmay.

– Zgodnie z prawem i zwyczajem, wiarą i praktyką, moim obowiązkiem jest upewnić się, że pani rzeczywiście tego pragnie. Proszę nam wybaczyć... – Skierował spojrzenie na zebranych w pokoju, i ojciec Esmay, Brun i Kate wyszli do holu.

Esmay zauważyła teraz, że konsul trzyma w ręce papier, który musiał być oświadczeniem o zrzeczeniu się tytułu Oblubienicy. Poczowała ssanie w żołądku i... dotyk ziemi pod bosymi stopami tego ranka, gdy przysięgała na zawsze chronić swoją ziemię. Czy może się z tego wycofać? W oczach stanęły jej łzy.

– Oblubienico Ziemi Suiza, czy przysięgasz, że pragniesz tego z własnej woli, że nikt ci nie grozi ani w żaden inny sposób nie zmusza cię do oddania tytułu? – Wpatrywał się w nią uważnie. Esmay słyszała wiatr Altiplano przeczesujący letnie trawy, czuła bogaty zapach letnich pastwisk... I choć bardzo to kochała, jej miłość była zbyt słaba.

– Przysięgam – oświadczyła.

– Czy przysięgasz, Oblubienico Ziemi Suiza, że powodem zrzeczenia się jest twoja szczerza troska o ziemię Suizów, i czy jesteś pewna, iż wybrana przez ciebie spadkobierczyni będzie chronić tę ziemię lepiej niż ty byś mogła? – Czy jest pewna, że Luci będzie lepszą Oblubienicą? Tak, bo Luci nie ma rozdartego serca, ma za to inteligencję i charakter. Będzie lepiej, gdy strażniczką ziemi zostanie Luci.

– Przysięgam.

Opuścił dokument.

– Przykro mi, Oblubienico... Choć nie jestem Suizą i sporo czasu upłynęło, odkąd ostatni raz byłem w domu, byłem z pani taki dumny... Rozsławiła pani Altiplano.

– Nie mogę robić jednocześnie dwóch rzeczy – powiedziała Esmay. – Poza tym za długo mnie tam nie było. Chcę tego, co najlepsze dla mojej ziemi, ale niewiele o niej wiem, a moja kuzynka dobrze ją zna.

– Bardzo dobrze. – Znów podniósł dokument. – Teraz będę potrzebował trzech świadków obcięcia pani włosów i złożenia przez panią podpisu.

Esmay zawołała pozostałych, a Faiza rozłożył dokument na stole.

– Teraz proszę się podpisać, potem świadkowie. Oblubienico, musi pani dodać kilka kropli swojej krwi.

– Proszę, Esmay. – Ojciec wyciągnął z kieszeni kamizelki mały nóż w pochwie. – Tego noża używano w naszej rodzinie od pokoleń.

– Doskonale – powiedział konsul. – Oblubienico?

Esmay wyciągnęła nożyk z gładkiej skórzanej pochwy. Pamiętała, że widziała go na biurku prababki; zawsze myślała, że służy do otwierania listów. Przebiła ostrym czubkiem serdeczny palec i wycisnęła na pergamin kilka kropli krwi, po czym wzięła podane przez konsula pióro i podpisała się. Ojciec podał jej pieczęć Oblubienicy, a ona odcisnęła ją we krwi. Potem podpisał się jej ojciec, Brun i Kate; Esmay pomyślała, że są najdziwniejszymi świadkami zrzeczenia się przez Oblubienicę swego tytułu.

– Dawniej – powiedział konsul – Oblubienica podobno musiała zgolić włosy i ofiarować je wiatrowi, ale pani żyje tutaj, w Familiach...

– Widywano już tutaj łyse kobiety – zauważyła Esmay. – Zresztą mogę kupić perukę. Jeśli uważa pan, że tak będzie najlepiej...

– Jeśli jest pani na to gotowa, z pewnością zadowoliliby to starszych członków Gildii Ziemi.

Co Barin pomyśli o łysej żonie, jeśli zobaczy się z nim, zanim odrosną jej włosy? Ale ból w sercu powiedział jej, że właśnie tak należy postąpić.

– Z moich badań wynika – odezwał się konsul – że jednak nie golono głów, a tylko bardzo krótko ścinano włosy. Potem byłe Oblubienice opuszczały swoją ziemię do czasu, aż włosy odrosły im do ramion. – Esmay pomyślała, że to bardzo dobry sposób, aby zapewnić nowej Oblubienicy czas na przejście obowiązków bez ingerencji byłej posiadaczki tytułu.

– Nie zamierzam wcześniej wrócić – zauważyła.

– Będzie prościej, jeśli je zwiążemy – rzekła Brun. – Siądź tutaj. – O rety, ależ one są puszyste – powiedziała, próbując zapleść włosy w warkocz.

– Właśnie je umyłam.

– Cóż, w takim razie będziemy musiały znów je zmoczyć. Kate, przynieś miskę z wodą.

Potem obie dziewczyny zabrały się z entuzjazmem do walki z opornymi włosami Esmay.

– Wiem, że sama kazałam ci je tak obciąć – powiedziała Brun – ale żaden włos nie jest tej samej długości, co inne.

Kiedy skończyły, na głowie Esmay pozostały w tym miejscu, gdzie wcześniej były warkocze, tylko niewielkie kępkę, i konsul wraz z jej ojcem, chociaż bardzo chcieli zachować uroczysty nastrój, nie potrafili zachować powagi.

– Powinnaś się cieszyć, że jesteśmy twoimi przyjaciółmi, Esmay – stwierdziła Brun – bo gdybyśmy chcieli być złośliwi...

– Przez całe życie śmiano się z moich włosów – powiedziała Esmay – więc nie jesteście w stanie mnie speszyć. A teraz, skoro już wiem, co potrafi dobry fryzjer...

– No dobrze – odezwał się konsul, znów oficjalnie. – Życzę pani szczęścia w karierze wojskowej, Esmay Suiza. Dała pani Altiplano wiele powodów do dumy, i jestem pewien, że dalej tak będzie. – Zwinął dokument i obwiązał go wstęgą, po czym wręczył ojcu Esmay.

– Zje pan z nami posiłek? – zapytał generał Suiza.

– Proszę mi wybaczyć, generale, ale w tej chwili nie mogę. Może kiedy indziej?

– Oczywiście. Zamierzam spędzić tu kilka dni.

* * *

Planetarny sztab Zawodowej Służby Kosmicznej mieścił się w labiryncie budynków na tyłach ministerstwa obrony, połączonych tunelami i wiszącymi ponad ulicami torami kolejek; wydziały

pomocnicze upchnięto w różnych dziwnych kątach innych budynków rządowych. Esmay, jej ojciec, Brun i konsul Altiplano zaczęli od frontu, od ministerstwa obrony, gdzie udręczeni urzędnicy natychmiast poinformowali ich, że znajdują się w niewłaściwym miejscu.

– Proszę spróbować w rekrutacji – zasugerowała jedna z recepcjonistek. – To w budynku Micheta.

– To sprawa osobista, nie chodzi o rekrutację – zauważył generał Suiza.

– W takim razie budynek Corvey, ale najpierw będziecie musieli przejść przez ochronę. Tędy... – wskazała.

„Tędy” oznaczało długi korytarz skracający w prawo, potem w lewo, a później rampę prowadzącą do mostku biegnącego wzdłuż boku dziedzińca. Wreszcie dotarli do posterunku strażniczego.

– Szukamy budynku Corvey – powiedział generał Suiza. – Powiedziano nam, że to tędy.

– Nie macie identyfikatorów – zauważył strażnik.

– Musimy mieć identyfikatory?

– Goście powinni otrzymać identyfikatory w budce przy wejściu.

– Nie było tam żadnej budki – powiedziała Brun.

– Tuż przy wejściu od ulicy Państwowej...

– Nie weszliśmy tamtędy, tylko od strony ulicy Lowe.

Strażnik zmarszczył czoło.

– Powinniście mieć identyfikatory, żeby w ogóle móc wejść. Proszę poczekać. – Cofnął się nieco i uruchomił komunikator. Nie słyszeli, co mówił, ale zauważyli, że ani na chwilę nie spuścił z nich wzroku. Po chwili znowu podszedł.

– Z jakiego jesteście klanu?

– Barraclough – odpowiedziała bez wahania Brun. – Czemu pan pyta?

Wyraz twarzy strażnika uległ zmianie.

– Pani jest... córką starego Mówcy. Brun Meager!

– Tak – potwierdziła nieco zadziornie.

Rozpromienił się, jakby właśnie wręczyła mu majątek.

– Nigdy nie sądziłem, że będę mógł panią poznać. W tym stroju wygląda pani zupełnie inaczej. Przepraszam, że od razu pani nie poznałem. Czy to pani przyjaciele?

– Tak.

– No cóż, w takim razie jestem pewien, że wszystko w porządku. Gdybym tylko mógł zobaczyć pani dokumenty, żeby je zarejestrować...

Esmay z trudem ukryła przerażenie. Oni nazywają to ochroną?! Dobrze, że Kate nie przyszła z nimi.

– Wszystko w porządku, sera... milady.

– Dziękuję – powiedziała Brun, odbierając swoje dokumenty. – Jest pan pewien, że wszystko w porządku? Nie chcemy, żeby miał pan przez nas kłopoty.

– Nie, sera, wszystko jest dobrze. To dla mnie zaszczyt, że mogłem pomóc. Jeśli pani przyjaciele nie mają nic przeciwko temu, chciałbym spisać ich nazwiska. Będą potrzebowali

niezależnego dostępu? Jeśli tak, powinniśmy im przygotować plakietki.

– Oczywiście – rzekła Brun. – To generał Suiza z Altiplano i jego córka, Esmay Suiza. Może pan pamiętać, że uratowała mi życie. Strażnik skierował na chwilę wzrok na Esmay.

– Tak, oczywiście. Bohaterka Xaviera.

– I konsul Altiplano, ser Faiza.

– Konsul?

– Status dyplomatyczny.

– Ach tak, dziękuję państwu. Sera Meager, wiem, że się narzucam, ale gdyby pani mogła... Moja żona jest pani wielbicielek. – Pogrzebał w kieszeniach i wyciągnął pogniecioną listę zakupów. – Zechciałaby pani się podpisać?

– Oczywiście – rzekła Brun i nabazgrała swoje nazwisko stylusem strażnika.

Teraz mężczyzna zwrócił się do Esmay.

– A pani, sera Suiza? Żona kupiła kostkę o uratowaniu sery Meager...

Esmay umieściła swój podpis poniżej podpisu Brun – nie potrafiła uprzejmie odmówić – zastanawiając się, czy 2 p. pr. oznacza precle czy może coś innego.

Strażnik wskazał im drogę przez podwójne drzwi do innego korytarza – mostu wiszącego nad ulicą – gdzie inny strażnik otworzył im identyczne drzwi.

– Sera Meager? To dla nas zaszczyt. Połączę się z następnymi stanowiskami, żeby więcej pani nie zatrzymywano. Proszę tylko zejść tą rampą, skręcić w lewo i pójść pierwszym korytarzem w prawo...

– A czy nie powinniśmy przejść przez kontrolę? – zapytała Brun w akcie – zdaniem Esmay – przesadnej uczciwości.

– Och, szkoda tracić na nich czas – rzekł mężczyzna. – Zajmują się teraz dokumentami rekrutów z ostatniego naboru. Moja żona pracuje tam w katalogach. Zadzwoiła i powiedziała mi, że będzie musiała zostać po godzinach. Siedzieliby państwo na ławce do wieczora, a zresztą... oni nie są zbyt pomocni.

Esmay powstrzymała się z komentarzem, że zadaniem ochrony wcale nie jest pomaganie gościom, lecz sprawdzanie ich, ale rzeczywiście nie miała ochoty spędzić całego dnia na czekaniu.

– Proszę teraz iść prosto, a potem przez drzwi na końcu i ogród pamięci Sifa do bocznych drzwi Corvey. Proszę nie wchodzić frontowymi drzwiami, bo was skierują do ochrony. Przy bocznych drzwiach dyżuruje Bev; zaraz do niej zadzwonię, żeby się was spodziewała.

– Dziękuję – powiedziała Brun.

Ogród pamięci Sifa był tylko małym dziedzińcem z cokołem pośrodku, dwoma rachitycznymi drzewami, czterema kwietnikami i dwoma ławkami. Omijając cokół, dotarli do bocznych drzwi budynku Corvey, które otworzyła im kobieta.

– Sera Meager! Tak się cieszę, że mogę panią spotkać! I oczywiście serę Suizę. Powinam znać pani stopień, ale nie pamiętam...

– W tej chwili zostanmy przy „sera” – zaproponowała Esmay. W korytarzu widziała już postacie w znajomych mundurach.

– Mam dla was tymczasowe identyfikatory – powiedziała kobieta i wyciągnęła cztery koszmarnie różowe plakietki. – To jednodniowe przepustki. Jestem pewna, że stałe będą gotowe dziś

wieczór lub jutro.

* * *

Esmay była przygotowana prawie na wszystko, ale nie przypuszczała, że informacji o jej zwolnieniu nie przekazano do sztabu, w związku z czym nie mogli jej przywrócić do służby.

– Dlaczego? – zapytała. – Nie możecie przynajmniej przyjąć mojego podania i dowodu, że nie jestem już Oblubienicą?

– Cóż, moglibyśmy, gdyby nie bunt. Widzi pani, wszystkie tego rodzaju sprawy muszą przechodzić przez biuro adwokatury wojskowej, a w tej chwili mają tam zamieszanie, bo zniknął dowodzący admirał i myślą, że wziął udział w buncie.

– A to znaczy...

– To znaczy, że nie wezmą od nas niekompletnej dokumentacji. A żeby ją mieć, potrzebowalibyśmy kopii rozkazu zwolnienia z numerem archiwalnymi całą resztą, pani PR-S-87, kartoteki personalnej...

– Nie macie tu gdzieś kopii?

– Oczywiście, mamy, ale może nie być kompletna, ponieważ mogli nam jeszcze nie przysłać pani ostatnich ocen. Nie bardzo rozumiem, czemu nie dotarł tu ten rozkaz, chyba że został anulowany.

– Anulowany?

– Cóż... Ktoś zmienił decyzję osoby, która go podpisała, a rozkaz został zatrzymany do czasu, aż pani się pojawi, żeby panią o tym poinformować. Gdzie panią zwolniono?

– Stacja Trynidad.

– O rety.

– Co?

– Nie słyszała pani? Trynidad została kilka tygodni temu zniszczona przez buntowników. Oni nie prześlą nam żadnych rozkazów. Ma pani kopię zwolnienia?

– Tak. – Esmay wyciągnęła ją i podała.

– Hmm Niektórzy ludzie nawet nie potrafią porządnie się podpisać... Wywołam kartotekę i zobaczę, na ile jest zdezaktualizowana.

Jej kartoteka była aktualna tylko do czasu pechowego spotkania z Barinem i jego rodziną.

– Nie mam tu niczego o zwolnieniu – stwierdził urzędnik – Mam rozkaz wysłania pani na nowy statek, ale nic więcej. – Urwał i zamyślił się. – Poruczniku, jeśli rozkaz zwolnienia nie został nigdzie rozesłany, mogła pani zostać uznana za dezertera. Lepiej niech się pani zgłosi w 2345, w przydziałach personelu. Z tego terminalu nie mam dostępu do ich kartotek. W tym czasie ja zapytam, co mamy zrobić z pani rozkazem zwolnienia, jeśli faktycznie go dostaniemy. Nasz szef jest na spotkaniu, ale w każdej chwili może wrócić do biura.

W towarzystwie grupy wspierającej Esmay udała się w górę windą i dalej kolejnym korytarzem do 2345. Tam podała urzędnikowi nazwisko i powiedziała, że usiłuje wyjaśnić sprawę swojej kartoteki. Mężczyzna wywołał jej nazwisko i aż zagwizdał.

– Ma pani kłopoty, poruczniku. Przedłużyła pani urlop i jest tu pani zaznaczona jako dezerterska. Będę musiał przedłożyć tę sprawę do biura adwokatury. Proszę. – Obrócił ekran, żeby sama mogła zobaczyć. Dwukrotnie wysyłano jej powiadomienia. Najpierw na pokład transportowca *Rosa Gloria* informację, że nie stawiała się na służbę na Harrican, i ostrzeżenie, że jeśli nie zgłosi się w ciągu 24

godzin, zostanie uznana za osobę bezprawnie przedłużającą sobie urlop, a za dezercera, jeśli nie zgłosi się w ciągu siedmiu dni. Drugi raz poinformowano ją, że została uznana za dezercera i powinna zgłosić się do najbliższej jednostki Floty; w przeciwnym razie powinna liczyć się z możliwością pościgu i aresztowania. Oba terminy upłynęły już dawno temu.

– Świetnie – mruknęła Esmay. – Najpierw mnie wyrzucono, a teraz mogę zostać skazana za dezercję. Nigdy nie dostałam tych powiadomień. Nie było mnie na tym statku, ponieważ zostałam zwolniona.

– Czy ma pani jakiś dowód zwolnienia przed wysłaniem wiadomości? – zapytał urzędnik, pewien, że nie ma. – Powinniśmy mieć informację o zwolnieniu w archiwach, co automatycznie anulowałoby te wiadomości.

– Dobrze, że zrobiliśmy poświadczone kopie zwolnienia – zauważyła Brun. – Może powinniśmy ich przygotować jeszcze więcej.

Esmay podała jedną kopię, a urzędnik porównał daty. Rzeczywiście została zwolniona na stacji Trynidad na długo przed tym, zanim miała się zgłosić na Harrican. Mężczyzna kiwnął głową.

– Cóż, w takim razie przypuszczalnie zostanie pani oczyszczona z zarzutów, ale muszę to oddać do podpisu. Proszę tutaj poczekać. Jeśli pani odejdzie, uznam to za ponowną dezercję. – I zniknął z całą dokumentacją.

– Za pierwszym razem też nie uciekłam – burknęła Esmay. – To głupota! – wybuchła Brun.

– Nie, to armia – stwierdził generał Suiza. – Niechętnie to przyznaję, ale nawet na Altiplano zdarzają się takie pomyłki. Oczywiście tam zazwyczaj można to znacznie szybciej wyjaśnić, ale nawet generałowie – i najwyraźniej admirałowie – czasami muszą zdać się na łaskę urzędników. – Rozejrzał się po biurze. – Przyniosę jakieś krzesła, to może chwilę potrwać. – Wyszedł, zanim Esmay zdążyła się odezwać.

– Czasami przypomina mi mojego ojca – powiedziała Brun. – Nic nie jest w stanie go poruszyć.

Esmay wołała nie wspominać, że ojciec Brun był dość mocno poruszony, gdy jego córka znalazła się w niebezpieczeństwie. Po kilku minutach generał wrócił z dwoma krzesłami.

– Proszę, usiądźcie. Właściwie to taka magiczna sztuczka; gdy tylko wszyscy usiądziemy, urzędnik wróci, żeby nas wysłać gdzie indziej.

I rzeczywiście, ledwie Esmay i Brun zdążyły wygodnie usiąść, do biura wparował urzędnik.

– Proszę bardzo. Skąd wzięliście te krzesła? Tu nie powinno być żadnych siedzących miejsc.

– Ja je przyniosłem – odezwał się generał Suiza. – Zabiorę je z powrotem.

– Poruczniku... lub sera, ponieważ nie jest pani w tej chwili porucznikiem. Major Tenerif próbuje odczytać pani kartotekę, żeby sprawdzić, czy ten rozkaz zwolnienia jest autentyczny. Wie pani, to nie jest oryginał.

– Oryginał mają w 1118 – odpowiedziała Esmay. – Zostawiłam im, ponieważ nie dostali tam niczego w związku ze zwolnieniem. – Ciekawa była, jak szybko po jej odlocie buntownicy zaatakowali stację Trynidad.

– To w najwyższym stopniu nieprzepisowe – stwierdził urzędnik. – Będzie pani musiała porozmawiać z majorem Tenerifem.

– Jest wolny?

– Cóż, w tej chwili... próbuje skompletować pani dokumenty. W tym momencie w drzwiach pojawił się major.

– Suiza?

– To ja jestem Esmay Suiza – przedstawiła się dziewczyna.

– To najdziwniejsza rzecz, o jakiej słyszałem – stwierdził major. – Zadzwoiłem do biura śledczego; są skłonni zgodzić się, że w tej chwili nie jest pani dezertorem, ale i tak mamy porządną bałagan. Jeśli zwolnienie jest ważne, jest pani całkowicie wolna od zarzutu dezercji i jest pani cywilem. Musiałaby pani ponownie zgłosić się do Floty jako cywil z przerwą służbie i poważnym obciążeniem kartoteki. Jeśli zaś zwolnienie jest nieważne albo zostało gdzieś po drodze anulowane, sytuacja wygląda jeszcze gorzej. Oczywiście możemy panią przywrócić do służby. Jeśli zrobimy to z datą zwolnienia, co byłoby normalne w przypadku udowodnienia, iż rozkaz był fałszywy, byłaby pani w aktywnej służbie w chwili wysłania zawiadomień i wtedy zarzut dezercji byłby w pełni uzasadniony. Musiałaby pani dowieść w sądzie, że miała pani prawo w chwili zwolnienia wierzyć, że rozkaz jest prawomocny, i że to nie był jakiś spisek mający na celu uchylenie się od służby w czasie wojny.

– Certyfikat zwolnienia...

– Cóż, ma go pani, ale i tak wymagałoby to formalnego dochodzenia. Gdyby przywrócić panią do służby z dzisiejszą datą, oznaczałoby to konieczność wyjaśnienia przerwy w służbie, a dodatkowo utratę żołdu i okresu zaliczanego do promocji. I spowodowałoby to zamieszanie w procesie przydziałów. Ktoś inny zajął już pani stanowisko i nie możemy go wyrzucić tylko dlatego, że pani się pojawiła. – Potrząsnął głową. – Potrzebujemy ludzi z doświadczeniem bojowym, ale nie takiego bałaganu. A pani potrzeba przyjaciół na wysokich stanowiskach. Nie ma pani przypadkiem admirała Savanche'a?

– Nie, sir. Jedynym znanym mi osobiście admirałem jest admirał Serrano, Vida Serrano.

– Ach, ona. Cóż, poparcie Serrano może pomóc, ale plotki głoszą, że mają do pani urazę.

– Niektórzy – przyznała Esmay; nie zamierzała opowiadać o swoim związku z Bartnem.

– W takim razie lepiej, żeby admirał nie była jedną z nich – powiedział major.

Planetarny sztab Floty miał dostęp do komunikacji ansiblowej, ale potrzeba było połączonych wysiłków Esmay, Brun i generała Suizy, by przekonać kogoś do połączenia ich z admirał Vidą Serrano, która właśnie przejęła dowodzenie Sektorem Siedem. Kiedy w końcu to się udało, odpowiedź była lapidarna: „Natychmiast wciągnąć ją z powrotem do Floty i przysłać tutaj, gdzie jest potrzebna. Buntownicy atakują statki cywilne...”

Następnego dnia po południu major Tenerif podszedł do sprawy już znacznie bardziej życzliwie.

– Biuro śledcze wycofało zarzut dezercji. Najwyraźniej uznano, że zwolnienie było prawomocne w chwili, gdy je pani dostała, ale było wynikiem błędu wyżej i nie dotarło tutaj z powodu bałaganu na Trynidadzie. Ktoś prawdopodobnie będzie miał poważne kłopoty, ale na szczęście nie pani. Chcemy jak najszybciej przywrócić panią do służby. Kiedy będzie pani gotowa do drogi?

– A żołd? – zapytał generał Suiza.

– Och, oczywiście. Nie płacono pani od... To było jeszcze przed przepustką, prawda? A odnalazła pani swój bagaż? Nie? W takim razie przypuszczam, że będzie pani potrzebowała trochę rzeczy. Cóż, nie wydajemy tutaj żołdu, ale w biurze kwestury będzie pani mogła odebrać wszystkie należności. Czy może pani być gotowa do drogi za... dwa dni? W ten sposób zabierze się pani z następnym transportem do Sektora Siedem.

– Tak jest, sir.

– Dobrze. Przygotowaliśmy już dla pani rozkazy. Poleci pani do Sektora Siedem i obejmie dowodzenie *Rascalem*, ulepszonym patrolowcem.

– Dowodzenie statkiem? Ja?!

– Nie rozumiem, czemu nie – odezwała się Brun.

Major wzruszył ramionami.

– Brakuje nam ludzi, poruczniku. Jest pani pierwszą osobą na liście o odpowiednich kwalifikacjach. I jest pani na specjalizacji dowódczej.

– Tak jest, sir. Przepraszam. To po prostu zaskoczenie...

– Nic nie szkodzi. – Major pozwolił sobie na uśmiech. – Widywałem już podobne reakcje innych młodych oficerów, nieświadomych, że kwalifikują się do dowodzenia okrętem. – Odwrócił się do urzędnika. – Przed wyjściem proszę uaktualnić jej kredyt. Przekazałem już do biura kwestury, żeby się pani spodziewali...

– Dziękuję, sir.

Wychodząc z biura z nowymi rozkazami w rękę, Esmay nie mogła uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Od całkowitego zhańbienia jej imienia do dowodzenia statkiem, i to wszystko w jeden dzień.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że dali mi okręt. Jestem tylko porucznikiem..

– Który dowodził już okrętami w boju. Czego chcesz, Es, zaproszenia wykutego w złocie? – zapytała Brun. Potem udając wstrząs, dodała: – To jest zaproszenie wykute w złocie.

– Protokół... Nie znam wszystkich wiążących się z tym protokołów. – Nie pomogło nawet przypomnienie, że przecież dowodziła *Despitem*.

– Od tego są taśmy do przyspieszonej nauki. A co z mundurem?

– Racja. Najpierw biuro kwestora, a potem krawiec.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Swainson i Triggett, krawcy szyjący oficerskie mundury (dla wszystkich rodzajów służby), przywitani nowego kapitana okrętu patrolowego z ledwie powstrzymanym zachwytem, a obecność szacownie wyglądającego ojca wywołała pełen szacunku szmer. Porucznik Sniza, bohaterka Xaviera? To oczywiście zaszczyt. I świeżo mianowany kapitan? Gratulacje. Bagaż utracony w związku z zamieszczeniem wywołanym buntem? Cóż za wstyd. Pełny zestaw mundurów, najszybciej jak to możliwe? Pieniądze nie stanowią problemu? Wezwano więc starszą kobietę do wzięcia miary. Zaprowadziła Esmay do kabiny mogącej pomieścić niewielkie przyjęcie, gdzie cały zespół ludzi wymierzył ją od stóp do głów, po czym kazali jej chodzić, siadać, podnosić i opuszczać ramiona...

– Oczywiście mamy w magazynie mundury, które można będzie dopasować, na przykład mundury polowe, jeśli się pani spieszy. – Starsza dama wysłała jedną z młodszych pomocnic po mundur. – Ale mundury galowe muszą zostać uszyte na miarę. Ma pani szczęście, pani figura świetnie nadaje się do munduru.

Esmay przypuszczała, że są to zwykłe pochlebstwa, dopóki kobieta nie powiedziała:

– Weźmy taką serę Meager... Choć jest piękną kobietą, dopasowanie dla niej munduru byłoby bardzo trudnym zadaniem. Wygląda dobrze w wielu różnych strojach i wie, jak się ubierać, ale widzi pani, problem tkwi w proporcjach. Proporcje górnej i dolnej części ręki, uda do łydki, torsu do długości nóg... – Esmay była zadowolona, że Brun została we frontowej sali i nie słyszy tego wszystkiego.

Dziewczyna wróciła z mundurem, który pasował na nią lepiej niż którykolwiek z dotąd posiadanych, ale mimo to starsza dama pociągnęła nosem i zabrała się do zaznaczania poprawek.

– Ośmielę się powiedzieć, pani porucznik, że chyba nie zamawiała pani swojej garderoby tutaj.

– Nie, pierwszy raz jestem na Castle Rock.

– No cóż, mamy kilka oddziałów. Są też inne dobre firmy; Hatan Meior szyje całkiem nieźle, ale uważam, że my potrafimy dać z siebie coś więcej.

– Muszę się z panią zgodzić – powiedziała Esmay, przyglądając się w lustrze, jak szpilki zmieniają fason, który już wcześniej wydawał się jej doskonały.

– Czy pani zwykle obcina tak włosy? – zapytała kobieta.

– Nie... Musiałam je obciąć z powodu ceremonii religijnej – wyjaśniła Esmay. – Zazwyczaj mam krótkie włosy, ale nie aż tak. Myślałam o peruce czy czymś takim.

– Widzi pani, chodzi o czapkę. Może nie pasować, gdy włosy odrosną. Peruka zdecydowanie by pomogła, ale jeśli można doradzić...

– Ależ proszę.

– Z naszych doświadczeń wynika, że oficerowie noszący peruki uważają je za bardzo niewygodne na pokładzie statku. Musieliśmy z tego powodu wymienić całkiem sporo czapek. I niezbyt dobrze się sprawdzają pod hełmami dowódczymi.

– Dziękuję – powiedziała Esmay. – Myślałam o peruce tylko dlatego, że włosy są o wiele krótsze niż zwykle.

– Może pani wziąć pod uwagę przyspieszacz wzrostu. Przez trzydzieści dni włosy będą rosły z podwójną prędkością, potem trochę wolniej. Zabieg można wykonać w każdym dobrym salonie, a z tego, co wiem, nie wpływa on na proces identyfikacji. Wielu naszych oficerów korzysta z Dorna, który jest na tej samej ulicy.

– Dziękuję – powtórzyła Esmay.

– Mundury będą gotowe jutro – powiedział starszy ser Triggett, gdy skończyło się mierzenie. – A czy ma pani listę odznaczeń? Będzie pani potrzebowała wstążek i miniaturek do mundurów galowych. – Esmay podała mu listę, czując coraz bardziej, że wylądowała w jakimś fantastycznym świecie. Nagle wróciła do Floty, powierzono jej dowodzenie okrętem, zamówiła właśnie pełen zestaw mundurów chyba u najdroższych krawców w kosmosie... Czuli się tak, jakby była pogardzaną sierotką, która dzięki magii stała się piękną księżniczką.

Zauważyła, że ser Triggett dyskretnie dał jej ojcu rachunek, a on przyjrzał mu się uważnie przed podaniem kostki kredytowej.

– Jesteś pewna, że nie potrzebujesz drugiej pary butów? – zapytał. – Jeśli w tych jest ci wygodnie... – Ser Triggett zatrzymał się w drodze do konsoli kredytowej.

Były wygodne, czuła się w nich tak, jakby chodziła po poduszkach, ale ojciec chce ją rozpieszczać i może sobie na to pozwolić.

– Tak – powiedziała. – Chciałabym drugą parę.

Wyszła z zakładu w mundurze polowym, szybko, lecz doskonale dopasowanym do jej figury, z insygniami kapitana okrętu wyhaftowanymi na epoletach i czapce oraz błyszczącymi na ramionach insygniami stopni. Dzień wydawał się jej jaśniejszy, choć był już prawie wieczór. Swainson i Triggett zdawali się nie mieć nic przeciwko temu, że zmusiła ich do pracy po normalnych godzinach.

* * *

Tego wieczoru wszyscy zjedli wspólną kolację w domu Thornbuckle'ów: Esmay, jej ojciec, Brun, Kate i Kevil Mahoney, którego wypuszczono wreszcie z centrum rehabilitacyjnego z nową ręką. Po kolacji rozmowa zesłała na politykę Familii.

– Wy, młode damy, najprawdopodobniej nie zgodzicie się ze mną – powiedział generał Suiza – ale widzę przed Familiami coraz poważniejsze kłopoty, jeśli nie stworzy się rządu na nieco bardziej racjonalnych podstawach.

– Wciąż powtarzam – wtrąciła Kate – że potrzebujecie konstytucji.

– Potrebujecie jasnego myślenia – powiedział generał. – Zła konstytucja w niczym nie pomoże.

– Ale najważniejszą sprawą – odezwała się Esmay – jest stłumienie buntu. Dopóki nie będzie spokoju, nie można będzie jasno myśleć.

Ojciec uśmiechnął się do niej.

– Bez wątplenia jesteś moją córką, Esmaya. Oczywiście, najpierw trzeba stłumić bunt i odstraszyć wszystkich najeźdźców. To zadanie dla Floty. Ale podczas gdy ty będziesz rozważać buntowników, ktoś tutaj musi zastanowić się nad przyczynami zabójstw, buntów i innych niepokojów w państwie. – Popatrzył na Kevila. – Nieprawdaż, ser Mahoney?

– Tak, oczywiście – zgodził się Kevil – choć nie bardzo wiem, jak mielibyśmy to zrobić. Pracowaliśmy nad tym z Buranym, ale bez niego jestem tylko małą mrówką. Zawsze wykorzystywałem jego wpływy...

– Wiem, że miałaś bardzo duży wpływ na decyzje ojca – rzekła Brun.

– Cóż... Kiedy byłem jeszcze młodym człowiekiem, rozumiałem, że w naszym państwie możliwości rozwoju różnorodnych talentów są ograniczone. Myślałem, że dzięki nowym koloniom i setkom zamieszkanym planet, które prosperują dzięki handlowi, każdy będzie miał mnóstwo szans na rozwój. Ale tak się nie stało. Od starszych prawników, zadowolonych z takiego stanu rzeczy,

słyszałem uwagi w rodzaju „Taki właśnie jest świat, czego się spodziewałeś?”. Aleja miałem nad nimi przewagę w postaci biblioteki dziadka. Pasjonował się zbieraniem starych książek, i to nie dlatego, że lubił mieć ładne książki na półkach czy chciał położyć na stoliku kilka reprintów o polowaniu na lisy czy historii wojskowości. Gdy poszedłem na studia prawnicze, od dawna był na emeryturze i nic nie cieszyło go bardziej niż spieranie się ze mną na temat historii, i to nie tylko prawa. Zdołał przekonać mnie do jednego – i potwierdza to całe moje doświadczenie – że każdy system, który uniemożliwia utalentowanym ludziom rozwój i nie pozwala, by zastępowali tych, którzy nie zasłużyli na swoją pozycję, będzie musiał w końcu upaść.

– Co masz na myśli, mówiąc o niezasłużonej pozycji? – zapytała Brun.

– Na przykład tę, którą ty zajmujesz – powiedział Kevil z uśmiechem, który złagodził wymowę jego słów. – Albo, jeśli już o tym mowa, mój syn George. Nie chcę wcale powiedzieć, że ty i tobie podobni nie macie talentu. Ale pomyśl o tych kobietach z Nowego Teksasu. Czy one wszystkie były głupie, leniwe i niekompetentne?

– Nie...

– No właśnie. Mając twoje możliwości, niektóre z nich mogłyby całkiem dobrze odgrywać damy, nie sądzisz? – Nawet nie czekał na odpowiedź. – Nie żeby moim zdaniem udawanie damy miało być celem życia kobiety, tak samo, jak granie lorda przez mężczyzn. Chodzi mi o to, że talenty można odkryć nawet w najbardziej pogardzanej części społeczeństwa. Na przykład we wczesnych dniach kolonizacji kosmosu wielokrotnie zdarzało się, że przywódcy ginęli w jakichś katastrofach, i wtedy obawiano się, że kolonia upadnie... ale wcale tak się nie działo. Okazuje się, że w każdej populacji, nawet w takiej, którą uważa się za gorszą, trafiają się kobiety i mężczyźni o niezwyklej inteligencji, zdolnościach i sprycie. Tak jak co roku spuszcza się wodę ze stawów, by je odświeżyć, tak samo zamieszanie w kotle ludzkości powoduje, że na wierzch wypływa świeża krew, i wszyscy na tym zyskują.

– Ale... – Brun usiłowała wyrazić, co czuje. Była Zarejestrowanym Embrionem... ze specjalnie dobranymi genami inteligencji. Może w przeszłości trzeba było polegać na talentach ludzi wywodzących się z nizin, ale teraz rodzice mogą wybierać przymioty dziecka nawet przed jego narodzinami.

– Coś takiego zdarzyło się na Altiplano – odezwał się generał. – Nasi patroni uważali, że koloniści to tylko głupi wieśniacy, którymi trzeba rządzić. A jednak całkiem dobrze poradzi sobie bez naszych przywódców.

– Ale przecież macie bogatych i biednych, prawda?

– Oczywiście, że tak, ale dzięki niniejszej liczebności populacji i naszemu systemowi edukacji dajemy dzieciom z biednych rodzin większą szansę na pokazanie tego, co potrafią.

– Przynajmniej chłopcom – zauważyła Esmay. – Wszystkie Oblubienice Ziemi pochodzą z bogatych rodzin.

– To prawda – przyznał generał, marszcząc czoło. – Nasz system nie jest doskonały. Ale ponieważ nie stosujemy odmładzania, nasza młodzież wie, że zdobędzie miejsce w społeczeństwie w stosunkowo młodym wieku.

– Teraz doszedł pan do sedna sprawy – powiedział Kevil. – Nawet stare metody odmładzania, które były stosowane tylko jeden raz ze względu na skutki uboczne, dawały większe możliwości tym, którzy byli na szczycie drabiny społecznej. Wielokrotne odmładzanie jeszcze bardziej pogorszyło sprawę. Jest ono dostępne tylko dla najbogatszych rodzin, a młodzież, tak jak wy, beczynninie siedzi i

czeka na możliwość przejęcia odpowiedzialności za rodzinę, choć to może nigdy nie nadejść. Może nie jesteście w stanie zauważyć, jak bardzo zmieniło się życie bogatej młodzieży. Aleja to widzę. Bogata młodzież, która nie jest dopuszczana do rodzinnych interesów, może się zabawiać na bardzo różne sposoby.

– Odmładzanie upowszechniło się – powiedział generał Suiza.

– Tak. Weźmy profesjonalistę takiego jak ja, który przez czterdzieści lat zdobył doświadczenie w swojej dziedzinie i który może odzyskać pełne energii, młode ciało. Czemu miałby z tego zrezygnować? Czemu miałby brać młodszego partnera, skoro sam znów czuje się młody?

– Ludzie chcą żyć – zauważyła Brun. – To normalne.

– Tak, to normalne. Tak samo jak poszukiwanie idealnej miłości, która nigdy się nie skończy, czy pragnienie pokoju na świecie. To stare, normalne pragnienie dziecka, by mieć wszystko, czego się chce, i na zawsze. Do tej pory rasa ludzka nie mogła liczyć na spełnienie tych życzeń; choć wydaje się to brutalne, młodzi ludzie musieli czekać, aż starsi stracą siły i umrą, by ustąpić im miejsca. Wszystkie społeczeństwa zbudowane były na świadomości, że każdy kiedyś umrze.

– A więc musimy znaleźć jakiś sposób życia w świecie, w którym starzy ludzie nie umierają?

– Właśnie. Choć bardzo nie lubię Benignity, ich Przewodniczący słowami o naszej wiecznej niedojrzałości trafił w dziesiątkę. Musimy być dojrzałi, jeśli mamy żyć setki lat, nie możemy być wiecznymi dziećmi. Młodzi potrzebują perspektyw, okazji, by też mogli dojrzeć.

– Czy to się uda? – zapytał generał Suiza.

– Nie wiem, ale będziemy musieli spróbować, inaczej dojdzie do walki między młodymi i pozbawionymi nadziei ludźmi a starymi i odmłodzonymi – stwierdził Kevil. – Mamy już wrogów, których nasze nieograniczone odmładzanie tak przeraża, że zamordowali przywódcę naszego państwa i są skłonni rozważyć możliwość inwazji.

– Terakianowie – powiedziała Esmay – o tym rozmawiali. Powiedzieli, że wolni kupcy nie mają takich problemów, gdyż zawsze mogą odlecieć gdzie indziej, ale widzą wiele niezadowolenia, które ich niepokoi.

– Musimy wprowadzić takich ludzi do naszego rządu – stwierdził Kevil. – Jak dingo jedynymi ludźmi u władzy będą bogaci odmłodzeni starszaki, grozi nam wybuch. Jest tylu inteligentnych, mądrych i przyzwoitych ludzi, których nie stać na zapłacenie za odmłodzenie. Kiedy ostatni raz rozmawiałem na ten temat z Bunnym, zauważyliśmy, że jest więcej nie odmłodzonych młodych ludzi, którzy mają prawo do Fotelu w Radzie, niż odmłodzonych, którzy już mają Fotel. To może być nasza szansa, jeśli taka sytuacja się utrzyma. Dlatego musimy wyjść poza stare Familie. Niezależnie od tego, ile niewygód i kłopotów może spowodować objęcie przywilejami znacznie większej liczby ludzi, rewolucja będzie znacznie gorszą rzeczą.

* * *

Godziny płynęły jak woda w strumieniu. Najpierw bezsenna noc, potem wizyta u krawca i ostatnie przymiarki nowych mundurów, kupowanie walizek na odzież – nie mogłaby jej upchnąć w worku, nawet gdyby chciała – i wreszcie zdobywanie informacji o jednostce i załodze jej okrętu (jej okrętu!). Na koniec były jeszcze jedne gorączkowe zakupy, gdy stara dama uświadomiła jej, że jako kapitan może być zmuszona do pełnienia funkcji reprezentacyjnych i potrzebuje także cywilnych strojów. Na te zakupy Esmay zabrała ze sobą Brun. Widok samej siebie w narzutce i długiej sukni balowej odebrał jej mowę; wyglądała niemal po królewsku. Ojciec odleciał do domu drugiego wieczoru, i była zdumiona, jak bardzo go jej brakowało w ciągu ostatnich kilku godzin przed

odlotem.

Potem Brun i Kate odprowadziły ją do terminalu promowego i po ostatnich pożegnaniach dołączyła do podróżnych w mundurach, kierujących się do bramy Floty. Tym razem jej identyfikacja została natychmiast potwierdzona i przeżyła tylko bardzo krótką chwilę klaustrofobii, gdy przypomniła sobie wcześniejsze aresztowanie.

– Witamy w domu, poruczniku – powiedział strażnik przy bramie, kiedy wreszcie dotarła do Rockhouse Major. = Pani transport do dowództwa Sektora Siedem odlatuje za cztery godziny.

– Dziękuję, sierzancie – odpowiedziała Esmay. Miała nadzieję, że to wystarczy na przeniesienie jej bagażu; nie chciałyby stracić swoich nowych strojów. W tym czasie będzie mogła poszukać Barina w bazach danych Floty, skoro znów ma do nich dostęp. Dwie godziny później opuściła terminal całkowicie zaskoczona.

Copper Mountain? Co Barin robi na Copper Mountain?

Rockhouse Major, 09:00 czasu lokalnego

Harlis Thornbuckle przyglądał się siedzącemu po drugiej stronie stołu siwowłosemu mężczyźnie. Wysoki, szczupły i wyprostowany, o kanciastych ramionach, z wyrazem twarzy wskazującym, że jest dowódcą okrętu.

Okrętu, który już nie należy do Zawodowej Służby Kosmicznej i jest na usługi każdego, kto może zapłacić.

– Czemu chce się pan dostać na Sirialis, skoro w pierwszej kolejności będą pana właśnie tam szukać?

– Wcale nie będą mnie szukać, a poza tym tam nie ma nikogo z mojej rodziny. – Nieważne, że zaczną go szukać, gdy tylko dowiedzą się, że zdjął bransoletę nadzoru. Dzięki jego dentyście upłynie jeszcze wiele godzin, zanim to odkryją. Gdyby tylko mógł dogadać się z tym człowiekiem, polecieć szybko na Castle Rocki wrócić, a potem na zawsze wyrwać się z tej przeklętej stacji... Wiadomości z domowego komunikatora powinny ich przekonać, że skierował się do własnych posiadłości. – Może pan odciąć komunikację, prawda?

– Tak, albo ją kontrolować. Ale ten system leży na uboczu...

– Tym lepiej, nieprawdaż? Mała populacja, brak regularnych połączeń handlowych. Wiadomo, że należy do członka rodziny zasiadającej w Radzie, więc czemu mieliby tam szukać?

Siwowłosy mężczyzna zmarszczył brwi.

– Potrzebujemy więcej informacji.

– Mogę je dla was zdobyć. Ale czy może pan to zrobić? – Prawdopodobnie tak, ale to będzie kosztowało.

– To nie problem. Mam mnóstwo pieniędzy.

– Świetnie. W takim razie może nas pan zabrać ze stacji.

– Zabrać?

– Nie sądzi pan chyba, że przyprowadziłem tutaj swoje okręty i zadokowałem je obok kupców, prawda? To byłoby wchodzenie do paszczy lwa.

Harlis przypuszczał, że sprawę załatwiłoby sfalszowanie sygnału identyfikacyjnego statku, ale

jeśli potrzebują transportu, nie ma problemu.

– Możemy wynająć jacht – powiedział.

– Tak po prostu?

Harlis nadał się.

– Jestem członkiem rodziny zasiadającej w Radzie – oświadczył. – Cokolwiek się zdarzy, nie mogą mi tego odebrać, a mam dość funduszy, żeby wynająć dowolny jacht. Czego panu potrzeba?

– Zobaczmy, co tutaj mają. – Mężczyzna, który wciąż nie podał mu swojego nazwiska, wyciągnął z komunikatora listę jednostek do wynajęcia w Allsystems Leasing. – Proszę wziąć *Lillian C.* – powiedział po jej przejrzeniu. – Może przewozić piętnastu pasażerów. Bez załogi, mam swoich ludzi. Jeśli nie będą chcieli wynająć bez załogi, niech pan poprosi o rozmowę z Dannym, a kiedy się pan z nim zobaczy, proszę mu powiedzieć, że „małe statki mają duże uszy”. To powinno załatwić sprawę. – Oparł się wygodniej i schował komunikator do kieszeni.

– Teraz?

– A jak szybko chce pan odlecieć?

– No dobrze. – Harlis połączył się z Allsystems, gdzie na dźwięk jego nazwiska skierowano go od razu do kierownika wynajmu. – Chcę wynająć jacht – powiedział. – Co macie? – Mężczyzna zaczął opisywać dostępne jednostki, transmitując dane, a Harlis wygłaszał dyskwalifikujące je uwagi. Gdy doszli do *Lilian C.*, stwierdził: – Ten nieźle wygląda. – Wysłuchiwał jeszcze informacji o kilku innych, po czym powiedział: – Ten jacht *Lillian...* jest tym, czego szukam. Kiedy możecie go przygotować?

– Za sześć godzin, ser Thornbuckle, ale zebranie załogi...

– Tym proszę się nie przejmować. Sam się tym zajmę.

– Pracownicy rodziny, jak przypuszczam?

– Kwalifikowana załoga – uciął Harlis.

– Wolimy, żeby na pokładzie była przynajmniej jedna osoba z All-systems.

– Jeśli to sprawa kosztów, jestem gotów zapłacić wam jak za jacht z załogą.

– No cóż... W takim razie na jak długo chce go pan wynająć?

– Sześćdziesiąt dni. Nie, lepiej dziewięćdziesiąt. Muszę odwiedzić kilka układów. Burkholdt, potem Celeste. Jeśli dobrze pamiętam, przelot zajmie około czterdziestu dni, a do tego dochodzą różne sprawy na planetach...

– Co by pan powiedział na dziewięćdziesiąt dni z opcją na drugie tyle? Będzie pan mógł skontaktować się z dowolnym biurem Allsystems w celu przedłużenia wynajmu. Mamy agentów zarówno na Burkholdt, jak i na Celeste.

– Doskonale – odpowiedział Harlis. – Jakie opcje wyżywienia oferujecie?

– Cóż, mamy oczywiście podstawowy pakiet, ale dla dżentelmena pańskiej rangi zazwyczaj proponujemy przynajmniej złoty poziom.

– Dobrze. Zgłoszę się do was niedługo, aby podpisać umowę i złożyć depozyt. Proszę nas umieścić w kolejce odlotów, dobrze?

– Oczywiście, ser Thornbuckle.

Harlis usiadł wygodnie i spojrzał na swojego nowego pracownika.

– Jacht będzie gotowy za sześć godzin.

– Dobrze – odpowiedział mężczyzna. – A przy okazji, nazywam się Taylor. Pójdę zebrać załogę, a tymczasem niech pan zajmie się zgromadzeniem informacji, o których pan mówił. Proszę spotkać się ze mną w biurze Allsystems o... – Zerknął na zegarek. – O 21:00.

Harlis zauważył z niezadowoleniem, że jego pracownik wydaje mu rozkazy, sam przekazując przy tym bardzo mało informacji.

Castle Rock, 09:30 czasu lokalnego

Brun z westchnieniem odwróciła się od terminalu promowego.

– Cóż... Cieszę się, że wraca tam, gdzie jej miejsce, ale niewątpliwie został nam tu spory bałagan do uprzątnięcia. I właściwie nie mam pojęcia, od czego zacząć.

Kate uśmiechnęła się promiennie.

– Mogłabyś zacząć od pomocy w zakończeniu mojej misji, żebym mogła wrócić do domu. Po usunięciu z drogi Conselline'a powinniśmy załatwić z nowym ministrem spraw zagranicznych wycofanie embarga handlowego i odmrożenie kont bankowych, nie sądzisz? Byłby to naprawdę dobry moment na przyjazny gest Familii wobec sąsiadów.

– A potem wyjedziesz?

– Cóż, złotko, nie mogę tu zostać na zawsze. Sądzę, że dałam wam już wszystkie rady, jakie mogłam, bez proszenia o pensję.

Brun roześmiała się.

– Będzie mi ciebie brakowało. Ale masz rację, powinniśmy załatwić to, po co przysłał cię tutaj twój rząd. Co prawda to moja matka zabiła poprzedniego ministra spraw zagranicznych, więc może będzie lepiej, jeśli nie będę ci pomagać.

– W takim razie spróbujmy – rzekła Kate. – Może spotkamy się na lunchu i powiem ci, jak poszło. Dom miejski?

– Świetnie – zgodziła się Brun. Kate pomachała jej i odeszła. Brun chciała jeszcze zaproponować jej podwiezienie, ale uświadomiła sobie, że Rangerka doskonale potrafi sama sobie poradzić. Rozejrzała się, żeby się upewnić, czy ochroniarz jest na miejscu, i spokojnym krokiem ruszyła do samochodu.

W domu zrzuciła buty z nóg i weszła do małej, ale wygodnej biblioteki. Należała do jej ojca, a wcześniej zapewne do dziadka. Teraz należała do niej. Opadła na jeden z dużych foteli, oparła stopy na podnóżku i zamknęła oczy. W tym pokoju nie słyszała ruchu ulicznego, docierał do niej jedynie głos ogrodnika narzekającego na transport kwiatów ogrodowych.

Usłyszała odległy sygnał połączenia telefonicznego, a potem cichy odgłos kroków w korytarzu.

– Do mnie? – zapytała, gdy w drzwiach pojawił się majordomus. – Tak, sera. Viktor Barraclough. – Viktor! Czego może chcieć? – Odbiorę tutaj – powiedziała.

– Jest na bezpiecznej linii.

Oznaczało to skorzystanie ze stanowiska w holu. Brun zamknęła się w kabinie, przyłożyła dłoń do płytki identyfikatora i spojrzała w skaner. Kiedy światelko zaświeciło na zielono, zablokowała kabinę.

– Viktor? Tu Brun. W czym mogę ci pomóc?

– Brun, Stepan chce się z tobą spotkać.

Głowa klanu Barracloughów chce się z nią spotkać? Serce zaczęło jej szybciej bić, a przez głowę zaczęły przelatywać pytania.

– Gdzie i kiedy?

– Chciałby, żebyś przyszła do biura jego prawnika. Czy Kevil Mahoney czuje się na tyle dobrze, żeby też się zjawić? – Co się tu dzieje?

– Mam spotkanie w porze lunchu – powiedziała Brun. – Ale skontaktuję się z Kevilem i zobaczę. Przypuszczam, że chce się spotkać jeszcze dzisiaj?

– Jeśli to możliwe, dziś po południu o trzeciej. Jeśli nie, to jutro.

– Rozumiem.

– I... to sprawa rodziny i klanu, którą wolelibyśmy zachować w tajemnicy. Wiem, że jest z tobą ta kobieta z Konfederacji Samotnej Gwiazdy. To ktoś w rodzaju policjantki?

– Nazywają ich Rangersami. Pomogła mi, gdy Harlis usiłował obalić testament taty.

– Tak, słyszałem. Jeśli jej ufasz, Stepan nie ma nic przeciwko poinformowaniu jej, dokąd się wybierasz, ale nie mów nikomu innemu.

– Dobrze.

Zadzwoiła do Kevila, który wreszcie przeprowadził się z centrum rehabilitacyjnego do domu, i odczekała, aż będzie mógł odebrać bezpieczne połączenie.

– Co knujesz tym razem? – zapytał.

– Dzwonił Viktor Barraclough, żeby mi powiedzieć, że Stepan chce się ze mną spotkać – i z tobą, jeśli czujesz się na siłach – w sprawie dotyczącej klanu. Dziś lub jutro po południu.

Kevil zagryzł wargi.

– To... bardzo ciekawe. Czy przez ostatnie kilka dni śledziłaś wiadomości?

– Nie, byłam zajęta wprowadzeniem Esmay z powrotem do Floty i wysłaniem jej na statek. Czemu pytasz?

– Consellinowie rozpowiadają, że twoja rodzina zmówiła się z Benignity, by zaaranżować wypadki na Patchcock, zamordowanie Hobarta i śmierć Pedara.

– O rety. Jak ich zdaniem udało nam się to zrobić?

– Cóż... Najwyraźniej Oskar Morrelline wpadł na pomysł, że szpieg Benignity został umieszczony w ich fabryce farmaceutycznej na Patchcock przez twoją rodzinę... żeby zepsuć reputację Morrellinów.

– Ależ to śmieszne.

– W najwyższym stopniu paranoidalne – zgodził się Kevil. – Córka Oskara, Ottala, musiała powiedzieć swojemu ojcu bardzo niepochlebne rzeczy na twój temat, bo jest głęboko przekonany, że wszyscy nienawidzicie Morrellinów.

Brun przypomniały się szkolne żarty, wyglupy i zabawy. Ottala... – Była dość jadowita, ale niczego jej nie zrobiłam.

– Oskar jest przekonany, że szpieg nie tylko został tam umieszczony przez twoją rodzinę, ale że Ottala była na jego tropie i właśnie dlatego ją zabił.

– Ottala nie potrafiłaby wytropić pomazanego czarną farbą kota na białym dywanie. Była w nieprzyzwoity sposób skupiona na sobie. – Choć Kevil milczał, poczuła, jak się czerwieni. –

Oczywiście ja też taka byłam – wszystkie byłyśmy, może poza Raffaele – ale Ottala nie tylko była zepsuta i samolubna. Nie była też zbyt bystra.

– Niezależnie od faktów – powiedział Kevil – ludzie wierzą w to, w co chcą wierzyć. Pod rządami Hobarta Oskarowi udało się odzyskać część wpływów, a teraz stara się jak najlepiej wykorzystać jego śmierć. Jest przekonany, że ambasador Benignity kłamie – nie mogli go zabić tylko z powodu ich stosunku do odmładzania – a poza tym Hobart nie był Odmłodzeńcem.

– Czyli Consellinowie nas oczerniają – podsumowała Brun. – Tylko rodzinę czy cały klan?

– Cały klan.

– W takim razie Stepan pewnie będzie chciał zrobić ze mnie kozła ofiarnego.

– Wątpię – odpowiedział Kevil. – Stepan szanował i lubił twojego ojca. Wiesz, jest bardzo stary i nigdy się nie odmłodził. Podejrzewam, że chce czegoś od ciebie, i lepiej dowiedzmy się, czego.

– Będziesz mógł dzisiaj pójść?

– Oczywiście. O trzeciej? Będę tam. Mogę się założyć, że jeśli zadzwonię teraz do jego prawników, ktoś zaprosi mnie na lunch, a potem około drugiej pójdziemy do ich biura, aby porozmawiać o ponownym rozkręceniu mojej prawniczej praktyki... i przypadkiem będę tamo trzeciej, kiedy ty się zjawisz.

– Sprytne – skomentowała Brun.

– Tak. Do trzeciej po południu Stepan będzie mógł zwołać wszystkich, których chciałby zobaczyć, i nie da im zbyt wiele okazji, żeby mogli się wygadać. Kiedy przyjdiesz, udawaj zmartwioną, jakbyś spodziewała się awantury albo nawet wykluczenia z Rady. I nie zaszkoźdłoby, gdybyś zadzwoniła do Buttonsa i zapytała go, co sądzi o plotkach Morrellinów, nie wspominając przy tym o Stepanie.

– Jeszcze bardziej sprytne – powiedziała Brun. – Mogę to zrobić.

Krótko po tym Kate zjawiła się na lunch, zrzucając z nóg buty na wysokich obcasach zaraz po wejściu na puszysty dywan w holu.

– Nie rozumiem, czemu je nosisz, jeśli bołą cię w nich stopy – powiedziała Brun.

– Dla czystej przyjemności ściągania ich i grzebania palcami w dywanie – odpowiedziała Kate. Triumfowała. – Prawie udało mi się przekonać ministra do wycofania embarga handlowego, a dziś po południu mam spotkania jeszcze z dwoma ministrami. Kiedy uda mi się odmrozić konta, będę mogła wrócić do domu. Może odrobinę pozwiedzam po drodze.

– Pozwiedzasz?

– Cóż, jak powiedziałam temu młodzieńcowi na statku, który mnie tu przywiózł, nie mam nic przeciwko obejrzeniu sławnych miejsc Familii. Kiedy będę miała na to czas?

– Co masz na liście? – zapytała Brun. – Wiesz, to może potrwać rok lub dwa... – W czasie lunchu rozmawiały na temat turystyki, a potem Kate z powrotem założyła buty i poszła walczyć z biurokratami.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Brun przybyła do biura Spurling, Taklin, DeVries i Bolton z miną, która miała wyrażać głębokie zaniepokojenie. Przez chwilę rozważała pomysł przebrania się, ale w końcu zdecydowała się na bardzo konserwatywny strój.

– Aaa, sera Meager – przywitał ją recepcjonista. – Proszę wejść – dodał i otworzył wewnętrzne drzwi. Po wejściu do pokoju Brun natknęła się na młodego człowieka; dopiero po chwili poznała, że to George Mahoney. Był w oficjalnym garniturze i miał wyraz twarzy zupełnie różny od tego, do jakiego była przyzwyczajona.

– Zaskoczyłem cię, prawda? – powiedział. Wraz z uśmiechem pojawił się dawny George. – Zdałem egzaminy. Jestem tutaj, aby porozmawiać o pracy.

Brun omal nie zapytała, czy nie zamierza pracować z ojcem, ale uświadomiła sobie, że to prawdopodobnie najlepsze wytłumaczenie jego obecności tutaj.

– Tata jadł dzisiaj lunch z jednym ze starszych partnerów i okazało się, że mają wolne stanowisko. Zadzwoił i kazał mi się tu zjawić, więc jestem i myślę, że sprawdzają moją gotowość do wypełniania poleceń, każąc mi eskortować gości.

– Jak poszły egzaminy? – Brun zadała najbezpieczniejsze pytanie, jakie przyszło jej do głowy.

– Całkiem dobrze sobie poradziłem – powiedział George i na jego policzkach pojawił się rumieniec. – Prawdę mówiąc... bardzo dobrze. Tata był bardzo zadowolony i myślę, że to dlatego kazał mi tu przyjść, choć podobno ser Spurling zaprosił go już wcześniej.

– Dostałeś najlepszą notę z egzaminów?

Rumieniec pogłębił się.

– Prawdę mówiąc, niezupełnie. Pamiętasz tę twoją kuzynkę Veronicę?

Brun przypomniała sobie nieco zagubioną dziewczynę, którą poznała dawno temu, na Balu Łowieckim, kiedy to księżę wjechał konno do jadalni.

– Ona była pierwsza, ja drugi. I... zamierzamy się pobrać. – Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, dodał: – Oto jesteśmy, sera Meager. To biuro ser Spurlinga.

Ser Spurling, wyglądający na około sześćdziesiątki, wprowadził ją do swojego przestronnego gabinetu i poprosił George'a, żeby udał się na dół i przyniósł jakieś dokumenty, które przygotował urzędnik w bibliotece. W biurze siedział już Kevil – z nowym ramieniem wyglądał znacznie lepiej – oraz Viktor i Stepan Barracloughowie.

– Brun, moja droga, jak to dobrze znów cię widzieć. – Stepan wstał i podszedł do niej. Był starym człowiekiem; miał mnóstwo zmarszczek na twarzy, przez skórę przeświecały kości, a oczy głęboko zapadły się w oczodołach. – Dziękuję ci za przyjście.

– Ja dziękuję za zaproszenie.

– Bez wątplenia zastanawiałaś się, czemu cię tu zaprosiłem. Musiałaś słyszeć o pomysłach Oskara Morrelline' a.

– Tak, słyszałam.

– To dobrze. Brun, nie wiem, czy kiedykolwiek słyszałaś, że odmówiłem odmłodzenia. – Potrząsnęła głową. – Była to cena, jakiej Kostan – mój dziadek – zażądał w zamian za zajęcie pozycji głowy klanu. Uważał, że w okresie rozpowszechniania się odmładzania klan musi mieć u władzy kogoś, kto nie podda się odmładzaniu. Kto będzie miał kontakt z rzeczywistością, kto będzie

przypominał ludziom o przemijaniu czasu i potrzebach ogółu.

– Długie życie lub władza, jedno z dwojga – wtrącił się Viktor.

– Właśnie. – Stepan uśmiechnął się. – Mając dwadzieścia lat, nie miałem problemu z wyborem; wybrałem władzę. Gdy miałem czterdzieści i pięćdziesiąt lat i moi przyjaciele zaczęli się odmładzać, pierwszy raz poczułem pragnienie, aby odzyskać młodość. Moja żona, która chciała, bym się odmłodził, sama to zrobiła, a kiedy odmówiłem, opuściła mnie. Było mi wtedy trudno trzymać się zawartej umowy, ale byłem uparty. – Zachichotał. – Zresztą dziadek wymógł na jednym z moich wujów, który był wtedy głową klanu, taką samą obietnicę, więc gdybym się poddał, wuj znalazłby kogoś innego na moje miejsce. I tak jak przewidział dziadek, wywiązywałem się ze swoich obowiązków i byłem dobrym przywódcą klanu.

– Ja wybrałem długie życie – odezwał się Viktor – ale miałem zbyt wiele temperamentu, aby wykonywać tego rodzaju pracę.

– Za to zawsze mogę liczyć na to, że ściągniesz na siebie ogień przeciwnika i wykryjesz ich pułapki.

– On zawsze potrafi pochlebstwem skłonić ludzi do zrobienia tego, co chce – rzekł Viktor, uśmiechając się do Brun.

– Nie zawsze. Harlis nigdy nie był zbyt chętny do współpracy, dlatego błogosławiłem Bunny'ego, że urodził się pierwszy. – Stepan popatrzył teraz na Brun. – Wiem, jakie geny ci wbudowano, choć nie do końca wiem, co z nimi zrobiłaś – powiedział. – Potrzebuję twoich talentów, moja droga. Miałem nadzieję poczekać jeszcze z dziesięć lat, ale obecne wydarzenia na to nie pozwalają. Jesteś młoda, ale to, przez co przeszłaś, na pewno przyspieszyło twoje dojrzewanie.

– Mam nadzieję – odpowiedziała Brun. Zaczęła się już domyślać, do czego Stepan zmierza, i podniecenie mieszało się w niej ze strachem, że nie jest na to gotowa.

– Potrzebuję następcy – oświadczył starzec – i proponuję ci taką samą umowę, jaką mnie przedstawiono. – Urwał, ale Brun milczała. – Rząd przeżywa kryzys, i nawet bez oskarżeń Morrellinów problemy ekonomiczne wynikające z kwestii odmładzania oraz zagrożenie ze strony Benignity zaprowadziłyby nas na to samo rozdroże. Kobieta, którą wybrałem na swoją pierwszą następczynię – Carlotta Bellinveau – miała jakieś problemy z siatkówką i tylko odmłodzenie mogło uratować jej życie. Miała zaledwie dwadzieścia pięć lat, więc zaryzykowała, ale mimo transplantów umarła w zeszłym roku. Gdybym był nadmiernie podejrzliwy, mógłbym posądzić Consellinów o spowodowanie jej śmierci lekami, które brała w trakcie leczenia, ale szczerze mówiąc, myślę, że to po prostu było zrządem losu.

– Czy miałaś tylko ją jedną?

– Początkowo nie, ale warunek połączenia talentu przywódczego z gotowością do rezygnacji z odmłodzenia sprawia, że niełatwo znaleźć odpowiednich ludzi. Kiedy byłem młody i wielokrotne odmładzanie było czymś nowym, wielu ostrożnych ludzi nie odmładzało się nawet w wieku czterdziestu czy pięćdziesięciu lat... ale teraz wielu bogaczy po raz pierwszy odmładza się już po trzydziestce. Twoja starsza siostra z mężem właśnie się odmłodzili, a nie mają jeszcze czterdziestki.

Brun zaczęła się zastanawiać, czy Stepan wie, że ona sama chciała się odmłodzić, by zmienić swój wygląd i tożsamość, ale teraz wydawało jej się to makabrycznym pomysłem osoby wytraconej z równowagi.

– Jeśli zgodzę się nie odmładzać, sprawisz, że zostanę głową klanu? Myślałam, że taka osoba jest wybierana.

– Bo jest, ale tak jak w przypadku wszystkich wyborów, można je ustawić. Sama zgoda jest zaledwie pierwszym krokiem w procesie selekcji. Jeśli zamierzasz się zgodzić, proszę, powiedz mi.

Po chwili ciszy przejęta Brun odpowiedziała:

– Tak, zgadzam się na krótkie życie, ale za to pełne radości. Stepan uśmiechnął się.

– Dobrze. To pierwszy krok. A przy okazji chcę ci powiedzieć, że przekonałem się, iż to dobra umowa. Dość trudno jej dotrzymać, ale w tej chwili niczego nie żałuję. Nie miałem czasu poznać cię po twoim powrocie, ale zajęło się tym parę osób. Viktor, podaj jej kostkę. – Brun wzięła podany jej przedmiot. – Przejrzyj to na osobności. To twoje dossier. Jeśli czegoś w nim brakuje, zwłaszcza tego, co może mieć wpływ na twoją pozycję polityczną, muszę wiedzieć. Na ilu spotkaniach Wielkiej Rady byłaś?

– Pięciu.

– Dobrze. Mam nadzieję, że przeszło ci już zauroczenie.

– O tak – zapewniła Brun.

– Zamierzam poprosić cię, żebyś na następnej sesji zwróciła się do Wielkiej Rady w imieniu naszego klanu. Jak można się spodziewać, sesja wkrótce zostanie zwołana; Consellinowie domagają się dyskusji na temat śmierci Pedara. Mam nadzieję, że twoje pojawienie się będzie dużym zaskoczeniem.

Brun z trudem powstrzymała się od głośnego przełknięcia śliny.

– Co byś powiedziała – zapytał Stepan – gdybyś miała przemówić teraz, mając tę samą wiedzę, jaką masz w tej chwili?

Brun rzuciła szybkie spojrzenie Kevilowi, ale on patrzył na Stepana, a nie na nią. Przez jej głowę przemknęła myśl: co jest najważniejsze? Obrona klanu i rodziny przed oskarżeniami Morrellinów? Trudny i skomplikowany problem zmian w prawie w związku z odmładzaniem? Atak na Odmłodzeńców? Nie. W jednej chwili zobaczyła, co jest w tej chwili najważniejsze. Wspólny cel, coś, co może skłonić wszystkie skłócone rodziny do współpracy.

– Panie i panowie – przemówiła, jakby faktycznie znajdowała się w sali Wielkiej Rady. – Mamy do rozwiązania wiele trudnych i złożonych problemów, ale w tej chwili najważniejsze dla naszego bezpieczeństwa jest stłumienie buntu w Zawodowej Służbie Kosmicznej. Potem będziemy mogli spokojnie poświęcić czas na przedyskutowanie innych spraw.

Stepan skłonił się.

– Dobrze, wręcz doskonale. – Spojrzał na Kevila. – Miałaś rację, ta dziewczyna ma instynkt i urnie go wykorzystywać. Zapewne będziesz chciała to dopracować i wygładzić... ale podoba mi się duch twojej przemowy. Jak poradzisz sobie z pytaniami o rodzinę?

– Odpowiem z całą szczerością, sir. Powiem im, że później mogą mnie rozerwać na kawałki i pożreć, jeśli chcą, ale w tej chwili muszą poprzeć lojalistów we Flocie.

– Jednej rzeczy nie można odmówić polowaniu na lisy – odezwał się Kevil. – Dostarcza bogatego słownictwa i żywych metafor.

– Tak długo, jak masz lisa, za którym można gonić. A trzeba przyznać, że bunt to bardzo głośny lis, którego mam nadzieję złapać i rozerwać, zanim schowa się pod ziemię.

Brun usłyszała idącą korytarzem Kate, więc wyłączyła ekran czytnika. Była wzburzona po przejrzeniu zawartości kostki z jej dossier. Nie zaskoczyło jej to, co można było z łatwością dowiedzieć się z różnych programów informacyjnych i rozrywkowych, ale Stepan dogrzebał się nawet do tej sprawy ze szkoły, gdy miała trzynaście lat... Jak się dowiedział, że to nie była jej wina, skoro nawet jej rodzice tak myśleli? Skąd wiedział, że Brigdis Sirkin jej odmówiła?

– Jeszcze tylko jedno oficjalne spotkanie – oznajmiła Kate, rzucając się na fotel – i będę wolna... – Spojrzała na Brun i wyraz jej twarzy uległ zmianie – Co ci się stało? Wyglądasz, jakby ktoś przegonił po tobie stado bydła.

– To stare sprawy rodzinne – odpowiedziała Brun. – Czy trafiłaś kiedyś na coś takiego, co pozwoliło ci się dowiedzieć, co inni myśleli na twój temat, gdy byłaś dzieckiem?

– Mówisz o starych listach, rejestrach szkolnych czy czymś podobnym? Tak, chyba wiem, co masz na myśli. Nawet jeśli to coś miłego, to nigdy nie jest dokładnie to, czego się spodziewałaś. Pamiętam, jak matka pokazała mi, co stara panna Pennyfield napisała na dole mojego wypracowania: „Katharine Anne byłaby doskonałym uczniem, gdyby poświęcała swoją energię na naukę, zamiast na próby unikania ucziwej pracy”. A ja myślałam, że stara jędza mnie lubi. Zawsze potrafiłam ją rozśmieszyć. Ale po tym odkryciu przez miesiąc nie miałam ochoty na śmiech.

– No właśnie – powiedziała Brun.

– Oczywiście zaczęłam bardziej się przykładać do nauki i potrafiłam dużo więcej niż tylko rozśmieszać zasuszone nauczycielki. Ale musiała to zepsuć, dodając do końcowej oceny wzmiankę o tym, że „Katharine Anne w końcu zaczęła się przykładać do nauki”. Dlatego napisałam na jej ganku lakierem do paznokci „stara wiedźma”... i za to przez połowę lata pracowałam u niej na podwórzu.

– Złapała cię?

– Nie, ona następnego dnia po zakończeniu szkoły wyjechała na wakacje, dlatego myślałam, że to bezpieczne. Ale okazało się, że raz dziennie przychodziła tam jej przyjaciółka, panna Anson – zazwyczaj po południu, ale tym razem akurat przyszła rano – i złapała mnie na gorącym uczynku. – Uśmiechnęła się na to wspomnienie i znów spojrzała na Brun. – A więc czego się dowiedziałas?

Brun opowiedziała jej o wydarzeniu w szkole.

– Cóż, czego się spodziewali, zamykając razem dziewczyny w tym wieku? – Ottala... Czy to ta sama Ottala Morrelline, o której wciąż opowiada Oskar Morrelline?

– Ta sama – potwierdziła Brun. – Aleja nie zrobiłam jej niczego aż tak paskudnego.

– Oczywiście, nie posądzałabym cię o to. Ale – przykro mi, że jestem taka samolubna – jaki to wszystko będzie miało wpływ na stabilność waszego rządu? Nie będę zbyt szczęśliwa, jeśli wrócę do domu po załatwieniu wszystkiego i okaże się, że znowu trzeba walczyć. Rangersi powinni załatwiać problem raz na zawsze.

– Ten problem musimy rozwiązać sami, bez pomocy – stwierdziła Brun. – Zamierzam poprzeć Esmay. Najpierw załatwimy sprawę buntu i wywalczymy sobie pole manewru... a potem będziemy mogli wrócić do reszty spraw. Na dłuższą metę będziemy musieli wprowadzić duże zmiany, których – jak sama powiedziałaś – domaga się wielu ludzi. Ale w tej chwili przede wszystkim musimy uzdrowić Flotę.

– To brzmi rozsądnie – zgodziła się Kate. – Jadłaś już kolację?

– Nie. A ty?

– Tylko przekąskę. My, blondynki, musimy dbać o siebie, żeby zachować kolory na policzkach.

Mogłabym ci dotrzymać towarzystwa przy jedzeniu.

– No dobrze... – Brun wyłączyła czytnik i wstała. – Skoro o tym wspomniałaś, to dziwne, że nikt mi nie przyniósł jedzenia. To nie jest wolny dzień dla służby i wiedzieli, że wieczorem zamierzam zostać w domu.

Kate zmrużyła oczy.

– Gdzie jest twoja ochrona? – zapytała cicho.

– Przypuszczam, że przed domem. Czemu pytasz?

– Nikogo tam nie było, kiedy wchodziłam. Przynajmniej nikogo nie widziałam.

Brun poczuła dreszcz wzdłuż pleców. Tutaj, w rodzinnym domu, nie dysponowała żadną podręczną bronią. Nigdy nie sądziła, że może jej potrzebować.

Kate rzuciła jej przeciągłe spojrzenie, a potem głośno powiedziała:

– Cóż, nieważne. Chodźmy gdzieś na kolację. Wspominałaś o miejscu, które lubi lady Cecelia.

– Czemu nie? Tu i tak jest zbyt cicho. – Brun wstała, przeciągnęła się i wyłowiła spod biurka buty. Potem wyciągnęła z czytnika kostkę i schowała ją do kieszeni. Spojrzała na Kate. Co teraz? Atak w holu? Przed drzwiami?

– Mam ochotę na rybę – stwierdziła Kate. – Ta lassaferańska ślimakoryba... Zastanawiam się, czy moglibyśmy importować jej jaja czy larwy, jakkolwiek się one rozmnażają.

– Ja myślę raczej o stekach z królika, nadziewanych ziołowym serem.

Weszły do holu. Brun widziała wejściowe drzwi i światło sączące się z frontowych pokojów. Żadnych podejrzanych cieni. Zerknęła w stronę drzwi dla służby. Zamknięte. W szerokim holu wyłożonym dywanem stał stojak na parasole, w którym wciąż jeszcze była laseczka taty. Przechodząc obok, Brun wyciągnęła ją, jakby zawsze zabierała ze sobą na kolację męską laseczkę.

Zatrzymały się przy drzwiach. Kate uniosła brwi, po czym wzruszyła ramionami.

– Zimno dzisiaj – rzekła Brun. – Nie chcesz jeszcze czegoś założyć?

– Chętnie – zgodziła się Kate. – Ta wasza wiosna jest zimniejsza od naszej, ale ty pewnie uważasz ją za łagodną. – Sięgnęła do drzwi garderoby, a Brun przygotowała laskę do ciosu.

Po otwarciu drzwi w środku włączyło się światło, ale był tu tylko stojak z wieszakami, w większości pustymi, górna część smokingu ojca, której nie mogła znaleźć w Appledale, zielony kaszmirowy szal matki i jej własna tweedowa marynarka oraz zestaw różnych płaszczy przeciwdeszczowych w kolorach niebieskimi szarym. Kate wybrała ciemnoniebieski i owinęła szyję zielonym szalem, Brun wzięła drugi taki sam płaszcz.

Potem zgasiły światło we frontowych pokojach, odczekały chwilę, by ich oczy przyzwyczyły się do mroku, i otworzyły drzwi wejściowe. Do środka wpadło zimne, wilgotne powietrze.

Wychodząc, Brun zostawiła drzwi lekko uchylone, na wypadek, gdyby musiały szybko wrócić do środka, choć uważała, że to niezbyt dobry pomysł.

– Zostaw je otwarte na oścież – szepnęła Kate. Ruszyły wzdłuż ściany domu. Odległe latarnie uliczne dawały tak mało światła, że widać było jedynie niewyraźnie kształty. Lampa w gabinecie oświetlała żywopłot, który dziś rano kazała ogrodnikowi przyciąć. Na trawnik na tyłach domu padała jeszcze jedna smuga światła.

Ruszyły przez trawnik. Brun pamiętała, by zabrać ze sobą pilota do zewnętrznych alarmów – jeśli ten, kto usunął jej pracowników, już ich nie wyłączył – żeby nie informować napastników o

swoim położeniu. Oczywiście jeśli mają sprzęt do patrzenia w nocy, nic im nie pomoże. Przebiegły koło rzędu kamelii, a potem wyjrzały zza sięgającego do ramienia żywopłotu. Nie widziały niczego, oprócz chodnika odbijającego odległe światła uliczne. Brun naciągnęła kaptur płaszcza przeciwdeszczowego i rozsunała laską żywopłot.

Stały na chodniku i rozejrzały się wokół; nigdzie w pobliżu nie było żadnych widocznych zagrożeń.

– To ciekawe – rzekła Kate. – Myślę, że kiedy będziemy trochę dalej, zgłoszę na policję, że widziałam dom z otwartymi drzwiami.

– Hmm Myślałam raczej o tym, żeby zadzwonić do agencji ochrony i powiedzieć, że ich pracownicy zniknęli.

– To też nie zaszkodzi. Masz zamiar zabrać tę laseczkę do miasta?

– Myślę, że tak – Brun ścisnęła mocniej laskę – skoro wszystko, co jeszcze mogłabym nieść, zostało w sypialni.

* * *

Wyszły na ulicę i dołączyły do strumienia pieszych kierujących się w stronę przystanku kolejki, Tam Brun zadzwoniła z publicznego komunikatora do firmy ochroniarskiej, a potem do Kevila, żeby wiedział, co się z nią dzieje, i nie wpadł w panikę, a Kate zadzwoniła na policję. Następnie wsiadły do kolejki, przejechały jeden przystanek, zeszły na stację metra i po przejechaniu trzech przystanków i wykonaniu telefonu z rezerwacją zostały wprowadzone do restauracji Celeste. Uśmiechnęły się do siebie w lustrze, podały płaszcze przeciwdeszczowe i chusty pracownikowi szatni i ruszyły w stronę podokiennej alkowy z widokiem na kamienny ogródek. O tak wczesnej porze restauracja nie była zatłoczona.

– Macie tu dziwne ogrody – stwierdziła Kate i zajęła się studiowaniem menu. – O, mają tu lassaferańską ślimakorybę. Tylko czemu płetwa jest dwa razy droższa od całej ryby?

– To dlatego, że płetwa jest bardzo dekoracyjna i jeszcze nikt nie był w stanie jej podrobić. Dodatkowo grzbiet płetwy nadaje jej pikantny smak, choć moim zdaniem nie jest tego warta.

– W takim razie wezmę całą rybę. Smażoną czy pieczoną?

– Smażona jest lepsza. Poproś o przybranie smażonym czosnkiem. Niektórzy wolą cytrynę, ale moim zdaniem lepszy jest czosnek. Cholera, nie mają królika. „Przepraszamy, dostawca zawiódł”. Gdybym wiedziała, kazałabym swoim ludziom przysłać tu z Appledale część tych szkodników, które buszują w tamtejszym ogrodzie.

– Co w takim razie zamówisz?

– Hmm Nie wiem, nastawiłam się na królika. Może jagnię..

– Zaczynaj od zupy – zaproponowała Kate. – Ja też tak zrobię.

Już prawie skończyły jeść zupę, gdy uwagę Brun zwróciło jakieś poruszenie przy wejściu. Ktoś z naciskiem mówił do szefa sali, próbując przepchnąć się obok niego.

– Do diaska, to moja bratanica! – Wuj Harlis. Brun głośno przełknęła. Wuj Harlis powinien być zamknięty albo poddany nadzorowi – nie przywiązywała do tego szczególnej wagi po usłyszeniu zapewnienia, że nie będzie jej nachodził – w związku ze śledztwem w sprawie przestępstw przeciwko członkom rodziny, nielegalnych działań wobec firm i próby przejęcia spadku Bunny'ego. – Mam prawo się z nią spotkać. Martwię się...

– Powrót złego wuja? – zapytała Kate.

– Coś w tym rodzaju. – Przy stole zapaliło się kolorowe światło, dyskretnie sygnalizując, że ktoś chce z nią rozmawiać. Brun wcisnęła klawisz potwierdzenia. Kate uniosła brew. – Mogę się zgodzić – powiedziała – bo jeśli nie, dalej będzie się awanturował, a przy ludziach raczej nie będzie próbował mnie zaatakować. – Po chwili szef sali przyprowadził Harlisa do ich stołu.

– Brun, tak się martwiłem. – Wygląda bardziej na zdenerwowanego niż zmartwionego, pomyślała Brun, ale nie chciała o tym dyskutować. – W końcu twoja matka... Próbowałem do ciebie dzwonić, ale nikt nie odbierał, a kiedy tam pojechałem, w całym domu było pełno policji.

– Naprawdę? – zdziwiła się Brun. – Czemu?

– Nie chcieli mi powiedzieć. Nic ci nie jest?

– Absolutnie nic. To wszystko, czego ode mnie chciałeś? – Nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby przyszedł do restauracji tylko po to, by sprawdzić, czy nic jej nie jest.

– Słuchaj, Brun... Wiem, że to może nie jest najlepsza chwila... ale chcę polecieć na Sirialis.

– Sirialis? Wiesz, że sąd podtrzymał wolę taty.

– Tak, wiem, ale tam są moje rzeczy... w moim pokoju we wschodnim skrzydle... i chcę je zabrać.

– Mogę kazać ci je przysłać – zaproponowała Brun.

– Muszę tam polecieć osobiście. – Harlis znów mówił głośniej. Brun zauważyła, że goście zaczynają im rzucać ukradkowe spojrzenia. Czyżby był pijany?

– Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł – stwierdziła. – W rezydencji nie ma nikogo z rodziny...

– Ja jestem z rodziny! – krzyknął Harlis. – To mój dom, tak samo jak twój! To niesprawiedliwe...

– Harlis, gdybyś nie próbował nas oszukać, miałbyś do niego taki sam dostęp, jak zawsze. Twoje postępowanie było niesprawiedliwe.

– Tak samo jak wyznaczenie na dziedzica Barracloughów córki morderczyni – prychnął Harlis. Brun niemal czuła niezdrową ciekawość pozostałych gości.

– O to ci chodzi? – zapytała, zastanawiając się, jak się o tym dowiedział.

– Co zrobiłaś, uwiodłaś staruszka? – Głos Harlisa grzmiał teraz w całej sali, ale na szczęście już zmierzał w jego stronę szef sali w towarzystwie jednego z kelnerów.

Kate roześmiała się, poprawiając się na krześle.

– O co chodzi, Harlis, ty się szykowałeś?

Brun poczuła, jak się czerwieni – poczucie humoru Kate pasowało raczej do stajni – ale zdołała zapanować nad wyrazem swojej twarzy. Kiedy obsługa podeszła, rzekła cichym, lecz wyraźnym głosem: – Wydaje mi się, że mój wuj nie czuje się dobrze. Może mogliby panowie mu pomóc?

– Oczywiście, sera – odpowiedział szef sali.

– Jeszcze tego pożałujesz – wydyszał Harlis – ty zepsuta mała dziwko.

Pozostali goście z godnym podziwu zapałem zabrali się z powrotem do jedzenia, gdy tylko Harlis został wyprowadzony z sali.

– Muszę przyznać twojemu wujowi – odezwała się Kate – że nie przepuści żadnej okazji, aby zrobić głupstwo.

Brun parsknęła, niemal się dławiąc wodą.

– Muszę teraz zadzwonić do kogoś na bezpiecznej linii. Mogę cię zostawić na kilka minut?

– Oczywiście. Zajmę się w tym czasie flirtowaniem z tym przystojnym młodzieńcem, który właśnie wszedł i stoi tam pod ścianą. Czyżby to był nasz George?

Brun spojrzała w tamtą stronę.

– Och, już nie muszę dzwonić.

– Nie musisz być taka tajemnicza – zauważyła Kate.

– Niestety, muszę. Przepraszam cię na chwilę. – Podeszła do George'a Mahoneya i wyszli razem do foyer.

– Cieszę się, że nic ci nie jest – powiedział, kłaniając się. – Takie rzeczy się zdarzają.

– Tak. Tata już się tym zajął.

– Był tu Harlis – powiedziała Brun.

– Tutaj?

– Tak. Musiałeś się z nim rozminąć.

– Rozmawiałaś z nim?

– Tak. Chce lecieć na Sirialis.

– Zadzwoń do taty... a potem mogę wam towarzyszyć przy kolacji?

– Oczywiście. Powiem Kate i zawołam kelnera.

Kiedy George chciał, potrafił być wręcz czarujący. Kate, która wcześniej widziała go wyłącznie zatroskanego stanem ojca albo okazjonalnie w Appledale, nie poznała dotąd w pełnej krasie jego błyskotliwości. Brun siedziała i przyglądała się, jak flirtują i przekomarzają się, zmagając się w milczeniu z porcją sarniego combra. Jedzenie pomogło jej się uspokoić, i gdy przyszła pora na deser, była już gotowa zadawać pytania.

– Co ze służbą domową?

– Wszyscy bezpieczni. Unieruchomieni, ale bezpieczni. Twoja ochrona miała mniej szczęścia, ale przeżyją. Stepan przydzielił ci starszego ochroniarza Barracloughów. Dziś w nocy dom będzie bezpieczny, ale byłoby lepiej, gdybyś na wszelki wypadek spędziła noc gdzie indziej. Możesz nocować u nas.

– Wiesz, kto to zrobił?

– Nie ma pewności, ale mówiono o Harlisie.

– Zaczął od stwierdzenia, że martwi się o Brun – wtrąciła się Kate.

– Powiedział, że był w domu i zobaczył policję. Wydawał się zaskoczony tym, że nic jej nie jest.

– Hmm Nikt nie powiedział, że był w domu. Myślę, że zatrzymaliby go, gdyby się tam pojawił. Dokąd poszedł?

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała Brun. – Wszystko, co wiem, to że chce lecieć na Sirialis. Kiedy mu odmówiłam, powiedział, że tego pożałuję.

– Myślę, że trzeba to natychmiast sprawdzić – powiedział George.

– Jeśli będziemy mieli szczęście, możemy go znaleźć, ale... – Spojrzał na zegarek. – Już mógł złapać prom na górę.

– Gdybyśmy tam byli... i gdyby miał jakąś pomoc – powiedziała Kate – Brun mogłaby już nie żyć, a on byłby na promie.

– Cóż, nic mi nie jest – odezwała się Brun, zerkając na jadący w ich stronę wózek z deserami. – Żyję i chcę czegoś z dużą ilością polewy czekoladowej.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Rockhouse Major, 18:00 czasu lokalnego

Goonar właśnie szykował się do wyjścia do głównego bloku restauracyjnego na kolację, gdy odezwał się jego komunikator.

– Tu komandor Tavard – rozległ się głos. – Te odciski palców i nagranie wideo są bardzo ciekawe.

– Komandorze, to... eee... nie jest bezpieczna linia.

– Nie ma problemu. Chciałem tylko panu powiedzieć, że bardzo się cieszę, iż nie odleciał pan z tym człowiekiem na pokładzie. Proszę uważać na okolicę, na wypadek, gdyby postanowił odwdzińczyć się panu za niegościnnosć.

– Proszę mi wierzyć, będę uważał. W tej chwili wychodzę z Basilem na kolację, ale możemy zostać na pokładzie, jeśli sądzi pan, że tak będzie lepiej.

– Nie, kolacja jest w porządku, o ile zostawi pan na pokładzie kogoś zaufanego. Gdybyśmy się przypadkiem spotkali, zakładam, że wciąż jest pan niezadowolony ze sposobu traktowania przez Flotę informatorów?

– Oczywiście. Mam pana obrazić czy pan mnie obrazi?

– Powinniśmy po prostu traktować się dość chłodno. Aha, i dziękuję za informację o Suizie. Odnalazła się. Zatrzymała się w prywatnej rezydencji i dlatego nie mogliśmy jej znaleźć.

– Czyli wy naprawdę... – Goonar nie sądził, że to zainteresowanie Esmay było prawdziwe.

– Dwa ptaki jednym kamieniem... choć jeśli dobrze rozumiem mechanikę rzutu, nie powinno się to udać. Ale rozumie pan, o co chodzi.

– Oczywiście. – Chciał zapytać o Betharnę i jej trupę, ale uznał, że lepiej nie komplikować i tak już niezbyt prostej sytuacji. – Zabieram ze sobą komunikator, gdyby potrzebował pan skontaktować się ze mną.

Po wygłoszeniu załodze ostatnich ostrzeżeń skierowali się razem z Basilem na główny poziom stacji. Rockhouse zawsze sprawiało na nim wrażenie, że znajduje się w samym środku wszystkich wydarzeń. Zenebra tuż przez wyścigami była równie zatłoczona, ale tam byli tylko koniarze, ludzie z jednej paczki. Tutaj zaś miał do czynienia z wielką różnorodnością, jako że prędzej czy później każdy musiał pojawić się tu w interesach. Wszędzie wokół widział sklepy, budki z błyskającymi na ekranach wiadomościami i wydrukami gazet, przeważnie dobrze ubranych ludzi – ci wciąż pracujący w poważnych garniturach, a w swobodnych wieczorowych strojach ci wychodzący na zabawę – kolejne sklepy i zgiełkliwy wieczorny ruch.

Przyglądał się starszej kobiecie w błyszczącym purpurowym kaftanie i z siwymi włosami spiętymi w kok, która sunęła tak, jakby była właścicielką całej stacji. Ludzie usuwali się jej z drogi, jakby za sprawą jakiejś magicznej siły. Basil szturchnął go łokciem.

– Przypomina mi ciotkę Herdion.

– Sądzę, że na pewno jest czyjąś ciotką – zawyrokował Goonar. Patrząc na nią, myślał, że jeśli we wszechświecie żyją jeszcze takie stare damy, które potrafią zażegnać kłótnie między rodzinami dla dobra zagubionego dziecka, Betharnya może zrezygnować ze sceny na rzecz miłego domku w sąsiedztwie Basila.

Jako kapitan statku Goonar zarezerwował stolik dla siebie i Basila w Gildii Kapitańskiej. Był tam już kiedyś jako gość wuja, ale teraz po raz pierwszy wchodził tu na innych prawach.

– Kapitan Terakian oczywiście. – Szef sali uśmiechnął się do niego. – Zawsze cieszy nas widok kapitanów Terakianów. Proszę za mną.

Wtedy dekoracje oszołomiły go, bo nie był przyzwyczajony do stylu wewnętrznych światów Familii. Teraz... niemal czuł, że należy do tego świata.

Gdy na stole pojawiły się pierwsze dania, Basil nachylił się ku niemu.

– Nie zamierzasz chyba odlecieć stąd, zanim nie porozmawiasz z Bethyą, co?

Goonar omal nie zakrzuszył się zupą i spojrzał gniewnie na Basila.

– Jak mam z nią porozmawiać, skoro zniknęła po wojskowej stronie stacji i nic o niej nie słyszałem?

– Mógłbyś zapytać, na przykład tego komandora.

– Przyszedł zapytać o kobietę Suizów – stwierdził Goonar, pamiętając o podsłuchujących. – Czemu miałby coś wiedzieć o Bethyi?

– Goonar... Ona cię lubi, a ty ją lubisz. To widać.

– Wcale nie. W zeszłym roku myślałeś, że zakochałem się w tamtej blondynie...

– Miałem nadzieję. Wiedziałem, że tak nie jest, naprawdę. Ale nie próbuj mi wmówić, że Bethya cię nie rusza...

– Nie bądź wulgarny, Bas. – Goonar pochylił się nad zupą, aby ukryć w unoszącej się z niej parze rumieńce na policzkach. – Zresztą jeśli chce ze mną porozmawiać, wie, gdzie mnie znaleźć. A poza tym jest aktorką. Czemu miałaby być zainteresowana zwykłym starym kapitanem?

– Może chciałyby się ustatkować.

– Wątpię – odpowiedział Goonar. Zupa ciążyła mu w żołądku i żałował, że czeka go jeszcze reszta obiadu. Tymczasem Basil dalej zajadał; jego apetyt nic nie ucierpiał.

Zabrzączał komunikator.

– Kapitanie, tu Bethya. – Puls mu przyspieszył. – My... skończyliśmy tutaj. – Starannie dobierała słowa. – Wiem, że musimy zabrać nasz sprzęt z pańskiego statku i przenieść go do jakichś magazynów. Czy mogłabym porozmawiać z panem o zapłacie?

– Proszę się nie martwić – odpowiedział, po czym czując się tak, jakby skakał z urwiska, dodał: – Prawdę mówiąc, właśnie jemy z Basilem kolację w Gildii Kapitańskiej. Zechciałyby pani do nas dołączyć?

– Nie wiem, czy... Tak, kapitanie, chętnie. Gdzie to jest?

Goonar podał jej adres, a gdy podniósł wzrok, zobaczył Basila śmiejącego się jak chłopak, któremu właśnie udało się ustrzelić główną nagrodę na strzelnicy.

– Co?!

– To była Bethya, prawda?

– Tak, to była Bethya. Przyjdzie tu na kolację. – Zawołał kelnera i oznajmił mu, że zjawi się jeszcze jeden gość.

– Śmiejesz się całą gębą – zauważył Basil. – Niektórzy z naszych konkurentów mogą pomyśleć, że właśnie ubiłeś dobry interes.

– Niech myślą – odpowiedział Goonar. Nagle wrócił mu apetyt i miał wrażenie, że mógłby

zjeść całego wołu.

Bethya przybyła kilka minut później. Goonar mógłby przysiąc, że każdy mężczyzna na sali gapił się na nią, a ona była tego świadoma i sprawiało jej to przyjemność. Ale kiedy siadała, jej uśmiech przeznaczony był wyłącznie dla niego.

– Nie chciałam dzwonić, dopóki wszystkiego nie skończymy – powiedziała. – A potem Dougie uparł się, że wie, co powinniśmy teraz robić, jak i gdzie. Musiałam pójść z nimi do hotelu i zadzwonić do dwóch agentów, zanim wreszcie dał mi spokój.

– Nic nie szkodzi – powiedział Goonar. – Co pani sobie życzy?

– To wygląda dobrze – stwierdziła, zerkając na jego talerz.

– Ale... na początek zupa. Rosół czy krem?

– Krem.

Goonar zamówił dla niej kolację i czekał.

– Jedzcie, nie czekajcie na mnie – rzekła. – Chciałam jeszcze raz podziękować... wam obu. – Spojrzała na Basila, a potem znowu na Goonara. – Wiem, że sprawiliśmy wam wiele kłopotów i że wasza firma będzie na was zła.

– Wszystko w porządku – zapewnił ją Goonar.

– Zastanawiałam się, jak moglibyśmy wam to wynagrodzić.

– Twoja obecność, sera, to wszystko, czego nam trzeba – odezwał się Basil i obdarzył ją pełnym zachwyty spojrzeniem, na które odpowiedziała szerokim uśmiechem.

– Jesteś żonaty, zadziorny koguciku. Nie udawaj, że oferujesz coś, czego nie masz. W tej chwili mówię o interesach. Pomyślałam, Goonarze, że może chciałbyś mieć udział w naszej trupie.

– W trupie aktorskiej?

– Tak. Prawdopodobnie nie byłoby tego zbyt wiele, ale omówiliśmy to i jesteśmy gotowi dać ci twój udział. Wiemy, co mogłoby się stać, gdybyś nas nie zabrał. A jeśli zdarzy się cud i zatrudnią nas na dłużej w jakimś bardziej znanym teatrze...

Przyniesienie zupy dla Bethyi uratowało Goonara przed koniecznością udzielenia odpowiedzi. Tymczasem Basil skończył jeść i odsunął talerz.

– Goonarze, wracam na statek. Nie czuję się dobrze ze świadomością, że żadnego z nas nie ma na pokładzie. Moim zdaniem powinieneś przyjąć ten udział.

Była to oczywiście wymówka, ale Goonar też uważał, że przeniesienie się Basila na pokład jest dobrym pomysłem. Teraz siedział i grzebał w warzywach, przyglądając się ukradkiem Bethyi.

– Bethya... Czy byłabyś skłonna rozważyć... – Odchrząknął. To beznadziejne. Po co on w ogóle próbuje? – Czy chciałabyś się ustatkować?

– Ustatkować się? Masz na myśli pozostanie w jednym miejscu? Goonarze, jestem utalentowana, ale nie aż tak bardzo.

– Nie, ja myślałem o... rodzinie. Życiu w domu na planecie i wychowywaniu dzieci.

– Goonarze, czy tymi się oświadczasz?

– Zrobiłbym to, gdybym myślał, że mam jakąś szansę

Roześmiała się.

– Goonarze, to chyba najlepsza propozycja, jaką kiedykolwiek słyszałam, ale ja nie chcę rezygnować z podróżowania. Kiedyś będę musiała skończyć ze sceną; jak powiedziałam, znam

granice swojego talentu i wiem, że on nie dotrwa do czterdziestki. I choć jestem stosunkowo dobrym menadżerem, w trupie podnoszą się już głosy, że jestem za stara na główne role. Dougie myśli, że on równie dobrze poradziłby sobie z kierowaniem, a Lisa jest pewna, że byłaby lepszą primadonną.

– Myli się – stwierdził Goonar. – Wygląda jak wioskowy przyglup, a mówi jak gęś z kością w gardle.

Bethya znów się roześmiała.

– Może nie jest aż tak źle, ale zgadzam się, że nie jest tak dobra, jak uważa. W każdym razie chciałabym mieć dzieci. Ale zostać w jednym miejscu? Nie. – Rzuciła mu jedno z tych spojrzeń, które budziły w nim nadzieję. – Przyznaję, Goonarze, że podróżowanie na *Fortune* było bardzo przyjemne. Lubię cię, śmiejemy się z tych samych rzeczy, a ponadto jesteś szczerzy i serdeczny. Ale nawet dla ciebie nie osiądę w domu na wirującej kuli błota.

– Niektórzy kapitanowie zabierają swoje żony w trasy – powiedział Goonar. – Nikt tego nie zabrania.

– Wielu mężczyzn zachwyca się dekoracjami i scenicznym makijażem.

– Aleja nie zakochałem się w twoim scenicznym wizerunku. Nie jestem niedoświadczonym chłopcem.

– W takim razie w kim się zakochałeś?

– W kobiecie, która przyjęła zbiega, chociaż nie miała pojęcia, jak go przewieźć przez granicę. W kobiecie, która śpiewem i tańcem skradła moje serce, a równocześnie planowała, jak się wymknąć Benignity. W kobiecie, która potrafiła grać równocześnie dwie role i nigdy ich nie pomyliła, która przez wszystkie te tygodnie spała z kimś na zmianę na jednej pryczy, nie skarżąc się ani słowem. Była serdeczna dla Esmay Suizy...

– No dobrze, dobrze. – Zaczerwieniła się i jej oczy błysnęły ledwie powstrzymanymi łzami. – Ja... To kompletne szaleństwo. Miałam już zalotników...

– Z pewnością. – Serce waliło Goonarowi tak mocno, że aż się bał, czy nie przebije mu żeber. Zgodzi się?

– Ja... nie mogę... – Ale jej oczy mówiły, że może, i nagle otworzyła się na niego jak róża w środku lata. – No dobrze... Tak, zauroczyłeś mnie od chwili, gdy zobaczyłam cię siedzącego na widowni obok Basila, smutnego i zmęczonego. Powiedziałam sobie, że zmuszę cię do śmiechu, radości... wmówię ci... że mnie pragniesz. Ale... to śmieszne, nie jesteśmy dziewczyną i chłopakiem z powieści.

– To prawda. – Goonar delikatnie przyciągnął ją do siebie. – Nie jesteśmy już chłopcem i dziewczyną... ale jesteśmy mężczyzną i kobietą. – Zanurzył twarz w jej włosach. – Jesteś taka piękna...

Rockhouse Major, 21:30 czasu lokalnego

Harlis przyszedł do doku Allsystems spóźniony trzydzieści minut – Co się stało? – zapytał Taylor.

– Drobną niedogodność – odpowiedział, ciężko dysząc. – Wynośmy się stąd.

– Nasze okno wylotowe nadejdzie dopiero za godzinę.

Harlis wszedł na pokład i zobaczył, że apartament właściciela jest pełen worków marynarskich

i śpiących ludzi.

– Co to ma znaczyć? – zapytał.

– Pańskie miejsce jest tutaj – powiedział Taylor, pokazując mu najmniejszą kabinę, przeznaczoną dla pomocnika kucharza czy kogoś takiego. – Moi ludzie muszą być razem.

– Ale...

– Proszę się nie martwić, zawieziemy pana na Sirialis. – Harlis usiadł na wąskiej koi i zaczął się zastanawiać, jak daleko znajduje się pościg. Czy mogą go znaleźć w ciągu godziny? Był wściekły na samego siebie, że zdradził Brun, iż chce się dostać na Sirialis.

Rockhouse Major, Gildia Kapitańska

Goonar nie był w stanie stwierdzić, jak długo tak siedzieli ku uciesze innych kapitanów i obsługi, ale ich szczęście zostało przerwane przez kelnera, który przyniósł mu kartkę.

– Niech to szlag – powiedział. – To ten facet z Floty, który szukał Esmay. Myślałem, że ją znaleźli. Ciekawe, czego teraz chce.

– Powinam wrócić do hotelu – rzekła Bethya. – Będę musiała powiedzieć pozostałymi przeżyć wykład Douga i narzekania Lisy. – Poprawiła włosy.

– Nie chcę cię popędzać... – zaczął Goonar, wstając.

– Owszem, chcesz – przerwała mu Bethya, po czym obeszła dookoła stół i na oczach wszystkich pocałowała go tak, że aż uszy zaczęły mu płonąć. Tak, chciał ją popędzić, prosto do swojej kabiny na statku. – Wiesz, nie jestem słodką małą dziewczynką – szepnęła mu na ucho.

– Mam nadzieję. No dobrze, idź i z nimi porozmawiaj; daj znać, kiedy będziesz chciała wrócić.

Wyszedł do holu, świadom, że oto najmłodszy kapitan Terakiana i Synów dał powód do plotek, które rozejdą się po wszystkich statkach, gdy tylko kapitanowie wrócą do siebie.

Gdy Bethya wyszła, z alkowy wyłonił się komandor Tavard.

– Piękna kobieta – powiedział.

– Tak – przyznał Goonar. – Mamy się pobrać.

– Hmmmm Myślałem, że jest aktorką.

– Była.

– Rozumiem. – Przez chwilę komandor wyglądał na lekko zmieszanego. – Może pan ze mną wyjść? My też musimy coś odegrać. Goonar uśmiechnął się.

– Może powinienem był poprosić Bethyę.

– Nie... Myślę, że nie.

Komandor poprowadził Goonara w stronę wind.

– Miał pan dzisiaj rano gościa, o którym nas pan nie powiadomił. – W jego głosie zabrzmiał wyraźnie wrogi ton, i choć Goonar wiedział, co się dzieje, poczuł przyływ złości.

– Nie rozumiem, czemu miałbym wam mówić o każdym potencjalnym kliencie, który nas odwiedza – odpowiedział. – A pan pytał mnie o serę Suizę.

– Powiedziałem panu, że interesują nas buntownicy i piraci... a pan nie powiedział nam ani słowa o tym człowieku. – Komandor wyciągnął dwuwymiarowe zdjęcia mężczyzny, który odwiedził

ich tego ranka. – To były komandor Floty, buntownik, właśnie taka osoba, o jakiej mówiłem.

– Nie jestem waszym szpiegiem. Czemu nie pokazał mi pan wtedy tego zdjęcia i nie zapytał, czy go widziałem?

– Odpowiedziałby pan?

– Oczywiście – obruszył się Goonar. – Ma mnie pan za durnia?

– Najwyraźniej jest pan durniem, skoro nie powiedział mi pan o nim, kiedy się zjawił... a teraz nam uciekł.

– Nie ma go na stacji?

– Nie ma. – Komandor wyglądał na bardzo niezadowolonego. – Gdyby tylko pan pomyślał, moglibyśmy go złapać. Chciałbym wrócić i obejrzeć pańskie biuro, żeby sprawdzić, czy nie zostawił jakichś śladów.

– Proszę bardzo – zgodził się Goonar – ale mogę pana zapewnić, że nic nie znajdziecie. Wszedł i chciał wykupić przelot, ale my nie mieliśmy wystarczającej liczby kabin i nie jesteśmy zbyt szybcy. Tak, to prawda, że namawiał mnie do lotu żółtą trasą, ale nie zamierzam ryzykować starym *Fortune*, a on nie chciał czekać, aż zapytam firmę o zgodę.

– Powiedział, dokąd się wybiera?

– Nie, chciał wykupić przelot na Millicent.

– Cóż, mam nadzieję, że następnym razem zachowa się pan w bardziej odpowiedzialny sposób – powiedział komandor. – I zachęci innych kapitanów do tego samego. Nie chciałbym, żebyście zostali porwani.

W dokowym biurze *Fortune* komandor wręczył Goonarowi kostkę danych.

– Dobrze zagrane, kapitanie. To naprawdę buntownik i faktycznie nazywa się Taylor, a my uważamy, że jest wyjątkowo niebezpieczny. Nie wiemy, czy zostawił na stacji kogoś, kto ma szpiegować... ale nie zdziwiłbym się, gdyby tak było. Udało mu się wydostać stąd na pokładzie jachtu wynajętego przez jedną z Rządzących Familii.

– Co? Rodziny współpracują z buntownikami?

– Nie wszystkie. Ale buntownicy – niektórzy z nich – próbowali skontaktować się z rodzinami, dla których pracowali, zanim jeszcze zorganizowano Flotę. A sfrustrowany członek rodziny, szukający sposobu zdobycia przewagi nad resztą Familii, mógłby być doskonałym pracodawcą. Oni też prowadzą wewnętrzne spory, tak samo, jak wszyscy inni.

– A więc to był... Kto? Jeden z Consellinów?

– Kapitanie, tego nie musi pan wiedzieć. Ale to nie był Conselline.

– I nie wie pan, dokąd ta osoba chciała lecieć?

– Nie, tak samo jak nie wiem, dokąd chcieli polecieć buntownicy. Być może ten człowiek skazał samego siebie na śmierć. Nie powierzyłbym swojego życia tym rzezimieszkom.

– Mam nadzieję, komandorze, że jeśli moja trasa prowadzi przez niebezpieczne tereny, da mi pan znać.

– Oczywiście. Może panu grozić szczególne niebezpieczeństwo, ponieważ pan zna jego twarz. Mam nadzieję, że to wieczorne przedstawienie przekonało tych, którzy nas podsłuchiwali, ale kiedy znów znajdzie się pan w przestrzeni... Jak wygląda wasza trasa?

– To zależy. Powiedziałem Ojcom, że zostaniemy dłużej z powodu trupy... i faktycznie tak się

stało. A jeśli Bethya zechce wziąć ślub tutaj, możemy zostać jeszcze dłużej. Niedługo przyleci *Terakian Princess*, i jeśli dotrze tu, zanim odlecimy, być może zamienimy się trasami. Skierowałbym się w stronę Xaviera, Rotterdamu, Coriana...

– Zdecydowanie zalecałbym tę pętlę. Gdybyśmy tylko wiedzieli, dokąd wybierał się ten jacht... Firmie wynajmującej go podali cel, który na pewno jest fałszywy. Nie wiemy nawet, czy w ogóle pozostaną w granicach Familii.

* * *

Kiedy Goonar wszedł na pokład, Basil natychmiast zaczął go wypytywać o Bethyę, ale zgasił go, mówiąc o komandorze.

– Przerwał nam. Chciał rozmawiać o tym facecie, który odwiedził nas dziś rano.

– Kryminalista?

– Buntownik Powiedział, że jest bardzo niebezpieczny, i co gorsza, udało mu się wydostać ze stacji.

– To dobrze.

– Doprawdy? Ten komandor twierdzi, że on ma gdzieś okręt wojenny, zapewne przy tej żółtej trasie na Millicent. Na dodatek związał się ze zbuntowanym członkiem jednej z Familii – kimś tak bogatym, że od ręki wynajął w pełni wyposażony jacht. Nie wiedzą, dokąd poleciał, ale jak długo jest z nimi ten członek Rodziny, mają do dyspozycji mnóstwo pieniędzy.

– Myślą, że ktoś nas śledzi?

– Nie wiedzą. Komandor podejrzewa, że mogli zostawić na stacji szpiega, który nas obserwuje. Odegraliśmy małe przedstawienie dla tych, którzy ewentualnie nas podglądali, ze mną w roli samolubnego kapitana, który jest tak głupi, że nie powiedział mu wcześniej o tym buntowniku.

– A co z Bethyą? – Basil wrócił do poprzedniego tematu. – Powiedziała, że zadzwoni do mnie, zanim odleci. Prawdopodobnie jutro.

– Czerwienisz się, Goonarze.

– Cóż... Naprawdę ją lubię, Bas, co do tego masz rację. Ale jest mnóstwo rzeczy do przemyślenia.

– Nie robisz się młodszy...

– Nie stoję też jedną nogą w grobie – odciął się Goonar. – Nie muszę się spieszyć. – Ale na wspomnienie tego, co zaszło, pojawił się na jego twarzy uśmiech. Basil rzucił mu podejrzliwe spojrzenie.

– Co? Co takiego jej powiedziałaś?

– Basilu, idź już do łóżka. Ja też idę.

Castle Rock, 20:30 czasu lokalnego

Brun Meager opadła na wytartą sofę w bawialni Mahoneyów.

– Kevilu, jesteś pewien, że tego chcesz? Dopiero co odzyskałeś swój dom.

– To sugestia Stepana – rzekł Kevil. – Widzę, że masz laseczkę swojego ojca.

– Mam. – Brun oparła ją o sofę. – Czy ty – albo ktokolwiek inny – ma pojęcie, co się dzieje i kto to zrobił?

– Prawdopodobnie Harlis chciał rozmawiać z tobą na osobności, może w towarzystwie twojego kuzyna Kella. Nie ma na to żadnych konkretnych dowodów, oprócz tego, że Harlis znalazł cię na obiedzie i powiedział, że był w twoim domu i zastał tam policję. Przypuszczam, że nie chciał cię zabić, tylko nastraszyć i skłonić do zrobienia czegoś.

– Chciał polecieć na Sirialis – powiedziała Brun. – Nie rozumiem, dlaczego.

– Żeby sprawdzić, co odkryła twoja matka? – zasugerowała Kate zajmująca fotel po przeciwnej stronie pokoju.

– Możliwe – zgodził się Kevil. – Pewnie myśli, że to dowody zebrane przez twoją matkę pogrążyły go w kłopotach.

– Czy ktoś go znalazł? – zapytała Brun.

– Nie. Nie poleciał na górę kursowym promem, ale wiesz, że są inne sposoby. Czy on ma własny prom?

– Mógł zabrać rodzinny prom.

– Nie ten z Appledale, sprawdziliśmy to. Ale przed zbliżającym się zebraniem Wielkiej Rady w obie strony lata mnóstwo promów Rodzin. Mógł się z kimś zabrać. Próbujemy się tego dowiedzieć. Oczywiście mógł też wcale nie odlecieć z planety. Może jest w drodze do swojego pałacu albo gdzie indziej...

– A podejrzewam, że policja ma parę innych spraw na głowie, oprócz ścigania jednego podejrzanego – odezwała się Kate.

– Tak – westchnął Kevil. – Brun, przygotowaliśmy sypialnię dla ciebie i Kate. Stepan kazał swojej ochronie sprawdzić twój dom. Rano będziesz mogła tam wrócić. Oczywiście jesteśmy tutaj chronieni.

– Oczywiście – wymamrotała Brun. Czowała się bardzo zmęczona i równocześnie była niezwykle czujna.

– Powiedziałaś Kate o dzisiejszym spotkaniu?

– Nie. Miałam zamiar.

– Stepan powiedział, że to nie zaszkodzi, a może ci oszczędzić stresu związanego z dochowaniem sekretu. Stepan to przywódca naszego klanu Barracloughów – zwrócił się do Kate. – Poprosił Brun, żeby została jego następczynią.

Kate zmarszczyła brwi.

– Klan Nie bardzo rozumiem, co to jest. Z rodzinami sprawa jest jasna. Czy to coś w rodzaju nadrzędnej rodziny?

– Tak, w pewien sposób.

Kate aż zagwizdała.

– Proszę, w takim razie to duży zaszczyt.

– Jest jeszcze coś, co ci się spodoba – odezwała się Brun. – Musiałam się zgodzić na to, że nigdy się nie odmłodzę.

– O rety.

– Tak. Władza albo długowieczność. Trzeba wybrać. I od razu rzuca mnie na głęboką wodę: chce, żebym przemówiła na najbliższym zebraniu Wielkiej Rady. Myślę więc, że lepiej pójdę do łóżka i prześpię się dla urody.

Obudziła się gwałtownie; była w obcym pokoju, a w drugim łóżku cicho pochrapywała Kate. Światła było akurat tyle, by rozróżnić jasne i ciemne pasy na tapecie. Co ją obudziło? Usłyszała odległe głosy, przytłumione przez zamknięte drzwi, a potem zbliżające się kroki i pukanie.

– Tak – powiedziała cicho. Chrapnięcie Kate urwało się w połowie.

– To ja – powiedział George. – Możesz wyjść?

Brun spojrzała na zegarek i westchnęła. Przydałaby się jeszcze godzina snu, ale w końcu i tak już się obudziła.

– Chwileczkę – odpowiedziała.

Owinęła się pożyczonym szlafrokiem – uznała, że należy do Kevila – i wyszła. Kevil czekał na nią w gabinecie. – Właśnie usłyszeliśmy, że Harlis wynajął wczoraj w Allsystems Leasing jacht bez załogi. Widziano go w towarzystwie komandora–buntownika. Załoga to prawdopodobnie żołnierze Floty. Poprosili o przydział korytarza szybkiego odlotu, dostali go i dwie godziny temu weszli w skok.

– Powiedzieli, dokąd lecą?

– Harlis powiedział w Allsystems, że na Burkholdt i Celeste, ale ten sam buntownik próbował dostać się statkiem cywilnym do Millicent. Myślę, że w tej chwili pytanie brzmi: kto dowodzi tym jachtem?

– Nawet na ranczach nie wstają tak wcześnie – odezwała się od drzwi Kate i ziewnęła. – Znaleźli Harlisa, tak?

– Ale go zgubili – dorzucił Kevil i opowiedział jej, czego się dowiedzieli.

Kate zmarszczyła brwi.

– To nie ma sensu – powiedziała.

– Dlaczego?

– Był w restauracji, gdy jadłyśmy kolację. Która to była godzina?

– Nie wiem. Dość późno, może 19:00?

– A jacht opuścił stację o 22:30, czyli musiał natychmiast popędzić na prom i zaraz odlecieć.

– Tak.

– A więc musiał już wcześniej wynająć jacht. Musiał być na stacji, zlecieć na dół i wrócić na górę... Czemu? Czy to w ogóle możliwe? – Kate popatrzyła na wszystkich po kolei.

– Oczywiście, jeśli miał dobry prywatny prom – odpowiedziała Brun.

– On przyleciał, żeby cię porwać – odezwał się nagle George. – Kazał przygotować statek, wynajął prom, i podczas gdy jacht szykowano do odlotu, przyleciał tu po ciebie.

– Chciał ją zabrać? Dokąd? – Kate spojrzała na Brun, a ona nagle poczuła w żołądku bryłę lodu.

Starła się nie pokazać, że odczuwa panikę. Naprawdę groziło jej ponowne uwięzienie? Ale jej umysł dalej pracował. – Sirealis. Gdyby zabrał mnie na Sirealis, ludzie z początku sądziliby, że wszystko jest w porządku, a potem...

– Zakładniczka – rzucił Kevil. – Gwarancja, że twój klan i mieszkańcy Sirealis nie zwrócą się przeciwko niemu. Brun, ty znasz rodzinne kody systemów komunikacyjnych i banków danych na Sirealis, prawda?

– Tak, oczywiście. Wszystko oprócz prywatnych kluczy mamy.

– Czy on może je znać? Albo wiedzieć, że ty ich nie znasz? – Nie mam pojęcia. – Brun poczuła falę paniki, ale szybko ją stłumiła.

– Nasza kartoteka na jego temat została w Appledale – powiedziała oburzona Kate. – Nie zabraliśmy jej do miasta, nie było powodu. Myśleliśmy, że został uwięziony.

– Nosił bransoletę z nadajnikiem – wyjaśnił Kevil. – Jego adwokat argumentował, że nie będzie uciekał, i wpłacił wysoką kaucję. Harlis powiedział, że boli go ząb, i najwyraźniej jego dentysta zdjął mu bransoletę wczoraj wczesnym rankiem. Przez wiele godzin nikt nie miał pojęcia, że się wymknął. Teraz dentysta sam wylądował w więzieniu, a bransoletę znaleźli pod poduchą na jednym z foteli.

– Czy Harlis był w Appledale? – zapytała Brun.

– Nie. Dzwoniliśmy tam, ale go nie było.

– On ma rodzinne kody.

– Co?!

– Harlis ma kody, przynajmniej te ogólne. Jestem pewna, o ile matka nie zmieniła ich przed odlotem, ale zapewne nie spodziewała się, że to może być potrzebne. Nie miała powodu ich zmieniać. A teraz nikogo tam nie ma.

– Są pracownicy – zauważył Kevil.

– Nie ma nikogo z rodziny – uściśliła Brun. – Nikogo, kto mógłby zmienić kody i go zastopować.

– Jeśli to właśnie tam się wybiera, mając ze sobą okręt wojenny, zmiana kodów niewiele pomoże.

– Założę się, że właśnie w ten sposób tam się dostali.

Kevil rzucił jej zdziwione spojrzenie, podobnie jak George.

– Kto się dostał? Kiedy?

– Lepescu i jego myśliwi. Założę się, że to był Harlis albo kuzyn Kell.

– Możesz mieć rację. Twój ojciec nigdy nie potrafił zrozumieć, czemu zarządca stacji Szyszkowej w ogóle go wpuścił. Jeśli to Harlis go nakłonił, zaczyna to nabierać sensu.

– Ale teraz... musimy go powstrzymać. Muszę tam polecieć.

– Brun, nie możesz. Musisz być tutaj.

– Ale, Kevil... Nie możemy pozwolić mu polecieć na Siralis i sterroryzować tamtejszych ludzi.

– A co byś zrobiła, gdybyś była na miejscu?

– Próbowałabym pomóc. – Ale wiedziała, że sama nic by nie zrobiła. Nie może zastąpić grupy bojowej okrętów Floty. Nie. Może tylko zrobić coś dla Familii jako całości. Może ich ostrzec, i to wszystko.

* * *

Podejrzewała, że Flota też nic nie robi, ale musiała spróbować. Faktycznie, po przyjęciu jej raportu kontradmirał na ekranie potrzęsła głową.

– Przykro mi, sera, ale w obecnej sytuacji nie możemy wysłać żadnych jednostek do ochrony jednej planety. – W powietrzu zawisły nie wypowiedziane słowa „placu zabaw jednej bogatej rodziny”

– Rozumiem – odpowiedziała Brun. Po uratowaniu jej nie mogła prosić Floty o przysługę. – Ale

musicie wiedzieć, że w tamtą stronę kieruje się przynajmniej jeden okręt buntowników.

– Tak, rozumiem, ale to dość odizolowana planeta z niewielką populacją. Lepiej, żeby tam poleciecieli niż żeby zaatakowali bardziej zaludniony świat. Na planecie nie ma żadnego ciężkiego przemysłu, prawda?

– Nie, jest wyłącznie przemysł lekki na lokalne potrzeby.

– Potrzebowaliby pięciu lat, żeby zbudować tam stocznię, która produkowałaby statki zdolne do wykonywania skoków nadświatłowych, a i to przy użyciu skradzionych części, a nie od zera. Bardzo też wątpię, żeby byli w stanie przygotować porządny system obrony. My tymczasem gdzie indziej mamy pilne sprawy do załatwienia. Dostaniemy ich, jak tylko będzie to możliwe.

– Ostrzegłam już mieszkańców, że Harlis zmierza tam na uzbrojonym statku. Nie chcę się wtrącać w wasze plany, ale czy mogę im chociaż powiedzieć, że nie przylecicie?

– Oczywiście, sera. Może jeśli buntownicy dowiedzą się o tym, uznają Sirialis za bezpieczną przystań i zostaną do czasu, aż skierujemy tam nasze siły. Zresztą szczerze mówiąc, sera, i tak nie mamy możliwości dotarcia do Sirialis przed buntownikami, jeśli nie myli się pani co do terminu ich odlotu.

– Dziękuję – powiedziała Brun. Miała ochotę kopać w biurko, drapać jego wypolerowaną powierzchnię i wrzeszczeć. – Czy chociaż wie pani, jakimi siłami może dysponować ten Taylor?

– Przykro mi, sera, ale nie mam takiej informacji.

* * *

Po odlocie Mirandy i Cecelii Sirialis pograżyło się w letniej senności; Dzień Otwarcia był dopiero za ponad sto dni. Nie oznaczało to jednak, że mieszkańcy próżnowali; zebrano już wczesne zboża i siano leżało na polach, schnąc przed ułożeniem w bele. Gospodarstwa uprawy warzyw pracowały pełną parą, podobnie jak przetwórnice żywności. Dla większości mieszkańców planety życie toczyło się zwykłym torem; pojawienie się gości nie zakłócało funkcjonowania szkół, sklepów i innych usług. Ważniejsze były zmiany pór roku i kaprysy lokalnej pogody. Pogłębiarki ciężko pracowały przy wejściu do Zatoki Gościnności, gdzie zimowe sztormy naniósł olbrzymie łachy piachu, przeszkadzające rybakom w pracy. Na drugiej półkuli rozproszone osady – głównie górników i drwali – szykowały się do ciężkiej zimy. Wielu ludzi migrowało wraz ze zmianami pór roku, ale niektórzy jednak zostawali na miejscu.

Za każdym razem, gdy nie było członków rodziny, wielki dom przechodził niezbędne remonty. Tej wiosny hydraulicy zajęli się wymianą głównych rur we wschodnim skrzydle, które już od pięćdziesięciu lat sprawiały kłopoty, a konsultant techniczny przeprowadzał inspekcję drewnianej więźby dachowej. Stajnie i ogrody były utrzymywane przez cały rok; konie i róże wymagały nieustannej opieki.

System obrony na Sirialis już od ponad wieku był minimalny. Był tu ansibl komunikacyjny, za którego pomocą rodzina informowała pracowników o swoim przylocie. Lądowiska w Zatoce Gościnności dysponowały skanerami dalekiego zasięgu, ale obrona systemowa i kontrola ruchu były w większości kierowane przez zarządcę jednej z większych stacji orbitalnych. Wszystkie trzy stacje dysponowały skanerami dalekiego zasięgu i kilkoma bateriami pocisków przeciwokrętowych z dawnych czasów, ale nikt ich nie testował już od pięciu lat.

Pierwsza wiadomość ansiblowa wysłana przez Brun spowodowała wybuch aktywności. W układzie było za mało promów i statków, by wszystkich ewakuować; populacja Sirialis była mała tylko w porównaniu z bardziej rozwiniętymi światami. Nie mieli broni, aby stawić opór

wojskowemu najazdowi, a Brum nawet nie była w stanie powiedzieć, ile statków może się pojawić. Mogła jedynie skłonić Flotę do przesłania specyfikacji typów statków, by mieszkańcy Siralis wiedzieli, z czym mają do czynienia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Rockhouse Major

Goonar nie miał wieści od Bethyi ani następnego ranka, ani popołudnia. Czyżby zmieniła zdanie? Czy postanowiła go odprawić?

Kiedy w końcu zadzwoniła, właśnie był zajęty studiowaniem cen przewozu towarów dla kolonii, której Terakian i Synowie zaoferowali stałe usługi.

– Kapitan Terakian, w czym mogę pomóc? – zapytał oficjalnym tonem.

– Goonar... – Serce natychmiast mu przyspieszyło. – Załatwione. Wciąż jestem w hotelu, ale jestem zbyt zmęczona, by się dzisiaj przeprowadzić. Chciałabym za to zjeść z tobą kolację. Masz coś przeciwko przyśściu tutaj?

– Oczywiście, że nie – odpowiedział, odrywając się od analizy zyskowności przewozów. – Oficjalnie?

– Niezbyt.

* * *

Bethya wyglądała na bardzo zmęczoną, prawie wyczerpaną. Zastanawiał się, czy to wredny Dougie tak ją wymęczył, i poczuł chęć, by go odnaleźć i przemodelować mu twarz.

– Nie daj się nabrać na teatralne sztuczki, Goonarze – uspokoiła go. – Ja po prostu coś wymyśliłam.

– Chodzi o pieniądze – powiedziała mu przy sałatce. – W teatrze zwykle chodzi o pieniądze, zawiść albo o obie te rzeczy naraz.

– Są ci coś winni?

– Są dłużni nam obojgu – odpowiedziała. – Wciąż nie zapłacili za przelot, nie licząc pierwszej raty. Kiedy we czwórkę – Merlay, Dion, Sarin i ja – zakładaliśmy trupę, mieliśmy równe udziały. Merlay zginął pięć lat temu. To był najbardziej uroczy tenor, jakiego kiedykolwiek słyszałam. Wszystko przepadło przez głupi wypadek drogowy. Rok później Dion dostał propozycję z najbardziej prestiżowej szkoły artystycznej na planecie, więc odkupiliśmy jego udział. My, czyli Sarin – nasz projektant kostiumów – i ja. Potem razem z Sarinem uznaliśmy, że potrzeba nam więcej partnerów. Myśleliśmy o nowym głównym męskim głosie i menadżerze, ale akurat wtedy nie mieli pieniędzy.

– A więc...

– A więc Lisa, która już była w trupie, miała pieniądze powiedziała, że to spadek – i nie mogliśmy jej odmówić. Dougie pracował dla Greenfield Players, których wyciągnął z dołka finansowego; ponieważ chciał podróżować, a my wciąż nie mieliśmy wystarczającego kapitału, przyjęliśmy go do spółki.

– Teraz wszyscy macie równe udziały?

– Nie, Sarin i ja mamy po cztery, a pozostali po jednym. Myślałam, że tak będzie sprawiedliwie, jak długo będziemy razem. Ale teraz, kiedy odchodzę, chcę odebrać swoje udziały w gotówce, a oni nie chcą mi ich wypłacić.

– I co zrobiłaś?

– Poszłam do kliniki, a gdy wróciłam, wyglądałam tak jak teraz. Wyjaśniłam im, że przeżyłam

wstrząs.

– Wstrząs?

– Tak. Przypomniałam Lisie, że już od dawna mówiła, iż mój głos nie jest taki sam, jak kiedyś – mogłabym ją udusić za ten jej uśmieszek – i powiedziałam, że nie chciałam im tego mówić wcześniej, ale lekarze znaleźli przyczynę... i będę musiała poddać się operacji, po której może już nigdy nie będę mogła śpiewać. Że to coś poważnego i nie pomoże nawet zbiornik regeneracyjny.

– Kiedy Brun Meager straciła głos...

– Goonarze, wiedza Lisy i Dougiego o medycynie zmieściłaby się w jednej pastylce. Chcą wierzyć, że mój czas już minął, dlatego kupili tę bajkę tak chętnie, jakbym posypała ją złotem. Powiedziałam, że chcę opuścić trupę i wykupić swoje udziały. Wtedy zaczęło się targowanie, ale ponieważ odchodzę z powodu choroby, mam nad nimi przewagę.

– Czy ty...

– Zanim jeszcze Lisa zaczęła na mnie narzekać, wiedziałam, że mój głos nie jest już taki sam, jak kiedyś. W niektórych naszych przedstawieniach wykorzystywałam go do granic. Już czas, żebym odeszła. To powód, który potrafią zrozumieć, i oddadzą mi moje udziały. Gdybym powiedziała im, że chcę wyjść za ciebie za mąż, stwierdziliby „Och, to bogaty kupiec, nie potrzeba ci pieniędzy”.

– Nie jestem zaskoczony, Bethya – stwierdził Goonar. – My, kupcy, wiemy co nieco o takich wymyślnych kłamstwach. Ale co ze ślubem? Będziemy musieli poczekać, aż odlecą?

– Nie. Widzieli nas razem na statku i wiedzą, że mnie adorowałeś, a ja uważam cię za dobrego człowieka. Lisa odważyła się nawet zasugerować, że powinnam związać się z tym miłym kapitanem Terakianem, jeśli on nie ma nic przeciwko temu, że w życiu prywatnym jestem kimś innym niż na scenie.

– Czyli... ta kolacja...

– Pozwólmy im myśleć, że wzięłam pod uwagę ich sugestię. A na razie mam tu czek bankowy.

– Jesteś niecną kobietą, Betharnya – powiedział Goonar. – Mogłabyś być urodzonym kupcem.

– Moi dziadkowie byli pomniejszych kupcami, handlowali sprzętem kuchennymi wyposażeniem restauracji.

– A więc... co ze ślubem?

– Niektórych chętnie bym zaprosiła, na przykład Sarina – znamy się od piętnastu lat – a to znaczy, że nie da się pominąć pozostałych.

– Jeśli o mnie chodzi, może być – oświadczył Goonar. – Możemy równie dobrze poczekać na przybycie *Princessy*. Jest już w układzie. Ojcowie będą szczęśliwi, jeśli będzie więcej świadków Terakianów. Jakie przyjęcie weselne byś chciała?

Kiedy Goonar wrócił tego wieczoru na pokład, Basil spojrział mu w twarz i natychmiast zapytał:

– Spytałeś ją?

– Tak, kuzynie, spytałem – odpowiedział Goonar i wyszczerzył zęby w uśmiechu. – I przyjęła mnie Kiedy przyłeci *Princess*, urządzimy wesele.

– Nie przypuszczam, żeby wniosła jakieś wiano. Nie żeby miało to jakieś znaczenie...

– Prawdę mówiąc, wniosła. – Goonar pokazał mu czek bankowy. – Ma trochę własnych pieniędzy.

– To właśnie miałem na myśli. Nie oczekuję, że ci je odda.

– To dobrze, bo tego nie robi. Zainwestuje je.

– Oto, co znaczy zaufać – westchnął Basil – że znajdziesz sobie drugą żonę, która będzie piękna, utalentowana i bogata.

Sirialis

– Powiedziała, że jesteśmy zdani na siebie. – Kapitan milicji z Zatoki Gościnności patrzył gniewnie na kapitana z rodzinnej wioski Thornbuckle'ów. – Flota nie może przylecieć, a my nie mamy rady odeprzeć inwazji. Moi ludzie wiedzą, co robić z pijakami, złodziejami i głupimi młodzikami, którym wydaje się, że pocięcie sieci rybackich to świetna zabawa... ale nie z neurowspomagany mi marines w pancerzach bojowych.

– A więc co proponujesz? Mamy wszyscy uciec w las? Albo zostać tutaj i dać się zabić?

– Nie... ale nie mam ochoty tracić czasu na te wyszukane rzeczy – obrazy, książki i całą resztę.

– Chciałbym uratować ile tylko się da. Thornbuckle'owie mogą tu jeszcze wrócić.

– Może tak, a może nie. Słyszałeś, co powiedziała. A jeśli mówiła poważnie? Wtedy to sprawa naszego wyboru.

– Jeśli mam wybór, to są tu rzeczy, które chciałbym uratować.

– Nie chciałbym tu wojny – odezwał się inny. – Wiecie, służyłem w czasie zamieszania na Patchcock.

– Wiemy, Gordy.

– Nie macie pojęcia, co mogą zrobić z kosmosu. Jeśli ukryjemy się w lasach, a oni nie będą mieli czasu nas szukać, będziemy bezpieczni.

– Nie możemy wszystkiego stąd zabrać. Ten dom jest pełen skarbów – obrazy, książki, meble...

– I stajnia z końmi...

– Konie mogą się poruszać same, meble nie.

– Najpierw ludzie, potem zwierzęta, a na końcu meble.

– Tak, ale...

– Nie mamy na nic innego czasu.

* * *

Znaczną część powierzchni kontynentu zachowano w postaci rezerwatów łowieckich, gdzieś tam oznaczonych małymi obozami i domkami myśliwskimi. Wszystkie samoloty na planecie zostały zaprzęgnięte do pracy, aby przewieźć ludzi na te odległe tereny. Potem te same pojazdy przyleciały do rodzinnej wioski Thornbuckle'ów. Pracownicy przygotowali już wszystko, co mogli: klejnoty, stare zastawy, najstarsze i najrzadsze książki z biblioteki, ulubione obrazy rodziny. Najcięższe rzeczy zwieziono windami do podziemi. Resztę załadowano na pojazdy, by porzucić je po wielu różnych miejscach.

W tym czasie Neil zorganizował pracowników stajni, aby najpierw przenieśli karmę i zapasy, a potem zebrali zwierzęta. Obsługa wsiadła na nadające się do jazdy wierzchowce i wyruszyła z pozostałymi końmi w długiej, nierównej kolumnie przez pola ciągnące się kilometrami na południe i wschód. Niemal wszystkie kłaczki się ożrebiły, więc Neil przydzielił im najłżejszych jeźdźców, a żrebacki biegły, baraszkując, obok nich. Posuwali się dość wolno, ponieważ mniej więcej co godzinę

trzeba było zatrzymywać się na karmienie źrebiąt. W kolumnie szły także krowy z cielakami oraz owce i kozy, poganiane przez podniecone zabawą psy. Psy do polowań na lisy szły za całym stadem, posłuszne dźwiękom rogów łowczych.

Neil nie zabrał jedynie tych zwierząt, które nie mogły podróżować. Mocno przeżył rozstanie z nimi, ale miał nadzieję, że buntownicy nie zrobią im krzywdy. W biurze zostawił swój dziennik z adnotacją, że dokonał oprysku przeciw lipieniowi i ewakuował stajnię na 60 dni. Jeśli napastnicy w to uwierzą, może nie będą ich szukać, zwłaszcza jeśli będą się spieszyć.

Były patrolowiec ZSK *Gaura Secundus*

Harlis miał do czynienia z Flotą jako członek Rodziny Rządzącej i młodszy brat Mówcy, dlatego traktowany był z najwyższymi honorami.

Gdy wchodził na pokład okrętów zadokowanych do stacji, imponowały mu energiczne saluty, dyscyplina, nieskazitelna czystość i szacunek okazywany przełożonym. Wyobrażał sobie, że będzie kolejnym admirałem u boku Lepescu, dowodzącym okrętami w bitwie. Niech Bunny bawi się w politykę, ale to on będzie miał prawdziwą siłę, myślał często, wspominając stojaki pełne rakiet i eleganckie cewki zasilające broń energetyczną. Oczywiście nie mógł wstąpić do Floty, gdyż miał obowiązki rodzinne, ale mógł przyjaźnić się z admirałami i pocieszać samego siebie, że pod cywilną powłoką kryje się serce prawdziwego wojownika.

Rzeczywistość na pokładzie *Gaura Secundus* bardzo różniła się od jego wcześniejszych doświadczeń. Porządek, dyscyplina... Tak. Załoga, wciąż w mundurach Floty z usuniętymi insygniami Familii, energicznie salutowała i żwawo pędziła na stanowiska. Ale brakowało mu... szacunku należnego członkowi Rodziny, osobie zajmującej Fotel w Radzie i bratu byłego Mówcy. Wszyscy byli chłodno uprzejmi – zwracali się do niego „ser Thornbuckle” – ale nie traktowali go jak jednego z nich. Nawet ich jednolite stroje – jego najlepsze garnitury wyglądały niechlujnie przy ich mundurach – podkreślały, że on do nich nie należy.

Zanim *Lillian C.* przeleciał pół drogi do Millicent, zaczął się nawet zastanawiać, czy przypadkiem nie popełnił błędu. Kiedy jego „najemnicy” wcisnęli go w skafander próżniowy i wypchnęli przez śluzę do rękawa dokowego łączącego jacht z ich okrętem, był nieprzyjemnie świadom, że znajduje się w grupie ludzi, którzy już zabijali i czerpali z tego przyjemność, i jego również mogą zabić, jeśli im się sprzeciwi. W tej chwili był dla nich użyteczny jako źródło funduszy – szanowali pieniądze jako inną formę potęgi – ale co będzie, jeśli uznają, że już nie jest im potrzebny? Albo jeśli Brun lub Stepanowi udało się odciąć mu dostęp do banków?

Harlis zadrżał; uświadomił sobie, że wcale nie chce umierać.

Nigdy tak naprawdę nie lubił obsługi na *Sirialis*. Byli ludźmi Bunny'ego, i choć traktowali członków rodziny z należnym szacunkiem, wiedział, że nie są jego ludźmi. Zawsze pragnął własnego imperium, nie wystarczały mu posiadłości brata. Myślał, że wynajęcie własnych sił wojskowych będzie dobrym pomysłem. Jego prywatna flota kosmiczna, prywatna armia... Mógłby mieć to, na co zasłużył, i zapomnieć o Bunnym.

Posiłki jadał z oficerami; Taylor zawsze siedział na jednym końcu stołu, a on na drugim. Właśnie tutaj czuł się najbardziej obco. Dorastał w kręgu polityki – nawet jako chłopiec walczyło wpływy – i myślał, że wie o niej wszystko. Kiedy zmusił starą Tremę do pozostawienia mu swoich udziałów, czuł się niemal jak admirał planujący wojnę.

Ale teraz, w obecności buntowników, uświadomił sobie, jak słabym jest człowiekiem. Nie poszedł osobiście do domu Tremy, do każdej akcji wynajmował ludzi. A ci buntownicy nie mieli takich skrupułów...

– Obawiam się, że niepokoiimy ser Thornbuckle'a – powiedział któregoś dnia Taylor.

– Niepokoiicie mnie? – Harlis poczuł, jak przyspiesza mu puls. – W jaki sposób?

– Patrzy pan na nas jak jeleń na myśliwego – wyjaśnił z uśmiechem Taylor – i zastanawia się, co będzie dalej. – Oblizwał wargi. – Różnica między nami, ser Thornbuckle, polega na tym, że ja nie martwię się o przyszłość, ponieważ to ja będę nią kierował... na swój sposób.

– To nie zawsze jest łatwe – zauważył Harlis.

– Nie, wojna to nie jest łatwa sprawa, tak samo jak polowanie. Jednak albo to wybierzemy, albo pozwolimy rasię ludzkiej stać się stadem bezmyślnych dandysów, niezdolnych do niczego innego oprócz jedzenia i rozmnażania się. Musimy oczyścić pulę genową, ser Thornbuckle, a nie możemy wszyscy być Zarejestrowanymi Embrionami. Na szczęście nie spodziewam się wielkich kłopotów na Sirialis. Jeśli powiedział nam pan prawdę, nie mają tam żadnego systemu obrony przed promami szturmowymi. Co więcej, dzięki promom z trzech stacji orbitalnych będziemy mieli więcej środków transportu.

– O ile ktoś na Castle Rock nie pomyślało tym, że możemy kierować się w tę stronę – zauważył Harlis.

– A kto miałby to zrobić?

– Możliwe, że ktoś wpadł na taki pomysł. – Harlis czuł, że zaczyna się pocić. – Moja bratanica, Brun Meager, właśnie została wybrana przez Stepana na dziedziczkę klanu Barracloughów. Zamierzałem... przekonać ją do wspólnej podróży, gdyż ona ma wszystkie kody, ale razem z tą obrzydliwą kobietą z Konfederacji Samotnej Gwiazdy wyszły na kolację, zanim...

– Ty durniu – powiedział Taylor. – Mówiłeś, że nikt cię nie ściga.

– Bo tak jest, a w każdym razie było, kiedy to mówiłem. Ona nie wie, kto...

Taylor rzucił mu spojrzenie, które zmusiło go do milczenia.

– Nawet jeśli jest zbyt głupia, żeby to wymyślić, ktoś do tego dojdzie. A ty zostawiłeś pełno śladów... w Allsystems.

– Powiedziałem im, że wybieram się na Burkholdt i Celeste.

– I myślisz, że w to uwierzyli? Po tym, jak próbowałeś porwać dziewczynę, ale ci się nie udało? – Jego rysy stwardniały. – Okłamałeś mnie, Thornbuckle, a ja nie lubię, kiedy ktoś mnie okłamuje.

– To nie było kłamstwo – zaprotestował. – Wtedy to była prawda.

Na dany przez Taylora sygnał dwóch oficerów wstało ze swoich miejsc, i zanim Harlis zdążył odsunąć się od stołu, wykręcili mu ręce za plecami.

– Nie lubię kłamców, Thornbuckle. I nie akceptuję wymówek. Czy to jasne?

Harlis pamiętał, jak w dzieciństwie chłopcy torturowali się nawzajem, ale teraz ból był znacznie gorszy. Sprawne palce mężczyzn zwiększały stopniowo nacisk na nerwy, wywołując rozbłyśki bólu w ramionach, karku, łokciach, nadgarstkach... Bezwiednie otworzył usta i jęknął.

– Zadałem ci pytanie – powiedział Taylor, a ktoś chwycił Harlisa za włosy i odciągnął mu głowę do tyłu. Poprzez łyzy bólu widział Taylora i pozostałych siedzących przy stole mężczyzn, spokojnych i bawiących się jego cierpieniem.

– Tak – jęknął w końcu.

– Co tak? – zapytał Taylor.

– Powiedziałem „tak”. To ja ciebie wynająłem!

Ktoś pchnął go mocno na krawędź stołu.

– Okłamałeś mnie – rzekł Taylor. – Nie jestem twoim sługą. Kiedy najmujesz żołnierzy, nie wolno ci ich okłamywać, jeśli chcesz długo żyć. Jeszcze raz pytam: czy to jasne?

– Tak... sir. – „Sir” zostało z niego wyduszone przez jeszcze silniejsze wykręcenie rąk. Wreszcie na dany przez Taylora znak mężczyźni puścili go i opadł na krzesło. Bolały go ramiona, ręce... ale najbardziej bolała go zdeptana durna.

– A teraz zrobimy tak – powiedział Taylor. – Powiesz mi, co zrobiłeś, co myślałeś i słyszałeś, i będziesz robił dokładnie to, co ci każę ja lub któryś z moich oficerów. Będziemy cię dobrze traktować, jeśli będziesz posłuszny i nie będziesz kłamać. Ale ukrywanie informacji, kłamstwo lub nieposłuszeństwo będą surowo karane.

Harlis skinął głową w nadziei, że nie każą mu znów powtórzyć „tak jest, sir”.

– Skończ kolację. Później porozmawiamy.

* * *

– Potrzebujemy pieniędzy i bezpiecznej bazy – rzekł Taylor. – Obiecałeś nam obie te rzeczy, a teraz nie możesz się z tego wywiązać.

– Mogę. Mam pieniądze, tylko muszę je podjąć. Mam kody dostępu do rodzinnego ansibla na Sirialis... a to oznacza darmową komunikację z kim pan tylko chce. Mam też kody dostępu do kont rodzinnych i moich własnych. Są tam informacje – ściągnięte przez żonę Bunny'ego – o rodzinnych interesach i sprawach.

– Na pewno masz kody?

– Oczywiście, że tak. Bunny był moim bratem. Dysponuję kodami, odkąd przekroczyłem dwudziestkę. Niech pan nie martwi się pościgiem. Czy Flota może się tam dostać przed nami?

– Nie...

– A nawet gdyby tak było, możecie po prostu się ukryć. To duży system...

– Właśnie dlatego nie możemy. Jest zbyt pusty. Ale za to możemy dokonać szybkiego przelotu, sprawdzić, czy działają twoje kody, wziąć pieniądze i odlecieć.

– Nie musicie – powiedział Harlis. – Wciąż to panu powtarzam. Jestem bratem Bunny'ego i wszyscy na planecie mnie znają. Nie będą wam sprawiać żadnych kłopotów.

* * *

Przez następne kilka dni Harlis odpowiadał na setki pytań na temat siebie, rodziny, swojego majątku i Sirialis. Taylor wszystko nagrywał.

Harlis wyobrażał sobie, co by powiedziała jego rodzina, gdyby dostała tę kostkę. W kostkach przygodowych bohaterowi zawsze udawało się przekonać oprawców, że z nimi współpracuje, ale on nie potrafił wymyślić kłamstwa, którego by Taylor nie przejrzał i nie ukarał go.

Kiedy wreszcie dolecieli do Sirialis, komandor wezwał go do siebie.

– Potrzebujemy kodów dostępu do ansibla.

Harlis wręczył mu kody, a Taylor podał je jednemu z techników komunikacyjnych.

– Odczytaj to i sprawdź tutejszą kontrolę – nakazał.

Mężczyzna odwrócił się i zajął niewidocznymi dla Harlisa przyrządami. – Sir, ktoś spodziewał się, że tu przylecimy. To wiadomość głosowa od Brun Meager. Ostrzega mieszkańców, że Harlis może się tu pojawić, i informuje, że nie udało jej się przekonać Floty do podjęcia działań.

– To pułapka?

– Możliwe – stwierdził Taylor. – Ale nie zostaniemy tu długo. Możemy uzupełnić zapasy, w końcu to rolniczy świat. Wszystkie pieniądze są zgromadzone w jednym miejscu, prawda, Harlis?

Wciąż bolało go, że Taylor przestał zwracać się do niego „ser Thombuckle” albo choćby po nazwisku.

– Tak – powiedział wolno. – Główny bank znajduje się w naszej rodzinnej wiosce.

– A sam dom? – zapytał Taylor. – Dużo tam wartościowych rzeczy? Bizuterii zostawionej przez kobiety?

– Wątpię – odpowiedział Harlis. – Zwykle zabierają ją ze sobą albo deponują w banku.

– Możemy rzucić okiem – stwierdził komandor. – Admirał Lepescu mówił, że to atrakcyjne miejsce. Ogrody, łąki, stajnie... Jeździsz konno, Harlis?

– Tak, potrafię, ale niezbyt to lubię.

– Niezbyt to lubisz. – Ostatnio zaczęli z niego szydzić, powtarzając jego słowa.

– Kapitanie, nie mogę się przebić przez blokadę. Jego hasło umożliwiło nam dostęp do kolejki przychodzących, ale w wychodzących jest blokada, której nie mogę ominąć.

– To może trochę utrudnić podjęcie twoich pieniędzy, nieprawdaż, Harlis?

– Może potrzebna jest weryfikacja tożsamości – czasem tak bywa – i muszę polecieć do terminalu.

– Cóż, w takim razie myślę, że weźmiemy prom na dół i przekonamy się.

Harlis czuł się niemal nagi, nie mając na sobie kombinezonu próżniowego, podczas gdy pozostali ubrani byli w OKO i pancerze bojowe; sześciu z nich to byli neurowspomagani marines w potężnych zbrojach. Na ich polecenie połączył się z lądowiskiem promowym. Ktoś mu odpowiedział – nie znał tego nazwiska – i włączył elektroniczny system naprowadzania. Niczego nie widział – w promieniu było okien – czuł tylko uderzenia i podskoki lądującego promu, a potem otworzył się włazi do środka wpadł zapach Sirialis, przypominając mu wcale nie tak odległe czasy dzieciństwa.

Następnie Harlis pomaszerował przez lądowisko; idąc między potężnymi mężczyznami, czuł się mały i bezbronny. Zastanawiał się, czemu nikt nie wyszedł im na spotkanie. Żołnierze rozglądali się wokół, oceniając sytuację.

– Bułka z masłem – rzucił któryś z nich.

– Załatw nam transport – rozkazał Taylor. Jednak hangary i garaże były puste. W biurze jedyną oznaką życia była cicho brzęcząca główna tablica rozdzielcza. Taylor wyszczerzył zęby. – Bawią się w ciuciubabkę, tak? Chcą polowania? – Pozostali też zaczęli paskudnie się uśmiechać.

– Cóż, wygląda na to, że będziemy musieli iść piechotą. Gdzie jest bank, Harlis?

Wczesnym latem ulica wyglądała jak z folderu reklamowego: schludne kamienne budynki, trawniki pełne kwiatów, mnóstwo zieleni zwisającej z balkonów i parapetów. Leżący na progu banku łaciaty kot uniósł głowę, po czym umknął między kwietniki.

– Gdzie są wszyscy? – zapytał Taylor. – Uciekli na pola? – Jeden z marines rozwaliał kopniakiem drzwi banku. – Niezła ochrona.

Weszli do środka. Nikogo tam nie było, ale automat był aktywny, podobnie jak zasilanie lądowiska promowego. Harlis wprowadził swoje kody dostępu i kostkę kredytową i czekał na zapalenie się kontrolki wskazującej, że automat przeniósł na kostkę zawartość jego kont. Potem spróbował przypomnieć sobie kod Bunny'ego; gdyby popełnił błąd, automat zablokowałby się na dwie godziny, ale już pierwsza próba okazała się udana. Jednak na koncie Bunny'ego nie było ani grosza.

– Połącz się z pozaplanetarnymi kontami – rozkazał Taylor. Harlis wprowadził kody dostępu dla ansiblowych transferów finansowych i czekał.

BRAK DOSTĘPU. WPROWADŹ POPRAWNY KOD.

– Zmienili kody – powiedział Taylor. – Zmienili kody. – Wraz z ostatnim słowem trzasnął Harlisa w twarz. Masz tylko marne dwieście tysięcy. – Odwrócił się do pozostałych. – Chodźmy.

– Mogę zdobyć więcej – odezwał się Harlis. – Wiem, że mogę, jeśli...

– Uciszcie go – rzucił Taylor. Jeden z marines podniósł broń i uderzył go w ramię; Harlis miał wrażenie, że złamał mu obojczyk.

– A rzeczy w domu, kapitanie? – zapytał inny.

– Pewnie zostawili tylko same śmieci. Cywile uciekli jak króliki i zabrali ze sobą wszystko, co dało się wynieść. Chyba że chcecie prześcieradła, poduszki i inne rzeczy, którymi nie chcieli zawracać sobie głowy.

Mężczyzna roześmiał się.

– Nie, sir.

Harlis spojrzał w górę ulicy. Ponad rosnącymi w ogrodzie drzewami widać było górne piętro domu.

– Myślisz, Harlis, że tam jest coś wartościowego, czego nie zabrali albo zamknęli, żebyś nie mógł się do tego dostać?

– Obrazy, książki, zastawa stołowa, meble, broń...

– Broń?

– Broń myśliwska i antyki.

– To bezwartościowe śmieci – rzekł Taylor. – Nie zamierzam dorobić się odcisków, idąc tam po pamiętki.

Grupa ruszyła z powrotem w stronę promu. Harlis rozglądał się wokół w nadziei, że znajdzie się ktoś, kto go uratuje. W grupie było tylko dwudziestu buntowników, a milicja mogła zebrać znacznie więcej ludzi. Czy oni nie widzą, że jest więźniem?

Ale nikt się nie zjawił i marines wepchnęli go z powrotem na prom.

Kiedy weszli na pokład, Taylor kazał dwóm ludziom zaprowadzić Harlisa na mostek.

– Myślę, że temu zadowolonemu z siebie światkowi trzeba dać nauczkę – powiedział. – Podobnie jak naszemu Harlisowi. Wybijemy kilka okien i zburzymy parę kominów. – Spojrzał na Harlisa. – Zaczniemy od twojego domu, ser Thornbuckle – rzekł i odwrócił się do oficera uzbrojenia. – Masz współrzędne, zrzuć jedną w sam środek.

Harlis poczuł nagle suchość w ustach.

– Nie... nie róbcie tego. Czemu to niszczyacie?

– Ponieważ mam ochotę – odpowiedział Taylor. – Bo mogę. – Ale... oni nic wam nie zrobili.

– OniMe – zgodził się Taylor – ale ty tak. Okłamałeś mnie I bardzo mnie to zdenerwowało, a kiedy jestem zirytowany, czasem wyzywam się na przedmiotach.

– Ale... to moje – zaprotestował Harlis. – Jest moje – zawsze powinno być moje – a poza tym jest piękne.

– Już nie. – Taylor uśmiechnął się drapieżnie. – Pokaż nam, Leonie. – Na ekranie pojawił się wielki, spokojny i uroczy dom w otoczeniu ogrodu, błyszczący w porannym słońcu, piękny jak nigdy dotąd. Harlis niemal czuł zapach róż. Potem pocisk eksplodował. Dom jakby nadał się z wściekłości, po czym zniknął w szalejącej chmurze szczątków. – Dobry strzał – rzekł Taylor. – I tyle z niego zostało.

Zaraz potem rozległ się drugi wybuch i gęsta chmura przysłoniła stajnie. Harlisowi zrobiło się niedobrze. Nigdy zbytnio nie lubił koni, ale nigdy też nie życzył im niczego złego; potrafił sobie wyobrazić przerażone zwierzęta, strzaskane nogi, krew...

– Podjęliśmy pieniądze – odezwał się Taylor – a więc mamy to, po co przylecieliśmy.

– Rozwalić jeszcze kilka? – zapytał ktoś.

– Nie, możemy jeszcze potrzebować broni. Ale w ten sposób przekazaliśmy komunikat. Nikt nie będzie myślał, że tylko się bawimy. – Jego głos zmienił się, przybrał miękkie i nieprzyjemne tony. – Smithers, ser Thornbuckle źle się poczuł. Zaprowadź go do jego kabiny.

* * *

Harlis leżał, wpatrując się w sufit, i wciąż na nowo odtwarzał w pamięci tę samą scenę. Dom – jego dom – przepadł, całkowicie zniszczony. Wspaniałe schody, sala balowa, słoneczne pokoje, jego apartamenty kryjące osobiste skarby... Wszystko to zostało w jednej chwili zniszczone, zginęło w chmurze dymu i ognia. Czuł przerażenie, żal i smutek. Bunny zabiłby go za to, gdyby żył. Tylu ludzi zginęło, takie zniszczenia... Jak on mógł do tego doprowadzić? Jak mógł to zrobić? Zaczął się trząść na wspomnienie rąk, które go skrzywdziły; zimnych oczu, które odkryły, że jest słaby i zasługuje na pogardę, złośliwych uśmiezków bawiących się jego cierpieniem i przerażeniem.

OSK Fremantle

– Proszę na to spojrzeć – powiedział komandor porucznik Coston. Dwa patrolowce – albo coś o podobnej masie i sygnaturze napędu – właśnie wskoczyły w układ. – Spodziewamy się kogoś? – zapytał pierwszego oficera.

– Nie, sir. – Pierwszy oficer, także komandor porucznik, uśmiechnął się. – Wreszcie coś się dzieje – dodał.

– Faktycznie. – Skan zauważył statki w odległości zaledwie ośmiu minut świetlnych; gwałtownie rozciągający się „ogon” skierowany był w stronę punktu wejściowego. – Dane z nadajnika identyfikacyjnego?

– Żadnych nadajników – zgłosił technik skanu. – Broń w gotowości. .

– Podobnie jak my. – Według rozkazów mieli nie dopuścić, by buntownicy dotarli do Świata Aethara... ale przestrzeń była zbyt wielka, by można było ją zabarykadować. I oto ktoś wpadł na ich pikietę, a jedyne statki, jakie mogą lecieć bez nadajników, muszą należeć do przeciwnika. Coston uzmysłowił sobie, że buntownicy znają wszystkie jego sztuczki, ale tym razem miał coś w rękawie: *Gorgon i Matchless* plus plan taktyczny, stworzony z myślą właśnie o takiej sytuacji.

– Jeśli nie leci za nimi ciężki krążownik, są ugotowani – stwierdził.

– Wszystkie sygnatury potwierdzają patrolowce Floty – zgłosił technik skanu. – Bez nadajników identyfikacyjnych, ale reszta... Aktywne uzbrojenie i wszystko...

– Dobrze, Kris. – Skinął pierwszemu oficerowi. – Rozpoczynamy realizację planu. Wywołam ich.

Wywołanie przeprowadził głównie w celu odnotowania tego faktu w dzienniku. Nie mogli to być niewinni kupcy, jedynie największe prywatne jachty zbliżały się do takiej masy.

Zanim jego wiadomość dotarła do buntowników, jeden z nich otworzył ogień.

– Dobrze, to upraszcza sytuację – rzekł Coston. – Nie musimy czekać.

Fremantle wykonał mikroskok, skracając o połowę dystans do buntowników, a potem skoczył jeszcze raz i znalazł się w odległości pięciu sekund od nich. Buntownicy wystrzelili salwę w ich poprzednią pozycję. *Fremantle* skoczył jeszcze raz i wylądował w odległości mniej niż sekundy od wyliczonej pozycji buntowników. Po oddaniu strzału w ich stronę – był to dopiero pierwszy z zaplanowanych ataków – *Fremantle* odskoczył, a na jego miejsce pojawił się *Gorgon*, a następnie *Matchless*, który miał nie dopuścić, by znaleźli się w strefie rażenia własnej broni. Na ekranach strzał za strzałem rozpalał tarcze buntowników, tak że nie mogli odpowiedzieć ogniem. Jeden z wrogich statków próbował uciec, wykonując mikroskok na pięć minut, ale w tej samej chwili pierwszy okręt eksplodował i wkrótce trio lojalistów dogoniło i zniszczyło uciekiniera.

Coston uśmiechnął się do pierwszego oficera.

– To powinno zadowolić panią admirał. Żeby tylko udało nam się zidentyfikować te okręty...

Dowództwo Sektora Siedem

Kiedy Arash Livadhi wrócił z pierwszego konwoju do sztabu Sektora Siedem i zdał raport admirał Serrano, ta pokiwała z zadowoleniem głową.

– Dobra robota. Na pewno ma pan pomysły dotyczące szkolenia statków w konwoju. Chciałabym, żeby poprowadził pan odprawę dla kapitanów czekających na następny konwój, gdy tylko ich pan zbierze.

– Oczywiście, sir.

– Słyszał pan dobre wieści?

– Niczego nie słyszałem, sir. Ktoś odbił statek buntowników?

– Nie odbił, niestety, ale *Heris* znalazła ich okręt flagowy, *Bonar Tighe*, i zniszczyła go. Mamy potwierdzenie, że Solomon Drizh – był kontradmirałem, tak jak pan – był ich przywódcą. – Livadhiemu ścisnął się żołądek; od lat unikał Drizha. – Był jednym z protegowanych Lepescu i to on odtworzył Lojalne Bractwo Myśliwych. – Admirał Serrano rzuciła mu ostre spojrzenie. – Wiedział pan o tym, prawda?

– *Heris* mi powiedziała. – Czuł pot pokrywający jego dłonie.

– Ten drań zatruł wszystkich, z którymi się zetknął – powiedziała, potrząsając głową. – Mam na myśli Lepescu. Ale najwyraźniej Drizh był równie zepsuty.

Livadhi przełknął ślinę. Musi to powiedzieć. Musi się dowiedzieć, co ona wie.

– Ja... kiedyś służyłem u admirała – wtedy komandora – Lepescu. Byłem wtedy bardzo młody.

– Wiem, ale jest pan wyjątkiem od reguły. Ma pan szczęście, że pana nie lubił. Nie znosił też Heris. Młodzi, których uznał za obiecujących... Tych, których uznał za obiecujących, zaprosił do swego kręgu.

Schlebiał im. Uczył ich. Namawiał, by stali się elitą, najlepszymi z najlepszych. A potem...

– Zniszczył ich – zakończyła admirał Serrano.

– To wstyd – rzekł Livadhi, nie mogąc myśleć o niczym innym. – Gdyby wciąż żył, sama bym go udusiła.

– Ja też – stwierdził całkiem szczerze Livadhi. Był wtedy młody, naiwny i łasy na pochlebstwa, zaszczycony wyróżnieniem go przez komandora znanego z niezwykłych umiejętności bojowych. Podziwiał Lepescu, próbował go naśladować, nawet w zakresie preferencji muzycznych i żywnościowych.

– To zdumiewające – mówiła dalej admirał Serrano – jak wielu ludzi może zepsuć jedna czarna owca. A jednak są tacy jak pan, którzy kontaktowali się z nim, a mimo to nie stali się częścią jego koterii. W tej chwili nie potrzeba nam kolejnego polowania na czarownice, nie będziemy szukać wszystkich, którzy u niego służyli, niezależnie od tego, jak dawno to było.

– Zgadzą się. – Zgadzał się z tym każdą komórką swojego ciała.

– Heris bardzo dobrze radzi sobie ze starym *Indy* – zauważyła admirał Serrano. – Jak pan radzi sobie z *Vigilance*?

– Dobrze, sir, choć jestem pewien, że stara załoga Heris wolałaby być z nią. – Czy to dobry moment, żeby zasugerować transfer?

– Nie ma potrzeby tym się martwić. Wciąż trwa wojna. Zresztą ona tu nie wraca, poleciała z zebranymi resztkami załogi na Copper Mountain. Mało prawdopodobne, że gdzieś tam odszuka kompletną listę uczestników buntu, ale analitycy mogą coś znaleźć.

– To znaczy, że odzyskaliśmy Copper Mountain?

– Na razie. Druga wiadomość jest znacznie gorsza. Buntownicy zaatakowali grupę bojową w Sektorze Pięć, zniszczyli jeden statek i ciężko uszkodzili krążownik. Próbuje skłonić szantażem niektóre Famile do wynajęcia ich. Doszło też do sporadycznych ataków na stacje orbitalne, a nawet planety. Po prostu nie mamy wystarczającej liczby okrętów, żeby wszędzie być, a przy tym bronić granic. W każdej chwili mogą usłyszeć, że *Benignity* przygotowała inwazję. Nie rozumiem, czemu jeszcze tego nie zrobili.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

OSK *Turbot*, w drodze z *Castle Rock* do Sektora Siedem

Esmay Suiza znalazła się w grupie oficerów – kilku poruczników, tak jak ona, majorzy i jeden komandor porucznik – którzy mieli objąć dowodzenie na nowych statkach. Wszyscy oni spędzali czas głównie na studiowaniu charakterystyk swoich okrętów.

Jej statek, *Rascal*, był ulepszonym patrolowcem – odbywał służbę patrolową w sektorze, w którym od lat nic się nie działo – z nowym uzbrojeniem, który uczyniło z niego niemal minikrażownik. Pomimo wszystkich zmian w przedziałach załogowych nie było tłoczno, więc statek miał pełną obsadę załogi. Esmay studiowała jego parametry przez całą drogę z *Castle Rock*, aż była pewna, że będzie w stanie rozpoznać i nazwać każdą część okrętu. Bardzo pomogły jej miesiące spędzone na *Koskiusko*, kiedy to zapoznała się z budową kadłuba i napędów.

Teraz miała zobaczyć swój nowy statek – jej statek – po raz pierwszy. Zgłosiła swoją obecność w chwili przybycia na stację, więc jeśli załoga jest czujna, powinni już wiedzieć, że jest w drodze. Zatrzymała się jeszcze na kilka chwil w toalecie, by upewnić się, że jej krótko przycięte włosy są starannie ułożone. Po kilku tygodniach przyspieszonego wzrostu miała zdumiewającą ilość włosów, ale i tak było ich mniej niż przedtem. Potem zobaczyła numer doku i nazwę *Rascal*.

Wyprostowała się, jeszcze raz pomacała ukryty w kieszeni pręt dowodzenia, dzięki któremu elektronika okrętu zaakceptuje ją jako dowódcę, i zbliżyła się do kaprała stojącego na warcie przed włazem kołnierza dokowego. Na widok kapitańskich belek na jej rękawach stanął na baczność.

– Kapitan Suiza! Witamy, sir! – Jego radość była chyba szczerą, sądząc po energicznym salucie.
– Czy kapitan wchodzi na pokład?

– Tak – odpowiedziała Esmay. Po co miałaby tu przychodzić? Chyba nie po to, żeby się przekonać, czy ją rozpoznają.

– Bardzo dobrze, kapitanie. Właśnie poinformowałem mostek. W tej chwili na pokładzie nie ma żadnych oficerów i dowodzi starszy bosman Humberly. Bagaż kapitana?

– Przyślą go po rozładowaniu transportowca – wyjaśniła Esmay.

– Kapitan Suiza! Witamy! – Starszy bosman Humberly był starszawym mężczyzną o tak krótko przyciętych włosach, że trudno było stwierdzić, czy przypadkiem nie łysieje. Emanowała z niego taka sama życzliwość i kompetencja, jak z kaprała. Esmay z miejsca go polubiła; zauważyła, że nie ma w sobie nic z niedbałych starszych podoficerów po nieudanym odmłodzeniu. – Przepraszam, że pepeka Turnera nie ma na pokładzie. Chciał panią powitać, ale został wezwany do biura admirała.

– Nic nie szkodzi – powiedziała. Wiedziała już, że formalności związane z wejściem na pokład kapitana poniżej stopnia komandora są minimalne, jednak Humberly ją zaskoczył – zebrał załogę *Rascala* w dość wąskim głównym korytarzu i Esmay przemaszerowała przed nimi na mostek, czując się bardzo tym uhonorowana.

Kiedy uwierzytelniła się w systemach statku i na tablicy statusu pojawiły się napisy „Kapitan: Esmay Suiza” oraz „Kapitan na pokładzie”, poczuła szczęście, ale i wielki niepokój. Jak na *Despite...* Z chwilą objęcia dowództwa to ona jest za wszystko odpowiedzialna. Ale sama tego chciała. Natychmiast zwróciła się do Humberly'ego.

– Jak wygląda nasza gotowość, bosmanie?

– Powiedziano pani o remoncie i rozbudowie?

– Tak. Nowe silniki, nowe zestawy uzbrojenia. Przyjrzałam się im; mamy o trzydzieści cztery procent większą siłę ognia, z czego połowa przypada na broń energetyczną, oraz silniki do zasilania bez wyłączania tarcz. Ale nie powiedzieli mi, jak to wpłynie na zdolność do wykonywania mikroskoków.

– Nie próbowaliśmy, nie było okazji. Przypuszczam, że mogliśmy stracić kilka procent czasu reakcji. To niedobrze, ale...

– Warto było, jeśli to jedyna strata – stwierdziła Esmay. – A co z załogą? Wiem, że mnóstwo jednostek obsadzanych jest przypadkowo zebranymi ludźmi.

– Mieliliśmy szczęście – odpowiedział Humberly. – Z powodu konieczności przeprowadzenia szkolenia większość załogi uzbrojenia i napędu była tu przez cały czas. Mając tak małą załogę, mogliśmy trochę poprzebierać. – Wyglądał na zadowolonego z siebie. Esmay uśmiechnęła się.

– Sam ich pan powybierał? – zapytała. – Doskonale.

– Patrolowce nie potrzebują wielu urzędników, głównie personel kapitański. – Zerknął na nią, aby się przekonać, czy już o tym wie. Esmay kiwnęła głową. – Mamy kilku liczykrupów z zaopatrzenia, którzy nie służyli jeszcze na okręcie liniowym, ale powinni sobie poradzić.

– A zaopatrzenie?

Zmarszczył czoło.

– Z tym mieliśmy trochę problemów. To bardzo ruchliwa stacja, a my byliśmy małą jednostką bez kapitana na pokładzie. Pepek Turner... To dobry młody oficer, ale pepek po prostu nie ma siły przebicia przy kimś wyższym stopniem, a to nie jest typ człowieka, który umiałby wykorzystać swoją pozycję oficera dowodzącego.

– Czy jest bardzo źle? – zapytała.

– Nie, da się to zmienić w czasie kilku wacht z kapitanem na pokładzie, sir. Nikt nie będzie pani stwarzał problemów.

Esmay wątpiła w to, ale wiedziała też, że będzie walczyć, jeśli jej odmówią. Jej statek nie poleci na akcję z przeterminowaną żywnością czy starymi środkami medycznymi.

– Co mamy w zakresie części zamiennych? – To określenie oznaczało przedmioty zdobyte w drodze nielegalnego handlu.

– Niewiele, tylko kilka elementów, które pozostały po remoncie. Część z nich zostawiłem na wypadek jakichś problemów.

– Dobry pomysł.

Esmay ze zdziwieniem przekonała się, że jej nazwisko i obraz na ekranie potrafiły zdziałać cuda w zaopatrzeniu; błyskawicznie wydano im kontenery ze świeżą żywnością, a ich zawartość odpowiadała opisowi. Trochę więcej problemów miała z amunicją, gdyż upierano się, że patrolowiec nie musi napychać się pociskami, różnymi typami zapalników i alternatywnymi głowicami. Esmay musiała w końcu pójść osobiście z kopiami planów nowego wyposażenia i przebić się przez cały łańcuch urzędników aż do dowodzącego kontradmirała.

– Gdyby nie sądzili, że czeka nas poważna walka – powiedziała – nie rozbudowaliby naszego uzbrojenia. Nie widzę sensu w posiadaniu broni bez amunicji.

– Czy ma pani pojęcie, ile kosztuje głowica 347-Xa? – zapytał.

– Tak. – Esmay podała kwotę. – I wiem, ile kosztuje patrolowiec oraz jak cenny jest dla buntowników ładunek broni z następnego konwoju. Chce pan, żeby go dostali tylko dlatego, że nie

mam pocisków do obrony?

Popatrzył na nią z wściekłością, a ona odpowiedziała mu tym samym. Gdzieś w głębi duszy pomyślała nawet, że to trochę zabawne. On się opiera, a ona nalega... zupełnie jak w skomplikowanym tańcu.

– No dobrze – powiedział w końcu. – Ale proszę nie mówić kapitanom innych patrolowców. Nie zamierzam wydać wszystkiego, co mamy, bo nie będzie czego wysłać do Sektora Osiem.

– Oni nie mają naszych ulepszeń – rzuciła Esmay – więc czemu miałabym podsycać ich chciwość?

Mężczyzna zachichotał i pokręcił głową.

– Poruczniku, cieszę się, że nie ma pani wyższego stopnia. To było w stylu Serrano. Zresztą teraz pani chyba jest Serrano, co?

– Nie jestem pewna, czy się zgodzili – odpowiedziała. Nie miała zamiaru zagłębiać się w to.

Zgłosiła się w biurze admirała, ale powiedziano jej, że tymczasowo zawieszono zwykły protokół odwiedzin kapitanów u dowódców sektorów. Z początku zastanawiała się, czy było to wymierzone w nią, ale kilka podsłuchanych rozmów świadczyło, że nie.

– Mamy tu... czterech admirałów dowodzących konwojami i kto wie, ile nadlatujących okrętów i kapitanów. To zdecydowanie zbyt dużo, żeby składać oficjalne wizyty. Zamiast tego admirał zamierza urządzić ogólne spotkanie przed odlotem każdego z konwojów.

Po uzyskaniu pozwolenia na czterodniowe ćwiczenia z manewrowania *Rascal* odłączył się od stacji. Esmay przyglądała się z mostka, jak jej załoga przeprowadza procedury, i jak dotąd nie dostrzegła żadnych błędów. Na ekranie widziała dokujący na ich miejsce okręt, który właśnie zakończył ćwiczenia i zamierzał uzupełnić zapasy.

Dzięki napędowi układowemu *Rascala*, wzmocnionemu do mocy małego krążownika, płynnie odsunęli się od stacji i błyskawicznie znaleźli się w pierwszym obszarze treningowym. Większość patrolowców potrzebowała na dotarcie tam osiemnastu godzin... podczas gdy *Rascal* doleciał w piętnaście i pół, przy tych samych ustawieniach poziomu mocy.

– Zaczynam się zastanawiać, czy niektóre z tych kontenerów zaopatrzenia nie są puste. – Pierwszy oficer Esmay, pepe Turner, miał swoiste poczucie humoru, które przypadło jej do gustu.

– Mam nadzieję, że nie – odpowiedziała. – Liczyłam na regularne karmienie wszystkich przez najbliższe kilka miesięcy.

* * *

Komandor Kessler ze statku zaopatrzeniowego *Plexus* prowadził sektor manewrowy żelazną ręką i wcale nie przeszkadzał mu w tym fakt, że rezydował na wielkim powolnym statku transportowym.

– OSK *Rascal*, dowodzi Suiza, proszę o pozwolenie na rozpoczęcie manewrów – zgłosiła się Esmay.

– *Rascal*, uwaga na ruch w sektorze żółtym: patrolowce *Sitra*, *Scamp* i *Salute*. Potwierdzić rozpoznanie, przekazać z powrotem sygnał. – Starszy technik skanu Esmay podświetlił plamki na skanerze. Ich sygnały rozpoznawcze zostały potwierdzone, więc przesłał weryfikację na *Plexusa*. – *Potwierdzenie* weryfikacji rozpoznania. Brak zgody na mikroskoki w sektorze żółtym. Wykonacie następujące manewry... – Na głównym ekranie pojawił się kurs, którym mieli polecieć. Pierwsza część ćwiczeń manewrowych miała po prostu wykazać, że wszystkie jednostki potrafią pojedynczo

poruszać się wyznaczonym kursem. Potem miały być ćwiczenia w formacji.

Pierwszy dzień upłynął im bardzo dobrze; załoga Esmay знаła się na swoim fachu i *Rascal* sprawnie reagował na polecenia sternika, gdy tylko wyliczyli poprawki korygujące prędkość dla nowych silników.

Następnego dnia pozwolono im na ćwiczenia mikroskoków w części układu oddalonej o godziny świetlne od wszystkich innych. Esmay przekonała się, że jest to znacznie mniej denerwujące niż się spodziewała, ale miała do dyspozycji komputer nawigacyjny nie poprzestrelany na wylot, tak jak w przypadku *Despite'a*. W miarę jak *Rascal* trafiał w kolejne zadane współrzędne, czuła rosnące morale załogi. Kiedy ukończyli sekwencję szesnastu skoków i zrekalibrowali wszystkie urządzenia, uśmiechnęła się do nich.

– Dobra robota! Nie muszę czekać na nasze wyniki, by wiedzieć, że zaliczyliśmy na sto procent.

W przeciwieństwie do poprzedniej, tej nocy spała bardzo dobrze. *Rascal* wracał na silniku systemowym w rejon manewrowy, gdzie następnego dnia miały się odbywać ćwiczenia w formacji. Były one dla załogi mostka niemal równie trudne, jak ćwiczenia mikroskoków, gdyż Flota już od wielu dekad nie stosowała konwojów. Komodor kontradmirał Livadhi, który miał dowodzić ich konwojem, chciał wypróbować kilka wariantów formacji. Czy eskortowce nie powinny być nieco dalej? Czy patrolowce umieścić na zmianę z eskortowcami, czy w grupach?

Kiedy wreszcie skończyli (a komodor wciąż się nie zdecydował) i ruszyli z powrotem do stacji w celu uzupełnienia zaopatrzenia, Esmay była pewna tylko jednego: ma dobrą załogę, która z dnia na dzień jest coraz lepsza.

* * *

Admirał Livadhi zaprosił kapitanów wszystkich jednostek, które miały lecieć w jego konwoju, na kolację na pokładzie okrętu flagowego. Esmay, która ostatnio widziała *Vigilance* pod dowództwem Heris Serrano, zastanawiała się, ilu ludzi z jej załogi zostało na pokładzie. Livadhi sprawiał wrażenie kompetentnego oficera, trochę podobnego do jej ojca. Każdego przywitał osobiście przyjaznym komentarzem.

– Pani przybyła do nasz Castle Rock – powiedział, gdy zajęli miejsca. – Proszę nam opowiedzieć, poruczniku Suiza, najnowsze plotki.

– Jestem pewna, że zna pan wszystkie wieści o Flocie, sir, ale czy słyszał pan o uciekinierze z *Benignity*?

– O uciekinierze? Nie, proszę nam opowiedzieć.

– Był na statku kupieckim, którym przyleciałam z Trynidad na Castle Rock – wyjaśniła Esmay. – Opowiadał bardzo dziwne rzeczy... Wydaje mi się, że nie zdradzę żadnej tajemnicy, mówiąc wam o tym, skoro już dotarł na Castle Rock.

– Proszę nas nie dręczyć, poruczniku – powiedział Livadhi i napił się wina.

– Tak jest, sir. Cóż, nie znam całej historii, ale twierdził, że jest kapłanem z *Benignity*, który musiał uciekać. Z tego, co mówił, wynikało, że został uznany za heretyka, choć nim nie jest.

– W *Benignity* zabijają heretyków? – zapytał ktoś.

– Mógłbym w to uwierzyć – rzucił ktoś inny.

– Nie chodziło tylko o bycie heretykiem. Twierdził, że był ostatnim spowiednikiem kogoś ważnego, dlatego jego rząd bał się, że jako heretyk ujawni to, co usłyszał.

– Uwierzyła mu pani? – zapytał Livadhi.

Esmay zastanowiła się chwilę, przypominając sobie rozmowy z pełnym pasji drobnym mężczyzną.

– Myślę, że on wierzył w to, co mówił. Chciał ze mną rozmawiać, ponieważ jestem z Altiplano; myślał, że mamy interesujące go archiwa religijne.

– Ale czy sądzi pani, że on faktycznie znał jakieś tajemnice państwowe? – Livadhi powiedział to lekkim tonem i kilka osób roześmiało się.

– Nie wiem. Powiedział, że i tak nie zdradzi tego, co wie, ponieważ niezależnie od tego, że uznano go za heretyka, wciąż jest związany przysięgą zachowania tajemnicy.

– Ale powiedziała pani, że jest na Castle Rock. Może wywiad Floty wszystko z niego wyciągnie?

Esmay wzruszyła ramionami.

– Jest cywilem, kapłanem, wyznawcą jakiegoś kultu związanego z mieczami. Czemu Flota miałaby być nim zainteresowana? Zresztą mieli go wysłać statkiem dyplomatycznym do Guernesii. Do tej pory pewnie już go tam nie ma.

– Oni zamordowali naszego Mówcę – odezwał się ktoś. – Może na tym polegała jego wielka tajemnica.

– Kiedy go pani spotkała, poruczniku? – zapytał Livadhi.

– Sir, nie od razu wiedziałam o jego obecności na pokładzie, dowiedziałam się dopiero po jakimś czasie. Potem zatrzymaliśmy się na Zenebrze. Przykro mi, sir, ale nie pamiętam, czy to było przedtem, czy później.

– Przypuszczam, że teraz to nie ma znaczenia. Ale zakładając, że był to spowiednik ich głowy państwa, który natychmiast uciekł w stronę naszej granicy, możemy sądzić, że dotarł do przestrzeni Familii przed samym zabójstwem.

– Ale przecież przyznali się, że to zrobili – rzekła Esmay. – Teraz to już nie jest tajemnica.

– Już nie, ale wtedy mogła być. Kto wie, jakie jeszcze asy może mieć w rękawie?

– Cóż... Musiałam przywrócić wszystkie swoje kody dostępu, więc całymi godzinami siedziałam w sztabie i słyszałam, jak ktoś zastanawiał się, czy ten kapłan mógłby znać kompletną listę agentów Benignity czy coś takiego. Ale wprowadzanie szpiegów mogłoby być grzechem, natomiast lista nazwisk raczej nie.

– Sądzi pani, że w sztabie boją się możliwości penetracji ze strony Benignity?

Esmay skinęła głową.

– Biorąc pod uwagę okoliczności, czyli wybuch buntu i zaraz po nim morderstwo, powiedziałabym, że mają powody do zmartwień. Ta sytuacja z pewnością ułatwiła Benignity działanie. Wypierają się wprawdzie jakichkolwiek związków z buntem, ale ktoś przypomniał, że Bacarion i Drizh bardzo pochlebnie wypowiadali się o dyscyplinie w Siłach Kosmicznych Benignity. – Zachichotała. – Oczywiście są też ludzie, którzy posądzali mnie o zdradę stanu, kiedy było im to na rękę.

– Czyli pani w to nie wierzy?

– Sir, nie dysponuję informacjami, na których mogłabym oprzeć swoją opinię. Wiem, że niestety plotki i pomówienia mogą zostać potraktowane jak prawda... z gorzkimi konsekwencjami dla pomawianych osób. Z drugiej strony to, czego dowiedziałam się o Benignity, rozmawiając z Simonem – tym kapłanem – sprawia, że ich udział w buncie wydaje się możliwy. Buntownicy

twierdzą, że jesteśmy niezdiscyplinowani, słabi i lubimy sobie dogadzać; Benignity też wypowiada się o Familiach w podobnym tonie. Nie słyszałam, żeby buntownicy byli jakoś szczególnie religijni, a Simon twierdził, że Benignity nigdy nie pozwoliłaby na tego rodzaju polowania, ale... buntownicy mogą myśleć co innego.

– Muszę przyznać, że jak na osobę dwukrotnie skrzywdzoną na podstawie plotek jest pani wyjątkowo bezstronna, poruczniku. To dobrze o pani świadczy. Co sądzi reszta państwa?

Esmay słuchała odpowiedzi, próbując na ich podstawie wyobrazić sobie, jakimi dowódcami byliby przemawiający, gdyby konwój miał kłopoty. Collingwood, rzuciwszy z ukosa spojrzenie na Esmay, powiedział:

– Gdzie jest dym, tam zazwyczaj jest i ogień, sir. Wiem, że plotki nie zawsze są prawdziwe, ale w tak ważnej sprawie przypuszczalnie są. Jeśli za buntem stoi Benignity, nie muszą nawet buntowników lubić, mogą ich tylko wspierać.

– Ale nie twórzmy teorii spiskowych – odezwał się Bondi. – Co by było, gdyby zaczęto szukać wszystkich, którzy kiedykolwiek służyli u Lepescu, lub tych, którzy kiedykolwiek mieli jakichś krewnych w Benignity, nawet ze dwa pokolenia wstecz? Mój dziadek jako chłopiec uciekł stamtąd do Familii; skąd mamy wiedzieć, że nie był jakimś agentem, a po prostu wystraszoną nastolatkiem, który szukał lepszego życia?

– Czyli to stamtąd pochodzą twoje szalone pomysły, Pete? – zapytał Collingwood z wyraźnym akcentem.

– To wcale nie jest śmieszne! – odpowiedział Bondi, czerwieniąc się.

– Panowie – wtrącił się Livadhi. – Nie wydaje mi się, żeby Flota miała rozpocząć kolejne polowanie na czarownice. Porucznik Bondi ma doskonałą kartotekę, która z pewnością rozwieje wszelkie możliwe wątpliwości co do jego dziadka.

– Dziękuję, sir – powiedział Bondi – i przepraszam, że poruszyłem ten temat.

– Nie, to było rozsądne pytanie. I to nie jest najlepszy temat do żartów, zwłaszcza w tej chwili.

– Tak, sir. Przepraszam pana i ciebie, Pete. Naprawdę mi przykro. Nie chciałem z ciebie drwić.

– Nic nie szkodzi – rzekł Bondi, ale wciąż był nieco zaczerwieniony.

– Pozwólcie, że oprowadzę was po statku – zaproponował Livadhi. – Możecie poznać personel, z którym będziecie się komunikować, a ci z was, którzy nie służyli jeszcze na krążownikach, będą mieli okazję zaznajomić się z nim

Livadhi zaczął oprowadzanie od dołu, być może po to, żeby dać im czas na wygaśnięcie emocji w czasie schodzenia po niezliczonych drabinach. Esmay podobał się jego sposób poradzenia sobie z trudną sytuacją; gdyby pojechali na dół oficcerską windą, musieliby stać jeden obok drugiego i patrzeć na siebie z niechęcią. Najpierw zwiedzili sekcję środowiskową, a potem inżynierię, gdzie pierwszą osobą, na którą się natknęli, był Petris Kenvinnard.

– Porucznik Suiza! Jak to dobrze znów panią widzieć – rzekł.

– Znasz Suizę? – zapytał Livadhi.

– Tak, sir, spotkaliśmy się już wcześniej. To jeden z moich – Heris – ulubionych młodych oficerów.

– Bez wątplenia nie bez powodu – wymamrotał Livadhi. – Poruczniku, służyła pani na krążowniku. Gdyby chciała pani zatrzymać się i porozmawiać z Kenvinnardem...

– Nie chciałbym was zatrzymywać, poruczniku, ale słyszałem, że dostała pani *Rascala*. Moje

gratulacje. Proszę przekazać Rudy'emu – starszemu bosmanowi Humberly'emu – pozdrowienia.

– Dziękuję – powiedziała Esmay – zrobię to. – Poszła dalej, uradowana, że ktoś potwierdził dobrą opinię Heris Serrano na jej temat.

Kiedy doszli do potężnych generatorów zasilających broń energetyczną i Livadhi podał ich specyfikację, Esmay znów uświadomiła sobie, jak bardzo *Rascal* został ulepszony. *Vigilance* wciąż dysponował większą siłą ognia, ale różnica między nimi wyraźnie zmalała. Ruszyła za pozostałymi, próbując ją dokładnie obliczyć.

– Porucznik Suiza! – Tym razem była to Methlin Meharry, kolejna osoba ze „starej” załogi Heris. – Słyszałam, że nieźle pani wstrząsnęła Serrano.

– Plotki roznoszą się błyskawicznie – westchnęła Esmay. – Ale mam nadzieję, że to się już uspokoiło.

– Nic nigdy nie uspokaja się na dobre – powiedziała Meharry, idąc obok niej. – Słyszała pani o moim młodszym braciszku?

– Nie wiedziałam, że pani ma brata. – Esmay spodziewałaby się raczej, że Meharry wykluwają się z elementów wyposażenia wojskowego.

– Stacjonował w więzieniu o podwyższonym poziomie bezpieczeństwa na Copper Mountain, tym samym, do którego Lepescu wsadził mnie i pozostałych. – Pokręciła głową. – Głupek. Pewnie chciał zobaczyć, czy uda mu się w ten sposób lepiej zrozumieć starszą siostrę. W każdym razie domyślił się, że ta dziwka Bacarion coś knuje, zabił ją i uciekł... a nikomu dotąd to się nie udało. Wciąż nie wiem, jak to zrobił, będzie musiał opowiedzieć mi wszystko ze szczegółami. Potem powiedział Flocie o buncie, ale było za późno, bo bunt już się zaczął. Ale próbował, mały nicpoń.

– To pani brat? – To było wszystko, co Esmay potrafiła powiedzieć.

– Tak, Meharry aż do kości. – Uśmiechnęła się. – Jestem bardzo, bardzo dumna z tego dzieciaka, ale lepiej, żeby się o tym nie dowiedział, bo przewróci mu się w głowie. – Spojrzała w stronę znikających za rogiem żołnierzy. – Lepiej niech ich pani dogoni, poruczniku. I proszę nie zapomnieć pozdrowić Koutsoudasa, jeśli będzie na mostku.

Esmay przyspieszyła kroku, ale znów została zatrzymana przez schodzącego po drabinie Oblo Vissisuana.

– Miałem nadzieję, że panią złapię, poruczniku; pragnę pogratulować stanowiska i ślubu.

– Dziękuję – odpowiedziała.

– Naprawdę zgrabnie rozbudowali wam uzbrojenie na *Rascalu*. Poszedłem obejrzeć, kiedy je instalowali. Sądząc po parametrach, nieźle się też prowadzi.

– To prawda.

– Ale nie aż tak dobrze, jak *Vigilance* – dodał Oblo. – Słyszałem, że poradziła pani sobie z zaopatrzeniem. Poruczniku, gdyby miała pani kiedyś jakiś problem, może mógłbym w czymś pomóc. Nie mam nic przeciwko pani oficerowi zaopatrzeniowemu, ale Heris – komandor Serrano – twierdzi, że mam prawdziwy talent...

Esmay słyszała, że Oblo potrafi zdobywać różne dziwne rzeczy, i wiedziała, jak to może być cenne.

– Dziękuję. Myślę, że w tej chwili niczego nam nie brakuje, ale jeśli będę miała jakieś problemy...

– Proszę po prostu do mnie zadzwonić. Wszyscy przyjaciele naszej komandor Serrano są

naszymi przyjaciółmi. I pewnie powinienem dodać, że członkami rodziny.

– Nie sędzę, żeby pan wiedział, czemu Barin jest na Copper Mountain, prawda? Dowiedziałam się tego z bazy danych.

– Nie powiedzieli pani? Do diabła, poruczniku, on omal nie zginął w wybuchu! Ale już wszystko w porządku, wyszedł ze szpitala. Nic mu nie jest, musi tylko odzyskać siły. Słyszałem o tym od znajomego w biurze admirała. Myślałem, że skoro jest pani jego żoną, o wszystkim pani powiedzieli.

Esmay mogłaby go walnąć za wystraszenie jej – serce na chwilę jej zamarło – ale bicie Oblo przypominałoby okładanie konia pociągowego. Jego by to nie zabolalo, a mógłby oddać.

– Lepiej dogonię grupę – powiedziała zamiast tego i popędziła, rozładowując strach i gniew na szczeblach drabiny.

Nikt nie skomentował jej nieobecności; miała nadzieję, że nie została w ogóle zauważona. Mijali teraz sekcję za sekcją, aż w końcu dotarli na mostek. Ponieważ okręt był zadokowany do stacji, dyżurowała na nim tylko szkieletowa załoga. Esmay rozglądała się, ale nigdzie nie widziała Koutsoudasa.

Kiedy wróciła na *Rascala*, wyciągnęła wszystkie dostępne informacje na temat statku Barina. Jednostka oznaczona była jako wycofana z działań bojowych. Nie zniszczona, tylko wycofana.

Następnego dnia admirał Serrano urządziła przyjęcie pożegnalne. Esmay ubrała się w mundur galowy. Wyglądał tak, jakby został uszyty wprost na niej, i nawet w najmniejszym stopniu nie utrudniał jej swobody ruchów. Stała w kolejce oficerów czekających na przywitanie z Vidą Serrano. Gdy poczuła na sobie spojrzenie admirała, jej żołądek na chwilę zacisnął się w supeł, ale szybko uspokoiła ją myśl o własnym statku. Była tu jako kapitan, a *Rascal* był okrętem, z którego mogła być dumna.

Kiedy nadeszła jej kolej, Vida przywitała ją z uśmiechem.

– Poruczniku, widzę, że znalazła pani naprawdę świetnego krawca. Gratulacje z okazji powrotu i wspaniałych wyników ćwiczeń. – Dziękuję, sir.

Później, gdy oglądała potężną wieżę z kanapek i zastanawiała się, czy bardziej będą jej smakować małe brązowe kanapki z zielonym brzegiem, czy krakersy z zieloną pastą, zobaczyła, że admirał Serrano podchodzi do niej i siada.

– Na pewno zdajesz sobie sprawę, że to nie ja cię wyrzuciłam. – Admirał wzięła dwie brązowe kanapki i jednego krakersa.

– Tak jest, sir. Powiedziano mi.

– Nie chciałabym w tej chwili o tym mówić, więc powiem tylko, że szczerze się cieszę z twojego powrotu do Floty i wejścia do naszej rodziny.

– Dziękuję, sir.

– Na drugiej tacy są poddane przeróbce genetycznej szarańczaki, smażone w oleju z frillikiem. Jeśli dobrze zrozumiałam twojego ojca, nie powinnaś tego jeść.

– Tak jest, sir. A co z zieloną pastą?

– To puree z wątróbek neoosmiornic z Caskadaru z koprem. Tego też nie powinnaś jeść.

– Tak, sir. – Było coś dziwnego w tym, że admirał doradza jej w zakresie przepisów kulinarnych pochodzących z obcej dla niej kuchni.

– Ale pikantne przepiórcze jaja powinny być w porządku.

– Ach, więc to są jajka? – Esmay nie rozpoznała ich w wyszukanych małych figurkach.

– Mamy w kuchni takiego dziwnego małego faceta. Pracuje u mnie już od lat, ale nigdy nie udało mi się go przekonać, żeby jedzenie przypominało to, z czego jest zrobione. – Rzuciła Esmay łobuzerskie spojrzenie. – Gdy bierze we mnie górę czarny charakter, bawię się, przyglądając się chorążym, którzy próbują dojść, co jest co, po czym dławią się, gdy w końcu zrozumieją, co zjedli. Przyznaję, że to żalosna rozrywka.

Esmay nic nie powiedziała, bo miała usta pełne przepiórczych jaj.

– Co myślisz o komodorze Livadhim? – zapytała admirał Serrano, odczekawszy uprzejmie, aż przełknie

Dziewczyna poczuła się jak pisklę atakowane przez jastrzębia.

– Cóż, admirale, on... jest... – Porucznicy, którzy nie chcieli mieć kłopotów, nie plotkowali z jednym admirałem o drugim.

– Wiem, że to nie fair. Tak naprawdę chcę tylko wiedzieć, jak go traktuje załoga mojej siostrzenicy. Mogą tworzyć klikę, a nie ma mowy, żebym z nimi porozmawiała, nie depcząc mu po odciskach.

– Zaprosił nas na kolację – powiedziała Esmay. – Spotkałam tam kilka osób, które potrafię rozpoznać. Petris, Meharry, Oblo...

– To właśnie ta trójka, która mnie niepokoi. Wątpię, żeby te spotkania były przypadkowe. Jakie sprawiali wrażenie?

– Dobrze, sir. Gratulowali mi objęcia statku... – Oraz ślubu, ale to chyba nie była najlepsza chwila, aby o tym wspominać. – Meharry powiedziała mi o swoim młodszym bracie. – Słowo „braciszek” nie bardzo chciało jej przejść przez usta. – A Oblo poinformował mnie, że Barin został ranny. – Nie potrafiła o tym spokojnie mówić.

Admirał Serrano na chwilę zamknęła oczy.

– Cholera, powinnam była pomyśleć. To było wtedy, gdy nie było z tobą kontaktu i nie wiedzieliśmy, gdzie jesteś, a potem po prostu uznałam, że powiedzieli ci o tym w Dowództwie. Przepraszam, powinnam była się upewnić, że wiesz. Jego statek miał przebicie kadłuba. Barin kierował ekipą kontroli uszkodzeń i doszło do wybuchu. To długa historia. Dzisiaj wieczorem prześlę ci pełny raport. W każdym razie został ciężko ranny i bardzo się martwiliśmy, dopóki nie przywieźli go do Copper Mountain. Według ostatniego raportu dobrze zniósł leczenie i teraz jest na rehabilitacji. Spodziewają się, że w pełni dojdzie do siebie. Ma dostać odznaczenie. Jeśli chcesz mu przekazać wiadomość, zostaw ją w moim biurze, zanim jutro odleci, a ja prześlę ją priorytetowym kanałem.

– Dziękuję, sir – powiedziała Esmay.

– Przepraszam, że nie pomyślałam, żeby powiedzieć ci o tym wcześniej. Lepiej już pójdę, bo Mash zacznie się zastanawiać, czemu tyle z tobą rozmawiam, a on jest odrobinę przeczulony. Pewnie stara rodzinna rywalizacja. – Admirał Serrano odeszła i usiadła obok innego młodego oficera.

Esmay zjadła jeszcze dwa pikantne jaja przepiórcze, oddychając z ulgą, że Barinowi nie grozi już niebezpieczeństwo.

– A, porucznik Suiza. – Tym razem podszedł do niej komodor Livadhi. – To wszystko jest zdecydowanie bardziej wyszukane niż moja kolacja. – Czy w jego głosie kryła się zazdrość? Nie była pewna.

– Ale nie jest tak... – Urwała, szukając najlepszego słowa.

– Może „swobodnie”? – Nie było to dokładnie to słowo, o które jej chodziło, ale nie należy spierać się z admirałami. Uśmiechnął się do niej i znów uświadomiła sobie, że ma dużo wdzięku. – Widziałem, że dorwała panią admirał Serrano, i przybyłem z odsieczą... ale widzę, że nie jest już pani potrzebna.

– Nie, sir. Admirał... admirał Serrano mówiła mi właśnie, że mój... że Barin – jej wnuk – jest bezpieczny i wraca do zdrowia.

– Ach, oczywiście. Była pani w tranzycie, a nie udostępniono jeszcze wszystkich szczegółów. – Livadhi wziął na talerz trzy zmodyfikowane szarańczaki i włożył jednego do ust. Esmay wiedziała już, co to jest, i odgłos chrupania wydał jej się ohydny. – Chciałem tylko zapytać, czy pamięta pani coś więcej na temat tego człowieka – chyba kapłana? – z Benignity.

Esmay przerwała litanię „Barin jest bezpieczny, Barin jest bezpieczny” i skupiła się na pytaniu Livadhi.

– Kapłan, sir? Rozmawialiśmy głównie na temat religii, ponieważ uważał, że religia Altiplańczyków jest odłamem jego wiary i że możemy mieć jakieś stare teksty, do których on nie miał dostępu.

– A pani?

– Nie wiem, sir. Opuściłam dom jeszcze jako dziecko i nigdy nie interesowała mnie historia naszych wierzeń. Powiedziałam mu, że powinien się skontaktować z konsulem Altiplano na Castle Rock, który może mu więcej powiedzieć.

– Hmm... No cóż, zobaczymy się na odprawie. – Livadhi odszedł, a Esmay obejrzała się za nim z uczuciem, że chyba go rozczarowała.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Copper Mountain

– Nienawidzę tych wysp – stwierdził Gelan Meharry. – Jeśli już muszę utknąć na planecie, to chciałbym przynajmniej siedzieć tam, gdzie mogę coś zrobić. – Stał ze skulonymi ramionami na dziedzińcu. Przyświecało zimowe słońce, ale lodowaty wiatr odbierał jego promieniom całe ciepło.

– Chciałbym, żeby ktoś wreszcie wynalazł promień transportowy – rzekł Barin. – Fajnie by było przeskoczyć stąd prosto na miłą tropikalną wyspę.

– Tu się z panem zgodzę, sir. Ale przecież zgłosiłem się do służby na okrętach. A co z panem?

– Jeszcze nie wiem. Wciąż jestem pod opieką lekarzy. Jeśli nie puszczą mnie niedługo, równie dobrze będę mógł zaliczyć tutaj następny obowiązkowy kurs.

– Właściwie miałem nadzieję, sir, że trafimy na ten sam statek. Barin rzucił mu szybkie spojrzenie.

– Liczysz na to, że już wiesz o mnie wszystko, co najgorsze?

– Coś w tym rodzaju, sir. – Głos Meharry'ego był spokojny, ale w jego zielonych oczach błyskały wesołe ogniki. – Siostra zawsze mi powtarzała, że jeśli trafię na Serrano, którego będę mógł znieść, powinienem się go trzymać.

– Aha – rzekł Barin, dziwnie zadowolony. – No to jaki rodzaj statku miałaś na myśli?

Wdali się w dyskusję na temat zalet różnych rodzajów okrętów, którą przerwało przybycie transportu.

* * *

Lot do laboratorium badawczego uzbrojenia był, pomimo bezchmurnego dnia, tak nieprzyjemny, że Barin żałował, iż zjadł śniadanie. Nie było tutaj żadnych wież ani murów, tylko niskie budynki na niewielkich wzniesieniach. Barin zauważył, że wszystkie szyby były wybite, ale tylko niektóre z nich zaklejono folią i taśmą. Widać też było czarne ślady po płomieniach i inne zniszczenia, jednak to miejsce nie było tak przygnębiające jak więzienna wyspa. Nie miał nic przeciwko spędzeniu tu kilku kolejnych dni.

– Kto to? – zapytał. Korpulentny mężczyzna w śmiesznej kurtce i bezkształtnym kapeluszu, którego zauważył już w czasie lotu z kontynentu, krążył wokół miejsca, gdzie spłonął samolot.

– To profesor. – Meharry uśmiechnął się. – Był wtedy, gdy wyciągali mnie z wody. Myślę, że jest szalony, tak jak wszyscy geniusze. – Jest geniuszem?

– Wszyscy tak uważają.

– Cóż, broda się zgadza.

– To z jego powodu przyleciała tutaj chorąży Pardalt – wyjaśnił Meharry. – Kiedy przybyliśmy tu, aby powstrzymać buntowników przed przejściem laboratorium, była jego ochroniarzem. Słyszałem, że znów ją o to poprosił.

– A nie chciała przylecieć, kiedy ja prosiłem – zauważył Barin.

* * *

Następnego ranka Barin przyszedł do mesy, w której wybite szyby zastąpiono folią, i rozejrzał się. Przy jednym stole siedzieli sami cywile i energicznie rozmawiali, przy drugim mężczyzna w żółtej kurtce – ciekawe, czy kiedykolwiek ją zdejmuje? – nachylał się w stronę chorążego Pardalt.

Barinowi nie podobało się spojrzenie, jakim profesor obrzucał Margiu. Wydawała się, że ona nie ma nic przeciwko temu, ale... była młoda, niedoświadczona. Geniusze prawdopodobnie sądzą, że mogą robić to, na co tylko mają ochotę, tylko dlatego, że są genialni.

Podszedł i usiadł obok Margiu.

– Dzień dobry, chorąży.

– Dzień dobry, sir.

– Młody Serrano niczym wilk atakuje owczarnię... a przynajmniej młodą owieczkę – odezwał się profesor.

– Przepraszam? – Barin podejrzewał, że to jakiś cytat, ale nie rozpoznał źródła.

– Oznacza to tylko, że pan, podobnie jak ja, postanowił usiąść obok najpiękniejszej z obecnych tu istot.

– Wcale nie dlatego...

– Sza, chłopcze, nigdy nie mów czegoś takiego damie. Niezależnie od prawdziwych motywów – na przykład usiadł pan tutaj dlatego, że jest tu jedyna solniczka w okolicy – galanteria wymaga, by jej powiedzieć, że to z powodu jej urody.

– Profesorze... – Margiu była zakłopotana, a Barin uważał to za normalną reakcję. W końcu profesor jest tylko wygadany pochlebca, tak starym, że mógłby być jej ojcem. Albo dziadkiem.

– Moja droga, tu nie chodzi o ciebie. Porucznik Serrano uważa, że stanowią zagrożenie dla twojego serca i bezpieczeństwa... – Profesor spojrzał na niego; przenikliwe, bystre spojrzenie jego szarych oczu przypominało Barinowi babkę. Potem profesor spuścił wzroki zaczął grzebać w swoim talerzu.

– Ja... pomyślałem, że chorąży Pardalt może nie mieć nic przeciwko nieco... młodszemu towarzystwu.

– Mogłaby, gdyby był pan kawalerem – odpowiedział profesor. – Jednak krążą plotki, że jest pan żonaty. Co więcej, z Esmay Suizą. Czyżby to była nieprawda?

Barin uznał, że to był cios poniżej pasa, i zareagował z typową dla Serrano wyniosłością

– Tak, jestem żonaty, ale moje zainteresowanie chorążym Pardalt nie jest niewłaściwe... – W oczach profesora pojawił się złośliwy błysk, zdradzający, że mężczyzna świetnie się bawi. – Jako najstarszy stopniem oficer...

– On mi nie przeszkadza, poruczniku – odezwała się cicho Margiu. – Jest trochę... szalony... ale nieszkodliwy.

Profesor uniósł dramatycznie brwi.

– Nieszkodliwy! I pomyśleć, że całe życie poświęciłem słodkim pięknościom... a teraz nazwano mnie nieszkodliwym!

Gniew Barina nieoczekiwanie wyparował. Uśmiechnął się szeroko.

– Nie wygląda pan na nieszkodliwego.

– Dzięki chociaż za drobne łaski. A ty, młoda damo, nie rujnij mojej reputacji. Koledzy będą się ze mnie naśmiewać aż do śmierci, jeśli pomyślą, że utraciłem swój wdzięk. – Znów spojrzał na Barina. – Właściwie oddał mi pan przysługę. Uznają pańskie zaniepokojenie za dowód mojej sprawności, a nie starzenia się. Teraz zwinę się stąd, jakby mi pan pogroził, i możecie we dwójkę cieszyć się śniadaniem.

Po odejściu profesora Margiu zaczęła z apetytem jeść.

– Przepraszam, że się wtrąciłem – powiedział w końcu Barin.

– Nie... To tylko... On czasami jest zabawny. Na swój sposób przypomina mi rodzinny dom.

– Xavier?

– Tak. To świat rolniczy, ale mamy tam uniwersytet. Moi rodzice są farmerami, ale nie są głupi... – Powiedziała to tak, jakby spodziewała się zaprzeczenia, ale ponieważ Barin się nie odezwał, mówiła dalej. – Przed... przed atakiem Benignity mieliśmy dom z dużym gankiem i co tydzień rodzice zapraszali do nas różnych ludzi. My, dzieci, bawiliśmy się, a dorośli siedzieli i rozmawiali.

– Tęskni pani za domem?

– O tak. Odbudowaliśmy go, ale teraz jest mniejszy. Z czasem się rozbuduje. Tata mówi, że nie potrafi żyć bez ganku, na którym mógłby siedzieć i przyglądać się niebu nad polami. W każdym razie profesor jest znacznie mądrzejszy i bardziej wykształcony, ale niektóre jego teksty przypominają mi dom. – W jej głosie brzmiała tęsknota.

– Brakuje go pani?

– Xaviera? Czasami. Ale lubię też Flotę. Sir, jeśli można... Czy zechciałby pan kiedyś przedstawić mnie porucznik Suizie? Chciałabym osobiście jej podziękować.

– Oczywiście – odpowiedział automatycznie Barin. Nie czuł się na siłach wyjaśniać, że Esmay nie jest już we Flocie. Zastanawiał się, czy już do końca życia wszyscy będą traktowali go jak dodatek do Esmay Suizy, tak jak rodzina mówiła o inżynierze ciotki per Petris Heris.

* * *

Komputer poinformował go, że czekają na niego wiadomości. Barin westchnął. Rodzice co tydzień przysyłali mu życzenia powrotu do zdrowia, a on wcale nie na to czekał. Ale teraz wreszcie miał przed sobą wiadomość od Esmay Suizy–Serrano.

Wstrzymał oddech. Wróciła. To wszystko było pomyłką, to nie wina jego babki. Nie jest już Oblubienicą Ziemi. Ma własny okręt. Kocha go. Ma nadzieję, że czuje się lepiej, i wysyła mu kostkę.

Odwrócił wzroki stłumił mruganiem łzy. Wszystko z nią dobrze. Nie jest martwa, ranna ani zagubiona. Nie wróciła na Altiplano. Powinien był wiedzieć, że sobie poradzi. Esmay zawsze sobie radzi. Dla niej wszystko dobrze się kończy.

A tymczasem on... Mocno potrząsnął głową. Ona go kocha, on ją kocha. Cieszy się, że wróciła. Oczywiście, że się cieszy. Cieszy się, że dostała okręt. Zasłużyła na niego. Odruchowo zaczął liczyć, kiedy on może mieć nadzieję na własny statek, ale szybko odgonił tę myśl. To nie ma znaczenia, prawda?

Spojrzał na swoje odbicie w lustrze i skrzywił się. Wszystkie blizny już zniknęły, ale wciąż wyglądał mizernie i sprawiał wrażenie sporo starszego.

Dorósł.

Doprawdy? Czy ten niepokój i niezadowolenie to dowód dorastania?

Uchylił się od odpowiedzi na to pytanie i postanowił, zgodnie z zaleceniem lekarzy, przemaszerować przynajmniej pięć kilometrów wokół placu treningowego i głównych budynków... i pójść do Q–town. Kiedy dotarł do osiedla, nogi mocno go już bolały, dlatego ucieszył się, że może zatrzymać się i odpocząć. Równie dobrze może zjeść tutaj kolację. Znał reputację każdego baru i restauracji, więc szerokim łukiem ominął Diamond Sims, gdzie z pewnością skomentowano by jego

ostatnie doświadczenia, i wszedł do Mamy Zee, gdzie w niewielkiej zatłoczonej sali można było dostać doskonałe jedzenie.

Właśnie skończył jeść sałatkę i czekał na główne danie, gdy otworzyły się drzwi i do środka wpadł podmuch zimnego powietrza. Podniósł wzroki napotkał wnikliwe spojrzenie profesora.

– Porucznik Serrano... Cóż za miła niespodzianka. Mogę się przysiąc?

Barin był w takim nastroju, że wolałby siedzieć w samotności, ale profesor był starszym, szanowanym człowiekiem.

– Oczywiście – odpowiedział.

– Chciałbym pana przeprosić – rzekł profesor, siadając. – Nie powinienem był tak pana potraktować. To moje wrodzone szelmstwo.

– Nic nie szkodzi – odpowiedział Barin. – To nie ma znaczenia.

– Oczywiście, że ma – zaprotestował profesor. – Pan próbował tylko chronić jednego ze swoich ludzi... choć niebezpieczeństwo było wymaginowane.

– Podać panu coś? – Do stołu podeszła kelnerka, starsza kobieta z siwymi włosami, i położyła przed profesorem menu.

Mężczyzna szybko zamówił, a kiedy kelnerka odeszła, pochylił się w stronę Barina. – Coś pana martwi, młodzieńcze. Czyżby zakochał się pan w Margiu, zamiast w swojej wspaniałej Esmay Suizie?

– Nie, to nie to. – Barin zaczął się bawić widelcem. – Esmay wróciła. Dostała teraz własny statek. I powinna.

– Hmm – Profesor zajął się serwetką; złożył ją w idealny trójkąt, a następnie położył ją na kolanach.

– Pan jest żonaty, profesorze, prawda?

– Tak. – Twarz profesora złagodniała. – Kata. To cudowna kobieta. Powiem ci, młody Serrano, że one z wiekiem robią się coraz lepsze. Łagodniej sze. Słodsze. Kiedy była młoda, przypominała zieloną brzoskwinię, ale teraz... – Cmoknął, a Barin uznał to za lekko niesmaczne. Esmay w niczym nie przypomina brzoskwini. A jednak... może jest to jedyny żonaty mężczyzna, z którym może porozmawiać.

– Mieliśmy dla siebie tylko kilka dni – powiedział. – I nawet nie wiem, gdzie teraz jest.

– Przepraszam, ale pogubiłem się. – Profesor oparł się o ścianę. – Czemu nie zacznie pan od początku?

Barin zaczął więc od kłopotów, w jakie wpadła Esmay na skutek kłótni z Brun Meager, a skończył na spotkaniu rodzinnymi pospiesznym cichym ślubie.

– Po prostu uciekliście do urzędu? Jakie to... urocze.

– Nie mogliśmy już tego znieść – wyjaśnił Barin. – Ten bunt, moja rodzina i to wszystko... Chcieliśmy mieć coś, co by nas wiązało... A potem udało nam się na styk dotrzeć na pokład okrętu. Kapitan trochę nas zrugał, ale nie za mocno. To były naprawdę cudowne dni.

– Podejrzewam, że ma pan raczej na myśli noc, chyba że byliście na trzeciej wachcie – poprawił go z przekąsem profesor.

– Cóż... Właściwie też. Pracowaliśmy razem, a potem...

– Przekonaliście się, że możecie funkcjonować, przesypiając tylko połowę czasu

przeznaczonego na sen. Tak, młodość jest pod tym względem cudowna. A co się potem stało?

– Esmay dostała nowe rozkazy. Miała wysiąść i przenieść się w Sektorze Pięć na inny okręt, a potem polecieć na miejsce ostatecznego przydziału. A kiedy przy najbliższej okazji zajrzałem do bazy danych Floty, już jej tam nie było. Została zwolniona i nie miałem pojęcia, co się z nią dzieje. – Barin zagryzł wargę, przypominając sobie targające nim wtedy uczucia. Czy ona przeżywała to samo?

– Myślał pan, że wróciła na Altiplano?

– Nie wiedziałem. Byłem na okręcie wojennym, krążowniku, i nie miałem nawet szans rozpocząć poszukiwań. Wciąż myślałem... martwiłem się... a potem znaleźliśmy się w ogniu walki i...

– Słyszałem – przerwał mu profesor. Znowu pojawiła się kelnerka z porcją świeżego, ciepłego chleba i miseczką masła. Profesor oderwał kawałek i zaczął jeść. Z ustami pełnymi chleba powiedział:

– Słyszałem, że byli zdecydowani uratować panu życie, bo pan ocalił statek.

– Ja niczego nie zrobiłem, po prostu stałem bez ruchu.

– Cóż, czasem stanie bez ruchu jest właśnie tym, co trzeba zrobić. Ale odchodzi pan od tematu, młodzieńcze. Proszę przejść do rzeczy.

– Ona jest starsza i ma już własny okręt, a ja zawsze będę z tyłu. Profesor złożył dłonie na stole i rzekł:

– To nie wyścig.

– Sir?

– Małżeństwo to nie wyścig. Tu nie ma żadnego „z tyłu” ani „z przodu”. Nie współzawodniczycie ze sobą, jesteście partnerami. – Przechylił głowę. – Kocha pan tę kobietę?

– Esmay? Oczywiście.

– Nie „oczywiście”. Pytam, czy naprawdę ją pan kocha, ciałem, sercem i duszą?

– Tak, kocham ją.

– Ale w tej chwili pan jej zazdrości, prawda? To ona jest sławna, to ona jest dwukrotną bohaterką i kapitanem doskonałego statku. Nie chce pan być jeszcze jednym klejnotem w jej naszyjniku, dodatkiem w postaci męża.

Barin poczuł, że się czerwieni.

– Właściwie to nie jest zazdrość.

– Ależ tak, jest. Barinie, rozmawiam z tobą tak, jakbyś był moim synem czy wnukiem. To dla mnie oczywiste, że jesteś świetnym młodym oficerem, prawdziwym Serrano, i że całe twoje życie stanowi Flota. Tutaj jesteś księciem. Odziedzyczyłeś nazwisko i wszystko, co się z nim wiąże. To dobrze, ale twoja żona jest nie tylko z Floty. Jest Oblubienicą Ziemi – albo nią była – i ma więzi sięgające daleko poza Flotę.

– Wiem o tym.

– Tak, wiesz, ale emocjonalnie... jeszcze nie zacząłeś się z tym oswajać. Założę się, że kiedy pierwszy raz ją spotkałeś, uznałeś, że to ty robisz jej przysługę.

Barin znowu poczuł rumieniec na twarzy.

– Podziwiałem ją – powiedział trochę zbyt stanowczo.

– Tak, ale przypuszczam, że wiedziałeś więcej niż ona o Flocie i chwalenie się tą wiedzą

sprawiało ci przyjemność.

– Chyba tak – przyznał niechętnie i sięgnął po chleb. – Pytała mnie o różne rzeczy...

– A ty uprzejmie ją instruowałeś. I nie ma w tym niczego złego. Ale powiedz mi, co ty wiesz o Altiplano.

– No... niewiele. – Barin uświadomił sobie, że do tej pory nawet nie pomyślał o tym, aby dowiedzieć się czegoś o rodzinnej planecie Esmay.

– Powiedz mi, co się dzieje z tymi kobietami, które reporterzy nazwali pańskimi żonami z Nowego Teksasu? Co Esmay o nich myśli?

– Och, one... nie stwarzają już problemów. – Nie myślał o nich od miesiący, odkąd przestali zatrzymywać jego żołd na utrzymanie tych kobiet. Brwi profesora powędrowały w górę, więc dodał: – Jakaś znaj oma Brun Meager znalazła im dom na którejś z planet kolonizacyjnych.

– Ktoś, gdzieś... Nie czujesz żadnej odpowiedzialności za kobiety, które opuściły swój rodzinny świat, ponieważ ci zaufały?

Zabrzmiało to tak, jakby był nieodpowiedzialnym, samolubnym draniem.

– Rzeczywiście o nich nie myślałem, przynajmniej odkąd odleciały. Wydawały się zadowolone.

– Hmm Co z Floty, to z głowy? Czy dla ciebie liczą się wyłącznie standardy Floty? Przypuszczam, że to dlatego tak się martwisz, iż jesteś młodszy od Esmay.

– Nie myślałem o tym w ten sposób – przyznał Barin, ale poczuł ulgę, gdy pojawiła się kelnerka z jedzeniem. Zajął się posiłkiem i miał nadzieję, że profesor zapomni o ich rozmowie, ale ten w połowie steku wrócił do tematu.

– Jeśli martwisz się jej stopniem, Barinie, możesz sprawić sobie mnóstwo przykrości... i jej też. Nie możesz rosnąć przez przycinanie jej skrzydeł. To właśnie mam na myśli, mówiąc, że potrzebujesz szerszej perspektywy. Jeśli patrzysz na wszystko przez wąski pryzmat Floty, daty przyznania stopni i całą tę resztę, możesz tylko żałować, że się później urodziłeś. Ale jeśli zrozumiesz, że oboje możecie się rozwijać w różnych kierunkach... jakie to będzie miało znaczenie? Kogo za dwadzieścia lat będzie obchodziło, czy dostałeś stopień rok czy dwa po niej, albo kto ma jakie insygnia?

– Ale my właśnie – rzekł i umilkł.

Profesor wbił kolejny gwóźdź do jego trumny.

– Stopień nie ma znaczenia. Wiek nie ma znaczenia. Nieważne, czy jesteś młody czy stary, wysoki czy niski, liczy się tylko działanie, honorowe lub nie.

– Znów pan cytuje.

– Winny, wysoki sędzie – powiedział z uśmiechem profesor. – Ochrona antycznej kultury to część mojej pracy. Barinie, w mojej dziedzinie są tuziny – a nawet setki – systemów rankingu. Stopnie akademickie, rodowody intelektualne, u kogo się studiowało, publikacje... Każda organizacja we wszechświecie ma jakiś porządek i zawsze znajdują się ludzie, którzy czują się niedowartościowani, ponieważ ktoś ma wyższą rangę.

– Uważa pan współzawodnictwo za coś złego?

– Oczywiście, że nie! Zapytaj moich kolegów. Powiedzą ci, że idę po trupach, gdy chodzi o moją karierę. Ale to nie jest całe moje życie... i twój zawód żołnierza nie powinien wypełniać całego twojego życia. Człowiek, który jest tylko naukowcem, tylko żołnierzem czy wyłącznie drwalem, nie jest w pełni człowiekiem. Powiem ci, kim moim zdaniem jest mężczyzna. To nie jest nieopierzony

dwunóg czy ktoś, kto przypadkiem ma ludzkie DNA i chromosom Y. Mężczyzna to osoba, która nauczyła się, uczy się lub jest gotowa się uczyć poznawać samego siebie. Która potrafi zrozumieć prawdę o sobie i żyć dalej, która urnie we właściwy sposób wpływać na świat.

– Prawda nie zawsze jest łatwa – wymamrotał Barin w stronę ziemniaków.

– Prawda nigdy nie jest łatwa. A prawda o sobie jest najtrudniejsza. Mężczyźni mają kochać, chronić tych, których kochają, i kroczyć przez życie z honorem. Tak samo jak kobiety – Kata walnęłaby mnie którymś ze swoich narzędzi rzeźbiarskich, gdyby sądziła, że tego nie wiem – ale w tej chwili, ponieważ obaj jesteśmy mężczyznami, rozmawiamy o mężczyznach.

– A jeśli... popełni się błąd? – zapytał Barin.

– Trzeba go naprawić najlepiej, jak się urnie – odpowiedział profesor. – Trzeba przyznać się do błędu, naprawić go i spróbować jeszcze raz. Ja niewątpliwie popełniałem błędy. Wielokrotnie. Ale właśnie tak się uczymy.

– Ale cenę za tę naukę mogą zapłacić inni.

– Tak, to prawda. I to okropny ciężar, który trzeba potem dźwigać przez resztę życia. Zdarzyło ci się to, prawda? – Profesor nie czekał na odpowiedź – Barin zdążył już zauważyć, że rzadko to robi – tylko mówił dalej. – Twoja Esmay też to przeżyła albo niedługo przeżyje. Jeśli tobie się to zdarzyło, to zrozumiesz ją, a ona zrozumie ciebie w te noce, gdy będziesz się budził o trzeciej nad ranem, widząc, jak to wszystko dzieje się jeszcze raz. – W głosie profesora pojawiła się twarda nuta, świadcząca, że on też zna takie przeżycia.

– Pan także, sir?

– Oczywiście. Przemądrzały młody naukowiec też może popełniać śmiertelne pomyłki, Barin. Wydaje się nam, że wszystko wiemy, i zapominamy, że między teorią a praktyką... rzeczy ulegają zmianom. – Profesor potrząsnął głową i zajął się jedzeniem. Barin nie wiedział, czy powinien pytać o szczegóły, czy po prostu czekać, więc w końcu zdecydował się na dokończenie posiłku.

Gdy czekali na deser, profesor znów zaczął mówić.

– Jesteśmy z Katą małżeństwem od dwudziestu dwóch lat i zapewniam cię, że zdarzały się nam burzliwe okresy. Naukowcy zajmujący się bronią nie są powszechnie uznawani, nawet w swoim środowisku, a przynajmniej nie od początku. Zanim skończyłem pierwszy staż doktorancki, ona już była znaną rzeźbiarką. Chodziła na pokazy do różnych galerii, a ja wyobrażałem sobie, jak ci wszyscy bogacze przymilają się do niej. Ona kocha pokazy i wernisaże. Wracała cała przejęta i szczęśliwa, a ja witałem ją z goryczą w ustach i stertą wyników przeprowadzonych testów czy czymś równie przyziemnym.

– I co pan zrobił? – spytał zafascynowany Barin.

– Przez jakiś czas za dużo piłem. Potem próbowałem nią rządzić, co zawsze jest złe, ale szczególnie w przypadku osoby twórczej, ponieważ wtedy może stracić swój dar, przynajmniej na jakiś czas. Kata próbowała zachowywać się jak dobra żona, aż kiedyś przyszedł do nas właściciel galerii i przez dwie godziny wydzierał się na mnie, jakim to ja jestem patriarchalnym mastodontem, który nie zasługuje na taką żonę i którego miejsce jest w muzeum z dzidą w tyłku.

– No i co?

– Zademonstrowałem mu, jaki jestem prymitywny, co później kosztowało mnie odszkodowanie, ale na dłuższą metę skutki były pozytywne. Przemyślałem to i wstąpiłem wraz z przyjacielem Barrym do Towarzystwa Zachowania Antycznych Sztuk. Spotkałem tam mnóstwo fascynujących ludzi, dowiedziałem się wielu ciekawych rzeczy o historycznym uzbrojeniu, co wyszło na dobre mojej

karierze, choć nie mogę powiedzieć czemu, i moja frustracja wypaliła się. Zostałem nawet Rycerzem–Komandorem Białej Brygady, co znaczy, że ludzie nie próbowali rozwalić mi czaszki w turniejach. Miało to cudowny wpływ na moje ego.

– I wciąż jest pan żonaty – zauważył Barin.

– Co ważniejsze, wciąż chcę być żonaty. Tak, gapię się na dziewczyny, zwłaszcza na te nieśmiałe, które tego potrzebują, a Kata wciąż mruczy i pręży się, gdy jakiś stary, bogaty pierdziel mówi jej, że jest utalentowana... ale liczy się tylko to, że jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi i partnerami. I właśnie tak powinno to wyglądać.

– To brzmi... dobrze.

– Jest lepiej niż dobrze. Ale do tego trzeba charakteru, poświęcenia i czasu. Trzeba sobie znaleźć partnera, który jest szczery... ponieważ kłamstwo, nawet wobec samego siebie, wszystko zabija. Musi być odważny, ponieważ, bądźmy szczerzy, życie jest okrutne. Musi być serdeczny i nie może być pazerny. A potem trzeba poświęcić się temu... we dwójkę. Jeśli znajdziesz osobę z charakterem i będziesz się jej trzymał, będziesz miał jak w niebie.

– Esmay ma charakter...

– I prawdopodobnie właśnie to, poza hormonami, przyciągnęło cię do niej. Ponadto wiesz, że nie brak jej odwagi.

– Tak... ale nie jestem pewien, czy ja do niej pasuję.

– A więc znów powróciliśmy do problemu porównywania. To nie jest wyścig ani zawody. Wszystko, czego trzeba, to być szczerym, dzielnym i wiernym... a właśnie tak cię wychowano, jeśli mogę to oceniać. Jeśli to za wiele, zawsze możesz zmienić zdanie i uznać, że małżeństwo było błędem. Możesz odejść. Możesz też odejść od tych kobiet z Nowego Teksasu i nigdy więcej o nich nie pomyśleć. Ale jeśli porzucisz sprawy, za które powinieneś być odpowiedzialny, nie będziesz już mężczyzną, ale pasożytem. Przyznaję, że to może być pociągające.

– Nie chcę jej porzucać. Ale nie wiem, jak być kimś, kogo ona potrzebuje.

– Już nim jesteś. Spróbuję ci to wyjaśnić. Porównujesz się z Esmay i swoimi krewnymi Serrano, ale nie musisz być nikim innym, Barinie. Musisz być sobą, ponieważ to wystarczy. Jesteś sprytny, dzielny i dobry.

– Jest pan taki pewny.

– Nie jestem już małym kaczątkiem i poznałem wielu wojskowych. Widziałem, jak Meharry kręci się przy tobie. To nie jest głupiec i nie byłby lojalny wobec głupca, tchórza czy krętacza. – Barin poczuł na sobie przenikliwy wzrok profesora. – O człowieku świadczą owoce jego życia, a w przypadku oficera – sposób, w jaki zachowują się jego podwładni. To ty kształtujesz ich przywiązanie i morale. Jeśli twoi ludzie są coraz lepsi, jesteś dobrym dowódcą, a jeśli są coraz gorsi...

Spójrz na siebie. Kiedy wyłowiliśmy Meharry'ego, był wrakiem człowieka. Nie wiem, co go tak mocno zraniło, ale wiem, co go pobudziło do życia. Ty.

– Och. – Barin przetrwał jego słowa, jedząc deser. – A więc... jeśli mam nie konkurować z Esmay, musimy jakoś rozwijać się razem?

– Właśnie. – Profesor rozpromienił się. – Będzie ci łatwiej, jeśli poszerzysz krąg swoich znajomych. Pomoże ci to w karierze, a jako mężowi swojej żony... we właściwym traktowaniu różnych ludzi. Ilu masz cywilnych przyjaciół?

– Cywilnych przyjaciół?

– Tak. Wiesz, nie wszyscy cywile są durniami. Im więcej o nich wiesz, tym szerszą masz perspektywę. Im wyżej zajdziesz, tym więcej będziesz miał do czynienia z ludźmi na płaszczyźnie politycznej, a nie tylko wojskowej.

– Nigdy o tym nie myślałem. – Zawsze wyobrażał sobie cywilów jako mniej lub bardziej potulne owieczki, które potrzebują pasterzy. Ze zdumieniem uświadomił sobie, że nie zna nikogo, że jego jedyne kontakty z cywilami ograniczały się do tych przerażonych i wyobcowanych kobiet z Nowego Teksasu. Potrzebowały jego pomocy, wsparcia, wskazówek... a on właśnie tego od nich oczekiwał.

– Armia zawsze opiera się na cywilnej populacji – powiedział profesor. – Ktoś hoduje żywność, którą jesz, ktoś robi tkaniny na twoje ubrania, buduje okręty, wytwarza broń... nie licząc handlu, rozrywki i sztuki. Zaczynaj tworzyć swoją własną sieć we wszystkich tych dziedzinach życia.

– Przypuszczam, że mogę skorzystać z pana wiedzy w zakresie nauki – stwierdził Barin.

– Rzeczywiście, mógłbyś.

– Ale... – Barin kreślił widelczykiem linie na stole. – Wciąż nie wiem, czy chcę wrócić w kosmos.

– Wcale mnie to nie dziwi po takim wybuchu. I wcale nie musisz. Pamiętaj, to nie jest wyścig ani zawody. Możesz być szanowanym, przyzwoitym człowiekiem i dobrym mężem dla Esmay, nawet jeśli nigdy więcej nie postawisz nogi na statku.

– Hmm... – To było coś zupełnie nowego i trudnego. Ale co dziwne, samo myślenie o tym sprawiało, że czuł się spokojniej. Czy naprawdę chce przez resztę życia pozostać na planecie? Raczej nie. Nie ma powodu się bać, a wiele przemawia za tym, by wrócić na okręt.

– Osobiście sądzę, że wrócisz tam i któregoś dnia będziesz dowodził krążownikiem. Ale to, co ja myślę, nie ma znaczenia. To twoje życie.

– To prawda. – Barin nagle zobaczył przed sobą falującą niczym odbicia światła na wodzie wizję – mógłby być kimś, kogo sam będzie szanował, kimś, kogo szanowałyby Esmay.

– Na twoim miejscu sprawdziłbym, co się dzieje z tymi kobietami – powiedział profesor, odsuwając krzesło od stołu. – Lepiej się wtedy poczujesz.

Barin kiwnął głową, ale myślami był już przy Esmay. Teraz czuł radość, jaką musiała odczuwać. Ma statek, własny statek. Musi być wspaniały.

Oboje muszą być wspaniali.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Castle Rock

Brun studiowała z pomocą Kevila i Stepana strukturę Wielkiej Rady, Fotel za Fotelem. Nie była zaskoczona, że Stepan dysponuje kartoteką każdego, kto był dostatecznie dorosły, by móc zajmować Fotel, podobną do jej dossier. Teraz zaczęła postrzegać Radę jako olbrzymie, przerośnięte drzewo skomplikowanych powiązań. Na końcach gałęzi były poszczególne osoby, niektóre niczym lśniące świeże liście, inne poznaczone plamami czy na wpół zjedzone przez robactwo... Niektóre zielone, inne żółknące czy nawet brązowe, tuż przed upadkiem na ziemię. Za nimi kryły się historie – ich własne, rodziców, dziadków i pradziadków, ciotek, wujów i kuzynów. Wciąż nie mogła wyjść z podziwu, że jest tak wiele nie wyjaśnionych tajemnic czemu ten wuj odmawia siedzenia przy jednym stole z tamtą ciotką albo czemu pomniejsza rodzina nagle siedemdziesiąt lat temu zaczęła odgrywać ważną rolę w klanie Consellinów.

– Popelniliśmy wiele błędów – przyznał Stepan – ale jesteśmy klanem, a nie grupą mitycznych świętych. Wszyscy, poszczególne osoby i rodziny, jesteśmy niespokojni o nasze pozycje, i zawsze tak było. – Pchnął w jej stronę kolejną kostkę. – Pamiętaj, żeby tej nie pominąć. To nasza analiza klanu Consellinów.

Jej zawartość zafascynowała ją. Brun nie miała w ogóle pojęcia, że Hobart Conselline miał starszego brata, który był narkomanem niezdolnym do podejmowania samodzielnych decyzji, i Hobart był jego pełnomocnikiem. Nie wiedziała o preferencjach seksualnych Oskara Morreline'a, i zaczęła się zastanawiać, czy to miało jakiś związek z zachowaniem Ottali w szkole.

Było tego zdecydowanie zbyt wiele, by w pełni przyswoić zaledwie w kilka dni. Ale kiedy Stepan zaczął z nią rozmawiać o strategii, okazało się, że zapamiętała więcej niż jej się wydawało.

– Udostępnię ci moją analizę przez komputer, ale z konieczności będzie krótka. Jednak przede wszystkim musisz się opierać na własnym osądzie. Tam, gdzie sprawa dotyczyć będzie młodszych członków klanu, możesz ich rozumieć lepiej niż ja.

– Oczywiście.

– Jak myślisz, będzie ci potrzebny Kevil Mahoney? Choć sam nie zasiada w Radzie, niewątpliwie ma bogate doświadczenie. Może sama jego obecność będzie coś znaczyła.

Kevil był jej łącznikiem z wygodną przeszłością, a teraz mógłby jej pomóc wejść w nieznaną przyszłość.

– Czy mógłby siedzieć z tobą? Nie byłoby to zbyt podejrzane?

– Nie, ale sama rozumiesz, że ograniczyłoby to wasze możliwości komunikowania się.

– Tak, ale ja nie potrzebuję jego pomocy w każdym szczególe, chciałabym móc skorzystać z jego rad w sprawach dotyczących prawa i porządku.

– To bardzo rozsądne. Oczywiście mogę go zaprosić jako mojego gościa. Ale w ten sposób będziesz sama. Nie pojawią się tam ani twój brat, ani siostra, prawda?

– Nie, ale może będzie kuzyn.

– Tak, syn Harlisa. Zamierzam podjąć kroki, by pozbawić go Fotela, ponieważ jego ojciec jest uciekinierem, który sprzymierzył się z buntownikami

Dziewczyna potrząsnęła głową.

– Nie, Stepanie, nie chcę sprawiać wrażenia słabej i mściwej osoby. Niech przyjdzie na posiedzenie. Ma prawo głosować, a my nie mamy dowodów na jego udział w działaniach ojca, prawda?

– Nie, ale... czytałaś jego dossier, Brun. Tak samo jak ojciec jest skłonny do wybuchów i wiemy, że wiele razy pełnił funkcję łącznika między ojcem i Hobartem Consellinem.

– Mimo wszystko wolałabym raczej, żeby siedział tam i próbował zabić mnie wzrokiem, niż żeby knuł z powodu niesprawiedliwego potraktowania go przez rodzinę

Stepan pomyślał przez chwilę.

– Hmm Nie powinienem pytać o twoje zdanie, a potem je ignorować. Wiem, że możesz się lepiej orientować w niektórych sprawach – przyznał. – Wybrałem cię z powodu twoich zdolności, więc powinienem umożliwić ci ich zademonstrowanie. No dobrze, wycofam swoją propozycję, ale bądź ostrożna, uważam, że jest niebezpieczny.

Brun chciała powiedzieć, że nie boi się Kella, ale uświadomiła sobie, że to głupie. W obecnych okolicznościach powinna przynajmniej o nim pamiętać.

– Nie sądzę, żeby dopuścił się przemocy w sali Rady – powiedziała zamiast tego.

– Prawdopodobnie nie, ale wolałabym nie ryzykować. – Stepan napił się ze szklaneczki. – Słyszałaś coś o Serialis?

– Z takiej odległości nic nie mogę zrobić, a muszę być tutaj. Mam nadzieję... mam nadzieję, że tam nie polecieci, a jeśli jednak tak, to że nikogo nie skrzywdzą. Wiem, że to naiwne, ale... powiedziałam ludziom, żeby uciekli i nie martwili się o posiadłość. Może jeśli buntownicy nie będą mieli czasu tam się rozgościć, zniszczenia będą minimalne.

– Wiem, że kochasz to miejsce. Dla was, dzieci, to był raj.

– Było tam pięknie – powiedziała Brun i natychmiast skarciła siebie za użycie czasu przeszłego. – Jest pięknie – poprawiła się. – Ale to zbyt wiele dla jednej osoby czy rodziny.

Widząc zaskoczenie na jego twarzy, mówiła dalej.

– Ser, przyjrzyj się obecnej sytuacji. Nasi ludzie, ci, którzy oczekiwali od nas obrony i opieki, są w niebezpieczeństwie... a my nic nie możemy zrobić. Nic nie pomogą nasze pieniądze ani wpływy polityczne. Czy powinniśmy posiadać coś, czego nie potrafimy obronić? Nie wydaje mi się.

– A komu byś je oddała? Czy może chciałabyś je sprzedać? – Tym, którzy tam żyją, którzy muszą przeżyć mimo naszej porażki.

– To z pewnością jakieś wyjście. Ale nie wiemy nawet, czy Serialis zostanie zaatakowane. Jeśli buntownicy faktycznie tam polecieci, kiedy mogliby dotrzeć na miejsce?

– Nie jestem pewna. Flota może wiedzieć. Zależy to między innymi od tego, gdzie przesiedli się na okręt buntowników. Przypuszczam, że doleczą za pięć do dziesięciu dni naszego czasu.

– Hmm I Flota nic nie mogła zrobić.

– Nie powiedziałabym, że nic, ale w aktualnym kryzysie nie mogą sobie pozwolić na trzymanie w układzie Serialis żadnych znaczących sił. Są przejęci faktem, że buntownicy mogą zaatakować planety o większej populacji czy ważniejsze węzły handlowe – nawet tutaj, na Castle Rock – albo przeskoczyć granicę do Benignity czy Krwawej Hordy.

– Ale przypomniawszy im, mam nadzieję, że Serialis jest tylko o jeden skok od terytorium Krwawej Hordy?

– Sami o tym wiedzieli. Myślę, że pilnują punktu skokowego. – Pewnie ma to sens. – Stepan

westchnął. – Nie latałem tam tak często, jakbym chciał, ale to piękne miejsce i twoja matka uczyniła je jeszcze piękniejszym. A skoro o niej mowa, czy wiesz, dokąd poleciała razem z lady Cecelią?

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała Brun. – Zanim się dowiedziałam, już ich nie było, a później nic o nich nie słyszałam.

– Brun, moja droga...A czy brałaś pod uwagę możliwość, że Miranda i Cecelia mogły stać się ofiarami buntu?

– Oczywiście, ale myślenie o tym w niczym mi nie pomoże.

– Może nie, ale być może warto przygotować się na złą wiadomość. – Stepan wpatrywał się w nią uważnie.

– Coś słyszałeś? – Brun poczuła, jak kurczy się jej serce.

– Nie, właściwie nic, ale wiem, że coś mocno poruszyło naszą obronę. Nie wiem, czy nie chodzi po prostu o jakąś bitwę kosmiczną. Przepraszam, że mówię takie okropne rzeczy... ale to może dotyczyć także twojej matki. Consellinowie naciskają Flotę, żeby zaczęła jej szukać. Dlatego pomyślałem, że lepiej cię przygotuję.

– Dziękuję. – Myślała, że jest gotowa, ale gdy tylko naprawdę o tym pomyślała, poczuła się jak z drewna. Jej matka nie żyje? Lady Cecelia? Poczuła się tak, jakby przygniótł ją potężny ciężar.

– To może nie mieć żadnego związku z twoją matką – zauważył Stepan.

– Zapewne niedługo się dowiemy. Dziękuję za ostrzeżenie. – Jeśli usłyszysz złą nowinę i będzie ona dla ciebie zbyt trudna, natychmiast daj mi znać. Możemy na tym spotkaniu Rady zrobić jeszcze coś innego...

– Nie, wyjaśniłeś mi już wszystkie problemy i wiem, dlaczego moja przemowa jest tak bardzo ważna. Zrobię to.

* * *

Kiedy wieczorem przed sesją Wielkiej Rady dotarła do niej wiadomość od admirała Savanche'a, okazało się, że pomimo ostrzeżenia Stepana nie była do końca przygotowana na złe wieści. Aż do czasu śmierci ojca nie była z matką zbyt blisko; zawsze przeszkadzało jej chłodne zachowanie matki. A teraz... było już za późno. Matka zginęła... Nie potrafiła się skupić na poprawkach w swoim przemówieniu.

Głęboko odetchnęła, zawiązując na szyi apaszkę. Nie może teraz płakać. Nie może mieć czerwonych oczu i rozmazanego makijażu. Zaczęła głęboko, powoli oddychać, przyglądając się swojemu odbiciu w lustrze. Widoczne ślady niepokoju znikwały, aż wreszcie patrzyła na nią osoba opanowana prawie tak samo, jak jej matka.

Ciekawe, czy tak właśnie robiła Miranda? Czy ukrywała swoje emocje za spokojem? Prawdopodobnie tak. Ona też będzie musiała zachować spokój na spotkaniu Rady. Przez chwilę pozwoliła, aby jej umysł opanowały obrazy ojca, matki i Sirialis, ale mimo to twarz w lustrze nie zmieniła się.

* * *

Przez potężną salę z wysokim sklepieniem przemykali niczym mrówki ludzie skupieni na własnych sprawach, troskach i ambicjach; większość z nich nawet nie zerknęła na wymalowane wokół krawędzi kopuły gwiazdy czy motta poszczególnych Rodzin. Brun, która przyszła wcześniej, miała sporo czasu, aby się rozejrzeć i powtórzyć wszystkie najważniejsze tezy swojego wystąpienia. Jak jej słowa przyjmą ludzie, którzy są tak bogaci, że nawet nie mają pojęcia, ile posiadają... planet,

ludzi, rzeczy? Czy wzruszą ramionami i powiedzą, że to, co się stało dziesięć czy dwadzieścia lat świetlnych stąd, nie ma żadnego związku z nimi?

Consellinowie, pozbawieni Hobarta, byli równie zagubieni, jak Barracloughowie po śmierci Bunny'ego. Hobart, wspinając się po szczeblach władzy, systematycznie niszczył po drodze uzdolnionych polityków Consellinów. Czy jego śmierć ich skonsoliduje i będą twardo bronić interesów Consellinów, czy też otworzy ich, uwrażliwi na interesy Familii jako całości?

Przyglądała się schodzącemu po schodach kuzynowi Kellowi. Stał przez chwilę niezdecydowany przy stole Rodziny, więc łaskawie kiwnęła głową w stronę jego Fotela.

– Nie wiem, gdzie jest mój ojciec – powiedział – więc mnie nie pytaj.

– Ja wiem – odpowiedziała Brun.

Wyraz jego twarzy zmienił się.

– Gdzie? Kazałaś go wrzucić do więzienia?

– Wynajął buntowników, żeby zabrali go na Sirialis.

– Co?! Kłamiesz!

– Nie – odparła Brun, zdumiona własnym spokojem. Wyglądała jak Miranda, a sądząc po spojrzeniu Kella, on też tak ją odbierał. – Nie kłamię, właśnie to zrobił. To było naprawdę głupie. Zepsuliśmy nasz wizerunek...

– Co?

– W oczach innych klanów – wyjaśniła Brun. – Thornbuckle z Barracloughów, robiący interesy z buntownikami. Kiepska sprawa. – W takim razie czemu wuj Stepan pozwolił mi zająć mój Fotel?

– Nie chciał, ale nalegałam. Nie chcę z tobą walczyć. To nie czas na rodzinne spory.

– Jesteś... jakaś inna – powiedział Kell.

– Tak. Uwwięzienie, urodzenie dzieci i śmierć obojga rodziców zmieniają człowieka. Mówią, że niebezpieczeństwo potrafi cudownie pomóc w skupieniu uwagi.

– Tata nigdy nie miał szansy, prawda?

– Nie, na pewno nie na dłuższą metę – przyznała Brun. – Czemu pytasz?

– Zawsze mówił, że twój tata jest miękki... i że zdobył uznanie tylko dzięki swoim gładkim manierom i kontaktom. – Zawahał się, po czym zaczął dalej mówić. – Powiedział po twoim porwaniu, że osoba tak głupia, by dać się porwać, zasługuje na swój los.

– W takim razie mam nadzieję, że nie będzie miał pretensji, gdy nie będziemy ratować go z rąk buntowników – stwierdziła rzeczowo Brun. Kuzyn wbił w nią zdumione spojrzenie. – Kell, twój ojciec wynajął najbardziej niebezpiecznych ludzi w kosmosie... i odleciał z nimi. Myślisz, że uszanują jego szlachetne urodzenie i będą wypełniać jego rozkazy, jeśli im się nie spodobają?

– Ale... on jest bogaty.

– Dzięki bogactwu można kupić rzeczy, Kell. Rzeczy. Ludzka lojalność ma wyższą cenę, której twój ojciec nigdy nie nauczył się płacić. Wybrał ludzi, którzy nie szanują bogactwa. Oni go tylko chcą, a to zupełnie co innego. Oni szanują siłę, odwagę i spryt. Wezmą jego bogactwo i – jeśli będzie miał szczęście – szybko go zabiją.

Kell zbladł.

– Mówisz poważnie? Naprawdę myślisz...

– Widziałam kartotekę człowieka, którego wynajął, i części jego załogi.

– Nie możesz czegoś zrobić?

– Na przykład? Błagać Flotę, żeby za nim poleciała? Wysłuchaj mojej mowy, Kell, a zrozumiesz, czemu nie mogę.

Kell rozejrzył się wokół.

– Czy pozostali przyjdą? Buttons? Dot?

– Nie, zgłosili pełnomocników.

Wielka sala wypełniona była w niecałych dwóch trzecich. Wielu uprawnionych nie było w stanie przyjechać na tę sesję i zgłosiło u przedstawicieli Rodzin pełnomocnictwa. Stepan, siedzący dwa rzędy wyżej po lewej, uśmiechnął się i skinął głową, gdy spojrzała w jego stronę. Odpowiedziała mu tym samym. Siedzący obok niego Viktor udawał gniew. Po prawej zobaczyła między innymi Carruthersami ojca Ronniego i jego samego, znacznie starszego niż kiedy go ostatnio widziała. Wcisnęła klawisz komunikatora i wywołała go. Rozejrzył się.

– Ronnie, myślałam, że utknąłeś na kolonii.

– To prawda, ale musiałem przylecieć na tę sesję. Czy moja ciotka powiedziała ci o problemach z kolonialną administracją?

– Trochę. Cieszę się, że tu dotarłeś. – Mężczyzna wstał z miejsca i podszedł, by usiąść obok niej.

– Słuchaj, Brun, nawet nie wiedzieliśmy o twoim porwaniu, usłyszeliśmy dopiero po twoim powrocie. Raffa przesyła ci pozdrowienia. . Jest zastępcą gubernatora, więc musiała zostać. Docierają do mnie plotki, że przewodzisz buntowi Aegistów. Czy to prawda?

– Niezupełnie – odpowiedziała. – Wyjaśnię ci to między sesjami, dobrze? Słyszałeś, co zrobił Stepan?

– Nie, jeszcze nie. – Ronnie obrzucił Kella podejrzliwym spojrzeniem. – Powiesz mi później?

– Jasne. Lunch?

– Będę jadł z Georgem i Veronicą. Mogłabyś do nas dołączyć.

– Spróbuję.

Weszli ministrowie i zajęli swoje miejsca za stołem ministerialnym. Brun wiedziała, że po zamordowaniu Hobarta i wybuchu buntu wyznaczony przez niego minister obrony zrezygnował na rzecz Iriona Solinariego, który wrócił do stolicy. Minister kolonizacji, wyznaczony przez Conselline 'a, wyglądał na zmartwionego i co chwila zerkał w stronę stołu Carruthersów.

Nagle w jej uszach rozległ się cichy głos Stepana.

– Brun, dzisiaj jest tu wielu młodych ludzi. Pamiętaj, by wspomnieć o ważnych dla nich sprawach.

– Właśnie rozmawiałam z Ronniem Carruthersem – powiedziała. – Jest tu osobiście.

– Doskonale. Nalegałem na jego ojca, by poprosił go o przybycie na zebranie Rady jeszcze przed śmiercią Hobarta.

A więc dlatego Ronniemu udało się tu dotrzeć.

Tymczasowy Mówca, Jon–Iene Persall, zastukał ceremonialnym młotkiem tak lekko, jakby się bał, że odpadnie mu od tego głowa. Przez kilka tygodni sprawowania władzy nie nabrał pewności siebie.

– Przedłożono Radzie kilka kwestii – powiedział. – Wniosek o potępienie wdowy po lordzie

Thornbuckle'u w związku ze śmiercią ministra spraw zagranicznych, Pedara Orregiemosa. Wniosek o wyznaczenie nadzwyczajnego śledczego, mającego zająć się zbadaniem związków między śmiercią Pedara Orregiemosa i zamordowaniem Hobarta Conselline'a. Wniosek o wyznaczenie nadzwyczajnego śledczego, który miałby się zająć zbadaniem powodów buntu w Zawodowej Służbie Kosmicznej. Wniosek o wyznaczenie nadzwyczajnego śledczego do zbadania związków Benignity Współczującej Dłoni z klanem Barracloughów. Wniosek o wsparcie lojalnie działającej Zawodowej Służby Kosmicznej... – Kontynuował odczytywanie listy, w większości składającej się z wniosków o rozpoczęcie śledztwa, potępienie lub poparcie kogoś.

Brun zgłosiła chęć zabrania głosu w sprawie kilku punktów listy. Odnośnie do pierwszego punktu jako pierwszy zabrał głos przedstawiciel Consellinów, jeden z bratanków Hobarta. Brun zauważyła, że ma ponad trzydzieści lat i nie jest odmłodzony. Monotonnie odczytał przygotowany tekst, od czasu do czasu zerkając nerwowo na słuchaczy.

– To oczywiste, że Pedar Orregiemos został zabity przez Mirandę Thornbuckle w ramach szerszego spisku, mającego na celu zniszczenie klanu Consellinów. To tylko wymysł, że zginął w wypadku szermierczym, i gdyby zbrodnia nie została popełniona w prywatnej posiadłości daleko poza zasięgiem niezawisłego prawa, morderczyni już dawno zostałyby osądzone. Co więcej, przyznała się do winy, uciekając, co wskazuje, że nawet poddana jej milicja Sirialis nie była usatysfakcjonowana jej wyjaśnieniami. – Kontynuował jadowite ataki przez kilka minut, sugerując, że Barracloughowie spiskowali, by zamordować Hobarta i Pedara, podejmowali inne próby zabójstwa oraz przewodzili spiskowi Aegistów.

Kiedy wreszcie skończył, Brun wstała i odczekała, aż umilkną szepty. Wiedziała, że rzuci teraz bombę, i chciała, by nic nie straciła ze swojej mocy uderzeniowej. Kiedy poczuła pełne napięcia oczekiwanie, przemówiła.

– Zdaję sobie sprawę, że Cerion Conselline chciałby wierzyć, iż wszystkie te tragiczne wydarzenia są naszą winą. Byłoby wygodnie, gdyby Thornbuckle'owie byli jak kolce, gdyż można byłoby pozbyć się kłopotu przez wrzucenie nas do ognia. – Jej słowa spowodowały chichot wśród neutralnych członków Rady. – Ale tak proste rozwiązania nigdy się nie sprawdzały w całej historii ludzkości. Nie jestem tu jednak po to, by rozważać historię ludzkości i psychologię. – Znowu rozległy się śmiechy. Tym razem przemówiła, zanim ucichły. – Nie zamierzam też bronić swojej matki. Na to jest już za późno. – Rozległy się szepty. – Moja matka zginęła.

– Kłamiesz! – wrzasnął Oskar Morrelline. – Ona tylko uciekła.

– Wraz z Cecelią de Marktos podróżowały do Republiki Guerni. Same, na jachcie lady Cecelii, *Pounce*. Zostały schwytane przez buntowników z krążownika *Bonar Tighe*, kiedy ich jacht nieoczekiwanie wypadł z lotu nadświetlnego. – Teraz skupiła na sobie uwagę wszystkich i zapadła pełna napięcia cisza. – Obie zostały umieszczone w areszcie wraz ze złapanymi przez buntowników lojalistami. Wiedząc, że i tak skazani są na śmierć, podjęli próbę ucieczki. Moja matka znalazła się w grupie, która dotarła do urządzeń komunikacyjnych i wysłała Flocie wiadomość o lokalizacji okrętu. Lady Cecelia pomagała grupie mającej za zadanie maksymalne uszkodzenie statku.

– Myślisz, iż uwierzemy, że dwie stare baby mogły uszkodzić okręt wojenny? – wrzasnął Oskar. Pearsall zastukał młotkiem, a Oskar rzucił mu wściekłe spojrzenie i opadł na fotel, dramatycznie składając ręce.

– Uwięzieni lojaliści dysponują wiedzą na ten temat – wyjaśniła Brun. – To moja matka i lady Cecelia umożliwiły im ucieczkę. Ponieważ były cywilami i bogatymi damami, strażnicy nie byli dostatecznie ostrożni. Udało im się pokonać ich i otworzyć cele.

– Skąd to wszystko wiesz? – krzyknął ktoś z Consellinów.

– Zostałam poinformowana przez Głównodowodzącego, admirała Savanche'a, który zezwolił mi na przekazanie tego zgromadzeniu. Zawodowa Służba Kosmiczna poinformuje o tym dzisiaj media. Grupa bojowa lojalistów znalazła okręt wroga i go zniszczyła. Choć lady Cecelii i części uwięzionych udało się uciec promem szturmowym, moja matka zginęła, pomagając innym wydostać się ze statku. Ściągnęła na siebie ogień buntowników, by inni mogli uciec. – Brun odetchnęła głęboko. – Flota – powiedziała – uważają za bohaterkę. Nie proszę was, żebyście się z tym zgodzili... ale jeśli upieracie się, by uznać ją za morderczynię, pomyślcie, że spłaciła swój dług, oddając życie za innych.

– Czy wszystkie okręty buntowników zniszczono? – zapytał młody człowiek z wyższych rzędów. Brun musiała spojrzeć na listę, by dowiedzieć się, że to Kimberly–Dwight.

– Nie – odpowiedziała. – Ale *Bonar Tighe* uważany jest za okręt flagowy buntowników.

– Jak go uszkodzili? – zapytał ktoś inny.

– Nie znam wszystkich szczegółów, jednak admirał Savanche powiedział, że był to jeden z najbardziej wyszukanych planów, o jakich słyszał.

– Który dowódca go zniszczył? – zapytał jeszcze ktoś.

– Myślę, że to wszystko znajdzie się w dzisiejszym raporcie – stwierdziła Brun. – Jak zapewne państwo się domyślają, interesowałam się głównie losem mojej matki. Nie chcę być cikliwą, ale jeszcze nie upłynął nawet rok od śmierci mojego ojca. – Tym razem oprócz zaciekawionych szmerów słyszała też wyrazy sympatii. – Chciałabym sprzeciwić się wnioskowi o wszczęcie śledztwa w sprawie mojej matki, skoro zginęła jak bohaterka.

Cerion Conselline nachylił się w stronę starszych klanu, a potem zwrócił się do Mówcy.

– Wycofuję swój wniosek – oświadczył – biorąc pod uwagę stratę sery Meager–Thornbuckle. Ale później zgłoszę kolejny wniosek o wszczęcie śledztwa, ponieważ nie wszystkie osoby podejrzewane o znowę zginęły. Wciąż pozostaje kwestia spisku Aegistów. – Jego groźba wywołała gdzieś wybuch śmiechu.

– Wciąż uważam – odezwał się Oskar Morreline – że zabiłaś moją córkę, umieszczając szpiegów w naszej fabryce.

– Przypominam o porządku obrad – powiedziała Brun. Oskar popatrzył gniewnie, ale zamilkł.

– Pierwszy wniosek został wycofany przez składającego go – odezwał się Mówca. – Przejdźmy do drugiego punktu. W tej sprawie głos zabierze minister obrony.

Irion Solinari, przysadzisty, życzliwy i energiczny, teraz wyglądał ponuro, siedząc z zagryzioną dolną wargą.

– Panie i panowie, niestety to, co muszę powiedzieć na temat możliwych przyczyn wybuchu buntu, zabrmi jak teoria spiskowa, i z tego powodu możecie mieć ochotę ją odrzucić. Modlę się, by do tego nie doszło. – Zapadła cisza. Napił się wody i zaczął opowiadać o historii odmłodeń w Zawodowej Służbie Kosmicznej.

– Nie mieliśmy żadnych problemów z pierwszymi odmłodzeniami starszych oficerów flagowych. Później zaproponowaliśmy odmłodzenie pozostałym oficerom w stopniach admirałskich, aż uznaliśmy, że mamy dość danych świadczących o tym, że proces jest bezpieczny i skuteczny. Wtedy zaczęliśmy też odmłodzić starszych podoficerów, personel o największej wartości bojowej. Aż kilka lat temu zauważyliśmy u coraz większej liczby starszych podoficerów problemy

neurologiczne i psychiczne. W miarę jak ich liczba rosła, a już zwłaszcza po odkryciu, że niektóre partie komercyjnych środków do odmładzania były wadliwe, zaczęliśmy szukać przyczyn nieudanych odmłodeń. Od szesnastu lat większość zakupionych przez Flotę środków do odmładzania pochodzi z jednego źródła...

– To kłamstwo! – wyrwało się Oskarowi.

– Niestety, to prawda – powiedział Solinari. – Może to był spisek Benignity, mający na celu wyeliminowanie wszystkich doświadczonych podoficerów i unieszkodliwienie Floty bez oddania choćby jednego wystrzału. Nie mamy jednak pewności, czy nie był to wynik decyzji jakiegoś pozbawionego wyobraźni urzędnika, który pragnął zredukować koszty procesu odmładzania. Flota wprowadziła program badania wszystkich odmłodzonych oficerów, a ser Thornbuckle zatwierdził go, gdyż w pełni rozumiał, jak niebezpieczne mogą być skutki utraty jednej czwartej personelu Floty – na dodatek jej najbardziej doświadczonej części – na skutek problemów medycznych.

– Czy młodszy personel nie ma równie wysokich kwalifikacji? – zapytał jakiś młodszy głos gdzieś zza pleców Brun.

– Tak, są wysoko kwalifikowani, ale w czasie wojny nic nie zastąpi doświadczenia bojowego. Jednym z powodów, dla których zdecydowaliśmy się wprowadzić na szeroką skalę program odmładzania starszych podoficerów, był fakt względnego spokoju. Tu i tam było kilka konfliktów, ale większość młodszej personelu nigdy nie widziała na oczy walki.

– Słyszałem, że jednym z powodów wybuchu buntu był brak możliwości awansowania młodych ludzi – rzucił ktoś.

– Zaraz do tego dojdę – odpowiedział Solinari. – Ludzie we Flocie są tacy sami, jak gdzie indziej – stwierdził. – Niektórzy młodszy oficerowie i podoficerowie uważają, że odmłodzenia zamroziły proces promocji i uniemożliwiają im normalną karierę, co jest do pewnego stopnia prawdą. Żadna skuteczna armia nie może składać się wyłącznie z admirałów i starszych bosmanów. Tak więc odmładzanie na szczytach oznacza mniej promocji i dłuższy czas terminowania na dole drabiny. Jeśli przyjrzeć się strukturze armii przez ostatnie sto pięćdziesiąt lat, widać, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat liczba promocji znacząco spadła. Aby to zrekompensować, ser Thornbuckle zaproponował wprowadzenie do wysokości żołdu wskaźnika długowieczności, ale Rada nigdy nie chciała wydawać pieniędzy na armię.

– Zawsze za tym głosowałem! – krzyknął ktoś.

– Tylko wtedy, kiedy chodziło o statki – skomentował ktoś inny. – Słyszałem, co mówiłeś o pensjach żołnierzy, Jas.

– W każdym razie – kontynuował Solinari – bez wątpienia powstała spora frakcja młodszej personelu odczuwającego frustrację. Jednocześnie kiedy zaczęły się rozprzestrzeniać wiadomości o wadliwości odmłodeń podoficerów, powstała panika wśród osób, które przeszły proces. Kiedy Hobart Conselline doprowadził do przerwania badań i wycofał fundusze na leczenie, podsycało to obawy, że Flota celowo zastosowała wadliwe leki, by ponownie otworzyć młodym drogę do kariery.

– Jakie jest wyjście z sytuacji? – zapytał ktoś.

– Natychmiastowe odmłodzenie z użyciem dobrych środków – wyjaśnił Solinari. – Jeśli przeprowadzi się je dostatecznie wcześnie, nie dochodzi do pojawienia się groźnych symptomów. Aby zapewnić dobre leki, zaczęliśmy je sprowadzać z innego źródła.

– To były rzekomo wadliwe leki – odezwał się Oskar, ale tym razem rozbawił większość zebranych. Wszyscy wiedzieli o problemach na Patchcock, przynajmniej tych ostatnich, a sądy pełne

były pozwów poszkodowanych osób.

– Istnieje także inna przyczyna niepokojów – powiedział Solinari. – Każda organizacja wojskowa przyciąga ludzi, którzy nadużywają władzy, jak na przykład admirał Lepescu. Kiedy ujawniono, że używał więźniów w charakterze zwierzyny łownej, uświadomiliśmy sobie, że miał we Flocie swoich uczniów i naśladowców. Wyeliminowaliśmy wszystkich tych, których udało nam się zidentyfikować, ale nie mogliśmy potępić wszystkich, którzy mieli z nim jakikolwiek kontakt.

– Czemu wcześniej nie odkryliście jego działań? – zapytał ser Carruthers.

– Chciałbym powiedzieć, że ponieważ był ostrożny, ale prawdopodobnie również dlatego, że jego przełożeni wykazali się bez troską, dostrzegając jedynie skuteczność jego działań, a nie przyglądając się uważnie metodom. Wiem, że w całej historii tego rodzaju ludzie byli przez wojsko hołubieni i promowani na wysokie stanowiska. W każdym razie sądzimy, że bunt rozpoczął się wśród osób sfrustrowanych brakiem możliwości awansu i zatroskanych o nadużycia w procesie odmładzania, a także wśród członków tajnego bractwa stworzonego przez Lepescu. Po uratowaniu lojalistów z *Bonar Tighe* mamy dowody, że jego kapitan, Solomon Drizh, był protegowanym Lepescu.

Te słowa wywołały wśród słuchaczy falę poruszenia i podnieconych rozmów. Solinari odczekał, aż sala się uspokoi.

– Z pewnością musimy uważnie się temu przyjrzeć, ale w tej chwili Flota potrzebuje waszego wsparcia w stłumieniu buntu. Oznacza to nie tylko pieniądze. Wiemy, że buntownicy kontaktowali się z niektórymi z was, oferując ochronę lub grożąc wam. Wiemy, że mogą próbować wykorzystywać wasze prywatne planety do ukrycia się i uzupełnienia zapasów. Wielka Rada powinna poprzeć lojalistów we Flocie, zapewnić, że nie będziemy zawierać żadnych odrębnych umów...

– Cóż, jeśli nie potraficie nas obronić, musimy szukać pomocy tam, gdzie się da – powiedział ktoś z górnego rzędu.

– Zdrajca! – krzyknął młody Barraclough; Brun zauważyła, że Viktor nachylił się ku niemu z gniewną miną.

– To tylko pretekst, by dostać więcej pieniędzy – powiedział Oskar Morrelline. – Wszystko to jest całkowicie zmyślane.

W jednej chwili sala pogrążyła się w kompletnym chaosie. Ludzie zaczęli wstawać, wrzeszczeć na siebie i potrząsać pięściami. Mówcy wyraźnie zabrakło charyzmy, by przywrócić spokój, więc w końcu zaprzestał prób. Wyczuwając, że wrzaski mogą się przerodzić w rękoczyn, Brun ruszyła po schodach w dół.

Zauważyła, że ludzie uspokajali się, gdy mijala ich stoły. Kilku wymówiło nawet jej imię. Zignorowała ich, idąc tak, jak by szła Miranda, spokojna i opanowana. Wiedziała, że tylko w ten sposób może przykuć ich uwagę.

Pearsall z pobladłą twarzą załamywał dłonie. Brun uśmiechnęła się do niego i wyciągnęła rękę.

– Mogę spróbować, ser Pearsall?

– To... to beznadziejne – powiedział. – Musiałaby pani wezwać ochronę i opróżnić salę.

– Być może, ale warto spróbować, prawda? Nie musieliśmy opróżniać sali już od ponad dziewięćdziesięciu lat.

Mówca podał jej młotek i ustąpił miejsca. Brun włączyła mikrofon i rozejrzała się wokół. Większość kłócących się zerknęła w jej stronę, by zobaczyć, co się dzieje, ale nie poświęcali jej zbyt

wiele uwagi. Sięgnęła do schowka pod blatem, gdzie – jak powiedział jej Kevil – na wypadek problemów z zasilaniem przechowywano megafon. Wyciągnęła go.

– Skończcie z tymi bzdurami! – Ryk megafonu na chwilę wszystkich uciszył. – Mamy do omówienia poważne sprawy, i mam na myśli rozmowy, a nie wrzeszczenie na siebie nawzajem.

– Kto ci pozwolił... – zaczął Oskar Morrelline.

– Niech pan siada, ser Morrelline, i siedzi cicho. Jeśli chce pan zabrać głos, proszę wcisnąć klawisz.

– Ty... – Piorunował ją wzrokiem, jakby chciał na nią skoczyć i powalić na ziemię, ale siedzący po obu stronach ludzie przytrzymali go na miejscu, szepcząc mu coś gorączkowo.

– Dziękuję – powiedziała Brun. – Odłożyła megafon i ustawiła mikrofon Mówcy na średnią moc głosu. – Widzę, że zgłoszono wiele próśb o zabranie głosu. Proszę poczekać na swoją kolej i ograniczyć wypowiedzi do faktów i krótkiego poparcia lub zanegowania wniosków. – Zaczęła wywoływać mówców w kolejności podanej przez komputer.

Pierwsi zabierający głos, którzy wcisnęli klawisze jeszcze przed wybuchem kłótni, mieli teraz kłopoty z przypomnieniem sobie, co chcieli powiedzieć. Brun czekała, nie poganiając ich. Zanim dziesiąty skończył mówić, pozostali już się uspokoili, niczym grupa podnieconych koni, które poczuły doświadczoną dłoń jeźdźca. Brun bardzo uważała, żeby nie zdradzić uśmiechem, że odczuwa triumf. Nawet Consellinowie porzucili sarkazm i zaczęli wypowiadać się na temat. Wystarczająco często widziała, jak jej ojciec robił to, co nazywał nauczaniem dobrego wychowania aż do znudzenia.

Wtrąciła się dopiero wtedy, kiedy znów rozgorzała dyskusja nad Aegistami i Odmłodzeńcami.

– To ważny temat. Musimy dojść do porozumienia, jak ukonstytuować nowy rząd. W tej chwili, w obecnej sytuacji, musimy mieć politykę, której rząd będzie mógł się trzymać. Wewnątrz naszych granic poruszają się w nie kontrolowany sposób uzbrojone okręty, które mogą zająć jakąś planetę, przejąc którąś z kolonii. Niektórzy koloniści nie dysponują nawet dostępem do komunikacji pozaukładowej. Wiecie, że coraz więcej waszych dzieci odlatuje na kolonie. Chcecie, by stały się niewolnikami?

– Nie... – rozległy się pomruki.

– Większość z nas, jeśli nie jest wyłącznym właścicielem, to przynajmniej ma udziały w konsorcjach handlowych przewożących nasze dobra. W jaki sposób piractwo może wpłynąć na nasze dochody?

Zapadła cisza.

– Musimy zabezpieczyć nasze granice i uwolnić się od zagrożenia, jakie niosą zbuntowane okręty. Nie chcemy, żeby przeszły na stronę Benignity czy Krwawej Hordy.

– Nikt by tam nie poleciał...

– Nie? A czemu? Jeśli, jak mówi minister Solinari, wyznają kult siły i uważają zabijanie za najwyższy cel człowieka, to czy nie jest to bliskie wierzeniom Krwawej Hordy? Mogę bez trudu wyobrazić sobie statki buntowników uciekające na ich terytorium... a potem buntowników uczących ich, jak używać tych zaawansowanych technologicznie statków.

– Czyli... co twoim zdaniem powinniśmy zrobić? – zapytał ojciec Ronniego.

– Przede wszystkim musimy wesprzeć Flotę, jak mówił minister Solinari, w stłumieniu buntu i zabezpieczeniu granic. Kiedy to zrobimy – co nie powinno długo potrwać – będziemy musieli zająć się innymi sprawami. Musimy zapewnić naszych sąsiadów, że nie chcemy przejąć ich terytoriów.

Musimy stworzyć szanse rozwoju dla większej liczby młodych obywateli, blokowanych dotąd przez starszych, którzy wielokrotnie się odmładzali, i dla ludzi spoza Wielkich Rodzin, którzy nie mieli do tej pory żadnego wpływu na podejmowanie decyzji.

– Co?! Wpuściłabyś obcych do Wielkiej Rady?

– Nie obcych, lecz ludzi, którzy od pokoleń uczestniczą w życiu naszego kraju... ale zawsze byli ignorowani. Jednak to temat na późniejsze dyskusje. W tej chwili wzywam do głosowania nad prośbą ministra Solinariego o odroczenie wszystkich śledztw i wsparcie Zawodowej Służby Kosmicznej.

– Nie możesz tego zrobić.

– Właśnie to zrobiłam – Brun uśmiechnęła się do Ceriona Conselline'a. – Ser Conselline, wszyscy wiemy, że w Radzie zapanował chaos i wdaliśmy się w bezsensowne kłótnie. Trzeba było przywrócić porządek, i ja to zrobiłam. Tym samym automatycznie przejęłam władzę i teraz mogę decydować o podejmowanych tematach. W tej chwili wzywam do głosowania. Później może mnie pan krytykować, ale na razie albo będzie pan głosował, albo się pan wstrzyma.

Brun stała, nieruchoma i milcząca, i czekała, a tymczasem do komputera zaczęły napływać głosy. Wiele „nie” Consellinów, kilka „tak” mniejszych domów, potem cała grupa „tak” Barracloughów, i wreszcie grupka „nie” kilku pomniejszych rodzin spośród Consellinów. Wszystko wisiało jeszcze na włosku, gdy nagle zauważyła poruszenie wśród młodszych Consellinów i głosy zaczęły się zmieniać. Podniosła dłoń. Wszyscy usiedli i patrzyli.

– Przepraszam – powiedziała z oczami utkwionymi w ekran. – Zauważyłam zmianę głosów... To legalne, ale chcę być pewna, że te osoby zmieniają głosy dobrowolnie, a nie pod wpływem jakichkolwiek nacisków.

– Zmieniają je na twoją korzyść – zauważył Oskar.

– Nie w tym rzecz. Nie jestem tu po to, by wygrać, lecz aby dopilnować, żeby wszyscy mogli głosować zgodnie z własnymi przekonaniem. Czy mogę poprosić o potwierdzenie?

Jeden z młodszych Consellinów wstał i skłonił się Brun.

– Zmieniam swój głos, ponieważ uważam, że nadszedł już czas na kogoś młodsze u władzy.

Potem wstało dwóch innych.

– Uważamy tak samo jak Jamar. – Brun kiwnęła głową i czekała, aż wszyscy pozostali się wypowiedzą. Cerion i Oskar zbledli, ale nic nie powiedzieli.

Kiedy podliczono wszystkie głosy, okazało się, że Flota dostała poparcie ponad dwóch trzecich głosujących. Teraz Brun zwróciła się do Solinariego.

– Ser ministrze, ufam, że przekażesz Flocie wyrazy naszego pełnego poparcia.

– Tak, sera. – Nie uśmiechnął się, ale jego oczy promieniały.

* * *

W ciągu następnych dni i tygodni Brun starała się przekonać zasiadających w Wielkiej Radzie Familii do rozszerzenia praw wyborczych i lepszego zorganizowania społeczeństwa, które w niedalekiej przyszłości będzie się składało niemal wyłącznie z nieśmiertelnych osób. Pomógł jej w tym sukces Floty w walce z buntownikami. W miarę jak nadchodziły wieści o zniszczeniu kolejnych okrętów buntowników, rósł jej prestiż. Kiedy Flota doniosła o losie Harlisa Thornbuckle'a, inne rodziny natychmiast zrezygnowały z chęci nawiązania niezależnych kontaktów z buntownikami, i to również zwiększyło jej wpływy w Radzie.

Młodzi ludzie, którzy jeszcze nie poddali się odmłodzeniu, jasno rozumieli problemy związane z

tym procesem, choć niezbyt chętnie patrzyli na dopuszczenie do władzy ludzi spoza Rodzin.

– Oni również się odmładzają – powtarzała im Brun. – Będą żyli równie długo, jak wasi rodzice i dziadowie... i będą chcieli mieć władzę. Nie możemy wepchnąć tygrysa odmłodeń z powrotem do klatki. Wydostał się na wolność i tak już zostanie. Musimy stworzyć system, w którym będą mogli żyć zarówno Odmłodeńcy, jak i osoby przeciwstawiające się przedłużaniu życia. A w tej chwili, jeśli będziecie ze mną współpracować, możemy mieć na to wpływ. Wciąż jeszcze więcej jest ludzi nie odmłodzonych niż tych, którzy przedłużyli swoje życie.

Młodzi Consellinowie, pragnący zarobić na odmładzaniu, gotowi byli do rozważań nad zorganizowaniem społeczeństwa nieśmiertelnych. Niektóre grupy religijne całkowicie odrzucały odmładzanie; Brun wysłuchiwała ich obiekcji i przekazywała je frakcji popierającej ten proces.

– To musi być społeczeństwo dla wszystkich – wciąż na nowo powtarzała.

Rozmawiała też z Odmłodeńcami, którzy podkreślali, że wielokrotne odmładzanie dało im, oprócz przywilejów, szczególne umiejętności.

– Możecie patrzeć bardzo daleko w przyszłość – mówiła. – Możecie wykorzystać ten czas i aktywnie uczestniczyć w życiu, a nie tylko gromadzić zasoby. – Po kilku takich spotkaniach zaczęła się nawet zastanawiać, czy oni wszyscy nie korzystali z wadliwych leków, ponieważ zdawali się nie pojmować potrzeby zmian. Lubili życie, jakie wiedli, i nie potrafili uwierzyć, że ktoś może ich zmusić do zmian.

– Uwierzcie mi – mówiła Brun. – Kiedy jest zbyt wielu przeciwników, nie ma znaczenia, jakie macie talenty i umiejętności. Nauczyłam się tego w Naszym Teksasie.

Wielu z nich przekonało się o tym dopiero po pierwszym głosowaniu „młodych”. Czekwały ją jeszcze miesiące ciężkiej pracy, ale Brun była pewna, że jeśli Flota da im czas, w końcu będą z nią współpracować.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

OSK *Vigilance*

Komodor kontradmirał Arash Livadhi skrzywił się na widok swojej twarzy w lustrze. Wyglądał dobrze: wysoka, szczupła sylwetka, wąska twarz, rude włosy, tylko lekko posiwiałe na skroniach. Dekady pracy w Zawodowej Służbie Kosmicznej, doświadczeń bojowych, odznaczeń... Świetny, prawy oficer.

Ale głupiec. Dureń. Gwałtownie potrząsnął głową i znowu spojrzał na swoje odbicie w lustrze. Czas skończyć z rozterkami, przestać wykrzywiać się do lustra i wreszcie coś zrobić.

Ale stracić to wszystko... Te lata przyjaźni, zaufania... To będzie bolało.

Właściwie wszystko już przepadło, zanim zdążył to zauważyć. Przepadło w chwili, gdy poszedł do Julesa ze swoimi problemami z Lepescu, a on poprosił go o przysługę.

Przez chwilę rozważał – co zdarzało mu się już wcześniej – pomysł ucieczki, ale w czasie wojny było to zupełnie niemożliwe. Komodor kontradmirał Livadhi, powszechnie znany i o charakterystycznym wyglądzie, nie mógł wykupić sobie miejsca na liniowcu pasażerskim tak, by nikt tego nie zauważył. Musiał poprowadzić konwój, wiedząc, że psy łowcze zdążające po jego śladach zbliżają się.

Przez wszystkie te lata zachował kody kontaktowe, choć nigdy z nich nie korzystał. Ale teraz pamięć podsuwała mu je równie wyraźnie, jak wtedy, gdy po raz pierwszy je zobaczył. Może w głębi serca faktycznie był tym, kim Jules uczynił go w oczach prawa.

A może będzie miał trochę szczęścia i na stacji nie będzie nikogo, kto mógłby odpowiedzieć na jego kod. Wtedy będzie musiał postąpić honorowo i zachować się jak zwierzyzna, która nie słyszy psów do chwili, gdy jest już za późno. Będzie musiał znieść hańbę zdrady ideałów, którym poświęcił całe swoje życie, z powodu młodzieńczego błędu.

Wywołał bazę danych stacji, szukając numeru, którego miał nadzieję nie znaleźć.

Jednak był. Jego właścicielem był nie wyróżniający się niczym biznesmen, którego każdy mógł odwiedzić: Prezenty i Kwiaty. Zadzwoił i wypowiedział słowa, które pozornie nic nie znaczyły.

Potem musiał poczekać na odpowiedź; z każdą mijającą godziną miał coraz bardziej napięte nerwy.

* * *

– Myślałem, że zemdleje – powiedział Oblo, podając kubek do ponownego napełnienia. – Zrobiła się biała jak papier.

– Oblo, ty durniu – powiedziała Meharry. – Może nic wcześniej nie słyszała.

– Nie pomyślałem o tym. Skąd mogłem wiedzieć? – Choć raz jego ton urażonej niewinności brzmiał szczerze.

– Masz mózg – odpowiedziała ostro Meharry. – Szkoda, że nie miałam czasu z nią porozmawiać.

– O czym?

– O Copper Mountain. Zastanawiałam się, czy nie słyszała więcej niż ja. Szkoda, że nie mogę się tam przenieść. Mój brat...

– Twojemu bratu nic nie jest, Methlin. Sama to słyszałaś. – Dzień dobry, Oblo, Methlin –

przywitał ich wchodzący Petris. – Coś nowego o twoim bracie?

– Nic – odpowiedział Oblo. – Methlin ma ochotę polecieć tam i bawić się w starszą siostrę.

– Przeniesienie? Wątpię, żeby ci teraz na to pozwolili.

– Wiem. – Methlin wgrzyła się w bułkę, jakby to był kark wroga. – Właściwie już nawet spytałam, ale powiedzieli „nie”.

– Nie jesteś jedyna – rzekł Petris. – Słyszałem od urzędnika admirał – Serrano oczywiście – że komodor Livadhi zapytał, czy załoga Heris nie chciałaby się przenieść, skoro jest tak blisko. – Pociągnął łyk kawy.

– Chce się nas pozbyć, co? – zapytał Oblo, krzywiąc się.

– Myślę, że to była uprzejmość – odpowiedział Petris. – On... czasem jest aż przesadnie uprzejmy. Stara się. A przy okazji, admirał powiedziała, że nie.

– Tak myślałem.

– Uważaj – powiedział z uśmiechem Petris. – To ciotka naszej Heris, a nie tylko zwykły admirał.

– Mustang – rzuciła Meharry z uśmiechem.

– I owszem. A jak tam wasze sekcje przygotowują się do nowej misji?

– Nieźle – odpowiedziała Meharry – chociaż to wciąż nie jest nasza załoga. Nie jest tak, jak bym chciała, to nie są nasi ludzie. Ale po pierwszej trasie nieco się wtopili.

– To dobrze. Z tego, co słyszałem, tym razem czekają nas kłopoty.

– Tak, ja też coś słyszałem – odezwał się Oblo, który dysponował własnymi źródłami informacji. – Podobno niektórzy buntownicy próbują wymuszać umowy z niezależnymi kupcami, a nawet dużymi konsorcjami. Każdy, kto nie podpisze umowy, w czasie następnej podróży zostaje zaatakowany.

– Komodor nie jest zły – powiedziała Meharry, mieszając w zamyśleniu kawę. – Mówią, że ma zmysł taktyczny. Oczywiście nie dorównuje Heris, ale...

– Tego nie wiemy, Methlin – zauważył Petris. – Ma dobrą kartotekę. A Heris go lubi, nawet jeśli nie do końca mu ufa.

– Kiedyś przyleciał nam na ratunek – przypomniał im Oblo.

– Tak, choć to trochę dziwne, że w ogóle tam był. W każdym razie wszystko pójdzie gładko, tak jak poprzednio, jeśli załoga zajmie się swoją robotą i nie będzie próbowała nas odsunąć.

– Nikt nas nie odsunie, jak długo mamy Koutsoudasa przy skanie – zauważyła Meharry.

* * *

Konwój składający się ze statków pasażerskich i transportowców wyruszył w drogę, osłaniany przez *Vigilance* ze stadkiem jednostek patrolowych i eskortowców. Pierwotny plan przydzielenia do konwoju dwóch krążowników upadł z powodu niedostatecznej liczby tych statków. Rozbudowane uzbrojenie *Rascala* było więc szczególnie cenne, toteż Livadhi umieścił go na końcu konwoju, w miejscu, gdzie znalazłby się drugi krążownik. Poruszali się z taką samą prędkością, jak najwolniejszy ze statków, w tym przypadku dwa sferyczne kadłuby Konsorcjum Boros, wyładowane zaopatrzeniem dla stacji granicznych. Stosunkowo młoda załoga Esmay przeszła mnóstwo ćwiczeń w zakresie wchodzenia i wychodzenia z punktów skokowych oraz interpretacji skanów dalekiego zasięgu. Po pierwszych dwóch przejściach przez punkty skokowe Esmay przestała się czuć aktorką odgrywającą

swoją rolę, a poczuła się jak prawdziwy kapitan. Jej załoga dobrze sobie radziła i miała do niej zaufanie.

* * *

Koutsoudas znalazł Methlin Meharry w mesie podoficerskiej. – Meharry, mogę z tobą porozmawiać?

– Jasne, Steban. Co jest?

– Nie wiem, ale zwariuję, jeśli komuś o tym nie powiem.

– Hmm Czy to dobre miejsce?

– Może nie. W takim razie gdzie?

– Jesteś na służbie czy już po?

– Już po.

– Za dwie godziny, trzecia przebrojownia. Do zobaczenia. – Meharry klepnęła w stół i wyszła. Dokonała zwykłego obchodu, a kiedy jak zwykle wpadła na Oblo, zasygnalizowała mu, że chce się z nim spotkać.

– Potrzebujemy Petrisa? – zapytał.

– Wątpię. Ty będziesz ubezpieczał.

– Dobra. – I rozeszli się.

Dwadzieścia minut przed zaplanowanym spotkaniem Meharry weszła do sali przezbrajania głowic i nachyliła się nad dwoma kapralami, którzy tam siedzieli, studiując model szkieletu jednostki.

– Trzeba coś wypolerować – powiedziała.

– Co takiego, sir?

– Sami to znajdźcie. I bardzo dobrze wypolerujcie.

Bystrzejszy z nich zamrugał i zapytał:

– Sir, a jak długo powinniśmy to polerować?

– Półtorej godziny powinno wystarczyć – odpowiedziała Meharry. Wyszli, a ona w pięć minut wyłączyła skaner, który powinien zgłaszać wszystko, co dzieje się w pokoju. Oblo pojawił się osiem minut później. Szeryf, który wszedł z kubkiem w rękę do pokoju, na ich widok wycofał się bez słowa.

Zaczęli rozmawiać o drobiazgach i wtedy pojawił się Koutsoudas. Miał ze sobą torbę ze sprzętem i zaraz wyciągnął z niej jeden ze swoich cylindrów.

– Nie ufasz nam? – zapytał Oblo, unosząc jedną brew.

– Nie mów mi o zaufaniu. – Meharry nie potrafiła stwierdzić, czy Koutsoudas jest zły, czy przestraszony. – To same poszlaki, nie mam niczego konkretnego. I nie chcę nic mieć, ale musicie o tym wiedzieć.

– Czy możemy wreszcie usłyszeć, o co chodzi? – zapytała Meharry, przeciągając samogłoski.

Koutsoudas zerknął na otwarty właz, jakby obawiał się, że wejdzie nim zabójca. Potem znów spojrzał na Meharry.

– Załoga mostka... już niedługo go straci.

– Dlaczego? Nie stoczyliśmy chyba żadnej walki, o której bym nie słyszała, co?

– Nie. To... to Livadhi. Komodor nie jest już taki, jak był.

Meharry poczuła nagły skręt wnętrza, a zaraz potem satysfakcję. A jednak Wszyscy mówili jej, jak jest wspaniała, a mimo braku jakichkolwiek dowodów przeciwko niemu nigdy nie była w stanie go polubić. A więc instynkt jej nie zawiódł.

– Dlaczego? – zapytała.

– Trudno powiedzieć. Jest... niespokojny. Zdenerwowany. Wszystko idzie dobrze, a on jest bardziej spięty niż kiedykolwiek przedtem. Znam go od lat – byłem z nim, zanim mnie wysłał do komandor Serrano – ale nigdy nie widziałem go takiego. Nie czuję się dobrze, mówiąc wam o tym, ale nie czuję się też dobrze ze świadomością, że coś jest nie tak.

– A co mówi kapitan Burleson?

– On też się spina, widząc, jak Livadhi na wszystkich naskakuje. Boi się powiedzieć cokolwiek innego niż „tak, sir” i „nie, sir”. Wiecie, jak to jest...

Meharry wiedziała. Spojrzała na Oblo. Jego twarz niczego nie zdradzała, ale oczy... Tak, jego intuicja też go nie zawodziła.

– Czy zrobił coś – cokolwiek – oprócz tego, co powinien? Czy wydał jakieś podejrzone rozkazy?

– Nie. Nie mogę uwierzyć, że o tym pomyślałem, ale... gdyby był odmłodzony, podejrzewałbym, że to skutek procesu odmładzania.

– A co z komunikacją? – zapytał Oblo.

– Co masz na myśli?

– Czy wysyłał jakieś niezwykle komunikaty? Poza konwojem albo do niecodziennych miejsc?

– Nie monitoruję jego komunikacji – odpowiedział szybko Koutsoudas, po czym dodał: – Dowiem się, jeśli sądzicie, że to ma znaczenie.

– Może mieć.

– Lepiej już idź – powiedziała Meharry. – My tu jeszcze porozmawiamy.

– Dobrze. Ja po prostu... kogoś potrzebuję.

– Jesteśmy z tobą, Steban. Nie pozwolimy, żeby stało się coś złego. Kiedy odszedł, odwróciła się do Oblo.

– Myliłam się. Jednak potrzebujemy Petrisa, jeśli cokolwiek się dzieje, jeśli ten drań zamierza coś spieprzyć...

– Nie pozwolimy, żeby ze statkiem Heris stało się coś złego – odpowiedział Oblo.

* * *

Kilka dni później Koutsoudas dał Meharry kostkę z zapisem całej komunikacji Livadhiego. Kiedy umieściła ją czytniku, przekonała się, że obok każdego wpisu widnieją jego notatki: ta wiązka prowadzi do tego czy tamtego statku z konwoju, ta wiązka do ansibla Floty, te kody wskazują na raport dla Dowództwa. To jest odpowiedź z ansibla Floty, a to kody Kwatery Głównej... Jak dotąd wszystko w porządku. Potem kod pochodzenia cywilnego... Jego żona, jak zapisał Koutsoudas. Co kilka dni wiadomość od żony.

Meharry zmarszczyła brwi. Livadhi ma żonę? Zawsze przypuszczała, że nie jest żonaty. Zerknęła na wiadomości; nie były kodowane i dotyczyły codziennych spraw. Jego żona kupiła nowy dywan i była pewna, że mu się spodoba, bo był w tym samym kolorze, co stary. Cena ślimakoryby poszła ostro w górę, prawdopodobnie na skutek buntu. Odwiedził ją jego wuj, emerytowany admirał, i przez

godzinę rozmawiali o sytuacji politycznej. Był przekonany, że gdyby nadal rządził stary król i żył admirał Lepescu, nic takiego nie miałyby miejsca. Najmłodsze dziecko jej siostry wygrało jakiś konkurs muzyczny. Podziękowała mu za przysłanie prezentu ze sztabu Sektora Siedem, ale czy nie zdaje sobie sprawy, że opłaty za przesyłkę potrojiły jej koszt? Byłaby równie zadowolona ze zwykłego pudełka czekoladek od lokalnego sprzedawcy. Lakierowane pudełko bardzo jej się podoba, ale nie rozumie umieszczonej w środku wiadomości; a może to obsługa sklepu zostawiła coś przez pomyłkę?

Meharry zatrzymała się i jeszcze raz przeczytała wiadomość. Livadhi zazwyczaj wysyłał słodycze, ale tym razem wysłał pudełko. Cóż, może pomyślał, że żona miałaby ochotę na odmianę. Choć każda kobieta, która wybiera dywan dokładnie w tym samym kolorze, co poprzedni, prawdopodobnie nie chce też dostawać innego prezentu. A Livadhi powinien o tym wiedzieć... choć w swojej długiej karierze Meharry przekonała się, że ludzie wcale nie poznają się lepiej przez to, że mają wspólne nazwisko. Niezrozumiała wiadomość w środku pudełka? Tak jak wspomniała żona, najprawdopodobniej w sklepie zaszła jakaś pomyłka.

Ale czemu wysłał tak daleko lakierowane pudełko? Czemu w ogóle pudełko? Co zawierała ta wiadomość?

Meharry przejrzała rejestr. Znalazła podświetloną przez Koutsoudasa wiadomość, że konwój przeszedł przez punkt skokowy o takich samych współrzędnych, jak liczby zawarte w liście do żony... i że Livadhi odczytał wiadomości z ansibla za pomocą podanego w nim kodu. Wiadomość brzmiała: „Towar nie może być dostarczony, adresat nieznany. Zwrot kosztów do odebrania w najbliższym porcie.”

Brzmi niegroźnie, ale liczby znajdowały się w pudełku, które już zostało dostarczone. Czego więc nie można było dostarczyć? Nie pudełka. Czegoś innego? Czemu Livadhi kupił prezent w dowództwie Sektora Siedem i wysłał go aż tak daleko? Poza tym żaden cywil nie powinien dysponować listapunktów skokowych, przez które miał przelecieć konwój, by wysłać tego rodzaju wiadomość, tak samo jak nie powinien wiedzieć, jaki będzie najbliższy port, by wysłać tam zwrot kosztów.

Przeczytała pozostałe wiadomości, ale nie znalazła niczego więcej. Na końcu listy Koutsoudas zanotował, że następny postój jest na stacji Mindon. Meharry zastanowiła się nad tym, wyciągnęła kostkę z czytnika, schowała ją do kieszeni i udała się na poszukiwanie Obla. Wiedziała, że regularnie ćwiczy z Petrisem boks w sali gimnastycznej.

– Przyłączysz się do nas, Methlin? – zapytał na jej widok Petris. – Powinnaś – dodał Oblo. – Ile czasu minęło, odkąd ze mną trenowałaś?

– Nie mogę – odpowiedziała. – Jestem na służbie. Przyniosłam ci tylko tę kostkę rozrywkową... o którą prosiłeś.

Petris rzucił jej ostre spojrzenie.

– *Most na księżyc?*

– Nie, tamtej nie znalazłam. To *Ujawniony zdrajca* Michelline–Hernandeza; ten dobrze wyglądający aktor – Simon jakiś tam – gra generała. – Meharry podała Petrisowi kostkę i ruszyła z powrotem do pracy, przypominając sobie słowa z pewnego spektaklu. „To niemożliwe, generale, że właśnie ty nas zdradziłeś”.

– Nie byłby to pierwszy raz – mruknęła pod nosem.

* * *

Do czasu wskoczenia w skomplikowany układ stacji Mindon Petris i Oblo zdążyli zapoznać się z kostką danych. Mając przed sobą jeszcze trzy dni lotu do stacji, spotkali się z Koutsoudasem w sali gimnastycznej.

– Co się tam teraz dzieje, Stebanie? – zapytał Petris.

Koutsoudas spuścił wzrok.

– Jest... spore napięcie. *Rascal* spóźnił się pięć minut przy wyjściu ze skoku – ale zmieścił się w limitach – ponieważ statki Boros spóźniły się o trzy minuty z wejściem w skok, a *Rascal* miał pilnować tyłów... i Livadhi zbluzgał kapitan Suizę tak, jakby zrobiła coś okropnego.

– Jak to przyjęła? – zapytał Oblo.

– A co mogła powiedzieć? W odpowiednich miejscach mówiła tylko „tak, sir”, „nie, sir”, „przepraszam, sir”. Nie tłumaczyła się. A sześć godzin później on łączy się z nią i przeprasza. Czy zechciałaby mu towarzyszyć w grzecznościowej wizycie, jaką złoży dowódca stacji, i tak dalej. Ona jest uprzejma, podaje mu szacunkowy czas przylotu. Oczywiście *Rascal* jest za wszystkimi i przyleci do stacji dobre czternaście godzin później, na co on odpowiada, że nie ma problemu, może zostać i trzymać straż na peryferiach, tak jak poprzednio. – Koutsoudas umilkł, a Petris czekał. – Zachowuje się zupełnie jak nie on. Nigdy go takiego nie widziałem. Zawsze był ostry, ale zbluzgać kogoś niesprawiedliwie, a potem czekać aż sześć godzin, żeby go przeprosić... Zwłaszcza że to on popełnił błąd, nie pamiętając, że ona będzie daleko z tyłu.

– A jeśli to nie był błąd? – zapytała Meharry. – Jeśli nie chciał jej mieć przy sobie i stąd te niezręczne przeprosiny?

– To do niego niepodobne – odpowiedział Koutsoudas. – Wiecie, jak się czułem, kiedy wysłał mnie do komandor Serrano. Byłem jego ulubionym technikiem skanu, odkąd ukończyłem podstawowy kurs i wylądowałem na jego okręcie. Nie chciałem go opuszczać... ale po jakimś czasie uznałem komandor Serrano za równie dobrego dowódcę statku. – Rozejrzył się wokół i dodał: – No dobrze, lepszego dowódcę statku, ale niewiele lepszego. Znam Livadhiego – starego Livadhiego – tak jak wy nie możecie go znać, i wiem, że to nie jest jego zwykłe zachowanie.

– Czego więc od nas oczekujesz, Stebanie?

– Powiedzcie mi, że się mylę – powiedział żałośnie. – Powiedzcie mi, że wszystko sobie wymyśliłem, że z nim nie jest źle, że on niczego nie szykuje...

– Stebanie – rzekła Meharry z zaskakującą łagodnością. – Nie wątpimy w twoją lojalność, ani trochę. Ale musisz przyznać, że jeśli się zmienił, jeśli coś jest nie tak... nie możemy tego zignorować. Ty nie możesz tego zignorować.

– Wiem o tym – powiedział ze wzrokiem wbitym w pokład. – Ja po prostu... nienawidzę tego... zwłaszcza że wy nie znaliście go wcześniej.

– Wiem, jaki był na ostatniej trasie – odezwał się Petris. – Był dość dobry, choć oczywiście uważam, że Heris jest lepsza, ale masz rację, niewiele. Myślę, że jest dobrym oficerem. Czy właśnie to chciałeś usłyszeć?

– Tak. Przyszedłem do was... bo wam ufam... i... muszę wiedzieć, że nie nienawidzicie go tylko dlatego, że jest tutaj zamiast niej.

– Oczywiście, że nie – zapewnił go Petris. – Człowieku, mogę być... przyjacielem Heris Serrano, ale wciąż jestem profesjonalistą. Dobry oficer to dobry oficer.

– No dobrze. Co w takim razie myślicie o rejestrze komunikacji?

– Paskudny – powiedziała Meharry, zanim Petris zdążył się odezwać.

– Tak, tak właśnie myślałem. Nie rozmawiałem z żadnym z oficerów, ale Sim, jeden z techników komunikacyjnych, też się tym martwi.

– To może być coś niewinnego – zauważył Petris, odgrywając rolę adwokata diabła. – To znaczy... przypuścmy, że miał... przecucie czy coś... i zdecydował się wysłać prezenty wszystkim przyjaciołom, a jeden z nich jest niedostępny. Może w sklepie pomyśleli, że żona przekaże mu wiadomość ukrytą w pudełku?

– Bez instrukcji? Tylko liczby i litery?

– Cóż, jednak mu ją wystąpiła. Może takie rzeczy już się zdarzały.

– Nie na ostatniej trasie – wtrącił się Koutsoudas. – Zapytałem Sima.

– Jak to przyjmuje kapitan Burleson?

– On też jest zaniepokojony. Pracuje z Livadhim od dawna, tak jak ja, drugi i trzeci oficer.

– Szkoda, że nie mamy na pokładzie Mackaya – stwierdził Petris. – Znał nas, a my jego... Jesteśmy teraz w niezręcznej sytuacji, można by nas wziąć za spiskowców.

– To nie my sprawiamy kłopoty – zauważył Oblo.

– Ależ tak, sprawiamy, w każdym razie według przepisów. W czasie wojny lub buntu krytykowanie dowódcy... to ostatnia rzecz, jakiej potrzebuje Flota.

– Ostatnia rzecz, jakiej potrzebuje Flota, to kolejny okręt przechodzący na stronę buntowników – poprawiła go Meharry.

– Albo gdzie indziej – dorzucił Koutsoudas.

– Co masz na myśli?

– Wiecie, nigdy z nikim nie rozmawiałem na temat tego, czemu Livadhi chciał się mnie pozbyć z okrętu. Słyszałem, że powiedział komandor Serrano, iż mam jakieś kłopoty.

– I co?

– I... nie pomyślałbym o tym, gdyby nie ta sytuacja. Nigdy nie zamierzałem o tym wspominać.

– Stebanie, jeśli tego z siebie nie wydusisz, sam to z ciebie wycisnę – powiedział Oblo.

– To było zaraz po tym, jak wymyśliłem to usprawnienie skanu, które pozwala uzyskać małe wyprzedzenie przy wyjściu ze skoku. Nagle Livadhi kazał nam lecieć w stronę Shaft, jakbyśmy mieli wykorzystać anomalie grawitacyjną koło punktu skokowego do uzyskania przyspieszenia, a tymczasem zamiast tego wlecieliśmy do Shaft. Okazało się, że lecimy na pomoc komandor Serrano i *Sweet Delightowi*.

– No i co?

– Wtedy mieliście na pokładzie księcia, pamiętasz?

– Pamiętam – odpowiedział Petris i zerknął na Oblo.

– Cóż, więc po tym, jak wykończyliśmy statki *Benignity* – a wiercie mi, kosztowało nas to sporo potu, bo walczyliśmy na ich terytorium – zacząłem się zastanawiać, skąd Livadhi wiedział, gdzie ich szukać. – Wciągnął głęboko powietrze. – Miałem wtedy kumpla w komunikacji i razem przy tym powęszyliśmy próbując odkryć, czy coś wiedział, czy po prostu miał szczęście. Potem któregoś dnia wspomniałem coś samemu Livadhiemu, a on na mnie nawrzeszczał i kazał być cicho, jeśli cenię sobie wolność. Powiedział, że miał tajne rozkazy, ale nikt o nich miał nie wiedzieć. I może lepiej będzie, jeśli spędzę trochę czasu z dala od statku, kiedy on będzie próbował zatuszować

mój błąd. Nie wiem, co wam powiedział...

– Podobno mieliśmy złe dane z Rotterdamu.

– Bzdura. Nigdy nie byliśmy nawet w pobliżu Rotterdamu – stwierdził Koutsoudas.

– Czyli uważasz, że...

– Wtedy myślałem, że to faktycznie były tajne rozkazy. Ale teraz...

– Benignity – powiedział Oblo.

– Mam nadzieję, że nie – stwierdził Petris, ale wewnętrzne drżenie powiedziało mu, że sądzi inaczej. – To dopiero byłby śmierzący bajzel.

– Już jest – powiedział Oblo. – Stebanie, kiedy dogoniliście nas na Navernn, mieliście takie rozkazy?

– Oczywiście. – Księżę na pokładzie a przynajmniej jeden z klonów...

– Cóż, ulżyło mi. – Choć niewiele. Petris przeleciał w myślach listę załogi. Arkady Ginese i Meharry, oboje w uzbrojeniu, Oblo i Issigai Guar w nawigacji, Koutsoudas w skanie, jego kumpel Sim w komunikacji, on sam w inżynierii... To zdecydowanie za mało. Ilu osobom ze starej załogi Heris mogą zaufać? Jeśli Livadhi okaże się zdrajcą, co będzie chciał zrobić?

– Stebanie, na razie nie będziemy nic robić, tylko się przyglądać. Wciąż nie mamy niczego konkretnego. Daj znać, gdy będzie schodził ze statku na tę kurtuazyjną wizytę.

– Tak jest, sir. – Po podzieleniu się swoimi problemami z innymi Koutsoudas od razu poczuł się spokojniejszy. Petris zaś znów żałował, że nie ma na kogo zwalić tego całego bajzlu. Kiedy Koutsoudas wyszedł, zwrócił się do Meharry.

– Powiedz Arkady'emu i zastanówcie się, komu możecie zaufać i kto wam ufa. Oblo, ty porozmawiasz z Issi, a ja zaczepię Padoca. Powinniśmy wymieniać się wachtami, by wszystkie były kryte, gdy już będziemy wiedzieli, kto jest z nami. – To da im trochę czasu na myślenie.

– Zastanawiam się, co ona by powiedziała – odezwała się Meharry. Wszyscy wiedzieli, kogo ma na myśli.

– Tak samo jak ja – westchnął Petris. Jeszcze nigdy nie czuł się tak samotny.

* * *

– Zszedł z pokładu – wymamrotał Oblo do komunikatora. – Siedzę na pierwszym nawigacyjnym, na mostku jest Keller. Burlson poszedł z nim

– Dobrze. Kto jest na straży honorowej?

– Nikt z naszych. – Oblo sprawdził harmonogram. Nie było nikogo ze starej załogi Heris, tylko jeden, który w ogóle z nią służył.

– Dobra, informuj nas.

Petris odwrócił się w stronę załogi.

– No dobra, admirał poszedł na stację z grzecznościową wizytą. Znacnie procedurę: silniki układowe aktywne, przeprowadzamy diagnostykę napędu nadświetlnego. Ja mam do napisania raport z przylotu. Gdybyście mnie potrzebowali, znacie mój kod.

– Tak jest, sir – odpowiedział mu bosman Coggins.

Petris wywołał Meharry. Ani ona, ani Ginese nie byli w tej chwili na służbie, co powinno ułatwić sprawę. W każdym razie miał nadzieję.

Spotkali się w pomieszczeniu socjalnym inżynierii. Petris włączył stację roboczą i zaczął pisać

raport. Meharry zajęła się skanem, choć podejrzewała, że Oblo mógł go przechwycić na mostku.

– Coś nowego? – zapytał przez ramię.

– Oblo i Sim podpięli się do węzła komunikacyjnego stacji – powiedział Koutsoudas. – Jest tam wiadomość dla Livadhię. Nie potrafią jej odczytać, jest zakodowana.

– Źródło?

– Nie wiadomo. Stacja automatycznie usuwa nagłówki z miejscem pochodzenia wiadomości.

* * *

Arash Livadhi spotkał się z przedstawicielem Floty – kolejnym niedawno promowanym kontradmirałem – i cywilnym zarządcą stacji. Powitania, wymiana uprzejmości i lekki poczęstunek irytowały go jak nigdy dotąd. Formalne przekazanie odpowiedzialności za konwój oraz obowiązkowe rozmowy o ostatnich wydarzeniach, prawdopodobnej akcji milicyjnej w okolicy, ostatnich ruchach w handlu cywilnym – który spadł o 47 procent, czego efektem były braki w zaopatrzeniu w towary dla niemowląt – niemal doprowadzały go do szaleństwa. Co go obchodzi dziecięce pieluchy? Był pewien, że ludzie radzili sobie przez stulecia, zanim ktoś wymyślił jednorazowe pieluchy i butelki.

Kontradmirał Ksia zaprosił go na kolację, a zarządca stacji, Corfoldi, nalegał, by odwiedził tutejsze ogrody. „Jesteśmy bardzo dumni z naszej kolekcji orchidei, jest unikalna”, powiedział. Livadhi przyjął^o zaproszenie – byłoby dziwne, gdyby tego nie zrobił – i zgodził się rozprostować nogi w ogrodzie.

– Chciałbym też poszukać czegoś dla żony.

– Ależ, komodorze, jak powiedziałem, przy tak ograniczonym handlu...

– Jestem pewien, że coś znajdę – przerwał mu Livadhi. – Ona lubi dostawać drobne prezenty z miejsc, które odwiedzam.

W końcu wydostał się z biura i zaczął spacerować po stacji, która okazała się znacznie mniej zatłoczona niż większość stacji. Komandor Burlson, tak jak należało, wrócił na okręt. Livadhi rozważał poproszenie eskorty o pozostawienie go samego, ale to byłoby coś wyjątkowego, a nie mógł sobie pozwolić na nietypowe zachowania.

Ogrody były jego zdaniem zbyt mroczne, ale kwitnące orchidee – kaskady bieli zwisające z gałęzi albo dziwnie kolczaste plamy żółci na ziemi – na chwilę przyciągnęły jego uwagę.

Po drugiej stronie ogrodów alejka handlowa była prawie pusta. Livadhi wstąpił do sklepu z elegancką porcelaną Mier i pokręcił się trochę między półkami. Zza lady przyglądał mu się zaniepokojony sprzedawca, jakby się bał, że niczego nie zamierza kupić. Stamtąd poszedł do cukierni Charlotte, gdzie kupił kilogram mieszanych truflí jako prezent dla gospodarza kolacji. Potrzebował tylko jednego spojrzenia, by przekonać się, że każdy sklep ma wymalowany na froncie numer. Zaczął więc wchodzić do każdego po kolei, aż wreszcie zauważył ten, którego szukał. Galeria sztuki Micasio. Doskonale.

Zanim do niego dotarł, jego eskorta była już znudzona i zmęczona.

– Zamierzam zobaczyć, czy nie mają tam jakichś starodruków – powiedział. – Moja żona szaleje na punkcie Sida Grevaire, a czasem w takich miejscach mają rzeczy, których nie znajdzie się na planetach. Pewnie spędzę tam z godzinę, grzebiąc w drukach... więc może kupcie sobie coś do picia i siadźcie gdzieś tutaj... – Kiwnął głową w stronę ławek i stołów, skąd był dobry widok na wejście do galerii.

– Jak pan chce, admirale, nie mamy nic przeciwko wejściu tam z panem.

– Myślę, że gdybym was potrzebował, mogę głośno wrzasnąć – powiedział Livadhi, zmuszając się do uśmiechu. – Mam też ze sobą komunikator.

– Tak jest, sir. Dziękuję.

Odczekał, aż zajęli miejsca, po czym wszedł do galerii, podając człowiekowi za ladą swoje nazwisko.

Tym razem czekająca na niego wiadomość była długa i szczegółowa; czytając ją, poczuł, jak w jego sercu i umyśle otwiera się potężna lodowa jaskinia. Nie może, absolutnie nie może.

Jules, ty draniu, pomyślał. Jules przewidział jego rozterki wynikające z poczucia lojalności, teraz próbował zabić w nim troskę o własnych ludzi.

Z pomocą właściciela galerii przejrzał stojaki z obrazami i po czterdziestu pięciu minutach wyłonił się ze sklepu z pakunkiem i rachunkiem za dwa rysunki Sida Grevaira i nie oprawiony gwasz Muly Tysona. W czasie kolacji prowadził z kontradmirałem Ksią uprzejmą rozmowę na temat trendów we współczesnej sztuce. Tak jak podejrzewał, Ksia był kompletnym durniem, zupełnie nie rozumiał teorii, które stanowiły podstawę dziwnego spojrzenia Tysona na sztukę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Livadhi wrócił na *Vigilance* spokojniejszy; wreszcie podjął ostateczną decyzję.

– Admirał czuje się lepiej – powiedział szeptem do Arkady'ego Ginese jeden z członków eskorty.

– To dobrze.

– Nie jest taki nerwowy – stwierdził sierżant.

– Dość plotek – rzucił Arkady. – Jestem na służbie. – Sierżant wzruszył ramionami i odszedł.

Kilka minut później na mostku pojawił się sam admirał. Wyglądał w zasadzie tak samo, jak zwykle, choć – jak powiedział sierżant – nie był taki spięty. To mogło być skutkiem wypicia dobrego wina do kolacji. Albo nie.

** *

– Tak naprawdę wszystko sprowadza się do tego, że nie możemy sprawić jeszcze większych kłopotów. – Petris przesunął dłonią po włosach.

– Większych niż zabranie nas za granicę? – zapytała Meharry. – Czy możemy zaufać któremuś z oficerów na mostku?

– Oni nie biorą w tym udziału – stwierdził z całkowitym przekonaniem Oblo. – Ufają Livadhiemu. Jeśli opowie im jakąś bajkę, uwierzą w nią.

– Czyli... musimy być gotowi na... Na co? – Meharry wyglądała tak, jakby była gotowa wyciągnąć nóż i kogoś dźgnąć. I pewnie tak było.

– Musimy przesłać wiadomość do Heris – stwierdził Petris. – Ona będzie umiała coś wymyślić. – On w każdym razie nie potrafił. – My jesteśmy tu, a ona gdzieś tam... Musimy to sami rozwiązać.

– Nie możemy tego tutaj rozwiązać. A w każdym razie nie do końca. – Petris miał wrażenie, że widzi same komplikacje, a każdy problem jest nierozwiązywalny bez załatwienia setki innych. – Steban, Oblo, czy możecie przesłać wiadomość do Heris?

– Bez wiedzy admirała? Nie. Cokolwiek wyślemy do ansibla, stacja będzie o tym wiedziała. Bez wzbudzania wątpliwości i komentarzy możemy jedynie skontaktować się z jednym z okrętów konwoju.

– Jest Suiza – zauważył Oblo.

Wszyscy umilkli na chwilę, rozważając jego słowa.

– Jeśli nam uwierzy – stwierdził Petris – może przesłać wiadomość do Heris.

– Będą wiedzieli, że kontaktowała się z ansiblem – rzucił Koutsoudas.

– Być może, ale ona jest dalej, na wysuniętym patrolu.

– Warto spróbować – zdecydował Petris. – Zróbcie to.

Oblo kiwnął głową i odszedł jak zwykle swobodnym krokiem.

– Skąd będzie wiedzieć, dokąd polecimy? – zapytała Meharry. – Bo to, że Livadhi nas stąd zabierze, jest pewne jak dwa dodać dwa.

– Dzięki Oblo i Issiemu w nawigacji możemy przesłać Suizie dane nawigacyjne, a ona może polecieć za nami. Steban musiałby jeszcze jakoś sfałszować dane skanu. – Spojrzał na Koutsoudasa, który kiwnął głową.

– Mogę je zamaskować. Nie martw się. – To stwierdzenie było bezcelowe, jako że Petris tonął w troskach.

– On nie może siedzieć przez cały czas przy skanie. Livadhi nabierze podejrzeń.

– Dwóch młodszych techników jest po naszej stronie, i to on ich szkolił. Podłączył wiązki komunikacyjne do konsoli skanu i do tego ma jeszcze dwóch techników komunikacyjnych.

– To zbyt wielu – zauważyła Meharry, marszcząc brwi. – Livadhi nie jest głupi, a tajemnice po jakimś czasie przestają nimi być.

– Jakiś parawan? – zapytał Petris. Meharry była w tym dobra, a on zbyt się martwił, by samemu coś wymyślić.

– Taaak... Niech pomyślę... Słuchajcie, może testowanie nowego sprzętu do maskowania i skanu. Kapitanowie nie wiedzą, bo... Wymyślę jakiś powód. – Miała senny wygląd, a to znaczyło, że głęboko myśli.

– Chcą, żeby to był uczciwy test sprzętu – odezwał się Petris, czując nagły przyływ inspiracji – a dobry kapitan może nawet niechcący sfałszować wyniki. Raport ma być złożony dopiero po powrocie do sztabu sektora. Umieszczają sprzęt maskujący na małych statkach i chcą się przekonać, czy duże jednostki są w stanie go wykryć. Wie o tym tylko kilku techników. Ja mogę wiedzieć, bo jestem w inżynierii. Skan. Komunikacja. To nawet ma trochę sensu.

* * *

Esmay Suiza starała się ukryć przed załogą zdenerwowanie. Najpierw Livadhi zrugął ją za coś, co nie było jej winą, a potem podjął niezdarną próbę przeproszenia jej. Zupełnie nie przypominał uprzejmego, czarującego komandora, którego widziała w sztabie sektora, ale każdy może mieć zły dzień. Potem ta dziwna wiadomość od starej załogi Heris. Nie miała pojęcia, co się dzieje, ale przekazała ją Heris Serrano. Nie znała zbyt dobrze jej starej załogi, ale spotkała ich ostatnio, gdy Livadhi zaprosił kapitanów z konwoju na pokład krążownika, aby wznieść toast przed odlotem. Zastanawiała się, jak się czuje Petris, służąc u innego kapitana, ale to tylko skierowało jej myśli na Barina, więc szybko przestała o tym myśleć.

Teraz musiała podjąć ważną decyzję dowódczą. Komodor kontradmirał Livadhi kazał jej pozostać na patrolu w tym układzie, podczas gdy on sam wróci po kolejny konwój. A Esteban Koutsoudas – legenda technicznej sprawności – przekazał jej prośbę Petrisa Kenvinnarda, by zamiast tego poleciała za Livadhim, śledziła go i przekazała informacje nawigacyjne do Serrano za pomocą kodowanych pakietów ansiblowych.

Rozkaz admirała przeciwko prośbie oficera patentowego – nie powinna mieć problemu z wyborem. A jednak mimo wszystko zastanawiała się nad tym. Jeśli nic się nie dzieje, jeśli przyjaciele Serrano przesadnie zareagowali na jakiś problem nowego dowódcy, nie będzie miała najmniejszego wytłumaczenia dla złamania rozkazów. Czeka ją sąd wojenny i hańba. A biorąc pod uwagę, jak wyglądają sprawy w domu... Wolą o tym nie myśleć, przynajmniej zbyt intensywnie.

Ale jeśli buntownicy przyłecą do układu, którego miała pilnować, jej decyzja spowoduje znacznie więcej zła.

A może Livadhi zwariował albo – w najgorszym przypadku – jest zdrajcą? Trzymanie się jego rozkazów oznaczałoby pomaganie mu. Jeśli za nim pociągnie – a on nie będzie o tym wiedział – może jej się uda pokrzyżować jego plany. Ale jeśli odkryje jej obecność, *Vigilance* może rozwalić *Rascala* na kawałki. Utrata krążownika z pełnym uzbrojeniem oraz załogi, której część jest niewątpliwie lojalna, byłaby dużą stratą dla Floty. A co się z nimi stanie, jeśli Livadhi odda się w ręce buntowników lub *Benignity*?

Gdyby Heris Serrano poprosiła ją o pomoc, zrobiłaby to bez wahania. Co prawda Heris ufała

Petrisowi Kenvinnardowi, Methlin Meharry i Oblo Vissisuanowi, ale czy ona może podjąć na ich prośbę tak duże ryzyko? Czy może im zaufać tylko dlatego, że Heris Serrano im ufała?

Lubiła komodora Livadhiego. Jak dotąd był dobrym dowódcą, o ile była wystarczająco kompetentna, aby móc to ocenić. Z szacunkiem wysłuchał obiekcji Timmonsa co do rozplanowania konwoju, jasno formułował rozkazy, no i bezpiecznie dowieźli konwój do celu. Czy może być buntownikiem, zdrajcą lub szaleńcem?

Nie przebywała z nim na jednym statku i nie widziała go od tygodni. Sytuacja się zmieniała, ludzie się zmieniali... Czy zmienili się przyjaciele Heris Serrano?

Nie Oblo. Mogła sobie wyobrazić, że Petris, który kochał Heris Serrano, popełnił błąd w ocenie Livadhiego chociażby dlatego, że Livadhi to nie Heris. Methlin Meharry, przejęta sytuacją swojego brata, mogła przesadnie zareagować. Ale Oblo... Zmęczony, pełen blizn, którego absolutnie nie ruszają żadne okoliczności... On się nie zmienił. Nie mógł oszaleć, a jego wyczucie zbliżających się kłopotów było wręcz legendarne.

Heris ufała Oblo, a Esmay ufała Heris, więc zaufa także Oblo.

Teraz musi przekonać własnych oficerów, że nie zwariowała ani nie jest zdrajczynią. Czy uwierzą w prawdę, czy lepiej przygotować jakąś historię? Przypuśćmy, że miałyby to być tajne ćwiczenia z... powiedzmy... techniki maskowania. Zaczęła analizować ten pomysł, aby znaleźć rozsądne powody, dla których patrolowiec mógłby lecieć śladami krążownika wbrew rozkazom admirała.

* * *

– Możesz zgadnąć, dokąd nas zabiera? – zapytał Petris porucznika Focalta. W końcu zaczęli rozmawiać z oficerami na mostku, próbując przygotować ich na możliwe kłopoty.

– Właściwie nie. Skaczymy przez różne systemy o wielu trasach. Ktoś, kto próbowałby nas śledzić, szybko by się w tym pogubił. Ale wciąż jesteśmy w przestrzeni Familii. Mówi, że dostał tajne rozkazy. Uwierzyłbym mu, gdyby nie ty...

Petris słyszał w głosie mężczyzny powątpiewanie.

– Jeśli się mylę, poruczniku, do wszystkiego się przyznam. Ale obawiam się, że tak nie jest. Wysłał wiązką wiadomość do ansibla w systemie, który właśnie opuściliśmy, a według obsługi komunikacji adresowana była do jednego z miejsc z listy, którą dostał tuż przed opuszczeniem dowództwa sektora.

Folcat zaklął.

– Nie mogę uwierzyć, że byłby tak głupi.

– Myślę, że jest zdesperowany, choć nie bardzo wiem, czemu. Ale musimy być ostrożni.

– Będę – odpowiedział tamten. – Mam nadzieję, że ogon wciąż za nami leci.

– Ja też mam nadzieję.

* * *

Esmay czuła, jak napięcie wśród załogi rośnie. Lecieli skok za skokiem za *Vigilance*.

– Nie rozumiem – odezwał się oficer komunikacyjny. – Dokąd oni lecą?

– Nie wiemy – odpowiedziała – ale przekonamy się.

– Ten kurs jest niedorzeczny. Dokąd on może się kierować? Esmay nie powiedziała mu o podejrzeniach Petrisa, choć zakodowała je w następnej wiązce, którą wysłała.

Zrobili kolejny skok, tym razem w nie zamieszkały układ. *Vigilance* wleciał tam z małą prędkością względną, po czym zaczął jeszcze bardziej hamować.

– Do tej pory przelatywał przez układy lub przeskakiwał z końca w koniec w ciągu siedemdziesięciu minut. zastanawiam się, na co teraz czeka?

– Jesteśmy na granicy, kapitanie – stwierdził oficer nawigacyjny. Sądząc po wyrazie jego twarzy, uważnie przemyślał jej wyjaśnienia. – Stąd może jednym skokiem dotrzeć do przestrzeni *Benignity*, jeśli właśnie tam się kieruje.

– Nie możemy mu pozwolić tam polecieć – rzekł peppek Turner z przerażonym wyrazem twarzy. – To byłoby podarowanie im jednego z naszych najnowszych krążowników razem z załogą.

– Nie wiemy na pewno, czy właśnie do tego się szykuje – powiedziała Esmay. – W tej chwili nic nie robi, ale istnieje taka możliwość.

– Czy cały czas podejrzewała pani coś, kapitanie? – zapytał oficer nawigacyjny.

– Nie przyszłoby mi to do głowy – odpowiedziała Esmay – gdyby nie stara załoga Heris Serrano na pokładzie *Vigilance*. Przekazali mi wiadomość, że *Livadhi* dziwnie się zachowuje i że się martwią.

– Chyba bardzo, skoro zaryzykowali sąd wojenny. Mam nadzieję, że pani się nie myli, kapitanie.

– Ja też mam taką nadzieję, choć z drugiej strony wolałabym raczej się mylić i mieć kłopoty niż walczyć ze zdrajcą na takim okręcie.

– Co w takim razie zrobimy? – Zauważyła zmianę z „pani” na „my”. – Jeśli skoczy, a my polecimy za nim przez granicę...

– To może wywołać wojnę. Wiem o tym. – Esmay odwróciła się do innego oficera. – Uzbrojenie, powiedzcie, co takiego mamy, co mogłoby zniszczyć *Vigilance*.

– Zniszczyć krążownik? Ten? I przeżyć walkę? To niemożliwe, kapitanie. Jeśli faktycznie nie wiedzą, że tu jesteśmy, moglibyśmy posłać im kilka strzałów w rufę, tak jak zrobiła to pani na *Xawierze*. Ale od tego czasu wzmocniono tarcze rufowe, więc moglibyśmy nie przebić się jedną salwą. A w takim wypadku *Vigilance* rozwaliliby nas na kawałki i odleciał dokąd tylko chce.

– Hmmn... A przysunięcie się na odległość dokowania i próba przytrzymania go, gdyby rozpędzał się do skoku, też skończyłaby się dla nas fatalnie. Zajmijcie się tym. Jakoś musimy zatrzymać ten okręt. Wolałabym raczej bronić swoich decyzji w sądzie niż zbierać resztki okrętu i trupy.

– Mogłaby pani skontaktować się z nim

– Nie sądzę. Gdybym miała jeszcze jeden okręt, aby go osaczyć, spróbowałabym. Ale to kontradmirał. Mógłby podjąć decyzję o powrocie... jako admirał ściągający do domu podwładnego, który nie posłuchał jego rozkazów, a potem mógłby uciec przy innej okazji, innym statkiem. – Esmay potrząsnęła głową. – Nie, jeśli zaczniesz szykować się do skoku, wyzwę go i otworzę ogień, jeśli będę musiała.

– A jeśli rozpędzi się przez mikroskoki?

– Jesteśmy bardziej zwinni i szybsi. Problem nie polega na dogonieniu go, ale na zatrzymaniu, kiedy już to zrobimy. Mam tylko nadzieję, że on nie czeka tutaj na wsparcie w postaci eskorty jednostek *Benignity*. Możemy uszkodzić jeden okręt, by uniemożliwić mu odlot, ale dwa... to zupełnie inna sprawa.

Mijały godziny. Esmay próbowała zachować spokój i trzeźwo myśleć, ale czuła, jak z każdą

upływającą minutą jej nerwy coraz mocniej się napinają. W przeciwieństwie do jednostek cywilnych, *Vigilance* mógł wykonać skok nawet tak daleko od punktu skokowego i wyłonić się gdzieś w pobliżu planowanego celu. A skoro tego nie robi, to albo Livadhi martwi się pościgiem, gdyż dzięki instynktowi dowódcy czuje, że grozi mu niebezpieczeństwo, albo czeka tutaj na kontakt.

Oczy kleiły jej się z niewyspania, ale nie odważyła się opuścić mostka. Kiedy tylko Livadhi coś zrobi, ona musi natychmiast zareagować. Ciekawe, co on zrobi?

* * *

Komodor kontradmirał Livadhi pochylił się nad pulpitem skanu. Koutsoudas poczuł delikatny zapach potu.

– Jesteś pewien, że niczego tam nie ma?

– Sir, niczego nie widzę – odpowiedział Koutsoudas. Komputerom skanu powiedział, że *Rascal* nie istnieje. Co kilka godzin zadawały to samo pytanie, a on za każdym razem je o tym zapewniał. Niczego tam nie ma, zignorujcie to. Właśnie znów poradził sobie z zapytaniem, gdy Livadhi wszedł na mostek. Nie znosił kłamstw, ale nie przeszkadzało mu unikanie odpowiedzi.

– Znasz to swędzenie między łopatkami, kiedy czujesz, że ktoś ci się przygląda? – zapytał Livadhi.

– Tak, sir.

– Nie chciałbym wpaść w pułapkę buntowników.

– Tak, sir, ja też. Ale nie widzę żadnych śladów jednostek buntowników ani innych statków. System jest czysty, sir.

Livadhi westchnął.

– Koutsoudas, jesteś najlepszy. Gdyby ktoś tam był, wiedziałbyś o tym. Jak długo już jesteś na służbie?

– Sir, powiedział pan, że się martwi, więc przyszedłem wcześniej. Przychodziłem tu przy każdym wyjściu ze skoku, na wszelki wypadek.

– To doskonale – rzekł Livadhi i odszedł.

Koutsoudas zajął się układami skanerów. Suiza wciąż tam była, a jeśli Livadhi dogadywał się z *Benignity*, nie chciał, żeby wyskoczyła na nich flotylla Czarnej Szramy. Doświadczył tego w układzie Xaviera, i ten jeden raz mu wystarczył.

Mijały godziny, a Livadhi nie nakazywał kolejnego skoku. Zamiast tego nieustannie chodził w te i z powrotem, tylko na krótkie chwile schodził z mostka. Koutsoudas miał ochotę na krótką drzemkę, ale nie potrafił usnąć. Wbił więc wzrok w ekrany, zastanawiając się, co będzie dalej. Chciałby, żeby Livadhi zmienił decyzję i okazał się człowiekiem, którym zawsze był: dobrym oficerem Floty, sympatycznym, kompetentnymi skrupulatnym.

Nagle zeszywniał. Daleko od zmapowanego punktu skokowego układu pojawił się dziwny ślad na skanerze, jakby ktoś na drugim brzegu stawu wrzucił do wody małeńki kamyczek. Przechwycił odczyty na swoją konsolę.

– Sir! – odezwał się.

– Co? – Livadhi stał z drugiej strony mostka, gdzie wysłuchiwał jakiegoś raportu inżynierskiego, ale szybko podszedł wraz z Kellerem, pierwszym oficerem.

– Coś tu leci, sir, i to nie przez punkt skokowy. Przynajmniej tak mi się wydaje, jest jeszcze zbyt daleko. Może to ślad nadświetlny.

– Kierunek? – zapytał Livadhi.

– Niejasny. To coś skacze... Tak, to na pewno ślad nadświetlny kogoś ze źle skalibrowanym silnikiem. Tak jakby uderzał w powierzchnię przestrzeni i odbijał się z powrotem.

– Możesz powiedzieć coś o masie?

– Jeszcze nie. – Koutsoudas przyglądał się ekranom. Dwaj pozostali technicy skanu z wachty nachylili się nad nim.

– Benally, Vince, pilnujcie własnych ekranów – burknął na nich.

* * *

Oficer skanu *Rascala*, któremu brakowało osobistego podejścia Koutsoudasa do swojej pracy, zauważył nadlatujący statek kilka minut później.

– Coś tu leci, kapitanie – powiedział.

Esmay spojrzała na skaner i zobaczyła znajomy wzór źle skalibrowanego napędu nadświetlnego. Czy okręt leci do tego układu? Nie wygląda to na okręt Serrano.

To może być statek *Benignity*, przylatujący, by zabrać Livadhiego. Musi coś zrobić.

– Przejść na poziom czerwony – powiedziała. Rozległy się alarmy. Osoby siedzące przy konsolach popędziły, aby założyć kombinezony próżniowe, a ich miejsca zajęli zastępcy. Usłyszała otwieranie szafki i bosman Humberly podał jej gotowy kombinezon. Weszła w niego i zapięła się. Pierwsi ubrani już w kombinezony wrócili na stanowiska, a zmiennicy poszli się ubrać.

– Uzbrojenie w gotowości. – Oznaczało to, że teraz pojawią się na skanerach *Vigilance*.

– Daj mi wiązkę do *Vigilance* – zwróciła się do oficera komunikacyjnego.

* * *

Koutsoudas, który miał głęboką nadzieję, że to nie jest okręt *Benignity*, przeżył szok, gdy czerwone światła ostrzegawcze zdradziły obecność w niedużej odległości aktywnego uzbrojenia, podczas gdy skaner nie wykazywał żadnego statku.

– Co?! – wykrzyknął równocześnie z Livadhim. To zbyt blisko na wskakujący statek, zdecydowanie za blisko, i brak znacznika jednostki. To Suiza. To musi być Suiza, ale dlaczego włączyła broń?

– Co ty... – zaczął Livadhi, ale przerwał na sygnał oficera komunikacyjnego.

– Komodorze, odbieram wiadomość wiązką z OSK *Rascal* pod dowództwem Suizy.

– Suiza! – Livadhi zbladł jak papier; jego twarz ostro kontrastowała teraz z rudymi włosami. – Ta głupia... Co ona sobie myśli? – Spojrzał z wściekłością na Koutsoudasa. – Zwalniam cię. Nie wiem, czy jesteś tylko zmęczony, czy kłamiesz, ale pozwoliłeś, żeby ta smarkata porucznik weszła nam na ogon! Idź do swojej kabiny, później się tobą zajmę. – Teraz zwrócił się do oficera komunikacyjnego. – Przełącz do mojego biura.

Koutsoudas, wstrząśnięty jak nigdy w życiu, spojrzał w stronę zastępcy – na szczęście jednego ze starej załogi. – Nie widziałem go – powiedział. – Przysięgam, że niczego nie widziałem. Nie było go tam..

– Idź, Stebanie, jesteś wyczerpany. Wszystko będzie w porządku.

* * *

Na ekranie komunikacyjnym na mostku komandor Livadhi sprawiał wrażenie wściekłego.

– Poruczniku Suiza, jest pani w poważnych kłopotach. Jakim prawem złamała pani rozkazy i lata

sobie po kosmosie?

Esmay od dawna myślała nad tym, co powiedzieć, aby odciągnąć podejrzenia od załogi *Vigilance*.

– Sir, chciałam zapytać, czy załoga mostka wykryła *Rascal* przed uruchomieniem komunikacji?

– Nie ma pani prawa zadawać żadnych pytań. Do diabła, proszę odpowiedzieć na moje pytanie!

– Nie był to uprzejmy dowódca, z jakim jadła kolację.

– Sir, wie pan, że *Rascal* został wyposażony w nowe uzbrojenie...

– Tak, i co z tego?

– Oraz zestaw urządzeń maskujących. Powiedziano mi, że pan o nich nie wie, i rozkazano mi – tajnym rozkazem – przetestować je w pościgu za okrętem. Kiedy więc pan admirał odleciał, podporządkowałam się rozkazom i poleciałam za panem. Ponieważ nie odzywał się pan do nas wcześniej, zakładam, że nie zostaliśmy wykryci.

– Faktycznie, nie – przyznał z wściekłością Livadhi. – Aż do czasu uaktywnienia broni. Zechce to pani wyjaśnić?

– Admirale, znajdujemy się bardzo blisko granicy z *Benignity*. Zakładam, że wie pan o nadlatującym w stronę układu statku. Licząc się z tym, że to może być jednostka wroga, uaktywniłam uzbrojenie i skontaktowałam się z panem, by nie zaniepokoiło pana nasze nieoczekiwane pojawienie się.

– Nie wiedziałem o tego rodzaju sprzęcie maskującym.

– Oczywiście, sir. To ściśle tajne. – Tak tajne, że nawet nie istniało.

– I dali go świeżo mianowanemu kapitanowi o wątpliwej przeszłości, *Altipance*? Jakoś nie mogę w to uwierzyć, *Oblubienico Ziemi Suiza*...

– Już nie jestem *Oblubienicą* – przerwała mu. – Zrezygnowałam z tego tytułu przy świadkach. Powiedziałam panu o tym przy kolacji.

– Faktycznie. Mimo wszystko trudno mi uwierzyć, że nie przekonała pani mojej załogi do ukrycia pani obecności. *Suiza*, miesza się pani w coś, czego pani nie rozumie

– Ma pan rację, admirale. Rzeczywiście nie rozumiem, co pan robi, i martwię się tym, że jest pan tu sam, na granicy...

– Nie tylko pani otrzymała tajne rozkazy, *Suiza*. Nie jestem tu dlatego, że nabrałem ochoty na spacer po kosmosie. Jeśli z pani powodu skończy się to wojną...

– Nie z mojego powodu, admirale – stwierdziła Esmay. Nie odważyła się zerknąć w bok, by sprawdzić, czy jej oficer skanu zidentyfikował już nadlatujący statek. Chciała jak najdłużej zająć *Livadhi*, odwrócić jego uwagę, żeby nie mógł stąd wyskoczyć.

– Wynoś się, *Suiza*. To rozkaz. Uciekaj stąd i wracaj do domu. Na twoim miejscu trzymałbym język za zębami. – Z każdym wypowiedzanym przez niego słowem nabierała coraz głębszego przekonania, że faktycznie jest zdrajcą.

– Nie, sir. – Głęboko nabrała powietrza. – Nie ufam panu, sir.

– Ty cholerna idiotko! Chcesz dać się zabić razem z całą załogą?! Zdajesz sobie sprawę, że *Vigilance* może rozwalić was na kawałki jak zabawkę, prawda? – Kątem oka zauważyła, że wśród załogi mostka pojawił się niepokój. Jednak ona sama pod wpływem otwartej groźby poczuła się pewniej.

– Sir, krzyczeli już na mnie starsi od pana. Z całym szacunkiem, sir, krzykiem nic pan nie zdziała. Proszę mi powiedzieć, co pan robi i dlaczego, albo będę tu siedzieć i patrzeć dotąd, dopóki sama do tego nie dojdę.

– Nie, nie zrobisz tego, bo przelecę wprost przez ciebie i wyskoczę stąd. Do diabła, Suiza, czy nie narobiłaś już dość kłopotów? Uciekaj stąd albo rób dokładnie to, co ci powiem. – Odetchnął głęboko. – Chcesz wiedzieć, co robię? Dostałem rozkaz, aby wykonać nielegalny skok w przestrzeń Benignity i przejąć bardzo ważnego uciekiniera. Powiedziano mi, że to sprawa najwyższej wagi. Teraz, skoro już się w to wpakowałaś, możesz pilnować moich pleców.

OSK *Indefatigable*, w układzie Copper Mountain

Heris Serrano spała w swojej kabinie, gdy wywołał ją oficer komunikacyjny.

– Kapitanie, przyszła pilna wiadomość z ansibla od kapitan Suizy.

– Kodowana?

– Tak, sir, kodowana.

Heris zmarszczyła brwi, po czym wcisnęła stopy w buty i skierowała się na mostek z konsolą deszyfracyjną. Esmay Suiza wróciła do Floty, i to jako kapitan? To dobrze, ale co się dzieje?

Usiadła na swoim miejscu, wsunęła w szczelinę przęt dowódcy, wprowadziła kody autoryzacyjne i poczekała na wyświetlenie wiadomości. Pilne, pilne, pilne... No dobrze, to już rozumiała. PETRIS KENVINNARD NA POKŁADZIE VIGILANCE DONOSI O PODEJRZANYCH DZIAŁANIACH KONTRADMIRAŁA LIVADHI. PROSIŁ O PRZEKAZANIE PANI WIADOMOŚCI I O POTAJEMNY NADZÓR. BĘDĘ PRZEKAZYWAĆ RAPORTY VIA ANSIBL.

– Kapitanie, jest jeszcze jedna z tego samego źródła, ale z innego przekaźnika.

– Zobacz, ile ich jeszcze jest – powiedziała Heris – i prześlij wszystkie do mojej konsoli. Mamy problem.

Następna wiadomość zawierała zestaw współrzędnych. VIGILANCE LECI TYM KURSEM. POLECEŃ ZA NIM I ZŁOŻĘ RAPORT.

Trzecia, czwarta i piąta wiadomość wyglądały tak samo. Heris niemal widziała potężny krążownik śledzony przez mały patrolowiec, przelatujący zygzakami przez przestrzeń Familii. Co Livadhi planuje? I czemu nie wie, że Suiza leci jego śladem, informując ją o trasie?

Nagle uzmysłowiła sobie, że to musi być robota Koutsoudasa.

– Nawigacja – wywołała. – Zamierzam odczytać współrzędne punktów skokowych. Rzućcie mi je na ekran i zobaczymy, czy jesteśmy w stanie przewidzieć, dokąd ten ktoś się wybiera. – Odczytała współrzędne na głos – nie chciała na razie, żeby załoga mostka poznała resztę – i w czasie gdy nawigator przygotowywał wykres, napisała szybko własny raport do dowództwa sektora. Cokolwiek szykował Livadhi, była pewna, że nie kierował się rozkazami.

– Kapitanie, mamy pilną wiadomość ze sztabu sektora.

– Prześlij. – Przyglądała się dekodowaniu wiadomości. WSZYSTKIE JEDNOSTKI, WSZYSTKIE JEDNOSTKI. ZGŁOSIĆ KONTAKT Z KRĄŻOWNIKIEM VIGILANCE LUB PATROLOWCEM RASCAL. STATKI TE NIE ZGŁOSIŁY SIĘ ZGODNIE Z HARMONOGRAMEM. PRAWDOPODOBNE POŁOŻENIE 389.24.005. WSZYSTKIE OKRĘTY SKACZĄCE PRZEZ TE WSPÓLRZĘDNE MAJĄ ZGŁOSIĆ OBECNOŚĆ SZCZĄTKÓW LUB

INNYCH ŚLADÓW WALKI.

Świetnie. Ktoś zauważył, że nie było ich tam, gdzie powinny być. Zaszifrowała swój raport, powiedziała oficerowi komunikacyjnemu, by wysłał go wiązką do układowego ansibla, i podniosła wzrok na schemat przygotowany na głównym ekranie przez nawigatora.

Wyglądał jak podręcznikowy przykład losowego marszu.

– Jakiego rodzaju punkty skokowe? – zapytała.

– Same wielokrotne, wszystkie powyżej trzech tras. Ale przeważnie w układach o niskiej gęstości.

A więc to jednak nie losowe skoki, ale próba pozbycia się ewentualnego pościgu.

I poza dwoma skokami na początku sekwencji, wszystkie były w kierunku granicy z Benignity.

– Niech go szlag! – wyrwało jej się. Wszyscy na mostku odwrócili w jej stronę głowy. – Przepraszam – powiedziała. – Krążownik Floty prawdopodobnie usiłuje zbiec do Benignity. Wysłałam właśnie wiadomość do sztabu sektora, ale zanim ktoś tam dojdzie, co robić, będzie już zdecydowanie za późno.

– Polecą pani za nim?

– Polecimy. Sami, bo nie możemy pozbawiać układu obrony. Mamy dowody, że załoga – a przynajmniej jej część – ma świadomość, że coś jest źle, ale w sytuacji obecnego buntu raczej nie będą chcieli robić kłopotów. – Miała jednak nadzieję, że Meharry czy Oblo w razie potrzeby walną Livadhiego w głowę.

– Ale... – Nawigator wyglądał na zmartwionego. – Ale, sir, skąd mamy wiedzieć, gdzie go szukać? Mogą być wszędzie. I nie możemy przekroczyć granicy... bo to oznaczałoby wojnę.

– On ma ogon – wyjaśniła Heris. – Bardzo bystry młody oficer zgłasza każdy ich punkt skokowy.

– Ale przecież oni będą widzieli ogon – zauważył ktoś. – Muszą widzieć, mają skan.

– Tak, ale mają też lojalnych techników skarm, którzy ukrywają obecność ogona. Musimy podlecieć bliżej punktów skokowych, które mogliby wybrać.

– Wie pani, co to za jednostki? – zapytał pierwszy oficer. Heris kiwnęła głową.

– To *Vigilance*, mój... mój były statek. Teraz dowodzi nim kontradmirał Livadhi. To moja załoga wymyśliła, jak przekazać wiadomość na zewnątrz. A na ogonie siedzi im *Rascal*, dowodzony przez kapitan Suizę.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza.

– Z powodu buntu i związanego z nim przemieszania personelu większa część załogi nie była wcześniej na okręcie i prawdopodobnie nie ma o niczym pojęcia.

– Jak pani... jak my... ich zatrzymamy, jeśli ich znajdziemy?

– Coś wymyślę, kiedy ich już zobaczymy – stwierdziła Heris. Nie bardzo miała ochotę omawiać oczywistego rozwiązania. – Najpierw trzeba ich znaleźć.

– Czy mam wysłać wiadomość do „ogona” na ogólnym obwodzie ansiblowym, sir? Myśli pani, że odbierają wiadomości, czy starają się zachować ciszę?

– Sądzę, że raczej siedzą cicho. Nie chcę niepokoić Livadhiego wysyłaniem wiadomości; mam nadzieję, że on nie wie o obecności ogona.

– Tak jest. To musi być straszne dla kapitan Suizy.

– Nie bardziej niż inne rzeczy, przez które już przechodziła – powiedziała Heris. Bez trudu mogła sobie wyobrazić, co przeżywa młody oficer, który złamał rozkazy i śledzi statek, który może go zniszczyć w razie zauważenia. Musi być na granicy wytrzymałości, ale mimo wszystko Suiza zawsze podejmuje właściwe decyzje w awaryjnych sytuacjach. Trzymaj się, pomyślała. Trzymaj się jego ogona, dopóki tam nie dotrę.

* * *

Nie trzymała się krętego kursu *Vigilance*, tylko od razu skierowała się do punktu wskazanego w ostatniej wiadomości od Suizy. Miała nadzieję, że kiedy odbierze od niej następną wiadomość, będzie już nie dalej niż o jeden punkt skokowy za nimi. Jej statek wciąż wykazywał irytującą wibrację napędu nadświetlnego, która musiała zostawiać ślady we wszystkich układach, przez które przelatywali, ale przynajmniej Koutsoudas nie będzie miał problemu z zauważeniem jej.

Indefatigable wyłonił się z nadprzestrzeni z wykręcającym flaki wstrząsem, i Heris zatęskniła za Koutsoudasem, który potrafiłby rozwikłać pojawiające się na ekranie chwiejne fale prawdopodobieństwa. Jeśli ktoś jest w układzie, jest szansa, że to właśnie Livadhi i jego ogon.

* * *

Przyglądając się wyjściu ze skoku, Koutsoudas z trudem powstrzymał się przed gwizdnięciem. Nie do końca wierzył, że to się uda, że Heris Serrano znajdzie ich, zanim Livadhi zabierze ich za granicę i skaże na więzienie, a może nawet śmierć. Jednak nadajnik statku jasno ogłaszał jego tożsamość: OSK *Indefatigable*. Ucieszył się, widząc, że ma aktywne tarcze. Broń też. No cóż, w obecnych czasach tak się lata. Wyłonili się ze skoku w odległości zaledwie dziesięciu minut świetlnych i skanery szybko oczyściły się z zakłóceń. Wcisnął klawisz informujący pozostałych o przybyciu Heris.

– Sir – rzekł do Livadhiego – to jednostka Floty, krążownik *Indefatigable*. Leci tak jak my, z aktywnymi tarczami.

– Szlag by to trafił! – Livadhi podszedł do niego. – Jak daleko?

– Dziesięć minut świetlnych, sir. Mieli bardzo brzydkie wejście; jestem pewien, że mają jakieś problemy z napędem nadświetlnym.

– Ile czasu minie, zanim ich skan się oczyści?

– Cóż, biorąc pod uwagę niestabilność napędu, refrakcja przepływu może być dłuższa niż zwykle. Powiedziałbym, że minimum trzy minuty, może cztery, ale nie więcej niż pięć minut.

– Możemy wyskoczyć, zanim nas zobaczy?

– Nie przy aktualnej kombinacji kursów, sir.

– Hmm Czemu, pańskim zdaniem, ten statek tutaj wyleciał? – Niestabilny napęd nadświetlny – odezwał się jeden z oficerów inżynieryjnych. – Stebanie, jeśli prześlesz miu skan, mogę go sprawdzić, ale sądzę, że taka niestabilność mogłaby wyrzucić z nadprzestrzeni nawet krążownik

– Chciałbym w to wierzyć – powiedział wolno Livadhi. – Powiedz mi, Koutsoudas, czy wiesz, kto dowodzi tym statkiem?

– Mogę sprawdzić.

Ale odpowiedział ktoś inny.

– Czy to nie jest komandor Serrano? To był statek Winstona, ale ona była bliżej, kiedy zaczął się bunt...

– Nie mogę uwierzyć – powiedział Livadhi – że komandor Serrano pozwoliłaby, żeby jej statek

miał tak źle skalibrowany napęd nadświatłny.

– Mógł zostać uszkodzony w walce – powiedział ten sam głos.

– Nie sądzę. – Coś w głosie Livadhiego sprawiło, że Koutsoudasowi zjeżyły się włoski na rękach. – Myślę, że komandor Serrano przyleciała tuż tego samego powodu, co my. Tylko skąd wiedziała... – Przebiegł wzrokiem po mostku. Nikt się nie odezwał. – Będę w moim biurze – powiedział. – Niedługo spodziewam się wiadomości. Przekażcie ją do mnie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

OSK Rascal

Esmay Suiza przeżywała właśnie kolejny napad wątpliwości. Czy komodor Livadhi faktycznie mógł się kierować tajnymi rozkazami, czy kłamał tak samo jak ona? Czasami zdarzało się, że okręty przekraczały granicę w tajnych misjach, i to w obie strony. W Benignity zdarzali się też uciekinierzy, sama jednego spotkała. A gniew Livadhiego wydawał się taki szczery; żadnego cienia poczucia winy, tylko uzasadniona irytacja dowódcy, którego podwładny znów coś zepsuł.

Mogła temu wszystkiemu przeciwstawić tylko wysłaną wiązką wiadomość od Oblo i własne odczucie, że jest coś fałszywego w Livadhim, coś, czego nie było w nim wcześniej. Mimo to wyruszyła w niebezpieczną pogoń, ryzykując, że nadlatujący statek może należeć do wroga.

– To okręt Floty – odezwał się oficer skanu. – Sądząc po masie, to krążownik. Mam dane nadajnika. Kapitanie, to *Indefatigable*.

Esmay poczuła ulgę. Heris Serrano jest tutaj. Teraz już wszystko będzie dobrze. Nie miała pojęcia, jak Heris mogłaby przekonać komodora Livadhiego, by nie uciekał, jeśli już się na to zdecydował, ale była pewna, że najgorsze ma już za sobą.

– Poruczniku – odezwał się Livadhi. – Rozkazuję pani osłaniać nasz odlot. Proszę nie pozwolić zdrajcy polecieć moim śladem.

– Zdrajcy, sir? Mój skon twierdzi, że to *Indefatigable* i Heris Serrano.

– Poruczniku, nie ma czasu. Muszę odlecieć, zanim ona zagrozi mojej misji... a pani może się zastanowić, jak ona tu trafiła.

Ponieważ jej powiedziała, dokąd ma lecieć, pomyślała Esmay, ale nie przeszło jej to przez gardło.

– *Vigilance* uaktywnił broń – odezwał się jej oficer uzbrojenia. – Namierza nas i *Indy*.

Tarcze *Rascala* nie wytrzymają bezpośredniego trafienia przez *Vigilance*, a w każdym razie nie z tak małej odległości. Mogłaby zrobić mikroskok na większą odległość, ale wtedy Livadhi wyskoczy z układu, zanim Serrano się zbliży.

* * *

Petris, nie pełniący służby, właśnie po raz czterdziesty powtórzył sobie, że powinien trochę się przespać, gdy jego komunikator zabrzączał sygnałem trzy na trzy, oznaczającym, że Koutsoudas wykrył statek Heris. Sturlał się z koi i przekazał ten sam sygnał do Oblo i Meharry. Potem szybko się ubrał, spryskał twarz zimną wodą i przesłał sygnał do Slatera i Corneliana. Ścisnęło go w żołądku. Wypił łyk wody i ruszył do sekcji silników.

– Ona tu jest? – zapytał bosman Potter.

– Tak. Zaczniście się szykować. Nie sądzę, żeby łąził po statku, ale postaraj się trzymać ludzi z dala od głównych korytarzy.

Następnie poleciał na dół, na pokład załogowy. Bosman Sikes czekał na niego u dołu drabiny.

– Udało jej się?

– Tak. Nic więcej nie wiem, ale przygotujcie się. – Wiedział, że pokład załogowy będzie najtrudniej zorganizować; jest tu więcej ludzi i znacznie mniej wtajemniczonych. Jeśli Livadhi wykona odpowiedni ruch i podda się, nic im nie będzie, ale może próbować się targować i

szantażować Heris.

A to mu nie pomoże. Petris znał zakamarki jej serca równie dobrze, jak własnego: nikomu nie pozwoli przekazać swojego okrętu i załogi – szczególnie jej załogi – w ręce wroga.

Prędzej sama ich zabije, aby oszczędzić im hańby.

Dużo będzie zależało od tego, gdzie będzie celowała i z jakiej odległości. Heris oczywiście będzie próbowała uratować jak najwięcej ludzi, ale Livadhi nie będzie jednym z nich, a kwatery i biura kapitana, podobnie jak sam mostek, kryły się głęboko we wnętrzu krążownika. Heris musiałaby uderzyć w sam środek, by wykluczyć *Vigilance* z akcji, albo ryzykować zniszczenie go, być może wraz z własną jednostką, gdy Livadhi każe zaatakować.

Petris skonsultował się z najbardziej doświadczonymi ludźmi, którym odważył się zaufać, i stworzyli razem plan, który mógł – tylko mógł – uratować większość załogi przebywającej poza bezpośrednim polem rażenia broni. Niestety, wymagało to wciągnięcia do współpracy przynajmniej setki ludzi. Pełen zestaw promów *Vigilance* (sześć szturmowych, prom kapitana, admirała i zaopatrzeniowy) mógł pomieścić 541 osób, jeśli wcisną do nich ludzi na stojąco, i zapewnić im sześć godzin podtrzymywania życia. Ale wystrzelenie promów bez wiedzy kapitana było – zgodnie z założeniami konstruktorów – praktycznie niemożliwe.

Ile mają czasu?

Poleciał w dół, do sekcji inżynierskiej. Co myśli Livadhi? Czego najpierw spróbuje? Co zrobi Heris? Czy najpierw uderzy w centrum okrętu, czy w silniki? Jak długo będą rozmawiać, zanim coś się wydarzy?

* * *

Tymczasem młodszy oficer uzbrojenia wykonał rozkaz i wziął *Rascala* na cel. Jego palec zawisł nad klawiszem odpalenia.

Arkady Ginese zerknął na jego nieszczęśliwą minę.

– Nie rób tego – powiedział. – Jest za blisko. Jeśli się nie oddali, musimy zmienić opcje zapalników. – Potem zwrócił się do przełożonego. – Sir, namierzyliśmy go, ale to będzie wymagało zmiany zapalników. Czy mam pozwolenie na skontaktowanie się z obsługą wyrzutni?

– Udzielam zgody – odpowiedział oficer i jego wzrok przesunął się w stronę wejścia na mostek. – Będzie na to potrzeba kilka minut, prawda?

– Tak jest, sir. – Za pomocą serii kliknięć Arkady zasygnalizował już Meharry, do której załogi wyrzutni powinna się udać. Teraz przemówił do mikrofonu. – Wyrzutnia cztery. Nasz cel, OSK *Rascal*, znajduje się w odległości mniejszej niż zadane opóźnienie. Zmienić ustawienia i zapalniki na cel w małej odległości.

– Co?! Strzelamy do jednostki Floty?! – usłyszał zaskoczony głos sierżanta dowodzącego tą załogą. – On nie jest buntownikiem, *Rascal* to część naszej eskorty. Nie będę...

– Arkady! Co się dzieje? – rozległ się ostry głos Meharry.

– Livadhi kazał nam namierzyć Suizę i Serrano. Przekaż dalej.

– Co z oficerami na mostku?

– Na razie go słuchają... ale mają wątpliwości.

– Durnie. – Meharry rzuciła swoim ulubionym epitetem pod adresem głupich oficerów i rozłączyła się.

Arkady znów spojrzał na swojego oficera, a potem na mostkowego, który wyglądał równie

niepewnie. Jego usta poruszały się; musiał rozmawiać z Livadhim. Potem mężczyzna odwrócił się i spojrzał ze smutkiem na Arkady'ego.

– Ginese, komodor chce cię widzieć w swoim biurze. Razem z Vissisuanem i Koutsoudasem. I wezwijcie też Meharry, Kenvinnarda, Guara... – Na liście znajdowali się wszyscy ze starej załogi Serrano. Arkady poczuł chłód. Cokolwiek szykuje Livadhi, nie może to być nic dobrego. – Chce wam zadać jakieś pytania na temat byłego dowódcy. Martwi się motywami jej działania.

Zdecydowanie niedobrze. Arkady powoli wstał; nie miał odwagi spojrzeć na Oblo ani Koutsoudasa. Meharry, Petris i pozostali na pewno będą mieli dość rozumu, żeby nie przychodzić. Na pewno coś zrobią.

* * *

Kiedy w głośnikach rozległo się jego nazwisko, Issi Guar spojrział na Meharry.

– Czy to wyglądana dobre wieści?

– Nie. Nie idź tam, ja pójdę. Jeśli drań szuka zakładników, nie potrzebuje nas wszystkich. Trzymaj się planu i zagon ich do promów najszybciej, jak będziesz mógł.

Ruszyła w stronę drabin, stukając w swój lokalizator, żeby Petris mógł ją znaleźć. Spotkali się na pokładzie poniżej dowódczego.

– Wszystkiego się domyślił – powiedział Petris.

– Tego się obawiam. Kazałam Issiemu nie przychodzić. Myślisz, że zdołamy go załatwić?

– Nie, jeśli ma ze sobą ochronę statku – a przypuszczam, że mógł ich ściągnąć – albo własną broń. – Petris głęboko wciągnął powietrze. – Methlin, wracaj i wsiadaj na prom.

Kobieta parsknęła.

– Nie zamierzam być tą osobą, która powie naszej kapitan, że nie żyjesz. A mój braciszek pomyśli, że jestem mięczakiem.

– Wątpię. A ja nie mam ochoty mówić twojemu braciszkiowi, że uciekłem i pozwoliłem ci zginąć.

– To śmieszne. My się tutaj kłócimy, a tymczasem on ściąga Oblo, Arkady'ego i Stebana.

– Więc me traćmy czasu. – Ruszyła w górę ostatniej drabiny. Petris chwycił ją za ramię i ledwie zdążył uskoczyć przed jej silnym ciosem.

– Mogę ci rozkazać – powiedział.

– No jasne, wyciągaj ten swój stopień. Nie zostawię przyjaciół w rękach tego drania. No, chodź już.

Kiedy weszli na pokład dowodzenia, zobaczyli Oblo, Arkady'ego i Estebana idących korytarzem od strony mostka z prędkością, którą w najlepszym razie można by określić mianem statecznej.

– Co teraz? – zapytał Oblo. – Atakujemy go czy...

– Zabierajcie się stąd – powiedział Petris. – Ja sam do niego pójdę.

– Heris to się spodoba – skomentował Oblo.

– Ty – rzekł Petris – idź na mostek i zrób zamieszanie. Musimy być pewni, że okręt nie otworzy ognia i nie skoczy. Przez ten czas Arkady wyłączy uzbrojenie. Jeśli nie będzie włączone, Heris będzie mniej chętna wysłać nas w przestrzeń.

– Jeśli możemy to zrobić, po co mielibyśmy w ogóle opuszczać okręt? – zapytała Meharry.

– Kapitański guzik – Petris pomyślał o tym dopiero na ostatnim szczeblu drabiny. Przez chwilę

wszyscy patrzyli na niego tępo. – Nie zrobi tego – odezwała się w końcu Meharry.

– Zrobi, jeśli poczuje się osaczony. A teraz wynoście się. W każdej chwili może wyjść na korytarz i zacząć nas szukać.

Kiedy zniknęli z pola widzenia, Petris żwawo pomaszerował do wjazdu sekcji dowodzenia admirała i zgłosił swoje przybycie.

Wcale go nie zaskoczyło, że admirał Livadhi trzyma w dłoni zabójczą broń i że nic w jego zachowaniu nie wskazuje, że ma opory przed jej użyciem. Co więcej, osłona konsoli dowodzenia była otwarta i wyraźnie widać było duży czerwony klawisz samozniszczenia statku. Umieszczone wokół duplikaty ekranów mostka dawały admirałowi dostęp do tych samych informacji, co załozde mostka.

– Gdybyś się nie wtrącał – odezwał się Livadhi – nic by wam się nie stało. Obiecali mi, że odesłaliby wasz powrotem.

– A pan im uwierzył. – Petris nie bał się o siebie. Czuł się tak, jakby w jego umyśle odtwarzano kostkę przygodową. Widział postacie biegnące korytarzami, zatrzymujące się, wsiadające na promy w dokach... Czy to się uda?

– Zawsze dotrzymywali danego mi słowa – stwierdził Livadhi. – Nie zrobiłbym niczego, by was skrzywdzić... a zwłaszcza starą załogę Heris. Jesteście dobrymi ludźmi...

– Więc proszę nas wypuścić. Niech pan zwolni załogę.

– Nie mogę. Sam nie poprowadzę tego statku.

– Ona nie pozwoli panu go zabrać – oświadczył Petris. – Zniszczy go.

– Mam nadzieję, że nie. Ufam, że nie. Jestem pewien, że kazałeś innym nie przychodzić.

– Tak.

– Mógłbym kazać ochronie sprowadzić ich tutaj, zakładając, że ich także nie zbuntowałeś. Podejrzewam, że zrobiłeś coś, co przeszkodzi mi zaatakować Serrano i Suizę.

– Mam nadzieję.

– Zdajesz sobie sprawę, że mogę wszystkich zabić?

Czy powiedzieć mu, że w tej chwili załoga wsiada na promy? Nie. Petris czekał, aż Livadhi – wciąż celując w niego z broni – zapadł się głębiej w fotel.

– Nie chce pan chyba wszystkich zabić, admirał – rzekł, próbując w to uwierzyć.

– Nie... ale mogę nie mieć wyboru. – Machnął lekko wolną ręką. – Siadaj.

Petris zawahał się – pozbawiał się w ten sposób możliwości wykonania nagłego skoku – ale każda sekunda skupienia na sobie uwagi Livadhi mogła uratować życie jeszcze jednego człowieka. Usiadł ostrożnie na brzegu krzesła.

Livadhi uśmiechnął się.

– Powiedz mi, jaka ona jest?

– Przepraszam?

– Heris Serrano. Wiem, że z nią spałeś. Jaka ona jest?

Zaskoczony Petris przez chwilę nie był w stanie mówić.

– Nie zamierzam o tym rozmawiać.

– Czemu nie? Obaj ją kochaliśmy, a ty pewnie nadal ją kochasz. Nigdy nie obdarzyła mnie swoim ciałem, ale... ciebie wyniosła na stanowisko oficera patentowego tylko dla swojej własnej

przyjemności.

– Nie tylko – rzucił Petris przez zaciśnięte zęby.

– A ja tak sędzę – rzekł Livadhi lekkim tonem. – Wiesz, że nie jesteś dobrym materiałem na dowódcę. W przeciwieństwie do niej albo do mnie, skoro o tym mowa.

– Ja nigdy nie okazałem się zdrajcą – powiedział Petris. Wątpliwości, które często go ogarniały, gdy myślało sobie i Heris jako o parze – że ich miłość przeszkadza w jej karierze – znów go teraz dopadły. Ona była świetnym materiałem na dowódcę, podczas gdy on... ją kochał, ale jej nie dorównywał.

– Tak, ty nie jesteś zdrajcą, ale nie w tym rzecz, i dobrze o tym wiesz.

– Livadhi pociągnął łyk z butelki. – Jesteś dobrym lojalnym człowiekiem, Petrisie Kenvinnardzie. Kompetentnym... ale gdybyś był dobrym dowódcą, to nie ja dowodziłbym teraz tym okrętem. Heris by mnie stąd wyrzuciła. Na twoim miejscu sam jakoś rozprawiłbym się ze zdrajcą – admirałem. Ale ty niczego nie zrobiłeś. Czekając. Traciłeś jedną okazję za drugą.

– Ja... – Wiedział, że tak było. Czekał na pojawienie się Heris, na podjęcie przez nią decyzji. Ale skąd Livadhi o tym wiedział? Ogarnął go wstyd.

– A teraz z twojego powodu twoja ukochana Heris będzie musiała wybierać między rozwaleniem nas na kawałki a pozwoleniem mi na ucieczkę. Nie jesteś jej wart, Petris. Ja byłem, ale mnie nie chciała. Wybrała ciebie... pewnie z litości.

– To nieprawda! – Ale czy faktycznie? Przebiegł w myślach historię ich miłości, od Sirialis aż do chwili obecnej. Na pewno ich miłość znaczyła dla niego więcej niż jej prezent w postaci stanowiska oficera. Ich namiętność... Na chwilę zamknął oczy, wspominając jej dotyk, skórę, zapach...

– To prawda – mówił dalej Livadhi – ale przypuszczam, że nie chciała ci tego mówić. Jestem pewien, że zrobiła wszystko, co mogła, żebyś tego nie zauważył.

Zalała go wściekłość. Ona kochała go, dowiodła tego. Jeśli nawet ustępował jej w tej jednej dziedzinie, nie dbała o to.

– Próbuje mnie pan rozzłościć – powiedział chrapliwym głosem, który ledwie rozpoznał jako własny. – Chce pan, żebym zrobił coś głupiego.

– Nie. Wiem, że nie jesteś głupi. Ale musisz zrozumieć, jakie to uczucie być odrzuconymi przegrać z tobą. Jak długo ukrywaliście wasz związek, zanim się do ciebie przyznała?

W jego słowach było tyle nieprawdy, że Petris nie potrafił odpowiedzieć.

– Nic między nami nie było, zanim ona... zanim zaczęliśmy oficjalnie być razem – powiedział.

– Na pewno – skomentował Livadhi z rozbawieniem w głosie. – Cóż, jestem pewien, że od samego początku miała na ciebie oko. A ty, podejrzewam, uwielbiałeś pokład, po którym chodziła...

– Powiedział to tak, że zabrzmiało aż niesmacznie. Petris z trudem opanował gniew.

– Podziwiałem ją – powiedział dobitnie – ponieważ była wyjątkowym oficerem.

– Powiedziałbym, że doskonałym, a nie wyjątkowym, ale nie widzę niczego dziwnego w przesadnej opinii kochanka. – Livadhi przechylił głowę na bok. – Tak. To przypadek uwielbienia dla bohatera, ukrytego pod seksualnym pożądaniem.

– Można podziwiać kogoś, kogo się kocha, admirałe, choć nie przypuszczam, żeby pan tego doświadczył.

– Och, z pewnością. Gdyby odwzajemniła moje uczucie, kochałbym ją i podziwiał. Ale,

widzisz, nie zrobiła tego. Doszliśmy do etapu całowania się, ale potem się wycofała. I dlatego właśnie spytałem cię... czy rozbierała się tak dobrze, jak zawsze mi się wydawało? Czy była dobra w łóżku?

– Świetna – odpowiedział Petris. Wiedział, że nie powinien tego mówić, ale nie potrafił się powstrzymać. I choć był na łasce tego człowieka, miał coś, czego Livadhi nigdy nie będzie mieć. – Była moja i nawet nie możesz sobie wyobrazić, jakie to wspaniałe...

Livadhi uśmiechnął się szerzej.

– Świetnie. W takim razie chyba jesteś najlepszym zakładnikiem, jakiego mógłbym mieć. Albo mnie puści, albo zobaczy, jak giniesz. – W jego dotychczas wolnej dłoni pojawił się drugi pistolet. Petris rozpoznał, że to wyrzutnia strzałek usypiających.

OSK *Indefatigable*

– Co się tam dzieje? – zapytała Heris.

– Wyłączyli namierzenie, teraz wyłączają broń, kapitanie. – W głosie oficera uzbrojenia słychać było ulgę, co nie było niczym dziwnym.

– To jakaś sztuczka? – zapytał Seabolt.

– Mają Koutsoudasa – powiedziała Heris – a on jest po naszej stronie. Ukrywał *Rascala*. Jest jedyną znaną mi osobą, która mogłaby oszukać nasze skanery co do stanu uzbrojenia broni.

– Wiązka z *Rascala* – odezwał się oficer łączności.

– Połącz – rozkazała Heris.

– Tu kapitan Suiza. Nasz skan twierdzi, że *Vigilance* już nas nie namierza i wyłącza uzbrojenie.

– Potwierdzamy – odpowiedziała Heris. – Mamy łączność z *Vigilancem*?

– Nie, sir. Chwileczkę, coś mamy... Dok promowy.

– Widzę. – Heris przyglądała się zmianie na własnych ekranach. – Potwierdzam otwarcie doku promowego. – To szaleństwo. Czy Livadhi zamierza zaatakować *Rascala* promami?

– Prom wylatuje, *Indy* – rozległ się głos Suizy. – Skanery wykazują masę promu szturmowego. Teraz odbieramy sygnał...

– Wiązka czy wielokierunkowy? – Heris zwróciła głowę w stronę łącznościowców.

– Wiązka, sir.

W przesłanej wiązce rozbrzmiał głos Estebana Koutsoudasa.

– Kapitanie Suiza, proszę nie strzelać. Ewakuujemy okręt. Komodor Livadhi usiłuje przejść na stronę wroga.

Ewakuują okręt! Heris przez chwilę nie mogła złapać oddechu. Nie są w stanie wszystkich stamtąd zabrać, chyba że ich wyładują i wrócą. Ale czy będzie na to dość czasu?

– Udzielić zgody na dokowanie i wyładowanie załogi? – zapytała ją Suiza.

– Wypuście kołnierz – odpowiedziała Heris. – Powiedzcie im, żeby od razu wychodzili, jeśli tylko mają kombinezony próżniowe.

Po długiej przerwie znów odezwała się Suiza.

– Potwierdzenie kombinezonów. Kołnierz wysunięty. Szacunkowy czas dotarcia: cztery koma

dwie minuty.

Heris przeliczyła to sobie na odległości. *Rascal* praktycznie siedzi przy samym boku krążownika.

– Bardzo blisko pani podleciała, kapitanie Suiza. Czy chciała pani uniemożliwić im skok?

– Gdybym musiała. Poza tym mogłabym czysto strzelić.

– Tak, rozumiem. Proszę kontynuować. Kiedy weźmie pani tych ludzi na pokład, powinna pani dopuścić Koutsoudasa do skanerów. Jeśli będzie tam ktoś z mojej starej załogi, chciałabym z nim porozmawiać.

– Tak jest, sir. Właśnie wyłania się drugi prom.

Mijały sekundy, a jej umysł nie potrzebował chronometru, by czuć upływ każdej z nich, każdego metra przybliżającego promy do *Rascala*. Promy posuwały się jeden za drugim, jak koraliki na sznurku. Okręt będzie najbardziej narażony na atak w chwili otwarcia włazów dla promów... ale Suiza nie odsunęła się na bezpieczną odległość. Heris zanotowała sobie, że później musi ją za to pochwalić.

OSK *Rascal*

Pierwszy prom ustawił się przy końcu kołnierza transferowego i otworzył włazy śluz. Jeden z bosmanów przypiął wystającą z kołnierza linę do linki zabezpieczającej, którą wszyscy na promie byli spięci, a potem pilot zaczął ich wciągać przez właz.

Koutsoudas był trzeci w kolejności. *Rascal* był małym okrętem i dotarł na mostek szybciej niż się spodziewał.

Suiza już na niego czekała.

– Tutaj. – Oddała salut, którym powitał ją, wchodząc na mostek. – Komandor Serrano chce dostać raport od kogoś ze starej załogi. Kto jest na pokładzie?

– Na tym promie jestem jedyny. Na następnym może być Issi Guar. Arkady, Oblo i Meharry poszli na mostek, aby wyłączyć uzbrojenie. – Rozpiął kombinezon próżniowy i z wewnętrznej kieszeni wyciągnął małe szare pudełko. – Jedną chwilkę, sir, tylko to podłączę...

Ekran opustoszał i zaczął wyświetlać wielobarwny śnieg, a zaraz potem ponownie pojawił się obraz, znacznie wyraźniejszy niż kiedykolwiek przedtem.

– Proszę – powiedział Koutsoudas i zerknął na swojego nowego kapitana. – Kapitanie, mamy tam bardzo poważną sytuację. Oficerowie na mostku są po stronie Livadhiego; wierzą w to, co im mówi, czyli w tajne rozkazy i to że Serrano jest zdrajczynią, bo inaczej by ich nie znalazła. – Stuknął w kontrolkę i obraz na ekranie przesunął się, pokazując zbliżenie boku *Vigilance* z otwartymi dokami promowymi. – Przypuszczam, że skoro wyłączono uzbrojenie, nasi ludzie zdołali ich przekonać.

– A więc... myśli pan, że aresztują komodora Livadhiego? – zapytała Suiza.

– Nie, sir. On ma kapitański klawisz.

– Autodestruktor?

– Tak jest, sir. A przynajmniej tak sądzimy. Jest w biurze admirałskim, ma zdublowane ekrany i klawisz.

– Ale on nie chce wysadzić okrętu w powietrze – powiedziała Suiza. – On chce się dostać do

Benignity.

– Ale nie może tego zrobić, jeśli pani siedzi tak blisko, a krążownik komandor Serrano jest na odległość łatwego strzału. A zwłaszcza kiedy zda sobie sprawę, jak duża część załogi się wydostała. Sądzi, że jeśli będzie groził wybuchem, komandor go puści.

– Ona tego nie robi – oświadczyła z pełnym przekonaniem. Koutsoudas spojrział na nią. Przeszła długą drogę od czasu, gdy była przestraszonym młodym oficerem, który uratował ich na Xavierze. Miała taki sam wzrok jak Serrano... i Livadhi, zanim przeszedł na drugą stronę. Potem odwróciła się od niego i kazała pierwszemu oficerowi zająć się rozmieszczeniem przybywającej załogi tak, by nie utrudniać wejścia kolejnym osobom, co nie było łatwe na niewielkim patrolowcu.

Następny prom podleciał do kołnierza transferowego i powtórzył manewr rozładowania. Tymczasem pierwszy już wsuwał się z powrotem do doku na krążowniku, a trzeci i czwarty ustawiły się do rozładunku. Koutsoudas zastanawiał się, ilu ludzi jeszcze czeka, ilu udało się przekonać. Aby to sprawdzić, podpiął się do linii komunikacyjnej i zaczął szukać wewnętrznych kanałów łączności *Vigilance*. Oblo obiecał mu włączyć je na pełną moc.

Są.

– Ależ to bunt! – zabrzmiał głos kapitana Burlesona.

– Tak jest, sir, i samowolne porzucenie statku. Zgadza się – odpowiedział Oblo na zarzuty kapitana. Takim tonem czasem przemawiał do bardziej tępych szeryfów. – Jeśli się mylimy, to admirał posiedzi sobie tutaj i tylko porozmawia z komandor Serrano, a kiedy ją przekona, wszyscy wrócimy i zostaniemy ukarani. Ale to lepsze niż stać się więźniem Benignity, nie sądzi pan?

– On by tego...

– Sir, już to zrobił. Są dowody. A my nie zamierzamy walczyć z lojalnymi okrętami Floty i nie chcemy siedzieć tu i czekać, aż admirał rozwali nas na kawałki. Sir, może pan pójść z nami dobrowolnie albo razem z Methlin zaniemiemy pana.

– Nie pójdzie – rzekła Suiza. – Jest kapitanem, będzie chciał zostać.

– Reszta niech idzie. – Oblo tym razem był trochę zdyszany. Koutsoudas pomyślał, że Suiza miała rację; musieli użyć siły wobec opornego kapitana. – Alarm ogólny. Spróbujmy...

OSK *Vigilance*

Livadhi wciąż uśmiechał się jadownicie, gdy nawiązał połączenie wiązką z *Indefatigable*.

– Komandor Serrano... Szkoda, że przeleciała pani całą tę drogę na próżno.

– Ja bym tak nie powiedziała. – Jej głos uspokoił Petrisa, ale uśmiezek Livadhiego wciąż go bolał. Czuł, jak zapada się w pełną otępienia niemoc po zastosowaniu środka usypiającego. Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł. – Kiedy w czasie wojny znika admirał wraz z okrętem, ludzie to zauważają.

– Przez ciebie – powiedział Livadhi – zginą setki niewinnych ludzi. Gdyby nie ty, byłiby bezpieczni. Wciąż tak może być, jeśli zrobisz to, co ci powiem.

– A mianowicie?

– Puść mnie Wycofaj się razem z Suizą i pozwólcie mi odlecieć. Wiem, co robię.

Nie wydaje mi się, Arash.

– To twoi ludzie, Heris, ludzie, których kochasz. Już ich raz skrzywdziłaś. Chcesz ich teraz zabić?

– Ja ich nie zabijam, Arash, to ty chcesz ich zabrać na pewną śmierć.

– Zostaliby repatriowani. Jules mi to obiecał.

– Jules?

– Nieważne, teraz to już nie ma znaczenia. Liczy się to, że ludzie są na twojej łasce, Heris. Mam tu ze sobą Petrisa...

– I zamierzasz go zabić, jeśli nie pozwolę ci odlecieć, a jeśli odleczysz, zostanie potem zabity przez Benignity? To się nie uda, Arash.

Oczywiście, że nie, pomyślał Petris. Mądra kobieta. Żałował, że nie może jej powiedzieć o swojej miłości. Odprężył się wreszcie i pozwolił, by pochłonał go czarny ocean.

– Nie wysłuchałaś mnie do końca – stwierdził Livadhi. – Zawsze mi przerywałaś. Słuchaj.

OSK *Indefatigable*

– Arash, nie rób tego – powiedziała Heris. Czowała się bezradna. Już kiedyś próbowała przekonać zdrajców, by zrezygnowali ze zdrady, i wtedy to się nie udało. – Nigdzie nie doleczysz i tylko zginiesz.

– Nie możesz mnie zatrzymać – odpowiedział. – W najlepszym razie przez resztę życia będę podejrzany. Czemu miałbym to zrobić?

– Ponieważ... – Ponieważ byli przyjaciółmi. Dał jej Koutsoudasa, kiedy go potrzebowała. Puścił ją z klonami księcia, podczas gdy mógł ją zniszczyć. Nie musiała tego mówić, samo tym wiedział.

– Nie chcę takiego życia, Heris. Nie chcę czuć na sobie tych wszystkich oskarżających spojrzeń.

– A więc chcesz uciec do wroga, gdy cię potrzebujemy? – Ty mnie nie potrzebujesz. Nawet mnie nie kochasz.

– Kochać cię! Czy o to ci chodzi?

– Nie. No, nie tylko. Teraz, gdy odlatuję... przykro mi, że nigdy nie byliśmy razem. Wy, Serrano, jesteście... szczególnymi ludźmi. – Uśmiezek na jego twarzy doprowadził ją do furii. Miała ochotę zdzielić go łopata.

– My, Serrano, jesteśmy uparci, arogancy i brutalni, Arash. Nie podobałoby ci się spanie ze mną, nawet gdybym tego chciała. Bądź poważny. Zawsze byłeś dobrym oficerem. Pomyśl, to nie fair wobec załogi.

– Życie nie jest fair, Serrano. Ze wszystkich ludzi właśnie ty powinnaś o tym najlepiej wiedzieć.

– Czemu po prostu nie popełnisz samobójstwa i nie pozwolisz im odejść?

– A czemu miałbym to zrobić? Heris, nie byłem blisko z Lepescu i nigdy nie polecałem na jego głupie polowania. Ale wiedziałem o nich i dlatego mieli na mnie haka.

– Arash, lecąc mi na ratunek, zniszczyłeś dwa okręty Benignity. Nie możesz poważnie myśleć...

– Heris, jesteś taka naiwna. Czemu, twoim zdaniem, w ogóle tam byłem, tak blisko? Gdybyś nie próbowała walczyć, a ten kretyn z Benignity nie zdecydował się całkowicie cię zniszczyć, nigdy byś się nie dowiedziała, że tam byłem. Miałaś coś, czego Benignity bardzo chciała. Według planu mieli wejść na pokład, zabrać to i odholować cię w jakiś pusty rejon, żebyś wróciła, jeśli zdołasz.

– Ty leciałeś za... księciem? Chciałeś księcia?

– Tak, oczywiście. I klonów. Benignity uważała, że to dałoby im przewagę... a ja nie chciałem, żeby coś ci się stało, tak samo jak tej starszej damie. Otrucie jej nie było pomysłem Benignity; to oni zabili tę kobietę, która ją otruła.

– Ale, Arash... – To nie ma sensu. Jeśli uważa, że będzie mu się dobrze żyło w Benignity... Mocno zacisnęła oczy. Tak się ucieszyła, dowiadując się, że Petris jest na okręcie Livadhiego. Ufała, że Livadhi zaopiekuje się jej załogą tak samo jak ona. A teraz... zabrał ich na pewną śmierć, w taki czy inny sposób.

Spróbowała jeszcze raz.

– Czemu nie weźmiesz promu? Pozwolę ci odlecieć. Wywalą mnie za to, ale to i tak nie będzie pierwszy raz. A twoja załoga – moja załoga – będzie bezpieczna. Możesz mi zaufać, że nie strzelę do ciebie.

– Nie, potrzebuję krążownika z załogą. To mój bilet do domu.

Nawet teraz trudno jej było uwierzyć, że jest tak bezwzględny.

– Daj spokój – powiedziała. – Jesteś admirałem. Będą się cieszyć nawet wtedy, kiedy przylecisz w samych skarpetkach.

– Nie, Heris, wcale nie. – Zdawał się wybierać słowa jak jeżyny spośród kolców. – Ich zdaniem do tej pory nie odpracowałem zainwestowanych we mnie pieniędzy. To prawie dokładnie ich słowa. Muszę sprowadzić krążownik z załogą. Nie chcą załogi, ale muszą mieć pewność, że okręt nie będzie zaminowany.

Ktoś wyszeptał z dala od mikrofonu:

– Kapitanie... – a kiedy się obejrzała, pokazał jej tabliczkę z liczbą ludzi, którzy już opuścili okręt. Odwróciła się z powrotem do Livadhiego.

– A co z załogą? Jak zareagują, kiedy się dowiedzą, że sprzedałeś ich Benignity? Czy naprawdę zdołasz nad nimi zapanować do czasu, aż tam dotrzesz? Myślisz, że oddadzą okręt bez walki?

– Dzięki tobie i Suizie pewnie nie. Do diabła, Serrano, to wszystko twoja wina. – Uświadomiła sobie, że wrócił na pozycję, której będzie się trzymał aż do końca.

– Czy jest tam z tobą Petris? – zapytała.

– O tak, nigdzie bym go nie puścił – odpowiedział Livadhi. – Chcesz go zobaczyć? – I zanim zdążyła odpowiedzieć, odwrócił kamerę. Petris siedział bezwładnie na krześle po drugiej stronie biurka i miał twarz zupełnie bez wyrazu. Heris jęknęła.

– Odrobinka chemicznego uspokajacza – rzekł Livadhi, po czym odwrócił kamerę z powrotem na siebie i dziko się uśmiechnął. – On też jest niebezpieczny, a poza tym dobrze się bawiłem, rozmawiając sobie z nim. Wiesz, jest w tobie zadurzony, choć nie pasuje do ciebie formatem.

Usta kompletnie jej wyschły i nie potrafiła nic powiedzieć. Ponad połowa załogi opuściła już krążownik i teraz siedziała upchnięta jak solone ryby w korytarzach i pomieszczeniach *Rascula*. Tymczasem promy zabierały kolejną porcję ludzi. Tym razem będą musieli lecieć dłużej i dotrzeć do *Indefatigable* albo zostawić ludzi wiszących w przestrzeni przy kołnierzu transferowym *Rascula*. Wiedziała, że gdyby wykonała mikroskok bliżej, Livadhi natychmiast nacisnąłby klawisz autodestruktora. I tak mógł to zrobić.

Petris już nie żyje. Nie widziała możliwości wydostania go. Livadhi może nacisnąć klawisz, zanim ktokolwiek wejdzie do pomieszczenia, nawet gdyby tam był ktoś, kto mógłby to zrobić. W

duchu była wściekła na osobę odpowiedzialną za środowisko – czy nie mogli mu wpuścić jakiegoś narkotycznego gazu? Ale oficer flagowy prawdopodobnie miał niezależny system wentylacji, łącznie z zabezpieczonymi zbiornikami tlenu, właśnie na wypadek takiej sytuacji.

Wszystko, co może zrobić, to zająć Livadhiego rozmową, podczas gdy promy będą wylatywały i wracały, przewożąc za każdym razem część załogi. Może Petris będzie jedyną niewinną ofiarą...

Jednak w chwili, gdy o tym pomyślała, spojrzenie Livadhiego przesunęło się na jeden z ekranów, których nie widziała w kamerze. Jego źrenice rozszerzyły się i zbladł.

– Oni uciekają! Ewakuacja! NIE! Nie pozwolę ci wygrać, Serrano. I wcisnął klawisz.

* * *

– Z żalem informuję... – Ta stara formułka pozwoliła jej to powiedzieć, chociaż wcale tego nie ułatwiła. – Komodor Livadhi właśnie wysadził w powietrze *Vigilance*. *Rascal* był znacznie bliżej od nas, dlatego mogą mieć jakieś uszkodzenia. Mamy nadzieję, że ktoś przeżył, i natychmiast wyślemy grupy ratunkowe.

– Proszę o zachowanie spokoju i wykonywanie swoich obowiązków. Kiedy będziemy coś wiedzieli, zostaniecie o tym poinformowani. Na czas akcji ratunkowej doki promowe i szpital zostaną odcięte od wewnętrznej sieci komunikacyjnej. W przypadku problemów medycznych należy się kontaktować ze swoim dowódcą, który z kolei skontaktuje się z mostkiem.

– Kapitanie, odzyskaliśmy połączenie z *Rascalem*.

– Mamy tylko drobne uszkodzenia, kapitanie Serrano. Ale nikogo więcej już tu nie upchniemy.

– Dziękuję, kapitanie Suiza. Są jakieś ślady promów? – Wzmocnione promy szturmowe powinny były przetrwać wybuch, jeśli nie uderzyło w nich coś zbyt dużego. Gorzej z promami oficerskimi.

– Tak, sir. Przynajmniej jeden jest cały, ale w nie kontrolowany sposób wiruje. Nie zauważyliśmy pozostałych. Chwileczkę, Koutsoudas mówi, że je ma.

– Lecimy, ale powoli... – Z włączonymi tarczami, by uniknąć uszkodzenia przez lecące z dużą prędkością szczątki, i znacznie wolniej niżby chciała. Proszę, proszę, niech przeżyją. Większość. Wszyscy, jeśli to możliwe, proszę...

Poczekwała na mostku jeszcze kilka minut, by odpowiedzieć na pytania dowódców poszczególnych sekcji, ale nikt o nic nie pytał. Tak więc skinąwszy głową pierwszemu oficerowi, poszła do swojego biura po drugiej stronie korytarza. Tam skopiowała i zabezpieczyła zapisy skanu i zaczęła pisać szczegółowy raport dla Floty, czekając na pierwsze doniesienia z akcji ratunkowej. Petris zginął; Livadhi bawił się nim... Mogła sobie wyobrazić, co mówił, i jak Petris musiał się czuć. A ona przyleciała za późno, by mu powiedzieć, co czuła.

Powoli mijały godziny. Potwierdziła odbiór pierwszego raportu o sukcesie: znaleziono dryfujący prom, załoga i pasażerowie przeżyli, choć w większości są ciężko ranni, zaopiekowano się nimi w szpitalu pokładowym. Kolejny prom miał otwarty właz (czyżby w chwili wybuchu przyjmował pasażerów?), wszyscy na pokładzie zginęli. Potem jeszcze jeden: wszyscy żyją, zniszczone anteny, ale pilot był w stanie skierować go w stronę *Rascala*.

Zabrzączał komunikator. Odpowiedziała, próbując skupić się na pozycji 16(f) swojego raportu.

– Kapitanie, zje pani lunch w swoim biurze czy przyjdzie tutaj?

Już chciała odmówić, ale doświadczenie podpowiedziało jej, że albo zje teraz, albo później tego pożałuje.

– W biurze.

– W takim razie za pięć minut, kapitanie.

Zupa nie miała smaku, a chleb był czerstwy, ale i tak zjadła, zagryzając chlebem zupę. Zginął. Zginął na zawsze. Nie mógł nawet jej usłyszeć ani zobaczyć przed śmiercią. Wszystko, co słyszał, to jadowite słowa Livadhiego, a ostatnim obrazem była jego arogancka twarz.

Ktoś zastukał do drzwi.

– Wejść – rzuciła Heris, zadowolona z pretekstu do wyjścia z tego podłego nastroju. W drzwiach stała Methlin Meharry w wymiętym kombinezonie.

– Przepraszam, kapitanie – powiedziała. – Nie mogłam go wyciągnąć.

– Wiem – odpowiedziała Heris. Jej oczy wypełniły się łzami. – Wiem.

– Powinna była zabić tego śmierdzącego sukinsyna natychmiast, gdy pojawiły się pierwsze wątpliwości. Oszczędziłoby to wielu kłopotów.

– Zrobiłaś wszystko, co mogłaś.

– Wtedy też mi się tak zdawało, ale teraz... Wie pani, gdyby nie ten bunt... Nie chcieliśmy sprawiać kłopotów, gdyby zaczęła się walka. – To nie twoja wina.

– Wiem. Ale do diabła, kapitanie... Wiem, co pani do niego czuła.

– Tak, i będę żałować i płakać... ale miałam szczęście, że mnie kochał, i właśnie to zapamiętam. Nie pozwolę, by zdrajca pozbawił mnie najwspanialszych wspomnień i zniszczył moje życie. – Powiedziała to, by uspokoić Meharry, ale równocześnie sama lepiej się poczuła. Wiedziała, że to nie potrwa długo – wróci ból i poczucie straty – ale chwilowe wspomnienie jego śmiejącej się w słońcu twarzy, lata temu na Sirialis, przyniosło jej radość.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Zimowe deszcze nadeszły wreszcie nad główną bazę Floty na Copper Mountain. Q-town błyszczało światłami świętujących barów, restauracji i sklepów; ulicami świeżo wymytmymi przez kolejną falę deszczu gnał lodowaty wiatr, zaganiając ludzi z ulic do budynków.

Główna sala Diamond Sims była pełna mężczyzn i kobiet w mundurach Floty. Prawie wszystkie stoły były zajęte, a przy barze już ustawiła się kolejka.

– Tylko tego nam trzeba – powiedział Oblo. – Polityka zaszczycającego nas swoją obecnością. Zanim nasi oficerowie tu dotrą, wszyscy będziemy już leżeć na podłodze. – Personel Floty w Copper Mountain i okolicy wybrał ten bar na wspólne świętowanie. I tak było już tłoczno, a miało się zrobić jeszcze gęściej.

– Mówca to nie jakiś tam zwykły polityk.

– Polityk to polityk – stwierdził Oblo. Stojący przed nim na stole na wpół opróżniony kufel nie był pierwszym tego wieczoru. Naprzeciwko niego siedziała Methlin Meharry, a miejsce obok niej zajmował jej młodszy brat Gelan, świeżo promowany i odznaczony za udział w stłumieniu buntu. Wciąż był trochę sztywny w obecności jej towarzyszy.

Przy jednym końcu długiego baru zebrała się grupka cywilów otaczających łysiejącego starszego mężczyznę w śmiesznej żółtej kurtce, która wyglądała jak fragment kostiumu teatralnego.

– Co on tu robi w taki stroju? – Oblo wskazał ręką z kuflem. – To jakiś bal maskowy czy porządna impreza?

– On mnie uratował – odezwał się Gelan. – To naukowiec. Razem z grupą innych badaczy ukradli buntownikom prom transportowy, żeby wywieźć tajny sprzęt z laboratorium badawczego broni na Trzecim Czubku. Zasłużyli, aby być tutaj dzisiejszego wieczoru.

– Jeśli tak mówisz... – stwierdził Oblo.

– A kim jest ta rudowłosa kobieta? – zapytała Methlin.

– To chorąży Pardalt. Ona też była w samolocie, który mnie uratował, i służyła jako ochroniarz profesora. Słyszałem, że uratowała mu życie. Poza tym zmontowała jakiś rodzaj nadajnika, którym wysłano wiadomość o wybuchu buntu.

– Ona to zrobiła?! Skąd ona jest? Jaką ma specjalność?

– Z Xaviera. Dostała po tym stypendium Floty. Jest tu młodszym instruktorem.

– To marnowanie talentu – skomentował Oblo. – Wygląda na kolejną Suizę.

– Jest ładniejsza – rzuciła Methlin.

– Ostrożnie. – Oblo wskazał głową na siedzącego przy sąsiednim stole młodego oficera. – Młodemu Serrano to się nie spodoba.

– Młody Serrano nawet nie zauważy – odpowiedziała Methlin. – Jest zbyt zaangażowany. Ta chorąży Pardalt doskonale wygląda. A ten stary tłuszcioch dobrze o tym wie.

– On jest z tych?

– Nie... Powiedziałabym raczej, że używa jej jako przynęty do ściągania ludzi, z którymi chce porozmawiać. Och, flirtuje, ale przypuszczam, że jest związany z kimś innym.

Znów otworzyły się drzwi i do środka baru weszła nowa grupa ludzi, ocierając twarze z deszczu. Oblo, siedzący twarzą w ich stronę, zerwał się na powitanie.

– Wreszcie! Kapitanie, tutaj! – Ale prawie równocześnie rozległo się inne powitanie,

dobiegające od strony stołu zajętego przez Serrano. – Suiza! Suiza!

Heris Serrano i Esmay Suiza ruszyły w głąb sali, a za nimi pojawiła się grupa admirałów Serrano, otaczających blondynkę w cywilu i rudowłosą kobietę w mundurze.

Oblo opadła szczęka.

– Co? – zapytała Meharry.

– To... Brun – powiedział. – Brun Meager–Thornbuckle. I lady Cecelia.

Methlin odwróciła się, by spojrzeć.

– Rze... rzeczywiście. I... Oblo, patrz! Heris ma gwiazdki!

– I nie zaprosili nas na ceremonię!

Na widok admiralicji Serrano zapadła cisza, tak że słowa chorążego, który opowiadał, jak wygrał bitwę, rozbrzmiały znacznie głośniejsze niż zamierzał.

– I wtedy pierwszy powiedział, że gdyby mnie tam nie było i gdybym nie pamiętał, żeby zamknąć zawór ARTI, nie wie, co by się mogło stać, ale na pewno nic dobrego... – Umilkł i obejrzał się, by sprawdzić, co jest przyczyną tak nagłej ciszy.

I wtedy jeden z admirałów Serrano – wysoki mężczyzna o orlej twarzy, z blizną od policzka aż do czoła – przerwał tę ciszę.

– Zawór ARTI? Jak duże było przebicie?

Młodzik zerwał się na nogi, przełykając głośno ślinę.

– Eee... później się okazało, że tylko milimetr, sir. – No cóż, w takim razie gdybyś go nie zakręcił, płyn strzeliłby przez ten otwór pod bardzo dużym ciśnieniem i ciąłby wszystko na swojej drodze. Na przykład twoich kolegów.

Teraz admirał Vida Serrano wystąpiła do przodu.

– Chcemy uprzejmie zapytać, czy możemy do was dołączyć?

– Oczywiście – odpowiedział Sim, którego wózek inwalidzki docierał nawet w najbardziej zatłoczone miejsca. – Serdecznie witamy. – Przechylił głowę w stronę Heris. – Czy świętujemy również promocję?

– Tak – odpowiedział jeden z admirałów. – Straciliśmy kontradmirała Arasha Livadhiego i uznaliśmy, że potrzebujemy nowego.

– Gratuluję – powiedział Sim.

Heris podała mu swoją kostkę kredytową.

– Tradycyjnie – powiedziała.

– Tak jest. I dziękuję, admirale.

Grupa poszła w głąb sali, ale Brun została z tyłu. Stała przed mężczyzną na wózku.

– Powiedział mi pan, że muszę się wiele nauczyć – rzekła. – I miał pan rację.

– Żałowałem, że byłem wobec pani tak surowy, kiedy usłyszałem, co panią spotkało.

– Nie, miał pan wtedy rację, a ja musiałam to usłyszeć. Szkoda, że nie zrozumiałam tego wcześniej. Z mojego powodu zginęło sporo ludzi. – Sięgnęła do torby. – To kawałek jachtu, na którym leciałam, kiedy mnie złapano, a ludzie mojego ojca zginęli w mojej obronie. Czy... może pan... zatrzymać go tutaj?

– Będę zaszczycony – odpowiedział. – Ma pani ich nazwiska?

- Tak, tu jest kostka z ich nazwiskami, zdjęciami i całą resztą do pańskiej bazy danych. Są warci, aby o nich pamiętać.
- Każdy jest tego wart, sera.
- Tak, teraz to już wiem.
- Faktycznie, myślę, że tak. – Jego spojrzenie, kiedyś tak karcące, złagodniało. – Jesteś tu zawsze mile widziana, sera..

Poczuła rumieniec na twarzy, ale odpowiedziała mu twardym spojrzeniem.

- Dziękuję. Zrobię wszystko, by na to zasłużyć.
- Wierzę, że tak będzie. – Zważył w dłoni fragment jachtu, który mu podała. – Dobrze, proszę dołączyć do swoich przyjaciół. Miło jest znów tu panią widzieć.

Brun precyzyjnie się między zatłoczonymi stołami i dotarła do grupki Serrano akurat na czas, by zobaczyć Barina i Esmay w objęciach, które wywołały gwizdy zgromadzonych na sali. Poczuła ukłucie bólu: ona nigdy nikogo tak nie kochała i nie wiadomo, czy jej się to kiedyś zdarzy. Jako osoba wrażliwa na modę miała ochotę zbesztać Esmay za włosy, które zdecydowanie znów potrzebowały wizyty u fryzjera – lub czegoś innego – choć wciąż były tak krótkie, że stylistka nie miałaby pola do popisu. Ale wiedziała, że to nie ma znaczenia dla Esmay, Barina ani nikogo innego na sali. Złączeni kochankowie, bohaterowie u szczytu sławy... Zerknęła na Heris, której nie udało się połączyć ze swoją miłością. Ale Heris uśmiechała się do nich.

- Co za para! Wystarczyło jedno spojrzenie i już stracili całe profesjonalne opowanie. Esmay z trudem oderwała się od Barina.
- Profesjonalizm jest na okręcie, sir, a my jesteśmy w barze. Wszyscy się roześmiali, włącznie z Heris.
- Będiesz świetnie pasować do tej rodziny.
- Esmay, tak mi przykro, że miałaś przez mnie tyle problemów – odezwała się Vida. – Starzy admirałowie nigdy nie powinni się nudzić, bo tylko sprawiają kłopoty.
- Co do historii...

– Zostawmy ją historykom – ucięła stanowczo Vida. – Owszem, trzeba ją zbadać i poznać, ale już czas dać spokój pytaniom o winę i zająć się tym, co teraz nas czeka. Moim zdaniem powinniśmy wyprawić Barinowi odpowiedni ślub z przyjęciem, na którym będziemy mogli – twoja rodzina, nasza rodzina i tylu przyjaciół, ilu tylko zdołamy zebrać – jeść, pić i snuć opowieści.

– Słuchajcie! Słuchajcie! – rozległy się okrzyki tych, którzy nie wiedzieli, o co chodzi, ale usłyszeli „jeść, pić i snuć opowieści”.

W tej chwili otworzyły się drzwi do kuchni i kelnerzy zaczęli wnosić tace z jedzeniem, które podawano z rąk do rąk, aż dotarły na wszystkie stoły.

- Nie miałaś chyba na myśli, żeby teraz urządzać przyjęcie! – krzyknęła Esmay do Vidy.
- Nie, nie ma tutaj twojej rodziny. To tylko przyjęcie promocyjne Heris. Najpierw nas nakarmi, potem upije...
- Jeśli moja kostka kredytowa to wytrzyma – wtrąciła się Heris. – Uznaj to za przygotowanie – odezwał się Sabado, uśmiechając się do Esmay. – Da ci to jakieś pojęcie, jakie przyjęcie musi urządzić twoja rodzina.
- To żaden problem – odpowiedziała – jeśli przylecicie na Altiplano. Potrafimy organizować

fiesty i mamy mnóstwo miejsca.

– Dzielną sobie wybrałaś żonę, Barin – stwierdził Sabado.

– Wiem, ale to nie jedyny powód... – Esmay zaczerwieniła się, a pozostali wybuchnęli śmiechem. – Choć to jeden z powodów – dorzucił, po czym szepnął Esmay do ucha: – Oni są niemożliwi. Uwzięli się, żeby nas spieszyć.

– Nie umrę od rumieńców i nie zamierzam od nich uciekać.

– To dobrze. Czy już ci mówiłem, jaki jestem dumny, że złapałaś Livadhiego?

– Nie zrobiłam tego sama...

Barin prychnął.

– Esmaya, nawet nie zaczynaj. Oczywiście, że nie pognałaś za nim sama przez kosmos.

Roześmiała się.

– Ale słuchałaś... zrozumiałaś... i zdecydowałaś się działać. – Musiałam.

– Tak. I dlatego cię kocham. Zawsze robisz to, co należy zrobić. Jestem tego pewien.

Znów się do niego przytuliła.

– A ty... Ja też o tobie słyszałam. Tak się martwiłam...

– Byłem przerażony. A potem zbyt zajęty, aby się bać. – Nagle uświadomił sobie, że już nie jest ani przestraszony, ani zazdrosny. Zerknął w stronę baru, gdzie napotkał spojrzenie profesora, i kiwnął mu głową.

* * *

Chociaż Cecelia nie знаła wszystkich Serrano – ale za to znała Oblo i Meharry – przepchnęła się bez wahania do ich stołu. Oblo wstał, przesunął cały rząd ludzi po prawej stronie, a potem podsunął jej swoje krzesło i sam przysiadł na zwolnionym miejscu na ławie.

– Lady Cecelio, co pani robi w mundurze Floty z gwiazdkami? Nie uda się pani przekonać mnie, że została pani admirałem.

– Niezupełnie. – Cecelia uśmiechnęła się szeroko; ta historia na pewno spodoba się Oblo. – Pamiętacie, jak jeszcze na Xavierze ten młody porucznik ze *Sweet Delight* myślał, że jestem oficerem wywiadu?

– Tak.

– Cóż, zostaliśmy razem z Mirandą schwymani przez buntowników...

– Co!?

– Nic pani nie jest, milady? – zapytała Meharry.

– Już nie, ale Miranda zginęła. Pozwólcie mi opowiedzieć...

– Przepraszam, czy mogę się dosiąść? – Cecelia podniosła wzrok i zobaczyła bosman Jones z kuflem w dłoni.

– Oczywiście! – odpowiedziała. – Możesz mi pomóc to opowiedzieć. Znasz Oblo Vissisua, prawda? I Methlin Meharry?

– Słyszałam o was – odpowiedziała Jones. – Załoga Heris Serrano, prawda? I przeżyliście porwanie przez tego kontradmirała Livadhiego?

– Zgadza się – stwierdził Oblo. – Pomogłaś lady Cecelii, tak? – Wyciągnęła nas z więzienia – wyjaśniła Jones. – No dalej, opowiedz im. To właściwie twoja historia.

Kiedy Cecelia dotarła do krytycznego momentu uderzenia strażnika mopem, wszyscy siedzący przy stole nachylili się w jej stronę, aby nie uronić ani słowa. Ktoś zaczął się śmiać, ale zaraz umilkł.

– Potem – wtrąciła Jones – we dwie przyciągnęły trupa, żeby otworzyć jego palcami zamek.

– A jak wam się udało wydostać ze statku? – zapytała Meharry. – *Bonar Tighe*... Gdzie umieścili areszt? Czy to nie ten statek, który ma stare centrum kontroli walki?

– Tak. Włamaliśmy się do szafek kontroli zniszczeń i zaczęliśmy improwizować.

Przy stole zapadła chwila ciszy, kiedy wszyscy usiłowali sobie przypomnieć, jaki sprzęt jest trzymany w szafkach i jak można go wykorzystać. Potem Jones zaczęła opowiadać. Cecelia podziwiała jej talent do opowiadania; doskonale wiedziała, jak zaprezentować całą historię, by w jej ustach brzmiało to lepiej niż było w rzeczywistości. Wszyscy słuchali, jakby Jones ich zaczarowała, a gdy doszła do słów:

– I stała tam, odrywając elementy czujnika i wyliczając „zabijają nas... nie zabijają...”.

– Związali mnie taśmą unieruchamiającą – przerwała jej Cecelia – i zanieśli jak prezent urodzinowy.

– Tak, ale co z mundurem? – przypomniał jej Oblo i dotknął gwiazdki na jej ramieniu. – Ona jest prawdziwa.

– To już robota twojej Heris. Potrzebowała... hmm autorytetu, więc... mi to zaproponowała, a Jones mnie poduczyła.

– Już wcześniej potrafiła się zachowywać jak dowódca – wtrąciła Jones. – Ja tylko musiałam ją przekonać, żeby przestała ciągle używać końskiej terminologii.

– To moja zasłona – wyjaśniła Cecelia.

– Kiedy ją promowali? – Oblo wskazał głową w stronę Heris. – Czemu nam nie powiedziała?

– Jakies dwadzieścia minut temu, w dowództwie szkoły. A czemu bez świadków? I tak wiedziała, że tutaj są wszyscy jej bliscy, a nawet Serrano nie może przyjąć gwiazdki w barze.

– No jasne, ona wie, jak to powinno wyglądać.

Cecelia spojrzała na Methlin Meharry i siedzącego obok niej młodzieńca.

– To jakiś twój krewny?

– Mój młodszy braciszek, Gelan. Był tutaj, gdy to wszystko się zaczęło. Zabił Bacarion.

– Kogo?

– Kobietę, która przejęła więzienie. To tutaj kiedyś trzymali mnie i Oblo. Gdyby słuchał starszej siostry, nie wpakowałby się w cały ten bajzel, ale przynajmniej wiedział, co z tym zrobić.

Gelan zaczerwienił się.

– Methi...

– Methi – powtórzyła Cecelia. – Tak cię nazywa? – Czują, że za chwilę nastąpi wybuch.

– Nawet ja jej tak nie nazywam – powiedział Oblo z niewinną miną.

– Widzisz, co narobiłeś? – Methlin palnęła brata w głowę. – Same z tobą kłopoty. – Ale uśmiechała się szeroko, ukrywając niebezpieczny błysk w oku.

Nagle przy ich stole pojawiła się Heris.

– Methlin, dobrze, że znalazłaś brata. Słyszałam o tobie mnóstwo dobrych rzeczy, młodzieńcze. Myślisz, że chciałbyś kiedyś wrócić na okręt?

– Tak jest, sir! Mam nadzieję dostać przydział razem z porucznikiem Serrano.

– Och. – Heris wyglądała na zaskoczoną. – Cóż, przypuszczam, że jedna Meharry wystarczy. Oblo, czy mógłbyś znaleźć resztę z *Vigilance*? Już czas.

– Tak jest, sir. – Oblo przecisnął się obok niej.

Heris nachyliła się w stronę Cecelii.

– Cecelio, mamy taką małą tradycję, jeśli chodzi o nowych admirałów... Mam nadzieję, że się do nas przyłączysz. W końcu jesteś nowym admirałem.

– Wiedziałam, że wpakuję się przez to w kłopoty – westchnęła Cecelia.

– Och, siedzimy w tym razem. No chodź... – Heris wyciągnęła do niej rękę.

– Nie jestem niedołączna – obruszyła się Cecelia, zmagając się z gęstniejącym tłumem – tylko stara.

– Dobrze. Musimy wyjść na zewnątrz.

– Czemu? Pada deszcz, jest zimno i...

– To tradycja. Proszę... – I podała jej torbę czegoś ciężkiego i brzęczącego.

– Co to jest? Co się tu dzieje?

Gdyby to była moja ceremonia promocyjna, nie musiałybyśmy tego robić. Wygląda to tak... Nie przerywaj mi, bo chcę ci wyjaśnić. Po promocji oficer powinien wręczyć żeton każdemu żołnierzowi, który zaszalutuje na widok jego nowego stopnia.

– Naprawdę? To wygląda jak wręczanie napiwków stajennym po...

– Przestań myśleć o koniach, Cecelia. To poważna sprawa.

Jeśli nie wręczyło się napiwków stajennym, sytuacja również stawała się poważna. Cecelia spojrzała na zaciśnięte szczęki Heris i nic już nie powiedziała.

– Podczas promocji na pokładzie okrętu nowo promowany rozdaje żetony na drinki dla każdego z promowanej grupy. W dokach zazwyczaj daje się żetony gotówkowe, nawet jeśli większość barów ich nie przyjmuje, bo wolą kostki kredytowe. W każdym razie od admirałów oczekuje się czegoś więcej. Zajął się już jedzeniem, ale wciąż musimy przejść przez salutowanie. Te żetony zrobiono dla mnie na inną okazję, ale będą musiały wystarczyć. A przy okazji, ile ty masz lat?

– Ile mam lat?!

– Tak. Widzisz, admirałowie płacą w zależności od wieku. Musisz przyjąć i uhonorować tyle salutów, ile masz lat.

– Na której planecie?

– Bądź poważna. Nigdy nie oszukuj własnych ludzi.

– Naprawdę nie wiem. Osiemdziesiąt i coś. Teraz może już dziewięćdziesiąt?

– Niech będzie dziewięćdziesiąt. Trochę będzie cię bolała ręka. – Heris zatrzymała się i spojrzała na nią. – Wiesz jak się salutuje, prawda?

– Nie. – To najdziwniejsza rzecz, jaka się zdarzyła, odkąd drobna, szczupła kobieta w fioletowym mundurze pojawiła się na pokładzie *Sweet Delight*, by przejąć obowiązki kapitana jachtu. – Nie wiem, jak się salutuje, w końcu jestem w wywiadzie.

– Nie, teraz już nie. Właśnie dostałaś promocję i jeszcze tego samego wieczoru przejdziesz na emeryturę. No chodź.

Na zewnątrz zimny deszcz chwilowo ustał. Cecelia zatrzymała się w drzwiach.

– Nie rozumiem, czemu nie możemy tego zrobić w środku.

– Ponieważ to bar – wyjaśniła Heris. – No chodź, to nie potrwa długo.

– Wszyscy są w środku – jęknęła Cecelia. – Będziemy potrzebować wielu godzin, aby znaleźć dziewięćdziesięciu ludzi, którzy nam zaszalutują. – A przez ten czas zmokną, zmarzną i ominie je całe przyjęcie. To na pewno nie jest dobry pomysł.

– Chodźże – ponagliła ją Heris. – Admirałowie nie marudzą.

Mrucząc pod nosem, Cecelia ruszyła za nią. Bez wątpienia przy projektowaniu admirałskich mundurów nikt nie pomyślał o osłonie przed zimnym wiatrem.

– Dokąd my idziemy?

– Wystarczająco daleko, żebym mogła ci pokazać, jak się szalutuje bez wprawiania wszystkich w zakłopotanie.

– Jakich wszystkich?

– Widzę, że faktycznie jesteś admirałem, Cecelio, bo tylko admirałowie zadają tyle pytań. Patrz. – I Heris zademonstrowała, jak się szalutuje.

– Na pewno to zepsuję – powiedziała Cecelia.

– Nie, nie zrobisz tego. To zwykle *noblesse oblige*, tyle tylko, że połączone z ruchem ręki.

Po jakimś czasie Cecelia zobaczyła podwójny rząd postaci stojących na zimnym wietrze. Zadrżała, i to nie tylko z zimna.

– Z *Vigilance* – wyjaśniła Heris. – Mają do tego prawo.

Z początku czuła się niezręcznie, śmiesznie, jak w farsie. To Heris jest prawdziwym admirałem, to jej należą się honory. Ona jest tylko starą damą bawiącą się w jakąś grę, próbującą pomóc. Ale Oblo nie bawił się w żadną grę; Methlin Meharry także nie zgodziłaby się na farsę ani nie przyprowadziła swojego brata. Bosman Jones również była poważna. Koutsoudns... i pozostali z *Vigilance*, a także reszta ocalałych z *Bonar Tighe* traktowali to równie poważnie. Cecelia czuła, że po jej twarzy spływa nie tylko deszcz. Ona nie zasługuje na to... ale widocznie musiała zasłużyć.

Kiedy wręczyła ostatni otrzymany od Heris żeton, bolała ją już ręka. Gdy wróciły do baru, toasty dopiero się zaczynały. Nie rozumiała protokołu określającego, za co zostanie wzniesiony kolejny toast, ale zauważyła, że odbywa się to zgodnie z jakimś planem. Wsunęła pod język pastylkę detoksykanta. Przynajmniej nie będzie cierpiała, bo zapowiadała się bardzo długa noc. Stoły były już całkowicie obsadzone, więc skierowała się w stronę baru, gdzie wciąż stał mężczyzna w żółtej kurtce.

Podeszli do niej Oblo i Meharry.

– Jak długo jeszcze będziemy czekać na polityka? – zapytał Oblo. – Polityka?

– Powiedzieli, że chce wygłosić przemówienie. To Mówca. Cecelia wyszczerzyła w uśmiechu zęby.

– Nie musimy czekać – odpowiedziała. – Polityk już tu jest. Oblo rozejrzał się wokół.

– Kto? To musi być cywil, prawda? Nie powie mi pani, że ten tłusciuch w żółtym to nowy Mówca! Brat Methlin mówił, że to naukowiec.

– Nie, ona nie jest naukowcem. – Oblo spojrział na nią z gapowatą miną, a Methlin uśmiechnęła się jak wilk.

– W takim razie kto?

– Rozejrzyj się. – Cecelia wskazała głową w stronę stołu Serrano, gdzie Esmay przytulała się do Barina, a Brun przemawiała żarliwie do Vidy.

– Brun? Ta trzpiotka?

– Ona nie jest już trzpiotką, Oblo.

– No... ja... cóż...

Cokolwiek zamierzał powiedzieć, utonęło w gromkim okrzyku „Mowa! Mowa!”, gdy jakiś admirał zastukał w bar. Cecelia przyglądała się, jak VIDA wstaje i czeka, aż sala się uciszy.

– Mam zaszczyt przedstawić Mówcę Wielkiej Rady, który przyleciał tu z Castle Rock, by do nas przemówić.

Brun wstała, rozejrzała się po zapchanej sali, a potem pochyliła się i coś powiedziała. Jeden z Serrano pomógł jej wspiąć się na stół. Przez chwilę milczała, pozwalając wszystkim przyjrzeć się jej.

– Mam osobisty powód, by wam podziękować – zaczęła nieco chropawym głosem. Wszyscy ucichli, by móc ją słyszeć. – Kiedy byłam młodą idiotką i wpakowałam się w kłopoty, przylecieliście, aby mnie z nich wyciągnąć. Niektórzy twierdzili, że tak nie powinno być i że mój ojciec nie miał prawa prosić was o ryzykowanie dla mnie waszego życia. Inni twierdzili nawet, że to ja byłam powodem wybuchu niedawnego buntu, że to właśnie nadużycie władzy doprowadziło do tego, że część waszych byłych towarzyszy zbuntowała się. Ale bardzo się cieszę, że to zrobiliście. – Jej słowa zapraszały do śmiechu, więc niektórzy zachichotali.

– Od chwili powstania Zawodowa Służba Kosmiczna była naszą obroną przed zewnętrznymi i wewnętrznymi wrogami. Od stuleci pełnicie najtrudniejszą ze służb, jesteście równocześnie wojskiem i policją, bronicie nas przed inwazjami, a na dodatek zajmujecie się skradzionymi statkami i walką z piractwem. Doskonale sobie z tym radzicie. Ostatnio zdołaliście unicestwić plany zdrajcy pochodzącego z waszych szeregów. Musieliście podejmować trudne decyzje i strzelać do własnych przyjaciół, którzy złamali dane wam słowo. Ze wszystkim tym doskonale sobie poradziliście, a waszej sprawności nie da się opisać słowami.

– Tradycyjnie rząd przyzna wam order, ale czym jest order wobec tego, przez co przeszliście w ciągu ostatnich kilku lat? Zrobimy coś więcej. – Brun urwała, a ciszę, jaka zapadła, można byłoby kroić nożem.

– Zapewne słyszeliście o zmianach, jakie zaszły w Wielkiej Radzie. Jestem tu po to, by wam przekazać, że młodszy członkowie Wielkich Rodzin zgodzili się z nami współpracować, choć nikt nie wie, na jak długo... – Rozległy się śmiechy. – Dlatego zostałam Mówcą. Otwieramy Radę dla przedstawicieli grup spoza Familii. W szczególności jesteśmy zainteresowani tworzeniem warunków dla rozwoju młodych ludzi, by proces odmładzania nie stał się trwałą blokadą na drodze do ich kariery.

– Ale pani jest bogata... i może się odmłodzić! – krzyknął ktoś z tyłu sali.

– Nie – odpowiedziała Brun. – Przysięgam tego nie robić, i jeśli złamię tę przysięgę, zostanę pozbawiona władzy zarówno w Wielkiej Radzie, jak i w moim klanie. Mogłabym jeszcze długo mówić... ale to nie czas na długie przemowy polityczne. Zostanę tu jeszcze kilka dni i wtedy będę mogła z wami porozmawiać. Dzisiejsze święto nie jest dla mnie ani dla nowych członków Wielkiej Rady. Jest dla was,.. z racji tego, co zrobiliście, i ile was to kosztowało. To czas, byście usłyszeli podziękowania od wszystkich, którym służycie. Nie możemy wam oddać tego, co straciliście... Możemy wam tylko okazać nasz podziw i wdzięczność. – Wyciągnęła rękę i jeden z admirałów podał

jej kieliszek. – Za Flotę!

Zacząła schodzić ze stołu. Obło poderwał się i krzyknął:

– Za Brun!

– Za Brun! Za Mówcę! Za Radę!!

Rozległy się toasty, jeden za drugim, aż wreszcie po jednym wypowiedzianym przez któregoś z admirałów Serrano zapadła niezręczna cisza. Cecelia pomyślała, że może czekają, żeby cywilni goście wzniesli toast.

I wtedy Heris Serrano wysoko podniosła swoją szklanicę.

– Za nieobecnych przyjaciół – powiedziała. I odpowiedział jej niemal ryk; każdy wykrzykiwał imiona swoich poległych przyjaciół.

Gdy już hałas ucichł, ktoś zaintonował tęskną pieśń, którą podchwyciło wiele głosów. Cecelia nigdy jeszcze jej nie słyszała.

To pieśń za naszych przyjaciół starych,

Przyjaciół czasu radości i łez.

Za tych, co z nami nie wytrwali,

Co już nie mogą być wśród nas.

Nie zapomnimy, póki żyjemy,

Wspaniałych zmarłych, ich szczytnych dzieł,

Gdzie oni odeszli, i my pójdziemy

W przedwieczny mroki ognia żar.

Lecz znów wstaniemy, gdy skończym dzieło,

Wolni od ziemskich żalów i spraw,

Porzucim jad przyziemnych swar,

Honorem ryjąc już jedynie.

A oni staną razem z nami,

Ci wszyscy, których tak kochamy,

I śpiewać będą pełni szczęścia

Po tej ostatniej wygranej.

– Mój Boże – powiedział mężczyzna w żółtej kurtce. – To starożytna pieśń – aranżacja Parry'ego do słów Blake'a – hymn bojowy anglikańskich mas dwa stulecia przed tym, jak ludzie opuścili Starą Ziemię. Ale te słowa... – Umilkł i potrząsnął głową. Cecelia nie miała pojęcia, o czym on mówi; miała nadzieję, że nie brał żadnego środka przeciwko upojeniu alkoholowemu.

Po chwili przerwy niektórzy znów zaczęli śpiewać.

O, łuk mi dajcie z żaru złota

– Te są dobre – powiedział szeptem mężczyzna.

A z pragnień moich groty strzał!

– Te też...

Dajcie mi okręt! Pękaj chmuro,

– To nie okręt, tylko włócznia...

– Zamknij się, durniu – wysyczała do niego Cecelia. Rzucił jej przez ramię zdumione spojrzenie i otworzył usta, ale potem zerknął na Oblo i w ciszy wrócił do swojego drinka.

Abym ognisty rydwan miał!

Myśl moja już nie spocznie w boju,

Nie uśnie miecz w uścisku rąk,

Póki nie dojdziem poza gwiazdy

Z nieśmiertelnymi braćmi złączyć się.

Umilkły ostatnie głosy. Mężczyzna w żółtej kurtce odwrócił się do niej. Cecelia zobaczyła na jego twarzy łzy i poczuła, że jej twarz także jest mokra od łez.

– Przepraszam – powiedział. – Po prostu... słyszałem to tylko na nagraniach. Już wtedy ta muzyka miała swoją moc, ale tutaj, na żywo, była przytłaczająca.

– Nic się nie stało – powiedziała Cecelia.

– Cywile zazwyczaj tego nie słyszą – wtrącił Oblo.

Meharry przecisnęła się do mężczyzny w żółtej kurtce i poklepała go po ramieniu.

– Mój brat mówi, że pan jest profesorem i uratował mu pan życie.

– Meharry... Ten młodzieniec, którego wyciągnęliśmy z tratwy? Nie wydaje mi się, że bym go uratował.

– To pan uśpił tego paskudnego majora – odezwała się rudowłosa dziewczyna i uśmiechnęła się do Meharry i Oblo. – Jestem chorąży Pardalt, ja też tam byłam. Myślę, że jeśli nawet profesor nie uratował mu życia, to oszczędził mu mnóstwa kłopotów.

– Jesteś z Xaviera, prawda? – zapytał Oblo.

– Tak. Czy ta kobieta to komandor Serrano?

– Teraz już admirał Serrano. Tak, to ta, która walczyła na Xawierze. Jest tam też porucznik Suiza.

Młoda kobieta otworzyła szerzej oczy.

– Obie razem? Powinam... powinienam im podziękować. – W takim razie chodź – powiedziała Meharry. – Zaprowadzę cię do nich. – Profesor westchnął, a potem uśmiechnął się smutno do

Cecelii.

– Przegrywam już nie tylko z młodymi i przystojnymi. Biada mi, jestem tylko starym pierdołą...

– Znów westchnął i uśmiechnął się. – Ale pani, rudowłosa piękność...

– Nikt tak już o mnie nie mówi. Jestem starsza od pana.

– Jest pani pewna? Mam ponad pięćdziesiątkę.

– Mój wygląd jest mylący. – Nie potrafiła się oprzeć, słowa wprost same pchały się jej na usta.

– No cóż, skoro ma pani gwiazdki na ramionach, zakładam, że jest pani admirałem i może mi powiedzieć, kiedy będę mógł wrócić do domu i żony.

– Przykro mi – odpowiedziała Cecelia – ale nie jestem w tym wydziale. Myślę jednak, że już niedługo. Ja też z przyjemnością wrócę do domu.

– Ta Margiu Pardalt to bardzo bystra dziewczyna – rzucił profesor, oglądając się za nią. – Ale nie zastąpi żony, przynajmniej mojej.

Do sali weszła grupa ludzi, wpuszczając do środka falę zimnego powietrza. Cecelia wyteńczyła wzrok, ale nie potrafiła rozpoznać żadnego z nich. Jednak po pełnych napięcia sykach zorientowała się, że ktoś ich poznał.

– Kto to? – zapytała.

– Livadhi – wyjaśnił Oblo.

– Livadhi... Czy to nie on...

– Tak.

Cecelia zerknęła na stół oficerów Serrano. Oni również zauważyli Livadhich. – Co oni tu robią?

– Admirale Serrano – odezwał się mężczyzna stojący na czele grupy. Cecelia zauważyła, że ma gwiazdki na ramionach, i to więcej niż ktokolwiek z pozostałych.

– Który admirał Serrano? – wymamrotał Oblo, dorzucając coś, czego Cecelia wolała nie usłyszeć.

Wszyscy admirałowie Serrano wstali. Cecelia przypomniała sobie nagle scenę z bardzo złego filmu historycznego. Stojące naprzeciwko siebie dwa wrogie gangi. Sabado Serrano poruszył się, jakby chciał coś powiedzieć, ale Heris go powstrzymała.

– Współczujemy wam z powodu waszej straty – odezwała się w ciszy.

– Ty... – zaczął najstarszy Livadhi, ale głos odmówił mu posłuszeństwa. Potrząsnął głową i odezwał się ponownie. – Przyszliśmy cię przeprosić za to, co zrobił.

– Wymieniłam jego imię – powiedziała Heris – wśród imion nieobecnych przyjaciół.

Cecelia poczuła ból w piersi. Jej nigdy nie przyszłoby do głowy żałować wroga i zaliczyć go do grona przyjaciół.

– Czy już za późno, by mu zaśpiewać? – zapytał najstarszy Livadhi.

– Nigdy nie jest za późno – odpowiedziała Heris – by uczcić dobrego człowieka czy żałować jego odejścia. – Kiwnęła głową pozostałym Serrano i zaczęła śpiewać. Wkrótce dołączyły do niej inne głosy.

To pieśń za naszych przyjaciół starych...

Koniec

Spis treści

Strona tytułowa.	1
Podziękowania.	5
Notka dla czytelników..	6
ROZDZIAŁ PIERWSZY..	7
ROZDZIAŁ DRUGI.	21
ROZDZIAŁ CZWARTY..	51
ROZDZIAŁ PIĄTY..	67
ROZDZIAŁ SZÓSTY..	80
ROZDZIAŁ SIÓDMY..	92
ROZDZIAŁ ÓSMY..	104
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY..	117
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY..	133
ROZDZIAŁ JEDENASTY..	146
ROZDZIAŁ DWUNASTY..	161
ROZDZIAŁ TRZYNASTY..	175
ROZDZIAŁ CZTERNASTY..	192
ROZDZIAŁ PIĘTNASTY..	205
ROZDZIAŁ SZESNASTY..	218
ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY..	233
ROZDZIAŁ OSIEMNASTY..	246
ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY..	258
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY..	273
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY..	288
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI.	302
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI.	315
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY..	332
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY..	345
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY..	359
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY..	375